TRUDI CANAVAN

OSTATNIA Z DZIKICH

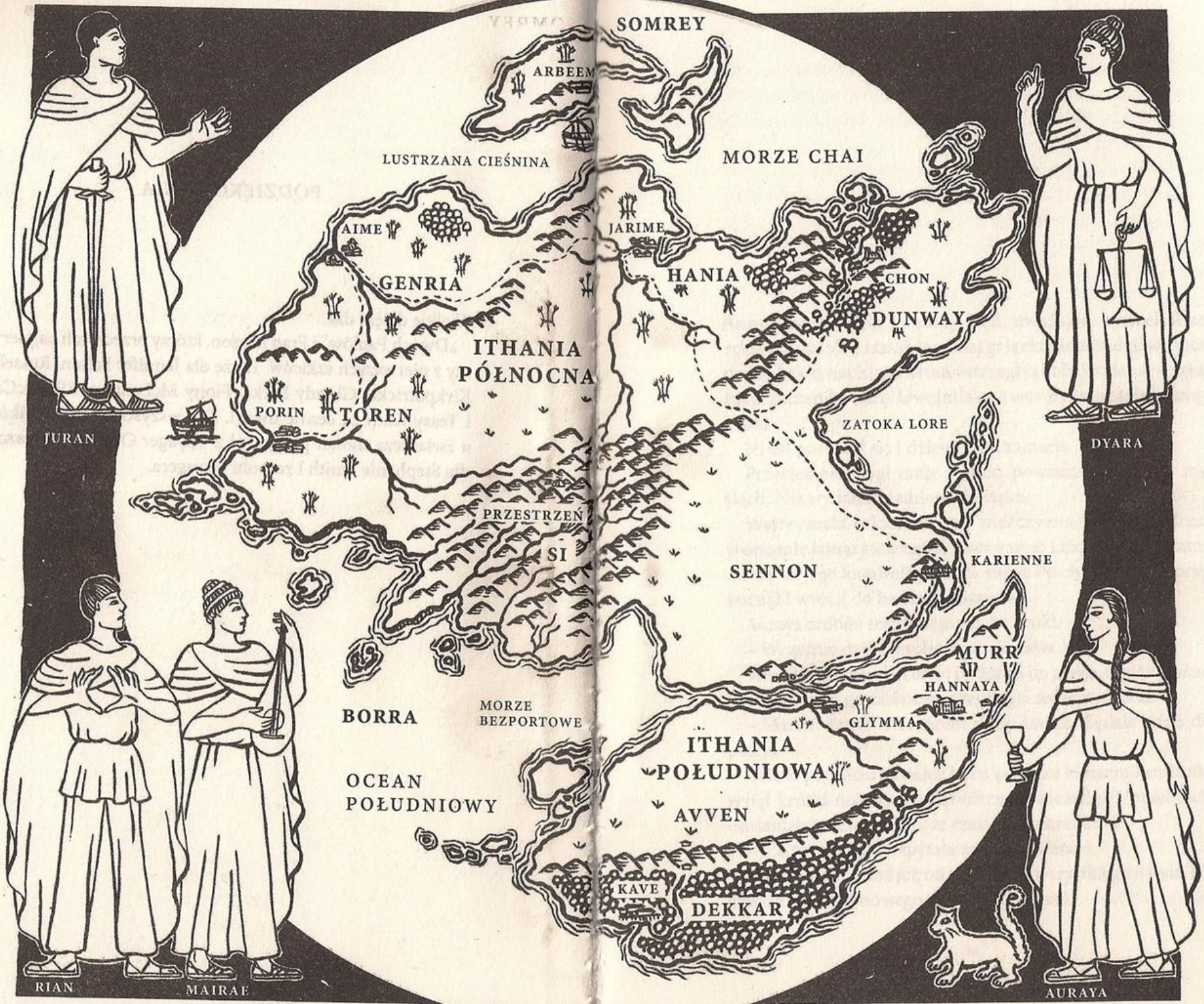
SOMREY
ARBEEM
LUSTRZANA CIEŚNINA
MORZE CHAI
AIME
JARIME
GENRIA
HANIA
CHON
DUNWAY
ITHANIA
PÓŁNOCNA
PORIN
TOREN
ZATOKA LORE
PRZESTRZEŃ
SI
SENNON
KARIENNE
MURR
HANNAYA
GLYMMA
BORRA
MORZE
BEZPORTOWE
ITHANIA
POŁUDNIOWA
OCEAN
POŁUDNIOWY
AVVEN
KAVE
DEKKAR
JURAN
DYARA
RIAN
MAIRAE
AURAYA

PROLOG

Reivan wykryła zmianę przed innymi. Z początku było to raczej instynktowne uczucie niż wiedza. Dopiero potem zauważyła, że w powietrzu pojawiła się pewna chropowatość, a zapach jest przytępiony. Patrząc na nierówne ściany tunelu, dostrzegła ślady sypkiej substancji pokrywającej jedną stronę każdej wypukłości i każdego wgłębienia. Całkiem jakby wiatr przywiał pył z ciemności przed nimi.

Dreszcz przebiegł jej po plecach, gdy pomyślała, co to może oznaczać. Milczała jednak. Mogła się mylić, a przecież wszyscy byli jeszcze głęboko wstrząśnięci porażką, wszyscy starali się pogodzić ze śmiercią krewnych, przyjaciół i towarzyszy, których ciała pozostały za nimi, pochowane w żyznej ziemi nieprzyjaciela. Nie potrzebowali dodatkowych powodów do zmartwień.

Ale nawet gdyby nie wracali do domu w najgorszym z możliwych nastrojów, i tak by się nie odezwała. Łatwo było urazić mężczyzn z jej grupy. Podobnie jak ona, chowali w sobie żal, że nie mieli wystarczających Talentów, by zostać Sługami Bogów. Dlatego pielęgnowali jedyne pozostałe im źródło poczucia wyższości.

Byli inteligentniejsi niż przeciętni ludzie. Byli Myślicielami. Od zwyczajnie wykształconych odróżniała ich zdolność obliczania, wymyślania, filozofii i rozumowania. A to powodowało, że gwałtownie ze sobą współzawodniczyli. Dawno temu stworzyli wewnętrzną hierarchię. Starsi mieli pierwszeństwo przed młodszymi. Słowo mężczyzny znaczyło więcej niż kobiety.

To oczywiście śmieszne. Reivan zaobserwowała, że ich umysły stają się z wiekiem nieelastyczne i powolne, tak jak ciała, w których spoczywały. To, że wśród Myślicieli jest więcej mężczyzn niż kobiet, nie oznacza przecież, że mężczyźni są mądrzejsi. Reivan lubiła dowodzić tej tezy, ale w tej chwili pora nie była odpowiednia.

No i mogę się mylić.

Zapach kurzu był teraz silniejszy.

Na bogów, mam nadzieję, że się mylę.

Nagle przypomniała sobie, że Głosy potrafią czytać w myślach. Obejrzała się przez ramię i poczuła się przez chwilę zdezorientowana. Spodziewała się zobaczyć tam Kuara. Zamiast niego za Myślicielami szła wysoka, elegancka kobieta - Imenja, Drugi Głos Bogów. Reivan posmutniała, gdy przypomniała sobie, dlaczego teraz ona prowadzi armię.

Kuar był martwy, zabity przez pogańskich cyrklian.

Imenja podniosła wzrok i skinęła na Reivan. Dziewczynie zamarło serce - nigdy nie rozmawiała z Głosami, mimo że była częścią zespołu Myślicieli, którzy wytyczyli trasę przez góry. Grauer, przywódca grupy, do rozmów z Głosami wyznaczył siebie.

Zatrzymała się. Rzut oka na mężczyzn przed nią zdradził, że nie zauważyli tego wezwania ani faktu, że zostaje z tyłu. A już z pewnością nie dostrzegł tego Grauer, który całą uwagę poświęcał swoim mapom. Kiedy Imenja do niej dotarła, Reivan znów ruszyła naprzód, o krok za Głosem.

- Jak mogę ci służyć, świątobliwa?

Imenja wciąż marszczyła czoło, spoglądając na Myślicieli.

- Czego się obawiasz? - zapytała cicho. Reivan przygryzła wargę.

- To prawdopodobnie podziemny obłęd, ciemność niepokojąca mój umysł - odpowiedziała pospiesznie. - Ale...

podczas naszej poprzedniej wędrówki powietrze nigdy nie było tak zanieczyszczone. I nie było tyle pyłu na ścianach. Układ wyraźnie sugeruje szybki ruch powietrza gdzieś od przodu. Przychodzi mi do głowy kilka powodów...

- Obawiasz się, że nastąpił zawał - stwierdziła Imenja.

- Tak. - Reivan kiwnęła głową. - I dalsza niestabilność.

- Naturalna czy nie?

Pytanie Imenji i to, co sugerowało, sprawiło, że Reivan znieruchomiała zaszokowana i przerażona.

- Nie wiem. Kto mógłby to zrobić? I po co? Drugi Głos zmarszczyła czoło.

- Otrzymałam właśnie raporty, że kiedy tylko do Sennończyków dotarły wieści o porażce, zaczęli sprawiać kłopoty naszym ludziom. A może to miejscowi wieśniacy szukają zemsty...

Reivan odwróciła wzrok. Przypomniały jej się vorny z pyskami ociekającymi krwią po ostatniej myśliwskiej wyprawie, w nocy, zanim wkroczyli do tuneli. Dobre stosunki z okolicznymi wioskami nie były dla armii istotne - nie wtedy, kiedy zwycięstwo było tak pewne.

I przecież nie mieliśmy wracać tą drogą... Mieliśmy przepędzić pogan z Ithanii Północnej, przejąć władzę dla bogów i potem wrócić do domu przez przełęcz.

Imenja westchnęła.

- Wróć do swojej grupy, ale nic nie mów. Poradzimy sobie z przeszkodami, kiedy już się pojawią.

Reivan udała się na swoje miejsce na końcu grupy Myślicieli. Pamiętając, że Imenja

może czytać w jej myślach, czujnie wypatrywała oznak zaburzeń. Nie musiała na nie długo czekać.

Zabawnie było patrzeć, jak inni Myśliciele z wolna uświadamiają sobie znaczenie wciąż rosnącej ilości gruzu w tunelu. Pierwszą przeszkodą, na którą się natknęli, była niewielka część zawalonego stropu. Nie zasypał całego tunelu, więc wystarczyło wspiąć się na zwał odłamków, by iść dalej. Potem przeszkody zaczęły się piętrzyć i były trudniejsze do pokonania. Imenja wykorzystywała magię, by ostrożnie odtoczyć jakiś głaz czy przesunąć kopiec ziemi. Nikt nie sugerował żadnej przyczyny tych zaburzeń. Wszyscy zachowywali przezorne milczenie.

Tunel dotarł do jednej z wielkich naturalnych grot, często spotykanych w kopalniach. Reivan popatrzyła w pustkę - tam gdzie powinna być tylko czerń, pojawiły się blade kształty słabo oświetlone lampami Myślicieli.

Imenja wystąpiła naprzód. Gdy wkroczyła do groty, uniosła swoje magiczne światło, które rozbłysło jaśniej i ukazało ścianę skał. Myśliciele patrzyli na to z przestrachem. Tutaj także zawalił się strop, ale nie było sposobu na obejście osypiska. Gruz wypełniał całą grotę.

Reivan wpatrywała się w stos kamieni. Niektóre z głazów były ogromne. Gdyby człowiek znalazł się pod czymś takim... Wątpiła, czy zdołałby zrozumieć, co się stało. Huk i plask.

Lepsze niż pchnięcie w brzuch, a potem długa i bolesna agonia, pomyślała. Choć mam wrażenie, że nagła śmierć coś człowiekowi odbiera. Przecież to doświadczenie jedyne w życiu. Umiera się tylko raz. Chciałabym wiedzieć, co się ze mną dzieje, nawet jeśli oznaczałoby to odczuwanie bólu i strachu.

Jej uwagę zwróciły słowa Grauera.

- To nie powinno się zdarzyć - wykrzyknął, a jego głos odbił się echem w zmniejszonej grocie. - Sprawdziliśmy wszystko. Ta jaskinia była stabilna.

- Nie mów tak głośno - warknęła Imenja. Podskoczył i spuścił wzrok.

- Wybacz mi, świątobliwa.

- Znajdź nam inne wyjście.

- Tak, świątobliwa.

Wzrokiem wezwał do siebie swych faworytów spośród Myślicieli. Zebrali się w krąg wokół niego. Przez chwilę mruczeli coś między sobą, a potem rozdzielili się i przepuścili go.

- Proszę za mną, świątobliwa - rzekł pokornie.

Imenja skinęła na pozostałych Myślicieli, wskazując, że powinni ruszyć za nim. Gdy armia zawróciła, w tunelu zrobiło się ciasno. Czuć było stęchliznę, mimo wysiłku Sług, by

ściągać świeże powietrze przez tunele i szczeliny w masywie góry nad nimi. Słudzy, żołnierze i niewolnicy - wszyscy milczeli zaniepokojeni.

Pod ziemią trudno było ocenić upływ czasu. Te miesiące, które Reivan tu spędziła, pomagając Myślicielom kreślić mapy kopalni, naturalnych systemów jaskiń i górskich szlaków, dały jej umiejętność wyczuwania czasu. Minęła prawie godzina, zanim Grauer dotarł do bocznego tunelu, którego szukał. Niemal skoczył w tę nową trasę, chcąc jak najszybciej udowodnić swoją wartość.

- Tędy - powiedział, raz po raz spoglądając to na mapę, to na otaczające go ściany. - Tym tunelem. - Myśliciele pospieszyli za nim, kiedy skręcił za róg. - A potem długi marsz...

Nastąpiła chwila milczenia, a następnie głośny wrzask, który cichł szybko w oddali. Myśliciele minęli zakręt i zatrzymali się, blokując tunel. Reivan wyjrzała zza ich ramion i zobaczyła nierówny otwór w podłożu.

- Co się stało?

Myśliciele rozstąpili się, aby przepuścić Imenję.

- Ostrożnie, świątobliwa - odezwał się któryś cicho.

Jej twarz złagodniała lekko. Skinęła mu głową w podziękowaniu, a potem przeszła wolno do przodu.

Musi już wiedzieć, co się stało z Grauerem, uświadomiła sobie Reivan. Na pewno czytała jego myśli, kiedy spadał.

Imenja przykucnęła i dotknęła krawędzi otworu. Odłupała kawałek i wstała.

- Glina - oznajmiła, pokazując odłamek Myślicielom. - Uformowana ludzkimi rękami i wzmocniona słomą. Mamy tu sabotażystę zakładającego pułapki.

- Biali złamali porozumienie! - syknął jeden z Myślicieli. - Nie chcą pozwolić, abyśmy wrócili do domu!

- To pułapka! - wykrzyknął inny. - Kłamali o pułapkach na przełęczy po to, żebyśmy wybrali tę drogę! Jeśli tu nas pozabijają, nikt się nie dowie, że nas zdradzili!

- Wątpię, czy to ich dzieło - odparła Imenja, spoglądając poza skalne ściany wokół. - Glina jest sucha. Ktokolwiek to zrobił, działo się to wiele dni temu. Nie słyszę niczego, oprócz dalekich myśli pasterzy gowtów. Wybierzcie innego prowadzącego. Ruszamy dalej, ale ostrożnie.

Myśliciele zawahali się, wymieniając niepewne spojrzenia. Imenja patrzyła na nich kolejno, a na jej twarzy pojawił się gniew.

- Dlaczego nie zrobiliście kopii?

Mapy. Reivan odwróciła wzrok, próbując stłumić zniechęcenie. Przepadły razem z

Grauerem. To typowe dla niego, że nie przygotował kopii dla innych.

I co teraz zrobimy? Poczuła chwilowy lęk, który jednak szybko minął. Większość szerokich tuneli w kopalniach prowadziła do głównego wejścia. W końcu celem dawnych górników nie było stworzenie labiryntu. Te mniejsze tunele, biegnące wzdłuż żył minerałów i naturalnego systemu jaskiń, były mniej przewidywalne, ale dopóki armia trzymała się od nich z daleka, musieli w końcu znaleźć wyjście.

Jeden z grupy wystąpił naprzód.

- Powinno nam się udać wyznaczyć drogę z pamięci. W zeszłym roku wszyscy spędziliśmy tutaj sporo czasu.

Imenja kiwnęła głową.

- W takim razie skupcie się na pamiętaniu. Poślę przodem kilkoro Sług, by uważali na pułapki.

Choć wszyscy Myśliciele pokiwali z wdzięcznością głowami, w ich zachowaniu Reivan dostrzegła oznaki niechęci. Nie byli ani tak głupi, ani tak dumni, by zrezygnować z magicznej pomocy. Na pewno rozumieli też, że na tamtych spadnie część winy, gdyby zdarzyło się coś niedobrego. Mimo to dwaj Słudzy, którzy wystąpili naprzód, zostali zignorowani.

Hitte zgłosił się do prowadzenia grupy i nikt mu się nie sprzeciwił. Zbadano otwór i stwierdzono, że jest to szczelina w podłożu, stropie i ścianach, jednak na tyle wąska, że można przez nią przeskoczyć. Przyniesiono lektykę, by użyć jej jako pomostu. Ładunek rozdzielono między i tak już obciążonych niewolników. Myśliciele przeszli przez szczelinę, a za nimi ruszyła armia.

Reivan domyślała się, że nie tylko na nią źle wpływa to powolne tempo. Byli już tak blisko końca tej drogi przez góry. Po hanijskiej stronie kopalnie były mniejsze i doprowadziły ich do niedostępnej kotliny, wykorzystywanej przez pasterzy gowtów. Dłuższa droga przez wielkie, naturalne groty pozwoliła uniknąć wspinaczki na strome grzbiety. Stamtąd podróżowali przez cały dzień po wąskich górskich ścieżkach. Kiedy mijali tę część szlaku w drodze na miejsce bitwy, wędrowali w nocy, żeby nie odkryli ich latający szpiedzy nieprzyjaciela.

Teraz musieli tylko znaleźć drogę przez kopalnie po sennońskiej stronie gór i...

I co? Skończą się nasze kłopoty? Reivan westchnęła. Kto wie, co nas czeka w Sennonie. Czy cesarz wyśle armię, żeby z nami skończyła? Czy w ogóle będzie musiał? Mamy niewiele zapasów, a musimy jeszcze przekroczyć sennońską pustynię.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak daleko od domu.

Przez chwilę zatonęła we wspomnieniach z dzieciństwa. Siedziała w kuźni ojca i pomagała braciom budować różne rzeczy. Przeskoczyła krótki okres, gdy czuła się zraniona i zdradzona, po tym jak rodzice oddali ją Sługom, i przypomniała sobie radość, gdy nauczyła się czytać i pisać i przeczytała wszystkie książki z klasztornej biblioteki, zanim jeszcze skończyła dziesięć lat. Naprawiała też wszystko od wodociągów po szaty, wynalazła maszynę do skrobania skóry i przepis na konserwę z drimmy, dzięki której sanktuarium zarobiło więcej pieniędzy niż na wszystkich innych produktach klasztoru razem wziętych.

Reivan potknęła się o coś i o mało nie straciła równowagi. Uniosła głowę i ze zdziwieniem zauważyła, że grunt przed nimi był nierówny. Hitte doprowadził ich do naturalnych korytarzy. Spojrzała na nowego przywódcę Myślicieli i dostrzegła ostrożną pewność jego ruchów.

Mam nadzieję, że wie, co robi. Zachowuje się, jakby wiedział. Wiele bym dała za umiejętność czytania w myślach, jaką mają Głosy.

Przypomniała sobie Imenję i zawstydziła się trochę. Zamiast zachować czujność i być użyteczną, zatonęła we wspomnieniach. Od tej chwili będzie skupiona.

W przeciwieństwie do prostych i szerokich tuneli w górach, te były wąskie i kręte. Wiły się nie tylko w prawo i w lewo, ale także wznosiły się w górę i opadały w dół, często stromo. Było coraz bardziej wilgotno i duszno. Imenja kilka razy nakazała postoje, by Słudzy zdążyli wciągnąć w te głębiny powietrze.

A potem nagle ściany tunelu rozstąpiły się, a światło Imenji ukazało ogromną jaskinię.

Reivan nabrała tchu. Wokół wyrastały fantastyczne blade kolumny, niektóre wąskie jak palce, inne grube jak pradawne drzewa Dekkaru. Jedne łączyły się ze sobą, tworząc zasłony, inne leżały połamane, a na ich kikutach pojawiły się podobne do grzybów czuby. Wszystko lśniło od wilgoci. Spoglądając przez ramię, Reivan zobaczyła, że Imenja się uśmiecha. Drugi Głos wyminęła Myślicieli i weszła do jaskini, spoglądając na niezwykłe formacje skalne.

- Odpoczniemy tu przez chwilę - oznajmiła.

Jej uśmiech zniknął, gdy spojrzała znacząco na Myślicieli. Potem odwróciła się i wprowadziła armię w tę ogromną pustą przestrzeń.

Reivan zerknęła na Hitte'a i przyczyna znaczącego wzroku Imenji stała się oczywista. Z niepokojem marszczył czoło. Myśliciele odsunęli się od wkraczających do jaskini ludzi i zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami.

Podeszła bliżej i usłyszała dość, by potwierdzić swe podejrzenia. Hitte nie wiedział, gdzie się znaleźli. Zamierzał unikać pułapek, wkraczając do naturalnych tuneli, gdzie

wszelkie dzieła sabotażysty byłyby lepiej widoczne, ale tunele nie połączyły się z wykutymi przez ludzi, jak na to liczył. Bał się, że zgubili drogę.

Reivan westchnęła i odeszła. Gdyby usłyszała o wiele więcej, mogłaby powiedzieć coś, czego by potem żałowała. Idąc ścieżką między formacjami skał, odkryła, że jaskinia jest nawet większa, niż się z początku wydawało. Głosy żołnierzy ucichły, kiedy szła między kolumnami, wspinała się na nierówności i brnęła przez kałuże. Światło Imenji sprawiało, że wszystko było albo jasne, albo pogrążone w czarnym cieniu. W którymś miejscu teren się rozszerzał, a kałuże tworzyły zakrzywione tarasy. Reivan zauważyła otwory, które mogły być ujściami tuneli.

Kiedy badała jeden z nich, jakiś niski, cichy, pozbawiony słów dźwięk nadpłynął gdzieś z tyłu. Zamarła, a potem rozejrzała się niepewna, czy ktoś za nią nie idzie. Dźwięk stał się głośniejszy, bardziej naglący, zmienił się w gniewny skowyt. Czy to ktoś, kto zastawiał pułapki? Jakiś miejscowy, który postanowił się zemścić? Nie mógł zaatakować armii, ale nie bał się wymierzyć sprawiedliwości pojedynczej osobie? Poczuła, że oddycha ciężko ze strachu. Rozpaczliwie żałowała, że zostawiła armię za sobą, a jej magiczne talenty są tak słabe, że ledwo potrafi stworzyć jedną maleńką, żałosną iskierkę.

Gdyby jednak ktoś podążał za nią ze złymi zamiarami, to nie zdradzałby swojej obecności tym głośnym jęczeniem. Z wysiłkiem uspokoiła oddech. Jeśli to nie głos człowieka, to co takiego?

Gdy nadeszła odpowiedź, parsknęła śmiechem z własnej głupoty.

To wiatr. Wibruje w tunelach jak oddech w krtani.

Teraz, kiedy zaczęła na to zwracać uwagę, wykryła ruch powietrza. Schyliła się, zmoczyła dłonie w kałuży, a potem ruszyła w stronę źródła dźwięku, wyciągając ręce przed siebie. Powiew chłodził mokrą skórę, doprowadzając ją do dużego otworu z boku jaskini, gdzie stał się silniejszym prądem powietrza.

Uśmiechając się do siebie, ruszyła z powrotem w stronę wojska.

Ze zdziwieniem odkryła, że odeszła bardzo daleko. Zanim dotarła do grup żołnierzy, wszystkie pięć kolumn wojska było już na miejscu, tłocząc się wokół formacji skalnych. Coś jednak się nie zgadzało. Zamiast zachwytu i zdumienia, ich twarze były pełne lęku. Jak na takie duże zgromadzenie ludzi zachowywali się zbyt cicho.

Czyżby Myśliciele zdradzili, jaka jest sytuacja? A może Głosy postanowiły przekazać żołnierzom, że się zgubili? Kiedy Reivan podeszła bliżej, zauważyła, że wszystkie cztery Głosy stoją na półce skalnej. Wydawały się spokojne i pewne, jak zawsze. Imenja spojrzała w dół, prosto w oczy Reivan.

A potem jęczący dźwięk rozległ się znowu. Tutaj był słabszy i trudniej było rozpoznać w nim wiatr. Reivan usłyszała syki i ciche modlitwy od strony żołnierzy i zrozumiała, co ich tak bardzo przestraszyło. A równocześnie zauważyła, że Imenja z rozbawieniem zaciska wargi.

- To Aggen! Potwór! - zawołał ktoś.

Reivan zakryła usta, by ukryć śmiech, i spostrzegła, że inni Myśliciele też się uśmiechają. Jednak pozostała część armii wydawała się wierzyć w tę teorię. Mężczyźni i kobiety zbili się w ciasne grupki, a niektórzy płakali ze strachu.

- Pożre nas!

- Weszliśmy do jego legowiska!

Westchnęła. Wszyscy znali legendę o Aggenie, ogromnej bestii, która podobno żyła pod tymi górami i pożerała każdego, kto był tak głupi, by wkroczyć do kopalni. W starszych korytarzach zachowały się nawet rysunki przedstawiające potwora i małe ołtarzyki ofiarne, jak gdyby coś tak ogromnego mogło się zadowolić ofiarą, która zmieści się w tak małej przestrzeni.

Albo w ogóle potrafiło przetrwać. Żadne stworzenie tak ogromne jak ten Aggen nie mogłoby przeżyć, mając do dyspozycji tylko rzadkich głupich badaczy. Jeśli jednak żyło, musiało być o wiele mniejsze, niż głosiły legendy.

- Poddani bogów - w jaskini rozległ się głos Imenji, a jej słowa odbiły się echem w oddali, jakby ścigając te jęki. - Nie lękajcie się. Nie wyczuwam tu żadnych umysłów innych niż nasze. Ten dźwięk to tylko wiatr. Pędzi przez te jaskinie niczym oddech przez krtań... choć nie jest tak melodyjny - dodała z uśmiechem. - Nie ma tu żadnego potwora, jest tylko nasza wyobraźnia. Pomyślcie zatem lepiej o świeżym powietrzu, które ten wiatr nam przynosi. Odpoczywajcie i podziwiajcie otaczające was cuda.

Żołnierze ucichli. A teraz Reivan usłyszała, jak niektórzy naśladują ten hałas i drwią z tych, którzy głośno mówili o swoich lękach. Do Reivan podszedł Sługa.

- Myślicielka Reivan? Drugi Głos chce z tobą rozmawiać - rzekł.

Reivan poczuła, że zamiera jej serce. Podążyła za mężczyzną. Kiedy dotarła do Głosów, spojrzały na nią z zaciekawieniem.

- Myślicielko Reivan - odezwała się Imenja - czy odkryłaś drogę na zewnątrz?

- Możliwe. Znalazłam tunel, przez który wieje wiatr. Ten wiatr może dochodzić z zewnątrz, ale nie dowiemy się, czy tunel da się pokonać, dopóki tego nie sprawdzimy.

- A zatem sprawdź to - poleciła Imenja. - Weź ze sobą dwójkę Sług. Dostarczą ci światło i zawiadomią mnie, gdyby tunel okazał się użyteczny.

- Tak uczynię, świątobliwa - odparła Reivan. Wykreśliła na piersi symbol bogów, a potem odeszła. Para Sług, mężczyzna i kobieta, wyszła jej na spotkanie. Skinęła im uprzejmie głową, a potem poprowadziła w głąb jaskini.

Bez trudu znalazła tunel i wkroczyła do środka. Podłoże było nierówne i miejscami musieli się wspinać po stromych podejściach. Jęki narastały; czuła wibrujący dźwięk. Słudzy pachnieli potem, choć wiatr był chłodny, ale nie wspomnieli o tym, że się boją. Ich magiczne światła były trochę zbyt jaskrawe, jednak Reivan się nie skarżyła.

Kiedy dźwięk był już ogłuszający, z rozczarowaniem odkryła, że tunel przed nią się zwęża. Poczekała, aż wiatr nieco osłabnie, a potem przesunęła się bokiem przez szczelinę. Słudzy przystanęli niepewnie. Szczelina była coraz ciaśniej sza i Reivan czuła ucisk skały na plecach i piersi. Przed nią korytarz zakręcał w ciemność.

- Możecie dać trochę światła dalej? - zawołała.

- Będziesz musiała mną pokierować - nadpłynęła odpowiedź.

Mała iskierka światła przesunęła się nad głową Reivan i znieruchomiała.

- Gdzie teraz?

- Trochę na prawo - zawołała.

- Na pewno chcesz to zrobić? - zapytał Sługa. - A jeśli tam utkniesz?

- To się wysunę - odparła w nadziei, że ma rację. Nie myśl o tym... - Dalej i trochę na prawo. Dobrze, a teraz w lewo, nie tak szybko.

Kiedy światło dotarło na koniec zakrętu, zobaczyła, że tunel znów się rozszerza. Potem może być węższy, ale nie dowie się tego, dopóki tam nie dotrze. Wcisnęła się głębiej, poczuła, że ucisk maleje, minęła zakręt...

...i odetchnęła z ulgą, zobaczywszy, że tunel nadal się rozszerza. Kilka kroków dalej mogła już rozłożyć ramiona, nie dotykając żadnej ze ścian. Przed nią był zakręt w prawo. Magiczne światło Sługi nie rozświetlało już otoczenia - pozostało w wąskiej szczelinie za nią. Widziała teraz dzięki słabemu blaskowi zza zakrętu. Szybko ruszyła naprzód, niemal potykając się na nierównym gruncie. Gdy minęła łuk, odetchnęła głęboko z ulgą. Tunel kończył się na zielono - szarej łące.

Drzewa i skały. Otwarta przestrzeń.

Z uśmiechem zawróciła do zwężenia i przekazała Sługom wiadomość o tym, co znalazła.

Reivan patrzyła, jak armia wylewa się z tunelu. Każdy, kto dotarł do wyjścia, przystawał na chwilę, aby się rozejrzeć z ulgą, nim ruszył dalej wąską ścieżką na krawędź wąwozu. Minęło ją już tak wielu, że straciła rachunek.

Słudzy magicznie poszerzyli tunel. Biały Las, jak nazwała go Imenja, nie będzie już niestety nawiedzany przez jęczące wiatry, ale niewielu żołnierzy zdołałoby się przecisnąć przez wąską szczelinę, jak zrobiła to Reivan.

Potem pojawiły się kolumny niewolników. Tak samo jak pozostali byli zadowoleni, że wydostali się z tuneli. Na końcu tej podróży zostaną uwolnieni i otrzymają normalną pracę za pieniądze - służba w czasie wojny zapewniła im skrócenie wyroku. Mimo to Reivan wątpiła, czy ktokolwiek z nich będzie się przechwalał swym udziałem w nieudanej próbie pokonania cyrklian.

W tej chwili jednak mało kto wspomina klęskę, myślała. Wszyscy są szczęśliwi, że widzą światło słońca. Wkrótce zaczną się martwić, jak przejść pustynię.

- Myślicielko Reivan - odezwał się znajomy głos tuż obok. Podskoczyła i odwróciła się twarzą do Imenji.

- Wybacz mi, świątobliwa. Nie słyszałam, jak nadchodzisz. Drugi Głos uśmiechnęła się.

- W takim razie ja powinnam przeprosić, że się tak skradam. - Skierowała wzrok w stronę niewolników, ale patrzyła raczej w pustkę. - Wysłałam resztę Myślicieli przodem, aby znaleźli drogę prowadzącą na pustynię.

- Czy nie powinnam do nich dołączyć?

- Nie. Chcę z tobą porozmawiać.

Imenja przerwała, gdy z tunelu wynurzyła się trumna Kuara. Patrzyła, jak ich mija, a potem westchnęła głęboko.

- Nie wierzę, by Talent był kluczowym wymaganiem dla Sług Bogów. Ważnym, owszem, ale powinniśmy uznać fakt, że niektóre kobiety i niektórzy mężczyźni mogą nam zaoferować inne zdolności.

Reivan wstrzymała oddech. Chyba Imenja nie ma zamiaru...

- Czy zostałabyś Sługą Bogów, gdyby ci to zaproponowano? Sługą Bogów? Czymś, o czym Reivan marzyła przez całe życie?

Imenja zwróciła się ku niej, lecz Reivan nie potrafiła wydobyć głosu.

- Ja... będę zaszczycona, świątobliwa - wykrztusiła w końcu. Drugi Głos uśmiechnęła się.

- A więc tak się stanie, po naszym powrocie.

CZĘŚĆ PIERWSZA

1

Mężczyzna stojący przy oknie niemal cuchnął strachem. Zatrzymał się kilka kroków od szyby, jakby sam sobie rzucał wyzwanie, by pokonać lęk wysokości, podejść bliżej i spojrzeć z okna Wieży na ziemię daleko w dole.

Danjin robił to codziennie. Auraya nie chciała go powstrzymywać - ta walka ze strachem wymagała od niego sporo odwagi. Kłopot polegał na tym, że czytała w jego myślach, a zatem wyczuwała ten strach, a to utrudniało skupienie - w tej chwili na długim i nudnym liście od kupca, który prosił, by Biali wprowadzili prawo czyniące go jedynym człowiekiem mogącym legalnie handlować z Siyee.

Odwracając się od okna, Danjin spostrzegł, że Auraya mu się przygląda. Zmarszczył brwi.

- Nie przeoczyłeś niczego, co powiedziałam - uspokoiła go.

Uśmiechnął się z ulgą. Teraz czytała już w umysłach odruchowo. Myśli innych były tak łatwo wykrywalne, że musiała się skupić, by ich nie słyszeć. W rezultacie normalne tempo rozmowy wydawało się jej irytująco wolne. Wiedziała, co kto ma zamiar powiedzieć, zanim to powiedział. Musiała powstrzymywać się przed odpowiedzią, póki nie padły słowa. Niegrzecznie byłoby odpowiadać na pytanie, nim mówiący zdołał je zadać. Czuła się przy tym jak aktorka, która z wyprzedzeniem wypowiada swoje kwestie.

Jednak przy Danjinie nie musiała się kontrolować. Jej doradca przyjmował czytanie w myślach jako element tego, kim była. Nie obrażał się, kiedy reagowała na pomyślane tylko słowa, jakby wypowiadał je głośno. I za to była mu wdzięczna.

Podszedł do krzesła i usiadł. Spojrzał na list w jej dłoni.

- Skończyłaś? - zapytał. - Nie.

Spuściła wzrok i zmusiła się, aby kontynuować lekturę. Kiedy skończyła, zerknęła na Danjina. Patrzył w pustkę... Uśmiechnęła się, gdy zrozumiała, w jakim kierunku podążają jego myśli.

Trudno uwierzyć, że to już rok, dumał. Rok, od kiedy zostałem doradcą Białej. Zauważył, że mu się przygląda, i jego oczy błysnęły.

- Jak uczcisz jutro swoją rocznicę wśród Białych? - zapytał.

- Myślę, że pójdziemy gdzieś razem na kolację - odparła. - Spotkamy się też w Ołtarzu.

Uniósł brwi.

- Może bogowie pogratulują ci osobiście. Wzruszyła ramionami.

- Być może. A może będziemy tylko my. - Rozparła się wygodniej na krześle. - Juran pewnie zechce omówić wydarzenia ostatniego roku.

- Więc będzie miał wiele do omówienia.

- Owszem - zgodziła się. - Mam nadzieję, że nie każdy rok mojego życia jako Białej będzie tak ekscytujący. Najpierw to somreyańskie przymierze, potem pobyt w Si, w końcu wojna... Chętnie odwiedziłabym inny kraj, powróciła do Somreyu i Si, ale w wojnie wolałabym jednak nie uczestniczyć.

Skrzywił się i przytaknął.

- Chciałbym z całą pewnością móc powiedzieć, że za mojego życia jest to mało prawdopodobne.

Ale nie mogę, dokończył w myślach. Kiwnęła głową.

- Ja również nie.

Możemy tylko wierzyć, że bogowie mieli dobry powód, by nakazać nam wypuszczenie pentadriańskich czarowników, pomyślał. Kiedy najsilniejszy z nich zginął, pentadrianie są słabsi od cyrklian. Na razie. Bo gdy znajdą innego, aby go zastąpił, znów zagrożą Ithanii Północnej.

Kiedyś by się tym nie przejmowała. Czarownicy tak potężni jak przywódcy pentadrian nie rodzą się często, być może raz na sto lat. Jednak ta piątka objęła władzę w Ithanii Południowej w tym samym pokoleniu, co było czymś niezwykłym. Trudno liczyć, że minie kolejne sto lat, nim pentadrianie znajdą czarownika dość potężnego, by mógł zastąpić Kuara.

Powinniśmy zabić tę czwórkę, która przeżyła, myślała Auraya. Ale bitwa dobiegła końca. Wyglądałoby to bardziej na morderstwo. Jednak wolę, byśmy byli znani z naszego współczucia niż z okrucieństwa. Może taki był też zamiar bogów?

Spojrzała na pierścień na palcu. Poprzez niego bogowie podwyższyli jej naturalną magiczną moc i obdarzyli Darami, które posiadło niewielu czarowników. Była to prosta biała obrączka, nic niezwykłego, a jej dłoń wyglądała z nią tak samo jak rok temu. Jeszcze wiele lat upłynie, nim stanie się jasne, że od chwili, kiedy ją włożyła, nie postarzała się nawet o jeden dzień.

Inni Biali żyli o wiele dłużej. Juran był pierwszym z Wybranych, ponad sto lat temu. Widział, jak prawie każdy, kogo znał przed Wyborem, starzeje się i umiera. Nie mogła sobie wyobrazić, jakie to uczucie.

Dyara była następna, potem Rian i Mairae, w odstępach dwudziestopięcioletnich. Nawet Rian był nieśmiertelnym wystarczająco długo, by ludzie, którzy pamiętali go sprzed

Wyboru, zauważyli, że się nie starzeje.

- Słyszałem pogłoski, że w ciągu paru godzin po klęsce pentadrian cesarz Sennonu podarł przymierze, które z nimi podpisał - rzekł Danjin. - Nie wiesz, czy to prawda?

Auraya spojrzała na niego i parsknęła śmiechem.

- Widzę, że plotki krążą szybko. Jeszcze nie jesteśmy pewni. Po podpisaniu traktatu cesarz odesłał z Sennonu wszystkich naszych kapłanów i kapłanki, więc nie było tam nikogo, kto mógłby zaświadczyć, że je podarł.

- Najwyraźniej był jakiś tkacz snów - stwierdził Danjin. - Czy rozmawiałaś ostatnio z tkaczką snów, doradcą Raeli?

- Od naszego powrotu nie.

Od wojny, kiedy tylko ktoś wspomniał o tkaczach, czuła się, jakby dotykał gojącej się rany. Myśl o nich zawsze kierowała jej umysł ku Leiardowi.

Odwróciła wzrok, gdy napłynęły wspomnienia. W niektórych występował brodaty, białowłosy mężczyzna, żyjący w lesie niedaleko jej wioski - człowiek, który tak wiele nauczył ją o lekach, świecie i magii. Inne wspomnienia były świeższe - dotyczyły człowieka, którego uczyniła swoim doradcą w sprawach tkaczy snów, przezwyciężając ogólną niechęć cyrklian do przedstawicieli tego kultu. Pamięć drażniła ją także wizjami bardziej osobistych chwil z nocy, nim odleciała do Si, kiedy stali się kochankami... A potem także z połączeń snów, w których ujawniali swe tajemne pragnienia, i z sekretnych spotkań w jego namiocie, kiedy oboje osobno wędrowali na bitwę: ona by walczyć, on aby leczyć.

I wreszcie poczuła chłód, gdy napłynęło wspomnienie obozu ladacznic. Znalazła tam Leiarda, po tym jak Juran wykrył ich romans i go odesłał. Oczami duszy wciąż widziała z góry namioty skąpane w złotym blasku poranka.

Myśl, którą odczytała z jego umysłu, rozbrzmiewała bezustannie w pamięci: „Nie o to chodzi, że Auraya nie jest atrakcyjna, inteligentna i miła, ale zwyczajnie nie jest warta takich kłopotów”.

W pewnym sensie miał rację. Ich romans wywołałby skandal i wybuch przemocy, gdyby wyszedł na jaw. Egoizmem było podążanie za własną rozkoszą, kiedy tylu ludzi mogło ucierpieć w razie wykrycia tej sprawy.

Ale wiedza o tym nie zmniejszyła wstrząsu... Tamtego dnia nie zobaczyła w jego umyśle ani miłości, ani żalu. Ta miłość, którą tyle razy wyczuwała, dla której ryzykowała tak wiele... ta miłość umarła, tak łatwo zabita strachem.

Powinnam podziękować za to Juranowi. Jeśli Leiard tak łatwo dał się zastraszyć i zrezygnował z miłości, to prędzej czy później coś innego lub ktoś inny i tak zabiłby to

uczucie. Każdy, kto kocha Białą, musi być bardziej odporny. Dzięki temu wiem, żeby następnym razem unikać takich słabości u mężczyzn. Im szybciej zapomnę o Leiardzie, tym szybciej znajdę...

Co? Pokręciła głową. Za wcześnie, by myśleć o nowych kochankach. Jeśli znów pokocha, czy ponownie popchnie ją to do kolejnych nieodpowiedzialnych i hańbiących czynów?

Nie, powinna raczej zająć się pracą.

Danjin obserwował ją cierpliwie. A jego podejrzenia co do jej myśli wydawały się aż nazbyt dokładne. Wyprostowała się i spojrzała mu w oczy.

- A ty rozmawiałeś z Raeli? - spytała. Wzruszył ramionami.

- Raz czy dwa, przelotnie, ale nie na ten temat. Czy chcesz, abym ją spytał?

- Tak, ale nie przed jutrzejszym spotkaniem przy Ołtarzu. Na pewno będziemy omawiać sprawę Sennonu i inni Biali mogą już znać prawdę. - Spojrzała na list kupca. - Zasugeruję, żebyśmy posłali kapłanów i kapłanki do Si.

Danjin nie wydawał się zaskoczony.

- Jako dodatkową obronę?

- Tak. Siyee doznali straszliwych strat podczas tej wojny. Nawet ze swoimi nowymi uprzężami łowieckimi nigdy nie zdołają odeprzeć najeźdźców. Powinniśmy przynajmniej dopilnować, aby mogli szybko nawiązać kontakt, gdyby potrzebowali naszej pomocy.

Myśli o Siyee napełniały ją innym rodzajem tęsknoty i cierpienia. Miesiące, które spędziła na ich ziemi, były zbyt krótkie. Chciałaby mieć powód, aby tam wrócić. Wobec ich uczciwego i prostego sposobu życia, żądania i troski jej własnego ludu wydawały się śmieszne, albo też zbędnie samolubne.

Jednak jej miejsce było tutaj. Bogowie może i dali jej dar lotu, aby mogła przefrunąć nad górami i przekonać Siyee do sojuszu z Białymi, ale to nie znaczy, że powinna przedkładać jeden lud nad inne.

Tak, ale przecież nie mogę porzucić Siyee. Poprowadziłam ich na wojnę i śmierć. Muszę dopilnować, by jeszcze bardziej nie cierpieli z powodu przymierza, które z nami zawarli.

- Większa część ich terenu jest praktycznie niedostępna dla ziemiochodzących - zauważył Danjin. - To spowolni atakujących i da im czas na wezwanie pomocy.

Uśmiechnęła się, gdy użył określenia Siyee na zwykłych ludzi.

- Nie zapominaj o tej czarownicy, która wkroczyła do Si w zeszłym roku, i o tych dzikich ptakach, które ze sobą przywiodła. Nawet kilku pomniejszych czarowników może

narobić wiele szkód, jeśli prześlizgną się tam niezauważeni.

- Być może, ale gdyby pentadrianie znów chcieli na nas uderzyć, wątpię, czy przejmowaliby się Si.

- Z naszych sprzymierzeńców Si leży najbliżej południowego kontynentu. Nie ma tam kapłanów ani kapłanek i niewielu Obdarzonych Siyee odebrało szkolenie. To nasz najsłabszy sojusznik.

Danjin zastanowił się i pokiwał głową.

- Poza tym to przecież nie jest tak, że Jarime nie może zrezygnować z kilku kapłanów czy kapłanek. A ci śmiali młodzi ludzie, których wyślesz do Si, powinni być też dobrymi uzdrowicielami. Chcesz przecież, żeby Siyee nadal byli ci wdzięczni. Za dwadzieścia lat tylko najstarsi będą pamiętać, że to ty zmusiłaś króla Berro, by wycofał z ich ziemi toreńskich osadników. Młodsi Siyee nie zrozumieją znaczenia tego czynu albo przekonają sami siebie, że mogliby tego dokonać bez twojego udziału. Być może już teraz tak twierdzą. Pokręciła głową.

- Jeszcze nie.

- To możliwe. Ludzie potrafią się przekonać do czegokolwiek, jeśli tylko chcą na kogoś zrzucić winę.

Skrzywiła się. Zrzucić winę. Żal czy cierpienie skłoniły niektórych ludzi do obwiniania Białych, a nawet bogów za śmierć ich bliskich podczas wojny. Wyczuwała ten żal także u osób bardziej racjonalnych, co było kolejną ujemną stroną zdolności czytania myśli. Czasem miała wrażenie, że każdy mężczyzna, każda kobieta lub dziecko w mieście opłakiwali utraconego krewnego lub przyjaciela.

Byli też ci, co przeżyli. Nie ją jedną dręczyły niechciane wizje wojny. Każdy kto walczył, widział rzeczy straszne, i nie każdy potrafił o nich zapomnieć. Auraya aż zadrżała, myśląc o koszmarach, jakie ją nawiedzały. W snach szła przez nieskończone pole bitwy, a okaleczone trupy błagały ją o pomoc albo wykrzykiwały oskarżenia.

Musimy zrobić wszystko, co możliwe, aby uniknąć następnej wojny, pomyślała. Albo znaleźć lepszą metodę obrony. My, Biali, mamy wielką magiczną siłę. Z pewnością potrafimy odkryć sposób walki, który nie pociąga za sobą tak wielu ofiar.

Nawet gdy się to uda, być może i tak na nic się nie przyda, jeśli bogowie nieprzyjaciela są prawdziwi. Przypomniała sobie poranek na kilka dni przed bitwą, kiedy zobaczyła, jak pentadriańska armia wychodzi z kopalni. Ich przywódca przywołał lśniącą postać. Uznałaby to za iluzję, ale wszystkie jej zmysły krzyczały, iż postać aż promieniuje magiczną mocą.

Cyrklianie zawsze uważali, że pentadrianie wierzą w fałszywe bóstwa. Że Krąg Pięciorga to jedyni bogowie, którzy przeżyli Wojnę Bogów. Czy to możliwe, by wtedy widziała prawdziwego boga?

Po bitwie Biali pytali o to bogów. Chaia uznał, że owszem, po Wojnie mogli powstać nowi bogowie. On i inni z Kręgu badali sprawę.

Od tego czasu wiele razy dyskutowała z pozostałymi Białymi i omawiała różne możliwości. Rian nie chciał się pogodzić z szansą zaistnienia nowych bogów. Zwykle żarliwy i pewny siebie, denerwował się, a nawet gniewał na taką sugestię. Zaczynała rozumieć, że chciałby, aby bogowie byli w jego świecie siłą niezmienną. Siłą, na której mógł polegać, że będzie zawsze taka sama.

W przeciwieństwie do niego, Mairae się tym nie przejmowała. Idea, że na świecie pojawili się nowi bogowie, jakoś wcale jej nie niepokoiła. „My służymy naszym, i tylko to się liczy", powiedziała kiedyś.

Juran i Dyara nie byli przekonani, czy bóg, którego widziała Auraya, był rzeczywisty. A jednak niepokoiło ich to bardziej niż Mairae. Jak zaznaczył Juran, prawdziwi bogowie stanowiliby dla Ithanii Północnej wielkie zagrożenie. Jego zdaniem, rozpoczynając wojnę, pentadrianie powoływali się na boskie rozkazy, aby wymusić posłuszeństwo wśród swego ludu. Teraz okazało się, że ci bogowie mogą być realni i że zasugerowali - może nawet rozkazali - pentadrianom atak na ziemie cyrklian.

Wszyscy się zgodzili, że jeżeli jeden pentadriański bóg jest prawdziwy, to prawdopodobnie pozostali także. Żaden przecież nie pozwoliłby swym wyznawcom, by służyli fałszywym bożkom.

Auraya zmarszczyła brwi. Jestem pewna, że to, co widziałam, to był prawdziwy bóg, więc muszę wierzyć, że jest na świecie pięciu nowych. Ale to przecież...

- Aurayo?

Podskoczyła i spojrzała na Danjina.

- Tak?

- Czy słyszałaś cokolwiek z tego, co powiedziałem? Uśmiechnęła się przepraszająco.

- Nie, przepraszam.

- Nie musisz przepraszać. Cokolwiek tak dalece zajęło twoją uwagę, musi być bardzo ważne.

- Tak, ale to samo rozpraszało mnie już tysiąc razy wcześniej. A co mówiłeś?

Danjin uśmiechnął się i zaczął powtarzać to, co jej tłumaczył.

Emerahl siedziała nieruchomo.

Dookoła słyszała głosy nocnego lasu: szelest liści, gwizdanie ptaków, gdzieś w pobliżu trzask gałązek, dźwięk tupiących nóżek.

Skoncentrowała się, gdy odgłos zabrzmiał bliżej. Jakiś cień przesunął się w świetle gwiazd.

Co to takiego? Mam nadzieję, że jadalne... Podejdź bliżej, mały stworze...

Był po zawietrznej od niej, ale to nie miało znaczenia. Wzniosła wokół siebie magiczną barierę, która zatrzymała zapachy.

A tych nie brakuje, westchnęła żałośnie. Po miesiącu podróży bez zmiany ubrania każdy by brzydko pachniał. Rozea pękłaby ze śmiechu, widząc mnie teraz. Faworyta w jej zamtuzie, ubabrana błotem i śpiąca na ziemi, za jedynego towarzysza mająca obłąkanego tkacza snów...

Pomyślała o Mirarze siedzącym przy ogniu o kilkaset kroków za nią. Pewnie mamrotał do siebie, kłócąc się z tą drugą tożsamością w swojej głowie.

A potem stworzenie pojawiło się w polu widzenia i wszelkie myśli o Mirarze zniknęły.

Breem! ucieszyła się. Smaczny, tłuściutki breem!

Strzała ogłuszającej magii natychmiast zabiła zwierzę. Emerahl wstała, znalazła je i zaczęła przygotowywać do pieczenia. Całą jej uwagę zajęło obdarcie ze skóry, oczyszczenie i znalezienie porządnego kija. Na samą myśl o posiłku burczało jej w brzuchu.

Mirar wyglądał tak, jak sobie go wyobraziła. Wpatrywał się w ogień, poruszał wargami i w ogóle nie słyszał, że się zbliża. Starała się iść cicho, w nadziei że usłyszy choć część jego słów, zanim mężczyzna ją zauważy i umilknie.

- ...znaczenia, czy ci wybaczy, czy nie. Nie możesz jej znowu ujrzeć.

- Może mieć znaczenie dla naszego ludu.

- Być może. Ale co jej powiesz? Że nie byłeś wtedy sobą?

- To prawda.

- Nie uwierzy ci. Wiedziała, że istnieję w tobie, ale nigdy nie widziała dosyć, by zrozumieć, co to znaczy. Siedziałem cicho, kiedy byliście razem. Myślisz, że ze względu na dobre wychowanie?

Zamilkł.

Ona, co? myślała Emerahl. Kim jest ta ona? To ktoś, kogo skrzywdził, jeśli to wspomnienie o wybaczeniu ma być wskazówką. Czy ta kobieta była źródłem wszystkich jego problemów, czy tylko niektórych? Uśmiechnęła się. Typowe dla Mirara...

Czekała, ale nie odezwał się więcej. Znów zaburczało jej w brzuchu. Podniósł głowę,

więc ruszyła naprzód, jakby dopiero co nadeszła.

- Udane polowanie - powiedziała, pokazując breema.

- To nieuczciwe wobec zwierząt - stwierdził. - Nie mają szans z wielką czarownicą.

Wzruszyła ramionami.

- Nie bardziej nieuczciwe, niż gdybym miała łuk i potrafiła dobrze strzelać. A co ty robiłeś?

- Myślałem, jak miło by było, gdyby bogowie nie istnieli. - Westchnął tęsknie. - Jaki jest sens być potężnym nieśmiertelnym czarownikiem, kiedy niczego użytecznego nie można zrobić ze strachu, że zwróci się ich uwagę?

Zaczęła ustawiać zwierzę nad ogniem.

- A co użytecznego chciałbyś zrobić, co mogłoby ściągnąć ich uwagę?

Wzruszył ramionami.

- Po prostu to, co by było użyteczne w danej chwili.

- Dla kogo użyteczne?

- Dla innych ludzi - odparł z niejakim oburzeniem. - Jak... na przykład oczyszczenie drogi po osunięciu ziemi. Albo uzdrawianie.

- Nic dla siebie? Prychnął.

- Od czasu do czasu. Może potrzebowałbym ochrony. Emerahl uśmiechnęła się.

- Może. - Zadowolona, że breem zawisł w odpowiednim miejscu, przykucnęła. - Zawsze będą jacyś bogowie, Mirarze. Tyle że ostatnio trochę im podpadliśmy.

Mężczyzna zaśmiał się z goryczą.

- Ja im podpadłem. Ja ich prowokowałem. Próbowałem powstrzymać przed oszukiwaniem ludzi, rozpowszechniając prawdę na ich temat. Ale ty i pozostali... - Pokręcił głową. - Nic nie zrobiliście. Nic oprócz tego, że byliście potężni. Za to nazwali nas „Dzikimi" i posłali swe sługi, aby nas pozabijali.

Wzruszyła ramionami.

- Bogowie zawsze mieli nas na oku. Ale ty nadal możesz leczyć innych, nie zwracając ich uwagi.

Nie słuchał jej.

- To jak być zamkniętym w skrzyni. Chcę wyjść i się przeciągnąć.

- Jeśli to zrobisz, to proszę, z daleka ode mnie. Wciąż podoba mi się życie. - Uniosła głowę. - Jesteś pewien, że Siyee nie zobaczą naszego ogniska?

- Na pewno - uspokoił ją. - Niebezpiecznie jest latać nocą nad górami. Wzrok mają dobry, ale nie aż tak.

Poprawiła breema na rożnie, usiadła i wpatrzyła się w Mirara. Opierał się o pień drzewa, żółte światło ognia podkreślało rysunek jego szczęki i czoła, a niebieskim oczom nadawało odcień bladej zieleni.

Gdy odwrócił głowę i spojrzał jej w oczy, poczuła dreszcz bólu i radości. Nie sądziła, że znowu go zobaczy, a oto był przed nią żywy i...

...nie całkiem normalny. Opuściła wzrok, wspominając, jak próbowała go wypytywać. Nie mógł jej wytłumaczyć, w jaki sposób zachował życie. Nie miał żadnych wspomnień starcia, które powinno go zabić, choć słyszał o nim. A to dodawało wiarygodności twierdzeniom tej drugiej tożsamości, Leiarda. Leiard uważał, że nosi w umyśle przybliżenie osobowości Mirara, uformowane z wielkiej ilości wspomnień łącza martwego przywódcy tkaczy snów, które uzyskał w trakcie łączenia umysłów z innymi tkaczami.

Ale to jest ciało Mirara, pomyślała. Och, jest o wiele chudszy i z tymi białymi włosami wydaje się znacznie starszy, ale oczy pozostały te same...

Mirar wierzył, że to ciało należy do niego, ale nie potrafił wyjaśnić, jak to możliwe. Z drugiej strony Leiard uważał swoje podobieństwo do Mirara za zwykły zbieg okoliczności. Kiedy Leiard panował nad ciałem, poruszał się w zupełnie inny sposób niż Mirar i Emerahl zastanawiała się, jak w ogóle zdołała go rozpoznać. Tylko wtedy, gdy Mirar przejmował kontrolę, była pewna, że ciało jest jego.

Pytała Leiarda o wspomnienia łącza. Jeśli to jest prawdą, to jak do tego doszło? W jaki sposób zebrał tak wiele wspomnień Mirara? Czy jest możliwe, że Leiard albo ktoś, z kim się łączył, zebrał wspomnienia Mirara od wielu, bardzo wielu tkaczy snów?

Leiard nie przypominał sobie, od kogo te wspomnienia pochodzą. Prawdę mówiąc, jego pamięć wydawała się równie niepewna jak Mirara. Całkiem jakby obaj dysponowali połówką wspólnej przeszłości, ale żadna nie wypełniała luk w tej pozostałej.

Pytała ich obu o ten sen o wieży, który ją nawiedzał przez długie miesiące i który jej zdaniem dotyczył śmierci Mirara. Żaden go nie rozpoznał, choć wydawało się, że u Mirara wzbudził niepokój.

To irytujące. Nie była pewna, czego chciał od niej Mirar. Kiedy go znalazła na polu bitwy, uzdrawiał rannych, tak jak pozostali tkacze snów, ale najwyraźniej to mu nie wystarczało - inaczej nie prosiłby, aby zabrała go ze sobą. Nie powiedział jednak, dokąd powinna go zabrać. Pozostawił jej wybór.

Wiedząc, jak sprawnie mu szło wpadanie w kłopoty z bogami, ruszyła z nim do najbezpieczniejszego, najbardziej oddalonego miejsca, o jakim wiedziała. Wkrótce potem odkryła Leiarda. Wydawało się, że akceptuje jej towarzystwo tylko dlatego, że nie ma

żadnego wyboru. Wyczuwała emocje obu mężczyzn. Odkrycie, że umysł Mirara jest otwarty i czytelny, było dla niej szokiem. Dopiero później przypomniała sobie, że Mirar nigdy nie był w stanie tak dobrze jak ona ukryć swoich myśli. Była to umiejętność, która wymagała czasu i pomocy kogoś potrafiącego czytać w myślach. I jak wszystkie Dary, trzeba było ją ćwiczyć, inaczej umysł zapominał.

A to znaczyło, że bogowie odczytają jego myśli, jeśli przypadkiem go dostrzegą, a poprzez niego wykryją i ją. Mirar wiedział przecież, kim jest.

Oczywiście mogą nie mieć żadnych powodów, aby w ogóle zwracać uwagę na tego wpół oszalałego tkacza snów. Jedyne, czego była pewna, to że bogowie nie mogą być w kilku miejscach równocześnie. Odległości mogli pokonywać w jednej chwili, lecz ich uwaga dotyczyła pojedynczych miejsc. A mieli ostatnio tak wiele spraw, które ich zajmowały, że szansa zauważenia Mirara pozostawała nikła.

Jeśli jednak spojrzą, kogo zobaczą? Leiarda czy Mirara? Mirar powiedział jej o bogach coś, czego wcześniej nie wiedziała: nie widzieli fizycznego świata inaczej, niż poprzez oczy śmiertelnych. Po stu latach nie pozostali już przy życiu śmiertelnicy, którzy spotkali wcześniej Mirara, a więc nikt nie mógł go rozpoznać. Nawet tkacze snów, mający wspomnienia z łączy umysłów z poprzednikami, mogliby go teraz nie poznać. Pamięć fizycznego wyglądu była rzeczą indywidualną.

Był więc rozpoznawalny jedynie dla nieśmiertelnych: dla niej, innych Dzikich i dla Jurana z Białych. Jednakże Mirar, którego pamiętali, wyglądał bardziej zdrowo niż ten. Miał starannie przystrzyżone blond włosy, a także gładką skórę i więcej mięśni na kościach. Kiedy wspomniała o tym, jak bardzo się zmienił, roześmiał się tylko i opisał, jak wyglądał dwa lata temu: miał długie włosy i brodę i był jeszcze chudszy niż teraz.

Mówił też, że bardziej się niepokoi, by nie rozpoznano w nim Leiarda, choć nie tłumaczył dlaczego. Wydawało się, że tkacz snów tak samo sprawnie pakuje się w kłopoty, jak wcześniej Mirar.

Podróż przez góry Si była trudna i powolna, ale nie niemożliwa dla kogoś tak Obdarzonego jak oni. Jeśli ktoś ich ścigał, to na pewno został daleko z tyłu.

Mirar ziewnął i zamknął oczy.

- Ile jeszcze?

- Długo by o tym mówić - odparła.

Nie chciała mu zdradzić, dokąd idą. Gdyby wiedział, bogowie mogliby odczytać to z jego umysłu i wysłać kogoś na spotkanie.

Wykrzywił wargi w uśmiechu.

- Pytałem, kiedy ten breem będzie gotowy. Zaśmiała się.

- Akurat. Co wieczór pytasz, ile drogi nam jeszcze zostało.

- Faktycznie, pytam. - Uśmiechnął się. - Ile jeszcze?

- Godzinę - powiedziała, wskazując głową na breema.

- Czemu nie upieczesz go magicznie?

- Smakują lepiej, gdy piecze się je wolno, i jestem zbyt zmęczona, żeby się skoncentrować. - Spojrzała na niego bacznie. Wydawał się znużony. - Prześpij się. Obudzę cię, gdy będzie gotowy.

Prawie niedostrzegalnie kiwnął głową. Wstała i ruszyła na poszukiwanie opału. Jutro dotrą do celu. Jutro wreszcie będą ukryci przed wzrokiem bogów.

A potem?

Westchnęła.

A potem przekonamy się, czy zdołam jakoś uporządkować to, co się dzieje w tym jego poplątanym umyśle.

2

- Te są piękne - powiedziała Teiti, przesuwając się do następnego straganu.

Imi spojrzała na lampy. Każda z nich była ogromną muszlą, w której wyrzeźbiono maleńkie otworki, tak że płomień wewnątrz zapalał tysiące niewielkich świetlnych punktów. Były bardzo ładne, ale niedostatecznie cenne dla ojca. Dla niego potrzebne jest coś wyjątkowego.

Zmarszczyła nosek i odwróciła się. Ciotka Teiti nie mówiła już nic więcej o lampach. Wystarczająco długo była opiekunką Imi, aby wiedzieć, iż próba przekonania księżniczki, że coś jest piękne, poskutkuje tylko upewnieniem jej, że piękne nie jest.

Przeszły do kolejnego stoiska, na którym znajdowały się naczynia po brzegi wypełnione różnokolorowymi proszkami: koralem, wodorostami, kawałkami kamieni szlachetnych, suszonymi czy zakonserwowanymi morskimi stworzeniami i roślinami znad i spod wody.

- Patrz - zawołała Teiti - amma! Bardzo rzadkie. Wytwórcy perfum robią z nich wspaniałe zapachy.

Sprzedawca, gruby mężczyzna z lśniącą oleiście skórą, skłonił się przed nimi.

- Witaj, mała księżniczko. Czyżby amma zwróciła twoją uwagę? To suszone łzy wielkoryby. Bardzo rzadkie. Chciałabyś powąchać?

- Nie - odparła Imi, kręcąc głową. - Ojciec pokazał mi kiedyś ammę.

Skłonił się, gdy Imi odeszła. Teiti była chyba rozczarowana, ale milczała. Minęły jeszcze kilka straganów, a księżniczka westchnęła ciężko.

- Sama nie wiem, czy zdołam coś znaleźć - poskarżyła się. - Najrzadsze, najcenniejsze towary trafiają prosto do mojego ojca, a on i tak zatrudnia już najlepszych wytwórców w mieście.

- Cokolwiek mu dasz, będzie cenne - odparła Teiti. - Choćby to była garść piasku, przyjmie ją jak skarb.

Imi niecierpliwie zmarszczyła brwi.

- Wiem, ale to jego czterdziesty pierwszodzień. Wyjątkowa okazja. Muszę mu znaleźć coś lepszego niż wszystko, co dostał wcześniej. Chciałabym...

To zdanie pozostawiła niedokończone. Chciałabym, aby pozwolił na handel z ziemiochodzącymi. Wtedy mogłabym mu znaleźć coś, czego jeszcze nie widział.

Ale to było coś, o czym przecież nie powinna nic wiedzieć. W dniu kiedy

ziemiochodząca czarownica wkroczyła do miasta, Imi siedziała zamknięta w swoim pokoju. Wysłała Teiti, żeby sprawdziła, co się dzieje, ale także po to, aby sama mogła zrobić coś w sekrecie.

Za starym rzeźbionym panelem w jej pokoju znajdował się wąski tunel, akurat tak duży, aby mogła się do niego wślizgnąć. Początkowo był zablokowany, ale oczyściła go już dawno temu. Na końcu znajdował się pokój o ścianach, po których biegły rury. Jeśli przyłożyła ucho do którejś z nich, słyszała, co się działo na drugim końcu. Ojciec kiedyś jej o tym opowiedział i wyjaśnił, że stąd zna tajemnice swych poddanych.

W tym dniu, kiedy ziemiochodząca weszła do miasta, Imi przecisnęła się przez tunel w nadziei, że dowie się, co zaniepokoiło straże. Usłyszała, jak ta kobieta proponuje ojcu przyjaźń między ziemiochodzącymi i Elai. W ramach tego sojuszu jej lud mógłby się pozbyć piratów, którzy od tak dawna mordowali i okradali Elai, zmuszając ich do życia w podwodnym mieście. W zamian Elai mieliby w razie potrzeby pomóc ludowi ziemiochodzącej. Mogliby także wymieniać różne rzeczy. Jej lud mógłby kupować od Elai, a Elai od jej ludu. Wydawało się to całkiem dobrym pomysłem, ale ojciec odmówił. Uważał, że wszyscy ziemiochodzący to niegodni zaufania kłamcy, złodzieje i mordercy.

Wszyscy nie mogą być tacy, myślała Imi. Prawda?

Gdyby tak, to ląd musiałby być straszliwym miejscem, gdzie każdy próbowałby okraść każdego, a ludzie cały czas byliby mordowani. Może i tak, bo przecież mieli mnóstwo cennych rzeczy, o które mogli walczyć.

Imi pokręciła głową.

- Wracajmy. Ciotka przytaknęła.

- Może następnym razem znajdziemy coś niezwykłego.

- Może - odparła z powątpiewaniem Imi.

- Wciąż masz jeszcze miesiąc, żeby znaleźć prezent.

Targ znajdował się niedaleko Wrót, wielkiego jeziora, które było przejściem do podwodnego miasta. Kiedy zobaczyły ogromną mroczną jaskinię wypełnioną wodą, Imi poczuła tęsknotę. Tylko kilka razy w życiu wyprawiła się poza miasto, zawsze w towarzystwie licznej straży. Na tym polega problem bycia księżniczką. Nigdzie nie można się ruszyć bez eskorty.

Już dawno temu nauczyła się nie pamiętać o uzbrojonych strażnikach, którzy podążali za nią i Teiti. Potrafili być niezauważalni i nie wchodzili jej w drogę. Niezauważalni... Imi uśmiechnęła się. To było nowe słowo, którego niedawno się nauczyła. Powtórzyła je cichutko.

Zeszli z rynku w stronę Głównej Rzeki. Nie była to naprawdę rzeka, gdyż nie było w niej wody, ale wszystkie szlaki w mieście nazywane były rzekami, strumieniami, potokami czy strużkami. Duże publiczne jaskinie nazywano sadzawkami; czasem kałużami, jeśli ktoś chciał zakpić z danej okolicy.

Główna Rzeka była najszerszym szlakiem w mieście. Prowadziła prosto do pałacu. Imi nigdy nie widziała, żeby było tu pusto, nawet w środku nocy. Zawsze ktoś tędy przechodził, choćby tylko kurier spieszący do lub z pałacu. Albo nocna straż strzegąca pałacowej bramy.

Ale dzisiaj Rzeka była zatłoczona. Dwóch idących dotąd z tyłu strażników wyprzedziło ją, aby przypilnować, by ludzie schodzili z drogi. Gwar powstający z tak licznych głosów, człapiących stóp, muzyki i śpiewów ulicznych aktorów był ogłuszający.

Pochwyciła strzęp melodii i zatrzymała się. Była to nowa piosenka zatytułowana *Biała Dama.* Imi była pewna, że opowiada o ziemiochodzącej. Ojciec zabronił grania tej melodii w pałacu. Teiti chwyciła księżniczkę za ramię i pociągnęła za sobą.

- Nie utrudniaj pracy strażnikom - rzuciła cicho. Imi nie spierała się.

I tak nie mogę za bardzo zainteresować się tą piosenką, uznała, bo się domyślą, że wiem o ziemiochodzącej.

Dotarły do końca Głównej Rzeki. Teiti odetchnęła z ulgą, kiedy porzuciły tłum i przeszły przez bramę do spokojnej pałacowej sadzawki. Strażnik wystąpił naprzód i skłonił się przed Imi.

- Król życzy sobie widzieć ciebie, księżniczko - oświadczył oficjalnie. - Czeka w głównej sali.

- Dziękuję - odparła, z trudem opanowując podniecenie.

Ojciec chciał się z nią spotkać w środku dnia! Nigdy przedtem nie miał czasu na rozmowy o tej porze. To musi być coś ważnego.

Teiti uśmiechnęła się z aprobatą, widząc opanowanie podopiecznej . Przeszły głównym strumieniem pałacu krokiem pełnym godności, ale irytująco powolnym. Strażnicy uprzejmie kiwali głowami, gdy ich mijały. Strumień był pełen mężczyzn i kobiet, czekających na audiencję u króla. Kłaniali się, gdy Teiti i Imi zmierzały prosto do otwartych drzwi sali tronowej.

Kiedy Imi wkroczyła do wielkiej komnaty, zobaczyła ojca opartego o poręcz tronu. Rozmawiał z jednym z czterech siedzących przed nim ludzi. Rozpoznała doradcę ojca, pałacowego szambelana i głównego krawca. Na jej widok ojciec uśmiechnął się szeroko i rozłożył ramiona.

- Imi! Chodź, uściskaj ojca.

Uśmiechnęła się i zapominając o wszelkich formalnościach, pobiegła przez komnatę. Kiedy wskoczyła mu w ramiona, poczuła mocny uścisk i wibracje śmiechu z głębi piersi.

Wypuścił ją i posadził sobie na kolanach.

- Musisz mi odpowiedzieć na ważne pytanie - rzekł. Kiwnęła głową z bardzo poważną miną.

- Tak, ojcze.

- Jakie rozrywki chciałabyś ujrzeć na naszym przyjęciu? Uśmiechnęła się.

- Tańce! Żonglerów i akrobatów!

- Oczywiście - zgodził się. - Co jeszcze? Czy masz pomysł na coś wyjątkowego?

Zastanowiła się głęboko.

- Latający ludzie!

Uniósł brwi i spojrzał na doradcę.

- Myślisz, że kilkoro Siyee zgodziłoby się tu przybyć? Imi z podnieceniem podskakiwała mu na kolanach.

- Przylecą? Przylecą? Doradca uśmiechnął się.

- Poproszę, ale niczego nie obiecuję. Może nie lubią przebywać pod ziemią, gdzie nie widać nieba, albo nie potrafią latać w małej przestrzeni. Tutaj nie ma dość miejsca.

- Oddamy im naszą największą, najwyższą jaskinię - zaproponowała Imi. - I pomalujemy strop na niebiesko jak niebo.

W oczach ojca błysnęło zainteresowanie.

- To byłby widok...

Uśmiechnął się do niej, a ona szukała nowych pomysłów, które mogłyby go ucieszyć.

- Połykacze ognia! - wykrzyknęła.

Skrzywił się, wspominając prawdopodobnie wypadek, który zdarzył się kilka lat temu, kiedy zdenerwowany połykacz oblał się płonącym olejem.

- Dobrze - rzekł. - To już wszystko? Pomyślała jeszcze chwilę.

- Szukanie skarbu, dla dzieci.

- Chyba już jesteś na to za duża.

- Jeszcze nie... Nie, jeśli urządzimy to na zewnątrz. Jego twarz wyrażała dezaprobatę.

- Nie, Imi. To zbyt niebezpieczne.

- Ale możemy zabrać straże i urządzić to gdzieś... - Nie.

Nadąsała się i odwróciła głowę. Z pewnością na zewnątrz nie było aż tak niebezpiecznie. Z informacji, które podsłuchała w pokoiku z rurami, wynikało, że piraci nie

krążyli wokół wysp przez cały czas. Ludzie codziennie wypływali na zewnątrz, aby zdobywać pożywienie czy towary do handlu. Kiedy jednak ktoś ginął, to zwykle na zewnętrznych wyspach albo w ogóle z dala od ich wysp.

- Coś jeszcze?

Słyszała udawaną wesołość w jego głosie. Poznawała, kiedy uśmiech ma wymuszony, gdyż zmarszczki wokół oczu się wtedy nie pogłębiały.

- Nie - odparła. - Tylko mnóstwo prezentów. Tym razem zmarszczki się pojawiły.

- Oczywiście - zapewnił. - A teraz, wobec wszystkich tych sugestii, o które musimy zadbać, mam mnóstwo pracy. Wracaj do Teiti.

Pochyliła się i pocałowała go w policzek, potem zsunęła się z kolan i wróciła do ciotki. Ta uśmiechnęła się, wzięła ją za rękę i wyprowadziła z sali. W strumieniu na zewnątrz stała duża grupa kupców. Gdy przechodziła obok, słyszała, jak pomrukują do siebie.

- ...czekamy od trzech dni.

- To należy do mojej rodziny od trzech pokoleń. Nie mogą...

- ...nigdy nie widziałem tak wielkich morskich dzwonków. Ogromne jak pięści!

Morskie dzwonki? Imi zwolniła i udała, że otrzepuje ubranie.

- Ale odkryli je ziemiochodzący Teraz ich dobrze pilnują.

- Może spróbujemy jakoś odwrócić ich uwagę? A wtedy...

Rozmowa stała się zbyt cicha, kiedy Imi ruszyła dalej. Morskie dzwonki wielkie jak pięści? Jej ojciec uwielbiał morskie dzwonki. Czy może poprosić tych kupców, aby zdobyli dla niej jeden? Zmarszczyła czoło. Brzmiało to tak, jakby planowali dużą wyprawę, aby zebrać wiele takich dzwonków. Kiedy im się to uda, wszędzie będą sprzedawać dzwonki wielkości pięści. Staną się czymś pospolitym i nudnym.

Chyba że namówię kogoś, aby zakradł się tam i zdobył dla mnie jeden, zanim dostaną się tam kupcy. Uśmiechnęła się. Tak! Muszę się tylko dowiedzieć, gdzie one są.

A to będzie łatwe. Dziś wieczorem znowu wyprawi się do pokoju z rurami.

: *Idziesz, Aurayo?* zapytał Juran.

Auraya podskoczyła, słysząc głos w umyśle. Upuściła zwój, który czytała - fascynującą opowieść żeglarza, uratowanego przed utonięciem przez kogoś z morskiego ludu. Poderwała się z krzesła. Nagły ruch zaalarmował veeza. Zwierzak pisnął, wbiegł po oparciu krzesła, na którym spał, i wspiął się na ścianę.

- Przepraszam cię, Figiel - powiedziała, podchodząc do ściany i wyciągając do niego rękę. - Nie chciałam cię wystraszyć.

Patrzył na nią oskarżycielsko, rozczapierzonymi łapkami trzymając się ściany.

- Ałaja straszy. Ałaja niedobra.

- Przepraszam. Chodź, to cię podrapię.

Pozostał tuż poza zasięgiem. Wąsiki drżały mu lekko, jak wtedy, kiedy starał się być godzien swego imienia.

: *Ałaja goni Figl,* odezwał się cienki głosik w jej umyśle.

- Nie, Figiel. Ja...

: *Aurayo?* zawołał Juran.

: *Tak. Już idę. Gdzie jesteś?*

: *U stóp Wieży.*

: *Zaraz tam będę.*

Westchnęła i zostawiła Figla na ścianie. Umieściła puchar na brzegu zwoju, żeby wiatr go nie zdmuchnął, podeszła do okna i otworzyła je.

Gdy się skupiła, napłynęła świadomość świata. Jakoś wiedziała, gdzie się znajduje w relacji do gruntu w dole, do ziemi i nieba wokół. Ściągając do siebie magię, pomyślała o niewielkiej zmianie pozycji. Trochę wyżej, a potem na zewnątrz... Po chwili unosiła się już za oknem, pod stopami mając tylko powietrze. Znów zmieniła pozycję, odwróciła się i zamknęła okno.

Poniżej leżały tereny Świątyni. Unosząc się w powietrzu, miała wrażenie, jakby jedna jej stopa spoczywała na okrągłym dachu Kopuły, a druga na sześciokątnym budynku zwanym Pięć Domów, gdzie mieszkali kapłani. Poza Białą Wieżą za jej plecami cały teren Świątyni składał się ze starannie uprawianych ogrodów, ukształtowanych w formę kręgów - gdyż właśnie koło było symbolem bogów. Przed sobą, po prawej stronie widziała wstążkę odbitego nieba - to jedna z wielu rzek w Jarime zmierzała w kierunku morza.

Zaczęła opadać. Kiedy poruszała się w ten sposób, zupełnie nie przypominało to latania. Nazywała to łataniem tylko dlatego, że nie przychodziło jej do głowy żadne prostsze określenie tego, co robi. „Poruszanie się w relacji do świata" było trochę przydługie.

Oprócz świadomości świata pojawiła się też nowa świadomość magii w tym świecie. Podczas ostatniej bitwy, kiedy ściągnęła do siebie więcej magii niż kiedykolwiek wcześniej, uświadomiła ją sobie tak, jak jeszcze nigdy.

Cyrklianie i tkacze snów zgadzali się, że świat jest przesycony magią. Wszelkie żywe istoty mogły ściągać ją do siebie i przelewać do fizycznego świata. Sposoby jej wykorzystywania nazywano Darami i trzeba się ich było uczyć, tak jak dowolnej umiejętności fizycznej. Większość żywych istot, w tym ludzie, mogli korzystać z niewielkiej ilości magii, a zatem ich Dary były ograniczone, jednak niektórzy byli silniejsi i bardziej utalentowani. Jeśli

byli ludźmi, nazywano ich czarownikami.

Sama byłam niezwykle potężną czarownicą, zanim bogowie powiększyli moją moc i uczynili Białą, przypomniała sobie, spoglądając na pierścień. Ciekawe jakie życie prowadziłabym, gdybym żyła w czasach przed cyrkliańskimi kapłanami.

Lubiła myśleć, że używałaby swych Darów, aby pomagać ludziom, że nie stałaby się istotą silną i okrutną, jak wielu potężnych czarowników w przeszłości. Osoby takie jak Dzicy, zdolni uzyskać nieśmiertelność, miały skłonność, by źle wykorzystywać swoją moc i swoje stanowiska.

Być może ludzie nie byli stworzeni, by posiadać taką moc. Być może fizyczne istnienie czyni ich podatnymi. Prawdziwi bogowie nie znali zepsucia. Nie posiadali fizycznej postaci, istnieli tylko w wypełniającej wszystko czystej magii, która ich stworzyła.

Auraya zatrzymała się gwałtownie.

Potrafię wyczuwać magię. Czy to znaczy, że ich także potrafię wyczuć?

Ta możliwość była jednocześnie niepokojąca i ekscytująca. Spojrzała w dół. Ziemia była już blisko. Ruszyła w jej kierunku, aż zrównała się ze szczytem wejścia do Wieży, potem zwolniła i łagodnie wylądowała.

Spoglądając pod łukami, ujrzała w holu innych Białych. Mairae zauważyła ją i się uśmiechnęła. Pozostali natychmiast podążyli za jej wzrokiem. Twarz Jurana złagodniała na widok Aurai. Ruszył w jej stronę, a pozostali pospieszyli za nim.

- Zrobiłaś sobie poranną wycieczkę dookoła Wieży? - zapytał, wskazując jej miejsce obok siebie i kierując się do Kopuły.

- Nie - odparła. - Muszę przyznać, że zupełnie zapomniałam o czasie.

- Zapomniałaś? - zawołała Mairae. - O swojej rocznicy?

- Nie o tym - odparła z chichotem Auraya. - Tylko o czasie. Danjin przyniósł mi do czytania fascynujący zwój o Elai. - Spojrzała na Jurana. - Czy wyślesz mnie do nich znowu, abym drugi raz zaproponowała im przymierze?

Juran uśmiechnął się.

- Omówimy to przy Ołtarzu.

Kapłani i kapłanki stojący albo spacerujący wokół Wieży i Kopuły zatrzymywali się, by na nich popatrzeć. Auraya z czasem przyzwyczaiła się do tych spojrzeń pełnych ciekawości i podziwu. Nauczyła się je przyjmować jako pewien element swojej roli i nie budziły już w niej zakłopotania.

Czy czyni mnie to istotą próżną i rozpieszczoną? zastanawiała się. Zadanie nie jest łatwe. Pracuję ciężko i nie dla własnej korzyści. Służę bogom, jak oni, lecz przypadkiem

jestem bardziej Obdarzona i lepsza w tym, co robię. Ale nadal mogę popełniać błędy.

W jej pamięci błysnęła twarz Leiarda, a po niej jak zwykle uczucie bólu. Postarała się wypchnąć z umysłu jedno i drugie.

Przeszli pod jednym z szerokich łuków Kopuły, porzucając delikatne poranne słońce. Kiedy oczy przyzwyczaiły się do mroku, ciemność wewnątrz nabrała kształtu. Pośrodku ogromnej sali na podwyższeniu stał Ołtarz.

Pięć trójkątnych ścian konstrukcji opadało do podłogi jak rozwijający się kwiat. Juran stanął na jednej z nich i przeszedł do środka, gdzie umieszczono stół i pięć krzeseł. Inni poszli jego śladem. Kiedy zajęli miejsca, ściany z wolna uniosły się w górę i zetknęły nad ich głowami, zamykając ich w czymś, co stało się teraz pięciościennym pokojem.

Auraya spojrzała kolejno na innych Białych. Juran nabierał tchu, gotów wymówić słowa rytuału. Dyara siedziała spokojnie. Rian marszczył czoło - od czasów wojny nie wyglądał na zadowolonego. Mairae skrzyżowała ręce, a palce jednej dłoni bębniły bezgłośnie o ramię drugiej.

- Chaio, Huan, Lore, Yranno, Saru - zaczął Juran. - Po raz kolejny dziękujemy wam za pokój, który przynieśliście Ithanii, i za dary, które pozwoliły nam go utrzymać. Dziękujemy za waszą mądrość i przewodnictwo.

- Dziękujemy wam - wymruczała Auraya wraz z innymi. Skupiła się na magii wokół nich. Jeśli bogowie byli blisko, ona ich nie wyczuwała.

- Dziś mija rok od wyboru Aurai, kolejny rok naszej służby dla was. Omówimy wydarzenia tego okresu i zastanowimy się, co czynić dalej. Jeśli nasze plany będą się różnić od waszych, proszę, przekażcie nam swoje życzenia.

- Prowadźcie nas - wymruczeli pozostali. Juran rozejrzał się wokół stołu.

- Wiele małych przymierzy pokojowych i jedna duża wojna - powiedział. - To jedno z możliwych podsumowań tego roku.

Auraya nie mogła powstrzymać krzywego uśmiechu.

- Najpierw zajmiemy się sprawami bliżej domu. - Zwrócił się do Dyary. - Jak wygląda sytuacja w Genrii i Torenie?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Właściwie bardzo dobrze. Król Berro zachowuje się ostatnio zaskakująco rozważnie. Król Guire jest wrażliwy jak zwykle. Obaj nawzajem łaskawie doceniają swój udział w wojnie i wyrażają podziw dla talentu wojowników. - Przewróciła oczami. - Czekam, aż im minie to całe samcze napuszenie i przejdą do sprzeczek.

Juran parsknął śmiechem i zwrócił się do Aurai.

- Jak się miewają Siyee? Skrzywiła się tylko.

- Nie miałam od nich wieści od czasu, gdy odlecieli z pola bitwy. - Przerwała. - O wiele łatwiej byłoby się z nimi porozumiewać, gdyby byli tam kapłani. Obiecałam im, że wyślę do nich kilkoro jako nauczycieli i uzdrowicieli.

Juran zmarszczył czoło.

- To trudna podróż.

- Tak - zgodziła się Auraya. - Ale jestem pewna, że znajdziemy kilkoro młodych kapłanów, którzy podejmą ten wysiłek w zamian za szansę osiedlenia się w miejscu, które widziało niewielu ziemiochodzących. Możemy wynająć tego przewodnika, który przekazał naszą pierwszą propozycję przymierza.

- Dobrze. Zorganizuj to, Aurayo. I zapytaj, czy jacyś Siyee byliby zainteresowani dołączeniem tutaj do kapłanów. - Zwrócił się do Riana. - Co u Dunwayczyków?

- Teraz są szczęśliwi - odparł. - Dla ludu wojowników nie ma nic przyjemniejszego od szansy udziału w tak wielkiej wojnie. Są niemal rozczarowani, że się zakończyła.

Juran uśmiechnął się krzywo.

- Co z pułapkami na przełęczy?

- Wciąż je usuwają.

- Jak długo im to zajmie?

- Jeszcze kilka tygodni.

Mairae uśmiechnęła się, gdy Juran zwrócił się do niej.

- Żadnych skarg od Somreyan. Odeszli tydzień temu i dziś lub jutro powinni dotrzeć do Arbeem.

Juran kiwnął głową.

- To zostali nam Sennończycy.

Ku zdziwieniu Aurai, spojrzał na Dyarę, która zdała już relację z dwóch krajów, Torenu i Genrii. Z pewnością nie wzięłaby na siebie trzeciego, zwłaszcza że stanął on po stronie pentadrian, a praca z nim okaże się trudna i czasochłonna.

- Cesarz osobiście wysłał wiadomość, proponując „nową erę przyjaźni" - odparła Dyara, a jej pełen dezaprobaty wyraz twarzy zdradzał, co o tym sądzi. - Plotki głoszą, że podarł sojusz, który podpisał z pentadrianami.

- To dobrze - stwierdził zadowolony Juran. - Zachęcaj go, ale nie bądź zbyt gorliwa. - Spojrzał na Riana i Mairae. - Dopóki Somrey i Dunway nie sprawiają nam zbyt wielu problemów, chcę, abyście wraz z Dyarą popracowali nad tym. Wątpię, abyśmy w najbliższym czasie namówili cesarza na sojusz. Wie, że jeśli to uczyni, jego kraj stanie się pierwszym

celem dla pentadrian, jeśli znowu wypowiedzą nam wojnę. Zobaczcie, do czego zdołacie go skłonić, póki wciąż ma wyrzuty sumienia, że stanął przeciwko nam.

Dyara, Rian i Mairae pracują razem nad Sennonem, pomyślała Auraya. A co ze mną? Siyee też nie sprawiają problemów... Ale oczywiście. Jest inny kraj, z którym szukamy sojuszu.

Juran zwrócił się do niej. Uśmiechnęła się.

- Elai?

- Nie - odparł. - Mam dla ciebie inne zadanie, ale porozmawiamy o tym później. Na razie omówmy sprawy .bardziej oddalone od naszych brzegów. Co powinniśmy zrobić, by w przyszłości uniknąć inwazji pentadrian?

Porozumieli się wzrokiem.

- Co możemy zrobić? - spytał Rian. - Pozwoliliśmy im wrócić do ich domów, gdzie są najsilniejsi.

- Faktycznie, pozwoliliśmy - przyznał Juran. - Więc jaki mamy teraz wybór? Możemy nic nie robić i mieć nadzieję, że nie odzyskają sił i nie zaatakują nas znowu. Albo możemy postarać się temu zapobiec.

Dyara zmarszczyła czoło.

- Czy sugerujesz zawarcie sojuszu? Nigdy się na to nie zgodzą. Uważają nas za pogan.

- I w tym się mylą, więc jest to słabość, którą możemy wykorzystać. - Juran splótł palce. - Nasi bogowie są prawdziwi.

Kiedy pentadrianie to zrozumieją, może porzucą swoich fałszywych.

- Jak ich przekonamy? - spytał Rian. - Czy bogowie zademonstrują swoją moc, gdy ich o to poprosimy?

- Jeśli tylko nie będziemy prosić za każdym razem, kiedy spotkamy pentadrian - odparł Juran.

Dyara mruknęła z dezaprobatą.

- Czy pentadrianie uwierzą w to, czy uznają, że przywołaliśmy iluzję?

Auraya parsknęła śmiechem.

- Dokładnie tak, jak ty i Juran uznaliście, że iluzją jest ten pentadriański bóg, którego widziałam - rzuciła lekko.

Dyara zmarszczyła brwi, ale Juran wyraźnie się zastanowił.

- Może byśmy się przekonali, gdybyśmy tam byli.

- Jeśli ich bogowie są prawdziwi, musimy ich przekonać, że nasi są lepsi - stwierdziła Mairae.

- Tak. - Juran kiwnął głową. - Na razie musimy skłonić pentadrian, żeby zmienili o nas opinię. Nie tylko musimy ich przekonać, że nasi bogowie są prawdziwi, ale też że lepiej się z nami przyjaźnić, niż nas napadać. Wszystko, czego w nas nie lubią, musi okazać się fałszywe. Uważają nas za pogan; udowodnimy, że się mylą. Uważają, że nie tolerujemy innych religii... - na moment skierował oczy na Aurayę - pokażemy im, że też się mylą.

Auraya zamrugała zdziwiona, ale Juran niczego nie tłumaczył. Pochylił się i złożył razem dłonie.

- Chcę, abyście wszyscy sobie to przemyśleli. - Popatrzył kolejno na każdego. - Dowiedzcie się, co uważają w nas za odpychające. Sprawcie, żeby przyjaźń z nami była dla nich korzystna. Nie chcemy następnej inwazji, a już najmniej mi zależy na podbiciu południowego kontynentu i na kłopotach, jakie przyniesie sprawowanie tam władzy.

- Jeśli potrzebujemy informacji, powinniśmy wzmocnić naszą siatkę szpiegów - zauważył Rian.

- Owszem - zgodził się Juran. - Zrób to.

Zwrócił się do Aurai.

- A teraz twoje zadanie. Wyprostowała się.

- Tak?

- Pentadrianie wierzą, że jesteśmy nietolerancyjni wobec innych religii. Chcę, żebyś nadal pracowała z tkaczami snów. Zaimponowały mi ich wyczyny po bitwie. Wielu naszych uzdrowicieli wśród kapłanów i kapłanek wyraziło podziw dla ich talentów. Twierdzą, że wiele nauczyli się poprzez samo obserwowanie tkaczy snów. Ludzie w mieście skorzystają na współpracy tkaczy snów i cyrklian. Chcę, żebyś stworzyła miejsce, gdzie tkacze oraz uzdrowiciele spośród kapłanek i kapłanów będą mogli pracować razem.

Auraya wpatrywała się w niego i zastanawiała, czy wie, że to właśnie planowała. Czy jego motywy były tak szlachetne, jak sugerowały słowa? Czy zdawał sobie sprawę, jaki wpływ może to wywrzeć na tkaczy snów?

Istnienie tkaczy opierało się na ich wyjątkowych umiejętnościach uzdrawiania. Ludzie szukali ich pomocy, pomimo braku zaufania i nietolerancji, gdyż byli lepszymi uzdrowicielami niż cyrkliańscy kapłani. Większość ludzi, którzy decydowali się zostać tkaczami snów, robiła to, by zachować ich wiedzę o leczeniu.

Lecz czyniąc tak, skazywali swoje dusze. Bogowie nie przyjmą duszy umarłych, którzy za życia nie oddawali im czci. Jeśli cyrklianie będą wiedzieli o uzdrawianiu tyle, ile tkacze snów, mniej ludzi będzie chciało wstąpić do ich sekty i mniej dusz zostanie straconych.

Kosztem takiego rozwiązania będzie osłabienie, a może nawet zniszczenie ludu, który podziwiała. A jednak ta cena nie wydawała się tak wysoka. Zbawienie duszy było ważniejsze niż zachowanie pogańskiego kultu. Żyjący także na tym skorzystają - cyrkliańskich kapłanów i kapłanek jest przecież więcej niż tkaczy snów. Mogą ocalić więcej osób.

To, że Juran kazał jej zachęcać cyrklian i tkaczy snów do współpracy, było rzeczą niezwykłą. To przecież on z nakazu bogów zabił Mirara. Jak dalece się posunie w akceptacji ich talentów?

- Czy chcesz ograniczyć te umiejętności, których uzdrowiciele nauczą się od tkaczy snów? - zapytała. - Co powiesz o całym zakresie zdolności leczenia psychiki, o łączach umysłu i sennych połączeniach?

Przywódca Białych zmarszczył czoło. Ten pomysł wyraźnie mu się nie podobał.

- Zacznijmy od praktycznej informacji fizycznej. Jeśli te umiejętności ze snami okażą się użyteczne, pomyślimy, czy i nimi się zająć.

Kiwnęła głową.

- Jutro zacznę wszystko organizować.

Juran spojrzał na nią z namysłem, potem wyprostował się i nabrał tchu.

- Czy są jeszcze jakieś sprawy do omówienia? Nastąpiła dłuższa przerwa. Czworo Białych pokręciło głowami.

- Więc na dzisiaj to wszystko - zakończył Juran.

- Postanowiłeś nie wzywać bogów? - spytała Dyara.

- Gdyby odkryli, że bogowie pentadrian są prawdziwi, pojawiliby się i powiedzieli nam o tym.

Mairae wzruszyła ramionami i wstała. Pięć ścian Ołtarza zaczęło się rozwijać. Uśmiechnęła się.

- Gdyby chcieli z nami rozmawiać, ściany pozostałyby zamknięte.

Gdy Biali zeszli z Ołtarza, Auraya skoncentrowała się na otaczającej ją magii. Nie było ani śladu bogów - w każdym razie niczego, co mogłaby wyczuć. Rozpoznała tylko drgania magii w miejscu, gdzie ściany Ołtarza dotykały podłogi.

- Aurayo - odezwała się Dyara. Spojrzała na starszą Białą.

- Tak?

- Planujesz uczyć się jazdy?

- Jazdy? - powtórzyła zaskoczona Auraya.

Pomyślała o Nosicielach - dużych białych reynach, na których jeździli inni Biali. W przeszłości kilka prób jazdy na zwykłych reynach skończyło się kłopotliwie i krępująco. Nie

wyobrażała sobie, żeby dosiadanie Nosicieli było łatwiejsze.

- Chyba nie. Nie potrzebuję.

- To prawda. Jednak mamy Nosiciela wyhodowanego specjalnie dla ciebie, więc mogę jedynie zakładać, że bogowie zaplanowali, żebyś na nim jeździła. Niezależnie od twojej umiejętności lotu.

- Możliwe, że wybrali mnie, kiedy ten Nosiciel już się pojawił - odparła wolno Auraya. - Zanim zrozumieli, że wybiorą kogoś, kto nie potrafi jeździć wierzchem. Może z tego powodu dali mi zdolność lotu.

Dyara zastanowiła się.

- Dla równowagi? - Tak.

Usłyszały śmiech Mairae.

- Myślę, że nieco przesadzili z rekompensatą. Juran parsknął i uśmiechnął się do Aurai.

- Tylko trochę... Ale jesteśmy im za to niezwykle wdzięczni.

3

O tej porze roku pogoda była sucha i wietrzna, a obiekty w oddali wydawały się widmowe, o ile w ogóle można je było dostrzec. Kiedy Reivan dotarła do Parady, na jej końcu ujrzała Sanktuarium. Coś ścisnęło ją w żołądku, więc zatrzymała się, z ulgą kładąc na ziemi ciężką sakwę.

Wielki kompleks budynków wyrastał na zboczu wzgórza na skraju miasta Glymma. Najpierw były szerokie schody, sięgające fasady łuków wielkiej hali. Poza tym budynkiem widziała ściany o konturach nieco zamglonych w pylistym powietrzu. Trudno było określić, czy łączyły się, czy stanowiły oddzielne budowle. Od frontu Sanktuarium było splątanym labiryntem murów, okien, balkonów i wieżyczek.

W najdalszym punkcie płonął ogień. To był płomień Sanktuarium, zapalony przez śmiertelnika, do którego sto lat temu bogowie przemówili po raz pierwszy. Od tamtego czasu płonął dzień i noc, podtrzymywany przez najbardziej lojalne Sługi.

Jak mogę wierzyć, że zasłużyłam na miejsce między nimi? pytała sama siebie.

Ponieważ wierzy w to Imenja, odpowiedziała. W tę noc, kiedy armia wynurzyła się z kopalni, Imenja wezwała Reivan do siebie na spotkanie Głosów i ich doradców, którzy omawiali czekającą ich drogę. Reivan czekała, by wydano jej jakieś polecenia, zadano pytania, ale nic takiego nie zaszło. Dopiero po spotkaniu, gdy leżała zdziwiona, nie mogąc zasnąć, uświadomiła sobie, że Imenja chciała, aby była tam i obserwowała.

Przez całą drogę Imenja pilnowała, aby Reivan zawsze była w pobliżu. Czasami pytała ją o opinię, czasem wydawało się, że chce jedynie porozmawiać. W takich przypadkach Reivan łatwo było zapomnieć, że rozmawia z jednym z Głosów Bogów. Kiedy Imenja rezygnowała ze swej pozy surowej przewodniczki, ujawniała dość oschłe poczucie humoru i współczucie dla innych, które Reivan uznała za wzruszające.

Lubię ją, pomyślała. Ona mnie szanuje. Od lat godziłam się na szyderstwa Myślicieli. Przydzielali mi najnudniejsze, najbardziej prymitywne zadania, jakie się trafiały. Bali się, że dorówna im zwykła kobieta. Pewnie uważali, że ciągła bieda zmusi mnie, abym wyszła za mąż, urodziła dzieci i przestała ich irytować. Jestem pewna, że Grauer wysłał mnie do kreślenia planów kopalni, żebym tylko zeszła mu z oczu.

Teraz były przywódca Myślicieli już nie żył. Hitte, jego następca, nie odezwał się do niej ani słowem, odkąd wyprowadziła wojska z kopalni. Nie była pewna, czy był zły dlatego, że wyprzedziła go, znajdując drogę do wyjścia, czy dlatego iż dowiedział się o obietnicy

Imenji, że uczyni ją Sługą Bogów.

Pewnie jedno i drugie, pomyślała niechętnie. Ale może się wściekać, ile chce. Tak samo jak cała reszta. Gdyby traktowali mnie lepiej, okazując, że warto mnie czasem posłuchać, to im, a nie Imenji, powiedziałabym o tym tunelu wiatru. Wyprowadzilibyśmy wojsko jako zespół, a im przypadłaby cała chwała za sukces.

Uśmiechnęła się. Imenja i tak dostrzegłaby prawdę. Ona wie, że to ja ocaliłam armię. Wie, że jestem godna, by służyć bogom.

Przerzuciła sakwę do drugiej ręki i ruszyła dalej, do Sanktuarium. Wspięła się na stopnie i przystanęła obok jednego z łuków, aby nabrać tchu. Jak na tę porę roku Parada była nietypowo spokojna.

Odgadła, że mieszkańcy Glymmy siedzą w domach i opłakują tych, którzy nie wrócili. Odtworzyła w pamięci wczorajszy powrót armii do miasta. Zebrał się tłum, ale powitało ich tylko kilka słabych okrzyków.

Wojsko było o wiele mniejsze niż to, które wyruszyło na wojnę kilka miesięcy wcześniej. Co prawda większość tych, których zabrakło, zginęła w bitwie, ale wielu niewolników, żołnierzy i Sług umarło z pragnienia i wyczerpania podczas drogi powrotnej przez sennońską pustynię. Kupieckie karawany, handlujące pożywieniem i wodą, okazały się podejrzanie nieobecne. Przewodnicy, których przysłał poprzednio sennoński ambasador, nie powrócili. Tylko mapy Myślicieli, które na szczęście nie przepadły wraz z Grauerem, wskazywały im wodę.

Zastanawiała się, czy ludzie witający armię rozgniewają się na Głosy, które poprowadziły ich bliskich do boju, i na bogów, którzy pozwolili na tę klęskę. Ale ten gniew na pewno złagodniał, kiedy zobaczyli trumnę, którą niosły między sobą cztery Głosy, pomagając sobie magią. Oni także ponieśli stratę.

Rozglądając się, Reivan wyobrażała sobie, jak powrót musiał wyglądać z tego miejsca. Armia została ustawiona w kolejne formacje: najwyżsi rangą - Oddani Słudzy Bogów - na przodzie, dalej zwykli Słudzy, a potem żołnierze, uformowani w oddziały. Niewolnicy zeszli na bok, a Myśliciele stali u stóp schodów. Głosy przemówiły do tłumów niemal z tego samego miejsca, w którym teraz stała Reivan.

Pamiętała mowę Imenji.

- Dzięki ci, ludu Glymmy, za ciepłe powitanie. Przybywamy z daleka i w służbie bogów stoczyliśmy wielką bitwę. Nasze straty są też waszymi, tak jak i nasze zwycięstwa, bo choć nie zwyciężyliśmy w tej bitwie, przegraliśmy tylko odrobinę. Siły pentadrian i cyrklian były tak wyrównane, że jedynie przypadek mógł zdecydować o zwycięstwie. Tym razem to

im sprzyjało szczęście. Następnym razem los może się odwrócić.

Uniosła ramiona i zacisnęła pięści.

- Wiemy, że jesteśmy tak silni jak oni. Wkrótce będziemy silniejsi!

Tłum, znając swoją rolę, zakrzyknął głośno, lecz w głosach zgromadzonych brakowało entuzjazmu.

- Na całym świecie głosiliśmy te imiona: Sheyr, Hrun, Alor, Ranah i Sruul! To imiona prawdziwych bogów. Nieprzyjaciele cyrklian przybędą tutaj, do nas. Przybędą do Glymmy. Dokąd przybędą?

- Do Glymmy! - krzyknęli bez przekonania obywatele.

- Ci, którzy chcą podążać za prawdziwymi bogami, przybędą tutaj. Dokąd przybędą?

- Do Glymmy! - Tym razem okrzyk był głośniejszy.

- Dokąd przybędą?

- Do Glymmy! - Odpowiedź zabrzmiała z większą mocą. Imenja opuściła ramiona.

- Wielu utraciliśmy. Straciliśmy ojców i synów. Straciliśmy mężów i żony, matki i córki, siostry i braci, przyjaciół i towarzyszy, nauczycieli i przywódców. Utraciliśmy naszego przywódcę Kuara, Pierwszy Głos.

Schyliła głowę.

- Jego głos umilkł i my teraz zamilknijmy, dziękując tym wszystkim, którzy zginęli dla bogów.

Coś chwyciło Reivan za gardło. Twarz Imenji pokryły linie bólu, a Reivan wiedziała, że ten ból jest prawdziwy. Dostrzegła to w jej oczach i słyszała w głosie, tak wiele razy w ostatnim miesiącu.

Cisza ciągnęła się nieznośnie, aż w końcu Imenja uniosła głowę i podziękowała zgromadzonym. Powiedziała, że Pierwszy Głos zostanie wybrany po miesiącu żałoby. Potem Głosy i Słudzy weszli do Świątyni, żołnierze odeszli, a tłum się rozproszył. Reivan wróciła do niewielkiego pokoju, który wynajmowała na przedmieściach. Imenja dała jej dzień na załatwienie swoich spraw, zanim przyjdzie do Sanktuarium, aby rozpocząć swe szkolenie jako Sługa.

I oto jestem tutaj, pomyślała, przechodząc pod jednym z łuków.

Wielki hol był także wyjątkowo cichy. Wewnątrz zauważyła jedynie kilkoro Sług - stali w niewielkich kręgach po trzy, cztery osoby. Ich czarno okryte plecy zniechęcały do przeszkadzania, zatrzymała się więc i czekała. Podobno Słudzy mieli zaraz po przybyciu witać wszystkich gości, niezależnie od tego, czy pochodzą z najwyższych, czy z najniższych warstw społeczeństwa.

Żaden ze Sług do niej nie podszedł, choć kątem oka widziała, że jeden czy dwóch obserwuje ją, kiedy tylko nie patrzy w ich stronę. Czas mijał i czuła, jak odpływa jej pewność siebie. Czyżbym przyszła w niewłaściwej porze? Imenja kazała zjawić się tu dzisiaj. Czy powinnam sama podejść do Sług? Czy może będzie to złamaniem protokołu, czy coś w tym rodzaju?

W końcu jeden z mężczyzn zostawił swych towarzyszy i podszedł do niej.

- Goście nie przychodzą do nas podczas żałoby - powiedział. - Chyba że sprawa jest pilna i ważna. Czy czegoś od nas potrzebujesz?

- Aha. - Uśmiechnęła się przepraszająco. - Nie wiedziałam. Jednak Drugi Głos nakazała mi przybyć tutaj dziś rano.

- W jakim celu?

- By rozpocząć naukę jako Sługa. Uniósł brwi.

- Rozumiem. - Wskazał na drugą stronę sali. Kolejna linia łuków biegła równolegle do tej przy wejściu. - Przejdziesz dziedziniec i znajdziesz korytarz. Kwatery nowicjuszy są po prawej stronie.

Kiwnęła głową, podziękowała, a potem wyszła z holu. Dziedziniec za nim był duży i zdominowany przez fontannę w kształcie gwiazdy, wzniesioną w samym środku. Minęła ją, trafiając do szerokiej bramy budynku po przeciwnej stronie. Korytarz prowadził w górę, a we wspinaczce pomagał czasem stopień czy dwa. Słudzy chodzili w obie strony. Zanim pokonała więcej niż kilka kroków, zatrzymała ją kobieta w średnim wieku.

- Dokąd idziesz? - spytała surowo z podejrzliwą miną.

- Do kwater nowicjuszy. Mam zacząć szkolenie. Kobieta uniosła brwi.

- Imię?

- Reivan Reedcutter.

Jakoś zdołała jeszcze wyżej unieść brwi.

- Rozumiem. Chodź ze mną.

Sługa poprowadziła ją do drzwi po lewej stronie korytarza. Reivan przystanęła, potem wzruszyła ramionami i podążyła za kobietą. Szły wzdłuż długiego wąskiego przejścia, mijając wiele drzwi. Wreszcie kobieta zatrzymała się i zapukała.

Wewnątrz za biurkiem siedziała Oddana Sługa. Kobieta uniosła głowę, zobaczyła Reivan i zmarszczyła brwi. Sługa chwyciła Reivan za ramię i wepchnęła do środka.

- Reivan Reedcutter. - Głos przewodniczki aż ociekał dezaprobatą. - Przybyła służyć bogom.

Reivan zerknęła przez ramię i zobaczyła pełną niechęci twarz Sługi. Potem drzwi się

zamknęły. Znów spojrzała na Oddaną Sługę i dostrzegła szybko stłumiony niepokój.

- A więc przybyłaś - stwierdziła kobieta. - Dlaczego sądzisz, że możesz zostać Sługą, skoro nie masz żadnych Talentów?

Reivan zamrugała zdumiona. Bardzo bezpośrednie pytanie, pomyślała. Odpowiedź „bo Imenja tak powiedziała" pewnie tej kobiety nie przekona.

- Mam nadzieję służyć bogom na inne sposoby - odparła. Kobieta wolno kiwnęła głową.

- A więc musisz wykazać, że to możliwe. Jestem Oddana Sługa Drewa, mistrzyni szkolenia. - Wstała i obeszła biurko. - Przejdziesz to samo szkolenie i testy co wszyscy inni. Otrzymasz też taką samą kwaterę. Chodź za mną.

Poszły dalej wąskim przejściem, które po kilku zakrętach zwęziło się jeszcze bardziej. Wreszcie Drewa zatrzymała się przed drzwiami i otworzyła je.

Reivan zajrzała do środka i serce w niej zamarło. Pokoik był tylko niewiele większy od łóżka, które tam stało. Pachniał kurzem i stęchlizną. Piasek i kurz leżały w stosach na podłodze.

- Czy pozwalacie swoim nowicjuszom mieszkać w takich warunkach? - usłyszała własny głos. - Słudzy, którzy mnie wychowywali, kazaliby mnie wychłostać za takie zaniedbania.

- Jeśli to ci nie odpowiada, znajdź domowego, żeby tu sprzątnął - rzuciła Drewa. Odwróciła się na pięcie i odeszła, ale po chwili się zatrzymała. - Przyjdź do mojego pokoju po porannym dzwonie. Znajdę ci Sługę, abyś zaczęła testy. - Spojrzała na sakwę Reivan. - Co to jest?

- Moje rzeczy.

- To znaczy?

Reivan wzruszyła ramionami.

- Ubrania, instrumenty, książki...

Pomyślała o książkach, które sprzedała poprzedniego dnia, i poczuła ukłucie żalu. Wątpiła, czy Sanktuarium doceni, że przyniosła ze sobą niewielką biblioteczkę.

Drewa wróciła i zabrała jej sakwę.

- Słudzy nie mają osobistej własności. Wszystko co jest ci potrzebne, dostaniesz tutaj, w Sanktuarium. A jeśli uda ci się zostać nowicjuszką, nie będziesz potrzebowała niczego oprócz szaty.

- Ale...

Kobieta uciszyła ją spojrzeniem.

- Ale co?

- A jeśli nie przejdę testów?

Lekki uśmieszek rozciągnął wargi kobiety.

- Zatrzymam twoją sakwę w swoim pokoju. Zostanie zwrócona, kiedy będziesz odchodzić.

Kiedy będziesz odchodzić... Reivan spojrzała na plecy kobiety, westchnęła i zaczęła szukać domowego. Poszukiwania zawiodły ją daleko od pokoju i zrozumiała, że dotarła do kwater Sług, kiedy wreszcie znalazła domowego zamiatającego podłogę.

- Potrzebny jest mi ktoś, kto sprzątnie w moim pokoju - powiedziała.

Spojrzał na nią ponuro.

- Wszyscy domowi są zajęci sprzątaniem pokojów zabitych Sług - odparł, po czym odwrócił się plecami.

Sama sprzątnęłaby swój pokój, ale z odpowiedzi Drewy jasno wynikało, że Słudzy nie zniżają się do takich prac. Jeśli nowo przybyła, bez Talentów, zacznie się zachowywać jak domowa, uznała Reivan, tak też będzie traktowana.

Inni domowi również powtarzali, że ich zadania są pilniejsze. W końcu podążyła za jakimś dzieciakiem do łazienki i groźbami zmusiła go do sprzątnięcia w swoim pokoju i do zmiany pościeli. Miała trochę wyrzutów sumienia, ale z lektur filozofów i słynnych uzdrowicieli wiedziała, że sen w brudnym pokoju prowadzi do choroby ciała i umysłu.

Zajęło to wszystko resztę dnia. Zanim dzieciak skończył, było już późno, a ona zgłodniała, zaczęła więc szukać jedzenia. Wyczuła kuchenne zapachy i podążyła za nimi do wielkiej sali pełnej Sług. Słyszała tylko ciche pomruki głosów i uznała, że zapewne jakaś ogólna zasada zabrania hałasowania. Kiedy weszła, jej kroki ściągnęły ku niej kilka gniewnych spojrzeń. Rozejrzała się i z ulgą dostrzegła, że jeden ze stołów zajęty jest przez młode kobiety i mężczyzn w zwykłych ubraniach. To pewnie inni kandydaci... Zajęła wolne miejsce. Pozostali spojrzeli na nią z zaciekawieniem, ale milczeli.

Domowy z rozmachem postawił przed nią miskę cienkiej zupy, a ona z rozczarowaniem zauważyła, że w koszyku na środku stołu zostało tylko kilka okruchów chleba. Gdy skończyła jeść, pochwyciła spojrzenie siedzącego obok młodego człowieka.

- Czy jakaś reguła zakazuje rozmów? Kiwnął głową.

- Tylko w czasie żałoby.

Na końcu sali przy długim stole siedziało kilkoro Oddanych Sług. Przyjrzała im się dokładnie. Już za miesiąc Słudzy z całego świata wybiorą jednego z Oddanych, by był nowym przywódcą pentadrian. Przy tym stole siedziała Drewa. Zerknęła na Reivan, a potem

odwróciła głowę.

Nie takiego przyjęcia się spodziewałam, pomyślała Reivan. Ci Słudzy są tak oschli, że nawet Myśliciele przy nich wydają się cierpliwi, łagodni i przyjaźni.

Przy stole było kilka pustych miejsc. Reivan poczuła chłodny dreszcz, kiedy uświadomiła sobie dlaczego. Oddani Słudzy, którzy je zajmowali, teraz pewnie nie żyli, zabici podczas wojny.

Może dlatego wszyscy w Sanktuarium są tak nieprzyjaźni, zastanawiała się. Porażka i straty sprawiły, że są tacy zrzędliwi i roztargnieni. Trudno było oczekiwać, że powitają ją radośnie i ciepło, kiedy opłakiwali przyjaciół i kolegów.

Rozległ się dzwon, oznaczający koniec posiłku. Reivan ruszyła za kandydatami do ich kwater.

Mirar lewą ręką mocniej chwycił wystający kamień i zajął się nogami. Ugiął lewe kolano i szukał dobrego miejsca, aby wsunąć czubek prawego buta. Trafił na twardy występ i ostrożnie przeniósł tam ciężar ciała.

Napięcie liny zelżało na jego piersi, gdy Emerahl ją poluzowała.

- Jesteśmy prawie na miejscu - zawołała nieoczekiwanie blisko.

Zatrzymał się i spojrzał w dół. Jego stopy były niemal na równym poziomie z jej głową. Uśmiechnęła się.

Jest taka piękna, usłyszał własną myśl. Uznał, że ta ocena należała jednak do Leiarda. Podobnie jak lekkie poczucie winy, że może uważać za atrakcyjną inną kobietę niż Auraya.

Bo jest piękna, odpowiedział mu. *Nie widzę nic złego w tym, że to doceniasz.*

A ty nie? spytał Leiard.

Ja też, ale znam ją od tak dawna, że już mnie tak nie oszałamia.

Jesteście przyjaciółmi, stwierdził Leiard.

W pewnym sensie. Zdążyliśmy... poznać się wzajemnie. Mamy podobne troski.

Byliście kiedyś kochankami.

Krótko.

Leiard umilkł. Mirar pokręcił głową. Towarzystwo Emerahl powodowało dziwną sytuację. To tak, jakby przedstawiać sobie dwóch przyjaciół, gdy jednemu z nich powiedział już wszystko, co wie o tym drugim. Było to trochę nieuczciwe wobec Emerahl.

Ale też przyjemnie było spojrzeć na nią w nowy sposób.

Jednak rozmowa z Leiardem sprawiła, że poczuł się trochę zdezorientowany. Odetchnął głęboko, oczyścił umysł i schodził dalej. Dopiero kiedy obie stopy oparł o ziemię, pozwolił sobie na rozluźnienie.

Emerahl odwiązała go, puściła jeden koniec liny i szarpnęła za drugi, aż zsunęła się w dół i splątanym zwojem opadła u jej stóp. Zwinęła ją szybko i sprawnie, przerzuciła przez ramię, a potem ruszyła dnem wąwozu. Mirar założył plecak i ruszył za nią.

Oboje nabrali już doświadczenia we wspinaczce. Nie pamiętał już, ile razy pokonywali skalne ściany. Był to typowy teren Si. Góry były strome, popękane, pełne pionowych warstw skalnych. Wyglądały, jakby ktoś rzucił na świat wielkie kopce gliny, a potem raz po raz przebijał ich powierzchnię gigantycznymi nożami. Nawet w niewielkiej skali powierzchnia gruntu była popękana i pełna szczelin, co czyniło marsz trudnym i niebezpiecznym. Dna dolin i wąwozów wydawały się prostsze, gdyż szczeliny i pęknięcia z czasem wypełniła gleba, co dawało równiejsze podłoże. Tam musieli tylko pokonywać gęste leśne poszycie.

Żaden człowiek nie zostawił śladów na tej ziemi. Nawet Siyee, którzy nie lubili żyć blisko osiedli ziemiochodzących. Od czasu do czasu trafiali na ślady zwierząt, które wydeptały kręte wąskie ścieżki pośród roślinności, jednak mimo to posuwali się wolno. Wędrowali już od miesiąca, ale płytko zagłębili się w północną część Si. Zanim Siyee zostali stworzeni, ta część Ithanii znana była jako Dzicz.

I tak teraz, według bogów, klasyfikuje się mnie i Emerahl, pomyślał Mirar. Dzicy. Ciekawe czy chodziło im o to, że jesteśmy nieudomowieni? Niecywilizowani? Może barbarzyńscy?

A może nieopanowani, niepodporządkowani, gwałtowni i groźni, podsunął Leiard.

Nic z tego nie jest prawdę, odparł Mirar. W swoim czasie on i Emerahl posiadali wielkie umiejętności magiczne. Jego tkacze snów gwarantowali porządek w chaotycznym świecie. Byli nastawieni pokojowo, unikali przemocy, na pewno nie byli groźni. Emerahl cieszyła się szacunkiem jako uzdrowicielka i mądra kobieta.

Jednak słowo „dziki" miało też inne znaczenie. Mogło być przypadkową siłą, która niszczy plany w sposób dobroczynny lub katastrofalny.

Może to jest prawdziwy powód, że bogowie wybrali dla nas taką nazwę, pomyślał Mirar. Zakłócanie boskich planów wydaje się sensownym powodem istnienia. Problem w tym, że nie wiem, jakie te plany są, więc jak mam je zakłócać?

Wąwóz się poszerzył. Słyszał już szum płynącej wody - całej masy wody. Pewnie zbliżali się do rzeki... W krokach Emerahl pojawiła się lekkość. Zobaczył, jak wychodzi na światło słońca, odwraca się w lewo i uśmiecha.

Wyraźnie jest z czegoś zadowolona... Wydłużył krok i dogonił ją. Stała na krawędzi przepaści, gdzie wąwóz kończył się gwałtownie. Podążając za jej wzrokiem, ujrzał powód jej

uśmiechu.

Wodospad. Powyżej spotykały się dwa strome zbocza i prowadziły rzekę na krawędź urwiska. Dalej spadała ona kaskadami do głębokiego, szerokiego jeziorka, a potem płynęła pospiesznie kamienistym korytem, które zakręcało pod nimi, a wreszcie znikało po prawej stronie. Wokół wodospadu kłębiła się mgła, a powietrze było aż gęste od wilgoci.

- Piękne - zauważył.

Emerahl zerknęła na niego z ukosa.

- Prawda? Poszukajmy teraz drzewa, żeby owinąć wokół niego linę.

Po kilku minutach oboje zsunęli się w dół, najpierw magicznie opuszczając swój bagaż. Emerahl przekroczyła rzekę, skacząc z kamienia na kamień. Kiedy ruszyła w stronę wodospadu, Mirar zawahał się, zanim poszedł za nią. Od miesiąca wędrowali przez te trudne tereny i widział wiele wspaniałych naturalnych widoków. Nie miał ochoty badać tego wodospadu. Wolał raczej dotrzeć do celu szybciej i porządnie odpocząć.

Emerahl posuwała się bliżej i bliżej w stronę strumienia wody. Huk rozbrzmiewał mu w uszach coraz głośniej. Rozpoczął wspinaczkę po gładkich głazach obok kaskady. Zatrzymał się i spojrzał na nią. Obejrzała się, uśmiechnęła i skinęła zachęcająco.

Wzruszył ramionami i podążył za nią. Pokonywanie tych głazów pochłonęło całą jego uwagę. Kiedy dotarł do wąskiego kawałka gruntu pokrytego kamykami, uniósł głowę i zobaczył uśmiech Emerahl. Wtedy dopiero przekonał się, co odkryła. Za wodospadem była grota.

Kobieta weszła do środka. Czując lekkie zaciekawienie, podążył za nią. Jaskinia ociekała wilgocią i była większa, niż się spodziewał. Tylne ściany skrywała ciemność.

Obejrzał się i zerknął na kurtynę wody.

Ten stały, niezmienny ruch był wręcz hipnotyczny.

- Mirarze.

Oderwał wzrok, odwrócił się i zobaczył, że Emerahl spogląda na niego przez ramię. Stworzyła światło i teraz zrozumiał, że jego pierwsze wrażenie było błędne. Jaskinia nie miała tylnej ściany - to był początek tunelu.

Ciekawość narastała i pogłębiała się. Stanął obok kobiety.

- Znasz to miejsce? - spytał.

- Byłam tu kiedyś.

- Czy to jest nasz cel?

- Być może. A może tylko dobre miejsce, żeby zatrzymać się na noc. A teraz żadnych więcej pytań.

Ostatnie słowa zabrzmiały stanowczo. Uśmiechnął się rozbawiony i ruszył obok niej, gdy wstąpiła do tunelu.

Z przyzwyczajenia liczył kroki - przeszli trzysta, nim dotarli do wielkiej groty. Plecy Emerahl zdradzały napięcie, gdy zmierzała w stronę środka. Zwolniła... Zdawało się, że czegoś nasłuchuje.

Po chwili uśmiechnęła się. Ale nie przyspieszyła. W równym tempie maszerowała naprzód.

A kiedy stanęła pośrodku groty, odwróciła się do niego.

- Wyczuwasz to? Zmarszczył czoło.

- Co wyczuwam?

Wzięła go za rękę, pociągnęła wstecz jakieś dziesięć kroków i znów się zatrzymała.

- Spróbuj użyć któregoś ze swoich Darów. Zrób światło, jak moje.

Sięgnął po magię, ale nic nie nadeszło. Spróbował znowu, też bez powodzenia. Zaskoczony spojrzał na Emerahl. - Co...?

- Tu jest pustka. Miejsce w świecie, gdzie nie ma magii.

- Ale jak to możliwe?

- Nie wiem.

Położyła mu dłoń na ramieniu i delikatnie pchnęła go do środka komory. Ustąpił niechętnie. Spojrzał w górę i zauważył, że jej iskra wciąż płynie nad nimi.

- Więc jak ty to robisz?

- Ściągnęłam magię dla światła, zanim weszliśmy w pustkę - wyjaśniła. - A teraz spróbuj znowu.

Sięgnął po magię i poczuł, że napływa. Skierował ją na zewnątrz, by wykreowała światło.

- Dobrze. - Emerahl kiwnęła głową. - Wciąż jest tak samo. W samym środku jest magia, ale otoczona pierścieniem pustki. Bogowie, którzy są istotami magicznymi, nie mogą tej pustki przekroczyć, więc nie mogą zobaczyć, że tu jesteś. Chyba że spojrzą oczami kogoś, kto jest poza nią.

Wolno zatoczył krąg. Teraz, kiedy zwróciła mu uwagę na tę anomalię, łatwiej ją wyczuwał. Skierował kroki na drugą stronę.

- Nie wychodź! - ostrzegła go. - Wracaj. Teraz, kiedy już wiesz, czym jest to miejsce, nie możesz go opuścić. Jeśli bogowie obserwują, mogą odczytać twój umysł i... i...

Niepokój pokrył zmarszczkami jej czoło. Wrócił do niej.

- Jeśli widzieli, jak przybywam, to i tak wiedzą, gdzie jestem.

Spoglądała na niego niespokojnie.

- Myślisz, że faktycznie cię obserwują? Skrzywił się i odwrócił.

- Możliwe. Sam nie wiem.

- I tak nie możesz stąd odejść. Jeśli nie wiedzą, czym jest to miejsce, wolałabym, żeby się nie dowiedzieli.

- Chcesz mnie tu trzymać na zawsze? Pokręciła głową.

- Tylko tak długo ile trzeba, żebym nauczyła cię ukrywać przed nimi swe myśli.

Przyjrzał się jej w zadumie. Dawno temu opanował tę sztukę, a potem zapomniał o niej, kiedy stracił pamięć. Trudno było nauczyć się tego ponownie bez pomocy kogoś, kto wykrywa myśli lub emocje. Więc teraz był dobry moment, aby spróbować.

- A potem? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Prosiłeś, żebym zabrała cię stamtąd. Nie mówiłeś dlaczego ani dokąd. Odgadłam, że szukasz bezpiecznej kryjówki, więc zabrałam cię do najbezpieczniejszego miejsca, jakie znam. - Uśmiechnęła się krzywo. - Domyślam się także, że musisz uporządkować parę rzeczy w umyśle. Jeśli chcesz, abym ci w tym pomogła, zrobię, co tylko zdołam.

Rozejrzał się po grocie. Nie była to przytulna chata pośrodku lasu, na jaką liczył, ale pustka wynagradzała te braki. Musi wystarczyć. Zsunął z ramion paski plecaka i zrzucił go na twarde kamienne podłoże.

- W takim razie lepiej zacznijmy się tu urządzać.

4

Była noc. Zawsze była noc.

Niesamowity blask zawisł nad ziemią. Nie widziała jego źródła, ale twarze w tym świetle wyglądały jeszcze bardziej upiornie.

Trup leżał na jej ścieżce. Przestąpiła nad nim i poszła dalej.

Szukam czegoś. Ale czego? zastanawiała się intensywnie. Wyjścia. Końca pola bitwy. Ucieczki. Ponieważ...

Jakiś dostrzeżony kątem oka ruch sprawił, że serce ze zgrozy zabiło jej jak szalone. Nie chciała patrzeć, ale nie mogła się powstrzymać. Wszystko pozostawało nieruchome.

Kolejne ciało zablokowało jej drogę: kapłan. Górna część tułowia i głowa były poczerniałe i spalone. Przestąpiła nad nim z wahaniem.

Nie patrz w dół...

Coś poruszyło się na ścieżce i oczy spojrzały odruchowo. Kapłan wpatrywał się w nią, a ona zamarła ze zgrozy Potem wyszczerzył zęby i zanim zdążyła się cofnąć, poczerniała ręka chwyciła ją za kostkę.

: *Ałaja!*

Podskoczyła, słysząc w myślach ten naglący, nieoczekiwany krzyk. I nagle znów patrzyła na sufit własnej sypialni. Serce waliło jej jak młotem. Skóra wydawała się rozgrzana i wilgotna od potu, żołądek zaciśnięty.

: *Straszy Ałaja?*

Małe zwierzątko wskoczyło na łóżko. Księżyc świecił z tyłu, więc mogła dostrzec puszysty ogon i drgające z niepokoju małe uszka veeza.

- Figiel - szepnęła.

- Ałaja boi? Podciągnęła się na łokciach.

- To tylko sen. Już minął.

Nie miała pojęcia, czy to zrozumiał, czy nie. Czy veezy rozumieją pojęcie snu? Widziała, jak mruczy coś i drży we śnie, więc prawdopodobnie śnił. Ale czy to pamiętał? Czy rozumiał, że sny nie są rzeczywiste? Tego się nawet nie domyślała.

Przebiegł po łóżku i zwinął się w kłębek przy jej nogach. Nacisk małego ciała niósł ulgę. Położyła się na plecach, spojrzała w sufit i westchnęła.

Jak długo jeszcze będą mnie dręczyć te koszmary? Miesiące? Lata?

Czuła się trochę rozczarowana sobą i bogami. Z pewnością fakt bycia Białą nie

gwarantował spokoju od złych snów, będących skutkiem wojny w obronie Ithanii Północnej i wszystkich cyrklian. Wprawdzie Dary, które otrzymała, chroniły ją przed starzeniem się i ranami, ale chyba nie było wśród nich osłony od koszmarów. Jednak bogowie na pewno nie planowali, by tak cierpiała.

Tkacze snów mogliby mi pomóc.

Westchnęła znowu. Tkacze snów. To była sprawa, która budziła w niej wyrzuty sumienia. Wiedziała, że postępuje słusznie, próbując zmniejszyć wpływ tkaczy na ludzi. W tym celu miała zachęcać kapłanów i kapłanki, aby uczyli się od nich sztuki uzdrawiania. Chciała ratować dusze tych, którzy odwróciliby się od bogów. Tyle że wydawało się to zbyt... zbyt podstępne.

Po spotkaniu w Ołtarzu postanowiła, że lepiej sprawdzi, czy któryś z uzdrowicieli spośród kapłanów zechce pracować z tkaczami snów, a dopiero potem omówi plan z doradcą Raeli. Tłumaczyła sobie, że działa efektywnie. Przy okazji mogła też spytać, czy ktoś zechce wyruszyć do Si, ale wiedziała, że po prostu odsuwa w czasie moment, kiedy będzie musiała uciec się do podstępu.

Zgłosiło się kilku ochotników. Spodziewała się większego entuzjazmu w sprawie wyjazdu do Si, ale była też przyjemnie zaskoczona liczbą kapłanów i kapłanek zainteresowanych pracą z tkaczami snów. To, co widzieli po bitwie, nauczyło ich pokory i zaimponowało im. Wielu chciało się uczyć od tkaczy - choć dla części motywem była raczej determinacja, by dorównać i przewyższyć pogan w wiedzy i umiejętnościach, niż jakikolwiek szacunek dla tego kultu.

Odsunęła rozmowę z Raeli jeszcze dalej, szukając odpowiedniego miejsca, w którym mogliby pracować - najlepiej tam, gdzie ani tkacze snów, ani cyrklianie nie mają przewagi wpływów. Znalazła nieużywany skład niedaleko portu, w pobliżu biedniejszych dzielnic miasta. Musiała tylko dopilnować, aby został oczyszczony, odpowiednio wyposażony i umeblowany. A potem jakoś go nazwać.

Wcześniej jednak musiała uzyskać zgodę tkaczy snów. Nie mogła dłużej tego odkładać, więc umówiła się na spotkanie z Raeli.

Przewróciła się na bok. Była teraz całkiem rozbudzona i nie wierzyła, że w ciągu najbliższych godzin zdoła zasnąć. Serce nie biło już tak mocno, lecz wciąż odrobinę za szybko.

Przypomniała sobie pytanie, które zadała Juranowi: „Co z całym zakresem zdolności leczenia umysłu, z łączami umysłu, połączeniami snów?". Wyraźnie nie podobało mu się, by kapłani i kapłanki uczyli się tych sztuk, jeśli jednak cyrklianie mają zastąpić tkaczy, muszą

opanować także te pogańskie praktyki.

Westchnęła. Koszmary, które ją dręczyły, były dowodem, że nie powinni rezygnować z umiejętności leczenia snów. Doskonale rozumiała, dlaczego ludzie szukają pomocy tkaczy, by pozbyć się tego rodzaju koszmarów.

Być może ja także powinnam się zwrócić do tkaczy snów. Powinnam przekonać ludzi, że są nieszkodliwi... A co zadziała lepiej niż to, że sama skorzystam z sennego leczenia?

Nie wyobrażała sobie, aby Juran udzielił Białej zgody na wpuszczenie do swego umysłu tkacza snów. A nawet na to, by zwyczajny kapłan badał jej myśli i odkrywał tajemnice.

Może gdyby obserwowała umysł tkacza, leczącego złe sny jakiejś innej osoby, nauczyłaby się to robić... Może potrafiłaby przekazać wiedzę komuś z Białych... a oni z kolei...

Myśli zaczęły odpływać. Mówiła coś do Mairae, ale to były jakieś nonsensy. Inni Biali śmiali się tylko i powtarzali, że niczego nie rozumieją. Zniechęcona Auraya wyszła przez okno, aby odlecieć, ale nie całkiem panowała nad swymi ruchami. Wiatr szarpał ją na boki. Zdryfowała w chmurę i otoczyła ją chłodna biel.

Z tej bieli wynurzyła się jaśniejąca postać. Auraya poczuła, że ciężar spada jej z serca. Chaia zbliżył się z uśmiechem. Jego twarz była tak wyraźna... Widziała każdą rzęsę.

Moje sny nigdy nie były tak szczegółowe...

Pochylił się, aby ją pocałować.

...ani tak interesujące.

Ich wargi się spotkały. Nie było to niewinne braterskie muśnięcie magii. Czuła ten dotyk, jakby był rzeczywisty.

I nagle znowu siedziała na łóżku oparta na łokciach: Serce jej biło, ale tym razem nie ze strachu. Resztki euforii odpłynęły, pozostawiając niepokój.

O czym ja myślę? Bogowie, mam nadzieję, że Chaia mi się nie przyglądał.

Spróbowała zapanować nad myślami. To nie było świadome, to tylko sen. Nie mogła przecież kontrolować snów. Ach, gdyby tak mogła!

Położyła się ponownie i pogłaskała Figla, który zapiszczał cicho, czując jej dotyk.

Sen, powtórzyła sobie. Z pewnością Chaia nie byłby tym urażony. Ale i tak minęło sporo czasu, nim znów zasnęła.

Niełatwo było zachować przytomność. Imi patrzyła w sufit, śledząc znaki pozostawione setki lat temu przez narzędzia rzeźbiarzy.

Z drugiej strony pokoju napłynęło ciche chrapnięcie.

Nareszcie!

Uśmiechnęła się i z wolna zaczęła wysuwać z basenu. Do obowiązków Teiti należało czuwanie przy niej w nocy, na wypadek gdyby zachorowała lub wzywała pomocy. Zasłony dzielące pokój dawały Imi trochę prywatności, ale nie blokowały dźwięków.

Zatroszczyła się o to lata temu. Dyskretnie poskarżyła się ojcu na chrapanie ciotki i zaproponowała zbudowanie ścian wokół basenu, w którym sypiała opiekunka. Zgodził się. Tylko dlatego, jak podejrzewała, że Teiti była pierwszą opiekunką, którą Imi polubiła. Nie chciał szukać nowej.

Wokół basenu ciotki wzniesiono wygiętą pojedynczą ścianę, niesięgającą jednak ścian pokoju. Imi tłumaczyła ojcu, że miała nadzieję na zupełnie osobne pomieszczenie, łącznie z drzwiami, ale on uśmiechnął się tylko i zapytał, jak Teiti miałaby usłyszeć wezwanie pomocy, gdyby była kompletnie odcięta.

Imi przekonała się jednak, że zakrzywiona ściana tłumi hałas wystarczająco, żeby mogła się poruszać, nie budząc ciotki. Co zabawne, Teiti wtedy jeszcze nie chrapała. Dopiero od niedawna pojawił się u niej taki nawyk. Teraz Imi miała dwa powody, aby być wdzięczna za tę ścianę.

Strzepnęła ze skóry kropelki wilgoci, a potem zatrzymała się, nasłuchując chrapania Teiti. Wcześniej tego dnia wysłała ciotkę z kilkoma zleceniami - zadaniami, które mogła wykonać wyłącznie opiekunka księżniczki. Chciała ją zmęczyć, i zgodnie z jej przewidywaniami, ciotka postanowiła położyć się wcześniej i szybko zapadła w głęboki sen.

Teiti wciąż cicho pochrapywała. Imi podeszła do rzeźby na ścianie, znalazła rygiel, chwyciła mocno i ostrożnie przesunęła na bok. Cały panel uchylił się na zewnątrz niczym drzwi, odsłaniając otwór w murze.

Na podłodze pod panelem leżała dość duża skrzynka. Imi weszła na nią, a potem wspięła się do otworu. Spojrzała za siebie, połączone błoną pławną palce stopy wsunęła w pętle zasuwki na panelu i go zamknęła.

W tunelu było całkiem ciemno. Imi czołgała się do przodu, a brak światła nie niepokoił jej tak bardzo, jak ciasnota. Sporo urosła w ciągu ostatniego roku. Wkrótce trudno będzie się jej zmieścić w tej wąskiej przestrzeni.

Kiedy odgłos jej własnego oddechu zmienił się subtelnie, wiedziała, że zbliża się do końca. Wyciągnęła rękę i dotknęła twardej powierzchni. Przesuwając po niej palcami, odnalazła zasuwkę i otworzyła.

Klapa stała się widoczna, gdy nieco się uchyliła, wpuszczając blade światło. Imi czołgała się dalej, aż wysunęła głowę. Wokół siebie widziała teraz wnętrze drewnianej szafy.

Znieruchomiała, nasłuchując, a potem wysunęła się jeszcze trochę, by przyłożyć oko do szczeliny w drzwiach szafy. Wąski pokój przed nią był pusty i pogrążony w półmroku... Imi chwyciła ramę klapy i wysunęła się z tunelu, po czym otworzyła szafę i wyszła na zewnątrz.

Podeszła prosto do drzwi pokoju i wyjrzała przez niewielki wizjer w samym środku. Był dość wysoko i dopiero od niedawna mogła do niego dosięgnąć. Wcześniej musiała uchylać trochę drzwi, aby sprawdzić, co się dzieje na zewnątrz.

Korytarz za drzwiami był pusty. Zadowolona, odwróciła się w stronę pokoju. Ściany pokrywała cała masa rur, a ich końce wygięte były do wewnątrz i uformowane w kształt uszu. Ojciec dawno temu mówił jej, że ma urządzenie pozwalające słyszeć rozmowy innych ludzi. Jednak nigdy nie zaprowadził jej do tego pomieszczenia. Znalazła je sama.

Ojciec pokazał jej jedynie otwór za rzeźbionym panelem w jej pokoju. Powiedział, że tam ma się ukryć, gdyby pałac zaatakowali źli ludzie. Nie wiedziała, czy bardziej obawiał się ataku ziemiochodzących, czy raczej złych Elai. Ziemiochodzący piraci, którzy w przeszłości napadali na Elai, nie mogli teraz wkroczyć do miasta. Nie potrafili wstrzymywać oddechów na czas dostatecznie długi, by przepłynąć podwodny tunel.

Gdyby ojciec nie chciał, aby odkryła pokój z rurami, pomyślała, to nie pokazywałby jej przejścia za panelem. Już od lat przychodziła tu co kilka tygodni, by podsłuchiwać rozmowy w pałacu i poza nim.

Dzięki temu urządzeniu dowiedziała się wielu rzeczy o różnych ważnych osobach, a także odkryła, że ludzie w innych częściach miasta prowadzili inny tryb życia. Czasami zazdrościła dzieciom, które słyszała. Czasami wcale nie.

Choć wiedziała, że ojciec korzysta z tego pokoju, nigdy jej tutaj nie przyłapał. Miała też szczęście, bo Teiti nigdy się nie obudziła i nie odkryła jej zniknięcia ani nie zobaczyła, jak Imi wsuwa się do otworu za panelem.

Podeszła do jednej z rur i przyłożyła do niej ucho. Szepczące głosy, jakie napłynęły, były ciche, ale wkrótce jej słuch się przystosował i zaczęła rozróżniać słowa.

- ...nie wyjdę za niego, mamo! Jest ponad dwadzieścia lat starszy ode mnie!

Był to głos jej kuzynki, Yiti. Imi zmarszczyła czoło. Czyżby wybrała nieodpowiednią rurę? Nie, stanowczo słuchała tej, która dochodziła z groty jubilerów. Znów przyłożyła ucho.

- Zrobisz to, co ci każe ojciec - odparła spokojnie kobieta. - Wyjdziesz za niego za mąż, urodzisz mu dzieci, a kiedy umrze ze starości, wciąż będziesz dość młoda, aby się bawić. A teraz popatrz na ten. Czyż nie jest piękny?

- Dość młoda? Będę starą wiedźmą! Kto mnie wtedy zechce?

- Nie będziesz starsza niż ja w tej chwili.

- No właśnie. Stara wiedźma i nic do...

Imi odsunęła się od rury. Wprawdzie współczuła Yiti, ale nie mogła spędzić na tym całej nocy. Jej kuzynka i ciotka pewnie odwiedziły grotę jubilerów, aby kupić coś na ślub.

Spróbowała najpierw tej rury, gdyż jaskinia jubilerów była miejscem, gdzie przychodzili kupcy, aby sprzedać swój towar. Istniała więc szansa, że będą rozmawiać o morskich dzwonkach.

A jednak ich tu nie było. Zastanowiła się, gdzie mogą przebywać. Może w domu? Przesunęła się do rury, która prowadziła do jednego z kupieckich domów, i zaczęła nasłuchiwać.

Ale ta rura przekazywała tylko ciszę. Sprawdziła jeszcze kilka, a nawet tę z głównego holu pałacu, i choć słyszała głosy członków rodzin albo służby, nie trafiła bezpośrednio na kupców.

Zniechęcona, zaczęła wybierać rury całkiem przypadkowo. Po wysłuchaniu niezliczonych urywków rozmów dobiegł ją śmiech, który brzmiał jak jednego z kupców. To był dobry śmiech - taki, jaki poprawia ludziom nastrój. A zatem był pewnie użyteczny dla kupca, uświadomiła sobie nagle. Chciał, żeby ludzie byli w dobrym nastroju, gdyż wówczas kupują rzeczy. Zauważyła to u ciotki. Jeśli podczas zakupów na targu Teiti była zirytowana lub nieszczęśliwa, niemal nie patrzyła na towary na straganach. Jeśli była wesoła, rosła szansa, że kupi Imi jakiś prezent.

- ...stawiasz?

- Tak. Dziesięć.

- Dwadzieścia.

- Dwadzieścia, co? Sprawdzam! - A ty?

Westchnienie.

- Wypadam.

- Koniec? Tak? Pokazujemy.

Nastąpił tryumfalny chichot, potem jęk, a w końcu lekki stuk brzękających o siebie muszel corrie. Rozpoznała głosy kupców, których podsłuchiwała, oraz parę innych. Grali w kwadraty, odgadła.

Przez kilka kolejnych rund rozmowy kupców ograniczały się do przebiegu gry. Potem zrobili sobie przerwę, aby coś przegryźć i napić się drai. Wtedy zaczęli rozmawiać o rodzinach. Czekała cierpliwie, aż zajmą się swoim fachem.

- Gili mówi, że trzy dni temu widział piratów z wyspy Xiti.

- Nie piratów - poprawił go szorstki głos. - Nurków. Kilku kupców zaklęło.

- Wiedziałem, że nie powinniśmy czekać.

- To było ryzyko, które musieliśmy podjąć. Trzeba czasu, żeby morskie dzwonki urosły.

- Ale wystarczy o wiele mniej czasu, żeby ziemiochodzący je ukradli.

- Chudzi, bladoskórzy złodzieje!

Serce Imi zamarło na moment. A więc morskie dzwonki znajdowały się gdzieś w pobliżu wyspy Xiti...

- Ukradli? - Ten, który śmiał się tak wesoło, teraz parsknął ponuro. - To żadna kradzież, jeśli nikt nie jest właścicielem. A nikt nie jest właścicielem tego, czego nie może obronić. Nawet naszych własnych wysp nie możemy bronić.

- Huan stworzyła nas jako lud morza. Wszystkie skarby morza należą do nas.

- Więc dlaczego bogini nie ukarze tych nurków? Dlaczego nie ukarze piratów? Gdyby chciała, żebyśmy zdobywali wszystkie skarby oceanu, powstrzymałaby ziemiochodzących albo nam dała zdolność ich powstrzymania.

- Huan chce, abyśmy sami o siebie dbali.

- A niby skąd to wiesz?

- Albo planowała, aby sprawy tak się toczyły, albo popełniliśmy błąd.

Imi westchnęła z irytacją. Przestańcie gadać o bogach, pomyślała, a zacznijcie znowu o morskich dzwonkach! Lecz rozmowa rozpadła się na dwie oddzielne dyskusje.

- Nie powinniśmy rezygnować z naszej wiedzy o metalurgii. Albo powinniśmy wymieniać nasze towary na miecze z kontynentu.

- ...samotnemu pływakowi może się udać to, co nie uda się grupie. Plon nie będzie wielki, ale lepsze to niż...

- A co by nam z tego przyszło? Przerdzewiałyby...

- ...niebezpieczne. A co jeśli...

- ...dbasz o nie właściwie. Musisz tylko...

- ...dobrze wyliczyć czas. Przy odpowiedniej pogodzie... trudniej widzieć poniżej...

- ...powierzchnię czymś, co zapobiega rdzy. Ziemiochodzący...

- ...nie będą nurkować przy złej pogodzie.

Imi zakręciło się w głowie z wysiłku rozszyfrowywania dwóch różnych rozmów. Kłopot w tym, że chciała usłyszeć obie. Rozmowa kupców o tym, jak samotny Elai może wpłynąć gdzieś i zebrać morskie dzwonki, była ekscytująca. Ale zaintrygowały ją także pomysły na handel z ziemiochodzącymi.

Jej uwagę zwróciło dalekie stukanie. Niechętnie odsunęła się od rury, a potem nagle serce zamarło jej z przerażenia, gdy zrozumiała, że słyszy zbliżające się kroki. Odskoczyła i błyskawicznie ukryła się w szafie. Zdążyła ją zamknąć za sobą, kiedy usłyszała otwierające się drzwi. Zamarła.

Zerkała przez szczelinę, czując dreszcz lęku, gdy rozpoznała szerokie ramiona mężczyzny, który podszedł do wylotów rur. Nie mogła też stłumić radosnego uśmiechu.

Jej ojciec nucił coś pod nosem. Była to nowa popularna melodia, którą wymyśliła Idi, piękna dyrygentka pałacowych śpiewaczek.

Ojciec pochylił się, nasłuchując przy rurze prowadzącej do jaskini śpiewaczek. Imi patrzyła, a serce biło jej mocno. Dzieliło ich tylko kilka kroków i drewniane drzwi szafy.

Po chwili wyprostował się, przygładził przepaskę biodrową i szybkim krokiem wyszedł z pokoju.

Odetchnęła z ulgą i odwróciła się. Chwyciła za ramę klapy i wciągnęła się do tunelu. Dopiero kiedy dotarła do drugiego końca, jej serce zaczęło bić spokojniej.

Cichutko wysunęła się z tajemnego przejścia, wcisnęła panel na miejsce i na palcach wróciła do swojego basenu. Bardzo ostrożnie, aby uniknąć plusku, wsunęła się do wody i poczuła wokół siebie przyjemny chłód.

Teraz wiem, gdzie są te morskie dzwonki, myślała. Muszę tylko znaleźć sposób, żeby wymknąć się Teiti i moim strażnikom i uciec z miasta. Zaledwie dwie drogi prowadzą na zewnątrz: schody do posterunku obserwacyjnego i Główne Jezioro. Wyruszyć sama czy lepiej kogoś posłać?

Dopiero następnego ranka zaczęła się zastanawiać, czemu jej ojciec podsłuchiwał, co się dzieje w jaskini śpiewaczek.

5

Stary magazyn pełen był egzotycznych aromatów. Zapachy drewnianych skrzyń i siana mieszały się z zapachami towarów, które w nich przewożono, przyprawionych słoną morską bryzą, docierającą tu z doków o kilka ulic dalej.

W jednej z sal wszystkie zapachy przytłaczał ostry odór barwnika hroomya, dającego intensywnie błękitny kolor. W drugiej dominowała przyjemna woń naoliwionej skóry. Kolejna sala była jak wyperfumowana, w innej poplamiona podłoga cuchnęła niczym tawerna. Magazynowano tu towary ze wszystkich krain Ithanii Północnej, z miejsc, których Auraya nigdy nie widziała.

Z zamyślenia wyrwało ją pukanie. Uświadomiła sobie, że zawędrowała daleko w głąb korytarza, więc zawróciła pospiesznie. Gdy dotarła do hali, gdzie były właściciel przyjmował klientów, zatrzymała się.

Czy jestem gotowa, aby to zrobić?

Odetchnęła głęboko i zmusiła się, aby podejść do frontowych drzwi.

Bardziej gotowa już nie będę, tłumaczyła sobie. Mogę tylko starać się maksymalnie ograniczyć te nieprzyjemne konsekwencje.

Wyprostowała się, podeszła do ciężkich drewnianych wrót, złapała za uchwyty i pociągnęła. Rozdzieliły się i odchyliły do wnętrza z należycie przenikliwym zgrzytem. Auraya uśmiechnęła się, widząc za nimi kobietę w stroju tkaczy snów.

Raeli, doradca Białych, spojrzała na nią podejrzliwie. Nigdy nie próbowała ukryć swojej nieufności do Białych, ale zawsze była skłonna do współpracy. Auraya odczytała z jej umysłu, że to spotkanie, w tym dziwnym miejscu, wzbudziło zarówno ciekawość, jak i czujność.

- Wejdź, tkaczko snów Raeli.

- Dziękuję, Aurayo z Białych - odparła Raeli i weszła do wnętrza.

Rozejrzała się nerwowo, badając wzrokiem halę magazynową i prowadzący w głąb korytarz.

- Dlaczego kazałaś mi tu przyjść? Auraya zaśmiała się.

- Przechodzisz od razu do sedna i to mi się u ciebie podoba.

Skinęła na Raeli, a potem, nie sprawdzając, czy za nią idzie, ruszyła wolno korytarzem.

- Jarime to wielkie miasto i ciągle rośnie. Do tej pory, gdy ktoś potrzebował pomocy

cyrkliańskich uzdrowicieli, musiał odwiedzić świątynię lub posłać kogoś, by sprowadził kapłana. - Zerknęła przez ramię i z satysfakcją stwierdziła, że Raeli podąża za nią. Zwolniła, by tkaczka snów mogła ją dogonić, a potem wskazała gestem puste sale. - Dla niektórych to bardzo długa podróż. Aby zaradzić tym kłopotom, chcemy zmienić to miejsce w szpital.

Raeli rozważyła te wieści. Dobry pomysł, uznała. Już czas, żeby cyrklianie lepiej zaopiekowali się biedakami w tej dzielnicy. Lecz odległość do świątyni to kłopot, który skłania niektórych, by prosić o pomoc nas, tkaczy snów. Czy cyrklianie próbują odebrać nam klientów? Dlaczego Auraya zaprosiła mnie tutaj, żeby mi to powiedzieć? Jej plany muszą jakoś obejmować tkaczy...

I Raeli natychmiast ogarnęły podejrzenia.

- Czego od nas chcesz? - zapytała.

Auraya zatrzymała się przy wejściu do sali pachnącej skórą i odwróciła się do tkaczki.

- Chcę zaprosić twój lud, aby się do nas przyłączył. Tkacze snów i kapłani uzdrowiciele mogliby pracować razem. Powiedziałabym, że po raz pierwszy, ale już się to zdarzyło.

- Kiedy? - Raeli zmarszczyła brwi.

- Po bitwie.

Tkaczka snów wpatrywała się w Aurayę. A więc przyznają, że byliśmy użyteczni, pomyślała. Byłoby miło, gdyby nam podziękowali albo gdybyśmy w ogóle mogli liczyć na jakieś uznanie za naszą pracę. Ale przypuszczam, że to właśnie jest uznanie.

Jej sceptycyzm osłabł na moment, gdy poczuła niewielki przypływ nadziei.

Auraya odwróciła wzrok.

- Oczywiście, być może nic z tego nie wyjdzie. Kilku kapłanów uzdrowicieli zgłosiło się do pracy z wami, ale może się okazać, że są mniej tolerancyjni i otwarci, niż im się wydaje. Chorzy, którzy tu przyjdą, mogą nie przyjąć waszej pomocy. Wątpię, czy w ciągu kilku tygodni, miesięcy, a nawet lat uda nam się przezwyciężyć stulecie uprzedzeń. Ale... - Wzruszyła ramionami. - Możemy tylko próbować.

Marszcząc nos od unoszącego się zapachu, tkaczka snów przeszła do sali naprzeciwko.

- Nie mogę odpowiadać w imieniu całego mojego ludu. Taką decyzję muszą podjąć Starsi.

- Oczywiście. Raeli obejrzała się.

- Trzeba będzie solidnie wyczyścić to miejsce. Auraya uśmiechnęła się z żalem.

- Niektóre sale bardziej niż inne. Chcesz się trochę rozejrzeć? - Wyczytała odpowiedź

w jej myślach. - Więc chodźmy, pokażę ci wszystko i powiem, co chcę przerobić. Chętnie wysłucham twojej opinii na temat systemu doprowadzania wody.

Tym razem kiedy szły dalej korytarzem, Raeli maszerowała obok. Auraya opisywała jej, jak zimna i ogrzana woda popłynie rurami przez budynek. Każde pomieszczenie będzie zaopatrzone w ściek, aby pozwolić na łatwe zmywanie. Będą tu sale do przeprowadzania operacji chirurgicznych, magazyny na leki i narzędzia. Cichym spokojnym głosem Raeli udzielała prostych rad i często myślała o starszych, bardziej doświadczonych tkaczach snów, którzy lepiej się na tym znali.

Kiedy obejrzały już wszystkie pomieszczenia, wróciły do głównej hali. Raeli była milcząca i zamyślona - wspominała, jak to zawsze śmiała się ze swego tytułu doradcy, bo nie wierzyła, żeby Biali kiedykolwiek słuchali jej rad. I nagle spojrzała na Aurayę.

- Miałaś wiadomości od Leiarda? - spytała.

To pytanie wstrząsnęło Aurayą. Spojrzała zdziwiona na tkaczkę.

- Nie - zmusiła się do odpowiedzi. - A ty?

Raeli pokręciła głową. Przeglądając jej myśli, Auraya zrozumiała, że Leiard zniknął nie tylko z jej życia. Od bitwy nie widział go żaden z tkaczy snów. Starsza tkaczy Arleej niepokoiła się i prosiła wszystkich, by dali jej znać, gdyby go spotkali.

Poczuła niepokój i wyrzuty sumienia. Porzucił wszystko i wszystkich z lęku, że Juran albo bogowie ukarzą go za to, że ośmielił się być jej kochankiem? A może po prostu był posłuszny rozkazom Jurana? Ale przywódca Białych twierdził, że nakazał Leiardowi odejść, a nie całkowicie zniknąć.

Ruszyła w stronę korytarza, a za nią Raeli.

Nie nakazał też Leiardowi spać z ladacznicą, przypomniała sobie. Musiał wiedzieć, że odczytam to z jego myśli przy następnym spotkaniu, kiedykolwiek nastąpi, i że odkryję jego niewierność.

Uznał jednak, że romans dobiegł końca. Więc tak naprawdę nie był nielojalny, tłumaczyła sobie. Chociaż... Byłoby to może wybaczalne, gdybyśmy się nie widzieli od dłuższego czasu, ale przecież rozstaliśmy się dzień wcześniej... Stłumiła westchnienie. Przestań o tym myśleć, rozkazała sobie. To do niczego nie prowadzi.

Otwarła drzwi i wyszła na światło słońca. Przed budynkiem czekały dwa platteny: wynajęty, który przywiózł tu Raeli, oraz złocisto - biały, którym podróżowała Auraya. Spojrzała na tkaczkę snów.

- Dziękuję, że przybyłaś, doradco Raeli. Tkaczka skłoniła lekko głowę.

- To była przyjemność, Aurayo z Białych. Przekażę twoją propozycję tkaczce snów

Arleej.

Auraya kiwnęła głową. Patrzyła, jak Raeli wsiada do swego plattenu. Gdy ruszył, przyszedł jej na myśl pewien odgłos: skrzypienie sprężyny, kiedy napinało się pułapkę na grubego zwierza. Jestem jak łowca, myślała. Wiem, że dla dobra innych muszę zastawiać pułapki, ale wcale mi się to nie podoba.

Trzymając wiadro pod wodospadem, Emerahl czekała, aż się napełni. Chociaż tylko dotykało strumienia wody, prąd był tak silny, że bolały ją mięśnie.

Ostatnie kilka dni poświęciła, by zmienić grotę w wygodniejsze lokum. Przewróciła niewielkie drzewo, pocięła je i z drewna zbudowała dwa proste łóżka i parawan, za którym ona i Mirar mogli znaleźć trochę prywatności. Postawiła tam kubły wycięte z kawałków pnia; w takich samych trzymała też wodę do picia.

Ponieważ Mirar musiał pozostawać w kręgu pustki, chodzenie po wodę i zdobywanie pożywienia spadło na nią. Ale jej to nie przeszkadzało. Las był obfitą spiżarnią, pełną jadalnych roślin, zwierząt i grzybów. Od ostatniego razu, kiedy tu była, niewiele się zmieniło. Oczywiście, bez magii i setek lat nagromadzonej wiedzy, życie byłoby trudniejsze. I bardziej niebezpieczne.

W lesie było tyleż roślin trujących, co jadalnych. Zauważyła kilka przepięknych jadowitych owadów, ale kryły się w zakamarkach i otworach, w które tylko dureń wsadziłby rękę. Większe drapieżne zwierzęta, jak leramery czy vorny, mogłyby sprawić kłopoty, gdyby nie dysponowała magią, by je odstraszać. Uważała jednak na zwodnicze działanie sennorośli, która nadawała telepatyczne wezwanie, aby kusić zwierzęta wypoczynkiem na łożu miękkich liści, a jednocześnie oplatała je gałęziami w uchwycie, który dławił i rozczłonkowywał. Dawno temu poznała hodowcę, który zrobił majątek, sprzedając słabszą, karłowatą odmianę tej rośliny możnym tego świata, mającym kłopoty z zasypianiem.

Kubeł był pełny. Mocno chwyciła szorstki uchwyt z powroza i schyliła się po drugie wiadro. Tam trzymała plon popołudniowej wyprawy. Kołysząc się lekko, ruszyła do tunelu.

Wchodząc do groty, zobaczyła, że Mirar leży na swoim posłaniu i wpatruje się w wysokie sklepienie. Otaczała go aura melancholii. Odwrócił głowę, zauważył Emerahl, a potem usiadł powoli.

- Kolacja - powiedziała, gdy stanęła obok.

Milczał. Postawiła oba kubły i spojrzała na duży gładki głaz, który wtoczyła do groty dwa dni temu. To, co było naturalnym, płytkim zagłębieniem w kamieniu, teraz wyraźnie się pogłębiło.

- Dziękuję.

Spojrzał na nią, ale nic nie powiedział.

To Leiard sprawuje kontrolę, uznała. Ale nie melancholia jej to zdradziła - Mirar też miał skłonności do smętnych nastrojów. Jednak kiedy się pojawiła, pewnie rzuciłby jakiś żart czy komentarz. Z nich dwóch był o wiele bardziej gadatliwy.

Nalała wody do otworu w głazie i zaczęła drzeć listki na strzępki.

- Chyba nie zamierzasz tego gotować, co?

Uniosła głowę i zobaczyła, że z powątpiewaniem przygląda się grzybom.

- Nie. - Uśmiechnęła się. - Później je wysuszę. Do mojego nowego zbioru.

- Zbioru czego?

- Leków. Różnych środków. Rozrywek.

- Aha. - Uniósł brwi.

Wyczuła zastanowienie, a potem dezaprobatę. Ta ostatnia, jak odgadła, pojawiła się wraz ze zrozumieniem, co miała na myśli, mówiąc o „rozrywkach".

Rozmowa z Leiardem była jak nieustanne przypominanie starcowi informacji, których zapomniał. Nic dziwnego, że słuchając jej odpowiedzi, równocześnie sięgał do wspomnień Mirara na jej temat. Dowiedział się, że czasami pracowała jako uzdrowicielka, a czasami sprzedawała wywary dla uciech bogatej szlachty.

Miał niekiedy skłonność do nazbyt pochopnych sądów.

Niełatwo było z nim rozmawiać. Nie potrafił odpowiedzieć na pytania, które zwykle zadawała, kiedy chciała kogoś poznać. Pytania takie jak: Od jak dawna jesteś tkaczem snów? Gdzie się urodziłeś? Rodzice? Rodzeństwo?

Powstrzymywała ją też niechęć do przyznania, że jest rzeczywistą osobą. Wydawał się aberracją, osobowością, która jakoś została wszczepiona Mirarowi. Wprawdzie Mirar nie pamiętał, jak i dlaczego to się stało albo czy zgodził się na wszczepienie, czy nie, ale teraz wyraźnie nie był zadowolony z sytuacji. Martwiła się, że przez rozmowy z Leiardem może wzmocnić jego poczucie tożsamości, a zatem zwiększyć przewagę nad Mirarem. Wątpiła jednak, że Leiard odejdzie, nawet jeśli będzie go ignorować.

A może powinnam rozmawiać z nim tak, żeby go osłabiać? Mogę spróbować budzić w nim zwątpienie co do własnej osoby. Dzięki temu może Mirar odzyska pełną kontrolę.

Ale jeśli się myliła? Jeśli to Leiard jest prawdziwy, a Mirar to tylko resztka wspomnień łącza - jak uważał Leiard? Czy istniała metoda sprawdzenia, kto jest rzeczywistym właścicielem tego ciała?

Przerwała pracę i spojrzała w kamienne zagłębienie wypełnione wodą. W jej powierzchni odbijała się twarz Mirara, lecz jej wyraz należał do kogoś innego.

Mirar jest Dzikim, ma dar, którego nie posiada żaden zwykły czarownik. Ma zdolność powstrzymywania starzenia swego ciała. Potrafi perfekcyjnie uzdrawiać, bez żadnych blizn. Jeśli nadal umie robić takie rzeczy, to jest Mirarem.

Mogłaby go wypróbować. Wystarczyłoby kilka doświadczeń, aby sprawdzić, czy jest Dzikim.

Chyba że i Leiard nim jest.

Pokręciła głową. Choć nie niemożliwe, byłoby to chyba zbyt nieprawdopodobnym przypadkiem. Jaka jest szansa, że urodzi się nowy Dziki, który wygląda dokładnie jak Mirar?

Chyba... Chyba że nie urodził się, wyglądając jak Mirar, ale kiedy zyskał tak wiele wspomnień łącza, że nie był już pewien swojej tożsamości, podświadomie zaczął zmieniać wygląd. Mirar powiedział jej, że dwa lata temu wyglądał inaczej.

Zadrżała na tę myśl. Pozwolić, by własna osobowość powoli przemieniała się pod wpływem cudzej, i to do tego stopnia...

A jednocześnie odczuwała egoistyczną radość. Czy naprawdę tak bardzo się martwiła, że ktoś, kogo nie znała, straci tożsamość, jeśli w ten sposób ona odzyska Mirara?

Jestem złą, bardzo złą kobietą, pomyślała.

Wyjęła z kubła grzyby i odłożyła je na bok. Na dnie wiadra, w głębokiej na palec wodzie, leżało kilka słodkowodnych shrimmi. Ich czułki wciąż się jeszcze lekko poruszały. Ściągnęła odrobinę magii i podgrzała wodę w kamiennym zagłębieniu. Kiedy już wrzała, chwyciła shrimmi i cisnęła je do wrzątku, dwa naraz. Krzyknęły piskliwie, umierając, ale i tak była to szybsza śmierć, niż pozwolić, by z wolna udusiły się na powietrzu.

Leiard drgnął lekko, a potem pochylił się. Wyczuła nagłą poprawę jego nastroju. A kiedy spojrzał i uśmiechnął się do niej, wiedziała, że powrócił Mirar.

- Mhm. Kolacja wygląda nieźle. Co mamy na deser? - Nic.

Skrzywił się.

- Siedzę tu i przez cały dzień tyram przy garach, a ty nie potrafiłaś znaleźć dla mnie jakiegoś owocu czy odrobiny miodu?

- Mogłam przynieść trochę ognistych jagód. Słyszałam, że są całkiem słodkie, na języku.

Wykrzywił się.

- Nie, dziękuję. Wolę być błogo nieświadomy moich wnętrzności i ich działania.

Wyjęła shrimmi z wody i wsypała pokruszone liście. Zmiękły szybko. Kiedy uznała, że są już gotowe, sięgnęła po dwa drewniane talerze i rozdzieliła posiłek. Ze stojących obok słojów wyjęła trochę soli i garść smażonych orzechów; posypała nimi jarzyny, przyprawiając

mdłe, ale pożywne danie.

Mirar wziął talerz i jadł ze swym zwykłym entuzjazmem. Ten jeden odruch okazywał też Leiard. Obaj doceniali jedzenie. Emerahl uśmiechnęła się lekko. Człowiek, który nie cieszył się dobrym jedzeniem, musiał mieć jakieś braki charakteru.

- Co jeszcze robiłeś, kiedy mnie nie było? - spytała. Wzruszył ramionami.

- Myślałem. Rozmawiałem ze sobą. - Zmarszczył nos. - Kłóciłem się ze sobą.

- Och? I kto wygrał?

- Chyba ja.

- A o co się kłóciłeś?

Obrał shrimmi i wrzucił skorupkę do kubła.

- Kto jest właścicielem tego ciała.

- Do czego doszliście?

- Że ja. - Spojrzał na siebie. - Rozpoznaję je. Ty mnie rozpoznajesz. A zatem musi być moje.

Uśmiechnęła się.

- Wydawało mi się, że wpadłam na pomysł, jak tego dowieść. Gdybyś potrafił wykazać, że jesteś Dzikim, wiedziałbyś, że ciało jest twoje.

Zaśmiał się.

- Ale?

- Ale może Leiard jest nowym Dzikim?. Jeśli został zakażony twoimi wspomnieniami łącza, a ty używałeś jego mocy, by zmienić ciało i uczynić je podobnym do twojego?

- Zakażony? - Zrobił urażoną minę. - To niezbyt pochlebne określenie.

- Nie - zgodziła się. Przez chwilę patrzyła mu w oczy. Odwrócił wzrok.

- To możliwe. Nie wiem. Chciałbym pamiętać. Wyczuła jego zniechęcenie i ogarnęło ją współczucie. A potem pojawił się nowy pomysł.

- Pamięć. Może ona jest kluczem. Aby wiedzieć, kim jesteś naprawdę, musisz odzyskać wspomnienia.

Mirar zaniepokoił się.

- Jeśli jestem manifestacją wspomnień łącza, nie ma nic do odzyskiwania.

Wstała i zaczęła krążyć po jaskini.

- Tak, ale jeśli nie jesteś, to będziesz miał wspomnienia, których nie mógłby mieć Leiard.

- Na przykład? Nabrała tchu.

- Ten sen o wieży. Przypuszczam, że to wspomnienie twojej śmierci.

- Sen o śmierci, który dowodzi, że żyję? - Uśmiechnął się drwiąco. - Niby jak z tego wynika, że to moje ciało? To przecież może być następne wspomnienie łącza. Mogłem myślowo nadać to doświadczenie, ktoś je odebrał i przekazał innym, a ci inni Leiardowi.

- Ale ani ty, ani Leiard nie pamiętacie, żebyście mieli ten sen.

- Nie. - Zastanowił się. - A jednak wierzysz, że to ja jestem źródłem...

Usiadła.

- Sen stawał się coraz silniejszy, im bliżej byłam ciebie. Teraz jesteśmy bardzo daleko od innych ludzi, a jednak wciąż jest bardzo silny. I śni mi się tylko wtedy, gdy ty także zasypiasz.

- Jak mogę nadawać sen, o którym nie wiem, że go śnię? - zapytał.

Lecz z jego tonu wiedziała, że odgadł już odpowiedź. W końcu dobrze się znał na materii snów.

- Nie zawsze pamiętamy nasze sny - przypomniała mu. - A to jest sen, którego może nie chcesz pamiętać.

- Więc jeśli zmuszę się, aby go pamiętać, to może będę mógł przypomnieć sobie inne rzeczy. Na przykład dlaczego w mojej głowie jest inna osoba.

- To nie powinno być takie trudne dla założyciela sekty tkaczy snów.

Zachichotał.

- Muszę zadbać o swoją reputację.

- Owszem. - Wytrzymała jego spojrzenie. - Reputację, która nie ucierpiała przez ostatnie sto lat. Jeżeli jesteś Mirarem, bogowie raczej nie ogłoszą święta, aby uczcić twój powrót. A więc pora już, bym zaczęła cię uczyć ukrywać myśli. Zaczniemy od razu?

Z rezygnacją pokiwał głową i odstawił pusty talerz.

Starsza tkaczy snów Arleej nalała dwa pucharki ahmu, zaniosła je do krzeseł przy kominku i wręczyła jeden Neeranowi. Stary tkacz z wdzięcznością przyjął napój i wychylił go jednym haustem.

Arleej upiła łyk i z uwagą przyglądała się przyjacielowi. Nic nie mówił o nowinach. Przeszedł tylko do krzesła i osunął się na siedzenie. Zajęła miejsce naprzeciw i odstawiła pucharek.

- Jak myślisz, co powinniśmy zrobić? Neeran ukrył twarz w dłoniach.

- Ja? Nie mogę podjąć takiej decyzji.

- Nie, nie możesz. O ile pamiętam, nie jesteś przywódcą tkaczy snów.

Opuścił dłonie i spojrzał na nią morderczo.

- Więc dlaczego zawsze słuchasz moich rad? Parsknęła śmiechem.

- Bo zawsze są dobre. Skrzywił się.

- Doradzałbym ostrożność, ale jakaś część mnie chce to wykorzystać, zanim okaże się, że Aurai znudzi się kolejny kaprys i znajdzie sobie jakieś inne zajęcie.

Arleej zmarszczyła czoło. Czasem niemal żałowała, że powiedziała Neeranowi o romansie Leiarda z Aurayą z Białych. Nie wpłynęło to dobrze na jego opinię o jednej z przywódców cyrklian, a ta dezaprobata przypominała jej, aby nie dała się oczarować tej Białej, która lubi tkaczy. Kiedy Neeran uznał, że to Auraya była przyczyną upadku Leiarda, nie był daleki od prawdy.

Lecz Arleej nie miała pojęcia, gdzie teraz przebywa Leiard. Zniknął zaraz po bitwie i nie umiała skontaktować się z nim przez sny. Była zmuszona przejąć szkolenie Jayima, ale na razie tego nie żałowała. Chłopak okazał się zdolnym i posłusznym studentem.

Niezależnie o tego, czy to Auraya była powodem zniknięcia Leiarda, czy nie, wydawało się, że nadal chce działać dla pokoju i zgody między cyrklianami i tkaczami snów. Ta ostatnia oferta - utworzenie w Jarime szpitala, gdzie tkacze i uzdrowiciele mogliby pracować razem - była zaskakująca, ale nadeszła w samą porę. Cyrklianie wiedzieli, ile tkacze snów uczynili dobrego dla rannych na polu bitwy. Poganie wykazali swą wartość kapłanom uzdrowicielom. A zatem było rozsądne, że najlepsza droga do pokoju i tolerancji prowadzi poprzez leczenie.

- Ale gdzie tu jest haczyk? - spytała głośno. Neeran spojrzał na nią i uśmiechnął się lekko.

- Haczyk?

- Tak. Czy tkacze snów uznają, że cyrkliański sposób życia jest lepszy, porzucą nas i przyłączą się do nich?

Starzec zachichotał.

- A może cyrklianie stwierdzą, że wolą nasz styl życia i zdobędziemy zbyt wielu nowych studentów?

Sięgnęła po pucharek, upiła trochę, a potem znów go odstawiła.

- Jak blisko będą pracować ich i nasi ludzie? Jeśli nagle zdecydują, że nasze leki i metody są skuteczne, czy spróbują je stosować?

- Prawdopodobnie. Ale przecież nigdy nie robiliśmy z nich tajemnicy.

- Nie. Zresztą wątpię, że ich zainteresowanie i tolerancja obejmą także umiejętności łączenia umysłów.

Neeran zmarszczył nos.

- W większej części Ithanii Północnej wciąż obowiązuje prawo zakazujące sennych

połączeń. Tkacze snów powinni unikać wszelkich tego typu połączeń z pacjentami, jeśli cyrklianie to obserwują. Nie sądzę, by Biali chcieli nas skłonić do zakazanych działań, żeby potem uwięzić, ale w tych sprawach nadal powinniśmy zachować ostrożność.

- Owszem - zgodziła się i spojrzała na niego z uwagą. - Mam wrażenie, że sugerujesz, bym przystała na tę propozycję.

Popatrzył jej w oczy, a potem odwrócił wzrok i wolno pokiwał głową.

- Tak. Ale... uzyskaj też zgodę pozostałych.

- Dobrze. Będziemy głosować. Dziś w nocy połączę się we śnie z przywódcami w innych krainach. - Podniosła pucharek i oddała go Neeranowi. - Potrzebny mi będzie jasny umysł.

Wziął od niej naczynie z napojem, ale go nie wypił. Popatrzył na nią tylko z dziwną miną.

- Mam straszne przeczucie, że oto stajemy wobec chwili wielkiej przemiany. Albo stracimy cudowną okazję, aby udowodnić naszą wartość mieszkańcom Północnej Ithanii, albo staniemy się zbędni.

Arleej pokręciła głową.

- Nawet jeśli cyrklianie przewyższą nas w uzdrawianiu, nawet jeśli nauczą się leczyć przez sny i łącza umysłów, nigdy nie staną się tym, kim my jesteśmy. Ci, którzy szukają prawdy, zawsze przyjdą do nas.

- Tak. - Uśmiechnął się i uniósł naczynie. - Wypiję za wspomnienia łącza.

6

Minął tydzień, ale nastroje Sług się nie poprawiły. Reivan kilka razy dziennie zastanawiała się, czy tylko ona budzi w nich taką niechęć. Rozmowy milkły, kiedy się zbliżała. Gdy zwracała się do kogoś z pytaniem czy prośbą, odpowiadał szybko i pogardliwie. Czasami, kiedy mijała w korytarzu dwójkę Sług, jeden pochylał się do ucha drugiego i coś szeptał.

Powtarzała sobie, że po prostu nie jest przyzwyczajona do tutejszych zwyczajów. Słudzy w klasztorze, gdzie się wychowywała, byli spokojni i opanowani, ale w ostatnich latach obracała się już w bardziej aktywnym towarzystwie. Myśliciele może i jej nie szanowali, ale zawsze mogła zacząć z nimi niezobowiązującą rozmowę lub podyskutować na jakiś temat. Przyzwyczaiła się do życia wśród ludzi energicznych i bardziej przyjaznych - to wszystko.

Oddana Sługa Drewa i inni, którzy sprawdzali wiedzę i zdolności Reivan, traktowali ją sprawiedliwie. Doceniali mocne strony i nie podkreślali słabości, nawet oczywistego braku Talentów. Inni potencjalni kandydaci do Sanktuarium byli uprzejmie przyjaźni, jak zwykle młodzi ludzie wobec osób nie w tym samym wieku.

Kąpiele w Sanktuarium z naddatkiem wynagradzały jej ciasny pokoik. Czystość uznawano za kluczową cechę Sług Bogów i codzienna poranna godzina namakania, szorowania i spłukiwania traktowana była jako niezbędna dla każdego mężczyzny i każdej kobiety. Odświeżona Reivan włożyła prostą odzież, jaką otrzymała w Sanktuarium, i wyszła z kabiny. Kiedy mijała jakieś drzwi, usłyszała urywek rozmowy z zaparowanego pomieszczenia za nimi.

- ...wyświęcić tę pupilkę Imenji?

- Przeszła testy? Myślałam, że jest nieutalentowana.

- Rozkaz przyszedł od Drugiego Głosu. Mam ją przepuścić, jeśli tylko pokona inne próby.

Reivan zamarła. Pupilka Imenji? Na pewno rozmawiały o niej. O ile wiedziała, nikt inny z kandydatów nie miał związków z Imenją.

- Nie rozumiem tego... - odezwał się pierwszy głos. Reivan zdziwiła się, gdy rozpoznała Oddaną Sługę Drewę. - Po co robić z niej Sługę, jeśli nie ma żadnych zdolności magicznych? Dlaczego nie może zostać doradcą?

Reivan poczuła ucisk w żołądku.

- Słyszałam, że poprosiła o to jako o nagrodę.

- Jak to? Bycie Sługą to nie coś, co się daje jak cukierka grzecznemu dziecku!

- Hm... - odezwał się trzeci głos. - Teraz chyba jeszcze mniej ją lubię... Gdyby było jej przeznaczone zostać Sługą, urodziłaby się z większymi zdolnościami.

Zbliżające się kroki przywróciły ją do rzeczywistości. Każdy, kto by ją zobaczył pod drzwiami, uznałby, że szpieguje, a przecież nie chciała dostarczać Sługom dodatkowych powodów do niechęci.

Szybko ruszyła przed siebie.

Już w swoim pokoju, usiadła na krawędzi łóżka i westchnęła.

Czyli jednak nie byłam nadmiernie podejrzliwa, pomyślała. Traktują mnie inaczej. A to dlatego że jestem nieutalentowana.

Co zresztą nie powinno zaskakiwać. To właśnie Talenty ich wyróżniały - tak jak inteligencja gwarantowała społeczną pozycję Myślicielom. To ironia losu, odkryć nagle, że Słudzy tak samo nie są pewni swej wyższości, jak Myśliciele.

To ich słabość, myślała. Ale nie taka, jaką mogłabym łatwo wykorzystać. Nie jestem tutaj, żeby pokonać Sługi w jakichś zawodach, tylko żeby stać się jedną z nich.

Kroki w korytarzu zatrzymały się nagle przed jej pokojem i zobaczyła, że coś wsuwa się przez szczelinę pod drzwiami. Wstała i schyliła się, by to podnieść.

Wzięła do ręki niewielki zwój, trochę pognieciony w miejscu, gdzie wciskano go pod drzwi. Parsknęła, widząc, że zaadresowany jest do „Sługi Reivan Reedcutter".

Nie jestem jeszcze Sługą, pomyślała rozbawiona.

Odwróciła zwój i poczuła, że rozbawienie ulatnia się nagle - zobaczyła pieczęć Myślicieli. Przełamała ją, rozwinęła pergamin i zaczęła czytać.

Sługo Reivan Reedcutter!

Doniesiono nam, że wkroczyłaś do Sanktuarium z intencją zostania Sługą. Ponieważ wymaga to poświęcenia bogom całego Twego czasu, majątku i życia, nie będziesz już w stanie wypełniać obowiązków Myśliciela. Człowiek nie może służyć dwóm panom. Twoje członkostwo zostało cofnięte.

Pierwszy Myśliciel

Hitte Sandrider

Reivan czuła, jak mocno bije jej serce. Zaklęła pod nosem. Jeśli nie pokona testów i

nie zostanie Sługą, opuści Sanktuarium bezdomna, posiadając tylko kilka drobiazgów i żadnych legalnych możliwości zarobkowania czymkolwiek poza pracą fizyczną. Jej przyszłość - nawet życie - zależały teraz od egzaminów, których nie mogła zdać.

Nie, pomyślała i odetchnęła głęboko, by się uspokoić. Imenja dotrzymała słowa. Rozkazała Drewie nie zwracać uwagi na mój brak zdolności magicznych. Muszę mieć nadzieję, że pokonam inne testy.

Ktoś zapukał do drzwi. Wsunęła list pod materac i otworzyła.

W korytarzu stała Oddana Sługa Drewa, trzymająca zawiniątko z czarnego materiału.

- Włóż to i przyjdź od mojego pokoju - poleciła. Reivan zamknęła drzwi i rozwinęła pakunek - to była szata Sługi. Kiedy się przebierała, serce znowu zabiło jej szybciej. Wygładziła materiał i zastanowiła się, jak w nim wygląda. Czy pasuje? Czy nadaje jej ten władczy wygląd, który tak podziwiała u Sług?

W zawiniątku nie znalazła gwiaździstego wisiora Służby. Ten otrzyma, kiedy ukończy nowicjat.

Wciąż jeszcze muszę się dużo nauczyć, myślała. Niczego nie będą mi ułatwiać, ale może to nawet lepiej. Zostanie Sługą nie powinno być łatwe. Muszę wykazać, że jestem tego godna.

Wyprostowała się.

I wykażę. Choćby po to by, usprawiedliwić poparcie Imenji.

Wychodząc z pokoju, starała się podtrzymywać w sobie tę determinację. Inni kandydaci, także okryci czernią, biegali podnieceni tam i z powrotem po korytarzu, pukając do drzwi kolegów. Któryś zobaczył ją i uśmiechnął się szeroko.

Odpowiedziała uśmiechem.

Z chaosu uformowała się kolumna młodych ludzi w czarnych szatach, zmierzająca do pokoju Drewy. Oddana Sługa czekała przed drzwiami. Przyglądała się im kolejno i kiwała głową.

- Już czas - oświadczyła.

Odwróciła się i poprowadziła ich wzdłuż przejścia do głównego korytarza, a potem w górę.

Idąc za grupą kandydatów, Reivan nie mogła nie myśleć o podsłuchanych w łaźni słowach Drewy. Czuła się trochę zdradzona. Do tej pory uważała kobietę za najmniej nieprzyjazną ze wszystkich spotkanych Sług. Jak widać, dobrze skrywała swoje uczucia.

Szli coraz wyżej. Dolne Sanktuarium było prawdziwym labiryntem budynków, ale korytarz przecinał je w linii prostej. W końcu dotarli do bielonych ścian Środkowego

Sanktuarium, a tu Drewa zostawiła ich przed wąskimi drzwiami, za którymi sama zniknęła.

Jeden po drugim, przyszli Słudzy wchodzili do środka. Kiedy Reivan znalazła się już dostatecznie blisko, by zajrzeć do wnętrza, zobaczyła dużą salę z czarnymi ścianami. Podłogę pokrywały czarne kafelki.

To Gwiaździsta Komnata!

Za chwilę miała wkroczyć do miejsca, gdzie odbywały się najważniejsze ceremonie. Miejsca, w którym Głosy obcowały z bogami. Zauważyła wewnątrz ciemnoskórych Dekkarczyków z południowych dżungli, jasnoskórych i wysokich mężczyzn i kobiety z pustynnych ras Avvenu oraz ludzi z Murru o szerokich obliczach i włosach barwy piasku. Było także kilku wyraźnie mieszanego pochodzenia. Wszyscy nosili czarne szaty i wszyscy mieli być świadkami, jak staje się Sługą - nowicjuszką. Reivan zdała sobie sprawę, że obgryza paznokcie - stare przyzwyczajenie z dzieciństwa - i z wysiłkiem opuściła ręce.

Młodzieniec przed nią wkroczył do sali. Nic teraz nie przesłaniało jej widoku i mogła się dobrze przyjrzeć pomieszczeniu. Miało pięć ścian. Osadzona w podłodze srebrna wstęga wykreślała gwiazdę, której ramiona sięgały kątów sali. A w samym środku stała znajoma postać... Radość wypełniła serce Reivan.

Imenja!

Głos wyciągnęła do młodego człowieka rękę, otwartą dłonią do góry i z rozłożonymi palcami. Wymówiła słowa rytuału. Chłopak nerwowo przyłożył swoją dłoń, Reivan usłyszała, jak coś mamrocze, a Imenja odpowiada. Potem Głos wykreśliła na piersi znak gwiazdy, a on postąpił podobnie. Skłonił głowę i pospiesznie dołączył do stojących niedaleko Sług - nowicjuszy.

Imenja spojrzała na Reivan, uśmiechnęła się i skinęła na nią.

Dziewczyna nabrała tchu i wkroczyła do komnaty, miała nadzieję, że z godnością. Zatrzymała się przed Głosem. Imenja uśmiechnęła się szerzej.

- Reivan z Myślicieli - powiedziała. - Wiele ci zawdzięczamy, ale nie dlatego dzisiaj się tu znalazłaś. Stoisz przede mną, ponieważ pragniesz służyć bogom ponad wszystko i ponieważ wykazałaś, że jesteś tego godna. - Wyciągnęła rękę. - Czy przysięgasz służyć bogom i być im posłuszna ponad wszystko inne?

Reivan przyłożyła dłoń do dłoni Imenji.

- Przysięgam.

- A zatem od tej chwili będziesz Sługą nowicjuszką Reivan. Witaj wśród nas.

Ich ręce się rozłączyły. Reivan była świadoma każdego dźwięku, szurania stóp, każdego stłumionego kaszlu wśród patrzących. Imenja wykonała znak gwiazdy. Dłoń Reivan

poruszyła się w symbolicznym geście, jakby miała własną wolę. Dziewczyna skłoniła głowę i odstąpiła. Nogi jej drżały, kiedy przechodziła do grupy innych nowicjuszy.

- Dzisiaj ośmioro młodych mężczyzn i kobiet postanowiło poświęcić bogom swoje życie - oznajmiła spokojnym głosem Imenja. - Powitajcie ich. Nauczajcie ich. Pomóżcie im zrealizować ich potencjał. Oni są naszą przyszłością.

Kiedy wyszła ze środka gwiazdy, w sali zabrzmiały inne głosy. Słudzy odchodzili od ścian, ich sandały stukały i szurały o podłogę. Niektórzy podchodzili do nowicjuszy, których chyba znali. Reszta zbierała się w dyskutujących grupkach, a ich słowa odbijały się echem po sali. Reivan zasmuciła się, widząc, że Imenja znika za drzwiami.

Nie wiedziała, co powinna teraz robić. Nikt nie podchodził, żeby udzielić jej instrukcji, więc stała nieruchomo i obserwowała ludzi wokół siebie. Nikt na nią nie patrzył. Trochę się zdziwiła, że zasmuciła ją ta samotność.

Widząc, że niektórzy Słudzy wychodzą z sali, uznała, że też chyba może się wymknąć. Zaczęła przesuwać się wolno do wyjścia. Miała nadzieję, że nikt nie potraktuje tego jako niegrzeczność.

- Sługo - nowicjuszko Reivan...

Głos był męski i nieznajomy. Reivan obejrzała się i zobaczyła, że idzie w jej stronę przystojny Oddany Sługa. Nazywał się Nekaun - jeden z niewielu, na których zwróciła uwagę na wojnie.

Zawsze jakoś łatwiej pamiętać imiona ładnych ludzi, pomyślała.

Uśmiechał się cierpliwie, kiedy z szacunkiem kreśliła na piersi znak gwiazdy.

- Witaj w Sanktuarium, Reivan - powiedział. - Jestem Nekaun.

Skłoniła głowę.

- Witaj, Oddany Sługo Nekaunie.

- Będziesz dobrą Sługą.

W jego głosie nie było ani śladu drwiny. Udało jej się uśmiechnąć, choć obawiała się, że wyglądało to bardziej jak grymas.

- Mam nadzieję. Zmarszczył czoło.

- Sądzę, że czujesz się, jakbyś tutaj nie pasowała. Mam rację?

- Chyba tak. - Wzruszyła ramionami.

- Nie staraj się dopasować za bardzo. Imenja nie dlatego cię wybrała, że jesteś taka, jak wszyscy inni.

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale nie mogła się zdecydować, jakich słów użyć. Nekaun uśmiechnął się, a jej na moment zamarło serce.

Na bogów, z bliska jest jeszcze przystojniejszy, stwierdziła w myślach.

Nie wiedziała, co powiedzieć, ale nie miało to znaczenia, bo on rozglądał się już po sali.

- Ależ dyskutują... - rzekł. - Wiesz o czym? Odruchowo pokręciła głową, ale natychmiast uświadomiła sobie, że przecież wie.

- Kto będzie następnym Pierwszym Głosem. Przytaknął.

- Od naszego powrotu nie przestają plotkować. Minął dopiero tydzień, a już boję się o własny umysł.

Pokręcił głową, ale błyski w oczach przeczyły jego zasmuceniu.

- Przypuszczam, że wszyscy będziecie się bardzo starać, żeby zrobić na nas dobre wrażenie - rzekła śmiało.

I natychmiast poczuła, że się rumieni. Czy ja flirtuję?

- To aż tak oczywiste? - Parsknął. - Pewnie, że tak, ale nie myśl, że rozmawiam z tobą, by zyskać twoje poparcie. Naprawdę dobrze ci życzę i z zainteresowaniem będę śledził twoje postępy.

Trochę się rozluźniła, słysząc to szczere wyznanie, choć nie całkiem rozumiała dlaczego.

- Tym lepiej. Ponieważ jestem tylko Sługą - nowicjuszką, nie będę głosować. Zresztą tak otwarta rozmowa ze mną nie przysporzy ci popularności w Sanktuarium.

Natychmiast pożałowała tych słów.

Głupia dziewucho... Jeśli będziesz powtarzać, że jesteś niepopularna, uzna, że masz rację, i nigdy już się do ciebie nie odezwie...

Roześmiał się.

- Myślę, że nie doceniasz swojej pozycji tutaj. Albo przeceniasz siłę zazdrości, sądząc, że może wpłynąć na wybór. Imenja cię ceni. Kiedy inni Słudzy przestaną się o to dąsać, będą pamiętać, kto cię tu sprowadził. A wtedy będziesz musiała się zmierzyć z całkiem nowymi problemami.

Nie potrafiła powstrzymać gorzkiego śmiechu.

- Dziękuję za słowa pocieszenia. Wyprostował się.

- To tylko przyjacielskie ostrzeżenie. Nie czas teraz na beztroskę. Jeśli Imenja planuje uczynić cię swoją powierniczką i doradcą, a myślę, że tak, musisz nauczyć się w Sanktuarium więcej niż tylko prawa i teologii. Będziesz... - Spojrzał ponad jej ramieniem. - Miło było z tobą porozmawiać, Reivan. Mam nadzieję, że zdarzy się jeszcze okazja.

- Ja również - rzuciła, gdy odchodził.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła, jak na Nekauna patrzy inny Oddany Sługa.

Interesujące. Ciekawe, o co mu chodziło. Może to jedna z tych rzeczy, których powinnam się nauczyć oprócz prawa i teologii?

Ku jej zaskoczeniu, sugestia wewnętrznych konfliktów w Sanktuarium pobudziła jej ciekawość. Z nowym zainteresowaniem obserwowała twarze wokół siebie. Byłoby łatwiej, gdyby znała imiona tych ludzi.

Pora już, żebym się o nich czegoś dowiedziała...

Mirar obudził się z silnym wrażeniem, że jest jeszcze za wcześnie, by wstawać. A potem usłyszał ciężki oddech i lęk odpędził ostatnie resztki snu. Usiadł, otworzył oczy i stworzył iskierkę światła.

Emerahl uniosła się na łokciu, przyciskając dłoń do piersi, i spróbowała uspokoić oddech. Rzuciła mu zbolałe, oskarżycielskie spojrzenie.

- Ten sen? - zapytał.

Przytaknęła, usiadła i spuściła nogi z łóżka.

- Ty?

Pokręcił głową.

- Nic. Jesteś pewna, że to ja je wysyłam?

- Ocknęliśmy się w tej samej chwili - zauważyła.

- Pewnie dlatego że to ty mnie zbudziłaś. Spojrzała z niechęcią...

- Nie traktujesz tego poważnie. Zabębnił palcami o ramę łóżka.

- Nie mam problemów z opanowaniem snów, o których wiem. Zapomniany sen jest albo wyjątkowo znaczący, albo kompletnie nieważny. - Oparł łokcie na kolanach, a brodę na dłoniach. - Gdybym był własnym pacjentem, spróbowałbym połączenia snów. Zachęcałbym, aby pacjent ujawnił swój sen i się z nim zmierzył; popychałbym go w tamtym kierunku. A gdybym wcześniej widział jakieś urywki, byłoby mi znacznie łatwiej.

- Chcesz, żebym się z tobą połączyła?

Spojrzał na Emerahl. W jej głosie pojawił się leciutki ton wahania.

- Tylko jeśli nie sprawi ci to kłopotu.

- Oczywiście, że nie sprawi - odparła. - Ratowałeś mnie dostatecznie często. Pora się zrewanżować.

Uśmiechnął się krzywo.

- Rzeczywiście pora. Pamiętasz, jak się łączy we śnie?

- Tak. - Ściągnęła wargi. - Chociaż trochę wyszłam z wprawy.

- Damy radę - pocieszył ją. Znowu się położył. - Zasnę teraz i połączę się z tobą, a

kiedy to nastąpi, pokaż mi fragmenty tego, co widziałaś. Ale nie wszystko. Twoje wspomnienie powinno podziałać tylko jako impuls uruchamiający oryginalny sen. O ile jest mój.

Zamknął oczy. Łóżko Emerahl zaskrzypiało, kiedy się kładła. Przez chwilę przewracała się niespokojnie; w którymś momencie nawet mruknęła ze złością, że nie może zasnąć akurat wtedy, kiedy to jest potrzebne. Ale potem jej oddech zwolnił i zaczął się pogłębiać.

Mirar wprowadził się w senny trans.

W stanie, jaki próbował osiągnąć, umysł dryfował pomiędzy uwolnionymi snami a świadomą kontrolą. Przypominał trochę dziecko, bawiące się łódką w strumieniu. Tą łódką był umysł, który prądy niosły, gdzie chciały, a on mógł sterować tylko delikatnymi pchnięciami albo mieszając wodę. Zawsze też mógł wyjąć łódkę, gdyby zawędrowała gdzieś, gdzie by nie chciał.

: *Emerahl!* zawołał.

Odpowiedziała mu długa chwila ciszy. A potem jakiś zaspany umysł dotknął jego.

: *Mirar? Stanowczo wyszłam z wprawy. Pokazać ci teraz ten sen?* zapytała.

: *Kiedy będziesz gotowa. Nie warto się spieszyć.*

Zamiast ją uspokoić, te słowa wzbudziły mieszaninę podniecenia i lęku. Przez osłony przebiły się rozbłyski myśli i obrazów. Zobaczył scenę nieznaną w szczegółach, ale o znajomym kontekście... Wspaniały, przestronny pokój. Piękne kobiety. Nie tak bardzo przystojni mężczyźni, oceniający te kobiety.

A jednocześnie wyczuwał jej pragnienie, by coś przed nim ukryć, by go nie rozczarować. Widział dosyć, by zrozumieć, co to takiego, i na chwilę poczuł gniew. Znowu to robiła: sprzedawała swoje ciało mężczyznom. Dlaczego sama siebie tak traktuje?

I wtedy w głębi umysłu poruszyła się znajoma obecność tego drugiego.

Jest ladacznicą? Zaskoczenie Leiarda było zabarwione dezaprobatą.

Bywała, od czasu do czasu, odparł Mirar, jakby ją tłumaczył. *Zawsze z konieczności.*

A ty... ty już kiedyś uratowałeś ją z takiego życia.

Tak.

Mirar uświadomił sobie, że oderwał się od umysłu Emerahl. Wyszedł z sennego transu i był już całkiem przytomny. Od strony drugiego posłania usłyszał westchnienie i skrzypnięcie.

- Mirar? - wymruczała Emerahl.

Odetchnął głęboko, usiadł i stworzył światło. Emerahl siedziała przygarbiona na

brzegu łóżka. Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy, ale zaraz odwróciła wzrok.

- Znowu to zrobiłaś - powiedział.

- Musiałam. - Westchnęła ponownie. - Ścigali mnie. Kapłani.

- Więc zostałaś ladacznicą? Ze wszystkich możliwości musiałaś wybrać tak poniżającą... - Pokręcił głową. - Potrafisz zmienić swój wiek, więc czemu uciekasz się do takich rzeczy? Czemu nie stałaś się staruchą? Nikt by na ciebie drugi raz nie spojrzał. Przecież chyba łatwiej się ukryć jako stara baba niż jako piękna...

- Oni szukali staruchy - przerwała mu. - Starej zielarki. Nie mogłam już sprzedawać leków, a jakoś musiałam zdobywać pieniądze.

- Więc czemu nie zostałaś dzieckiem? Nikt by nie podejrzewał dziecka o bycie czarownicą, a ludzie współczuliby ci i pomagali.

Rozłożyła ręce.

- Przemiana bardzo mnie wyczerpuje. Wiesz o tym. Gdybym cofnęła się tak daleko, byłabym za słaba, żeby o siebie zadbać. Miasto było pełne zdesperowanych dzieciaków. Musiałam stać się kimś, komu kapłani nie zechcą się zbyt dokładnie przyglądać. Czyich myśli nie będą próbowali odczytać.

- Odczytać? - Mirar zmarszczył brwi. - Kapłani nie mogą czytać w myślach. Tylko Biali to potrafią.

- Mylisz się. Niektórzy mogą. Jedno z dzieci, z którymi się zaprzyjaźniłam, podsłuchało rozmowę kapłanów. Mówili o tym, który mnie tropi. Powiedzieli, że może czytać myśli i że szuka kobiety, której umysł jest ukryty. I to dziecko nie kłamało.

Mirar poczuł, że jego gniew słabnie. Jeśli bogowie mogą dać tę zdolność Białym, to czemu nie kapłanowi śledzącemu czarownicę? Westchnął. To, co zrobiła, mimo wszystko nie przestawało go irytować.

- No więc stałaś się młoda i piękna! Świetny sposób, żeby nie zwracać na siebie uwagi.

Gdy spojrzała na niego, zauważył jej powiększone z gniewu źrenice.

- Sugerujesz, że postąpiłam tak z próżności? Albo że jestem chciwa i pragnęłam pięknych sukni i złota?

Popatrzył jej prosto w oczy.

- Nie - rzekł. - Myślę, że gdybyś naprawdę chciała, mogłaś uniknąć takiego życia. Czy choć spróbowałaś czegoś innego?

Milczała, ale z jej miny wywnioskował, że nie.

- Nie - odpowiedział sam sobie. - Całkiem jakby coś cię tam ciągnęło, choć wiesz, że

to szkodliwe. Martwię się o ciebie, Emerahl. Martwię się, że ukrywasz jakąś niezdrową potrzebę krzywdzenia siebie. Jakbyś... jakbyś chciała się ukarać, może z powodu jakiegoś wstrętu do siebie...

Zmrużyła oczy.

- Jak śmiesz! Tłumaczysz mi, że to krzywdzące, i masz mi za złe, że znowu wybrałam takie rozwiązanie, ale sam nigdy się nie wahałeś przed korzystaniem z usług ladacznic! Słyszałam, jak chwaliłeś się kiedyś, że byłeś tak regularnym klientem któregoś zamtuzu w Aime, że co trzecią noc dostawałeś za darmo!

Mirar wyprostował się gwałtownie.

- Nie jestem taki, jak ich normalni klienci - oświadczył. - Jestem... delikatny.

- I to cię wyróżnia? - Tak.

- W jaki sposób?

- Inni mężczyźni nie są tacy delikatni. Bywają brutalni.

- A ja umiem się bronić.

- Wiem o tym, ale...

- Ale co?

- Jesteś moją przyjaciółką. Nie chcę, żebyś była nieszczęśliwa.

- Nie uważam tego za egzystencję tak nędzną, jak ci się wydaje - odparła. - Owszem, nie jest to najprzyjemniejsza profesja, jaką może się zajmować kobieta... choć niektóre są całkiem zadowolone... ale też nie jest najgorsza. Wolałbyś raczej, żebym siedziała w rynsztoku i żebrała albo cały dzień męczyła się w jakimś ścieku czy na śmietnisku za kawałek chleba?

Wzruszył ramionami. - Tak.

Pochyliła się.

- Ciekawe, co o tym myśli Leiard - powiedziała, patrząc mu badawczo w oczy. - Co myślisz, Leiardzie?

Nie zdążył zaprotestować. Zwracając się do Leiarda, uwolniła jego umysł. Mirar stracił kontrolę nad ciałem. Teraz mógł tylko obserwować.

- Uważam, że Mirar jest hipokrytą - oświadczył spokojnie Leiard.

Emerahl uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Naprawdę?

- Tak. Wielokrotnie sam sobie przeczył. Kilka miesięcy temu powiedział mi, że nie chce dłużej istnieć, a teraz wydaje się, że jednak tego pragnie.

Przyjrzała mu się zdziwiona.

- Tak mówił?

- Tak. Uważasz, że to on jest prawdziwą osobą, a ja nie. Więc teraz on również w to wierzy.

Straciła pewność siebie.

- Jestem gotowa uznać tezę przeciwną, Leiardzie. Ale musisz to udowodnić.

- A jeśli nie zdołam? Czy poświęcisz mnie, aby zachować swojego przyjaciela?

Minęła długa chwila, nim odpowiedziała.

- A co byś wolał? Leiard spuścił głowę.

- Jestem rozdarty... - Uśmiechnął się z tego niezamierzonego żartu. - Być może dla wielu byłoby lepiej, gdybym przestał istnieć. Ale przekonałem się, że wcale nie lubię byłego przywódcy mojego ludu. Nie jestem pewien, czy to rozsądne, by narażać świat na jego ponowną obecność.

Uniosła brwi, a potem zaskoczyła Mirara i Leiarda, wybuchając śmiechem.

- Wychodzi na to, że nie jestem jedyną osobą, która samej siebie nienawidzi! Czyżbyś dawał zły przykład, Mirarze?

Mirar odetchnął z ulgą, kiedy odzyskał panowanie nad ciałem. Emerahl spojrzała na niego podejrzliwie.

- Wróciłeś?

- Istotnie.

- Czyli wystarczy użyć waszych imion... Zwrócić się do jednego albo drugiego. Ciekawe. - Uniosła głowę. - Dlaczego mi tego nie powiedziałeś?

Wzruszył ramionami.

- Nieczęsto zwracałaś się do Leiarda, dlatego przez większość czasu to ja dysponowałem ciałem.

- Jak niby mam ci pomóc, jeśli nie mówisz mi wszystkiego?

- Wolę sprawować kontrolę. Zmrużyła oczy.

- Czy aż tak, żeby zniszczyć umysł innego człowieka? Nie odpowiedział. Dał jej już dość powodów do nieufności.

Pewnie by mu teraz nie uwierzyła. Nie był pewien, czy sam by uwierzył.

- Idę spać - poinformowała. - I nie chcę, żeby mi ktokolwiek przeszkadzał.

Położyła się i odwróciła. Jej plecy były niczym wyrzut.

- Emerahl... Nie reagowała.

- Kapłani nie mogą czytać w myślach. Mogą się porozumiewać przez swoje pierścienie, ale nic więcej. Być może spotkałaś jakiegoś niezwykle Obdarzonego albo

takiego, któremu bogowie dali tę umiejętność. Ale kiedy już się od niego oddaliłaś, nie było powodu...

- Śpij już, Mirarze.

Położył się i westchnął z nadzieją, że do rana mu wybaczy.

7

Kiedy platten znowu zwolnił, Danjin westchnął.

- Pomyśleć, że kiedyś lubiłem Festiwale Lata - mruknął. - Jak to wytrzymują kapłani i kapłanki?

Auraya zachichotała.

- Na dotarcie gdziekolwiek przeznaczamy cztery razy więcej czasu niż normalnie. Nigdy wcześniej nie przebijałeś się przez tłumy?

- Pieszo - odparł. - Tam gdzie mieszkam, świętujący nie blokują ulic. Nie otaczają też i nie zatrzymują każdego przejeżdżającego plattenu Świątyni.

Uśmiechnęła się.

- Trudno nam się skarżyć, kiedy robią to, by wpłacić coś na ofiarę.

Brzęk w skrzynce ofiarnej plattenu zaakcentował jej wypowiedź.

- Przecież się na to nie skarżę. Wolałbym tylko, żeby swoje ofiary zostawiali w Świątyni, jak wszyscy, zamiast zatrzymywać świątynne platteny.

- Składać ofiary w Świątyni? Jak bogaci i ważni? - spytała drwiąco. - Pijani biedacy mieliby się ocierać o pijanych bogaczy?

Zmarszczył nos.

- Nie, chyba nie można do tego dopuszczać. - Nagle się rozpromienił. - Powinien być wyznaczony dzień ofiar dla bogatych i inny dla całej reszty.

Pokręciła głową.

- Gdybyśmy to ogłosili, zjawiłby się taki tłum, że w ogóle byśmy nie mogli wyjechać. Właśnie z powodu tłoku w Świątyni świętujący zaczęli przed laty zatrzymywać powozy. Teraz byłoby gorzej. - Wzruszyła ramionami. - Pijani na ulicach zawsze odczuwali gwałtowną chęć dawania nam pieniędzy albo podarunków. Trudno ich zniechęcić, zresztą zwykle trwa to jeszcze dłużej. Dlatego umocowaliśmy do naszych plattenów skrzynki na ofiary. To najlepsze rozwiązanie.

- Ale co by się stało, gdybyśmy musieli szybko gdzieś dotrzeć?

- Opuściłabym osłonę i poprosiła, żeby zeszli z ulicy.

- Posłuchaliby? Co drugi jest przecież pijany jak bela.

- Owszem, jest - przyznała ze śmiechem. - To w końcu święto. - Odsunęła klapę i wyjrzała na zewnątrz. - Przyjemnie jest widzieć tak wielu szczęśliwych ludzi. To pozwala wierzyć, że nie wszyscy zginęli na wojnie i że nadal potrafią się cieszyć.

Danjin opadł na siedzenie.

- Tak, chyba masz rację. Nie myślałem o tym w taki sposób. Chyba po prostu jestem niecierpliwy.

Nagle platten ruszył szybciej. Skręcili, a brzęk wrzucanych do skrzynki monet ucichł. Danjin wyjrzał przez klapę po swojej stronie.

- Nareszcie - mruknął. - Dotarliśmy do cywilizacji.

Wzdłuż ulicy wyrastały rezydencje bogaczy. Droga do Świątyni była jedyną arterią miasta, na którą straże nie dopuszczały świętujących. Zamiast tego stała tu długa kolejka pięknie zdobionych powozów. Bogacze gardzili skrzynkami ofiarnymi, woleli zamiast tego demonstracyjnie odwiedzać Świątynię.

- Tam stoi powóz rodziny Titherów - zauważył Danjin z troską w głosie. - Spójrz na rozmiary tych kufrów! Nie stać ich, żeby tyle przeznaczać na ofiarę!

Auraya zerknęła nad jego ramieniem. Sięgnęła umysłem i odczytała myśli starszej pary w plattenie Titherów.

- Pierwszy kufer jest pełen naczyń, w drugim są koce, w trzecim oliwa - powiedziała. - Ta - Tither ma też skromną ilość złota.

- Ach... - Danjin odetchnął z ulgą. - Czyli to wszystko na pokaz. Mam nadzieję, że bogowie się nie obrażą.

- Pewnie, że nie - zaśmiała się Auraya. - Nigdy nie żądali, ani nie oczekiwali od swoich wyznawców pieniędzy. Ludzie sami wpadli na taki pomysł. Tłumaczyliśmy im, że oddawanie swoich dochodów na ofiarę bogom nie gwarantuje po śmierci miejsca u ich boku, ale nadal to robią.

- Na wszelki wypadek - uznał Danjin. - Ale Świątynia miałaby problemy, gdyby przestali. Trzeba przecież ubrać, nakarmić i dać mieszkanie wszystkim kapłanom i kapłankom. I jeszcze pomagać ubogim.

- Wymyślilibyśmy coś innego. - Auraya wzruszyła ramionami. - Jednak ta tradycja ma też inne dobre strony. Jeden z farmerów w mojej wiosce oddaje lokalnej świątyni większą część swoich zarobków, a potem prawie wszystko odbiera z powrotem zimą. Twierdzi, że w przeciwnym razie za szybko wydaje pieniądze i że oddanie ich pod opiekę kapłanowi to najlepsza ochrona przed kradzieżą.

- Bo kapłani mają na ogół silniejsze Dary niż ktokolwiek inny - domyślił się Danjin.

Wydawał się teraz spokojniejszy, zauważyła Auraya. Wracali ze szpitala w jednej z uboższych dzielnic. Jako przedstawiciel wyższych klas miasta miał powody, by się tam denerwować. Gdyby tak ubrany przybył sam, prawdopodobnie zostałby okradziony.

O tej porze roku miał nawet większe powody do ostrożności. Festiwal Lata nazywany był także Festiwalem Złodziei.

Rabusie, rzezimieszki i bandyci na wszelkie sposoby atakowali wyznawców, albo napadając na nich, kiedy szli złożyć ofiarę, albo włamując się do mieszkań w poszukiwaniu oszczędności odłożonych na święto.

Zeszłego roku sprytny młody złodziejaszek zarobił fortunę, przekradając się do plattenów Świątyni. Wiercił otwory w dnach skrzynek ofiarnych i zabierał monety. Początkowe sukcesy dały mu nadmiar pewności siebie i ostatniego dnia festiwalu, kiedy rozeszły się opowieści o kradzieżach, został schwytany i pobity na śmierć przez rozwścieczonych wyznawców.

- Chyba jesteśmy już blisko - mruknął Danjin, wyglądając spod osłony plattenu.

Auraya przymknęła oczy i przyjrzała się myślom ludzi w pobliżu. Z umysłu woźnicy wyczytała, że zbliżają się do bramy Świątyni. I nagle wychwyciła strzęp gniewu w powozie przed nimi. Wsłuchała się dokładniej i odkryła, że pasażerką plattenu jest Terena Spicer, matrona jednego z najbogatszych i najpotężniejszych rodów w mieście. Auraya z rozbawieniem i pewnym niepokojem przekonała się, że ów gniew skierowany jest przeciwko niej.

Zaintrygowana, obserwowała gonitwę myśli kobiety. Ledwie zauważyła, kiedy przejechali przez bramę i Danjin oznajmił, że są już w Świątyni. Dopiero kiedy platten zahamował, wyrwała się z zamyślenia.

Wysiedli. Brukowany plac był zastawiony plattenami, a Terena Spicer jeszcze nie wyszła z powozu. Auraya skinęła na Danjina i ruszyła do Wieży.

Doradca szedł za nią z umysłem pełnym niezadanych pytań. Pomyślała, czy nie przystanąć i nie wyjaśnić mu sytuacji, ale nie było na to czasu. Kiedy zbliżyli się do celu, pobieżnie zerknęła w myśli ludzi w komnacie darowizn - jakaś rodzina właśnie złożyła ofiarę i miała wychodzić.

Otworzyła drzwi i weszła do środka.

Jej przybycie zaskoczyło wszystkich. Wysoki kapłan i czterech zwykłych kapłanów siedziało przy długim, masywnym stole. Rodzina wiernych stała już przy drzwiach. Auraya uśmiechnęła się i skłoniła wszystkim.

- Nie przeszkadzajcie sobie.

- Ta - Glazer właśnie wychodzi, Aurayo z Białych - poinformował wysoki kapłan, wykonując znak kręgu. - Złożył bardzo hojną darowiznę.

- W rzeczy samej - potwierdził z godnością starszy mężczyzna.

Wykonał oburącz formalny znak kręgu, po czym przepuścił rodzinę przed sobą i

wyszli. Kiedy drzwi się zamknęły, kapłan spojrzał pytająco na Aurayę.

- Przyszłam, bo chcę się przyjrzeć jednemu z gości - wyjaśniła i stanęła z boku.

Kapłan kiwnął głową. Dwaj inni wstali, magicznie unieśli skrzynie pozostawione przez darczyńców i pchnęli je w powietrzu ku drzwiom po drugiej stronie sali.

Auraya zwróciła się do Danjina, który nie mógł tutaj zostać. Ofiary musiały pozostać tajemnicą.

- Lepiej zaczekaj tam... - Wskazała drzwi, za którymi zniknęły skrzynie. - Chcę, żebyś słuchał, jeśli zdołasz.

Przytaknął, po czym wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Z jego myśli dowiedziała się, że przyciska do nich ucho.

Jeszcze troje gości zjawiło się i odeszło, nim wkroczyła Terena Spicer, zaciskając wargi w wyrazie dezaprobaty. Zamaszystym krokiem podeszła do stołu i ze stukiem postawiła na nim niewielką szkatułkę. Dumnie omiotła wzrokiem pokój i otworzyła usta, by wygłosić przygotowaną mowę.

Ale kiedy zauważyła Aurayę, jej wyniosła mina ustąpiła wyrazowi przerażenia.

Biała uśmiechnęła się i uprzejmie skinęła jej głową. Kobieta przełknęła ślinę, odwróciła wzrok, po czym się cofnęła. Wysoki kapłan pochylił się i otworzył szkatułkę. Nie zmienił wyrazu twarzy, ale pozostali unieśli brwi. Wewnątrz leżała jedna złota moneta.

W myślach Tereny panował chaos. Najwyraźniej nie mogła wygłosić przemówienia, które zaplanowała. Obecność Aurai przypomniała jej, że protestując przeciwko dziełom Białej, może sprzeciwiać się woli bogów. Nastąpiła wewnętrzna walka i powód, by milczeć, odniósł minimalne zwycięstwo nad powodem, by mówić.

Auraya odczekała, aż kapłani przekażą zwykłe wyrazy wdzięczności. Terena wymamrotała typowe odpowiedzi. Rytuał został dopełniony i odwróciła się, by wyjść.

Nie tak szybko, pomyślała Auraya.

- Ma - Spicer - odezwała się głosem łagodnym i zatroskanym. - Nie mogłam nie zauważyć twego zdenerwowania, kiedy tu przybyłaś. Wyczuwam też, że zamierzałaś omówić przyczynę swego wzburzenia z obecnymi tu kapłanami. Proszę, nie wahaj się z wyrażeniem swego zdania. Nie chciałabym, byś skrywała złe uczucia wobec nas.

Terena zaczerwieniła się i powoli odwróciła. Przesunęła wzrok od kapłana do kapłana, by w końcu popatrzeć na Aurayę. Kiedy zbierała się na odwagę, Białą ogarnął pewien podziw.

- Rzeczywiście zamierzałam powiedzieć, co myślę - oświadczyła. - Zmniejszyłam w tym roku swoją darowiznę, by zaprotestować przeciwko temu gniazdu tkaczy snów, które

nam budujesz. Nasi synowie i córki nie powinni się spotykać z tymi... brudnymi poganami.

Kapłani odwrócili się i spojrzeli wyczekująco na Aurayę. Zaśmiała się w duchu, widząc ich gorliwość. To pewnie najbardziej ekscytujące wydarzenie, jakie przytrafiło im się od wielu dni.

Ruszyła naprzód i zatrzymała się kilka kroków przed kobietą.

- Zostawcie nas - poleciła.

Wstali i wyszli rzędem do magazynu darowizn, zjednoczeni w swym rozczarowaniu. Kiedy zniknęli, Terena nie potrafiła ukryć lęku. Unikała wzroku Aurai. Ręce jej się trzęsły.

- Rozumiem twój niepokój, Tereno Spicer - powiedziała Auraya uspokajająco. - Przez długie lata namawialiśmy cyrklian do unikania tkaczy snów. W przeszłości było to konieczne, by ograniczyć ich wpływy. Teraz niewielu już chciałoby wybrać ich sposób życia, więc tkacze nie stanowią zagrożenia dla wyznawców prawdziwych bogów. Ale ci, którzy wybierają tę sektę, często są rozczarowanymi albo zbuntowanymi młodymi ludźmi. I kiedy takich ludzi zacznie kusić życie tkacza snów, przyjdą do naszego szpitala, żeby ich zobaczyć. A wtedy zobaczą również naszych kapłanów i kapłanki. Przekonają się, że nasi uzdrowiciele są tak samo, jeśli nie bardziej potężni od tkaczy. Będą mogli ich porównać i zrozumieją, że jedno życie prowadzi do zbawienia duszy, a drugie nie.

Kobieta patrzyła na Aurayę. I choć niechętnie, przyznawała rację jej słowom.

- A co z tymi, którzy nadal będą pragnąć życia tkacza snów?

- Kiedy zobaczą już to wszystko? - Auraya ze smutkiem pokręciła głową. - Tacy ludzie szukaliby do skutku i znaleźliby tkaczy mimo wszystko. W ten sposób zachowujemy szansę, by próbować skłonić ich do powrotu. Będziemy wzywać ich łagodnie, ale uparcie, nie dając powodu, by nas nienawidzili i się opierali. Gorzej, gdyby kusiło ich życie pentadrian...

Pozostawiła zdanie niedokończone. Niektórzy ludzie po prostu muszą kogoś nienawidzić, więc lepiej skierować tę wrogość przeciw pentadrianom niż przeciw tkaczom.

Ma - Spicer spuściła wzrok i kiwnęła głową.

- To rozsądne.

Auraya przytknęła palec do warg.

- Tak samo jak zachowanie tych wiadomości dla siebie, Ma - Spicer.

- Rozumiem. Dziękuję... za rozwianie moich niepokojów. Mam nadzieję... mam nadzieję, że cię nie uraziłam.

- Wcale. - Auraya uśmiechnęła się. - Może teraz będziesz się lepiej bawić w trakcie tych świąt.

Terena w półuśmiechu uniosła kącik ust.

- Sądzę, że tak. Dziękuję ci, Aurayo z Białych. Wykonała formalny znak kręgu i ruszyła do drzwi, znowu dumnie wyprostowana. Auraya z Białych zwierzyła się Terenie Spicer... Ale w końcu, dlaczego nie?

Auraya zachichotała, kiedy kobieta zniknęła na korytarzu. Ani przez moment nie wierzyła, że Terena Spicer powstrzyma się od powtórzenia tego, co usłyszała, kilkorgu zaufanym przyjaciołom. Za parę dni ta wiadomość obiegnie całe miasto.

Zastukała w drugie drzwi. Wyszedł Danjin z obojętną miną. Z jego myśli wyczytała, że słyszał prawie wszystko. Po nim szli kapłani, trochę urażeni, że pozwolono mu podsłuchiwać; wierzyli jednak, że Auraya miała swoje powody, by tak uczynić.

Auraya podziękowała im i wyszła ze swym doradcą.

- Na pewno chcesz, żeby ludzie się o tym dowiedzieli? - mruknął Danjin, kiedy wyminęli tłum i skierowali się do kolistej ściany w środku sali.

- Zwykli cyrklianie nie pogodzą się z istnieniem szpitala, jeśli nie uznają, że coś na nim zyskujemy - odpowiedziała spokojnie. - Pokój i tolerancja to niedostateczny powód, podobnie jak wiara, że cokolwiek robię, ma aprobatę bogów.

- A jeśli oni to usłyszą?

- Tkacze snów? - Auraya uśmiechnęła się smutnie. - Oni już przyjęli moją propozycję. Przegłosowali ją, a teraz nie będą organizować następnego głosowania z powodu zwykłej plotki. Zrozumieją, mam nadzieję, że kłamstwo o naszych uzdrowicielach, którzy im dorównują, oznacza, że naprawdę nie mamy takich intencji. Gdybyśmy chcieli pokazać, że jesteśmy nie tylko równi, ale nawet lepsi od nich, nie otwieralibyśmy takiego szpitala.

- Chyba że nasi uzdrowiciele staną się tak sprawni jak oni. Naprawdę nie boisz się, że dostrzegą to zagrożenie i odkryją twój plan?

Skrzywiła się.

- Będą się czuli bezpiecznie, póki nie będziemy próbowali uczyć się ich technik łączy myślowych. A zanim zaczniemy, za wiele lat, sukces przedsięwzięcia sprawi, że dawno zapomną o zagrożeniu.

Danjin uniósł brwi.

- Obyś miała rację.

- Mam nadzieję.

Dotarli do ściany pośrodku sali. Otaczała podwyższony fragment podłogi z otworem, przez który zwisały grube łańcuchy. Po jednej stronie w górę prowadziły spiralne schody, ale Auraya zignorowała je. Skinęła kapłanowi stojącemu u stóp schodów, a ten wykonał znak kręgu.

Po chwili łańcuchy się przesunęły i środkiem klatki schodowej zaczął się opuszczać metalowy dysk. Kiedy minął poziom sufitu, powoli ukazała się duża żelazna klatka. Łańcuch, na którym wisiała, znikał gdzieś w górze.

Klatka opadła na sam dół, a kapłan podszedł i otworzył drzwiczki przed Aurayą i Danjinem.

- Czy miałeś jakieś sny dotyczące szpitala? - spytała, kiedy ruszyli w górę.

- Sny? Czy ty... Czy sądzisz, że spróbują z moich snów odczytać twoje intencje? - Był wyraźnie wzburzony. - Przecież łamaliby prawo!

- Wiem. No więc śnił ci się szpital? Pokręcił głową.

- Muszę się liczyć z tym, że spróbują. Ja bym zaryzykowała na ich miejscu. Rozmawiałam o tym z Juranem - powiedziała. - Zasugerowałam, żebyśmy wbudowali tarczę osłaniającą myśli nosiciela w nowy pierścień łączący, który ma zastąpić ten zabrany przez pentadrian. Nie zablokuje ona mojego umysłu, oczywiście, w przeciwnym razie pierścień w ogóle nie miałby sensu.

- Planujesz, żebym to ja go nosił? - Nie potrafił ukryć skrępowania.

Auraya powstrzymała uśmiech. Po powrocie z wojny Danjin odkrył na nowo uroki małżeńskiego pożycia. Nie zdawał sobie sprawy, jak często jego myśli dryfowały ku takim marzeniom, a ona nie miała serca mu tłumaczyć, że pierścień łączący raczej nie zdradzi więcej, niż już odczytała z jego myśli.

- Tak, pierścień jest dla ciebie - odparła. - Chociaż od czasu do czasu poproszę cię pewnie, żebyś przekazał go komuś innemu.

Klatka zatrzymała się. Auraya otworzyła drzwiczki i wysiedli.

- Nie martw się, Danjinie. - Mrugnęła do niego. - Uszanuję twoją prywatność.

Zaczerwienił się i pospiesznie odwrócił wzrok. Auraya z uśmiechem ruszyła do swoich pokojów.

Emerahl skoncentrowała się na umyśle Mirara. Z początku nie wyczuła niczego, ale po chwili do jej zmysłów dotarło uczucie niecierpliwości i niepewności.

- Wykrywam cię - oznajmiła. - Ze znudzenia opuściłeś tarczę.

Westchnął ciężko i przewrócił oczami.

- Jak długo będziemy to powtarzać? Jestem głodny.

- Tarcza nie może być na chwilę. Musisz osiągnąć stan, kiedy będzie uniesiona przez cały czas, kiedy potrafisz ją utrzymać bez udziału świadomości. Spróbuj jeszcze raz.

Jęknął.

- Możemy najpierw zjeść?

- Nie. Dopóki potrafię wykryć jakiekolwiek emocje. Jeszcze raz.

Wyczuła zniechęcenie, potem upór, a potem zdarzyło się coś dziwnego. Przez moment jego emocje zanikły całkowicie i zaraz pojawiło się zdziwienie. Zmienił pozycję z półleżącej na siedzącą.

Mirar nigdy nie siedzi tak... tak symetrycznie, pomyślała. Zawsze się opiera...

Patrząc mu w oczy, dostrzegła ostrożność i rezygnację.

- Leiard? To ty?

- To ja - potwierdził.

Nawet ton głosu miał równy i obojętny.

- Jak?

Wzruszył ramionami.

- Wydaje mi się, że chciał być nieobecny.

- Uciekł? - poczuła, że wzbiera w niej rozbawienie. Zaśmiała się krótko. - Mirar uciekł z moich lekcji! Ha! Co za tchórz!

Kąciki ust Leiarda uniosły się nieco - grymas najbliższy uśmiechu, jaki u niego widziała. Spoważniała natychmiast i przyjrzała mu się z namysłem.

- Nie myśl, że nie lubię twojego towarzystwa, Leiardzie - powiedziała. - Ale nie mogę pozwolić, żeby Mirar bawił się w wagary za każdym razem, kiedy moje lekcje uzna za zbyt trudne. Musimy dopilnować, żeby więcej tego nie robił.

Leiard uniósł brwi.

- A jak mógłbym go przekonać, twoim zdaniem?

- Opowiadając mi o nim. Powiedz mi o rzeczach, które on wolałby przede mną ukryć. Jakie straszliwe czyny planował?

Leiard sposępniał, ale wyczuła w nim zainteresowanie. Najwyraźniej miał sporo do opowiadania.

- Ale czyniąc to, musiałbym wyznać ci wszystko o moim... szaleństwie.

Zamrugała zdziwiona.

- Ty i szaleństwo? Nie wyglądasz mi na kogoś, kto ulega szaleństwom.

- Ach, uległem jednak, a on będzie się dobrze bawił, słuchając, jak o tym opowiadam. Co raczej nie doprowadzi cię do celu.

Pochyliła się zaintrygowana.

- Wrócimy do tego później. - Przypomniała sobie rozmowę, którą podsłuchała w lesie krótko przed dotarciem do jaskini. - Czy chodzi o kobietę?

Leiard drgnął i popatrzył na nią podejrzliwie.

- Opowiedział ci?

- Nie. Ale pamiętaj, sama jestem kobietą. Wyczuwamy takie rzeczy. Nic tak jak miłość nie potrafi doprowadzić człowieka do szaleństwa. Może... - Zrezygnowała z żartobliwego tonu. - Może kobiece ucho z większym zrozumieniem przyjmie twoją opowieść. Nie wyobrażam sobie, żeby Mirar był dobrym słuchaczem.

Leiard parsknął cicho.

- W ogóle tego nie aprobował.

Mirar nie aprobował kobiety? To ciekawe...

- No więc ... Czy ta kobieta miała jakieś imię?

Tkacz snów spojrzał na nią. Nigdy nie widziała u Mirara tak udręczonej twarzy - wyglądał z nią obco. Myślał długo, zanim znów się odezwał.

- Musisz przysiąc, że nigdy nie pozwolisz, by ktokolwiek inny je poznał.

- Przysięgam - odpowiedziała z powagą.

Spuścił głowę, wpatrując się we własne dłonie. Czuła, jak narasta w niej napięcie. Nie mogła się doczekać... Powiedz mi, pomyślała.

- Kobieta, którą kochałem... którą kocham... - zaczął głosem tylko odrobinę głośniejszym od szeptu - ...to Auraya z Białych.

Auraya z Białych! Emerahl patrzyła na niego oszołomiona. Ogarnął ją nagły chłód, jakby ktoś wylał jej na głowę kubeł lodowatej wody. Przez chwilę nie była zdolna do myślenia.

Jedna z Wybrańców! Nic dziwnego, że Mirarowi się to nie podobało!

Teraz, kiedy już zdradził jej imię, w Leiardzie pękła tama powstrzymująca potop słów. Wylała się cała historia: jak był nauczycielem i przyjacielem małej Aurai; jak wyruszył do Jarime i dał się oczarować kobiecie, którą się stała; jak mianowała go doradcą Białych z ramienia tkaczy snów i jak doszło do tej nocy „szaleństwa", zanim wyruszyła do Si. Opowiedział o swojej rezygnacji, co miało pozwolić zachować romans w tajemnicy, o coraz silniejszej obecności Mirara w umyśle, o tym, jak zagrożenie wykryciem nie przeszkodziło mu sięgać do niej w snach. Z poczuciem winy mówił o powrocie do romansu, kiedy Auraya wędrowała z armią, potem o odkryciu go przez Jurana, o ucieczce i sugestii Mirara, że przejmie ciało. O tym, jak Auraya znalazła Mirara w obozie wędrownego zamtuzu. W końcu opowiedział o sennym połączeniu, które ujawniło mu, że Auraya widziała go z prostytutką i teraz uważała, że ją zdradził.

Kiedy skończył, pogrążył się w smętnym milczeniu.

- Rozumiem - powiedziała Emerahl tylko po to, żeby coś powiedzieć. Potrzebowała

czasu, by sobie przemyśleć całą tę szokującą opowieść. - Ależ historia...

- Mirar miał rację - oświadczył stanowczo Leiard. - Naraziłem swój lud.

Emerahl rozłożyła ręce.

- Byłeś zakochany...

- To żadne usprawiedliwienie.

- Wystarczające. Ale czegoś nie rozumiem. Auraya musiała widzieć Mirara w twoim umyśle. I z pewnością ją to zaniepokoiło.

- Wiedziała, że wspomnienia łącza w mojej głowie manifestują się jako osobowość, z którą czasami rozmawiam. Nie wierzyła, że Mirar naprawdę istnieje. Nigdy nie widziała, jak opanowuje ciało.

- Potrafię zrozumieć, że chciała w to wierzyć. Miłość każe nam znosić rzeczy, które normalnie byśmy odrzucili. Z pewnością Juran nie uwierzył.

Leiard wzruszył ramionami.

- Uwierzył. Może tylko dlatego że było to dla niego użyteczne, a Mirar nie zdradził swej zdolności do przejęcia kontroli. Dopiero później...

Wyraźnie nie rozpoznał ciała Mirara, myślała Emerahl. Czyżby wspomnienia Jurana wyblakły przez ostatnie sto lat? A może Mirar zmienił się nie do poznania?

Zadrżała, uświadamiając sobie, jak blisko było wykrycia Mirara. Bogowie musieli zaglądać do jego umysłu, może wiele razy, a jednak go nie rozpoznali. Chyba że... Chyba że rozpoznali, ale nie przejęli się, bo wiedzą, że to Leiard jest prawdziwym właścicielem ciała...

Mimo to z pewnością nie dopuściliby do romansu między ich Wybranką i kimś z tkaczy snów. Dlaczego na to pozwolili? Może bali się, że utracą zaufanie i lojalność Aurai? Albo liczyli na to, że Leiard potwierdzi ich fatalną opinię o tkaczach snów? Auraya może ich teraz nienawidzić z powodu „zdrady" kochanka.

Zmarszczyła czoło, gdy nowa myśl wpadła jej do głowy.

- Mówiłeś, że zobaczyła cię z prostytutką, ale to Mirar panował nad ciałem. Z pewnością, skoro nigdy przedtem nie widziała, jak sprawuje kontrolę, nie powinna cię rozpoznać. A raczej powinna zrozumieć, że ma do czynienia z nim, a nie z tobą.

- Nie zastanawiałem się nad tym. To... zagadka.

- Tak. Musicie być dostatecznie podobni, by obu was widziała jako tę samą osobę - mówiła powoli Emerahl. - Gdyby miała okazję, może zauważyłaby różnicę, ale w owej chwili była pewnie zaszokowana tym, co zrobiłeś. Mogła uznać, że nie znała cię tak dobrze, jak jej się wydawało.

- Na pewno nie zrobiłbym tego, co on - oświadczył stanowczo.

Przyjrzała mu się w zamyśleniu.

- Nie. Pod tym względem jesteś całkiem inny od Mirara.

- Dlaczego tak go lubisz, skoro jest taki niegodziwy?

- Dlatego, że jest. - Roześmiała się. - To łobuz, trudno zaprzeczyć. Ale choć jego moralność jest dość wątpliwej natury, to jednak dobry człowiek. - Zmrużyła oczy. - Wiesz o tym, jak sądzę.

Odwrócił wzrok.

- Wiem, że kiedyś był bardziej... umiarkowany, jeśli chodzi o kobiety. Myślę, że to czas go zmienił. Szuka wrażeń fizycznych, aby sam siebie przekonać, że żyje. Że nadal jest istotą fizyczną. Nie bogiem.

Patrzyła zaskoczona, zaniepokojona tą sugestią. Bogowie oskarżali Mirara, że udaje boga. Teraz Leiard uważał, że Mirar tak się zachowuje, by się upewnić, że nim nie jest...

- Wierzę ci, kiedy mówisz, że przyłączenie się do zamtuzu było konieczne - dodał. - Uważałaś, że kapłani są bardziej niebezpieczni niż w rzeczywistości. Zastanawiam się też, czy nieświadomie nie szukasz tego samego potwierdzenia co Mirar. Chcesz pewności, że jesteś istotą fizyczną, nie bogiem. Ladacznica...

- Mirarze - przerwała mu. - Koniec przerwy. Wracaj do mnie.

Zesztywniał i zaraz się rozluźnił. Kiedy zogniskował wzrok, zmarszczył brwi i spojrzał na nią kpiąco.

- Jestem łobuzem, tak?

Ku swojemu zaskoczeniu, poczuła, że jej puls przyspiesza.

Chociaż to żadna niespodzianka. Mirar zawsze umiał wzburzyć we mnie krew. Wygląda na to, że wciąż to potrafi, nawet po tylu latach. A może właśnie dlatego że minęło tyle czasu...

Ciągle jednak wyczuwała jego emocje i widziała, że sobie żartuje. Stara się odwlec powrót do lekcji osłaniania umysłu.

Z wysiłkiem przybrała poważną minę.

- Dość tych pogaduszek - rzekła. - Nie zamierzam wiecznie tkwić w tej jaskini, więc jeśli nie chcesz zostać sam i żywić się owadami, które tu zabłądzą, lepiej weź się do pracy.

Przygarbił się.

- Och, no dobrze.

8

Schody ciągnęły się w nieskończoność. Imi bolały nogi, ale patrzyła na plecy swojego ojca i wytężała siły, zaciskając zęby, by powstrzymać się od skarg.

Ostrzegał mnie, myślała. Mówił, że wspinaczka do strażnicy zajmuje całe godziny. A potem trzeba zejść z powrotem. Tylko że następnym razem nie będę musiała schodzić. Następnym razem odpłynę i wrócę przez Wrota.

W tunelu odbijały się echem ciężkie oddechy dorosłych. Teiti wyglądała, jakby coś ją bolało. Za to strażnicy chyba nieźle się bawili. Ci, którzy regularnie towarzyszyli królowi, byli przyzwyczajeni do wysiłku. Ci, którzy zwykle pilnowali Imi, cieszyli się z rzadkiej okazji zobaczenia miejsca, które nielicznym tylko dane jest oglądać.

Teiti zaczęła już sapać, co zawsze poprzedzało prośbę o odpoczynek. Imi poczuła równocześnie irytację i ulgę. Nie chciała się zatrzymywać, chciała, żeby schody się skończyły.

- Już niedaleko - rzucił przez ramię ojciec.

Ciotka przystanęła, ale wzruszyła ramionami i poszła dalej. Serce Imi biło niecierpliwie. Następne minuty wydawały się dłuższe od godzin, jakie mieli już za sobą. Wreszcie ojciec się zatrzymał, a ona wyjrzała zza niego i zobaczyła, że stoi przed ślepą ścianą.

Nie było drzwi. Zdziwiona, zerknęła na pozostałych. Wszyscy spoglądali na niewielką klapę w stropie.

Ojciec przeszedł na bok, gdzie we wnęce - podobnej do mijanych wcześniej po drodze - stało kilka glinianych naczyń z wodą. Rozdał je wszystkim. Imi z wdzięcznością ochlapała skórę, a potem się napiła. Woda była trochę stęchła, ale smakowała po długiej wspinaczce.

Przyjrzała się klapie. Zauważyła zardzewiałe klamry i oparty o ścianę ciężki drąg. Domyśliła się, że gdyby napastnicy odkryli tunel, drąg można wsunąć w klamry i zablokować klapę.

Na sygnał króla, jeden ze strażników podniósł rękę i zapukał. Zapamiętała rytm - dwa szybkie stuknięcia, trzy z przerwami i znowu dwa szybkie. Klapa się otworzyła i z góry wyjrzeli dwaj uzbrojeni mężczyźni. Za nimi widziała oślepiający błękit nieba.

Potem jeden z nich zniknął na chwilę i wrócił z drabiną, którą opuścił do tunelu. Król posłał najpierw dwóch strażników, potem wspiął się sam. Na górze obejrzał się i z uśmiechem skinął na Imi.

Postawiła nogę na szczeblu i ruszyła w górę. Obolałe stopy protestowały po długim marszu, ale tylko zacisnęła zęby. Kiedy dotarła do otworu, ojciec złapał ją w talii i wciągnął. Zaśmiała się zaskoczona, ale ucieszona.

Ojciec stęknął żałośnie.

- Robisz się już trochę za ciężka - stwierdził i rozmasował krzyż.

Wyprostował się, westchnął i popatrzył w dal.

Imi rozejrzała się z zaciekawieniem. Stała na kawałku płaskiej ziemi pomiędzy kilkoma wielkimi głazami. Były zbyt wysokie, by cokolwiek nad nimi zobaczyła. Podskoczyła w miejscu i dostrzegła morze i horyzont.

- Może ją podniosę, wasza wysokość? - zaproponował jeden z bardziej krzepkich gwardzistów ojca.

Król skinął głową na znak zgody.

- Tak. Ale tylko dopóki się nie zmęczysz. Gwardzista uśmiechnął się do Imi.

- Odwróć się, księżniczko.

Tak zrobiła i poczuła, jak jego wielkie dłonie chwytają ją w pasie. Podniósł ją, posadził sobie na szerokim ramieniu i tam przytrzymał.

Miała teraz lepszy widok niż inni. Ze wszystkich stron po horyzont rozciągało się morze; widziała wyspy Borra, tworzące ogromny pierścień w błękitnej wodzie, widziała też kamieniste zbocze, opadające z miejsca, gdzie stali, ku pasmu lasu i białej plaży.

- Czy można dostać się tutaj z brzegu? Ojciec zaśmiał się.

- Tak, ale to nie byłoby łatwe. Teren wznosi się stromo, a kamienista powierzchnia jest śliska. Ostatnie sto kroków do szczytu to nagie skały ze wszystkich stron. Żeby się tu wspiąć, potrzebowałabyś lin i kotwiczki.

Imi poczuła ucisk rozczarowania w żołądku. Jej plan, by dostać się tutaj, tłumacząc, że chce pooglądać gwiazdy, a potem wymknąć się i zbiec do plaży, nie mógł się udać. Ale przyjęła to też z pewną ulgą. Wspinaczka zajęła im tak dużo czasu, że nawet jeśli na zewnątrz wszystko by wyglądało tak, jak sobie wyobrażała - długi łagodny stok do samego brzegu - byłaby zbyt zmęczona, by przebiec ten dystans.

Muszę wymyślić jakiś inny plan, uznała.

Zostali tam jeszcze pół godziny, a ojciec pokazywał jej z góry rozmaite ciekawe miejsca. Na wzmiankę o piratach, Imi zaczęła wpatrywać się w horyzont. Pilnie słuchała opisów pirackich statków na wypadek, gdyby się z jakimś spotkała w drodze po morskie dzwonki.

Po pewnym czasie jej skóra stała się nieprzyjemnie sucha. Kątem oka zauważyła, jak

Teiti ukradkiem szturcha ojca i kiwa głową. Król oświadczył, że pora już wracać.

Kiedy zeszli do tunelu, mogła zwilżyć skórę. Gwardzista, który ją podniósł, zaproponował, że zniesie ją na sam dół. Obejrzała się na ojca z nadzieją.

- No dobrze - zgodził się z uśmiechem. - Tylko nie rozbij sobie głowy o sufit.

Wspięła się gwardziście na plecy i oparła mu głowę na ramieniu, udając, że jest senna. I zaczęła układać nowy plan wymknięcia się opiekunom i ucieczki z miasta.

Krzywizny alejek w ogrodach Świątyni były bez skazy. Ilekroć Auraya przyglądała się im z wysoka, trochę ją odpychał ten przesadnie ułożony i uporządkowany wygląd. W porównaniu z naturalnym, dzikim lasem wokół wioski, gdzie dorastała, czy oszałamiającym chaosem terytoriów Si, te splatające się okręgi i równo posadzone rośliny wydawały się śmieszne.

Jednak z poziomu ziemi oswojona regularność dodawała otuchy. Tutaj nie groził atak leramerów ani vornów, nie spotykało się sennorośli. Nie pozostawiano niczego, by zgniło, więc w powietrzu unosiły się tylko aromaty kwiatów i owoców. Zakręty ścieżki ukazywały jeden po drugim piękne obrazy i całkiem rozsądnie prowadziły idącego do celu, bez pokusy skracania sobie drogi przez starannie przystrzyżoną trawę.

Dzisiaj jednak Auraya nie spacerowała tędy dla przyjemności. Ona i Juran zmierzali do Świętego Gaju.

Minęli jednego z wielu kapłanów, którzy strzegli tego miejsca. Wydawało się, że zwyczajnie odpoczywa na kamiennej ławeczce i czyta zwój. Auraya wiedziała jednak, że jego zadaniem jest nie wpuszczać tam nikogo prócz nielicznych, którzy opiekowali się zagajnikiem, oraz Białych.

Kapłan wykonał znak kręgu, a Juran kiwnął głową w odpowiedzi. Ścieżka poprowadziła jego i Aurayę do przerwy w ścianie blisko rosnących drzew, a potem skręciła w lewo. Dalej wiła się przez sad owocowy, gdzie pracowali następni kapłani i kapłanki, aż docierała do kamiennego muru.

Wąski otwór w murze całkowicie przesłaniała drewniana furta. Kiedy tam dotarli, uchyliła się do wnętrza.

Wchodząc, Auraya poczuła dreszcz. Minionego roku odwiedzała już gaj kilka razy, ale nadal ogarniał ją zachwyt.

Wewnątrz kolistego muru rosły cztery drzewa. Tylko te cztery przetrwały z setek drzewek zasadzonych całe wieki temu. Dwa stały blisko, a ich gałęzie spłatały się i wiły wokół siebie. Następne było niskie i karłowate, a ostatnie zdawało się czaić przy ziemi, szeroko sięgając rozłożystymi konarami.

Liście i kora tych drzew były tak ciemne, że niemal czarne. Z bliska w pęknięciach kory dało się zauważyć biel drewna. Ciemny kolor podkreślały jeszcze białe kamyki na ziemi, służące zapewne temu, by utrzymać wilgotność gleby - drzewa lepiej się czuły w klimacie chłodniejszym niż klimat Hani.

Choć barwa drzew dziwiła, jeszcze bardziej niezwykłe były gałęzie, rosnące w niespotykanych i nienaturalnych kształtach. Część mniejszych gałęzi miała niewielkie, dyskowate narośle, a w nich tu i tam pojawiały się otwory. Z innych konarów, wyżej, wyrastały liczne cienkie gałązki splatające się w kształt kubków albo większe zgrubienia z otworami. Auraya zauważyła, że do jednego z kubków podleciał mały ptaszek, z wnętrza wynurzyła się głowa pisklęcia i ptaszek zaczął je karmić.

- Widziałaś to? - odezwał się ktoś.

Auraya obejrzała się. Zobaczyła wysokiego kapłana, zwracającego się do młodej kapłanki. Kobieta, ucząca się dopiero opieki nad drzewami, kiwnęła głową.

- Wyrosło w kształt gniazda - powiedziała.

- Tak. Gdybyś wspięła się tam i włożyła rękę do wnętrza, odkryłabyś, że jest ciepłe. Ptak nie tylko nauczył drzewo tworzyć gniazdo, ale też przekazał mu Dar zamiany magii w ciepło.

- Czemu drzewo to robi?

Starszy kapłan wzruszył ramionami.

- Nikt nie wie. Może bogowie je takim uczynili.

- Teraz rozumiem, czemu nazywane jest drzewem serdecznym. Wcześniej myślałam, że to dziwna nazwa dla takiego brzydkiego drzewa.

Auraya uśmiechnęła się. Drzewo było brzydkie, ale to ze względu na zastosowanie, jakie ludzie znaleźli dla jego podatnego na magię drewna. Kiedy Juran pierwszy raz ją tutaj przyprowadził, ze zdumieniem dowiedziała się, że drzewa są źródłem kapłańskich pierścieni. Te zgrubienia na gałęziach zostaną w końcu ścięte, a w każdym z nich pozostanie Dar, pozwalający kapłanom porozumiewać się ze sobą.

Serdeczne drzewa miały wielki potencjał dobra i zła. Ale kiedy Juran opowiedział jej o ograniczeniach, była zdumiona, że cyrklianom w ogóle udało się je wykorzystać. Przede wszystkim serdeczne drzewa bardzo trudno zachować przy życiu. Ich gaje znajdowały się przy większości cyrkliańskich świątyń, choć tylko ten w Jarime dostarczał kapłańskich pierścieni. Opiekunowie drzew znali tajemnicę utrzymywania ich w dobrym stanie.

Gałęzie trzeba było „uczyć" każdego dnia. Kiedy pomagała tworzyć swój pierwszy pierścień łączący, odwiedzała gaj codziennie wczesnym rankiem i siedziała przy drzewie co

najmniej godzinę. Ale i tak, mimo wszystkich wysiłków, po kilku latach drewno traciło swoje magiczne cechy. Kapłańskie pierścienie rosły tu przez cały czas, by zastąpić te, które przestały działać. Były też nasycone tylko jednym prostym Darem komunikacji. Można było ich uczyć potężniejszych Darów, ale im więcej magii trafiało do pierścienia, tym szybciej tracił skuteczność.

Jedynymi, których nie dotyczyły te ograniczenia, były pierścienie Białych. Wyrastały spontanicznie z mniejszego drzewa, które poza tym uparcie odmawiało ulegania czyjejkolwiek prócz bożej woli.

Kolejny starszy wiekiem kapłan pojawił się za ramieniem Jurana.

- Juranie z Białych - rzekł, wykonując znak kręgu. - Aurayo z Białych... Czy przybyliście, by rozpocząć swe dzieło?

- Tak, kapłanie Sinarze - odparł Juran. - Gdzie powinniśmy zacząć?

Kapłan zaprowadził ich do większego z samotnych drzew i wskazał gałązkę, która wyrosła z jednego z głównych konarów. Auraya uśmiechnęła się smutnie, wspominając, jak rok temu obserwowała podobną gałązkę, z wolna tworzącą pierścień.

- Ta powinna się nadać - stwierdził kapłan.

- Rzeczywiście. Dziękuję - odpowiedział Juran. Zerknął na Aurayę. - Nim zaczniemy, przyda nam się kilka minut całkowitego spokoju.

Kapłan pokiwał głową.

- Każę wszystkim opuścić gaj.

Odszedł pospiesznie, kierując innych kapłanów i kapłanki do furtki w kamiennym murze. Kiedy zostali sami, Juran zwrócił się do Aurai z dziwną, bolesną miną.

- O co chodzi? - spytała. Skrzywił się.

- Najpierw musimy coś omówić. - Zastanowił się. - Na przykład... Czy mi wybaczyłaś?

Zamrugała zdziwiona.

- Wybaczyłam? Co ta... ? Ach... - Poczuła ucisk w żołądku, kiedy zdała sobie sprawę, że mówi o Leiardzie. - To.

- Tak. Dałbym ci więcej czasu, ale Mairae uważa, że powinniśmy porozmawiać, zanim wytworzysz pierścień. - Westchnął. - Przed laty zbierająca pierścienie kapłanka przeżyła straszną rodzinną tragedię. Każdy, kto nosił zebrane przez nią pierścienie, zaczynał odczuwać smutek. Nikt jednak nie zauważył, że dzieje się coś złego, dopóki kilku kapłanów i kapłanek nie popełniło samobójstwa. Ludzie zaczęli się zastanawiać dlaczego.

- I boisz się, że powtórzy się coś podobnego? - Auraya nie mogła powstrzymać

uśmiechu. - Wiesz, nie skaczę ze szczęścia, ale nastrojów samobójczych też nie miewam.

- No więc jak się czujesz?

- Wybaczyłam ci. - Te słowa sprowadziły falę emocji. Zrozumiała, że są prawdą. - W sumie wyszło mi to na dobre.

- Mairae twierdzi, że fatalnie to rozegrałem. - Zmarszczył czoło. - Uważa, że nic by się nie stało, gdyby... gdybym pozwolił wam nadal się widywać, pod warunkiem, że sprawa nie przedostałaby się do publicznej wiadomości.

- Ale ty się z nią nie zgadzasz? Wzruszył ramionami.

- Ona... skłoniła mnie do przemyślenia tego jeszcze raz. Aurai znowu coś ścisnęło żołądek.

Czyli mogłabym nadal być z Leiardem... Gdyby tylko Mairae i Juran dali sobie więcej czasu i przemyśleli wszystko...

Próbowała sobie wyobrazić, jakby to było: spotykać się z Leiardem potajemnie, ale za wiedzą wszystkich Białych.

Byłoby to krępujące. I nie odkryłabym, że tak szybko zaczął się oglądać za innymi kobietami, kiedy tylko uznał, że nie możemy być razem.

Westchnęła.

- Nie, Juranie. Jestem zadowolona z tego, jak się wszystko ułożyło. To uprościło wiele spraw. Na przykład szpital.

Uśmiechnął się i pokiwał głową. Potem przez chwilę oboje przyglądali się drzewu. Juran odetchnął głęboko.

- No więc jak weźmiemy się do tego twojego pomysłu wyposażenia pierścienia łączącego w osłonę?

Rzeka była ognistą wstęgą, odbijającą jaskrawe barwy przedwieczornego nieba. Veece westchnął. Bolały go ramiona. Czuł, jak skrzypią mu stawy, kiedy przechylał skrzydła, by podążać za wodą. Musiał odpocząć, ale tym młodszym się to nie spodoba. Będą się kręcić niecierpliwie i martwić, czy wrócą do domu przed następnym wieczorem.

Choć jego wiekowe ciało nie było tak zwinne i mocne jak kiedyś, to przecież nadal był ich Mówcą. Nie będą protestować, jeśli nakaże lądowanie, ale mogą potem z niego żartować. Takie są przywileje młodości. W końcu i oni kiedyś się zestarzeją. Mają prawo do paru kpin, zanim sami staną się ich obiektem.

Rzeka spadała z niewysokiego urwiska. Wyczuł w powietrzu odrobinę wyrzucanej przez wodospad wilgoci. Przed sobą widział kolejny, mniejszy. Przeleciał nad nim i uznał, że to miejsce mu się podoba. Jeśli zanurkuje z występu na krawędzi, wzniesie się w powietrze,

nie tracąc sił na bieg i machanie skrzydłami.

Zatoczył krąg i poprowadził innych na brzeg rzeki ponad wodospadem. Lądowanie potrząsnęło kośćmi, ale kiedy tylko opuścił skrzydła i rozluźnił obolałe mięśnie, uznał, że warto było pocierpieć.

- Zatrzymamy się tutaj na noc - zarządził. Reet zmarszczył brwi.

- To może poszukam czegoś do jedzenia - powiedział i odleciał w stronę lasu.

Tyve ruszył za nim, mrucząc coś o drewnie na ognisko. Veece usiadł na głazie, ciepłym jeszcze od słońca. A jego siostrzenica Sizzi przykucnęła obok.

- Jak się czujesz? - spytała.

- Trochę zesztywniałem - odparł, rozcierając ramiona. - Muszę nieco nad nimi popracować.

Pokiwała głową.

- A twoje serce?

Spojrzał na nią z wyrzutem, ale jej wzrok pozostał niewzruszony. Westchnął i odwrócił głową.

- Czasem jest lepiej, czasem gorzej - powiedział. - Serce nie jest już zagniewane, ale nadal... puste.

- Cyrklianie dobrze to zrobili. Te nagrobki i pomnik zagwarantują, że nasza pomoc i nasze straty nie zostaną zapomniane.

- Ale to nie wróci mu życia - przypomniał jej, a potem skrzywił się na te słowa. Naprawdę nie musiał jej o tym przypominać. Zachowywał się jak nadąsane dziecko.

- Nie wróci życia niczyim synom - odpowiedziała cicho. - Ani córkom. Ani rodzicom. Tego nie da się cofnąć. I nie powinno się, gdyby w efekcie pentadrianie wygrali i przybyli wybić nas wszystkich. - Potrząsnęła głową i wstała. - Słyszałam, że Biali wysyłają do nas kapłanów. Nauczą nas uzdrawiania i swoją magią pomogą się bronić. Prychnął niechętnie.

- Na nic nam się to nie przyda, tak daleko od Przestrzeni - stwierdził.

- Nie bezpośrednio - zgodziła się. - Jeśli wyślesz kogoś z klanu po naukę, wróci potem z tą wiedzą.

- A ty chciałabyś...

- Veece! Mówco Veece!

Reet i Tyve wyfrunęli z lasu i skierowali się ku niemu.

- Znaleźliśmy ślady stóp! - wysapał jeden z nich. - Duże ślady!

- Ślady butów - poprawił drugi.

- To na pewno ziemiochodzący.

- I są świeże... te ślady, znaczy.

- Nie może być daleko!

- Powinniśmy go śledzić?

Patrzyli na Veece'a niecierpliwie, a oczy jarzyły im się z podniecenia. Gotowi rzucić się w niebezpieczeństwo, mimo niedawnych doświadczeń wojny... A może właśnie z tego powodu? Domyślał się, że przeżycie bez żadnej rany, kiedy tak wielu się nie udało, może wzbudzić u młodego człowieka przekonanie o własnej nieśmiertelności.

Przypomniał sobie, kiedy ostatnim razem w Si widziano samotnego przybysza, i chłód ściął mu krew w żyłach.

- Powinniśmy zachować ostrożność - oświadczył. - A jeśli to ta czarna czarownica wróciła ze swoimi ptakami, żeby się na nas zemścić?

Obaj chłopcy pobledli.

- W takim razie nie możemy odejść, dopóki tego nie sprawdzimy - zauważyła spokojnie Sizzi. - Trzeba będzie ostrzec wszystkie klany.

Veece zastanowił się; zaskoczyła go, ale też mu zaimponowała. Miała rację, oczywiście, choć oznaczało to, że dla dobra swego ludu muszą podjąć wielkie ryzyko. Wolno pokiwał głową.

- Najlepiej odlecimy stąd i wrócimy jutro. - Spoglądał na Reeta, Tyve'a i Sizzi. - W świetle dnia łatwiej będzie wytropić tego ziemiochodzącego albo ziemiochodzących. Mam nadzieję, że potrafimy ustalić, czy używają magii albo czy są tu gdzieś te czarne ptaki. Może nie trzeba będzie się zbliżać.

- A jeśli ktoś z nich nas zobaczy? - zaniepokoił się Tyve. - A jeśli to ona? I zaatakuje?

- Postaramy się, żeby nas nie widzieli - odparł stanowczo Veece.

- Większość ziemiochodzących robi tyle hałasu, że słychać ich nawet zza sąsiedniej góry! - dodała Sizzi.

Reet wzruszył ramionami.

- To pewnie ten wędrowiec, który w zeszłym roku przyniósł nam od Białych propozycję traktatu. Jest trochę szalony, ale to nie czarownik.

Veece przytaknął.

- Ale nie możemy ryzykować naszego życia, zakładając, że to on. Odlatujemy zaraz. Poszukamy sobie innego miejsca na nocleg, tak daleko, by ziemiochodzący nie dotarł do nas, nawet gdyby szedł przez całą noc.

Wstał, zgiął i rozprostował ręce, a potem ruszył na krawędź urwiska. Pozostali szli za nim.

9

Domowy prowadził Reivan długim korytarzem, wzdłuż ciągnącego się po jednej stronie szeregu łukowo sklepionych przejść. Kiedy minęła pierwsze z nich, zobaczyła, że prowadzą na balkon, z którego roztacza się wspaniały widok na miasto i dalej.

Muszę być blisko szczytu Sanktuarium, pomyślała nerwowo.

Domowy zatrzymał się przy ostatnim przejściu i wskazał je gestem. Potem odszedł bez słowa.

Reivan przystanęła, by uspokoić oddech i przywołać odwagę. Spóźniła się. Drugi Głos może nie chcieć jej karać, ale może taki ma obowiązek...

- Sługo - nowicjuszko Reivan... - głos należał do Imenji - przestań się denerwować i wejdź.

Reivan weszła pod łuk przejścia. Imenja siedziała na trzcinowym fotelu, z kielichem aromatyzowanej wody w dłoni. Z uśmiechem spojrzała na nowicjuszkę.

- Drugi Głosie Bogów - odezwała się dziewczyna. - Ja... proszę o wybaczenie mojego spóźnienia. Ja... no... ja się...

Imenja uśmiechnęła się szerzej.

- Zgubiłaś się? Ty? - Zachichotała. - Nie mogę uwierzyć, że ty, która wyprowadziłaś nas z kopalni, zgubiłaś się w Sanktuarium.

Reivan spuściła głowę, ale także nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Niestety, tak. To bardzo krępujące. Zastanawiam się, czy nie narysować sobie mapy...

- Może... - zaśmiała się Imenja. - Usiądź. Nalej sobie wody. Niedługo będziemy miały towarzystwo, a chciałam najpierw porozmawiać z tobą sam na sam. Przyzwyczajasz się do tego miejsca?

Reivan zawahała się.

- Jako tako...

Zajęła miejsce obok Imenji. W jej pamięci przesunęły się wspomnienia ostatnich tygodni... To, że nominowano ją i uznano za Sługę - nowicjuszkę, nie poprawiło jej opinii w oczach innych Sług.

Na podłodze znalazła pucharki i dzban z wodą. Kiedy piła, spragniona po długim marszu korytarzami i schodami, wspomniała Oddanego Sługę Nekauna. Jego słowa były jedynymi naprawdę serdecznymi, jakie tu usłyszała.

Wzięła sobie do serca jego radę i dowiedziała się wszystkiego, co mogła na temat wewnętrznej polityki Sanktuarium - głównie słuchając rozmów innych. Nie było to trudne, skoro wszyscy ciągle debatowali, który z Oddanych Sług ma szansę zostać Pierwszym Głosem.

- Co myślisz o Nekaunie? - spytała Imenja.

Dziewczyna znieruchomiała zaskoczona, ale zaraz przypomniała sobie o Talencie Imenji, pozwalającym jej czytać w myślach. W drodze do domu stopniowo przyzwyczajała się do tego, że Drugi Głos czyni to bez wysiłku. Widocznie zdążyła się już odzwyczaić.

- Oddany Sługa Nekaun wydaje się miły - odparła. I jest miłym widokiem dla oczu, dodała w myślach. Usta Imenji wykrzywiły się w kpiącym uśmiechu.

- Tak. I ambitny.

- Chce zostać Pierwszym Głosem? - Reivan zaciekawiła się.

- Wszyscy chcą, z tej czy innej przyczyny. Nawet ci, którzy sami przed sobą nie potrafią się do tego przyznać. Nawet ci, którzy się boją.

Imenja wypiła łyk wody i pokiwała głową.

- Boją się zostać Pierwszym Głosem?

- Tak. Obawiają się odpowiedzialności bez końca. A może odpowiedzialności prowadzącej do nieprzyjemnego końca... Przecież to właśnie spotkało Kuara. Ciekawie jest obserwować ten wewnętrzny zamęt. Ich pragnienie, by znaleźć się bliżej bogów, walczy ze strachem przed śmiercią, która przecież doprowadzi ich bliżej nich. Ironiczne, prawda?

- Tak.

- Są również tacy, którzy obawiają się dezaprobaty bogów, gdyby ich motywem była tylko ambicja. Wiedzą, że aby zostać Sługą Bogów, trzeba odłożyć na bok wszystkie własne interesy i pracować wyłącznie dla ich korzyści. Dlatego wmawiają sobie, że nie chcą tego stanowiska, choć w rzeczywistości chcą.

- Myślałam, że opinia bogów nie ma znaczenia. Słudzy wybierają Pierwszy Głos spośród Oddanych Sług, którzy przejdą próbę magicznej mocy.

Imenja uniosła brwi.

- Oczywiście, że ma znaczenie! Wyobraź sobie, że zostałaś wybrana przez Sługi, ale odrzucona przez bogów...

Reivan skrzywiła się.

- Nie chciałabym się znaleźć w takiej sytuacji.

- A w jakiej chciałabyś się znaleźć? Pytanie zaskoczyło Reivan. Rozłożyła ręce.

- Ja tylko zawsze chciałam zostać Sługą Bogów.

- Dlaczego?

Otworzyła już usta, ale zaraz je zamknęła. Chciała powiedzieć: „aby służyć bogom", ale nie była pewna, czy to prawda.

Nie jestem fanatyczką, myślała. Nie wiem, czy poświęciłabym życie bez jakiegoś wyjaśnienia, czemu tego ode mnie żądają.

Więc czemu tak długo o tym marzyłam?

Zawsze podziwiała Sługi. Ich godność, ich mądrość. Ich magię.

Ale przecież nie chodzi tylko o magię. Jeśli zostanę Sługą, nie zyskam silniejszych Talentów. Nigdy.

Na pewno chodziło o coś więcej. Musiała opuścić klasztor, w którym się wychowała, ponieważ nie nadawała się na Sługę... To wydawało się takie niesprawiedliwe. Chciała tam zostać. Była pewna, że właśnie tam jest jej miejsce.

- To sposób życia - powiedziała wolno. - Jesteśmy przewodnikami i nauczycielami. Jesteśmy porządkiem w chaotycznym świecie. Poprzez ceremonie zaznaczamy kolejne etapy ludzkich żywotów, i w taki sposób dajemy im poczucie wartości i miejsca.

Imenja uśmiechnęła się, ale bez radości.

- Mówisz jak wiejska Sługa. Także rządzimy i ściągamy podatki. Wymierzamy sprawiedliwość. Prowadzimy mężczyzn i kobiety na wojnę.

Reivan wzruszyła ramionami.

- Z tego, co czytałam, wynika, że i tak radzimy sobie z tym lepiej niż dawni królowie.

Głos się roześmiała.

- Owszem. Tak jest. Ale jeśli masz plany, by zostać Sługą gdzieś na wsi albo pracować w klasztorze, odłóż je na starość. Na razie chcę cię wykorzystać inaczej.

Reivan poczuła ukłucie niepokoju.

- Mam więc nadzieję, że okażę się tak użyteczna, jak się spodziewasz.

- W końcu tak, jestem tego pewna. Chcę cię uczynić moją Towarzyszką.

Dopiero po chwili Reivan uświadomiła sobie, że wytrzeszcza oczy na Imenję. Odwróciła wzrok.

Ja? Towarzyszką Głosu?

To znaczyło, że będzie musiała doradzać i wykonywać zlecenia Imenji. Każdy, kto zechce porozmawiać z Drugim Głosem, będzie musiał ustalić to z Reivan. Zastąpi na tym stanowisku Thar, która zginęła na wojnie. Thar była wybitnie Utalentowana.

- Nie mam Talentów - uprzedziła. - I mam dopiero dwadzieścia dwa lata.

- Jesteś inteligentna. Podoba mi się twój sposób myślenia. Potrafisz dbać o protokół i

znasz języki. Poradzisz sobie. Jest jednak pewna przeszkoda: musisz pokazać, że zasłużyłaś na to stanowisko. Niewielu tutaj było świadkami roli, jaką odegrałaś w wyprowadzeniu armii z kopalni; niewielu pojmuje, jak wiele ci zawdzięczają. Ci, którzy pozostali tu w czasie wojny, nie uważają, by ten czyn usprawiedliwiał zmianę reguły uznawanej od tak dawna, że stała się niemal prawem.

Choć serce biło jej jak szalone i miała wrażenie, że wszystkie wnętrzności wypadły gdzieś poniżej stóp, Reivan zdołała jakoś kiwnąć głową.

- Słudzy muszą posiadać Talenty...

- Nie trać serca. Większość tutaj chce ci dać szansę, nie tylko dlatego że ja tak sobie życzę. Nie będą protestować, jeśli będę cię zabierać na rytuały i pytać o radę, jak Towarzyszki. Ale żeby szybko ogłosić to oficjalnie... - Pokręciła głową. - Miną pewnie miesiące, zanim to będzie możliwe. Wiem, bez trudu zdołasz ich przekonać, że jesteś godna... Ale czy sprostasz takiemu wyzwaniu?

Reivan powoli kiwnęła głową.

- Jeśli mam dobrze służyć bogom, to powinnam zająć stanowisko, na którym mogę być użyteczna.

Imenja uśmiechnęła się.

- Dobra odpowiedź. Aha...I w samą porę. Jest Shar. Kiedy Piąty Głos wyszedł na balkon, Reivan poczuła, że na moment zamarło jej serce. Może i był najmniej potężny z Głosów, ale najpiękniejszy. Skórę miał nietypowo bladą, a długie, jasne od słońca włosy spływały mu na plecy. Szmaragdowe oczy spoglądały to na Imenję, to na Reivan.

- Panie... - rzekł i skłonił się uprzejmie.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby Reivan została tu i mi doradzała? - spytała Imenja.

- Ależ skąd - zapewnił z uśmiechem. Poczuła, że się rumieni.

- Dzięki ci, świątobliwy - rzekła, a jej głos zabrzmiał ciszej, niż zamierzała.

- Czy przychodzimy jako ostatni? - odezwał się kobiecy głos. Odwrócili się wszyscy, a na balkon weszły ostatnie dwa Głosy. Genza była smagła i miała ostre rysy, jak ptaki, które hodowała. Inaczej Vervel - krępy i wyglądający na dwadzieścia lat więcej. W swych śmiertelnych latach oboje byli Sługami - - wojownikami, mimo że posiadali potężne Talenty.

- Obawiam się, że tak - potwierdził Shar. Genza spojrzała na Reivan.

- Witaj w Sanktuarium, Reivan Reedcutter. Reivan poczuła, że płoną jej policzki.

Na balkon weszli dwaj Słudzy, w których rozpoznała Towarzyszy Genzy i Vervela. Obaj skłonili się jej z szacunkiem, a ona odpowiedziała tym samym.

Gdy nowo przybyła piątka zajęła miejsca na trzcinowych fotelach, Reivan poczuła, że ulatnia się jej pewność siebie. W towarzystwie wszystkich Głosów i potężnych Towarzyszy, czuła się nieważna i trochę żałosna. Postanowiła odzywać się jak najrzadziej i skupić na słuchaniu. Jakby chcąc jej to ułatwić, Głosy zaczęły rozmawiać o Oddanych Sługach, kwalifikujących się na stanowisko Pierwszego Głosu.

Ku jej zdumieniu, wady i zalety każdego z kandydatów były omawiane z niemal przerażającą skrupulatnością. Żaden aspekt charakteru nie uszedł surowej analizie. Szybko zrozumiała, dlaczego tak się dzieje - ten, kto zostanie wybrany, będzie ich przywódcą.

Będą musieli pracować z tą osobą przez setki, może nawet tysiące lat.

Ciekawe dlaczego, pomyślała nagle. Przecież Imenja może przejść na pierwsze miejsce. Wydaje się dobrym przywódcą.

Po pewnym czasie zjawiło się dwóch domowych z paterą suszonych owoców, orzechów i innych smakołyków oraz dzbankiem wody. Rozmowa zeszła na błahe tematy. Reivan zadrżała, gdy chłodna bryza musnęła jej skórę. Spojrzała ponad balustradą i zobaczyła, że słońce już niemal zachodzi.

- Były protesty przeciwko urządzaniu Rytuału Słońca w czasie miesiąca żałoby - oznajmił cicho Vervel, zachowując obojętny wyraz twarzy.

- Spodziewałam się ich - odparła Imenja. - Ale nie możemy prosić par, by czekały kolejny rok na następną ceremonię płodności. Czy cokolwiek lepiej uzdrawia serce, niż sprowadzenie na świat nowego życia?

Inni przytaknęli albo wzruszyli ramionami. Imenja przyjrzała się im po kolei, a potem się uśmiechnęła.

- Myślę, że na dzisiaj omówiliśmy już dosyć. Może spotkamy się tutaj jutro, jeśli tylko pogoda będzie sprzyjać?

Pozostałe trzy Głosy zgodziły się. Imenja wstała i poprawiła szatę.

- Zobaczymy się na kolacji - powiedziała. Obejrzała się na Reivan. - Chodź ze mną. Mamy wiele do omówienia.

Odeszła, a za nią Reivan. Po drodze Imenja zadała jej kilka pytań o lekcje, jednak już po paru minutach stanęły w progu dużego pokoju. Reivan rozejrzała się, zauważając proste, ale eleganckie wyposażenie.

- To moje pokoje - wyjaśniła Imenja. - Kiedy zostaniesz moją Towarzyszką, otrzymasz własny apartament niedaleko stąd.

Reivan przypomniała sobie mały, ciemny pokoik, jaki jej przydzielono, kiedy została Sługą - nowicjuszką.

- Już nie mogę się doczekać. Drugi Głos parsknęła śmiechem.

- Domyślam się. A przez ten czas zdobędziesz wiedzę o tym, jak mieszkają zwykli kapłani i kapłanki.

A teraz wiem, jak mieszkają Głosy, myślała Reivan, spoglądając wokół siebie. Co ten pokój mi o nich mówi? Że są potężni i bogaci, ale prezentują raczej godność niż rozrzutność. Domyślam się, że takie mieszkania powinny imponować władcom, którzy ich odwiedzają, a własny lud utwierdzać w wierze, że zachowują pełną kontrolę.

Spojrzała na Imenję, przypominając sobie ostatnie pomyślane pytanie.

- Dlaczego ty nie zostaniesz Pierwszym Głosem? Imenja roześmiała się.

- Ja? - Pokręciła głową. - Jest wiele powodów, ale najważniejszy to moc. Potrzebujemy kogoś, kto zastąpi Kuara, kto jest magicznie równie potężny, albo i potężniejszy od niego. Zatem nowy Głos będzie potężniejszy ode mnie, a przecież nie ma sensu, by słabszy Głos rządził pozostałymi, prawda?

- Chyba nie.

- Zresztą nie kusi mnie to stanowisko - wyznała Imenja. - Wolę stosować mniej bezpośrednie metody.

Uderzyła w niewielki gong, a cały pokój wypełnił się przyjemnym dźwiękiem.

- Teraz muszę załatwić kilka spraw, które zwykle pozostawiałam Thar. Zostań i słuchaj, gdyż niedługo ty przejmiesz te obowiązki.

Reivan podążyła za Drugim Głosem do trzcinowych foteli. Postanowiła uczyć się wszystkiego, co możliwe.

Być może nie dysponuję magią, myślała, ale to nie znaczy, że kiedy nadejdzie czas, nie będę dobrą Towarzyszką.

Mirar zamknął oczy i uspokoił oddech. Pozwolił, by świadomość osunęła się i zawisła pomiędzy jawą i snem. W tym stanie łatwo było się zdekoncentrować, zabłądzić w senne marzenia. Dbał o to, by jakaś część umysłu stale skupiała się na celu. Przypominało to zabawę, jaką pamiętał z dzieciństwa: grający musiał jedną ręką stale utrzymywać kontakt z drzewem czy głazem, gdy drugą próbował „zabić" inne dzieci, dotykając ich. Tamci biegali dookoła, zbliżali się i odskakiwali, a on coraz mocniej wyciągał ręce, aż tylko jeden palec muskał korę...

Sen o wieży, przypomniał sobie. Muszę zobaczyć ten sen, który według Emerahl jest moim.

Zawołał ją i wyczuł, że przechodzi z głębokiego uśpienia w senny trans.

: *Mirar?*

: *Jestem tu. Pokaż mi sen.*

: *A tak. Sen o wieży... Jak on się zaczyna... ?*

Pojawiła się Biała Wieża. Wznosiła się nad nią, i narastało poczucie zagrożenia.

: *Byłaś w Jarime w ciągu ostatnich stu lat?* zapytał delikatnie i spokojnie, by nie zakłócić jej wspomnień. *Widziałaś Białą Wieżę?*

: *Nie.*

To ciekawe. Jak mogła wyśnić tak dokładnie coś, czego nigdy nie oglądała? Ale przecież uważa, że to nie jest jej sen.

Zresztą wizja nie była aż tak dokładna, jak się z początku wydawało. Szczyt wieży rozcinał przesuwające się nad nim chmury - była wyższa, niż w rzeczywistości. Poczuł, że ogarnia go senne przerażenie, chęć ucieczki, a jednocześnie paraliżująca fascynacja. Śniący chciał patrzeć. Chciał widzieć, choć to niebezpieczne. Jeśli śniący zostanie tu zbyt długo, oni go zobaczą. Odkryją, kim jest.

Oni? Kim są ci „oni"?

Wieża zdawała się wyginać. Pojawiły się pęknięcia... Było już za późno na ucieczkę, ale jednak próbował. Obejrzawszy się, widział lecące ku niemu wielkie, kamienne bloki.

Czemu nie odbiegłem wcześniej? Czemu nie uciekam w bok, by usunąć się z drogi padającej wieży?

Świat wokół niego runął. Hałas ogłuszał. Poczuł, że gruzy zasypują jego ciało. Miażdżą. Łamią kości. Zgniatają, ściskają mięśnie. Pierś zapadała się pod naciskiem. Płuca stanęły w ogniu, kiedy powoli zaczął się dusić. Brak mu było tchu, by krzyknąć. Brak nawet, by głosem dać wyraz cierpieniu. Walczył z otępieniem, powoli obejmującym umysł. Próbował sięgnąć po magię, ale nie było jej. Przestrzeń wokół była wyczerpana. Mimo tej świadomości sięgnął dalej, wyczuł cienką strużkę, wciągnął ją... Użył, by ochraniać i podtrzymać swą głowę, swój umysł, swe myśli....

To nie wystarczy...

Nie dość magii, by naprawić ciało. Nie dość nawet, by unieść przygniatającą go ruinę Domu. A już na pewno nie dosyć, by znowu zmierzyć się z Juranem, co będzie musiał zrobić, kiedy tylko jakoś się stąd uwolni.

Mógłbym zwyczajnie ustąpić. Pozwolić sobie na śmierć... Juran w jednym miał rację: rozpoczyna się nowa era. Być może naprawdę nie ma w niej miejsca dla mnie.

Ale co z tkaczami snów?

Na nic im się już nie przydam. Wszystko, co osiągnąłem, sprzeciwiając się boskim planom, to to, że uczyniłem tkaczy wrogami ludzi, zamiast częścią tego nowego

społeczeństwa. Nic nie trwa wiecznie. Może i dla nich nadchodzi koniec? Jeśli nie potrafię sam siebie ocalić, to jak mogę uratować tkaczy snów?

Czuł, że ta odrobina magii, jaką ściągnął, także się wyczerpuje. Sięgnął dalej, dalej niż kiedykolwiek. Jeśli zdobędzie dość magii, by podtrzymać myśli, może zdoła przeżyć. To tylko kwestia efektywności. Nie warto składać kości ani naprawiać ciała. Wystarczy, by trwały główne procesy. Pod gruzami nie było pożywienia ani wody, musi więc spowolnić działanie ciała, aż będzie niemal martwe. Nie trzeba myśleć, wystarczy utrzymywać istotę umysłu tak, by ściągała magię i kierowała ku jej przeznaczeniu.

Jeśli nie będzie myślał, bogowie go nie zobaczą. Nie odkryją, co robi. Nie dowiedzą się, że przeżył.

Dowiedzą się jednak, kiedy tylko odzyska siły. Wystarczy, że odczytają jego myśli.

Więc niech nie widzą mnie. Niech widzą kogoś innego. Kogoś, kto nie może im zagrozić. Stanę się inny, dopóki... no, dopóki potrafię... albo umrę.

Z wolna pozwolił świadomości zapaść się w ciemność.

: *Mirar!*

Mrok rozbiegł się na boki niczym stado wystraszonych reynów. Uwolniony od snu, przypomniał sobie, gdzie jest i co robi. I uświadomił sobie całą głębię następstw swego odkrycia.

: *Emerahl... Miałaś rację. Pamiętam.*

: *Widziałam,* odpowiedziała. *Jesteś prawdziwym właścicielem tego ciała. Biała Wieża to symbol Jurana, który cię pokonał. Połączyła się z Domem Tkaczy Snów, pod którym zostałeś pogrzebany. Ty. Mirar.*

Poczuł zachwyt i podziw dla tego, czego udało mu się dokonać.

: *To podziałało. Przeżyłem. Stworzyłem Leiarda, aby bogowie mnie nie zobaczyli, i to podziałało. Wszedłem do ich Świątyni, leżałem w łożu z ich kapłanką, a oni mnie nie poznali.*

: *Utraciłeś swoją tożsamość,* odparła wstrząśnięta. *Równie dobrze mogłeś umrzeć.*

: *Ale teraz ją odzyskałem.*

: *Miałeś szczęście, że znalazłeś bezpieczne miejsce, by się tym zająć. I że ja przeżyłam, by cię nauczyć, jak ukrywać swe myśli.*

: *Tak. I pomogłaś mi sobie przypomnieć. Dziękuję ci, Emerahl.*

: *Wątpię, czy Leiard też mi podziękuje.*

: *Leiard? On nie był prawdziwą osobą.*

: *Ale stał się nią.*

: *No tak,* zgodził się niechętnie Mirar. *Miał na to sto lat. Przynajmniej teraz zna*

prawdę. Nic dziwnego, że nigdy nie mogliśmy się zgodzić. Pod wieloma względami stworzyłem go jako swoje przeciwieństwo, aby lepiej się ukryć.

: *Zastanawiam się... Czy on jeszcze istnieje? Może się obudzimy, a ja spróbuję go przywołać?*

: *Nie*, odparł Mirar. *Jeszcze nie. Mam wiele do przemyślenia. Czuję, jak napływają inne wspomnienia.*

: *A więc jutro.*

: *Tak. Jutro.*

Mirar starał się stłumić uczucie niepokoju. Co zrobi, jeśli Leiard nadal będzie istniał w jego umyśle? Co może zrobić?

: *Dobranoc,* nadała sennie Emerahl.

: *Dobranoc,* odpowiedział.

Połączenie zostało przerwane. Już samotny, Mirar zaczął dryfować w sny i wspomnienia. Nie wszystkie były przyjemne, ale wszystkie zawierały prawdy, o których nie myślał od stu lat.

10

Emerahl wstała wcześnie i wyruszyła na poszukiwanie jedzenia. Wykopując jadalne korzenie i zrywając owoce oraz orzechy, zastanawiała się nad odkryciami zeszłej nocy. To, czego dokonał Mirar, było niezwykłe. Chciałaby wiedzieć, jak przetrwał w połamanym ciele, w jaki sposób udało mu się stworzyć Leiarda i pogrzebać własne poczucie tożsamości. Czy Leiard wciąż istniał w jego umyśle? Gdyby Mirar wiedział, że obserwują go bogowie, czy potrafiłby czasowo przejść do stanu Leiarda? To by było przydatne.

Kiedy wróciła, siedział w pozie medytacyjnej. Było to dla niego tak nietypowe, aż poczuła dławiący lęk, że to znowu Leiard zapanował nad ciałem. Odstawiła kubeł, a wtedy otworzył jedno oko, a wargi wygiął w kpiącym uśmiechu.

- Co na śniadanie?

To stanowczo Mirar, pomyślała z ulgą.

- Pieczone korzonki. Owoce i orzechy - odparła. - Znowu.

Nie wywarło to na nim wrażenia; znów zamknął oko, budząc w niej uczucie, że została zlekceważona. Dobrze też ukrywał swój umysł - nie potrafiła nawet odgadnąć jego nastroju.

W brzuchu jej burczało. Obrała korzenie, pokroiła je drobno, a potem gotowała, aż zmiękły. Odcedziła, rozgniotła na pastę i uformowała w placuszki.

- Sporo sobie przypomniałem zeszłej nocy - odezwał się Mirar. - Kiedy już zasnęłaś.

Wyprostowała się i spojrzała na niego. Oczy miał otwarte. Wyglądał jak ktoś obcy, ze ściągniętą twarzą, wyrażającą emocje, jakich wcześniej u niego nie widziała. I znowu się zastanowiła, czy nie rozmawia z Leiardem.

- Na przykład co?

Spuścił głowę, ale oczy spoglądały gdzieś w głąb, poza podłoże. Jakby we wspomnienia, domyśliła się. Złe wspomnienia, sądząc z jego miny.

- Niepokój. Kiedy znaleziono mnie w gruzach, obudziłem się ze snu. Nie wiedziałem, kim jestem, i nikt inny też nie wiedział. Nie rozpoznali mnie, więc uznałem, że jestem jednym ze zwykłych tkaczy snów, którzy przebywali w Domu, kiedy został zburzony. Ciało miałem połamane i zniekształcone. Nie mogłem chodzić. Nie mogłem sam jeść. Byłem tak brzydki, że ukryli mnie, bym nie straszył kobiet i dzieci.

Mówił cicho, bez gniewu, lecz ze spokojną odrazą. Zadrżała przerażona, że jej stary przyjaciel tak bardzo cierpiał. Przerażona, że wielki Mirar został zredukowany do roli

pozbawionego pamięci kaleki.

- Bardzo powoli wracałem do zdrowia - mówił dalej. - Włosy mi wypadły i wyrosły znowu białe. Nie potrafiłem ich ściąć, a zanim odzyskałem tę umiejętność, nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego właściwie powinienem. Gdy tylko zdołałem utrzymać się na nogach, uciekłem z Jarime. Bałem się tego miejsca, a nie pamiętałem dlaczego. Tak więc kuśtykałem z miasta do miasta, od wsi do wsi, coraz dalej i dalej. Żebrałem, grzebałem w śmieciach, w niektórych miejscach traktowano mnie miłosiernie, z innych przepędzano. Moje istnienie było żałosne i trwało to długie lata.

Westchnął.

- Ale wciąż nabierałem sił. Moje blizny powoli znikały. Niektóre wspomnienia wyblakły, inne powróciły. Przypomniałem sobie, że byłem tkaczem snów, lecz minęło sporo czasu, zanim odważyłem się uszyć sobie kamizelkę i zaproponować komuś swoje usługi. W kolejnych miejscach zatrzymywałem się na coraz dłużej, na lata, zamiast miesięcy. Najdłuższy czas spędzony w jednym miejscu to było dziesięć lat, kiedy... - Urwał na moment i skrzywił się. - Kiedy znalazłem dziecko z tak wielkim potencjałem, że nie mogłem się powstrzymać. Musiałem zostać i spróbować ją uczyć.

- Auraya - odgadła Emerahl. Kiwnął głową.

- Byłaby znakomitym tkaczem snów. Emerahl była lekko zdziwiona.

- Tak sądzisz?

- Tak. Jest inteligentna, pełna współczucia, Obdarzona. Ma wszystkie niezbędne cechy.

- Z wyjątkiem pewnych preferencji dla bogów. Uśmiechnął się smętnie.

- A tak. Z wyjątkiem tego. Po raz kolejny zrujnowali moje plany. A przynajmniej plany Leiarda. - Zmarszczył czoło. - Ta wieża ze snu to Biała Wieża. Wtedy jeszcze nie istniała, ale została zbudowana w miejscu, gdzie kiedyś stał Dom Tkaczy Snów. To chyba jej widok sprawił, że zaczęły wracać wspomnienia.

Emerahl pochyliła się ku niemu.

- Więc jak? Leiard wciąż tam jest?

- Nie wiem. - Mirar spojrzał na nią; nie potrafiła niczego wyczytać z jego twarzy. - Myślę, że pora się przekonać.

Kiwnęła głową.

- Chyba rzeczywiście. - Przez chwilę patrzyła na niego z uwagą. - Czy mam go przywołać?

- Lepiej załatwmy to od razu. Nabrała tchu.

- Leiardzie, odezwij się do mnie.

Szeroko otworzył oczy i wykrzywił usta. Emerahl patrzyła ze zgrozą i przerażeniem, jak znikają wszelkie ślady Mirara i zastępuje je maska przerażenia. Otworzył usta, mocno nabrał tchu, a potem zasłonił twarz dłońmi i wydał z siebie udręczony krzyk - jęk strachu i cierpienia.

Najwyraźniej Leiard nie zniknął, pomyślała spokojnie.

Poderwał się na nogi. Ona również wstała i podeszła bliżej.

- Leiardzie, uspokój się.

Jęk, jaki z siebie wydawał, ucichł z wolna. Przesunął palce na skronie, jakby chciał sobie zmiażdżyć głowę.

- Kłamstwo - wyjęczał. - Kłamstwo... a ona nic nie wie! Nie wie, że to, co kochała, było... - Zacisnął powieki. - Nie jestem prawdziwy.

I nagle otworzył oczy i popatrzył na Emerahl. Zrobił dwa kroki naprzód i chwycił ją za ramiona.

- Ale przecież jestem! Gdybym nie był, jak mógłbym myśleć? I czuć? Jak mogę nie być prawdziwy?

Emerahl patrzyła. Wydawał się na poły szalony, na poły zdesperowany. Ogarnęło ją współczucie.

- Stworzył cię zbyt dobrze - usłyszała własny głos. Odepchnął ją z niechęcią. Zatoczyła się do tyłu, zahaczając nogą o łóżko. Zabolało, więc syknęła odruchowo. Leiard nawet tego nie zauważył.

- Dlaczego stworzył mnie zdolnego do miłości? - złościł się. - Jak w ogóle był w stanie to zrobić, skoro sam nie jest do niej zdolny? - Urwał, po czym odwrócił się i spojrzał na nią oskarżycielsko. - Czy zaplanował coś takiego? Stworzyć inną osobę, by potem ją zabić? Równie dobrze mógłby spłodzić dziecko, a potem je zamordować.

Ma trochę racji, przyznała w duchu.

Ale potem pokręciła głową. Leiard nie był prawdziwą osobą. Nie narodził się, nie dorastał w rodzinie, jego osobowość nie kształtowała się w czasie - została stworzona. Przecież to rozsądne, że Mirar dał swojej osłonie własną jaźń, inaczej nie miałaby chęci przetrwania.

Leiard odwrócił się nagle i ruszył w kierunku wyjścia z jaskini. Serce w niej zamarło.

- Leiardzie! - krzyknęła. - Nie wychodź spod osłony... - Szedł dalej. - A niech to! Mirar! Wracaj!

Zatrzymał się. Widziała, jak prostuje ramiona. Odwrócił się do niej z powagą na

twarzy. Trudno było powiedzieć, czy jej wezwanie podziałało, ale z ulgą zobaczyła, że wraca na środek groty.

- To nie było przyjemne - mruknął i usiadł na krawędzi łóżka.

- Mirar? - spytała niepewnie.

- Tak, to ja - potwierdził. Wyciągnął się na posłaniu i zmarszczył czoło. - A więc, czego spróbujemy teraz, stara Wiedźmo?

Parsknęła niechętnie, gdy użył jej dawnego imienia. Wiedźma. Dostarczycielka leków na choroby albo niemiłe sytuacje.

- Czasu - poradziła. - Muszę się zastanowić. I ty też. - Wstała. - Czy mogę liczyć na to, że zostaniesz na miejscu?

- Mnie możesz ufać - odparł. - I z własnej woli nie oddam mu z powrotem władzy.

- To dobrze - powiedziała. - Ponieważ nie mogę tu zostać, by cię pilnować. Musimy jeść, musimy spać. I zrobi się naprawdę nieprzyjemnie, jeżeli nie będę mogła opróżniać tych kubłów.

Spojrzał, a potem uśmiechnął się przepraszająco.

- Nie chcę zmieniać jednego nieprzyjemnego tematu na inny, ale obawiam się, że skorzystałem ze swojego, kiedy cię nie było.

Wzruszyła ramionami. Podeszła i podniosła kubeł.

- Zajmę się tym od razu. I sprawdzę, czy znajdzie się coś ciekawszego na śniadanie.

- Dziękuję - odparł, a potem dodał trochę zażenowany: - Potrzebujemy też świeżej wody.

Westchnęła, sięgnęła po drugi kubeł i szybko wyszła z jaskini. Jej kroki odbijały się echem, ale szum wodospadu szybko zagłuszył te dźwięki. Na końcu tunelu zatrzymała się i zapatrzyła w spadającą wodę.

„Równie dobrze mógłby spłodzić dziecko, a potem je zamordować".

Reakcja Leiarda wstrząsnęła nią, a te słowa wzbudziły dreszcz. Wyraźnie rozumiał, jaki los go czeka, i to mu się nie podobało. Zamierzał walczyć o swoje istnienie.

To niedobrze, pomyślała. To nie jest zdrowe, gdy dwaj ludzie walczą o panowanie nad tym samym ciałem. Jakkolwiek okrutnie to brzmiało, Leiard był wymysłem, a Mirar rzeczywistą osobą. Nie mogli nadal istnieć obaj.

Westchnęła i wyszła z groty. Deszcz przestał padać i zza chmury wynurzyło się słońce, którego promienie odbijały się w kroplach wody. Zatrzymała się, aby podziwiać efekt. Widok był piękny, nawet romantyczny. Przypomniała sobie, jak Leiard mówił o Aurai. To rzeczywiście interesujący pomysł Mirara, aby Leiard mógł odczuwać romantyczną miłość.

Ale to znaczy, że Mirar też był do niej zdolny.

Jeśli tak, to mógł zostać wszystkim, czym był Leiard. Być może nie lubi tych aspektów własnej osobowości, ale Leiard jest dowodem, że faktycznie istnieją.

To nie jest naprawdę bitwa między Leiardem a Mirarem, uświadomiła sobie nagle. To Mirar walczy z tym, czego w sobie nie akceptuje.

A w takim razie, wystarczy mu...

Jej zmysły musnęła nagle ulotna emocja obcego umysłu. Emerahl zamarła. A potem rozluźniła się i przeszukała okolicę. Gdzieś po lewej stronie obserwował ją mężczyzna. Na podstawie troski i niepokoju, które odebrała, zrozumiała, że jest zaalarmowany jej obecnością w Si. Czy jest sam?

Serce biło jej mocno, kiedy szukała dalej i znalazła kolejny umysł. Dwa... Nie, trzy. Cztery!

To tyle jeśli chodzi o moją genialną kryjówkę, pomyślała. Jeśli tak łatwo nas odkryto... Ale kto jeszcze zawędrowałby tak daleko w głąb Si?

Siyee, oczywiście.

Uspokoiła się trochę. Oczywiście, bogowie mogli ją obserwować poprzez Siyee, ale szansa była niewielka.

Wyczuwała ciekawość, a także ostrożność. Domyśliła się, że jej obecność była dla nich niespodzianką.

Byli jednak bardziej wystraszeni, niż można by się spodziewać. Nie miała pojęcia, czemu mieliby się bać samotnej kobiety ziemiochodzących. Może podejrzewali, że nie jest samotna?

Chyba lepiej z nimi porozmawiam. Jeżeli tego nie zrobię, mogą sprowadzić innych. Gdyby jednak udało się ich przekonać, że jestem przyjaźnie nastawiona i nie chcę tu siedzieć zbyt długo, może zostawiliby mnie w spokoju.

Postawiła oba kubły, a potem przeszła wzdłuż brzegu, udając, że szuka jedzenia. Kiedy podeszła do Siyee tak blisko, by usłyszeli ją mimo szumu wodospadu, wyprostowała się i spojrzała demonstracyjnie w kierunku każdego z czwórki obcych.

- Bądźcie pozdrowieni, ludzie nieba! - zawołała, z nadzieją, że ich język nie zmienił się zbytnio.

Zapadła długa nerwowa chwila milczenia, kiedy jeden z patrzących - mężczyzna - zastanawiał się, co zrobić. Gdy wyczuła, że podjął decyzję, zwróciła się twarzą do niego i zobaczyła ruch między drzewami.

Siwowłosy Siyee pojawił się w polu widzenia. Pochylił głowę i wydał z siebie ciąg

dziwnych dźwięków i gwizdów. Emerahl rozumiała dosyć, by wiedzieć, że się jej przedstawił.

- Witaj, Veece, mówco klanu Północnej Rzeki - odparła. - Jestem Jade Dancer.

- Witaj, Jade Dancer. Co robisz tutaj, w Si? Starannie przemyślała odpowiedź.

- Kiedy usłyszałam, że nadchodzi wojna, przybyłam tu, aby ją przeczekać.

- A więc przynoszę ci dobre wieści. Wojna trwała krótko. Skończyła się prawie dwa cykle księżyca temu.

Udała, że jest zachwycona.

- To naprawdę dobre wieści! - zawołała, a potem dodała szybko: - Nie żeby mi się nie podobało w Si, ale życie jest tu trochę... trudne dla ziemiochodzącego.

Podszedł kilka kroków bliżej i wyczuła w nim podejrzliwość.

- Las jest niebezpieczny, a podróż tutaj niełatwa dla tych, co nie mają skrzydeł. Jak zdołałaś tu przeżyć? Skąd znasz nasz język?

Wzruszyła ramionami.

- Przez wiele lat mieszkałam na granicy waszych ziem - odparła. - Mam wiedzę i Dary. A raz pomogłam rannemu Si, który nauczył mnie waszej mowy. Wśród swego ludu pracuję jako uzdrowicielka.

- Nie jesteś kapłanką?

- Ja? - spytała zdziwiona. - Nie.

- Myślałem, że wszyscy Obdarzeni ziemiochodzący zostają kapłanami.

- Nie, niektórzy z nas nie chcą. Zmrużył oczy.

- A dlaczego nie? Wścibski jest, pomyślała.

- Nie chcę mówić innym, co mają robić, i nie chcę, aby inni mnie mówili, co mam robić.

Po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Wybacz mi moje pytania. Mają dwie przyczyny. Baliśmy się, że jesteś pentadriańską czarownicą, kobietą, która kiedyś zaatakowała nasz lud. Wkrótce mamy też mieć naszych własnych kapłanów i kapłanki, więc chciałem się dowiedzieć, czemu ktoś nie chce zostać jednym z nich.

Siyee mają mieć własnych kapłanów? Ta wiadomość ją zasmuciła. Przez tyle lat byli wolni od cyrkliańskich wpływów... Odkąd istnieje zagrożenie ze strony pentadrian, potrzebują ochrony. Zastanowiła się, jak powinna się zachowywać wobec starca. Nie wyczuwała już jego lęku, choć przez ciekawość wciąż przebijała ostrożność. Była pewna, że jego towarzysze nie mieli złych zamiarów. Wierzyli, że jest sama - i tak powinno pozostać.

Nie zaryzykuje, przedstawiając im Mirara.

Nie, najlepiej ich przekonać, że jest sama i nieszkodliwa.

Przykucnęła i opłukała ręce w zimnej, bystrej wodzie.

- Kawałek dalej wzdłuż rzeki rośnie koszowe drzewo - powiedziała. - Zostaniecie i zjecie ze mną? Od dawna nie miałam towarzystwa.

Zerknął na pozostałych i skinął głową.

- Chętnie. Nie możemy zostać długo, bo i tak jesteśmy już spóźnieni z powrotem do naszego klanu. Ale mamy dość czasu, by zjeść i porozmawiać.

Świsnął głośno i spomiędzy drzew wynurzyła się trójka innych Siyee: kobieta w średnim wieku i dwóch młodzieńców. Zbliżyli się, patrząc nerwowo na Emerahl. Veece przedstawił ich kolejno. Uśmiechnęła się, a potem wstała i wyciągnęła rękę.

- Chodźcie za mną. Nie wiem jak wy, ale zawsze lepiej mi się rozmawia, kiedy nie jestem głodna.

Poprowadziła ich wzdłuż rzeki, jak najdalej od Mirara.

Po niebie przetoczyły się niskie ciemne chmury. Oślepiły ją błyskawice, ale nie było gromu. Tylko cisza.

W noc po bitwie nie było burzy, przypomniała sobie Auraya, przestępując nad ciałami. No i nie było też gadających trupów.

Starała się unikać spoglądania na twarze zabitych. Przekonała się już, że to skłania ich do aktywności. Ale to, że nie patrzyła w dół, utrudniało marsz przez pole bitwy. Ciemność między rozbłyskami była absolutna. W końcu nastąpiła chwila, kiedy zaczepiła stopą o zwłoki, i wtedy spojrzała pod nogi.

Przekrwione oczy skierowały się ku niej. Poruszyły się usta.

- Zabiłaś mnie - wycharczał martwy.

Zwykle budziłam się w tym miejscu... Ale teraz już nie.

- Zabiłaś mnie - powiedział inny głos. Kobieta. Kapłanka.

A potem jeszcze inny przemówił... i kolejny. Wszędzie wokół poruszały się ciała. Wstawały, jeśli mogły. Czołgały się, jeśli nie. Zbliżały się do niej. Coraz głośniej i głośniej wykrzykiwały swoje oskarżenia.

- Zabiłaś mnie! Zabiłaś mnie! Zabiłaś mnie!

Ruszyła biegiem, ale nie było przed nimi ucieczki. Otaczali ją. Kiedyś budziła się również w tym momencie. Wyciągali ręce. Powalali ją na ziemię ciężarem cuchnącego, gnijącego mięsa. Przyciskali do niej twarze, pluli, ociekali krwią. Kościste palce przygniatały jej żebra, a ucisk utrudniał oddech. I przez cały czas powtarzali te same słowa.

- Ałaja! Ałaja! Co...?

I nagle obudziła się, patrząc w parę wielkich oczu, otoczonych długimi rzęsami. Oczu, które należały do veeza.

- Ałaja - powtórzył Figiel, tym razem z wyraźną satysfakcją.

Siedział na jej piersi i przestępował z łapki na łapkę.

- Figiel! - sapnęła.

Kiedy usiadła, zeskoczył na łóżko. Nabrała tchu, a potem wolno wypuściła powietrze i spojrzała na zwierzaka.

- Dziękuję - mruknęła.

- Drap? - poprosił.

Spełniła jego życzenie i podrapała go po grzbiecie. Dotyk miękkiego futra sprawił jej przyjemność. Figiel popiskiwał cicho z radości, a ona wspominała swoje koszmary. Pogarszały się, zamiast poprawiać. Nie miała pojęcia, co to oznacza.

Może powinnam spotkać się z tkaczem snów.

Pomyślała o tkaczach, którzy mieli pracować w szpitalu. Czy zgodzą się jej pomóc, czy może prosiłaby o zbyt wiele? Oczywiście, że się zgodzą. Mają obowiązek pomagać każdemu, kto o to poprosi.

A więc jak by to było? Z czym wiąże się leczenie snów? Czy to jakiś rodzaj połączenia umysłów?

Och...

Nie mogła zaryzykować połączenia umysłów. Ten, z kim się połączy, mógłby odkryć jej prawdziwe plany wobec tkaczy snów.

Nic nie mogę zrobić. Jestem na zawsze skazana na te koszmary.

Położyła się znowu i zaklęła pod nosem. I dobrze mi tak, pomyślała. Jak mogę nawet myśleć o poproszeniu o pomoc tkaczy, kiedy staram się doprowadzić do ich upadku.

Figiel zapiszczał smętnie, jakby w reakcji na jej nastrój. Wyczuła, że przysuwa się bliżej i napiera na jej biodro, zwijając się w kłębek tuż przy niej. Jego delikatny oddech zwalniał stopniowo. Słuchała go przez chwilę, walcząc z sennością.

A potem znowu stanęła pod znajomym, ciężkim, zachmurzonym niebem.

11

Parada, mimo gorącego porannego słońca, była pełna ludzi, którzy krzyczeli radośnie. Reivan przeszła do Towarzyszy innych Głosów; serce biło jej trochę za szybko.

Kiedy już zostanę Towarzyszką, spotkania z takimi tłumami staną się czymś zwyczajnym, pomyślała. Ciekawe, ile czasu potrwa, zanim przestaną mnie ekscytować.

Głosy zeszły głównymi schodami Sanktuarium. Na dole czekały już przy lektykach cztery czwórki muskularnych niewolników, każda pod dowództwem poganiacza. Głosy rozdzieliły się, wsiadając pojedynczo. Kiedy zajęły miejsca, niewolnicy unieśli lektyki na ramiona i ruszyli ulicą.

Towarzysze podążyli za lektykami pojedynczą kolumną. Żaden się nie odzywał. Reivan odetchnęła z ulgą, gdy się przekonała, że po raz pierwszy od tygodnia nic nie wymaga jej uwagi. Wreszcie miała czas, by pomyśleć.

Jej dni stały się ostatnio gorączkowe i męczące. Imenja chciała mieć ją u swego boku przez część niemal każdego dnia. Czasami Reivan miała tylko obserwować spotkanie czy dyskusję, czasami przyglądała się, jak Imenja wypełnia zadania, które spadną na nią, kiedy już przejmie wszystkie obowiązki Towarzyszki - takie jak układanie planu zajęć Imenji, przyjmowanie i wysyłanie darów i ofiar, odmawianie przyjęcia łapówek, odbieranie raportów z zadań powierzanych innym Sługom.

A równocześnie trwała jej nauka. Imenja zajmowała jej cały czas, który normalnie poświęciłaby na ćwiczenie Talentów, gdyby jakieś posiadała - i więcej. W pozostałych wolnych chwilach Reivan studiowała prawo, historię i poznawała wiedzę o bogach. Na szczęście lata dzieciństwa, spędzone na czytaniu wszystkiego, co wpadło jej w rękę w klasztorze, w którym się wychowała, dawały jej znaczną przewagę. Nawet Drewa musiała przyznać, że Reivan wie więcej od przeciętnej nowej Sługi - nowicjuszki.

Dziewczyna pracowała do późna i wstawała wcześnie. Lista obowiązków, które spadną na nią, gdy już zostanie Towarzyszką, była tak długa, że zaczynała czuć się bezradna.

- Jak mam to wszystko zrobić? - spytała kiedyś.

- Deleguj - odparła z uśmiechem Imenja.

- Oddawać pracę innym? Ale skąd mam wiedzieć, komu mogę zaufać?

- Powiem ci, jeśli nie będą godni zaufania, ale szybko sama się przekonasz, kto jest, a kto nie. Nie będę cię winić za cudze błędy.

- A jeśli nikt nie zechce czegoś robić? Imenja roześmiała się głośno.

- Sądzę, że znajdziesz wiele Sług chętnych, a nawet gorliwych. Jak ty, są tutaj, by służyć bogom.

- Chcesz powiedzieć, że mogę wręcz wynagradzać ludzi pracą?

- Tak. O ile tylko odpowiednio im to przedstawisz. Wyróżniasz ich spośród innych, zlecając zadania, które możesz powierzyć tylko nielicznym.

Istniało wiele rytuałów i ceremonii, przy których Towarzysze powinni być obecni, nawet jeśli nie pełnili w nich żadnej funkcji. Reivan podejrzewała, że uczestniczą, by usługiwać i pomagać, gdyby zaszła potrzeba. I pewnie dlatego nikt nie protestował, kiedy Imenja zabierała ją ze sobą.

Dzisiaj miała uczestniczyć w Rytuale Słońca. Nigdy dotąd nie obserwowała ani nie brała udziału w święcie płodności. Przeznaczone było dla par małżeńskich. Bogatych par małżeńskich. Głosy pojawiały się tylko na rozpoczęcie, zaś w reszcie ceremonii uczestniczyli jedynie Słudzy i małżonkowie.

Rytuał wzbudzał wielkie zaciekawienie wśród młodych pentadrian i wszystkich cudzoziemców. Zaangażowani Słudzy przysięgali strzec prywatności uczestników, a pary rzadko chciały opisywać swoje doświadczenia. Avvenowie uważali wręcz, że rozmowa o intymnych sprawach małżeństwa jest czymś ordynarnym i niegrzecznym.

Ta niechęć pentadrian do rozmów o rytuale zwykle skłaniała cudzoziemców do szalonych domysłów. Podczas kreślenia map kopalni w Ithanii Północnej Reivan spotkała wielu Sennończyków, którzy wierzyli, że jej lud oddaje się rytualnym orgiom. Tłumaczyła, że uczestniczą w nich tylko pary małżeńskie, ale oni wciąż uważali, że dzieje się tam *coś* lubieżnego.

Jeśli sprawa dotyczy seksu, myślała, Sennończycy zawsze sądzą, że to deprawacja. Są jeszcze bardziej pruderyjni niż pentadrianie. Ciekawe, jak to wygląda u cyrklian.

Przed nimi pojawiły się koliste ściany świątyni Hrun. Reivan tęsknie spoglądała na cień pod sklepioną bramą - było coraz cieplej i odkrywała, jak niewygodna może być jej czarna szata w pełnym blasku słońca.

Z zazdrością popatrzyła na niewolników przed sobą - ci nosili jedynie krótkie spodenki. Na ich opalonej skórze błyszczały kropelki potu... Przypomniała sobie plotkę, którą niedawno usłyszała, jakoby jeden z wyzwolonych niewolników z armii poślubił Sługę. Zastanawiała się, jaką zbrodnię popełnił ten człowiek, że zasłużył sobie na życie w niewoli. Z pewnością Sługa nie wyszłaby za niego, gdyby był gwałcicielem albo mordercą.

Czy ci mężczyźni przed nią byli winni takich czynów? Przyglądała im się z powątpiewaniem. Skazywanie przestępców na niewolę w Sanktuarium uważano za lepsze

rozwiązanie, niż trzymanie ich w więzieniach. Wszyscy Słudzy byli Utalentowani i potrafili się bronić, gdyby któryś z niewolników zaczął sprawiać kłopoty.

Wszyscy oprócz mnie, pomyślała. Mam nadzieję, że inni Słudzy o tym pamiętają albo że pamiętają jej przyjaciele, a wrogowie nie.

Lektyka Imenji dotarła do bramy świątyni i zniknęła we wnętrzu. Chwila, zanim Reivan schowała się przed palącymi promieniami słonecznymi, wydawała się nie mieć końca. Ale wreszcie szła już przez chłodny cień szerokiego korytarza. Cudowna bryza studziła jej skórę. Spojrzała przed siebie i głośno westchnęła z zachwytu.

Poza krańcem korytarza widać było bujną zieleń. Podwójne drzwi na końcu otworzono, odsłaniając rozległy krąg trawy i krzewów. Na środku migotała sadzawka, a trawniki były otoczone drzewami i niskimi kwietnikami. Nie było dachu, ale fontanny utrzymywały w powietrzu wilgoć. Przypominało to oazę w środku pustyni.

Szła za niewolnikami ścieżką biegnącą wokół ogrodu, osłoniętą dachem altany. Wewnętrzną ścianę świątyni przerywały w regularnych odstępach otwarte drzwi. Oceniła, że było ich ponad pięćdziesiąt.

Cztery lektyki dotarły na drugi koniec ogrodu, gdzie postawiono je przed wzniesionym na tę okazję podestem. Oddany Sługa wystąpił naprzód, by powitać Głosy.

Reivan rozpoznała go i przeszył ją przyjemny dreszcz - to był Nekaun, który rozmawiał z nią, kiedy została Sługą - nowicjuszką. Ledwie wczoraj dowiedziała się, że po testach magicznej mocy nadal pozostał w gronie kandydatów na stanowisko Pierwszego Głosu. Teraz pozdrowił nowo przybyłych i zaprosił ich, by zajęli miejsca. Słudzy przynieśli ławy dla Głosów, a Towarzysze usiedli na krawędzi platformy. Reivan poszła za ich przykładem.

- Niech rozpocznie się Rytuał Słońca! - rzekła Imenja.

Nekaun skłonił głowę i zwrócił się w stronę ogrodu. Klasnął w dłonie i z bocznych drzwi wysunęła się kolumna Sług. Idąc, zaczęli śpiewać - pieśń wydawała się równocześnie radosna i poważna, a Reivan rozróżniała słowa mówiące o miłości i o dzieciach. Domyślała się, że to Słudzy - przewodnicy, którzy zajmą się uczestniczącymi w ceremonii parami.

Po nich nadeszły małżeństwa. Wszyscy mieli na sobie te same dostarczone przez świątynię, proste białe szaty, wszyscy byli boso. Wkroczywszy do ogrodu, ustawili się na trawie i czekali. Niektórzy wyglądali na podnieconych, inni na zdenerwowanych. Znacznie różnili się między sobą w latach: niektórzy ledwie osiągnęli dojrzałość, inni byli w średnim wieku. Reivan zauważyła kilka nietypowych związków, wyraźnie zawartych dla pieniędzy lub pozycji: starsi mężczyźni z młodymi kobietami, brzydcy z atrakcyjnymi. Była też starsza

kobieta z młodzieńcem, ale oboje robili wrażenie zadowolonych z tej sytuacji.

Nie zazdroszczę Sługom - przewodnikom ich obowiązków, pomyślała.

Pieśń dobiegła końca. Nekaun zszedł na trawę.

- Rytuał Słońca jest bardzo stary - rzekł, zwracając się do uczestników. - Wiele tysięcy lat temu rozpoczęła go Hrun. Jego celem jest nauczanie sztuki rozkoszy, umiejętności harmonijnego pożycia oraz pomoc w tworzeniu nowych istnień. W dniu dzisiejszym rytuał odbywa się w świątyniach całej Ithanii Południowej i tych częściach Ithanii Północnej, gdzie naszych współbraci nadal przyjmuje się gościnnie. Pozostaniecie z nami przez miesiąc. Będziecie jeść, aby ogień w kobiecie płonął żarem, będziecie pić, by studnia w mężczyźnie wypełniła się wodą nowego życia.

Reivan skrzywiła się odruchowo, ale natychmiast przybrała właściwy wyraz twarzy. Niektórzy z wielkich Myślicieli ostatniego stulecia twierdzili, że dawna, tradycyjna wiara, jakoby to mężczyzna był źródłem nowego życia, a kobieta dosłownie piecem, w którym się ono ogrzewa - im gorętszy, tym lepiej - to nonsens. Podczas sekcji ciał martwych kobiet nie znaleziono żadnych śladów ognia - ani płomieni, ani popiołów, ani osmaleń. Nie było żadnych dowodów, że takie rzeczy istniały w ciele kobiety.

Badając wewnętrzne organy zarówno płodnych, jak i bezpłodnych mężczyzn i kobiet, doszli do wniosku, że kobieta hoduje w ciele nasienie, a mężczyzna dostarcza tylko środków odżywczych. Nie była to popularna idea i tylko niewielu Myślicieli ją akceptowało - nawet kiedy zasugerowano, że im więcej mężczyzna dostarcza środków odżywczych, tym silniejsze i zdrowsze jest dziecko.

Nekaun nadal przemawiał. Mówił o poznawaniu i uczeniu się, o wyzwaniach i nagrodach. Jej uwaga odpływała z wolna...

Przypuszczam, że jako Sługa, powinnam wspierać ideę płomienia i wody, gdy tymczasem jestem skłonna - skoro czytałam i słuchałam tych, którzy wykonywali doświadczenia i przeprowadzali sekcje - do wiary w ideę nasienia i pożywienia... Ale przecież bogowie nie pozwalaliby swoim Sługom nauczać czegoś, co jest błędne...

Nekaun zakończył przemowę. Znowu klasnął, a przez boczne drzwi wybiegli domowi, niosąc albo dzbany, albo tace zastawione ceramicznymi pucharkami. Dwóch podeszło do podium i podało napoje Głosom, Towarzyszom, Reivan, a na końcu Nekaunowi. Pozostali podbiegli do Sług stojących wokół ogrodu.

Słudzy brali po trzy pucharki, po czym wchodzili na trawę i każdy wybierał jedną z par. Reivan zauważyła, że do starszych małżeństw podchodzili zwykle starsi przewodnicy. A kiedy już wszystkie pary zmieniły się w tria, Nekaun wysoko wzniósł swój puchar.

- Wypijmy za Hrun, Dawczynię Życia!

- Hrun! - zawołali wszyscy.

Nekaun przytknął puchar do ust, a Głosy, Towarzysze i uczestnicy uczynili podobnie. Napój okazał się zaskakująco mocną alkoholową nalewką, pachnącą owocami, orzechami i przyprawami.

- Wypijmy za Sheyra, Króla Bogów!

- Sheyr.

Nie był to jedyny rytuał, w którym pierwszy z bogów był wymieniany po którymś z pomniejszych. W wielu ceremoniach Sług - wojowników najpierw odwoływano się do Alora. Nekaun wymówił teraz jego imię.

- Wypijmy za Alora, Wojownika.

- Alor.

Trzy łyki promieniowały ciepłem z żołądka Reivan. Szkoda, że pucharek jest taki mały...

- Wypijmy za Ranah, Boginię Księżyca.

- Ranah.

- Wypijmy za Sruula, Kupca Dusz.

- Sruul.

Przełykając ostatnie krople, Reivan spojrzała z żalem na puste naczynie. Ciekawe, jak się nazywa ten napój i czy jest dostępny tylko w świątyni Hrun, czy też można go kupić gdzie indziej.

- To nie jest element rytuału - mruknął Vervel.

Reivan zobaczyła, że Nekaun przechodzi teraz między małżeństwami i osobiście wita uczestników.

- Nie - zgodziła się Imenja. - Ale Główni Słudzy w świątyni Hrun zawsze mieli prawo wzbogacać ceremonię.

- Podoba mi się to, co on robi - stwierdziła Genza, obserwując Nekauna. - Uspokaja ich. - Obejrzała się na Imenję. - No więc co myślisz?

Imenja uśmiechnęła się krzywo.

- O nim jako Pierwszym Głosie? Myślę, że dorośnie do tej roli.

- I to szybko, podejrzewam - zaśmiał się Shar.

- Jest popularny... - Genza znowu spojrzała na Nekauna.

- Wśród Sług. Co ze zwykłymi ludźmi? - zapytał Vervel.

- Nie mają powodów, by go nie lubić - odparł Shar. - Trudno kogoś urazić, kiedy jest

się Głównym Sługą w świątyni Hrun.

- Którą to funkcję wypełniał bardzo dobrze - dodała Imenja. Zmrużyła oczy i przyjrzała się Nekaunowi. - To jeden z moich faworytów. Inni mają może więcej doświadczenia, ale nie są tak...

Nie dokończyła. Nekaun wracał już na swoje miejsce przy granicy ogrodu. Znowu zwrócił się do uczestników. Reivan nie słuchała jednak, co mówi. Pochwyciła za to szept za plecami:

- ...czarujący?

Obejrzała się. Genza znacząco uniosła brew, patrząc na Imenję.

Imenja parsknęła cicho.

- Charyzmatyczni.

Obie znów zaczęły słuchać Nekauna. Reivan uniosła głowę i usłyszała, jak mówi o rozpoczęciu lekcji. Słudzy znów zaśpiewali i wyprowadzili wybrane przez siebie pary z ogrodu. Każdy kierował się ku którymś z otwartych drzwi w wewnętrznym murze. Potem drzwi się zamknęły, a pieśń urwała. Ogród stał się nagle pusty i cichy.

Imenja wstała, a za nią pozostałe Głosy. Reivan także - czując przy tym lekki zawrót głowy. Zbliżył się domowy, by odebrać puste pucharki. Następnie podszedł Nekaun, uśmiechając się z wyraźną satysfakcją.

- To była piękna ceremonia, Oddany Sługo Nekaunie - pochwaliła go Imenja.

Skłonił głowę.

- Dziękuję, Drugi Głosie. I dziękuję wam wszystkim za uczestnictwo.

Imenja spoważniała.

- Zawsze tak czyniliśmy. Ten rok jest szczególnie ważny. Musimy przeżywać radość z tworzenia nowego życia, nie tylko rozpacz po stracie i śmierci. To daje nam nadzieję.

Nekaun przytaknął.

- W istocie... Czy wrócicie teraz do Sanktuarium, czy może zostaniecie na ucztę?

- Wrócimy - odparła. - Jak zawsze mamy wiele do zrobienia.

- W takim razie pozwólcie, że odprowadzę was do bramy. Reivan obserwowała go pilnie. Próbowała wyobrazić go sobie dumnego i potężnego jak Kuar, zamiast jako przyjaznego i uczynnego Oddanego Sługę, ale nie potrafiła.

Jednego jestem pewna, uznała. Jeśli zostanie Pierwszym Głosem, będzie całkiem inny od swojego poprzednika. Lepszy czy gorszy, trudno przewidzieć.

Kiedy platten skręcił na rogu, Auraya z ulgą odkryła, że przed szpitalem nie zebrał się tłum. Czterech strażników stało przed drzwiami, czujnych i gotowych wezwać na pomoc tych

ze środka, gdyby nastąpiły kłopoty, których nie zdołaliby rozwiązać samodzielnie.

Dodatkowych strażników zatrudniono, kiedy kilka nocy temu dwójkę pilnujących powalili jacyś bandyci, a złodziejski gang wdarł się do szpitala. Intruzi rozbili niektóre sprzęty i ukradli zapasy, ale nie zniszczyli i nie zabrali niczego, czego nie dało się uzupełnić. Nikt rabusiów nie widział, ale ci, których wynajęto do bójki ze strażnikami, zostali schwytani. Twierdzili, że ich pracodawcami byli bogaci młodzi ludzie z eleganckich dzielnic miasta.

Jakiś robotnik dość pospiesznie machał pędzlem. Auraya wyczytała z jego myśli, że w nocy ktoś odciągnął strażników i wymalował na murze obraźliwe dla tkaczy snów hasło.

Stłumiła westchnienie.

Opór wobec szpitala był chyba nieunikniony. Ludzie rzadko kiedy potrafili szybko zrezygnować ze swych uprzedzeń, nawet jeśli się wydawało, że tego chcą bogowie. Gdy decyzja bogów im nie odpowiadała, uznawali po prostu, że to tylko niemądra ludzka interpretacja prawdziwej bożej woli.

Zresztą mogą mieć rację, myślała. Moje rozkazy pochodzą od Jurana, nie bezpośrednio od któregoś z bogów. Ale nawet gdyby to był pomysł jedynie Jurana, bogowie powstrzymaliby ją, gdyby się z nim nie zgadzali.

Malarz obejrzał się i szeroko otworzył oczy na jej widok. Kilka razy maznął jeszcze pędzlem ścianę budynku i pospiesznie zniknął we wnętrzu. Gdy platten zahamował przed drzwiami, strażnicy wyprostowali się i wykonali znak kręgu.

Auraya wzięła leżącą obok paczkę, wysiadła, podeszła do drzwi szpitala i pchnęła je magicznie. W holu za nimi kilka twarzy zwróciło się w jej stronę. Wyczuła, że kapłani i kapłanki z ulgą witają jej przybycie, i wiedziała, że czekali na nie w nerwowym milczeniu. Powodem ich skrępowania była piątka tkaczy snów stojących spokojnie przy Raeli. Choć wyglądali na spokojnych, Auraya wyczuwała u nich niecierpliwość, ciekawość i lęk.

Uśmiechnęła się i - jak zawsze - trochę zdziwiła, że ten drobny gest potrafi rozładować napięcie.

- Dziękuję, że przyszliście - zaczęła, patrząc im kolejno w oczy. - To, co dzisiaj rozpoczniemy, to dzieło szlachetne, ale niepozbawione niebezpieczeństw. Ostatnie wydarzenia przekonały mnie, że oficjalna ceremonia otwarcia tego szpitala byłaby tylko proszeniem się o kłopoty. Wiem, że się ze mną zgadzacie. Dlatego uczcimy tę okazję dyskretnie i we własnym gronie. Tkaczko snów, doradco Raeli, i ty, wysoki kapłanie Teelorze, wystąpcie.

Zbliżyli się do niej, oboje poważni, oboje pełni godności. Auraya odwinęła pakunek. Wewnątrz była drewniana tablica ozdobiona złotym napisem „Dla dobra wszystkich”

Wyczuła aprobatę tkaczy snów i uzdrowicieli.

Tablica była pomysłem Danjina, który też zaproponował treść napisu. Dla niego tekst był odpowiednio ironiczny, ponieważ zasada tkaczy, by nikomu nie odmawiać pomocy, miała doprowadzić do ich upadku. Dla Aurai było to przypomnienie, że robi to, by zbawić dusze, które mogłyby odwrócić się od bogów.

Raeli i Teelor obejrzeli się w stronę wejścia do korytarza, gdzie umieszczono dwa ciągi stopni. Z sufitu zwisały dwa łańcuchy oddalone od siebie tak, jak dwa haki umieszczone na górnej krawędzi tablicy. Auraya wręczyła ją obojgu, a oni chwycili z dwóch stron, podeszli do wylotu korytarza, wspięli się na stopnie i umocowali. Kiedy tablica zawisła już na miejscu, Auraya odpowiednio teatralnym gestem rozłożyła ręce.

- Ogłaszam, że szpital jest otwarty.

Tkacze snów i uzdrowiciele wyraźnie się odprężyli. Schodząc ze schodów, Raeli i Teelor spojrzeli na siebie. Uśmiech rozjaśnił twarz kapłana, a kącik ust Raeli uniósł się lekko w górę.

- Wszystko na miejscu - stwierdziła Auraya. - Teraz potrzebujemy tylko chorych do leczenia.

- Prawdę mówiąc - rzekł Teelor - już ich mamy. Przyszli wieczorem. Kobieta mająca trudności przy porodzie i stary człowiek z chorymi płucami.

- Kobieta i dziecko odzyskują siły - dodała Raeli. - Starzec... - Wzruszyła ramionami. - To wiek mu dolega, nie tylko choroba. Postaraliśmy się mu ulżyć.

Teelor uniósł brew.

- Okazało się, że nie wszystko potrafią wyleczyć - mruknął do Aurai.

Raeli rozciągnęła wargi w drwiącym uśmieszku.

- Starość nie jest chorobą - oświadczyła. - To naturalny proces życiowy. Po tysiącach lat gromadzenia wiedzy nie mamy złudzeń, co można, a czego nie można osiągnąć.

Wysoki kapłan parsknął śmiechem.

- Nie zdziwiłbym się, gdybyście używali tego pretekstu do wszystkich przypadków, których nie zdołacie wyleczyć... - zakpił.

Auraya przyglądała im się zaskoczona. Wydawało się, że łączy ich już więź wzajemnego szacunku, być może nawet początki przyjaźni. Kiedy to się stało? Przyjrzała się uważniej i znalazła wspomnienia całonocnej wspólnej walki o ocalenie matki i dziecka. Dla obojga było to ważne doświadczenie.

Poczuła nadzieję, która zgasła zaraz, kiedy przypomniała sobie, co naprawdę próbuje osiągnąć. A jednak dręczące ją wyrzuty sumienia łagodziła świadomość, że ucząc się od

tkaczy snów, kapłani uzdrowiciele będą mogli ocalić więcej, o wiele więcej chorych.

I nagle cały swój projekt zobaczyła w innym świetle. Niewiele rzeczy w życiu nie miało także złych skutków obok tych dobrych. To samo dotyczyło szpitala. Ale ogólnie, te dobre przeważały nad złymi.

Był to typowo tkacki sposób myślenia.

12

- Trochę już jesteś na to za duża - stwierdziła Teiti. - Ale chyba dobrze, żebyś miała jakieś koleżanki poza pałacem.

Imi skrzywiła się żałośnie.

- Wcale nie jestem za duża! Są tu dzieci starsze ode mnie! Ciotka spojrzała niechętnie na drugi koniec Dziecięcej Sadzawki i zmarszczyła czoło.

- Wiem.

Podążając za jej spojrzeniem, Imi dostrzegła grupkę starszych dzieci, zebraną na brzegu głębszej części. W przeciwieństwie do chłopców i dziewczynek chlapiących się na płyciźnie, ci spoglądali lekceważąco, jakby byli już za duzi na takie dziecinne zabawy. Sporo chłopców i dziewcząt trzymało się w parach, często splatając ręce.

Nieco dalej kilkoro trochę młodszych dzieciaków naśladowało te starsze. Większość jednak nie całkiem wyrosła z niechęci do płci przeciwnej i próby poważnych rozmów często kończyły się dziecinnym dokazywaniem.

Do tej właśnie grupki skierowała się Imi, jak tylko weszła do wody. Zauważyła tam chłopca imieniem Rissi, który często przechwalał się swoimi wyprawami poza miasto z ojcem, będącym kupcem. Twierdził też, że zna sekret przemycania rzeczy z miasta. Dlatego chciała z nim porozmawiać.

Dzieci z ostrożnym zaciekawieniem obserwowały, jak płynie w ich kierunku. Zawsze pozwalały jej uczestniczyć w swoich zabawach i słuchać swoich rozmów. Miała nadzieję, że ją lubią, a nie że boją się powiedzieć księżniczce, by sobie poszła.

Rissi był między nimi. Uśmiechnął się, kiedy podciągnęła się obok nich na brzeg.

- Hej, księżniczko - powiedział.

- Hej - odparła. - Miałeś ostatnio jakieś przygody? Zmarszczył nos.

- Ojciec wykrył, że uciekałem z lekcji. Nie chce mnie zabrać na następną wyprawę.

Ze współczuciem pokręciła głową.

- To marnie.

- Urodziny króla są już za trzy dni - odezwała się jedna z dziewcząt. - Cieszysz się?

- Tak! - uśmiechnęła się Imi.

- A postanowiłaś już, kogo ze sobą przyprowadzisz? Dziewczynka już trzeci raz zadawała jej to pytanie w ciągu ostatnich tygodni. Imi nie rozumiała, czemu miałaby „kogoś ze sobą przyprowadzić”, skoro mieszkała już przecież w pałacu. Dopiero wczoraj zrozumiała,

że tamta chciałaby przyjść na bal i miała nadzieję, że Imi ją zaprosi.

- Nie miałam okazji zapytać ojca - odparła i westchnęła. - Jest bardzo zajęty. Od tygodnia go nie widziałam.

Pomruczeli coś ze współczuciem. Rozmowa przeszła na inne tematy. Imi słuchała i od czasu do czasu zadawała pytania. W przeszłości niektóre z jej pytań wywoływały zmarszczenie brwi, a nawet tłumione śmiechy. Ale im więcej się dowiadywała o ich życiu, tym łatwiej było jej pytać o takie rzeczy, które miały dla nich sens.

Zaczęły się przekomarzania, chłopcy próbowali się siłować. Rissi tym razem się nie przyłączył, choć z uśmiechem obserwował te zabawy. Imi przysunęła się bliżej i zawołała go po imieniu.

Obejrzał się zdziwiony.

- Jeśli ojciec nie chce cię zabrać poza miasto, czemu sam nie popłyniesz? - spytała.

Popatrzył na nią i pokręcił głową.

- Miałbym kłopoty.

- Już masz kłopoty - przypomniała mu. Parsknął śmiechem.

- Masz rację. Równie dobrze mogę robić, co chcę. Ale dokąd miałbym iść?

- Przychodzi mi na myśl pewne miejsce. Parę tygodni temu podsłuchałam kogoś, kto o nim mówił. Tam jest skarb.

Ze wzroku chłopca wywnioskowała, że rozbudziła jego zainteresowanie.

- Gdzie? Odpłynęła kawałek.

- To tajemnica.

- Nikomu nie powiem.

- Nie? A jeśli zobaczą, jak wypływasz z głównego tunelu? Będą chcieli się dowiedzieć dlaczego.

- Nie powiem im.

- Ale gdyby twój ojciec zagroził, że już nigdy cię ze sobą nie zabierze? Założę się, że wtedy powiesz.

Zmarszczył czoło i odwrócił głowę.

- Możliwe. Ale nie popłynąłbym tamtędy. Udała zdumienie.

- A jaka jest inna droga?

- Sekretna droga.

- Jest inne przejście do miasta? Przyjrzał się jej.

- Nie. Ze względu na prądy tylko tędy możesz wypłynąć. Podeszła bliżej i zniżyła głos.

- Jeśli pokażesz mi, jak można wypłynąć z miasta, ja ci pokażę, gdzie jest ten ukryty skarb.

Przez chwilę przyglądał się jej w zamyśleniu.

- To będzie o wiele zabawniejsze, niż tkwić tu przez cały dzień - dodała.

- Ale obiecujesz pokazać mi skarb? - zapytał.

- Obiecuję.

- Na życie twojego ojca?

Przysięga była dość popularna wśród dzieciaków, ale jednak Imi musiała się zawahać.

- Przyrzekam na życie mojego ojca, że pokażę ci ukryty skarb, jeśli ty mi pokażesz tajne wyjście z miasta.

Kiwnął głową z uśmiechem.

- No to chodź. Zamrugała zdziwiona.

- Chcesz iść już teraz?

- Czemu nie?

Obejrzała się na Teiti, która obserwowała ją czujnie.

- Czekaj. Musimy jakoś uciec mojej ciotce, bo mnie zatrzyma.

- Nie warto - zapewnił Rissi. - Możesz się tam dostać z tej sadzawki. Zobaczy, jak nurkujesz, i nie będzie wiedziała, gdzie wypłynęłaś. Zanim się zorientuje, że cię tu nie ma, będziemy daleko.

To była okazja, na którą czekała. Ale jednak nie mogła się zdecydować. Teiti będzie się bardzo gniewać... Rissi drwiąco uniósł brwi.

- Co jest? Boisz się, że będziesz miała kłopoty? Przełknęła ślinę, a potem pokręciła głową.

- Nie. Pokaż mi.

Poczłapał na głębszą wodę i zanurkował. Nabrała tchu, w nadziei, że Teiti uzna to za wstęp do zawodów, kto dłużej potrafi wstrzymywać oddech. A potem zanurzyła się pod powierzchnię.

Rissi kierował się ku głębszej wodzie, gdzie kręciły się starsze dzieci. Płynął szybko i Imi musiała się mocno starać, by za nim nadążyć. Pojawił się wylot tunelu i poczuła, jak za Rissim wciągają ją tam prądy, które utrzymywały w Dziecięcej Sadzawce czystą wodę.

Nigdy jeszcze nie płynęła tym tunelem. Miała nadzieję, że Rissi nie wybrałby tej drogi, gdyby nie wynurzała się gdzieś, zanim skończy im się powietrze.

Wkrótce zobaczyła nad sobą pomarszczoną powierzchnię wody. Rissi podpłynął, odetchnął i zanurkował znowu. Poszła za jego przykładem i kątem oka zobaczyła jedną z

biedniejszych dzielnic miasta.

Przepłynęli jeszcze przez kilka tuneli, a woda i domy za każdym razem stawały się brudniejsze. Z niesmakiem uświadomiła sobie, że znaleźli się w prądach odpływu, które usuwały z miasta nieczystości. Zaczęła pilnować, żeby nie przełknąć ani odrobiny wody.

Prąd był coraz silniejszy. Wypłynęli przy popękanej ścianie budynku i przytrzymali się kamieni na brzegu, by nie dać się porwać dalej. Rissi popatrzył na nią z powagą.

- To już ostatni kawałek. Kiedy znowu się wynurzymy, będziemy już na morzu. Jedyna droga powrotu prowadzi głównym tunelem. Albo możemy wyjść tutaj i wrócić piechotą.

Spojrzała w stronę, w którą odpływała woda. Prąd pociągnie ich tunelem, a jeśli po drodze będzie zablokowany albo ona o coś zaczepi, może łatwo utonąć.

- Ile razy już to robiłeś? Wyszczerzył zęby. - Raz.

Serce biło jej mocno. Uświadomiła sobie, że jest wystraszona.

- To zły pomysł.

- Nie musimy tam płynąć - zapewnił ją chłopak. - Nie powiem innym, że zrezygnowałaś. Ale pokazałem ci drogę na zewnątrz, więc teraz musisz mi powiedzieć, gdzie jest skarb.

Przyjrzała mu się z poczuciem frustracji i złości. Nie uprzedził, że to będzie takie niebezpieczne. Ale przecież już raz tędy płynął i przeżył. Jak bardzo może to być trudne? Wystarczyło, że pozwoli się nieść prądowi...

Zebrała się na odwagę i wyzywająco spojrzała mu w oczy.

- Nie, dopóki nie znajdziemy się po drugiej stronie - oświadczyła.

Roześmiał się i huknął radośnie:

- Zróbmy to! Staraj się płynąć środkiem nurtu. I solidnie nabierz tchu. Będę cię trzymać, dopóki zdołam. Gotowa? Na trzy. Raz, dwa...

Serce podeszło jej do gardła, ale wciągnęła powietrze do płuc.

- ...trzy!

Zanurkowali. Rissi chwycił ją za rękę i trzymał mocno, kiedy pędzili przez mrok. Nie wiedziała, jak ma płynąć pośrodku, skoro nic nie widzi, ale po chwili zauważyła słabe lśnienie ścian. Ich powierzchnię ozdabiały drobne spirale światła.

Świetliki, pomyślała. Ich obecność pokazuje, jak brudna jest tutaj woda. Ale Imi była zbyt przerażona, by martwić się zatruciem. Nigdy jeszcze nie płynęła tak szybko; była pewna, że zanim to się skończy, rozbije się o ścianę.

Tunel zaczął skręcać w różne strony. Musieli gorączkowo machać rękami i nogami, by

unikać zderzeń ze sterczącymi tu i tak kamieniami. Dostrzegała najrozmaitsze przedmioty, które utknęły w szczelinach i zagłębieniach powierzchni - nawet, ku swemu przerażeniu, czaszkę.

I kiedy płuca zaczęły już protestować, minęli zakręt i zobaczyła, że prąd niesie ich ku plamie ciemnego błękitu. Rissi puścił jej rękę i ruszył szybciej, aż niemal wyskoczył przez wąską szczelinę. Machnęła nogami i zdołała się prześlizgnąć, nie zaczepiając o skały.

Prąd zwolnił i zamarł. Obejrzała się i zobaczyła znikającą w mgiełce skalną ścianę. W dole dostrzegła niewyraźny zarys morskiego dna. Poza tym ze wszystkich stron otaczał ją niezmierzony błękit, jakby przerażający w swych możliwościach.

Jednak najbardziej naglące w tej chwili było pragnienie oddechu. Popłynęła ku rozfalowanej powierzchni, wynurzyła się i wypuściła tak długo trzymane w płucach powietrze, by natychmiast odetchnąć świeżym.

Zanim nabrała tchu, woda zalała jej głowę. Imi zachłysnęła się, machnęła nogami, wypłynęła na powierzchnię i zakaszlała. Ale cały czas musiała walczyć, by utrzymać głowę nad wodą.

- Rissi! - zawołała wystraszona.

- Imi! - nadeszła odpowiedź.

Po chwili milczenia pojawiła się głowa.

- Dlaczego to się tak rusza? - wysapała. - Jest sztorm?

- Nie - odparł rozbawiony. - To normalne. To są fale. - Uśmiechnął się szeroko. - Nie byłaś jeszcze na zewnątrz, prawda?

- Byłam. Ale wtedy nie było takie... takie faliste. Odkryła, że jeśli porusza nogami, może unosić się i opadać wraz z falą.

- Dokąd teraz? - spytał Rissi. - Co?

- Gdzie jest skarb?

- Aha... - Uspokoiła myśli. - Przy wyspie Xiti.

- Xiti!

Popatrzył na nią zniechęcony.

- Tak. Znasz drogę?

Kiedy potrząsnął głową, ogarnęło ją rozczarowanie.

- Och... Powinnam była zapytać.

- Wiem, gdzie leży Xiti - zapewnił. - Ale to daleko stąd. Musielibyśmy płynąć bardzo długo.

Poczuła promyk nadziei.

- Ile?

Znowu potrząsnął głową.

- Trzy, może cztery godziny.

- Nie tak źle. Możemy tam dotrzeć i wrócić jeszcze dzisiaj.

- Ile czasu trzeba, żeby zdobyć ten skarb? - zapytał. Zmarszczył brwi. - I co to za skarb? Nie będę płynął przez cały dzień, jeśli nie jest tego wart.

- Jest tego wart - zapewniła z uśmiechem. - Podsłuchałam kupców rozmawiających o morskich dzwonkach. Mówili, że niektóre były wielkie jak pięść.

Oczy mu błysnęły.

- Naprawdę? A czemu ich nie zabrali?

- Bo... - Imi zastanowiła się nad możliwymi odpowiedziami. Czy Rissi zmieni zdanie, jeśli mu powie o ziemiochodzących? - Bo czekali, aż jeszcze urosną.

- Urosną... - powtórzył. - To pewnie nie zauważą, jeśli paru zabraknie. Ale... my chcemy je ukraść, Imi. A jeśli nas złapią?

- „Nic, co rośnie w oceanie, nie należy do żadnego człowieka, dopóki nie będzie zebrane” - zacytowała.

Poruszył wargami, a potem znów się uśmiechnął.

- Będę bogaty! - Spojrzał na Imi. - Ale ty przecież już jesteś bogata! Po co ci te dzwonki?

- Na prezent urodzinowy dla ojca - wyjaśniła.

- Czyli o to chodzi... - Roześmiał się głośno. - Jesteśmy poza granicami miasta i oboje będziemy mieli kłopoty. Równie dobrze możemy płynąć dalej. Za mną.

Zanurzył się pod wodę. Imi odetchnęła głęboko, zanurkowała pod falami i popłynęła za nim.

Mirar ze zdziwieniem patrzył na zastawiony blat zaimprowizowanego stołu. Przed nim parowała misa z zupą. Na grubej drewnianej płycie leżało coś owinięte liśćmi, co pachniało pieczonym mięsem i ziołami. Misa zielonych liści i świeżych korzonków stała po jednej stronie, po drugiej parujące gotowane bulwy. Nie brakowało też zwykłych dojrzałych owoców.

- Co to takiego? - zapytał.

- Uczta - odparła.

- Czy tym właśnie zajmowałaś się cały ranek?

- Głównie.

- A z jakiej to okazji?

- Żeby coś uczcić.

- Co takiego?

Postawiła na stole dwa wyrzeźbione przez niego kubki i wyprostowała się.

- Nie wykryłam twoich emocji już ponad tydzień. Myślę, że to dostatecznie długo, by uznać, że nauczyłeś się zasłaniać umysł.

Zmrużył oczy.

- To nie wszystko...

- Co? Możliwość opuszczenia tej jaskini to niedostateczny powód?

Wyjęła skórzany bukłak i przesunęła go do kubków. Z wydrążonego kijka, który służył za wylot, popłynęła strużka ciemnego, purpurowego płynu. Zapach był znajomy, choć nie czuł go od wieków - to teepi, napój alkoholowy Siyee.

- Skąd to wzięłaś?

- Wyhandlowałam. Od Siyee.

- Wrócili?

- Tak, dzisiaj wczesnym rankiem. Chyba się niepokoją, że zginę. Albo że postanowię zostać.

- Hm... - Podniósł kubek i wypił łyk. Ognisty napój rozgrzał mu gardło. - Dobrze, że nauczyłem się ukrywać myśli. Nie możemy tu dłużej przebywać.

- Nie - zgodziła się. Usiadła i sięgnęła po swoją zupę. - Dali mi też girri. Musiałam je przygotować jeszcze dzisiaj, więc pomyślałam, że równie dobrze mogę urządzić ucztę. Teraz nie mam już wiele do roboty.

Przyglądał się, jak je zupę.

- Zaczynasz się ze mną nudzić, tak? Uśmiechnęła się figlarnie.

- Nie. Nigdy nie uważałam cię za nudnego, Mirarze. Prawdę mówiąc, zawsze wydawałeś mi się trochę zbyt interesujący.

Parsknął śmiechem. No tak... Oto nadeszło. Zaproszenie. Zauważył, jak czasami na niego patrzy... W zamyśleniu. Zaciekawiona. Z podziwem.

Iskra namiętności wciąż jeszcze się w niej tliła. A w nim?

Cofnął się pamięcią do innych czasów i okoliczności, które doprowadziły ich do łóżka, i poczuł, że znowu rozpala się w nim dawne, ale znajome zainteresowanie. Tak, pomyślał. Wciąż tu jest...

- Zastanawiałam się dzisiaj - oświadczyła, stawiając na stole pustą miskę - czy przeżył jeszcze ktoś z Dzikich.

Czekała na jego opinię. Znowu łyknął teepi, dając sobie czas na powolne wynurzenie

z przyjemnych wspomnień.

- Wątpię - stwierdził.

Zacisnęła wargi. Co przypomniało mu o innej sytuacji, kiedy zamilkła i zrobiła taką minę, zastanawiając się, co dalej. Była wtedy naga, o ile sobie przypominał.

Potrząsnął głową, by wrócić myślami do teraźniejszości.

- Skoro ty i ja nadal żyjemy, to czemu nie oni? - upierała się. - Wiemy, że Wyrocznia została zabita i Farmer też, ale co z Mewą? Co z Bliźniętami i Stwórcą?

- Stwórca nie żyje. Sam się zabił, kiedy jego twory zostały zniszczone.

Patrzyła na niego ze zgrozą.

- Biedny Heri.

Mirar wzruszył ramionami.

- Był już stary. Najstarszy poza Wyrocznią, a ona była na wpół szalona.

- Mewa i Bliźnięta byli młodsi - stwierdziła w zadumie. - Co z Bibliotekarzem?

- Nie wiem, ale wątpię, żeby nadal pilnował biblioteki w Soorze. To była ruina jeszcze przed wojną bogów.

Westchnęła. Mirar zastanowił się głęboko. Wciąż odczuwał podniecenie, choć teraz przytłumione tą rozmową. Była zbyt zamyślona... Jeśli zwróci jej uwagę na inne sprawy, co wtedy zrobi?

- To zbyt ponury temat rozmowy jak na ucztę - oświadczył. Sięgnął do misy, wziął jakiś owoc i odciął plaster. Zwróciła się w jego stronę, ale jej spojrzenie wciąż odpływało gdzieś w dal. Pochylił się nad stołem i wsunął jej plaster do ust.

- Życie jest za długie, by pomijać okazje do rozkoszy - wymruczał.

Szeroko otworzyła oczy, a potem zmrużyła je.

- Powiedziałeś to...

- Dawno temu. Zastanawiałem się, czy będziesz pamiętać. Wyjęła owoc z ust.

- Trudno byłoby zapomnieć... Spojrzał znacząco na odcięty plaster.

- Nie podzielisz się tym?

Jej źrenice rozszerzyły się, a na twarzy z wolna rozkwitł uśmiech.

- To by była chciwość - oświadczyła.

Wstała i obeszła stół; oczy jej błyszczały. Umieściła plaster owocu w ustach, pochyliła się i podsunęła mu go.

O tak, pomyślał. Chwycił ją w pasie, przyciągnął do siebie i wgryzł się w owoc. Ich wargi się zetknęły, usta zamknęły na owocowej słodyczy. Czuł, jak zęby przebijają soczysty miąższ, czuł jej ręce na swojej szyi, jędrność jej pośladków pod dłońmi...

Zapłonęło w nim pożądanie i wyczuwał, że ona reaguje z równą namiętnością. I nagle zapragnął wszystkiego naraz: pociągnął ją na łóżko i jednocześnie próbował rozbierać, ale nie udało mu się ani jedno, ani drugie. Zaśmiała się i pchnęła go na plecy, a potem siadła na nim okrakiem. Ściągnęła suknię i rzuciła na bok, a jemu brakło tchu, gdy odsłoniła piersi. Była doskonała - ale czy mogła być inna, skoro potrafiła tak łatwo zmieniać swój wiek?

Odsunęła jego ręce i ściągnęła mu kamizelkę oraz tunikę, a potem przesunęła dłoń do spodni. Rozwiązała troki, szarpnęła w pasie w dół, a potem spojrzała i uśmiechnęła się. Następnie, bez słowa, przesunęła się bliżej i poczuł jej ciepło...

Nie!

Ta myśl nie należała do niego. Uczucie rozdarło go, szarpnęło nerwami. Nie umiał go nazwać. Groza? Gniew? Aż syknął z zaskoczenia i szoku. Miał wrażenie, że cała jego istota zapada się w cierpienie. Ogień we krwi został stłumiony chłodem, którego nie mógł strząsnąć, drażniącym uczuciem cudzej woli walczącej z jego własną.

Leiard...

- Nie! - zaprotestował. Usiadł tak gwałtownie, że Emerahl na chwilę straciła równowagę. - Ty draniu!

Emerahl oparła się i spojrzała zdziwiona.

- Mam nadzieję, że to nie do mnie się zwracasz - rzekła oschłym tonem.

Nie potrafił odpowiedzieć. Całej siły woli potrzebował, by zachować panowanie nad własnym ciałem.

Nie mogę ci na to pozwolić, oświadczył Leiard. *Nie mogę pozwolić, żebyś znowu zdradził Aurayę.*

Auraya się nie liczy, złościł się Mirar. *Nie możesz do niej wrócić! Ty nawet nie istniejesz!*

Emerahl przyglądała mu się spod zmrużonych powiek. Mirar czuł, że wola Leiarda słabnie. Odetchnął głęboko, starając się zapanować nad złością.

- Nie chodziło mi o ciebie - zapewnił. - To on... On to zrobił. On... powstrzymał mnie. Nie mogę uwierzyć... Myślałem...

- .. .że jeśli nie pozwolisz mu na przejęcie kontroli, nie będzie cię już nękał? - Pokręciła głową i wyszła z łóżka. - Uprzedzałam, że to nie takie łatwe.

- I co ja mam zrobić?! - zawołał. Wstał i gwałtownie podciągnął spodnie. Jeśli w ogóle można umrzeć z upokorzenia, miał wrażenie, że jest już tego bliski. - Czy od teraz nie pozwoli mi się przespać z żadną kobietą, bo czuje lojalność wobec tej... tej...

- Aurai - dokończyła.

Sięgnęła po suknię i zaczęła się ubierać.

Jej akceptacja tej jego nagłej impotencji była chyba bardziej upokarzająca, niż gdyby ją rozśmieszyła. Mogłaby przynajmniej udawać, że jest zaskoczona...

- Musisz się pogodzić z tym, że Leiard jest częścią ciebie - stwierdziła. - Nie może odczuwać niczego, co w tobie nie istnieje.

- Najwyraźniej może. Ja przecież nie kocham Aurai. Obejrzała się i uśmiechnęła.

- Nie, ale jakaś część ciebie tak. Niestety, to ta część, której nie lubisz. Musisz ją zaakceptować razem ze wszystkim, czym możesz być, jak tego dowodzi Leiard. W przeciwnym razie... - Zmarszczyła brwi i odwróciła wzrok. - Obawiam się, że już nigdy nie będziesz w pełni sobą.

- Nie wiesz tego na pewno...

- Nie, ale mogę się założyć. - Wróciła do stołu i usiadła. Rozwinęła pieczone girri i zaczęła odrywać kawałki mięsa. - Jedz. Nie jestem urażona. Trochę rozczarowana. Może trochę zakłopotana. Ale nie urażona.

- Ty jesteś zakłopotana - mruknął. - A ja totalnie upokorzony. Pierwszy raz w życiu nie byłem w stanie...

- Jedzmy, dobrze? - przerwała mu. - Nie mam ochoty na wysłuchiwanie kolejnych legend o twojej seksualnej sprawności. Nie teraz. I stanowczo nie przy jedzeniu.

Pokręcił głową. Gniew przygasł, zmienił się w ukryte, mroczne emocje, nad którymi mógł już zapanować. Usiadł na brzegu łóżka i spojrzał ponuro na jedzenie. Zauważył z boku bukłak teepi, dolał sobie do kubka, wychylił do dna i nalał znowu.

- To nie są żadne legendy - burknął.

- Wiem - zapewniła Emerahl z demonstracyjną ustępliwością.

- Ja naprawdę...

- Jedz teraz.

Westchnął ciężko i sięgnął po mięso.

Teiti stała na brzegu Dziecięcej Sadzawki. Nogi jej drżały. Minęła już godzina od zniknięcia Imi. Wciąż pamiętała obraz księżniczki, zanim ta zanurkowała pod wodę.

Ona i strażnicy wypytali dzieci, ale nikt nie widział wychodzącej dziewczynki. Teiti wysłała wszystkich gwardzistów prócz jednego do licznych wyjść z jaskini, by sprawdzili, czy może ktoś czegoś nie zauważył.

- Wróci - pocieszał ją ostatni strażnik. - Najpewniej wymknęła się, żeby mieć trochę czasu sam na sam z tym chłopakiem.

To mnie wcale nie uspokaja, myślała Teiti. Jest za młoda, żeby się interesować

chłopcami. Gdyby nie to, byłabym tak samo przerażona, że chowa się gdzieś z synem prostego kupca.

- Pani...

Spojrzała na stojące przed nią dwie dziewczynki. - Tak? O co chodzi?

- Pomyślałam, że powinnaś wiedzieć - rzekła jedna z nich. - W najgłębszej części sadzawki jest tunel. Wypływa za miasto. Wiem, że Rissi użył go kiedyś, gdy bał się, że Kizz go spierze.

Spierze go? Teiti zdusiła przekleństwo. Dlaczego pozwalałam Imi bawić się z tymi dzikusami?

- Gdzie jest?

- W najgłębszym miejscu. - Dziewczynka wyciągnęła rękę.

- Sprawdzę - zaproponował strażnik. - Jeśli mają rację, będziemy musieli przeszukać cale miasto.

Całe miasto... Teiti westchnęła. Szanse, że król się nie dowie, malały z każdą chwilą. Im dłużej nie było Imi, tym mniej Teiti się przejmowała, co powie albo zrobi jej ojciec. Najważniejsze, czy nic dziewczynce nie grozi.

- Idź - powiedziała. - Sprawdź, gdzie prowadzi. Poślę po pomoc.

Kiedy wszedł do wody, odwróciła się i ruszyła do głównego wejścia. Jeden z gwardzistów wypytywał tam ludzi. Wyprawi go do pałacu... Czas już zawiadomić króla o zniknięciu jego córki.

13

Dwa veezy okrążały się powoli z wyprężonymi ogonami. Auraya westchnęła i pokręciła głową.

- Zapomniały, że są już dorosłe. Mairae roześmiała się.

- Tak. Są jak dwójka dzieciaków, które potrafią się tylko przezywać i siłować.

Gwiezdny Pył skoczyła na Figla i wszelkie szczegóły się rozmyły, bowiem oba zwierzaki stały się rozmazaną kulą futra, łapek i ogonów.

Mairae zachichotała.

- Jak ci idzie szkolenie Figla? - zapytała.

- No wiesz... - Auraya skrzywiła się lekko. - Nie ma mechanicznego zamka, którego nie potrafiłby otworzyć. Łatwiej się z nim łączyć, kiedy już trochę wydoroślał, i udaje mi się utrzymać jego uwagę dłużej niż parę chwil. Ostatnio odzywa się też w moich myślach.

Oba veezy rozdzieliły się i przez chwilę trajkotały do siebie. Potem równocześnie udały znudzenie i zaczęły się myć.

- Poznałaś Keerima? - spytała Mairae.

- Nie.

- To słynny treser veezów, który przybył niedawno z Somreyu. Całkiem przystojny zresztą. Powinnaś się z nim umó...

: *Aurayo.*

Wołanie nadeszło do Jurana.

: *Tak?*

: *Bogowie wzywają nas do Ołtarza. Mairae jest z tobą?*

: *Tak. Przekażę jej.*

: *Dobrze. Zabiorę was obie po drodze.*

Mairae przyglądała się jej niecierpliwie.

- O co chodzi? Auraya wstała.

- Zostaliśmy wezwani do Ołtarza.

- Do Ołtarza? - Mairae zdziwiła się. Wstała i podniosła Gwiezdny Pył z podłogi. - To niezwykłe. Zastanawiam się, czy bogowie mają dla nas odpowiedź.

- W sprawie istnienia bogów pentadrian?

Auraya spróbowała złapać Figla, ale wymknął się. Pociągnęła za sznur dzwonka. Nie miała teraz czasu na gonitwy z veezem - służąca będzie musiała się nim zająć.

Wyszły z pokoju i wkroczyły do centralnej studni Wieży, gdzie znajdowały się spiralne schody. Auraya usłyszała, jak Figiel telepatycznie wzywa ją po imieniu. Zwierzak zdołał jakoś w jednym słowie wyrazić głębokie rozczarowanie jej niespodziewanym zniknięciem.

Mairae postawiła Gwiezdny Pył na podłodze.

- Wracaj do domu - poleciła i veez pobiegł schodami w dół. - Grzeczna dziewczynka.

Wyprostowała się i spojrzała w górę studni.

- Klatka już zjeżdża.

- Tak. Juran powiedział, że zabierze nas po drodze. Patrzyły, jak dno klatki zbliża się powoli. Kiedy zrównało się z poziomem ich oczu, zwolniło. Wewnątrz stali Juran i Dyara.

Klatka zatrzymała się, Juran otworzył im drzwi i odstąpił, by je przepuścić.

Minę miał poważną, może nieco melancholijną, ale uśmiechnął się.

- Nie, nie wiem, czemu bogowie nas wezwali - oświadczył, nim zdążyły zapytać. - Miejmy nadzieję, że to dobre wieści.

Dyara zerknęła na niego, unosząc brew.

- Trudno raczej oczekiwać, żebyśmy mieli nadzieję na złe wieści, prawda?

- Rzeczywiście - roześmiał się przywódca Białych. Klatka znowu ruszyła w dół. Kiedy mijali kwaterę Riana, Mairae spojrzała pytająco na Jurana.

- Rian był w mieście. Spotka się z nami przed Ołtarzem - wyjaśnił. Zwrócił się do Aurai. - Jak się rozwija szpital?

- Zaskakująco dobrze - powiedziała. - Zdarzyło się kilka różnic opinii, ale w końcu trudno się dziwić. Nasze metody raczej nie będą takie same. - Urwała, niepewna, na jakich konkretnie informacjach zależy Juranowi. - Wiele się uczymy od tkaczy snów - dodała.

- A oni od nas?

- Czasami.

- Czy tkacze ukrywają swoją wiedzę? - spytała Dyara.

- Jeszcze nie.

- Dziwię się. Kto by pomyślał, że zdradzą swoje sekrety kapłanom...

- Nigdy nie uważali tego za sekret - wyjaśniła Auraya. - To dałoby im powód, by odmówić leczenia, co jest wbrew ich zasadom. Nigdy nikomu nie odmawiają pomocy.

- Godna podziwu reguła - przyznał Juran. - Jej przyjęcie powinniśmy poważnie rozważyć.

Dyara popatrzyła na niego zdziwiona.

- Nawet jeśli oznaczałoby to leczenie pentadrian? Juran uśmiechnął się ironicznie.

- Istnieje możliwość, że nasze wybitne zdolności uzdrawiania pozwolą nam pewnego dnia zdobyć uczucia mieszkańców południowego kontynentu.

Klatka zaczęła zwalniać.

- Nie, jeśli ich bogowie są prawdziwi.

- Wtedy nie - zgodził się Juran. Klatka zatrzymała się pośrodku holu.

- Wówczas to, że mamy wielką liczbę utalentowanych cyrkliańskich uzdrowicieli, może być nawet ważniejsze - dokończył Juran. - Nie możemy powierzać leczenia naszych rannych pogańskiemu kultowi, nieważne, jak dobrze potrafią to robić. To dałoby im większe wpływy, niżbym chciał.

Wyprowadził ich z klatki. Auraya zastanowiła się nad jego słowami. Najwyraźniej spodziewał się, że za sto lat tkacze snów nadal będą istnieli - nie znikną, kiedy utracą swoją główną przewagę nad cyrklianami. Być może poprosił ją o założenie tego szpitala z powodów nieco innych, niż sądziła.

Juran dotarł do wyjścia z Wieży i poprowadził ich na światło słońca. Przed Kopułą zatrzymał się osłonięty platten. Rian wysiadł, machnął na woźnicę, by odjechał, a potem odwrócił się i zaczekał, aż podejdą pozostali Biali. Auraya zobaczyła, że oczy jarzą mu się religijnym uniesieniem. Bez słowa ruszył za nimi pod łukowe przejścia Kopuły.

Po jaskrawym blasku słońca, cień pod Kopułą niósł ulgę. Gdy oczy Aurai przystosowały się do słabszego oświetlenia, zobaczyła, jak rozchyla się pięć ścian Ołtarza. Juran szedł na czele, przez halę do podium i do Ołtarza. Gdy tylko zajęli miejsca, ściany znów się uniosły.

Przywódca Białych milczał przez chwilę, jak zawsze, kiedy zastanawiał się, co powiedzieć. Ale gdy nabrał tchu, by przemówić, Auraya wyczuła w pobliżu jakiś ruch. I nagle zdała sobie sprawę z magii w otaczającym ją świecie i że ta magia faluje i wibruje obecnością. Odwróciła głowę, by spojrzeć w tamtą stronę.

- Chaio, Huan, Lore, Yranno, Saru... - zaczął Juran. Auraya aż syknęła, gdy zrozumiała, że to, co wyczuła, jest bogiem.

: *Witaj, Aurayo.*

Lśnienie zaczęło nabierać formy w jednym z rogów Ołtarza. Szybko stało się postacią mężczyzny. Auraya usłyszała głośny oddech Jurana i ciche pomruki zaskoczenia pozostałych.

- Chaio... - odezwał się Juran i zaczął wstawać.

: *Zostań.* Chaia powstrzymał go ruchem ręki.

Auraya czuła, jak świat wokół wibruje - to przybywali pozostali bogowie. Patrzyła z zachwytem, gdy kolejno stawali się widzialni jako światło w ludzkiej postaci.

: *Wezwaliśmy was, żeby opowiedzieć o rezultatach naszych poszukiwań,* powiedział Chaia. Po czym spojrzał na Huan.

: *Szukaliśmy w całej Ithanii Północnej i Południowej,* rzekła bogini, *ale nie napotkaliśmy żadnych innych bogów.*

: *To nie znaczy, że nie istnieją,* ostrzegł Lore. *Mogli się ukryć przed nami. Mogą też istnieć poza tymi terytoriami.*

: *Będziemy kontynuować poszukiwania,* zapewniła z uśmiechem Yranna. *Ale lepiej, jeśli nie będziecie opuszczać Ithanii wszyscy naraz.*

: *To pozostawiłoby was bez ochrony, gdyby ci bogowie jednak istnieli i chcieli wam zaszkodzić,* dodał Saru.

Juran przytaknął.

- Czy możemy jakkolwiek pomóc? - zapytał.

: *Nie,* odparł Chaia. *Na razie nie spodziewam się konfrontacji z pentadrianami.*

- Rozumiemy.

Chaia raz jeszcze spojrzał na innych bogów, po czym kiwnął głową.

: *To wszystko. Przemówimy do was znowu, kiedy znajdziemy więcej odpowiedzi.*

I pięć jaśniejących postaci zniknęło.

Ale nie zniknęły z pola zmysłów Aurai. Czuła, jak Huan, Lore, Yranna i Saru dryfują coraz dalej, a kiedy się już rozpłynęli, poczuła jeszcze najlżejszy dotyk umysłu Chai. A potem i on się oddalił.

- Aurayo?

Podskoczyła. Juran przyglądał się jej badawczo.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Bogowie. Czułam, jak przybywają i jak odchodzą.

Uniósł brwi.

- Czułaś ich?

- Tak. To było... dziwne.

- Zdarzyło ci się już coś takiego? - zainteresowała się Dyara.

Auraya pokręciła głową.

- To coś podobnego do tego wyczucia mojej pozycji w stosunku do świata. Potrafię wyczuwać magię wokół siebie.

- A bogowie to istoty z magii... - Mairae kiwnęła głową. - Tak.

Ściany Ołtarza opuszczały się już na podłogę, ale żadne z nich nie wstawało. Juran wydawał się zamyślony, Dyara sceptyczna. Rian marszczył czoło. Ale kiedy Auraya spojrzała

mu w oczy, ta zmarszczka zniknęła i uśmiechnął się, chociaż z przymusem.

- Zaczynam się już przyzwyczajać do kolejnych etapów rozwoju twoich niezwykłych zdolności, Aurayo - stwierdził Juran. Zaśmiał się krótko. - Jak tylko zrozumiesz, co to oznacza, zawiadom mnie. A teraz... - spojrzał na każde z nich i wstał - sugeruję, żebyśmy wrócili do naszych obowiązków.

Auraya podniosła się wraz z pozostałymi, ale została z tyłu, kiedy schodzili z podwyższenia na podłogę Kopuły. Obejrzała się jeszcze i skoncentrowała, ale w magii wewnątrz Ołtarza nie wyczuła niczego niepokojącego.

Były jednak drobne zakłócenia rozkładu magii wokół niej. Odwróciła się i śledziła je, podążając za Białymi do Wieży. Zauważyła, że te magiczne wahania najsilniejsze są u jej podstawy. Dyara z Juranem zaczęli omawiać politykę genriańską, jednak Auraya była zbyt zajęta tym, co wyczuwała, by zwracać uwagę na tę dyskusję.

Dotarli do Wieży i weszli do środka. Fluktuacje nie osłabły ani się nie nasiliły. Już miała skierować uwagę na rozmowy swych towarzyszy, kiedy nagle nastąpiła zmiana.

Stanęli właśnie przed klatką w środku hali. W tym miejscu magia była wyraźnie słabsza... Nie zauważyłaby tego, gdyby zwyczajnie ściągała magię do siebie, gdyż pozostało jej dosyć, by umożliwić działanie większości Darów.

Ale wyraźnie była tu rozrzedzona.

Co jest przyczyną, zastanawiała się. Czy ktoś zużył tu dużo magii, czy może to naturalne zjawisko?

Otwierała już usta, by powiedzieć o tym Juranowi, ale zauważyła, że Rian się jej przygląda. Rzucił jej kolejny wymuszony uśmiech.

Powiem mu kiedy indziej, postanowiła. Na osobności.

Dwie ogromne, wydłużone misy kołysały się ciężko na wodzie. Były zrobione z drewna. Imi miała wrażenie, że ustawiono w nich pionowo jakby pnie drzew, okorowane i pozbawione gałęzi. Z tych pni zwisało mnóstwo sznurów, drewniane belki i coś, co wyglądało na wielkie bele płótna.

- To są statki, prawda? - spytała. - Ojciec mi je opisał. Rissi spojrzał na nią dziwnie.

- To łodzie. Nigdy dotąd nie widziałaś łodzi ani statków, co?

- Nie.

- Jeśli tu właśnie były morskie dzwonki, to ziemiochodzący dotarli do nich pierwsi - uznał Rissi z wyraźnym rozczarowaniem.

- To zależy...

- Od czego?

- Czy zebrali już wszystkie. Gdyby tak, to przecież by tu nie zostawali.

Rissi zastanowił się, ale potem zmarszczył czoło i pokręcił głową.

- O co ci chodzi? Żebyśmy się zakradli i parę wzięli? A jeśli nas zobaczą? Zabiją nas.

- Więc musimy się postarać, żeby nas nie zobaczyli. - Ale...

Zanurkowała i podpłynęła do skały, która znajdowała się bliżej łodzi. Wychyliła się zza niej i uważnie przyjrzała ziemiochodzącym.

Teraz widziała więcej. Patrzyła, jak chodzą tam i z powrotem na czymś, co pewnie było płaską podłogą wewnątrz tej misowatej części łodzi. Powrozy zwisały do wody.

Zauważyła jakiś ruch w wodzie - wynurzyła się głowa ziemiochodzącego. Podpłynął do łodzi i usłyszała daleki, gardłowy głos. Jeden z ziemiochodzących w łodzi sięgnął do niego, a pływak podał mu worek, który tamten wciągnął do środka. Potem zanurkował znowu; tylko przez moment widziała jasnobrązową skórę jego pleców.

Rissi wynurzył się przy niej.

- Morskie dzwonki muszą jeszcze tam być - powiedziała mu. - Nurkują po nie.

- To znaczy, że nie możemy się tam zakraść...

- Teraz nie. Ale kiedyś muszą przestać. Słyszałam, że ziemiochodzący nie mogą za długo przebywać w wodzie, bo jakoś choruje im skóra.

Głowa ziemiochodzącego pojawiła się znowu. Unosiła się tylko przez chwilę i zniknęła ponownie.

- I nie potrafią na długo wstrzymywać oddechu - mruknął Rissi. - Tylko że my też nie możemy tu długo czekać. Potrzebujemy paru godzin, żeby wrócić, a nie chciałbym płynąć po nocy.

- Noc... Moglibyśmy zaczekać, aż zapadnie, a potem przekraść się, kiedy oni zasną - myślała głośno Imi.

- Nie! Będę miał już dość kłopotów! Jeśli nie wrócę wieczorem, ojciec już nigdy mnie ze sobą nie zabierze!

Przyjrzała się chłopcu i uznała, że tym razem nie pomogą drwiny, że boi się kary. Znalazł się już poza granicą brawury.

Znowu spojrzała na łódź. Zobaczyła, że jeden pływak wyraźnie zmęczony wdrapuje się do środka, a następny wyskakuje, by go zastąpić. Czyli nurkują na zmianę. Nie ma szans, żeby zrobili sobie przerwę i dali jej okazję, żeby przemknąć na miejsce i porwać kilka dzwonków.

Plusk niedaleko łodzi zwrócił uwagę ziemiochodzących. Któryś wyciągnął rękę i Imi zobaczyła, jak na powierzchnię wynurza się czarny strzałoptak z rybą w dziobie. Ptak połknął

zdobycz i wystartował w powietrze.

- Musimy jakoś odwrócić ich uwagę - stwierdziła. Rissi zmarszczył czoło.

- Jak?

- Nie wiem. Masz jakiś pomysł? Popatrzył na łodzie.

- Myślisz, że widzieli już kiedyś Elai?

- Prawdopodobnie nie.

- To mogłabyś ich czymś zająć, kiedy ja zanurkuję po dzwonki.

- Ja? Nie. To był mój pomysł. Ty odwrócisz ich uwagę, a ja zdobędę dzwonki.

- To nieuczciwe. A jeśli mają... - Co?

- Włócznie albo coś takiego? Spojrzała na niego zimno.

- Czyli lepiej, żeby to mnie przebili, a nie ciebie?

- Nie o to mi chodziło. - Skrzywił się. - Ale jednak to niebezpieczne.

- W takim razie... damy im coś, do czego będą mogli celować. Już wiem! Właśnie mi to przyszło do głowy. Coś, co nie tylko ich zaciekawi, ale też wypędzi z wody pływaków.

- Co takiego?

- Flarkina.

Zbladł na samo wspomnienie o okrutnym morskim drapieżcy.

- A jak masz zamiar któregoś znaleźć i przekonać, żeby to ich pożerał, nie nas?

Parsknęła śmiechem.

- Wcale nie musimy. Przyjrzałam się z bliska kostiumom flarkina, jakie noszą śpiewacy. Są zrobione z kolców igłomaty. Poszukamy jakiejś dużej i odłamiemy parę kolców. Potem przymocujemy ci je do pleców. Zaczniesz pływać dookoła jak flarkin, tak daleko, żeby nie mogli cię dosięgnąć strzałą. Ziemiochodzący będą zbyt przerażeni, żeby wejść do wody.

Milczał przez chwilę, ale widziała, że mu zaimponowała. Po chwili uśmiechnął się szeroko.

- Dobrze. Będzie zabawnie.

- No to poszukajmy igłomatowej ryby - powiedziała. I nie sprawdzając, czy płynie za nią, zanurkowała.

Igłomaty spotykało się na każdej rafie. Zaledwie chwilę zajęło im odnalezienie odpowiednio dużej. Wyłamanie kolców nie było łatwe, a Imi zrobiło się potem żal stworzenia, które odpełzało powoli, krwawiąc z kilku ran. Ale kolce przecież w końcu odrosną...

Obawiała się, że trudno będzie je umocować do pleców chłopca, ale rozwiązał problem, wycinając szeroki pas skórzastej morskiej trawy, który uformował na coś w rodzaju

kamizelki. Nożem przewiercił otwory u podstawy każdego kolca, przebił plecy kamizelki i zabezpieczył je cieńszymi kolcami, przesuniętymi przez otwory.

Poza zasięgiem wzroku ziemiochodzących w łodziach, Rissi zaczął ćwiczyć pływanie, w górę i w dół, tak aby tylko kolce przebijały powierzchnię wody.

- Kopiesz nogami i wystawiasz je nad wodę - zauważyła Imi.

- Będę je trzymał razem, żeby wyglądały jak płetwa ogonowa - odparł z uśmiechem.

- Ogon flarkina przesuwa się z boku na bok, a nie w górę i w dół.

- Aha. No tak... - Zmartwił się. - Masz rację. W takim razie postaram się je trzymać niżej.

- Jesteś gotów? Wzruszył ramionami. - A ty?

- Tak! - Kiwnęła głową.

- No to ruszajmy. I spieszmy się. Kto wie, jak długo będą wierzyć we flarkina.

Podpłynęli z powrotem do skały i obserwowali ziemiochodzących tak długo, żeby wiedzieć, gdzie się który znajduje. Spojrzała zachęcająco na Rissiego, a ten skinął głową i bez słowa zanurzył się pod wodę.

Serce zabiło jej mocniej, gdy czekała, aż się znów pokaże. Kiedy wreszcie kolce rozcięły powierzchnię, sprawdziła, czy ziemiochodzący coś zauważyli.

Wszyscy byli zajęci pracą.

Kolce pojawiły się znowu, ale ziemiochodzący nadal niczego nie dostrzegli. Rissi przesuwał się tam i z powrotem, czasem powoli, czasem nurkując szybko. Imi zrozumiała, że prawdopodobnie widział kiedyś flarkina i teraz naśladuje jego poruszenia.

Krzyk kazał jej wrócić do obserwacji ziemiochodzących. Wreszcie zauważyli kolce. Uśmiechnęła się, widząc, że przerwali pracę i biegają nerwowo po łodzi. Jeden zastukał jakimś twardym przedmiotem w zewnętrzną ścianę łodzi i aż tutaj słyszała głuchy odgłos. Na powierzchnię wynurzyła się głowa i ogarnęło ją poczucie tryumfu, kiedy pływak pospiesznie wdrapał się do środka.

Moja kolej, pomyślała.

Nabrała tchu, zanurkowała i popłynęła szybko w stronę łodzi. Serce biło jej mocno z podniecenia, strachu i wysiłku, aż wreszcie zobaczyła nad sobą wydłużone cienie.

Spojrzała w dół i niewiele brakowało, by ze zdumienia wypuściła powietrze.

Ojciec zabrał ją kiedyś poza miasto i pokazał las. Mogła wtedy popatrzeć na plątaninę gałęzi i liści. Nigdy nie zapomniała tego widoku. Teraz, spoglądając z góry na kołyszące się lekko gałęzie morskich roślin, wiedziała, jak wyglądałby las widziany z góry.

Morskie dno przypominało też nocne niebo. Na każdej gałązce i łodyżce błyszczały

maleńkie punkty światła. Kiedy podpłynęła bliżej, zrozumiała, że to właśnie morskie dzwonki - każdy wypełniony drobnymi ziarnami jasności.

Nie wiedziała, że tak się jarzą. Sięgnęła po falujące pasma z ich brzemieniem świateł, wyciągnęła rękę i dotknęła jednego. Był zaskakująco miękki - całkiem niepodobny do twardych, półprzejrzystych dzwonków, które widziała wcześniej. Chwyciła nóż, który pożyczył jej Rissi, i ostrożnie przecięła łodygę.

Gdy tylko dzwonek oddzielił się od rośliny, światło zgasło. Ogarnęło ją poczucie winy i smutek. Miała wrażenie, że nie powinna naruszać spokoju tych roślin - były takie piękne...

A potem przypomniała sobie o ojcu i przez co przeszła, by tu dotrzeć. I zaczęła ścinać następne dzwonki. Kiedy Rissi przygotowywał swój kostium fiarkina, ona zrobiła sobie prymitywną torbę z drugiego liścia morskiej trawy, zwiniętego w stożek i spiętego krótkim kolcem. Tam wkładała dzwonki.

Plusk w górze zwrócił jej uwagę. Zobaczyła sylwetkę ziemiochodzącego i serce jej zamarło.

Pływak wrócił...

Przytrzymała torbę jedną ręką i odpłynęła pospiesznie.

Musieli jakoś odgadnąć, że ich oszukaliśmy! A może kostium zaczął się rozpadać? Albo...

Coś dotknęło jej twarzy, przesunęło się po skórze i oplątało ją, nim zdążyła zareagować. Sznur. Cienkie sznurki splecione w sieć... Rozłożyła ramiona, ale poczuła, że sieć owija się wokół nich.

Nie panikuj, mówiła sobie. Teraz, kiedy została schwytana, uświadomiła sobie, że coraz bardziej potrzebuje powietrza.

Słyszała opowieści o Elai, którzy tonęli, zaplątani w sieci ziemiochodzących. Ale też inne - o takich, którzy się uwolnili. Wiedziała, że jeśli zacznie się szarpać, ugrzęźnie jeszcze mocniej.

Muszę zachować spokój i ostrożnie się wyplątać.

Przyjrzała się sieci. Jej otwory były dostatecznie duże, by przepuścić większość ryb. Rozciągała się w obie strony i wyginała w łuk, co sugerowało, że otaczała miejsce, gdzie rosły morskie dzwonki. Płynące z tego wnioski znowu przyspieszyły jej puls. Czy ci ziemiochodzący założyli sieć, żeby nie dopuszczać tu drapieżników lub Elai?

Nie chciała się przekonywać. W jednej ręce trzymała torbę z dzwonkami, w drugiej nóż Rissiego. Potrzebowała obu rąk, by przeciąć sznurki sieci. Chwyciła torbę w zęby i piłowała nożem tak długo, aż wycięła otwór dość duży na torbę. Przepchnęła ją i upuściła, a torba

powoli opadła na piaszczyste dno.

Potem zaczęła uwalniać ręce. I kiedy udało jej się z jedną, poczuła lekkie szarpnięcie sieci.

Spojrzała w górę i serce zamarło jej z przerażenia - sieć wolno sunęła do góry.

Jeszcze nie, pomyślała i zaczęła ciąć gorączkowo. Znowu poczuła szarpnięcie i sznurki zacisnęły się mocniej. Cięła je z wysiłkiem. Malejące ciśnienie wody mówiło, że nadal przesuwa się w górę. Zauważyła, że większą część ciała już uwolniła, ale opleciona na stopach sieć nadal ciągnie ją w górę. Szybko zbliżała się powierzchnia. Wyczuła obok potężny kadłub łodzi. Usłyszała głosy.

W panice próbowała szybciej rozcinać sznurki. Ostrze zacięło się na czymś i wyślizgnęło z jej dłoni; wykręciła ciało i spróbowała łapać nóż, ale palce chwyciły tylko wodę. Słońce raz jeszcze błysnęło na ostrzu, nim nóż zatonął w głębinie.

Sieć zacisnęła się jej na kostkach i pociągnęła dalej.

Nie, krzyknęła pod wodą i zgięła się wpół, by sięgnąć palcami do nóg, ale po kolejnym szarpnięciu znalazła się już nad powierzchnią. Pozbawiona wyporności wody, nie potrafiła już dostać do stóp. Nad sobą usłyszała głosy - zagniewane głosy. Jeden z nich warknął jakiś rozkaz.

A potem czyjeś ręce chwyciły ją i pociągnęły. Walczyła i odpychała je, krzycząc ze zgrozy. Pod nią przesunęła się twarda krawędź łodzi, a Imi upadła na płaską powierzchnię.

Ręce się cofnęły. Przestała krzyczeć i patrzyła teraz na swych prześladowców, oddychając ciężko ze strachu. Przyglądali się jej, a ich blade, pomarszczone twarze wykrzywiały się z obrzydzeniem.

Wymienili jakieś słowa. Jeden z nich spojrzał na nią spod zmrużonych powiek, a potem krzyknął na pozostałych. Zerkając na niego z posępnym szacunkiem, odeszli. Został tylko jeden.

Odgadła, że ten warczący jest ich dowódcą. Zaczął rozmawiać z tym, który został. Imi obejrzała sieć, ciągle oplątującą jej kostki. Sznur zacisnął się boleśnie. Gdyby zdołała się uwolnić, musiałaby tylko poderwać się i skoczyć nad brzegiem łodzi...

Ale sznur nie chciał się rozluźnić. Cień padł na Imi i zobaczyła, że to dowódca się nad nią pochylił. Widząc nóż w jego dłoni, skuliła się odruchowo, pewna, że chce ją zabić. Słyszała własne przerażone pojękiwania.

Nóż przesunął się do jej kostek. I uwolnił ją kilkoma ostrożnymi cięciami.

Chce ją wypuścić! Poczuła falę ulgi i zaczęła mu dziękować. Tamten obejrzał się na towarzysza i uśmiechnął.

To nie był przyjazny uśmiech. Imi poczuła, jak żołądek zaciska się jej w supeł. Dowódca znowu coś warknął i któryś z ludzi rzucił mu kawałek sznura. Ponownie schylił się do jej kostek i zrozumiała, co chce zrobić. Ulga ulotniła się;

Imi próbowała skoczyć na nogi, ale jego dłoń zacisnęła się na jej kostce. Drugi mężczyzna złapał ją za ramiona, pchnął na plecy i przytrzymał. Krzyknęła znowu i wciąż krzyczała, kiedy dowódca wiązał jej nogi. Potem przewrócili ją na brzuch i związali ręce na plecach, przeciągnęli na środek łodzi i przymocowali ręce do metalowego pierścienia.

- Co wy robicie? - wołała zrozpaczona Imi, z trudem siadając na deskach. - Czemu nie chcecie mnie wypuścić?

Mężczyźni wymienili spojrzenia i odeszli.

- Nie możecie mnie tu trzymać! Jestem... jestem córką króla Elai! - oświadczyła, czując, jak wzbiera w niej gniew. - Mój ojciec przyśle wojowników i was pozabija!

Żaden z ziemiochodzących nie zwracał na nią uwagi. Nie rozumieli, co do nich mówi. Nie rozumieli jej słów, tak jak ona nie rozumiała ich. Jak może im wytłumaczyć, kim jest?

Niedaleko jeden z ziemiochodzących przechylił worek i zawartość wypadła na deski. Imi patrzyła na zieloną masę, a kiedy jeden z ludzi zaczął z niej wybierać jakieś niewielkie obiekty, zrozumiała, że te zwiędłe pasma, na które patrzy, to gałęzie i korzenie krzewu morskich dzwonków. Ziemiochodzący wyrwali go z piasku na dnie.

Na samą myśl o tym, co zrobili, ogarnęły ją mdłości. W przyszłym roku ta roślina nie da nowego plonu morskich dzwonków. Zabili ją, by szybciej je zebrać.

Jak mogą być tacy marnotrawni, myślała. I tacy głupi... Gdyby zostawili roślinę całą, za rok mogliby wrócić po następne dzwonki.

Ojciec miał rację. Ziemiochodzący są potworni.

Próbowała wygiąć dłonie, ale w żaden sposób nie mogła sięgnąć do węzła, by go rozwiązać.

Rissi, pomyślała. Musi powiedzieć ojcu, gdzie jestem.

Wstała z trudem i przeszukała wzrokiem morze. Minęła wieczność, nim zauważyła, że coś się rusza. Może głowa...

- Rissi! - wrzasnęła. - Powiedz ojcu, gdzie jestem! Powiedz, że jestem tu więźniem! Powiedz, żeby przyszedł...

Ktoś uderzył ją w twarz. Osunęła się na kolana, a policzek palił ją jak ogniem. Przy niej stał dowódca. Warknął kilka słów, wskazując ją długim palcem bez błony.

Oszołomiona, patrzyła, jak odchodzi.

Ojciec po mnie przyjdzie, mówiła sobie. Uratuje mnie. A kiedy to zrobi, każe zabić

wszystkich tych okropnych ziemiochodzących. Zasłużyli sobie na to.

14

Na zewnątrz było przyjemnie ciepło, zwłaszcza teraz, kiedy zaszło już letnie słońce. Bezchmurne niebo nad nimi okrywał dywan gwiazd. Emerahl westchnęła z zachwytem.

- Teraz lepiej - wymruczał Mirar.

Uznali, że skalna ściana to najwygodniejsze miejsce, by razem posiedzieć. Było to dwie noce temu, kiedy Mirar pierwszy raz wyszedł z jaskini. Choć od wielu dni nie wyczuwała nawet sugestii jego myśli, nie stał się przecież niewidzialny dla oczu. Dlatego wychodzili tylko po zmroku. Siyee wierzyli, że jest tu sama. Nie chciała, by odkryli prawdę, dopóki ona i Mirar nie postanowią co dalej.

Nocą niewiele mieli do roboty - mogli tylko podziwiać gwiazdy i rozmawiać. Usłyszała, jak Mirar nabiera tchu.

- Myślałem dzisiaj o innych Dzikich - powiedział. - Możliwe, że niektórzy jeszcze żyją.

Spojrzała na jego twarz, widoczną w słabym świetle gwiazd.

- Ja też o nich myślałam. I pytałam samą siebie, czy gdybyśmy ich odnaleźli, wyszłoby to nam na lepsze, czy na gorsze?

- Na gorsze, gdyby doprowadziło do wykrycia naszego istnienia przez bogów.

- Jakim sposobem? - Zawahała się. - Sądzisz, że by nas zdradzili?

- Może nieświadomie. Bogowie mogą czytać w ich myślach.

Emerahl uśmiechnęła się złośliwie.

- Gdyby ich umysły były możliwe do odczytania, bogowie już dawno by ich odszukali i zabili - zauważyła.

Mirar zmienił pozycję.

- Tak. Prawdopodobnie. Emerahl spojrzała w gwiazdy.

- Mimo to mogą potrzebować naszej pomocy.

- Jestem pewien, że skoro przeżyli tak długo, to nie potrzebują pomocy.

- Och? Tak jak ty nie potrzebowałeś mojej? Zaśmiał się.

- Ale ja jestem młodym durniem, ledwie tysiącletnim. Inni Dzicy są starsi i mądrzejsi.

- W takim razie może to oni będą mogli pomóc nam...

- Jak?

- Jeśli ja umiałam cię nauczyć zasłaniać swój umysł, wyobraź sobie, co oni potrafią. Może nic, ale nie dowiemy się, dopóki ich nie znajdziemy.

- Chcesz, żebym ci towarzyszył w tych poszukiwaniach? Emerahl westchnęła.

- Chciałabym, ale to by nie było rozsądne. Jeśli masz rację z tym, że zwykli kapłani nie potrafią czytać w myślach...

- A mam.

- .. .to właściwie nic mi nie grozi, chyba że będę miała wyjątkowego pecha i wpadnę na tego, który potrafi i który szukał mnie ostatnio.

- Podczas gdy Leiarda rozpozna o wiele więcej ludzi - dokończył.

- Właśnie.

- Jeśli bogowie mnie szukają, mogli polecić kapłanom i kapłankom, żeby ich wezwali, kiedy mnie zobaczą. Tkacze snów też pewnie się za mną rozglądają. A bogowie mogą obserwować ich umysły... - Jęknął. - Tak wielu mnie zna... Dlaczego Leiard zgodził się zostać doradcą Białych?

- Na pewno chciał jak najlepiej.

- Kontakty z bogami nigdy się dobrze nie kończą. - Mirar westchnął. - Jak długo będę się musiał ukrywać? Czy muszę siedzieć w tej jaskini, dopóki żyje choć jedna osoba, która mnie znała?

- Gdyby tak było, nigdy byś stąd nie wyszedł. Chyba że planujesz wysłać kogoś, żeby wymordował Białych.

- To propozycja?

- Nie - odparła z uśmiechem. - Będziesz musiał zrobić to co ja: zostać pustelnikiem. Unikać wszystkich oprócz najzwyczajniej szych, całkiem nieważnych ludzi.

- Czyli jeśli zostanę tutaj przez czas przeciętnego życia, będę musiał martwić się tylko o Białych?

- Jeśli chcesz unikać wszystkich ludzi, nie możesz tu zostać. Powiedziałam Siyee, że skoro wojna się skończyła, wrócę do domu. Będą przylatywać, żeby sprawdzić, czy nadal jestem.

- Znasz jakieś inne dobre kryjówki?

- Parę. Ale nie wydaje mi się, że powinieneś tak całkiem rezygnować z kontaktów. Potrzebujesz ludzi przy sobie, bo pęknięcie twojej osobowości może znów się pogłębić.

- Mam ciebie. Uśmiechnęła się.

- Rzeczywiście masz. Ale jestem osobą, z którą Mirara łączą zbyt silne więzy. Mogę tłumić twoją skłonność do zaakceptowania Leiarda. Musisz mieć jakieś relacje z ludźmi, którzy nie mieli z tobą żadnych związków. Ci Siyee na pewno nie zaszkodzą. Mówiłeś, że nigdy ich nie spotkałeś.

- I co im powiem? Przecież nie przyznam się, że jestem Mirarem.

- Nie. Musisz udawać, że jesteś jeszcze kimś innym.

- Leiardem?

- Nie - zaprzeczyła stanowczo. - Znajdź sobie nowe imię i wygląd, ale nie wymyślaj nowych przyzwyczajeń czy cech charakteru. Bądź sobą.

- No to jakiego imienia powinienem użyć? Wzruszyła ramionami.

- Na twoim miejscu nie wybrałabym takiego, które mi się nie podoba.

Parsknął.

- Oczywiście, że nie. - Usłyszała, jak bębni palcami o kamień. - Nadal jestem tkaczem snów, więc dam sobie imię po jednym z nich. W drodze na pole bitwy spotkałem młodego człowieka, nie tak znowu odmiennego ode mnie. Miał na imię Wil.

- Wil? To dunwayskie imię. Nie wyglądasz na Dunwayczyka.

- Nie. W takim razie dołożę jedną sylabę. Zachichotała.

- Co powiesz na Wily'ego, Chytrusa? Albo Wilfula, Umyślnego?

Westchnął ciężko.

- Przez tysiąc lat twoje poczucie humoru niewiele się poprawiło, Emerahl.

- Mogłam zaproponować Wilteda, Uwiędłego... Wydał z siebie niski, niechętny pomruk.

- Będę się nazywał Wilar - postanowił. Emerahl kiwnęła głową.

- A więc Wilar. I co dalej?

- Shoemaker. Szyjący buty. - Uniósł stopę. Sandały, które sam wykonał, były ledwie widoczne w słabym świetle.

- Przydatna umiejętność - stwierdziła.

- Tak. Leiard nauczył się dla mnie kilku. Wcześniej nigdy nie musiałem sam robić butów. Ludzie zawsze z radością oddawali mi swoje.

- Ach, piękne stare czasy - rzuciła drwiąco. - Jakże tęsknimy za nieskończoną adoracją i szczodrością naszych wyznawców. ..

Roześmiał się głośno.

- Tyle że nie była nieskończona.

- Nie. I wcale za nią nie tęsknię.

Milczeli przez długi czas. W końcu Mirar poruszył się, a ona oparła dłonie o skałę, gotowa się podnieść. Jednak nie zaproponował, żeby wracali do jaskini. Odwrócił się tylko i zaczął się jej przyglądać.

- Chcesz odejść, prawda? Spojrzała na niego. Czuła się rozdarta.

- Chcę znaleźć innych Dzikich - rzekła. - Ale to może poczekać. Jeśli potrzebujesz mnie przy sobie, zostanę.

Wyciągnął rękę i dotknął jej twarzy.

- Chcę, żebyś została - powiedział. - Ale... miałaś rację, kiedy mówiłaś, jak na mnie działasz. Jesteś kotwicą, którą boję się odrzucić. Powinienem zrobić tak, jak sugerujesz: poszukać innych ludzi.

Ścisnęła palcami jego dłoń.

- Mogę zostać trochę dłużej. Nie ma pośpiechu.

- Nie, rzeczywiście nie ma. Tylko że już teraz czuję się niespokojny. Przypuszczam, że jeśli szybko nie znajdę czegoś do roboty, stanę się nie do wytrzymania. Wyruszyłbym z tobą, gdyby to było możliwe. Wolałbym, żebyś miała ułożony jakiś plan, przy którym mógłbym ci pomagać, ale cieszę się, że spróbujesz ich odnaleźć. - Zamilkł na chwilę. - Musimy pozostawać w kontakcie.

- Tak. - I gdy to powiedziała, poczuła, że myśl o odszukaniu Dzikich zmienia się w decyzję. - Będziemy się łączyć w snach. Opowiem ci, jak przebiegają poszukiwania.

- I będziesz miała na mnie oko?

- Koniecznie - zapewniła ze śmiechem.

Cofnął rękę i znowu położył się na skale. Odchylił głowę, by popatrzeć w gwiazdy.

- Taka piękna... - powiedział. - Będziesz znowu zmieniać swój wygląd?

Zastanowiła się. Bycie urodziwą pomagało zdobywać informacje. Ale bycie piękną i młodą zwykle w drodze okazywało się też utrudnieniem. Ludzie zauważali i zapamiętywali ładne kobiety. Zadawali zbyt wiele pytań, albo nawet starali się ją uwieść.

- Tak. Dołożę sobie z dziesięć czy dwadzieścia lat.

Mruknął coś, z czego zrozumiała tylko „tęsknił” i uśmiechnęła się. Przyjemnie było wiedzieć, że wciąż jest dla niego atrakcyjna. Może kiedy już zaakceptuje Leiarda i znowu stanie się jednością, zdarzy się nowa okazja do flirtu.

Im szybciej odejdę, tym szybciej będzie mógł zrobić ze sobą porządek, pomyślała. I szybciej będziemy mogli zbadać różne możliwości. Gdybym miała jakieś rozterki, czy odejść, wystarczy, że sobie o tym przypomnę.

Wciąż uśmiechnięta, wstała i ruszyła z powrotem do jaskini, by przygotować się do długiego procesu zmiany wieku.

Imenja ponownie nalała sobie kubek wody i uzupełniła naczynie Reivan.

- Jeszcze tylko jeden - mruknęła. - Wkrótce koniec. Reivan skinęła głową i starała się zbytnio nie okazywać ulgi. Kiedy weszła do tej sali i uświadomiła sobie, że będzie

uczestniczyć w końcowym etapie zdarzenia tak doniosłego, jak wybór Pierwszego Głosu, w głowie jej się zakręciło z zachwytu i podniecenia.

Patrzyła zafascynowana, jak Głosy po kolei zamykają oczy i komunikują się z Głównymi Sługami w poszczególnych regionach Ithanii, po czym głośno obwieszczają liczby głosów oddane na każdego z Oddanych Sług. Towarzysze Głosów notowali wyniki na wielkim arkuszu pergaminu. Kiedy Imenja wskazała, że Reivan ma to robić dla niej, dziewczyna była oszołomiona. Chwyciła pędzelek, a ręce drżały jej z podniecenia.

Pod koniec pierwszej godziny nieskończone powtarzanie wyników zmieniło fascynację w znudzenie. Po dwóch godzinach z niechęcią stwierdziła, że spisali na pergaminie rezultaty szóstej części regionów. Czekał ją długi dzień.

Domowi przynosili najrozmaitsze smakołyki i napoje, jakby dla wynagrodzenia im nużącej monotonii. Wszystkie rozmowy prowadzono szeptem, by nie rozpraszać Głosu, który aktualnie zbierał informacje.

- To już wszystko - oświadczył w końcu Vervel. - Zebraliśmy już wszystkie głosy. Policzysz jako pierwsza, Imenjo?

Drugi Głos wstała i podeszła do arkusza. Wolno przesuwała palcem wzdłuż pierwszej kolumny; poruszała wargami, dodając kolejne liczby. Kiedy dotarła do końca, wzięła pędzelek i zapisała sumę, po czym zaczęła dodawać liczby z drugiej kolumny.

Ten proces także był powolny, a w Reivan narastała niecierpliwość. Kiedy Imenja skończy, będą wiedzieć, kto jest ich nowym przywódcą. Zerknęła na Towarzyszy - oni również patrzyli jak urzeczeni.

Pergamin szeleścił cichutko pod palcem Imenji. Za każdym razem, gdy przerywała, by zapisać wynik, Reivan wpatrywała się w jej twarz. Zapamiętała kolejność imion i wiedziała, rezultat którego Oddanego Sługi oblicza właśnie jej pani. Wiedziała także z zapisywanych liczb, którzy kandydaci są preferowani. Ale kiedy po jednym z wyników Imenja uniosła brwi, a przy innym zmarszczyła czoło, Reivan nie potrafiła odgadnąć, czy jest zadowolona, rozczarowana, czy po prostu zdziwiona.

Skończyła wreszcie, wyprostowała się i spojrzała na Vervela. Wzruszył ramionami. Karkel, jego Towarzysz, zaczął się już podnosić z fotela, ale usiadł znowu, gdy Vervel obejrzał się i pokręcił głową.

A więc nie powiedzą nam teraz, domyśliła się Reivan. Może wtedy, kiedy pozostali potwierdzą wyniki? Czy też będziemy musieli czekać, aż ogłoszą rezultat publicznie?

Vervel zaczął liczyć głosy. Reivan nie mogła wytrzymać napięcia i odwróciła wzrok. Obok, na stole, leżała taca z orzechami i suszonymi owocami, więc zaczęła jeść, chociaż

wcale nie była głodna. Taca była już w połowie pusta, gdy Shar jako ostatni oznajmił, że zakończył obliczenia. Imenja zrolowała pergamin i uśmiechnęła się do czwórki Towarzyszy.

- Chodźmy teraz. Przekażemy jednemu Oddanemu Słudze dobre wieści, a bardzo wielu ludziom damy powód do świętowania.

Towarzysze wstali i Reivan dostrzegła na ich twarzach wyraz rezygnacji.

A zatem musimy czekać jak wszyscy, pomyślała. I tyle mam z bycia pupilką Imenji...

Wyszli za Głosami na korytarz. Dwaj domowi, którzy zbliżali się do drzwi z tacami jedzenia, stanęli i skłonili głowy, przepuszczając niewielką procesję. Obejrzawszy się, Reivan zauważyła, jak patrzą na siebie znacząco i odchodzą pospiesznie.

Po chwili spostrzegła innych domowych i Sługi, wyglądających zza rogów i zza drzwi. Słyszała nerwowe szepty i tupot biegnących stóp. Nastrój wyczekiwania wypełnił Sanktuarium. Rozlegały się stłumione wołania. Gdzieś uderzył dzwon, potem drugi. Głosy opuściły wąskie przejścia Górnego Sanktuarium i ruszyły głównym korytarzem Środkowego. Reivan widziała przed sobą Sługi, biegnące, by dołączyć do czekających na ogłoszenie wyników głosowania. Inni utworzyli już niewielki tłumek, który podążał za nimi w taktownej odległości.

Korytarz Środkowego Sanktuarium dochodził do obszernego dziedzińca. Imenja i pozostałe Głosy przeszli przez niego do przestronnej sali, wypełnionej ludźmi w czarnych szatach. Reivan rozpoznała twarze wielu Oddanych Sług. Zastanawiała się, jak długo już tu czekają.

Gwar rozmów ucichł i wszystkie głowy zwróciły się ku Głosom. Jednak przywódcy pentadrian nie zatrzymali się. Przeszli przez pomieszczenie i stanęli na szczycie Głównych Schodów. Tam powitały ich okrzyki. Mieszkańcy Glymmy oraz ci, którzy przybyli tu, by być świadkami wyboru Pierwszego Głosu, zbili się w wielką masę zwróconych w górę twarzy i machających ramion.

Cztery Głosy stanęły w szeregu. Trzymająca się z tyłu Reivan nie widziała ich twarzy. Zamknęła oczy i pozwoliła, by zalał ją potężny gwar radosnego tłumu.

- Bracia pentadrianie! - zawołała Imenja, przekrzykując hałas.

Wiwaty cichły powoli. Spoglądając obok Imenji, Reivan zauważyła w tłumie podejrzanie błyszczące oczy, a w niektórych dłoniach butelki i kubki. Zachichotała cichutko.

Oczekiwanie trwało długo, pomyślała. Zgaduję, że musieli się czymś zająć.

- Bracia pentadrianie - powtórzyła Imenja. - Zebraliśmy głosy Sług z całego świata. Trwało to długo, ale było zbyt ważnym zadaniem, by się spieszyć. Wynik już znamy. - Podniosła imponująco długi zwój pergaminu. - Mamy nowy Pierwszy Głos!

Tłum krzyknął radośnie.

- Wystąpcie, Oddani Słudzy Bogów!

Z sali za ich plecami wyszła kolumna mężczyzn i kobiet. Utworzyli długi szereg u stóp schodów. Odwracali się, by widzieć Głosy.

Jedna z tych osób przekonała większość Sług Bogów, że będzie dobrym przywódcą, myślała Reivan.

Przypomniała sobie wszystkie traktaty historyczne i filozoficzne dyskusje o cechach dobrego przywódcy. Czy któryś z kandydatów ma te cechy? A jeśli żaden? Czy bogowie by interweniowali?

Zmarszczyła czoło. To byłoby jak policzek. Dowodziłoby, że większość Sług nie wie, jak dobrze wybrać przywódcę.

A może naprawdę nie wiedzą... Nagle ogarnął ją niepokój. Jak by wybierali?

Zastanowiła się, co sama by zrobiła, gdyby była Sługą żyjącą gdzieś daleko od Glymmy.

Chyba odrzuciłabym każdego, kto sprowadził kłopoty albo popełnił jakieś poważne błędy. Byłoby łatwiej, gdyby ktoś z tych ludzi wykazał, że potrafi rządzić i podejmować właściwe decyzje. Chyba wolałabym kogoś, kto brał udział w wojnie, od tego, który w niej nie uczestniczył, ale i tak w ostatecznym rozrachunku musiałabym ryzykować, opierając się na posiadanych informacjach. Chyba nie wybrałabym kogoś, kogo nie lubię. Trudno jest głosować na nielubianą osobę.

Ostatni z Oddanych Sług dołączył do szeregu. Imenja podniosła zwój. Zaczekała, aż zapadnie cisza - przynajmniej taka, jaka jest osiągalna dla wpół pijanego tłumu. A potem pozwoliła, by pergamin się rozwinął.

- Słudzy Bogów na nowy Pierwszy Głos wybrali Oddanego Sługę Nekauna. Wystąp, Nekaunie.

Wybuchły brawa. Reivan także ogarnęła radość. Przypomniała sobie człowieka, który w dniu rozpoczęcia służby podszedł do niej z gratulacjami i dobrą radą. Uśmiechnęła się.

Dobrze, pomyślała.

Spoglądając ponad ramieniem Imenji, widziała, jak Nekaun wychodzi przed szereg. Wydawał się spokojny i chłodny, ale oczy błyszczały mu z podniecenia.

Wybrałabym jego, myślała. Nie popełniał żadnych wielkich błędów, przez kilka lat kierował świątynią Hrun, a także walczył na wojnie. Jest sympatyczny i uprzejmy. A na dodatek przystojny. Ta cecha przywódcy może być przydatna. Czego jeszcze mogliby chcieć bogowie?

Patrzyła oczarowana, jak zatrzymuje się kilka stopni poniżej Imenji i wykonuje znak gwiazdy.

Imenja oddała pergamin Genzie, która powoli zaczęła go zwijać. Sama zaś wyjęła spod szaty gwiezdny wisior. Podniosła go do góry.

Tłum ucichł.

- Przyjmij ten symbol bogów - powiedziała. - Tym samym podejmujesz się wiecznej służby im i ich ludowi. Staniesz się Głosem, którym zwracają się do śmiertelnych.

Staniesz się Ręką, która pracuje dla naszego dobra i uderza naszych wrogów.

Powoli sięgnął po łańcuch i pochylił głowę.

- Przyjmuję to brzemię i odpowiedzialność.

Zamknął oczy i zawiesił sobie łańcuch na szyi. Reivan zauważyła, że zesztywniał na chwilę, a po jego twarzy przemknął wyraz zdumienia. Wyprostował się i spojrzał z uśmiechem na Imenję.

- Bogowie także mnie przyjęli.

- A zatem zajmij miejsce wśród nas - rzekła Imenja. Wciąż uśmiechnięty, stanął obok niej i odwrócił się do tłumu. Imenja wskazała na niego.

- Mieszkańcy Glymmy i nie tylko! Czy powitacie Nekauna, Pierwszy Głos Bogów?

Odpowiedzieli rykiem entuzjazmu. Imenja zwróciła się do niego.

- Przemówisz do ludu?

- Tak. - Odczekał, aż krzyki ucichną. - Ludu mój! Stojąc teraz przed wami, odczuwam i radość, i smutek. Radość, albowiem darowano mi możliwość służenia bogom, jakiej nie dostał prawie żaden człowiek. Smutek, ponieważ zajmuję miejsce kogoś, kogo podziwiałem. Z własnej woli przyjmuję tę funkcję, którą on sprawował, ponieważ takie same są nasze cele. Musimy uwolnić świat od pogańskich cyrklian. Ale nie lękajcie się, że poprowadzę was na kolejną wojnę. Spróbowaliśmy tego i czy z powodu nieszczęśliwego losu, czy z woli bogów, przegraliśmy. Widzę jednak inną drogę, prowadzącą do naszego celu. Musimy im pokazać, że zbłądzili, i doprowadzić ich do prawdziwych bogów. Musimy ich przeciągnąć na naszą stronę łagodnie, perswazją i argumentami. Wierzę bowiem, że prawda i zrozumienie to potężne siły i siły te mamy po swojej stronie. Używając ich, nie możemy przegrać. - Wzniósł ręce. - Z nimi podbijemy Ithanię Północną!

Nie jest to pochodnia rozpalająca ogień świętej wojny, myślała Reivan. Taka była mowa Kuara, wzywająca do zabójstw i podbojów. Ale tłum i tak wiwatował, porwany nastrojem tej podniosłej chwili, a także alkoholem... i może ulgą, że na razie nie zapowiada się nowa rzeź.

Kiedy znowu przemówiła Imenja, Reivan rozważyła plany Nekauna. A więc chce nawracać cyrklian, pomyślała. Ciekawe, jak zamierza to zrobić? Czy pośle Sługi na północ, żeby tam zabiegali o wiernych? Jakoś sobie nie wyobrażam, żeby ich tam ciepło przyjmowano.

Imenja skończyła. Nekaun zerknął na nią, po czym sam poprowadził Głosy z powrotem do sali. Za nimi ruszyli Towarzysze i Reivan. Po chwili otoczyli ich Słudzy, chcący pogratulować nowemu przywódcy. Reivan nie była pewna, ilu z nich zdaje sobie sprawę, co może dla nich oznaczać plan Nekauna. Podróż do Ithanii Północnej, by nawracać cyrklian, może się okazać jeszcze bardziej niebezpieczna niż wyprawa wojenna.

Nie zazdroszczę im tego zadania, pomyślała. I nagle uświadomiła sobie, że przecież nie jest z niego wykluczona.

Czy nie powinnam jednak chcieć tam wyruszyć? Czy nie powinnam pragnąć dokonać wszystkiego, byle tylko dobrze służyć bogom? Ale przecież jestem tylko Sługą - nowicjuszką, pozbawioną Talentów. Bardziej przydam się tutaj, służąc Imenji.

Co prawda może nie mieć wyboru w tej kwestii. Co zrobi, jeśli Nekaun poprosi ją, by wyruszyła? Co jeśli znajdzie się w sytuacji, gdzie będzie chciał pozbyć się jej ze swego otoczenia? W tej chwili nie wyobrażała sobie powodów, ale to przecież świat polityki i sojuszy. Wszystko może się zmienić.

A ja mogę zrobić tylko jedno, uznała. Nie dawać mu żadnych powodów, by nie chciał mnie widzieć w pobliżu.

15

Gdy Mirar się obudził, w jaskini panowała ciemność. Widoczne było tylko słabe światełko przy wyjściu. Emerahl budziła się zwykle wcześniej od niego i wychodziła na zewnątrz, by opróżnić kubły i przynieść świeżej wody. Nie słyszał jej oddechu, więc uznał, że już wyszła. Stworzył iskrę światła i wzmacniał ją, aż oświetliła całą grotę.

Emerahl wciąż leżała w łóżku.

Natychmiast sobie przypomniał - rozpoczęła proces zmiany wieku. Wstał i podszedł do jej posłania.

Widział tylko twarz, ale od razu zauważył subtelne oznaki przemiany. Skóra, w młodości świeża i jędrna, teraz odrobinę zwiotczała na policzkach. Najdelikatniejsze zmarszczki uformowały się wokół oczu i ust. Pasemka włosów wypadły, tworząc złocistą narzutę na szorstkim sienniku, który zrobiła.

Obejrzał kilka kosmyków. Zauważył pasy koloru na końcach, za każdym razem słabsze... Kolejne farbowania, uznał. Ale dlaczego musiała farbować włosy?

Mówiła, że przedtem była starą kobietą, przypomniał mu Leiard. *Włosy miała siwe. I takie pewnie zostały, mimo że reszta ciała przybrała młodszą formę. Ale od tej chwili odrastały już w jej naturalnym kolorze.*

Owszem, zgodził się Mirar. Spojrzał na pasmo włosów. *Musiała farbować tę siwiznę, najpierw tanim barwnikiem, potem lepszą farbą, na jaką mogła sobie pozwolić w zamtuzie.*

Zamtuz... Westchnął ciężko. Była tak silnie Obdarzona. Dlaczego zawsze, kiedy musiała się ukrywać, decydowała się na handel własnym ciałem?

Bo nie miała wyboru, odpowiedział Leiard.

Oczywiście, że miała. Mirar zmarszczył brwi. *Mogła zostać praczką albo handlarką ryb.*

Kapłani sprawdzaliby wszystkie zawody, jakie może wykonywać starucha. Zajmując się pracą dostępną tylko dla młodych kobiet, mogła być pewna, że żaden kapłan nie zwróci na nią uwagi.

Miało to sens, ale Mirarowi nadal się nie podobało. Zagrożenie wykryciem musiało być niewielkie. Tylko jeden kapłan uzyskał od bogów Dar czytania w myślach.

Tego nie wiedziała, przypomniał mu Leiard.

Mirar pożałował niemal, że jej wyjaśnił, iż bogowie na ogół nie przekazują tego Daru kapłanom. Teraz Emerahl wiedziała, że jest bezpieczna, więc postanowiła wyruszyć w świat

na poszukiwanie innych Dzikich. Spojrzał na nią i poczuł ukłucie niepokoju.

Powinienem jej towarzyszyć, uznał.

Nie możesz, zauważył Leiard. *Większe jest ryzyko, że to mnie rozpoznają, niż ją. Tylko bym wszystkich naraził na niebezpieczeństwo.*

Mirar pokiwał głową. Nawet we śnie jej twarz wyrażała siłę. A może tylko to sobie wyobrażał?

Poradzi sobie. Przecież nie stanie się nagle ryzykantką, przekonywał sam siebie. Na pewno będzie tak samo ostrożna jak zawsze.

Westchnął i odwrócił głowę.

A ja? Powinienem szukać ludzi po to, żeby się wyleczyć. To przecież głupie...

Ale może nie tak bardzo głupie. Znajdzie Siyee - albo lepiej: będzie się tu kręcił, aż oni jego znajdą.

Jaki powód swojej obecności im podam? zapytał sam siebie. Po co tkacz snów miałby przybywać do Si?

Żeby zaoferować swoje usługi uzdrowiciela, naturalnie, odpowiedział mu Leiard.

Uzdrawianie zawsze wychodziło mu najlepiej. Już jako dziecko posiadł niezwykłe zrozumienie tego procesu. Lata studiów i praktyki udoskonaliły Dar. Za każdym razem, kiedy myślał, że dotarł do granic swych możliwości, coś sprawiało, że musiał sięgnąć jeszcze dalej i odkrywał, że potrafi więcej. Pewnego dnia wszystko to skumulowało się w nagłym rozbłysku zrozumienia, w którym pojął, w jaki sposób może w nieskończoność utrzymywać swe ciało w stanie zdrowia i młodości.

Była to chwila, kiedy zyskał nieśmiertelność. Emerahl także osiągnęła to zrozumienie. Nie miała wprawdzie jego instynktownej zdolności uzdrawiania - jej wrodzony Dar był zdolnością zmiany wieku.

A inni Dzicy? Pomyślał o tych niezwykłych ludziach, którzy kiedyś wędrowali swobodnie po świecie. Farmer słynął ze swej wiedzy o plonach, hodowli i wszelkich sprawach rolniczych. Jego wrodzony Dar zapewne jakoś się z tym wiązał. Wyrocznia potrafiła odgadnąć, jaką ścieżką prawdopodobnie potoczy się czyjeś życie. Przyznała się kiedyś Mirarowi, że wcale nie widzi przyszłości - po prostu zbyt dobrze rozpoznaje naturę śmiertelników.

Mewa rozumiał wszystko, co wiązało się z morzem. Potrafił wyszukiwać ławice ryb, ostrzegał przed sztormami, podobno w ograniczonym zakresie mógł nawet wpływać na pogodę. Bliźnięta... Mirar nie był całkiem pewien, jakie mieli zdolności. Nigdy ich nie spotkał, ale ktoś mu opowiadał, że rozumieli dwoistość wszystkiego na świecie, że dostrzegali

powiązania i równowagę tam, gdzie nikt inny nie zdołał.

Nie wiedział, gdzie w tym talencie kryła się magia. I pewnie nigdy się nie dowie. Prawdopodobnie zginęli przed stu laty, kiedy Krąg Bogów postanowił posprzątać w swoim świecie.

Bogowie to chyba teraz jedyne istoty, które wiedzą, pomyślał.

Mógłbyś ich zapytać, odezwał się Leiard.

Parsknął śmiechem.

Nawet gdyby wezwanie ich nie oznaczało naszej śmierci, wątpię, czy moglibyśmy zaufać ich wyjaśnieniom.

Znowu spojrzał na Emerahl. Nie poruszyła się przez cały ten czas, poza oddychaniem. Zresztą nawet wznoszenie i opadanie piersi było tak powolne, że musiał cierpliwie się przyglądać, nim cokolwiek zauważył.

Będę za nią tęsknił.

Zmarszczył brwi, zaskoczony melancholią, jaka towarzyszyła tej myśli. Nie o to chodzi, że nie oczekiwał takich emocji - po prostu były silniejsze, niż się spodziewał.

Nie budziła w tobie takich uczuć? zapytał Leiard. *Kochasz ją?*

Mirar się zastanowił. Czuł przywiązanie i troskę. Nie chciał, żeby spotkała ją jakaś krzywda czy wypadek. Lubił jej towarzystwo, jej fizyczne towarzystwo sprawiało mu przyjemność te kilka razy, kiedy byli kochankami - ale jednak to nie to samo, co romantyczna miłość. Emerahl była przyjacielem.

Tak. Brakowało ci towarzystwa równego sobie.

Może i tak, przyznał.

Odwrócił się i rozejrzał po jaskini. Był głodny. Powiedziała, że jest dość jedzenia, by przetrwał te kilka dni, jakie zajmie jej przemiana. Okazało się, że to głównie orzechy, świeże i suszone owoce, trochę suszonego mięsa i parę bulw.

Niezbyt zachęcające dania, pomyślał. Spojrzał w stronę wyjścia, wspominając shrimmi, które kiedyś przyniosła i ugotowała. Chyba już czas, żeby wyjść na słońce, uznał. Jeśli Siyee będą akurat przelatywać i mnie zobaczą, to trudno. Wątpię, żeby byli zagrożeniem dla Emerahl. Dla pewności powiem im, że już stąd odeszła. Nie muszę chyba bez przerwy przy niej siedzieć przez najbliższe kilka dni. A może znajdę coś porządnego do zjedzenia, kiedy już się obudzi.

Chwycił kubeł, którego używała do zbierania pożywienia, i ruszył do tunelu i słońca.

Erra przyglądał się temu dziwnemu dziecku, zwiniętemu w kłębek na jego pokładzie. O ile się nie mylił, było całkowicie bezwłose. Pomiędzy palcami wielkich dłoni i stóp miało

grubą błonę. Skóra była nienaturalnie ciemna - niebieskawoczarna. Wczoraj błyszczała, ale dzisiaj stała się matowa.

- Ona ściąga kłopoty - uprzedził Kanyer. - Ona dziecko. Dorośli przyjdą. Poderżną nam gardła, jak śpimy.

- To samo mówiłeś wczoraj wieczorem - przypomniał Erra. - I nikt nie przyszedł.

- Czemu ona trzymasz?

- Przeczucie. Mój ta zawsze mówił, że we wszystkim, co przychodzi z morza, da się znaleźć coś użytecznego.

- Jak ona użyteczna? Myślisz, lud morza ona wykupi?

- Może. Ale mam inny pomysł. Silse mówił, że widział, jak zbiera dzwonki. Mówił, że musiała tam. tkwić dłuższy czas.

Kanyer z nowym zainteresowaniem przyjrzał się dziewczynce.

- Czyli prawda, że oni oddychają woda. Erra pokręcił głową.

- Nie. Nie ma skrzeli. Ale patrz, jakie ma piersi. Wielkie płuca. Czyli pewnie może na długo wstrzymać oddech. - Potarł zarośniętą szczękę. - A to może się nam przydać.

- Chcesz, żeby ona zbierała dzwonki dla nas? - Tak.

- Nie będzie.

- Będzie, jeśli dam jej powód.

Erra podszedł do dziewczyny i rozciął więzy na nogach. Nie obudziła się, więc trącił ją nogą. Całe jej ciało drgnęło, kiedy odzyskała świadomość. Odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. Wargi miała spękane, a błona na oczach poczerwieniała... Domyślił się, że przebywanie poza wodą źle na nią wpływa. Poczuł lekkie ukłucie winy.

Nie trzeba było kraść moich dzwonków, pomyślał.

Sięgnął do pierścienia lampy i odwiązał koniec powrozu.

- Wstawaj.

Poruszała się wolno, z nieufną, ponurą miną...

- Podejdź tutaj.

Pociągnął ją do koszy z morskimi dzwonkami i znaczącym gestem wskazał ostatni, pusty. Pokazał poziom pełnego, stojącego obok, a potem przesunął dłoń nad pustym, na tej samej wysokości. Pokazał na nią, na morze, znowu zademonstrował wymagany poziom w pustym koszu. Wreszcie wziął sznur i wykonał gest odcinania, wskazał ją palcem, a potem machnął w stronę morza.

Patrzyła na niego niechętnie. Wyraźnie rozumiała, ale nie podobało jej się to, co proponował. Nie opierała się jednak, kiedy pociągnął ją do burty. Jego ludzie obserwowali

wszystko, nadal jeszcze przeżuwając poranny posiłek.

Odwrócił ją i rozwiązał ręce, a następnie zawiązał jej na szyi nową, suchą linę. W wodzie napęcznieje i wtedy nie da się ruszyć węzła.

Szturchnął ją i wskazał powierzchnię morza.

Przez chwilę patrzyła na niego z niechęcią, a potem wskoczyła do wody. I natychmiast zaczęła szarpać linę.

- Silse! - zawołał Erra. Podszedł pływak.

- Wskakuj do wody i miej ją na oku. Gdyby wyglądało, że się uwolni, daj mi znać. Wciągniemy ją z powrotem.

Mężczyzna zawahał się. Wykorzystywanie dziewczynki w taki sposób prawdopodobnie wzbudziło u tego durnia wyrzuty sumienia. A może się martwił, że straci swój udział w zyskach?

- Na co czekasz? - warknął Erra.

Silse wzruszył ramionami i skoczył do wody. Dziewczynka przestała się szarpać. Przez długą chwilę wpatrywała się wpływającego niedaleko Silse'a, a potem nagle zanurkowała i zniknęła pod wodą. Lina sunęła za nią.

Silse obserwował ją. Po chwili uniósł głowę nad wodą.

- Robi to, ale odcina po jednym!

- To dobrze - odpowiedział któryś z marynarzy. - Zaoszczędzi nam roboty.

Erra kiwnął głową. Mniej będzie kłopotów, kiedy przyjdzie do dzielenia zysków - tamci nie będą mogli powiedzieć, że Silse pracował mniej niż oni. Wskazał worek, którego pływacy używali do wyciągania krzewów z morskimi dzwonkami.

- Dajcie mi to...

Rzucili mu worek, a on upuścił go do wody obok Silse'a.

- Kiedy znowu wypłynie, daj jej to - polecił. Po czym usiadł i czekał.

Pojawiła się szybciej, niż myślał, z naręczem morskich dzwonków, które niosła w rękach. Silse niewprawnie usiłował jej tłumaczyć, jak ma korzystać z worka, ale nie zwracała na niego uwagi. Wysypała dzwonki na pokład, porwała worek i zniknęła w głębinie.

Silse obejrzał się na Errę i wzruszył ramionami.

Załoga się nudziła. Kilku zaczęło partię kamieni. Dziewczyna wypływała na powierzchnię jeszcze trzy, może cztery razy, żeby odetchnąć. Za każdym razem worek był wysypywany do kosza i oddawany z powrotem.

Po czwartym razie Erra uznał, że jego pomysł się sprawdził. Spokojnie może się teraz napić... Rozejrzał się za najmłodszym członkiem załogi, Darmem, i zobaczył go na czubku

masztu.

- Darm! - wrzasnął. Chłopak drgnął.

- Tak, kapitanie?

- Złaź na dół!

Darm wyprostował oplecione wokół masztu chude nogi i zaczął schodzić. Erra sięgnął do kieszeni po dymodrew.

- Kapitanie!

Erra uniósł głowę. Chłopak zatrzymał się w połowie drogi i wskazywał w stronę urwiska na brzegu zatoki.

- Żagle! - wykrzyknął. - Ktoś tu płynie!

Cała załoga poderwała się natychmiast. Erra ruszył do masztu, by popatrzeć samemu, ale nie musiał - dziób statku wysunął się zza urwiska.

Był to poobijany, ale jeszcze solidny statek, większy od jego rybackich łodzi. Erra zmrużył oczy. Widział na pokładzie ludzi, ustawionych wzdłuż burty. Kiedy w polu widzenia znalazł się cały kadłub, wszyscy obcy podnieśli ręce i pomachali.

Erra poczuł, że strach ściska mu żołądek. Machali mieczami.

- Piraci! - wrzasnął Darm.

Erra zaklął. Nawet gdyby mieli wciągnięte żagle i gdyby nie tkwili zablokowani w zatoce, rybackie łodzie nigdy nie prześcignęłyby statku. Będą musieli je porzucić... ale może uda się zachować zdobycz.

Zwrócił się do załogi. Ludzie byli bladzi, gotowi do ucieczki.

- Musimy płynąć do brzegu! - zawołał któryś.

- Nie! - ryknął Erra. - Jeszcze nie! Mamy trochę czasu, zanim tutaj dotrą! - wskazał kosze morskich dzwonków. - Zakryjcie je, zawiążcie, umocujcie ciężarki i wyrzućcie za burtę. Dopiero wtedy popłyniemy do brzegu. Kto nie pomoże, nie dostanie działki...

Nastąpiła gorączkowa krzątanina. Z bijącym sercem Erra chwytał i przywiązywał do koszy wszystko, co mogło posłużyć za balast. Z udawaną pewnością siebie zmuszał załogę do wysiłku. Dwa kosze poleciały za burtę, potem trzeci. Szybko zatonęły.

- Zbliżają się! - jęknął Darm. - Nie zdążymy do brzegu! Erra wyprostował się i spojrzał. Tamci płynęli szybko. Ocenił dystans, jaki im jeszcze pozostał.

- W porządku! Zostawcie resztę! Muszą uznać, że coś zdobyli, bo inaczej dla zabawy zapolują na nas! Płyniemy!

Nie czekając na pozostałych, skoczył do wody. Strach dodał mu sił i prędkości. Kiedy wreszcie dotarł do plaży, podniósł się z wysiłkiem i obejrzał. Statek piratów kierował się do

łodzi.

Załoga Erry wychodziła już z wody. Zaklął, a potem ruszył biegiem do lasu.

Dopiero potem, kiedy ze skalnego urwiska spoglądał na dymiące kadłuby łodzi, przypomniał sobie morską dziewczynę. Czy była dość sprytna, żeby uciec albo się schować, czy też ją znaleźli? Posłał tam Silse'a, żeby sprawdził, ale nie znalazł nawet śladu po niej - tylko odcięty koniec liny.

Łatwo wypchnął z umysłu lekkie wyrzuty sumienia. Miał teraz poważniejsze powody do troski.

Na przykład jak się wydostać z wyspy.

Ołowiane niebo wysysało kolor ze wszystkiego - oprócz krwi.

Twarze trupów były białe, ich włosy albo czarne, albo wyblakłe i bezbarwne. Broń, wciąż ściskana w zesztywniałych palcach albo wbita w ciała, pozbawiona połysku. Cyrkle kapłanów poszarzały.

Ale plamy na nich pozostały szokująco jaskrawe. Gęsty szkarłat sączył się z ran i splamionych ostrzy. Pod zabitymi zbierał się w kałuże niczym makabryczny dywan. Strużki szkarłatu płynęły zagłębieniami, łączyły się w rzeki, zlewały w jeziora, nasączały ziemię tak, że chlupotało przy każdym kroku.

Auraya starała się stąpać delikatnie i trzymać się suchego terenu, ale krew i tak wzbierała i oblewała jej stopy. Obrzydliwe błoto z mlaskaniem zasysało podeszwy. Przeszła jeszcze kilka kroków i odkryła, że nie może się ruszyć. Błoto przylgnęło do sandałów. Ustępowało pod jej ciężarem. Czuła, że się w nie zapada. Oparła się na jednej nodze, by uwolnić drugą, ale osunęła się tylko głębiej. Lodowata wilgoć pełzła jej po nogach i serce zaczęło bić coraz szybciej.

- Zabiłaś nas - syknął jakiś głos.

Trupy wokół unosiły głowy, by spojrzeć na nią martwymi oczami.

Nie teraz, pomyślała. Mam dość kłopotów.

- Ty - odezwał się inny zabity; jego częściowo odrąbana głowa leżała na ziemi. - Ty mi to zrobiłaś.

Starała się nie słuchać tych głosów, skupić się na uwalnianiu z błota, które nie chciało jej wypuścić. Na powierzchnię wypływały czerwone bąble i piana. Auraya pochyliła się do przodu, rozpaczliwie szukając czegoś, co mogłaby chwycić, czego mogłaby się przytrzymać... Dzięki czemu mogłaby się wydostać.

Utonę tutaj, myślała, a trwoga wezbrała w niej jak fala. Uduszę się z ustami i płucami pełnymi zakrwawionej ziemi.

Wokół było jedynie morze trupów, wyciągających ku niej dłonie z palcami zakrzywionymi jak szpony. Cofnęła się przed nimi, ale po chwili zmusiła się, by zwrócić się w ich kierunku.

- To twoja wina, że nie żyję - syknęła kobieta.

- Twoja wina!

- Twoja!

: *Nie*.

Wszystko zamarło. Trupy znieruchomiały w swych pozach. Chlupotanie błota ucichło. Auraya rozejrzała się zdziwiona. Oczy trupów także się przesuwały w poszukiwaniu źródła głosu.

To się zwykle nie zdarza, pomyślała.

: *Nie jest jej winę, że zginęliście. Jeśli musicie kogoś winić, możecie mnie. Tak czy tak, mylicie się. Ani Auraya, ani ja nie zadaliśmy ciosu, który odebrał wam życie.*

Pojawiła się jaśniejąca postać, a zwłoki odtaczały się i cofały przed nią. Przybysz spojrzał na Aurayę i uśmiechnął się.

: *Witaj, Aurayo.*

- Chaia!

: *Tak.*

Podszedł na brzeg bagniska i wyciągnął rękę. Zawahała się, ale ją chwyciła. Mocne, ciepłe palce ścisnęły jej dłoń. Pociągnął i poczuła, że błoto uwalnia jej nogi.

: *Wróćmy do twojego pokoju,* rzekł.

Pole bitwy zniknęło. Nagle siedziała we własnym łóżku, a Chaia obok niej. Z uśmiechem sięgnął dłonią do jej twarzy i przesunął palcem wzdłuż policzka, budząc dreszcz podniecenia. Pochylił się i wiedziała, że chce ją pocałować.

Oj, oj, pomyślała i odsunęła się szybko. Wszystko dobrze, dopóki wyobrażam go sobie, jak ratuje mnie z koszmaru. Ale erotyczne sny o nim to już przesada.

: *Opierasz się. Uważasz, że to brak szacunku.*

- Tak.

: *Jak możesz okazywać brak szacunku, jeśli to ja cię całuję?*

- Nie jesteś prawdziwy. Prawdziwy Chaia może być urażony.

: *Nie jestem prawdziwy?* Uśmiechnął się szerzej. *Na pewno?*

- Tak. Prawdziwy Chaia nie może mnie dotknąć.

: *W snach mogę.*

Tak jak Leiard, pomyślała.

To wspomnienie wzbudziło kłopotliwą falę innych emocji. Ból po jego zdradzie. Wstyd, że przyjęła do łoża kogoś, kogo ten bóg prawdopodobnie nie aprobował. I pomimo wszystko - tęsknotę. Jej senne połączenia z Leiardem wydawały się całkowicie realne... Czuła ciepło zapamiętanych rozkoszy, a zaraz potem zakłopotanie i znowu wstyd, kiedy sobie przypomniała, w czyjej obecności się znajduje - nawet jeśli był tylko wyśnionym cieniem boga.

: *Nie żałuj swojej przeszłości,* powiedział Chaia. *Wszystko, co robisz, uczy cię czegoś o świecie i o tobie. Do ciebie należy czerpanie mądrości z własnych błędów.*

Spojrzała na niego niepewnie. Był taki wyrozumiały... Ale oczywiście, że tak. To przecież nie jest Chaia. Prawdziwy bóg by... co takiego? Skarcił ją jak dziecko?

Chaia się roześmiał.

: *Nadal uważasz, że jestem snem?*

- Tak.

Położył dłoń na jej karku i przysunął się.

: *Otwórz oczy.*

Patrzyła na niego niepewnie.

- A jeśli tylko śnię, że otwieram...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Zesztywniała zaskoczona. I nagle on i cały pokój zniknęły, a ona leżała w pościeli. W swoim łóżku. Powieki miała zamknięte, więc widziała tylko ciemność.

Zbudziła się...

Ale nadal czuła mrowienie warg. Otworzyła oczy.

Nad nią zawisła jaśniejąca twarz. Usta rozciągnęły się w uśmiechu. Oko mrugnęło porozumiewawczo.

A potem zjawa zniknęła.

CZĘŚĆ DRUGA

16

Słona bryza była dla Emerahl znakiem, że zbliża się do wybrzeża, na długo zanim zobaczyła morze. Jednak dopiero kiedy pokonała wzniesienie i ujrzała w oddali szary pas wody, poczuła, że jest prawie u celu.

Odetchnęła z ulgą i usiadła na leżącym pniu, żeby chwilę odpocząć. Dwa miesiące pieszej wędrówki sprawiły, że wyszczuplała i nabrała wytrzymałości, ale wzgórze, na którym się znalazła, było strome, a wspinaczka do tego miejsca długa i bez żadnych przerw.

Rozea by mnie nie poznała, pomyślała. Nie chodziło tylko o wiek, który zmieniła. Farbowała także włosy na czarno i splatała je co rano w warkocz. Miała na sobie zwykłą praktyczną sukienkę, a na niej nosiła mieszaninę tauli, welonów, paciorków i haftowanych sakiewek. Otaczała ją chmura aromatu ziół, olejków i innych składników.

Nigdy nie musiała mówić nikomu o swoim zawodzie. Wkraczała do wioski czy miasteczka, pierwszą napotkaną osobę pytała, gdzie może znaleźć bezpieczny i czysty nocleg, a gdy rozpakowała się we wskazanym miejscu, zwykle pojawiał się już pierwszy klient.

Przynajmniej w większości przypadków. Zawsze były i zawsze będą miejsca, gdzie obcych traktuje się podejrzliwie, a czarownice uzdrowicielki wręcz z wrogością. Pierwszy kapłan, którego spotkała, nie był przyjazny, co na nowo wzbudziło w niej lęk, że zostanie wykryta przez bogów. Jednak na szczęście po prostu kazał jej się wynosić z wioski.

Jeszcze przez kilka dni spodziewała się, że zaczną ją ścigać, ale nikt za nią nie wyruszył.

Z reguły była jednak witana serdecznie. Wiejscy kapłani i kapłanki na ogół nie mieli silnych Darów i posiadali tylko podstawową wiedzę o leczeniu. Najlepsi uzdrowiciele pracowali w miastach, a tkacze snów trafiali się rzadko, więc istniał spory popyt na jej usługi. Wygląd trzydziesto - czy czterdziestoletniej kobiety też pomagał; nikt by nie uwierzył, że piękna młoda dziewczyna zdołała zgromadzić tyle wiedzy o leczeniu.

Droga przed nią wiła się, niknąc czasem z oczu za wzgórkami i zagajnikami. Prześledziła ją wzrokiem aż do morza. Pośrodku brzegu zatoki wyrastały budynki, podobne do kamieni na dnie wiadra. Według właścicieli zajazdów i przyjaznych towarzyszy przy stole oraz kopii mapy, którą dostała od jakiegoś kupca, ten port nazywał się Dufin.

Wyrósł i rozkwitł w ciągu ostatnich czterdziestu lat dzięki swemu położeniu przy granicy z Si. A raczej dzięki ludziom z Torenu i ich skłonności, by ignorować granice i osiedlać się tam, gdzie tylko znajdą dobrą żyzną glebę albo złoża minerałów. Ludzie

mieszkający w głębi lądu, z którymi rozmawiała, opowiadali z satysfakcją, jak to Biali zmusili króla Torenu, aby nakazał swoim poddanym opuszczenie Si. Ciekawie będzie zobaczyć, jaki skutek - jeśli w ogóle - przyniosły te rozkazy mieszkańcom Dufinu.

Usłyszała za sobą jakiś dźwięk, odwróciła się i spojrzała na drogę. Pod górę wspinał się niewielki tarn zaprzężony w pojedynczego arema.

Wstała. Wprawdzie woźnica był zbyt daleko, aby mogła zobaczyć jego twarz, ale była pewna, że na nią patrzy. Wyczuwała jego ciekawość.

Oceniła, jaka odległość ich dzieli, jak późna jest pora i jak daleko ma jeszcze do Dufinu. A potem usiadła i czekała, aż tarn do niej dotrze.

Trwało to kilka minut. Ale już wcześniej, kiedy woźnica znalazł się dostatecznie blisko, by ją zobaczyć, uśmiechnęła się i pomachała ręką. Kiedy arem dociągnął tarn do szczytu wzniesienia, wstała i pozdrowiła mężczyznę.

Wyglądał na mniej więcej czterdzieści lat. Ogorzała twarz z licznymi zmarszczkami od uśmiechu wydawała się sympatyczna. Zatrzymał arema.

- Zmierzasz do Dufinu? - spytała.

- Tak - odparł.

- Masz miejsce dla strudzonego wędrowca?

- Zawsze robię miejsce dla pięknych młodych kobiet, które potrzebują podwiezienia - zapewnił wesoło.

Rozejrzała się na boki, jakby szukała innej osoby.

- Gdzie jest ta kobieta, o której mówisz? I jak możesz być takim egoistą, aby zmęczoną staruszkę zostawić na skraju drogi, robiąc uprzejmość młodszej towarzyszce podróży?

Roześmiał się i wskazał na tarn.

- Nie jest to wygodny platten z baldachimem, ale jeśli nie przeszkadza ci zapach, możesz usiąść na futrach.

Uśmiechnęła się w podziękowaniu i wspięła na wóz. Gdy tylko zajęła miejsce, pogonił arema do dalszej drogi. Delikatny rybi zapach mieszał się z wonią zwierzęcych futer.

- Jestem Limma Curer - powiedziała. - Uzdrowicielka. Spojrzał na nią, unosząc brwi.

- I czarownica, jak sądzę. Zwykłe kobiety nie podróżują samotnie po tych terenach.

- Wojowniczka by mogła. - Wyszczerzyła zęby i pokręciła głową. - Ale ja nią nie jestem. A kim ty jesteś?

- Marin Hookmaker, rybak.

- Aha - odparła. - Wydawało mi się, że czuję zapach ryb. Pozwól, że zgadnę:

dostarczasz ryby w głąb lądu, a przywozisz z powrotem futra i... - spojrzała na ładunek tarnu - warzywa, napoje, drewno, garnki oraz... a tak, parę girri na kolację. Marin pokiwał głową.

- To prawda. To miła odmiana dla mnie i dla tych z lądu.

- Kiedyś mieszkałam na wybrzeżu - powiedziała. - Wiele razy musiałam łapać własną kolację.

- Gdzie mieszkałaś?

- W odległym miejscu. Nie miało nawet nazwy. Nie znosiłam go. Za daleko od czegokolwiek. Odeszłam i wędrowałam do wielu miejsc, ucząc się fachu. Ale zawsze lubię być blisko morza.

- Co cię sprowadza do Dufinu?

- Ciekawość - odparła. - Praca. - Przerwała. Może już teraz warto zacząć poszukiwania Mewy? - Słyszałam historię. Starą historię. Chciałabym sprawdzić, czy jest prawdziwa.

- O! A co to za historia?

- To opowieść o chłopcu. O chłopcu, który się nigdy nie starzał. Który wiedział wszystko o morzu.

- Ach - odezwał się Marin, a brzmiało to bardziej jak westchnienie niż słowo. - To rzeczywiście stara opowieść.

- Znasz ją?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Jest wiele, bardzo wiele historii o Mewie. Opowieści o tym, jak ratował ludzi przed utonięciem i jak sam ich topił. On jest jak samo morze: jednocześnie łagodny i okrutny.

- Wierzysz, że istnieje?

- Nie, ale znam ludzi, którzy wierzą. Twierdzą, że go widzieli.

- Czy to bajki? Stare historie, które nabierają szczegółów z każdym opowiedzeniem?

- Możliwe. - Marin zmarszczył brwi. - Chociaż nigdy nie słyszałem, aby stary Ponurak opowiedział coś inaczej, niż było naprawdę, a on twierdzi, że jako młody chłopak był w załodze z Mewą.

- Chciałabym się spotkać z tym Ponurakiem.

- Mogę to załatwić. Jednak on może ci się nie spodobać. - Marin spojrzał na nią i skrzywił się. - Ma niewyparzoną gębę.

Zachichotała.

- Jakoś to zniosę. Z ust rodzących kobiet słyszałam takie słowa, że większości ludzi wypaliłyby uszy.

Pokiwał głową.

- Skądś to znam. Moja żona zwykle jest spokojna, ale kiedy się wścieka... - Zadrżał. - Wtedy się wie, że jest córką rybaka.

Zmierzali teraz do stóp wzgórza. Marin milczał przez chwilę, a potem znowu spojrzał na nią przelotnie.

- Więc chcesz sprawdzić, czy Mewa istnieje. Co może cię o tym przekonać?

- Nie wiem. Może spotkanie z nim. Roześmiał się.

- To rzeczywiście byłby dowód.

- Sądzisz, że takie spotkanie jest możliwe?

- Nie. Co byś zrobiła, gdybyś go jednak spotkała?

- Spytałabym go o leki. Wiele leków pochodzi z morza.

- Oczywiście.

- Może nigdy go nie spotkam, ale mam dużo czasu. A jak długo są tu ludzie, zawsze będą też tacy potrzebujący leków. Będę pracować i wędrować wzdłuż wybrzeża, może czasem wykupię rejs na statku.

- Bardziej prawdopodobne, że spotkasz jakiegoś szczęśliwca, będziesz mieć z nim gromadkę miłych dzieciaków i zapomnisz o Mewie.

Skrzywiła się.

- Hm... Miałam dosyć głupich romansów. Zachichotał.

- Więc masz dość?

- Tak - odparła stanowczo.

Gdy tarn przetoczył się między dwoma wzgórzami i ukazały się budynki Dufinu, Emerahl rozsiadła się wygodniej.

- Opowiedz mi kilka historii o Mewie - zachęciła go. Marin, tak jak przewidywała, z radością spełnił jej prośbę.

Auraya oparła się o ramę okna i spojrzała w dół. Długie cienie rzucane przez zachodzące słońce rozcinały tereny Świątyni na pasy i prostokąty. Tam gdzie promienie sięgały ogrodów, jarzyły się stosy jesiennych liści. Juran, jako pierwszy z Białych, zajmował pokoje na najwyższym piętrze Wieży. Widok stąd niewiele się różnił od panoramy z jej okna, tyle że pole widzenia było większe.

- Spróbuj tego - mruknął Juran.

Odwróciła się i przyjęła od niego puchar. Wewnątrz był bladożółty płyn. Gdy go skosztowała, jej usta wypełnił znajomy cierpki smak, a po nim aromat przypraw.

- Smakuje trochę jak teepi - stwierdziła. Juran kiwnął głową.

- Jest robiony z jagód tego samego drzewa, których używają Siyee przy produkcji

teepi. Kiedy pierwsi toreńscy osadnicy wkroczyli na ich tereny, Siyee traktowali ich jak gości. Toreńczycy szczególnie zainteresowali się teepi. Nauczyli się robić własną, mocniejszą wersję.

Podał puchary pozostałym Białym. Dyara skrzywiła się, Mairae uśmiechnęła, a Rian, który nie lubił oszałamiających napojów, wzruszył ramionami i odstawił naczynie.

- Smak jest prostszy - stwierdziła Auraya. - Nie czuć owoców ani drewna.

- Dojrzewa w butelkach, a nie w beczkach. I bardzo dobrze. Drewno w Torenie jest dość rzadkie.

- Więc planują go nadal wytwarzać?

- Tak. Któryś z bardziej przedsiębiorczych osadników zabrał kilka butelek do Aime. Bogaci zasmakowali w nim, a ponieważ trunek jest rzadki, osiąga wysokie ceny. Przywieźli również szczepki drzewa, też do sprzedaży.

- To dobrze. Wielu z tych Toreńczyków, którzy musieli opuścić Si, zostawiło prawie cały swój dobytek. Ten handel jakoś wynagrodzi im problemy przesiedlenia - uznała Dyara.

- I zlikwiduje możliwość sprzedaży teepi przez Siyee - dodała Auraya.

- To nie jest ten sam napój - zauważył Juran. - Toreńczycy mogą polubić też oryginalne teepi. Pojawił się popyt, z którego Siyee mogą jeszcze skorzystać.

Auraya wolno kiwnęła głową i zaczęła się zastanawiać, jak podsunąć ten pomysł Siyee. Coś zwróciło jej uwagę i nagle dostrzegła przemiany w magii wokół siebie. W jej pobliżu pojawiła się znajoma obecność, a ona poczuła równie znajomy niepokój.

: *Dobry wieczór, Aurayo.*

: *Chaia...*

: *Skąd ten niepokój?*

: *Rozpraszasz mnie, czasem w najmniej sprzyjającym momencie,* wyznała.

Gdy tylko jej umysł uformował te słowa, poczuła się zawstydzona i chciała przeprosić. Od Chai napłynęła fala rozbawienia, ale w żaden sposób nie pomogła jej rozwiać niepokoju.

: *Nie obawiaj się myśleć, Aurayo. Twoja reakcja jest spontaniczna, więc jak mógłbym być urażony? Wolę, gdy traktujesz mnie jak śmiertelnego towarzysza albo jednego z Białych.*

: *Ale nie jesteś nim. Jesteś bogiem.*

: *To prawda. Będziesz musiała nauczyć się mi ufać. Lecz masz prawo się na mnie gniewać. Masz prawo kwestionować moją wolę. Prawo, by się ze mną kłócić. Chciałbym, żebyś się ze mną kłóciła.*

On chce nie tylko tego, pomyślała.

Tym razem zaczerwieniła się zażenowana i odwróciła się do okna, by ukryć to przed

Białymi. Ale nie mogła się ukryć przed bogiem. Dotarła do niej kolejna fala rozbawienia.

: *To także jest prawdą. Lubię cię, Aurayo. Obserwuję cię od bardzo, bardzo dawna. Czekałem, aż dorośniesz dostatecznie, aby ci to powiedzieć, nie budząc twego zakłopotania.*

A to nie powoduje mojego zakłopotania? pomyślała kpiąco. Przypomniała sobie pocałunki, których uniknęła. Jak na istotę pozbawioną formy fizycznej, potrafił być zaskakująco zmysłowy. Często zbliżał się do niej, jakby chciał zrekompensować sobie brak ciała. Jego dotyk był dotykiem magii, a jednak wrażenie nie było nieprzyjemne.

Nie powoduje to we mnie takiego zakłopotania jak powinno, myślała. Powinnam przyznać się przed sobą, że brakuje mi Leiarda. Nie tylko jego towarzystwa, ale... nocy. Czasami kusi mnie, by pozwolić Chai robić, co zechce.

I nagłe poczuła się niezwykle skrępowana. Jak mogła pożądać boga! To niewłaściwe.

: *Czy to nie ja decyduję, co jest właściwe, a co nie?* spytał Chaia.

Poczuła mrowienie na policzku i wstrzymała oddech. To było tylko lekkie dotknięcie. Zrozumiała, że coś odwraca jego uwagę.

: *Muszę iść,* powiedział.

Świetlista obecność zgasła. Odebrała wrażenie niezwykłej prędkości, co utwierdziło ją w przekonaniu, że bóg potrafi pokonać całą Ithanię w czasie jednego uderzenia serca.

- Aurayo!

Podskoczyła i odwróciła się do Jurana. Ku jej zaskoczeniu, innych już nie było. Wyszli, a ona nawet nie zauważyła.

Juran patrzył na nią wyraźnie zirytowany. Skrzywiła się przepraszająco i jego twarz złagodniała.

- Co się z tobą dzieje, Aurayo? - zapytał cicho. - Ostatnio łatwo się rozpraszasz. Nawet podczas ważnych spotkań. To do ciebie niepodobne.

Wpatrywała się w niego, niepewna, co odpowiedzieć. Mogłaby wymyślić jakieś wytłumaczenie, ale musiałoby być dobre. Tylko naprawdę coś ważnego może usprawiedliwić to, jak się ostatnio zachowuje.

Ale kiedy milczenie się przedłużało, zrozumiała, że żaden powód nie będzie dość dobry - z wyjątkiem prawdy.

A jednak wahała się. Czy Chaia chce, aby Juran wiedział, że cały czas z nią rozmawia?

: *Chaio?*

Tak jak się spodziewała, nie było odpowiedzi. Bóg zniknął z okolicy. Juran patrzył na nią wyczekująco.

Nigdy nie zastrzegał, że nie powinnam mówić Juranowi, pomyślała. Nabrała tchu.

- To Chaia - wyznała. - Przemawia do mnie. Czasami w... dość niesprzyjających chwilach.

Juran uniósł brwi.

- Od kiedy? I jak często? Zastanowiła się.

- Od dwóch miesięcy, przynajmniej raz dziennie.

- O czym?

Wydawał się zirytowany, co jej nie zdziwiło. To on był przywódcą Białych. Jeśli Chaia miał zaszczycać kogoś codziennymi wizytami, z pewnością powinien to być Juran.

- Nic ważnego - zapewniła pospiesznie. - Zwykłe rozmowy. - A kiedy Juran zmarszczył czoło, zrozumiała, że sobie nie pomaga. Te słowa brzmiały raczej wymijająco. - Udziela mi rad co do szpitala - dodała.

Juran wolno kiwnął głową i z ulgą zobaczyła, że dał się ułagodzić.

- Rozumiem. To ma sens. Co jeszcze?

Wzruszyła ramionami.

- Takie przyjacielskie rozmowy. Myślę... myślę, że stara się mnie poznać. Miał sto lat, żeby poznać ciebie. Nawet Mairae jest z wami od dwudziestu sześciu. A ja dopiero od niedawna.

- To fakt. - Juran kiwnął głową i wyraźnie się rozluźnił. - No cóż. To rzeczywiście objawienie. Do rzeczy. Tymczasem nie usłyszałaś, że zauważono trójkę Siyee lecących w stronę Wieży. Pozostali poszli na dach, żeby ich powitać.

Auraya poczuła, że serce bije jej szybciej.

- Siyee? Nie lecieliby tak daleko bez ważnego powodu. Uśmiechnął się.

- Chodźmy na górę i sprawdźmy, o co im chodzi.

Po krótkiej wspinaczce schodami znaleźli się na dachu. Słońce wisiało teraz tuż nad horyzontem. Auraya spojrzała ponad trójką Białych na niebo; trzy postacie szybowały w stronę Wieży.

Biali milczeli, gdy zbliżała się skrzydlata trójka. Auraya zauważyła, że dwaj Siyee są w średnim wieku, trzeci jest młodszy i nosi opaskę na oku. Siyee uformowali w powietrzu linię i wylądowali równocześnie. Młodszy mężczyzna potknął się, ale odzyskał równowagę. Byli wyraźnie wyczerpani.

Trzy pary oczu spoglądały na Aurayę. Zerknęła na Jurana, który kiwnął głową. Uśmiechnęła się i podeszła, by powitać nowo przybyłych.

- Witaj, ludu nieba. Jestem Auraya z Białych. Wskazała pozostałych Białych, kolejno

ich przedstawiając.

Siyee z opaską na oku zakreślił znak kręgu.

- Dziękujemy za powitanie, Wybrańcy Bogów - odparł. - Jestem Niril z klanu Słonecznej Grani. Moi towarzysze to Dyni i Ayliss z klanu Łysej Góry. Zgodziliśmy się pozostać w Jarime jako reprezentanci naszego ludu.

- Będziemy zaszczyceni, goszcząc was tutaj. Na pewno jesteście zmęczeni po długiej podróży. Odprowadzę was do pokoju, gdzie możecie odpocząć, jeśli macie ochotę.

Niril skłonił głowę.

- Będziemy wdzięczni. Najpierw jednak Mówcy polecili mi przekazać pewne wieści. Dziesięć dni temu niedaleko brzegów południowego Si dostrzeżono czarny statek. Siyee, którzy go obserwowali, zobaczyli, że kilka grup pentadriańskich mężczyzn i kobiet schodzi z pokładu i rusza w głąb lądu. U niektórych na piersi zauważyli gwiezdne wisiory. Widzieli też ptaki.

Auraya poczuła na plecach zimny dreszcz. Podczas wojny Siyee stracili wielu wojowników. Czy pentadrianie o tym wiedzieli? Czy uznali, że Siyee są bezbronni?

- To złe wieści - przyznała. - Ale na szczęście wasi ludzie ich wykryli. To daje nam czas. - Spojrzała na Jurana i innych Białych. - Musimy postanowić, co można zrobić w tej sprawie.

- Tak - zgodził się Juran. - Spotkamy się w Ołtarzu. Ale najpierw Auraya zaprowadzi was do pokojów. Jak tylko wypoczniecie, omówimy z wami nasze wnioski.

Niril kiwnął głową; ramiona opadały mu ze zmęczenia. Auraya uśmiechnęła się ze współczuciem.

- Chodźcie za mną - zaprosiła ich.

17

Imi dryfowała w lesie drzew obwieszonych morskimi dzwonkami. Kołysały się lekko w falującej wodzie. Jaśniejące małe dzwoneczki przesuwały się wokół, tworząc oszałamiające figury. Któryś delikatny kwiat podpłynął bliżej, jakby chciał być zerwany.

A potem pojawiły się rzędy zębów i dzwonek zaatakował jej dłoń.

Przerażona cofnęła rękę. Cień przesunął się nad nią, pogrążając w ciemności wszystko prócz rozjarzonych dzwonków. Wtedy ogarnął ją lęk. Spojrzała w górę.

Nad głową unosił się gigantyczny kadłub statku. Liny opadały w dół jak węże i szukały jej. Chciała uciekać, ale nie mogła się poruszyć. Dopiero kiedy liny całkiem ją oplątały, odzyskała panowanie nad swymi mięśniami, ale było już za późno. Zaczęły ciągnąć ją w górę i żadne szarpanie nie mogło tego zmienić.

A jednak walczyła, wiedząc, co ją czeka na powierzchni. Tam byli piraci. Zimni, okrutni ludzie. W porównaniu z nimi ci rybacy, którzy schwytali ją poprzednio, wydawali się łagodni i dobroduszni. Pozwoliliby jej odpłynąć, gdy tylko zebrałaby dla nich dzwonki.

Już wolna, przed powrotem do domu zeszłaby na samo dno, by odzyskać dzwonki zerwane wcześniej dla ojca. Nie dałaby ich od razu. Za bardzo by się gniewał, żeby się ucieszyć. Nie, najpierw przyjęłaby karę za to, że uciekła z miasta, i byłaby wdzięczna losowi, że udało jej się wrócić.

Tak się jednak nie stało. Kiedy liny podciągnęły ją do powierzchni, przygotowała się na to, co miało za chwilę nastąpić. Nim jednak się wynurzyła, coś twardego uderzyło ją w żebra. Ból wyrwał ze snu. Jęknęła i otworzyła oczy.

Promienie światła przesączały się przez szczeliny w drewnianym stropie. Z uczucia chłodu wokół stóp wywnioskowała, że w tej chwili przelewa się po dnie więcej wody niż wtedy, kiedy zasnęła. Wyczuła zapach świeżej ryby. Jak zwykle, załoga pracowała na górze, widoczna jedynie przez otwarte części stropu. Jeden pirat stał na dole i patrzył na nią. Jej uszy zarejestrowały wykrzykujący coś szorstki męski głos. Słowa były niezrozumiałe, ale dobrze wiedziała, co znaczą.

Bierz się do pracy.

Dłoń odnalazła wiadro i Imi schyliła się, by je napełnić. Mężczyzna przestał pokrzykiwać. Wylała zawartość wiadra do innego, zwisającego na sznurze przez otwór w suficie. Coś spadło z dłoni mężczyzny do wody u jej stóp. Potem wspiął się na pokład, żeby dla odmiany krzyczeć na marynarzy.

Imi spojrzała w dół - w morskiej wodzie pływały dwie niewielkie ryby. Zdołała złapać je i zjeść, nie przerywając pracy.

Wiele razy kosztowała w pałacu surowych ryb, ale zawsze były pokrojone na drobne kęsy, przybrane solonymi wodorostami albo marynowanymi główkami kwee. Nikt jej nigdy nie uczył, jak obrać łuski, a nie miała tutaj żadnych ostrych narzędzi. Nauczyła się zdzierać je zębami i wypluwać.

Niezdrowo było żywić się tylko surowymi rybami, tak samo jak - według Teiti - nie należało jeść samych słodyczy. Teiti uważała, że właściwa dieta składa się z różnych pokarmów, także kilku takich, których Imi nie lubiła. Tak bardzo tęskniła za Teiti... Na samą myśl o niej bolało ją serce. A bolało jeszcze bardziej, kiedy wspominała ojca. Tak bardzo żałowała, że wypłynęła z miasta... Powinna zwyczajnie kupić ojcu coś na targu. Powinna słuchać Teiti.

Pracowała bez odpoczynku. Kadłub statku przepuszczał wodę powoli i piraci nie przejmowali się, w jakim tempie ją wylewa. Ważne, żeby to robiła - ona i ten, kto wyciągał wiadro z głębi kadłuba, żeby je opróżnić. Nie obchodziło ich, że od czasu do czasu ochlapuje się tą wodą albo że nocą śpi w kałuży. Bez ciągłego nawilżania jej skóra by wyschła, co doprowadziłoby Imi do powolnej i bolesnej śmierci.

Kiedy piraci wyciągnęli ją z wody, na początku przywiązali ją pod gołym niebem. Ostre słońce było nie do wytrzymania. Skóra wyschła, budząc uczucie straszliwego pragnienia, mimo wody, którą dawali jej do picia. Ból narodził się w głowie i objął całe ciało, tak że mogła tylko leżeć skulona na drewnianej podłodze.

Następne, co pamiętała, to że zbudziła się w ładowni, a woda wirowała wokół niej, gdy statek kołysał się do przodu i do tyłu. Z zewnątrz dochodził przerażająco głośny, ogłuszający łoskot. Deszcz, który dotąd widziała raz czy dwa, a od czasu do czasu również fala przelewająca się górą zaczęły w niepokojącym tempie wypełniać kadłub wodą. Kilku piratów próbowało ją wylewać, a kiedy jeden z nich wcisnął jej w ręce wiadro, przyłączyła się, przerażona, że statek zatonie, a ona się utopi, przywiązana do niego liną za kostkę.

Później przyszedł jakiś pirat i rzucił jej surową rybę. Była taka głodna, że zjadła ją całą, łuski, ości i mięso.

Odzyskała nieco sił. Dowódca piratów wyraźnie dał jej do zrozumienia, że chce, by nadal wybierała wodę. Z początku odmówiła. Była przecież księżniczką. Nie wykonywała prac fizycznych.

Więc ją zbił.

Zaszokowana i wystraszona, poddała się. Przez jakiś czas obserwował ją przy pracy i

groził jej, kiedy zwalniała. W końcu uznał chyba, że jest dostatecznie zastraszona, i zostawił ją samą.

To była wyczerpująca, niemająca końca praca i Imi stale była głodna. Dawali jej tak mało jedzenia... Ciało wychudło, ręce wyglądały jak mięśnie, skóra, kości i nic więcej. Koszula zwisała z niej, brudna i podarta. Nie wiedziała, ile jeszcze wytrzyma. Tak wiele dni już minęło... Podtrzymywała ją tylko nadzieja, że ojciec albo któryś z młodych wojowników przybędą, by ją uratować. Lepiej jednak było się nad tym zbytnio nie zastanawiać. Gdy próbowała, widziała aż za wiele powodów, dla których ratunek był mało prawdopodobny.

Coś się zdarzy, powtarzała sobie. Jestem księżniczką. Księżniczki nie umierają w ładowniach statków. Kiedy zjawi się mój wybawca, będę żywa i gotowa.

Pięć ścian Ołtarza zetknęło się nad głowami Białych. Juran wypowiedział rytualne słowa, by rozpocząć naradę; Auraya dołączała do pozostałych, by dopowiadać nakazane ceremoniałem krótkie frazy. Kiedy wszyscy zamilkli, Juran popatrzył na nich z troską.

- Zebraliśmy się tu, żeby omówić obecność pentadrian w Si - oświadczył.

- Czy to znaczy, że znowu mamy wojnę? - spytała Mairae. Juran pokręcił głową.

- Nie.

- Ale pentadrianie dokonali inwazji na jednego z naszych sojuszników.

- Naruszyli granicę - poprawił ją. - O ile nam wiadomo, nie skrzywdzili nikogo na terenach Si.

- Ponieważ Siyee nie są głupi i nie zbliżają się do nich - zauważyła Auraya. - Musimy sprawdzić, po co tam przybyli.

- Fakt. Ale to wymaga czasu. Wyślę im na spotkanie kapłanów, którzy niedawno dotarli do Przestrzeni.

- Kapłanów? - powtórzyła zdziwiona Auraya. - Czemu chcesz ryzykować ich życiem i narażać Siyee na taką zwłokę? Mogę być w Si w jeden dzień.

Juran porozumiał się wzrokiem z Dyarę, a potem spojrzał na Aurayę.

- To nierozsądne.

Auraya zamrugała zaskoczona. Zerknęła na Mairae i Riana, którzy wyglądali na równie zdziwionych.

- Dlaczego?

Ułożył dłonie na blacie.

- Wiemy, że przywódcy pentadrian są potężnymi czarownikami. Wiemy, że pozostała czwórka ma moc zbliżoną do naszej.

- Ten, którego nazywają Sharem... ten dosiadający vorna... jest słabszy ode mnie -

wtrącił Rian.

- Tak - zgodził się Juran. - Jesteś jedynym z nas, który zmierzył się z Głosem w samotnej walce. - Urwał na chwilę, patrząc na Aurayę. - To znaczy jedynym, który zmierzył się z żyjącym jeszcze Głosem - dodał. - Na szczęście Rian zwyciężył Shara. Nie możemy sprawdzić się w walce z innymi, nie ryzykując tego, że któreś z nas okaże się słabsze i zginie.

- W takim razie nie będę się zbliżać, jeśli zobaczę któregoś z dwójki potężniejszych Głosów - obiecała Auraya. - Słabsza dwójka nie powinna stanowić problemu.

Juran uśmiechnął się posępnie.

- Twoja odwaga jest godna podziwu, Aurayo.

- Czemu? Podczas bitwy zyskaliśmy jakieś pojęcie o ich sile.

- Jakieś tak, ale nie całkiem pewne. Nie wiemy, czy ta dwójka słabszych nie była zajęta działaniami obronnymi, z których wtedy nie zdawaliśmy sobie sprawy. Mogą być silniejsi, niż się wydawało.

Wzruszyła ramionami.

- Jeśli Rian zdołał pokonać Shara, to ja też potrafię. Wiemy, że ta kobieta od ptaków, Genza, jest następna pod względem mocy. Skłonna jestem zaryzykować. Sądzę, że umiałabym zwyciężyć ją samotnie.

- A potrafiłabyś pokonać oboje naraz? Zawahała się, ogarnięta wątpliwościami.

- Teraz dostrzegasz zagrożenie? Zastanówcie się nad naszymi słabościami. - Juran popatrzył na każdego po kolei. - A gdybyście wszyscy byli nieobecni, a pozostali czterej przywódcy pentadrian zaatakowali Jarime? Ja sam nie mógłbym ich zatrzymać. A jeśli obserwują teraz nasze ruchy i planują zasadzki, żeby pozabijać nas pojedynczo, kiedy się rozdzielimy? - Potrząsnął głową. - Kiedy jesteśmy sami, jesteśmy podatni na ataki.

Mairae syknęła z niedowierzaniem.

- Chyba nie chcesz sugerować, że od tej chwili wszyscy powinniśmy tkwić w Jarime? Jak mamy bronić innych krain? Co z naszymi zobowiązaniami?

Auraya z aprobatą kiwnęła głową. Wyprawa do Si byłaby ryzykiem, ale takim, które warto podjąć.

Co o tym sądzisz, Chaio, pomyślała odruchowo. Juran skrzywił się.

- Nasi kapłani i kapłanki poradzą sobie z większością zagrożeń. Poślemy ich, żeby zbierali informacje, zanim sami się czymś zajmiemy.

- W Si to się raczej nie uda - zauważyła Auraya. - Nigdy by nie dotarli na czas.

- Kiedy będziemy już mieli kapłanów i kapłanki spośród Siyee, przestanie to stanowić problem.

- Ale to nie nastąpi dostatecznie szybko dla tego konkretnego zagrożenia. Trzeba jeszcze lat, zanim...

Zauważyła kątem oka jakiś ruch i to wytrąciło ją z rytmu. Obejrzała się i pojęła, że poruszenie było magicznej, nie fizycznej natury. Znajoma obecność musnęła jej zmysły.

: *Witaj, Aurayo.*

Stłumiła westchnienie. Jej niebiański zalotnik pojawił się znowu - i znowu w chwili, kiedy wolała, by nic jej nie rozpraszało.

- Co się dzieje, Aurayo? - zapytała cicho Dyara. - Co zobaczyłaś?

Auraya spojrzała na nią zdziwiona.

- Naprawdę go nie wyczuwacie?

Dyara pokręciła głową. Auraya zerknęła szybko na Mairae i Riana, którzy mieli dość ogłupiałe miny. Juran zmarszczył czoło. I nagle na wszystkich twarzach pojawiły się zachwyt i radość, a wszystkie oczy skierowały się gdzieś poza plecy Aurai. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła stojącą tam promieniejącą postać.

: *Juranie,* rzekł bóg na powitanie. *Dyaro, Aurayo, Rianie i Mairae.*

- Chaio - odpowiedzieli z szacunkiem i nakreślili znak kręgu. Auraya nerwowo poszła za ich przykładem. Przyzwyczaiła się do obecności Chai i łatwo jej było zapomnieć o formalnościach, jakich zwykle przestrzegali Biali, kiedy pojawiał się ich bóg.

Chaia tymczasem powoli ruszył wokół stołu.

Jak wiecie, na ogół wolimy pozwalać śmiertelnikom, by sami wybierali swoje drogi. Od czasu do czasu sterujemy wami, albowiem ciąży na nas odpowiedzialność kierowania waszymi działaniami, gdy te nie zgadzają się z naszym planem.

Zatrzymał się i spojrzał na Jurana.

: *Teraz właśnie muszę interweniować.*

Brwi Białego złączyły się pomiędzy oczami. Wpatrywał się w blat stołu.

: *Waszym celem jest ochraniać naszych wyznawców, a nie siebie.*

Juran drgnął.

- Ochranianie siebie kosztem innych nie było moim zamiarem - oświadczył i spojrzał na boga. - Martwię się raczej o to, jak ochraniać cyrklian także w przyszłości. Jeśli jedno z nas zginie, cała Ithania Północna będzie odsłonięta.

Dyara kiwnęła głową.

- Zgadzam się. Jeśli Auraya zginie w Si, może to doprowadzić do wielu kolejnych zgonów.

Chaia uśmiechnął się lekko.

;Jeśli Auraya zginie, wybierzemy jej następcę... Choć wątpię, czy znaleźlibyśmy kogoś tak utalentowanego i Obdarzonego.

Mimo tej pochwały, zimny dreszcz przebiegł Aurai po plecach. Uważała, że jest gotowa zaryzykować życiem w obronie Siyee. Teraz, kiedy dowiedziała się, że bogowie chcieli od niej tego ryzyka, poczuła, jak gdzieś w głębi niej budzi się trwoga. Poczuła się... przeznaczona na straty.

Jak każdy żołnierz, pomyślała. Bo przecież nimi właśnie jesteśmy. Potężnymi, nieśmiertelnymi, Obdarzonymi żołnierzami w służbie bogów.

Uświadomiła sobie, jak ironiczne jest to, co właśnie przyszło jej do głowy. Nazywamy się nieśmiertelnymi, ponieważ się nie starzejemy. Jeśli wybuchnie taki konflikt, jakiego obawia się Juran, jeśli będziemy musieli bezustannie narażać życie w obronie cyrklian, może się okazać, że żyjemy nawet krócej od przeciętnych śmiertelników.

Wyprostowała się. Niech więc tak będzie.

- Zdecydowałam się służyć bogom i nie zamierzam się z tego szybko wycofywać, choć dołączenie do nich byłoby radosnym zdarzeniem - oświadczyła. - Nie będę podejmować zbędnego ryzyka. I pamiętajcie: mogę tu wrócić w jeden dzień, jeśli będę potrzebna.

Juran długo patrzył jej w oczy. Potem kiwnął głową i odwrócił się do Chai.

- Dziękuję ci za twoją mądrość i radę, Chaio - powiedział z pokorą. - Wyślę Aurayę do Si.

Bóg uśmiechnął się i zniknął. Auraya czuła, jak oddala się poza zasięg jej zmysłów. Kiedy spojrzała na Jurana, ten przyglądał jej się z trudnym do odczytania wyrazem twarzy.

- Bogowie wyróżnili cię niezwykłymi Darami - rzekł. - Powinienem zrozumieć, że chcą, byś ich używała. Bądź ostrożna, Aurayo. Nie tylko twoich niezwykłych zdolności będzie nam brakować, jeśli cię stracimy.

Uśmiechnęła się wzruszona.

- Dziękuję ci. Będę na siebie uważać. Juran zwrócił się do pozostałych.

- A zatem postanowione. Powinniśmy zawiadomić naszych gości.

Spojrzał na Aurayę.

- Powiem im - obiecała.

Kiedy powstali, a ściany Ołtarza zaczęły się rozkładać, Auraya myślała o przybyciu Chai. Zastanawiała się wtedy, co by sądził o argumentach Jurana. Czyżby wezwała go, nie zdając sobie z tego sprawy? Czy był dostatecznie blisko, by słyszeć ich wcześniejszą rozmowę, ale jednak zbyt daleko dla jej zmysłów?

Później będzie musiała to sobie przemyśleć. Na razie jednak warto się zastanowić, jak

podejść do tych pentadrian w Si, by nie narazić na niebezpieczeństwo ani siebie, ani Siyee.

Stary Ponurak uniósł głowę, gdy kobieta weszła do sali, i ciągle patrzył. Wysokie kości policzkowe, włosy czarne jak noc, niezła figura... choć powinna nabrać trochę ciała. Kiedy światło lampy ukazało jej oczy, zobaczył, że są zielone. Uśmiechnęła się do swego towarzysza, a wtedy w kącikach pojawiły się zmarszczki.

Kiedy była młodsza, była pewnie pięknością, pomyślał. Z kim przyszła? Ach, Marin... Nie może się oprzeć. Zawsze musi obejrzeć wszystko, co nowe. Pamiętam, że jako chłopak grzebał na plaży, szukając rzeczy wyrzuconych przez fale.

Marin przedstawił kobietę swojemu zwykłemu partnerowi do picia, ale nie zatrzymał się tam. Ku zdziwieniu Ponuraka, spojrzał na niego, mrugnął znacząco, a potem poprowadził nieznajomą do jego stolika.

- Dobry wieczór - odezwał się. - To jest Stary Ponurak - przedstawił starca kobiecie. - Ponuraku, to jest Limma Curer.

- ...wieczór. - Ponurak skinął jej głową.

Łatwo się uśmiechała. Pochwycił od niej zapach ziół i jeszcze czegoś bardziej ziemistego. Jej nazwisko oznaczało lekarkę i było pewnie precyzyjnym opisem jej fachu.

- Limmę interesują wszystkie opowieści o Mewie - tłumaczył Marin. - Powiedziałem jej, że go spotkałeś. A ona mi nawet uwierzyła.

- Naprawdę? - Ponurak poczuł, że znowu zaczyna się w nim budzić dawna uraza, ale kiedy spróbował ze złością spojrzeć na kobietę, gniew przygasł. Spokojnie patrzyła mu w oczy. Miała w sobie coś niezwykłego... Czegoś od niego chciała. Nie wyobrażał sobie, żeby miał jeszcze cokolwiek do zaoferowania... oprócz swojej historii.

Zaintrygowany, uniósł kubek.

- Długa opowieść wymaga zwilżania gardła.

Limma roześmiała się i sięgnęła pod taul. Zauważył pod nim liczne sakiewki, a zioła i leki zapachniały mocniej. Odwróciła się do właściciela tawerny i rzuciła mu monetę. Ten chwycił ją zręcznie i pokiwał głową, gdy kazała mu pilnować, by kubki były pełne.

Potem razem z Marinem usiadła na ławie naprzeciw starca.

- No więc spotkałeś Mewę - zaczęła. - Jak dawno to było? Stary Ponurak wzruszył ramionami.

- Młody byłem, ledwie starszy niż dzieciak. Se pomyślałem, że zobaczę kawałek świata, więc zacząłem robotę na łodziach, które pływają wzdłuż brzegu do Aime. Kiedy tam dotarłem, se znalazłem robotę na statku handlowym. Nie była taka, na jaką liczyłem. Harówka bez przerwy. Nauczyłem się wtedy, że im większa łajba, tym bardziej ludzie pilnują,

coby każdy wiedział, kto od kogo przyjmuje rozkazy. Byłem dość nisko tego łańcucha chłosty, że tak powiem.

Skrzywił się na to wspomnienie.

- No więc był na tym statku taki chłopak. Nie miał imienia. Wszyscy wołali go „chłopak". I pewnego dnia se skojarzyłem, że nikt się nigdy chłopaka nie czepia. Nie dawał im powodów.

Ale na tym statku być szybkim przy robocie nie ratowało przed laniem. No to zacząłem się chłopakowi przyglądać. Ładny dzieciak, ale żaden ze zbirów nie próbował nic mu zrobić. Tak po prawdzie, zachowywali się, jakby się go bali. Odetchnął.

- Aż któregoś dnia usiadł koło mnie przy jedzeniu. Powiedział, że to nie jest statek odpowiedni dla mnie. Powiedział, że potrzebuję mniejszej łodzi i że dobry byłby ze mnie kapitan. Lepiej mi pójdzie, kiedy będę walczył z morzem, a nie z innymi ludźmi. W głębi serca wiedziałem, że ma rację, ale rozumiecie, chciałem se obejrzeć kawałek świata, więc zostałem. Parę tygodni później, kiedy zbieraliśmy się do wyjścia z portu w Aime, znowu się do mnie odezwał. Pokazał mi mniejszy statek i powiedział, że szukają tam załogi. Podziękowałem mu za radę, ale zostałem. Inni odeszli, a ja czułem się dumny, że się nie poddaję.

Stary Ponurak przerwał na chwilę, kiedy posługacz ustawił na stole pełne kubki. Napił się, odetchnął i poskrobał brodę.

- Na czym stanąłem?

- Chłopak ostrzegł cię drugi raz - przypomniała Limma. Popatrzył na nią zaskoczony. Uśmiechnęła się znacząco, ale milczała. Ponurak wytarł usta i zaczął mówić.

- Byliśmy na morzu dopiero parę dni, kiedy nagle niebo poczerniało, a wiatr zaczął na nas wyć. Widzieliśmy ledwo kawałek przed dziobem. Usłyszałem, jak chłopak tłumaczy kapitanowi, że się pchamy na skały i powinien odbić na sterburtę. Mówił to tak... władczo. Kapitan nawymyślał mu tylko i kazał się schować pod pokład. A zaraz potem chłopak stanął przede mną. Widziałem, że jest zły. Wściekły nawet, jak potrafi tylko dorosły. Dziwnie było widzieć coś takiego na twarzy kogoś tak młodego...

Ponurak zamilkł. Wspomnienie było wyraźne. Wciąż czuł lodowaty wicher i trzewia ściśnięte strachem, ciągle widział twarz chłopaka. Łyknął z kubka i przez chwilę rozkoszował się przyjemnym ciepłem. Słuchacze czekali cierpliwie.

- Chłopak zawlókł mnie do szalupy. Kiedy zrozumiałem, że mam mu pomóc się wynieść, zacząłem protestować. Wyprostował się wtedy i popatrzył mi w oczy...

Ponurak spróbował naśladować chłopaka i przeszył kobietę spojrzeniem - miał

nadzieję - dostatecznie stanowczym.

- ...i powiedział: „Ostrzegałem cię już dwa razy. I ostrzegam trzeci, ostatni. Opuść ten statek, bo nie dotrwasz do jutrzejszego dnia". I wtedy zobaczył go jeden ze zbirów, wielkie i silne chłopisko. Ryknął ze złości i podbiegł, żeby uderzyć chłopaka. Ale nie sięgnął pięścią celu. Chłopak zrobił jakiś mały ruch i zbir poleciał do tyłu. Walnął o coś głową i nie wstał.

Ponurak się uśmiechnął.

- Se tak stałem i wytrzeszczałem na niego gały. A on pchnął mnie mocno, aż spadłem do szalupy, a potem liny same się odwiązały. Następne, co pamiętam, to że lecę razem z szalupą i walimy o wodę. Se tam leżałem trochę ogłupiały i patrzyłem na chłopaka, a szalupa odsuwała się od statku, jakby ją kto popychał.

Potrząsnął głową.

- Nigdy więcej go nie spotkałem. Następnego dnia stado mew leciało za mną, kiedy wiosłowałem do brzegu. Chyba wtedy do mnie trafiło, kim on był. Później usłyszałem, że statek wpadł na skały. Większość załogi zginęła, ale chłopaka nikt nie widział. Ani żywego, ani martwego.

Kobieta uśmiechała się. A to sprawiło Ponurakowi przyjemność. Podobała jej się moja historia, pomyślał. Właściwie nieważne, czy mi uwierzyła, czy nie.

- Miałeś szczęście - stwierdziła. Podniósł kubek i wypił.

- Oj, miałem. Od tego dnia zaczęło mi sprzyjać. Zanim wróciłem do domu, miałem dosyć, żeby kupić własną łódź.

- Czyli jednak zostałeś kapitanem? - zapytała, podnosząc swój kubek do ust.

- Pewno.

- Ale nikt nie wierzył w tę historię.

- Nikt oprócz mojej żony.

- Jesteś pewien? - Zmrużyła oczy. - Nigdy nie spotkałeś nikogo, kto by uwierzył w twoją opowieść?

Umilkł na chwilę, gdy zdał sobie sprawę, że jego słowa nie są do końca prawdą.

- Było paru, którzy chyba mi uwierzyli. Głównie wędrowcy. Młody żaglomistrz opowiadał mi niedawno, że od jakiegoś kupca z północy słyszał całkiem podobną historię.

- Ten kupiec też spotkał Mewę?

- Tak mówił. Chyba napadli go piraci, a chłopak go uratował.

- Podał ci imię tego kupca?

- Nie, ale żaglomistrz mieszka niedaleko stąd, przy brzegu. - Pochylił się. - Dlaczego tak cię interesuje Mewa?

Uśmiechnęła się.

- Chcę go odszukać. Zaśmiał się cicho.

- No to powodzenia. Bo jakoś mi się zdaje, że on jest z takich, co to sami znajdują człowieka, a nie na odwrót.

- Mam nadzieję.

- A czego chcesz od niego?

- Rady.

Z jej miny wywnioskował, że więcej już nie powie. Wzruszył ramionami i wyciągnął pusty kubek.

- Postaw jeszcze jeden, a mogę sobie przypomnieć imiona wędrowców, którzy mi wierzyli.

Tak jak miał nadzieję, roześmiała się i skinęła na posługacza.

18

Gdy Reivan weszła za Imenją na balkon, przekonała się, że Głosy już tam czekają. Wszyscy prócz Nekauna siedzieli na trzcinowych fotelach i sączyli chłodne napoje, i wszystkim prócz Nekauna asystowali Towarzysze.

On jeszcze żadnego nie znalazł. Minęły dopiero dwa miesiące od wyboru na Pierwszy Głos, a Towarzysz powinien być dobierany z rozwagą, myślała Reivan. Nie byłoby uczciwie, gdyby przyjmował i odsyłał kolejnych, dopóki nie trafi na kogoś, kogo by lubił i komu ufał.

Imenja usiadła, a Nekaun skinął jej głową, a potem z uśmiechem spojrzał na Reivan. Jak zwykle uśmiechał się do niej jak do przyjaciela, którego wizyta sprawia mu radość, co wywoływało u niej uczucie zażenowania. Pochlebiało jej, że tak niezwykły człowiek zwraca na nią uwagę.

Wszyscy się nim zachwycali. Był czarujący i troskliwy. Kiedy rozmawiał z ludźmi, całkowicie poświęcał im uwagę. Śmiał się z ich żartów, wysłuchiwał skarg i zawsze pamiętał ich imiona.

Zresztą pewnie tylko się wydaje, że pamięta, uznała Reivan, kiedy już usiadła obok Imenji. Przecież nie musi ich zapamiętywać. Kiedy jest mu to potrzebne, może odczytać te imiona z ich umysłów.

Zmieniły się też zachowania Głosów wewnątrz grupy. Wprawdzie nigdy nie widziała, żeby Nekaun się gniewał albo złościł, ale było jasne, że to on kieruje. Zawsze wysłuchiwał ich rad i opinii, jednak sam podejmował ostateczne decyzje.

Oczywiście, inni nie mogą protestować, jeśli udzielili mu rady, która doprowadziła do takiej a nie innej decyzji, myślała.

Kiedy Imenja przekazała mu obowiązki przywódcy, nie wyraziła ani ulgi, ani żalu. Od tego czasu nie komentowała działań Nekauna. Jeśli jego decyzje uważała za błędne, nie dawała tego po sobie poznać.

Nie może mi przecież nic mówić, przypomniała sobie Reivan. Odczytałby to z moich myśli. Nie powie nic, jeśli nie chce, by on się tego dowiedział.

Nekaun zaczął spacerować tam i z powrotem przy balustradzie. Po chwili spojrzał na nią z zainteresowaniem. Poczuła, że rumieniec oblewa jej twarz.

O czym ja myślę? Znowu jestem cyniczna. Muszę z tym skończyć. On wie, mam nadzieję, że to tylko z przyzwyczajenia, że naprawdę nie sądzę, by któraś z jego decyzji była błędna albo...

- Ponieważ jesteśmy już wszyscy, możemy zacząć - rzekł Nekaun.

- Tak - zgodziła się Imenja. - Kogo, a raczej, które miejsce omówimy jako pierwsze?

- Myślę, że najpierw Shar i Dunway - odparł z uśmiechem. Przystojny jasnowłosy Głos odchrząknął. Przyprowadził ze sobą jednego z oswojonych vornów i bestia leżała teraz, dysząc obok jego fotela.

- Manewr z rozbiciem statku był chyba skuteczny. Rozbitkowie są dobrze traktowani. Drugi statek nadal stoi uwięziony w porcie Chon. Tak jak się spodziewaliśmy, Dunwayczycy nie chcą pozwolić naszym ludziom zejść na ląd.

Nekaun pokiwał głową.

- Genza?

Czwarty Głos przeciągnęła smukłe, muskularne ramiona.

- Moi ludzie wędrują od jedenastu dni, ale nawet z pomocą ptaków, badających teren przed nimi, poruszają się wolno. Kilka razy zauważyli w oddali Siyee, ale latający lud nie zbliża się do nich.

- Żadnego śladu tej, którą nazywają Aurayą?

- Żadnego.

- To dobrze.

Nekaun zwrócił się do Vervela. Krępy mężczyzna wzruszył ramionami.

- Moi Słudzy przybyli. Toreńczyków nie obchodzi ich pochodzenie, jeśli tylko mogą coś od nich kupić. Bardzo pragmatyczny naród. Druga łódź nie dotarła jeszcze do Genrii.

Nekaun spojrzał na Imenję.

- A twoi Słudzy są jeszcze na morzu? Przytaknęła.

- Tak. Ten sztorm ich zatrzymał, tak jak twoich. Teraz, kiedy pogoda się poprawiła, powinni za kilka dni dotrzeć do Somreyu.

- Czy to rozsądne, że nasi wysłannicy docierają do miejsc przeznaczenia w tym samym czasie? - zapytał Vervel. - Cyrklianie mogą to zauważyć i zaczną nas podejrzewać o niedobre intencje.

- Jeśli zwrócą uwagę - odparł Nekaun. Spojrzał na Genzę. - Niewielka jest szansa, by twoi ludzie pozostali niezauważeni, ponieważ ludzie rzadko wkraczają do Si. Jednakże Siyee nie mają swoich kapłanów ani kapłanek, więc może łatwiej uda się ich przekonać.

- Trudno będzie znaleźć potencjalne Sługi wśród zwykłych ludzi - zauważył Vervel. - Moi informują, że prawie wszyscy Utalentowani w Ithanii Północnej zostali kapłanami albo kapłankami.

Nekaun uśmiechnął się i zerknął na Reivan.

- A ci nieutalentowani się nie nadają... Ta reguła już w przeszłości była naszą słabością. Czy nieutalentowani Ithańczycy z północy porzucą swe pogańskie bóstwa i przyłączą się do prawdziwych bogów, jeśli dzięki temu będą mogli zdobyć władzę i poważanie, stając się Sługami? Zastanowili się.

- Ta władza i poważanie, które proponujesz, cenne są tylko tutaj - mruknęła Imenja.

- Na razie.

- A ilu nieutalentowanym pozwolisz zostać Sługami? - spytał Vervel. - Jak ich wybierzesz?

- Na początek nie chcę określać liczby - odparł Nekaun. - Będą musieli wykazać, że są godni.

- Dobrze - mruknęła Genza. - Nie chcemy urządzać drwin z bogów, wyświęcając całkowitych głupków.

- Nie - zgodził się Nekaun. I nagle spojrzał na Reivan. - Ale na razie nam to nie grozi. Jak sądzisz, Reivan?

Zamrugała zdziwiona.

- Ja... um... Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że musi istnieć jakaś prostsza metoda nawracania Ithańczyków z północy. Cyrklianie wierzą, że nasi bogowie nie są prawdziwi. Szybko przeszliby do nas, gdybyśmy mogli im udowodnić, że się mylą.

- A jak mamy to zrobić?

- Nie wiem. Może tylko widok bogów by ich przekonał. Uśmiechnął się krzywo.

- Od czasu do czasu możemy prosić bogów o aprobatę lub przewodnictwo, ale nawet w takich przypadkach nie zawsze się pojawiają na nasze wezwanie. Nie wydaje mi się, by byli skłonni przybywać i demonstrować swoją moc każdemu wątpiącemu cyrklianinowi, kiedy tylko Sługa o to poprosi.

Reivan spuściła głowę.

- Nie, nie możemy żądać tak wiele. Ale... szkoda, że cyrklianie nie widzieli, jak Sheyr pojawił się po naszym wyjściu z kopalni. Gdyby zobaczyli ten wspaniały obraz, może nie walczyliby z nami, a zamiast tego się do nas przyłączyli. Czy bogowie zechcieliby się ukazać zgromadzeniu cyrklian?

- Myślę, że gdyby to było możliwe, już by to zrobili - stwierdziła Imenja.

- A co ich powstrzymuje? - spytała Reivan.

Zapadła cisza. Zmusiła się, by unieść głowę i spojrzeć na Głosy. Zdziwiła się, że wszyscy wyglądali na głęboko zamyślonych. Nekaun marszczył czoło, jakby wzburzony jej słowami. Skierował ku niej wzrok i uśmiechnął się lekko.

- Ach, Myśliciele... Jak łatwo przychodzi im stawianie pytań, na które nie ma odpowiedzi... Wszyscy chcielibyśmy zrozumieć bogów, ale wątpię, czy komukolwiek się to uda. Są ostateczną tajemnicą.

Pozostali pokiwali głowami. Nekaun zatarł ręce i rozejrzał się.

- Przejdziemy teraz do innych spraw? - zaproponował.

- Tak - zgodziła się Genza.

- Słyszałem, że znowu doszło do pojedynku między dwójką dekkańskich arystokratów.

Genza przewróciła oczami.

- Tak. Te same stare rody. Te same stare urazy.

- Musimy coś zrobić, by nie dochodziło do takich konfrontacji.

- Chętnie wysłucham twoich sugestii.

Z ulgą, że nie jest już w centrum uwagi, Reivan sięgnęła po kubek wody i wypiła łapczywie. Podczas takich spotkań Nekaun często pytał ją o opinię, a równocześnie rzadko zwracał się do innych Towarzyszy. Choć pochlebiało jej to, jednak nie zawsze cieszyło. Czasami, jak dzisiaj, podejrzewała, że sama robi z siebie durnia.

Na szczęście innym to chyba nie przeszkadzało. Nie zachęcali do powściągliwości. Kiedyś Reivan starała się wykręcić od wyrażenia swojego zdania, ale Nekaun naciskał z tak bezlitosną cierpliwością, że w końcu ustąpiła.

Ale widać, że moje pytanie ich zaniepokoiło, myślała, zerkając na pozostałe Głosy. Chyba nie tylko ja się zastanawiam, czemu bogowie tak niechętnie okazują swoją moc i możliwości.

Gdyby nie to, czy przegralibyśmy wojnę? Czy odradzaliby nam atakowanie cyrklian? Z pewnością Kuar nie poprowadziłby nas do bitwy, gdyby bogowie się na to nie zgadzali.

No i Sheyr by się nam nie ukazał i nie zachęcał wojsk do walki, gdyby wiedział, że w bitwie nie mamy szans. Zatem albo nie wiedział, że przegramy, albo nie poznał nieprzyjaciela tak dobrze, by dostrzec zagrożenie. Tak czy tak, musiał być świadom ryzyka.

Reivan pokręciła głową.

Przynajmniej nie jestem jedyną, dla której działania bogów są niezrozumiałe. Nawet Głosy nie wiedzą o nich wszystkiego.

Mirar stał przed ścianą wody. Wyciągnął rękę i dotknął jej powierzchni. Gładka, falująca płaszczyzna rozerwała się na jego palcach i zimne krople spryskały nagie ramiona, budząc dreszcz.

Załatw to szybko, poradził Leiard.

Mirar zamknął oczy, pochylił się i wsadził głowę do wody.

Była lodowato zimna. Zaczął szybkimi ruchami rozczesywać włosy i brodę, by przyspieszyć płukanie. Krok w tył - i znowu znalazł się na powietrzu. Wyprostował się, a woda pociekła po jego nagiej piersi.

Przejechał palcami po włosach i z satysfakcją stwierdził, że zniknęła cała lepkość, jaką pozostawiła farba. Nie miał ochoty znowu zanurzać się w zimnej wodzie. Ta perspektywa przez kilka dni zniechęcała go do powtórnego nałożenia koloru.

„Nie zapomnij o brwiach - ostrzegała go Emerahl. - Kiedy ludzie zobaczą ciemne włosy i jasne brwi, domyślą się, że użyłeś farby".

Uśmiechnął się na to wspomnienie, starannie zmywając resztki farby nabieraną w dłonie wodą. Nie wspominała o barwieniu włosów na piersi ani nigdzie indziej, ale kto mógłby je zobaczyć? Nikt, dopóki Leiard miał cokolwiek do powiedzenia.

Za ręcznik służył mu jedynie niewielki kawałek materiału. Ruszył z powrotem do groty, rozcierając skórę, by się rozgrzać.

- Wilar?

Zatrzymał się i obejrzał na wodospad. Głos był znajomy. Dostrzegł sylwetkę Siyee.

- Reet?

- Tyve.

Jego brat, przypomniał sobie Mirar. Mają takie podobne głosy...

- Zaczekaj chwilę! - zawołał.

Pobiegł do jaskini, szybko skończył się ubierać, a potem wrócił do wyjścia ze swą torbą leków. Młody Siyee czekał w szczelinie między granicą wodospadu i skalną ścianą. Uśmiechnął się, widząc Mirara.

- Czy przyszedłem w nieodpowiedniej chwili?

- Nie - uspokoił go Mirar. - Twoje towarzystwo zawsze sprawia mi radość.

Siyee ukrył uśmiech. Mirar szybko przypominał sobie ich mowę, choć nie zawsze rozumiał konkretne frazy. Podejrzewał, że używa staroświeckich sformułowań, które ich śmieszą, a te zagadkowe dla niego słowa i zwroty to wynalazki ostatnich mniej więcej stu lat.

Spotkał obu braci kilka tygodni temu i powtórzył im historyjkę, którą wymyślili z Emerahl: umówił się z nią tutaj na spotkanie, a ona przez senne połączenie wytłumaczyła mu, jak trafić do jaskini. Ale kiedy przybył, ona już odeszła.

Wiedzieli, kim są tkacze snów. Z satysfakcją się przekonał, że Siyee wciąż pamiętają Mirara i powtarzają opowieści, w których występuje jako dobroczyńca, uzdrowiciel i mędrzec. Z rozbawieniem odkrył, że ich zdaniem wszyscy tkacze snów są mężczyznami i

dysponują magiczną mocą.

Razem z Tyve'em przeszli zza wodospadu na brzeg jeziorka, gdzie czekał drugi młody Siyee.

- Witaj, Wilarze. Przyniosłem ci jedzenie. - Reet podniósł niewielką sakwę.

- Dziękuję. - Mirar sięgnął do swojej torby. - Przyszliście po więcej leków?

- Tak. Sizzi mówi, że twoje lekarstwo działa. Chce go więcej. Teraz, kiedy robi się chłodniej, stawy Mówcy Veece'a zaczęły boleć. Masz coś, co mu pomoże?

Mirar uśmiechnął się.

- To nie on kazał wam prosić, prawda? Pytacie, bo chcecie mu pomóc.

Reet wyszczerzył zęby.

- Jest zbyt dumny, żeby prosić o pomoc. Ale nie aż tak dumny, żeby nie skarżyć się bez przerwy.

Mirar usiadł na kamieniu, zajrzał do torby i przestudiował jej zawartość.

- Będę musiał coś wymyślić. Mam tu puder na rany i środek łagodzący ból. - Wyjął rzeźbione drewniane naczynie i niewielki woreczek z kulkami. - Na ból są te kulki. Nie więcej niż cztery dziennie, i nigdy więcej niż dwie naraz.

Reet odebrał woreczek i naczynie, po czym wcisnął je do torby umocowanej na piersi. Mirar sięgnął po sakwę z jedzeniem. Okazała się zaskakująco ciężka i wewnątrz usłyszał cichy plusk jakiegoś płynu.

- Czyżby... aha! - Wyjął bukłak teepi.

- Prezent od Sizzi - wyjaśnił Tyve. Mirar przyjrzał się obu Siyee.

- Spieszy wam się z powrotem?

Z uśmiechem pokręcili głowami. Mirar odkorkował bukłak, nabrał trunku do ust i poczuł ostry, orzechowy smak. Przełknął, rozkoszując się ciepłem, które wypełniło żołądek i zaczęło się rozchodzić po ciele.

Przekazał bukłak Tyve'owi.

- Jakieś wieści? - zapytał.

Tyve napił się i oddał bukłak Reetowi.

- Kapłani dotarli do Przestrzeni. Będą uczyć Siyee, którzy też chcą zostać kapłanami albo kapłankami.

Mirar westchnął. Przez wieki Siyee byli wolni od wpływów bogów, z wyjątkiem Huan, a bogini - kiedy już ich stworzyła - nie wtrącała się zbytnio w ich życie. Gdy będą już mieli własnych kapłanów i kapłanki, zaczną oddawać cześć wszystkim pięciu bogom. A niektórzy z tych pięciu mieli skłonności do wtykania nosów tam, gdzie nie trzeba.

- Nie wyglądasz na zadowolonego - zauważył Reet. Mirar przyjrzał mu się z uwagą i pokręcił głową. - Nie.

- Dlaczego nie?

- Ja... Nie podoba mi się, że Siyee będą kierowani przez bogów i ich ziemiochodzące sługi.

Tyve zmarszczył czoło.

- Myślisz, że tak się stanie?

- Może.

- A to niedobrze? - zapytał Reet. - Bogowie mogą nas ochraniać.

- Byliście bezpieczniejsi, kiedy nie mieliście kontaktów z resztą świata.

- Świat nas zaatakował - przypomniał mu Reet.

- A tak, masz rację. Toreńscy osadnicy, w pewnym sensie. No cóż, chyba nie mogliście zawsze pozostawać w odosobnieniu.

- A ty nie czcisz bogów? - zapytał Tyve.

Mirar wziął bukłak od Reeta i odłożył na bok. Pokręcił głową.

- Nie. Tkacze snów nie służą bogom. Pomagają ludziom. Bogom się to nie podoba.

- Dlaczego?

- Lubią, kiedy się ich czci, lubią rządzić śmiertelnikami. Nie podoba im się, że tkacze snów ich nie czczą i nie są im posłuszni. Kiedy pomagamy innym, oni uważają, że zmniejszamy ich wpływ na tych, którym pomogliśmy.

Tyve zmarszczył brwi.

- A karzą was za to?

Wróciło wspomnienie kamieni miażdżących okaleczone ciało. Mirar odepchnął je.

- Nakazali Juranowi z Białych zabić naszego przywódcę. Na ich polecenie cyrklianie zwrócili się przeciwko tkaczom snów. Wielu naszych zginęło. Choć teraz to się nie zdarza, ci nieliczni, którzy podejmują trudy życia tkacza snów, wszędzie są przez cyrklian pogardzani i prześladowani.

Obaj Siyee spoglądali na Mirara ze wzburzeniem.

- Cyrklianie to nasi sojusznicy - oświadczył Tyve. W jego głosie nie było ani lęku, ani próby usprawiedliwiania. - Jeśli ty jesteś wrogiem cyrklian, czy stajesz się również naszym wrogiem?

- Wasz lud musi sam zdecydować - odparł Mirar. - Ten sojusz prawdopodobnie przyniesie wam wiele dobrego. Nie chciałem budzić w was zwątpienia.

Kłamca, stwierdził oskarżycielskim tonem Leiard. Jego głos był szeptem gdzieś w

głębi umysłu Mirara.

- A dlaczego nie czcicie bogów? - spytał Reet.

- Z kilku powodów - odparł Mirar. - W części dlatego że naszym zdaniem ludzie powinni mieć wybór w tej kwestii. W części zaś przez to że bogowie nie są tak dobrzy i łagodni, jak chcą, by wierzyli śmiertelnicy. - Pokręcił głową. - Mógłbym wam opowiedzieć takie rzeczy o wyczynach bogów w przeszłości, zanim wojna pozostawiła ich tylko pięciu, że byście oniemieli z wrażenia.

Tylko wyczyny tych pięciu za starych złych czasów? zaproponował Leiard.

Nie. To by było zbyt oczywiste. Zmieszam to z opowieściami o innych bogach.

- Powiedz - rzekł z powagą Tyve. - Powinniśmy wiedzieć, jeśli to oni mają nami władać.

- Może wam się nie spodobać to, co usłyszycie - ostrzegł Mirar.

- To zależy, czy ci uwierzymy, czy nie. Dawne historie są zwykle wyolbrzymieniem prawdziwych zdarzeń - zauważył rozsądnie Reet.

- To nie są historie. To wspomnienia - poprawił go Mirar. - My, tkacze snów, przekazujemy swoje wspomnienia uczniom i sobie nawzajem. To, co wam powiem, to nie wyolbrzymienie czy koloryzacja, ale prawdziwe wspomnienia ludzi od dawna martwych.

Albo nie całkiem martwych, dodał Leiard.

Mirar zastanowił się.

Czyli przyznajesz, że to ja jestem właścicielem ciała?

Nie doczekał się odpowiedzi. Obaj Siyee patrzyli na niego w skupieniu. Wyczuwał ich ciekawość.

Co ja robię, pomyślał. Jeśli takie historie rozpowszechnią się wśród Siyee, bogowie zwrócą na to uwagę i spróbują dotrzeć do źródła.

Opowieści są potężną bronią. Mogą uczyć ostrożności. Myśl o Siyee, którzy stają się kapłanami, i o bogach, którzy kontrolują ich i zmieniają, skłoniła go do działania. Nie powinni się godzić na taki los, nie znając przynajmniej części prawdy.

- Opowiem wam historie o martwych bogach, a także o tych z Kręgu - rzekł. - Słyszeliście kiedyś o ladacznicach z Ayethy?

W oczach młodych ludzi błysnęło zaciekawienie. - Nie.

- Ayetha to dawne miasto w krainie, która dzisiaj jest Genrią. Najbardziej popularnym bogiem, a właściwie boginią tego miasta była... nie, nie wymówię jej imienia. Ludzie zbudowali dla niej świątynię. Sprawowała nad nimi władzę poprzez wymianę usług. Każda rodzina, która potrzebowała pomocy, musiała oddać do świątyni dziecko. To dziecko, płci męskiej

albo żeńskiej, uczono sztuki prostytucji i zmuszano do usługiwania tym, którzy przychodzili i wpłacali świątyni pieniądze. Nie musiało być nawet całkiem dojrzałe, by zacząć swoją służbę. Jeśli kiedyś próbowało opuścić świątynię, było ścigane i zabijane. Dzieci urodzone przez tamtejsze kobiety były ofiarowywane bogini.

Zainteresowanie w oczach obu słuchających zmieniło się w grozę.

- To było jeszcze przed Wojną Bogów? - upewnił się Reet.

- Tak. - Mirar milczał przez chwilę. - Chcecie wiedzieć więcej?

Obaj młodzi ludzie porozumieli się wzrokiem, a potem Tyve kiwnął głową. Mirar przyjrzał się ich posępnym, zdeterminowanym twarzom i mówił dalej.

- Ona nie była jedyną, która wykorzystywała swoich wyznawców. Inny bóg uwodził młode dziewczyny z całej Ithanii. Niektórzy rodzice bali się go i ukrywali swe córki, ale na próżno, ponieważ bogowie widzą umysły wszystkich ludzi, wszędzie. Inni nazbyt cenili boską przychylność i głupio marzyli o tym, by ich dziecko zostało wybrane. Bóg lubił niewinność i pragnął całkowitego oddania. Kiedy znalazł dziewczynę spełniającą te wymagania, dawał jej rozkosz za pomocą magii, tak że stawała się nieczuła na wszelkie fizyczne doznania. Ofiary przestawały jeść i zaniedbywały się. No cóż, niewinność umiera szybko i prędzej czy później dziewczyny sprzeciwiały się temu, co się z nimi działo, Wtedy bóg je porzucał. Nie żyły potem zbyt długo. Niektóre same się zabijały, inne głodziły się na śmierć, niektóre uzależniały się od wywarów rozkoszy. Leczyłem niektóre z tych dziewcząt, ale nie udało mi się ocalić ani jednej.

- Ty? - zdziwił się Tyve. - Przecież to też działo się chyba przed Wojną Bogów.

Mirar pokręcił głową.

- Przepraszam. Mówiłem jak ten, którego wspomnienia przywołałem.

Reet zmarszczył czoło.

- To dziwne.

- Co takiego?

- Bogowie... nie są istotami fizycznymi. Dlaczego któryś miałby pragnąć... - zaczerwienił się - ...dziewcząt?

- Jest wiele opowieści o bogach, którzy zakochują się albo pożądają śmiertelnych. Może i są istotami magicznymi, ale tęsknią za fizyczną bliskością. Była taka słynna opowieść o bogini. .. bardzo stara nawet tysiąc lat temu... która zakochała się w śmiertelniku i raziła śmiercią każdą kobietę, na którą spojrzał i którą zachwycił się choćby przelotnie. W końcu mężczyzna oszalał i popełnił samobójstwo.

- Jeśli więc odczuwają miłość, czy odczuwają też nienawiść? Mirar kiwnął głową.

- O tak. Nigdy pewnie nie słyszeliście o Velianach. To dlatego że jeden z bogów ich nienawidził. Nienawidził tak bardzo, że jego wyznawcy ich wymordowali, aż do ostatniego półkrwi dziecka. Zajęło to wieki, ale w końcu zniszczył tę rasę całkowicie.

Tyve zadrżał.

- Jeśli bogowie potrafią zniszczyć cały naród, nierozsądnie byłoby stać się ich nieprzyjacielem.

- Nie trzeba być ich nieprzyjacielem, żeby cierpieć wskutek ich działań. Dunwayczycy byli pokojowym narodem farmerów i rybaków, dopóki bóg wojny nie postanowił zmienić ich w wojowników. Nastąpiło stulecie głodu, ponieważ tylu z nich zajęło się walką, że nie miał kto uprawiać zbóż ani hodować bydła. Wiele tysięcy umarło.

- Ale przecież nie wszyscy bogowie są źli - zauważył Reet.

- Nie - zgodził się Mirar. - Niektórzy byli dobrzy. Na przykład Iria, bogini nieba. Można było ją wzywać, by przepowiadała następstwo pór roku, ostrzegała też chyba przed niekorzystną pogodą i nadchodzącymi katastrofami. Był bóg morza Svarlen, który pomagał żeglarzom w nawigacji i uprzedzał o sztormach. I Kem, bóg żebraków, którego wyznawcy opiekowali się bezdomnymi i każdym, kto opieki potrzebował. To naprawdę straszne, że ich utraciliśmy.

- Zginęli w wojnie. - Tyve zmarszczył czoło. - Kto ich zabił? Przez chwilę Mirar patrzył mu w oczy, nim odpowiedział.

- Kto to wie? Może zwycięzcy.

Twarz Tyve'a zmieniała się z wolna, kiedy pojmował, co to oznacza.

- Pięcioro... - szepnął. - Na pewno nie! Ci dobrzy bogowie musieli zginąć w wojnie wcześniej, zabici przez kogoś innego! Pięcioro musiało zabić ich zabójców!

- To możliwe - zgodził się Mirar. - Jest także możliwe, że jedno lub więcej z Pięciorga ich zabiło.

- Nie zrobiliby tego! - upierał się Siyee. - Są dobrzy! Gdyby byli źli, świat stałby się okropnym miejscem! A panuje pokój... przynajmniej w Ithanii Północnej.

- A więc jesteśmy bezpieczni. - Uśmiechnął się Mirar. - Ale pamiętajcie o jednym: dwoje z tych bogów, o których mówiłem, których występki opisałem, wciąż jeszcze jest z nami. Może się zmienili, ale wiedząc o nich to, co wiem, nigdy nie uwierzę, że mają w sercu tylko dobro śmiertelnych.

Obaj młodzi ludzie wyglądali na wzburzonych. Mirara ogarnęły wyrzuty sumienia.

Czy naprawdę powinienem niszczyć ich złudzenia na temat bogów? Jaki mają wybór?

Sięgnął po bukłak i wręczył go Tyvebwi.

- Napijcie się i zapomnijcie, co wam mówiłem. To wszystko daleka przeszłość. Jak zauważyłeś, żyjemy teraz w lepszych czasach. Tylko to się liczy.

19

Kiedy służące wyszły, Auraya zaczęła krążyć po pokoju. Za parę godzin będzie już w powietrzu, lecąc do Si. Zostało jej jeszcze kilka spraw do załatwienia, i będzie mogła wyruszyć.

Figiel szalał dookoła, zarażony jej podnieceniem. Miała nadzieję, że ten wybuch energii go zmęczy, dzięki czemu później będzie spokojniejszy. Kiedy czyjaś obecność musnęła jej zmysły, odruchowo spojrzała na veeza. Nie zareagował. O ile potrafiła to ocenić, był całkowicie nieświadom odwiedzin Chai.

Jesteś gotowa? zapytał Chaia.

: *Tak. Jestem na nogach od świtu i doprowadzam służbę do rozpaczy.*

: *Mało prawdopodobne. Niewiele ze sobą zabierasz, więc nie muszą prawie niczego pakować. Nawet nie ułożyły ci włosów.*

: *Nie ma sensu,* stwierdziła, dotykając klamry, która spinała jej włosy w ogon. *I tak się potargają na wietrze.*

: *Mogłabyś magicznie je osłaniać.*

: *Ale lubię czuć wiatr.*

: *Podobasz mi się, gdy masz ułożone włosy.*

Zarumieniła się lekko, słysząc ten komplement.

: *To tylko fizyczny szczegół. Nie możesz tego widzieć,* odparła.

: *Widzę przez oczy innych.*

: *Ach... I podoba ci się, ponieważ im się podoba, czy może...*

Kosmaty kształt wskoczył na stół. Odwróciła się na czas, by zobaczyć, jak veez chwyta w zęby okrągły przedmiot.

- Figiel! - zawołała, biegnąc do niego. - Zostaw to!

Veez położył uszy po sobie. Umknął jej z łatwością, zeskoczył na podłogę i zniknął za fotelem. Znalazła go siedzącego w wąskiej szczelinie między meblem a ścianą. Patrzył na nią wyzywająco.

- Mjj - powiedział, ściskając pierścień w zębach.

- Nie twoje - powiedziała stanowczo. - Oddaj.

- Nf tff - wymamrotał.

: *Mój!* nadał telepatycznie, rezygnując z prób mówienia z pierścieniem w pyszczku.

- Daj! - poleciła. - Już.

Zwierzak zamrugał tylko. Schyliła się i sięgnęła po niego... I tak, jak się spodziewała, przemknął za następny fotel.

Wyprostowała się i westchnęła. Takie próby sił od niedawna stały się jego brzydkim zwyczajem. Mairae twierdziła, że wszystkie veezy tak robią i w końcu nudzi im się taka zabawa, ale tymczasem zachowanie Figla stawało się niekiedy naprawdę irytujące. Auraya zwykle starała się je ignorować, ale dzisiaj nie miała czasu na te jego gierki.

Przebiegał wokół pokoju, unikając jej. Nie chciała używać na nim magii. Zawsze lepsza była perswazja.

- Daj Aurai pierścień, bo Figiel nie leci - ostrzegła. Chwila ciszy, a potem jakieś zduszone słowo. Nie wyszedł z kryjówki. Już kiedyś użyłam tej groźby, pomyślała z żalem.

- Auraya odejdzie - powiedziała. - Nie weźmie Figla. Zostawi Figla na bardzo długo.

Tym razem cisza trwała dłużej. Potem zabrzmiało skomlenie, które łamało jej serce, i veez wybiegł zza osłony. Przemknął przez pokój, wdrapał się po jej cyrkli i owinął wokół szyi.

Wyciągnęła rękę. Pierścień spadł na dłoń. Figiel położył głowę na jej ramieniu i westchnął.

- Ałaja zostań.

- Auraya i Figiel lecą - odparła.

- Leci już?

- Później.

Usiadła na fotelu. Figiel natychmiast zsunął się jej na kolana i zażądał, by go drapała. Spełniła jego życzenie, a drugą ręką uniosła pierścień do oczu. I nagle przypomniała sobie o Chai - wciąż wyczuwała jego obecność.

: *Przepraszam za to.*

Dotarła do niej fala rozbawienia.

: *Jestem przyzwyczajony do takich przerw,* odpowiedział.

Przyjrzała się pierścieniowi.

: *Co się dzieje ze starym pierścieniem?* spytała Chaię.

: *Nadal mają go pentadrianie. Nie całkiem rozumieją jego właściwości, inaczej już by go użyli przeciw tobie.*

Zadrżała na samą myśl. Straszne było samo obserwowanie, jak czarne ptaki strącają zwiadowcę Siyee w sam środek wrogów. I wyobrażała sobie, że mogłoby być jeszcze gorzej. Na przykład gdyby torturowali nosiciela. Nie musiałaby nawet na to patrzeć - wystarczyłaby wiedza, że dzieje się to z jej powodu.

: *Możesz zniszczyć ten pierścień?*

: *Tylko rękami kogoś innego. Ale jego moc z czasem będzie malała.*

: *Możesz to przyspieszyć...*

Przerwało jej pukanie do drzwi. Zajrzała do umysłu osoby za nimi i uśmiechnęła się. Użyła odrobiny magii, by otworzyć.

Wszedł Danjin.

- Dzień dobry, Aurayo z Białych - powitał ją, wykonując znak kręgu.

- Dzień dobry, Danjinie Spearze - odpowiedziała. - Wejdź i usiądź.

Podszedł do fotela. Figiel patrzył na doradcę, a jego wąsiki drgały. Po chwili jednak zwinął się w kłębek i zasnął.

- Odlatuję za parę godzin - poinformowała Danjina. - Ale przedtem muszę ci coś przekazać. Trzymaj.

Rzuciła mu pierścień, który złapał zręcznie. Przyjrzał mu się ze spokojną miną, ale w jego myślach wciąż odczytywała resztki obaw.

Nic nie poradzę, myślał, że mi się nie podoba, kiedy ktoś zagląda do mojej głowy, nawet jeśli to tylko Auraya. Ale na moim stanowisku to chyba konieczność...

Wsunął pierścień na palec.

- Osłoni twój umysł przed tkaczami, gdyby chcieli wtargnąć do twoich snów - powiedziała.

Spojrzał na nią.

- Dzięki temu będę mógł cię zastąpić przy pracy z nimi.

- Tak. - Auraya pomyślała o szpitalu i poczuła dręczący niepokój. - To nie będzie takie trudne, jak mógłbyś się obawiać. Tkacze snów i nasi uzdrowiciele znakomicie współpracują. Ale mam dla ciebie inne zadanie. Ambasadorzy Siyee poprosili, by ktoś ich nauczył naszej mowy, więc potrzebujemy ludzi, którzy znają ich język. Chciałbyś być jednym z tych ludzi?

Uśmiechnął się.

- Oczywiście. W tych tygodniach przed bitwą udało mi się złapać kilka słów.

- Mairae dla nich tłumaczy - wyjaśniła. - I zajmuje jej to mnóstwo czasu. Jeśli szybko się nauczysz, staniesz się jej ulubieńcem w Jarime.

- Uważam się za ostrzeżonego. Auraya wybuchnęła śmiechem.

- Ale nie licz na zbyt wiele.

- Ja? Pod względem urody nawet nie zbliżam się do wymagań Mairae. Zresztą żona by mnie zabiła.

- To na pewno. Co u niej słychać?

- Wszystko dobrze. - Uśmiechnął się szerzej. - Wiesz, życie jest wtedy dobre, gdy nie może się stać tematem porywającej opowieści. Nauczyłem się to doceniać.

- Mam nadzieję, że takie już zostanie. A teraz... Czy sądzisz, że powinnam coś jeszcze załatwić przed odlotem? To znaczy coś, co da się zrobić w ciągu godziny?

Danjin zamyślił się. Odruchowo obracał pierścień na palcu. Aurayę dręczyło lekkie poczucie winy. Nie zdradziła mu całej prawdy. Pierścień ukryje jego umysł przed wszystkimi prócz Aurai, chociaż nie całkiem to planowali. Nie powinien osłaniać jego myśli przed innymi Białymi - a robił to. Biali i łagodni opiekunowie drzew nigdy wcześniej nie próbowali stworzyć takiego pierścienia i kiedy odkryli błąd, było już za późno, by wyhodować następny. Zapadła decyzja, by Auraya wyruszyła do Si, a pierścień był jej potrzebny natychmiast.

Juran nakazał jej zachować tę skazę w tajemnicy przed Danjinem. Ale i tak może ją odkryć, myślała. W pewnych okolicznościach może zauważyć, że Biali nie potrafią odczytywać jego myśli.

: *Wątpię, czy zechce to wykorzystywać,* odezwał się Chaia. *Można mu zaufać.*

: *Tak.*

: *Mimo to pierścień powinien być zniszczony zaraz po twoim powrocie.*

Stłumiła westchnienie. Znowu, niezależnie od pogody czy pilnych zajęć, będzie musiała codziennie odwiedzać gaj, by doglądać wzrostu nowego pierścienia łączącego.

- Jedyna sprawa, którą musimy rozstrzygnąć, to Figiel - stwierdził nagle Danjin. Spojrzał na śpiącego veeza. - Czy chcesz, żebym odwiedzał go codziennie, tak jak ostatnim razem?

Uśmiechnęła się i pokręciła głową.

- Leci ze mną.

- Naprawdę? To będzie prawdziwa radość dla Siyee. - Jego głos wręcz ociekał ironią.

- I dla niego. - Zdjęła Figla z kolan, ułożyła go na fotelu i wstała. - Dziękuję ci za pomoc w tych ostatnich dniach, Danjinie. Gdyby pojawiło się coś jeszcze, odezwij się do mnie przez pierścień.

- Na pewno - obiecał. - Życzę ci bezpiecznej podróży. I uważaj na siebie w Si.

Otworzyła drzwi.

- Oczywiście.

Uśmiechnął się na pożegnanie i wyszedł. Auraya zamknęła drzwi, odwróciła się i rozejrzała po pokoju. Nie wiedziała, ile czasu minie, zanim tu wróci. Przynajmniej tym razem nie będzie się martwiła, że Figiel tęskni w samotności albo że dręczy Danjina.

Popatrzył na nią, strosząc wąsiki.

: *Leci?*

- Tak, Figiel - odpowiedziała. - Przed nami długa droga i lepiej wyruszyć od razu.

Kiedy tylko Reivan miała okazję, badała jakąś część Sanktuarium, której jeszcze nie znała. Liczyła na to, że w końcu pozna wszystkie zakątki i przejścia. Dziś rano była z tego szczerze zadowolona. Szybka trasa między łaźniami i Gwiaździstą Komnatą najwyraźniej nie była priorytetem dla tych, którzy planowali rozkład budynków Sanktuarium. Miała do wyboru dwie możliwości: długą, ale mniej krętą drogę wzdłuż kwater Sług i potem z powrotem do góry przez Środkowe Sanktuarium, albo kręty szlak przez składy, kuchnie, małą bibliotekę i coś, co pachniało jak garbarnia.

Dlaczego miała się zjawić w Gwiaździstej Komnacie, pozostawało tajemnicą. Posłaniec niczego nie tłumaczył. Prawdopodobnie miał się odbyć kolejny rytuał i Imenja chciała, by w nim uczestniczyła.

Kiedy zbliżała się do celu, czuła mrowienie w żołądku. Wprawdzie wielokrotnie już była w Gwiaździstej Komnacie, ale za każdym razem, kiedy tu wchodziła, dreszcz przebiegał jej po plecach. Skręciła za róg, zobaczyła przed sobą wąskie drzwi do komnaty i przystanęła, by trzy razy głęboko odetchnąć. Wyprostowała się, przygładziła szatę i weszła.

Pośrodku wykreślonej na podłodze gwiazdy stał znajomy, przystojny mężczyzna. Serce Reivan zabiło mocniej, kiedy Nekaun spojrzał na nią z uśmiechem. Wskazał jej grupę Sług - - nowicjuszy, więc podeszła do nich, rozglądając się dyskretnie. Pod ścianami stali Słudzy i Oddani Słudzy. Ogarnęła ją ulga, gdy zobaczyła wśród nich Imenję.

Ale ulga ulotniła się bez śladu, gdy Nekaun zaczął mówić.

- W dniu dzisiejszym ośmioro mężczyzn i kobiet ma być wyświęconych na Sługi Bogów. Jako Słudzy - nowicjusze pracowali ciężko i każde z nich zyskało prawo, by służyć bogom na miarę swych możliwości. Przystąpili do wymaganych testów i usatysfakcjonowali swoich nauczycieli. Dzisiaj złożą śluby, które składaliśmy wszyscy. Od dzisiaj będą na sercach nosić symbol bogów. Dzisiaj przyłączą się do nas jako bracia i siostry.

Zwrócił się do grupy nowicjuszy i wymienił imię. Wystąpił młody mężczyzna. Reivan zdała sobie sprawę, że ma otwarte usta, i zamknęła je szybko. Zdumiona wytrzeszczała oczy na Nekauna. Żołądek groził przewróceniem się dołem do góry.

Mianują mnie pełną Sługą!

Ale trzeba długiego czasu, by zostać pełnym Sługą. Przyjrzała się nowicjuszom wokół siebie - wszyscy mieli po dwadzieścia kilka lat. Byli jej bliżsi wiekiem niż kandydaci, którzy rozpoczynali naukę wraz z nią. Tamci mieli zwykle po kilkanaście, poniżej dwudziestu lat.

Powodem jest magia, pomyślała. A raczej jej brak u mnie. Drewie chyba kończą się

tematy, których mogłaby mnie uczyć. Domyślam się, że te lata szkolenia to głównie doskonalenie Talentów.

- Sługa - nowicjuszka Reivan.

Serce zatrzymało się jej na moment. Uniosła głowę i zobaczyła, że Nekaun wzywa ją gestem. Odetchnęła głęboko i przeszła do środka gwiazdy.

- Byłaś nowicjuszką zaledwie kilka krótkich miesięcy - rzekł. - Jednak ze swoją wiedzą o historii i prawach pentadrian jesteś wzorem do naśladowania. Uznaliśmy, że jesteś gotowa, by w pełni przyjąć na siebie odpowiedzialność Sługi Bogów.

Dlaczego Imenja mnie nie ostrzegła, że planują coś takiego?

Zerknęła na Drugi Głos i zauważyła, że wargi kobiety wyginają się w lekkim uśmiechu.

- Sługo - nowicjuszko Reivan - powtórzył Nekaun - czy pragniesz poświęcić swe życie służbie bogom?

Spojrzała mu w oczy.

- Z całego serca.

- Czy pragniesz wszystko poświecić dla Pięciorga?

- Tak, pragnę.

- Czy wyrzekniesz się dla nich miłości, majątku i nawet życia?

- Wyrzeknę się.

- A więc przyjmij ten symbol ich potęgi i jedności. Noś go zawsze, gdyż jest ogniwem łączącym cię z bogami i ich Sługami.

Otworzył dłoń, ukazując srebrną pięcioramienną gwiazdę. Łańcuch, przeciągnięty przez jedno z ramion gwiazdy, zwisał mu teraz między palcami.

Reivan wzięła od niego naszyjnik. Okazał się lżejszy, niż się spodziewała. Chwyciła łańcuch i przełożyła sobie przez głowę.

- Moje oczy, mój głos, moje serce i moją duszę oddaję Pięciorgu - powiedziała.

- Obyś służyła im radośnie i szczerze - dokończył Nekaun.

Młody człowiek, który przed nią składał ślubowanie, stał teraz po drugiej stronie gwiazdy narysowanej na podłodze. Reivan dołączyła do niego. Patrząc, jak przed Nekaunem staje następny Sługa - nowicjusz, poczuła nagle coś dziwnego - coś łaskotało ją w czoło. Otarła je, ale wrażenie pochodziło jakby z wnętrza głowy. Zamknęła oczy, skoncentrowała się na nim... i od razu stało się czymś, co rozumiała.

: *Witaj, Reivan.*

Otworzyła oczy, odwróciła głowę i spojrzała na Imenję. Słowa pochodziły od

Drugiego Głosu, ale wiedziała, że nie dotarły do niej przez uszy. Imenja uśmiechnęła się.

: *Tak, możemy teraz rozmawiać w twoim umyśle.*

Wargi Imenji nie poruszyły się.

: *I ja... ja też mogę do ciebie mówić?*

: *Tak.*

: *Więc tak wygląda używanie magii?*

Imenja uśmiechnęła się szerzej.

: *I tak, i nie. Nikt nie jest całkowicie pozbawiony Talentów, Reivan. Aby wisior zadziałał, potrzeba pewnych zdolności magicznych z twojej strony. Każdy ma jakieś, nawet ci, których uznajemy za nieutalentowanych. Nie ściągasz teraz świadomie magii, by wykonać tę czynność. Nie musiałaś ćwiczyć Talentu, by to robić, więc w tym sensie to nie przypomina typowego użycia magii.*

Reivan kiwnęła głową.

: *Mogłaś mnie uprzedzić.*

: O *tej ceremonii? Wtedy spędziłabyś bezsenną noc. A po południu jesteś mi potrzebna wypoczęta i uważna.*

: *Tak? A jakie masz plany?*

: *Och, po prostu kolejne nudne spotkanie z murrańskim dyplomatą.*

Ostatnia Sługa - nowicjuszka odebrała swój wisior. Przeszła do grupy wokół Reivan, a Nekaun znowu przemówił, witając nowe Sługi. Kiedy skończył, stojący pod ścianami podeszli, by im pogratulować. Wprawdzie wszyscy nauczyciele Reivan życzyli jej sukcesów, zauważyła jednak, że w ich słowach nie ma tego ciepła, które okazywali pozostałym.

Po prostu nie miałam czasu, żeby ich do siebie przekonać, pomyślała. Nawet jeśli nie są mi niechętni, to jednak nie zostaliśmy przyjaciółmi.

A potem zbliżyła się Imenja i Reivan z rozbawieniem zauważyła zmianę w ich zachowaniu. Niektórzy zamilkli, inni stali się wylewni. Drugi Głos podziękowała im wszystkim za ciężką pracę, jaką włożyli w nauczanie Sług - nowicjuszy.

Dlaczego ja nie obawiam się Imenji? zastanowiła się.

: *Ponieważ nadskakiwanie nie leży w twojej naturze,* odezwała się w jej umyśle Imenja. *Jesteś za mądra na takie bzdury.*

: *Gdyby wszyscy byli tacy sami, nie znalazłabyś nikogo, kto by wykonywał twoje polecenia.*

: *Nie? Więc dlaczego tyje wykonujesz?*

: *Sarna nie wiem. Jesteś Głosem. Jesteś mądra i no... rozsądna. Spaliłabyś mnie na*

popiół za nieposłuszeństwo?

Imenja parsknęła śmiechem, zdumiewając inne Sługi. Powiedziała, że potrzebuje pomocy Reivan, i udało jej się zręcznie wyciągnąć ją z tłumu. Kiedy wyszły z Gwiaździstej Komnaty, zaśmiała się znowu.

- Myślę, że wypełniasz moje polecenia, ponieważ spośród znanych ci osób jestem najbliższa bogom - powiedziała cicho. - A bogowie cię pociągają nie tylko dlatego, że pragniesz im służyć, ale ponieważ jesteś... byłaś... Myślicielką. Zagadki cię fascynują.

Reivan przytaknęła.

- To chyba dobrze, że nie mogę rozwiązać tej zagadki, bo mogłabym się znudzić i poszukać sobie czegoś innego do zastanawiania.

Imenja uniosła brwi.

- Rzeczywiście. - Ale i tak bym...

Reivan urwała. Coś drgnęło na samej granicy umysłu, przyciągając jej uwagę. Zastanawiała się już, czy sobie tego nie wyobraziła, gdy przekształciło się w wyraźne poczucie czyjejś obecności. Obecności, której nie rozpoznała.

: *Witaj, Sługo Reivan.*

A w chwilę później uczucie zniknęło.

- Co... co to było?

Rozejrzała się po pokoju, a potem zwróciła do Imenji. Drugi Głos wpatrywała się w nią ze zdumieniem. A zdumienie nie było czymś, co często oglądała na twarzy Imenji.

- Wydaje mi się, że Sheyr właśnie okazał aprobatę dla twojego wyniesienia na Sługę - stwierdziła Drugi Głos.

Sheyr? Jeden z bogów do mnie przemówił?

Korytarz zdawał się przechylać... a potem wyprostował gwałtownie. Reivan patrzyła niepewnie na Imenję. Była oszołomiona.

Co to mogło znaczyć?

Imenja uśmiechnęła się do niej.

- Mam wrażenie, że przy takiej okazji nie zaszkodzi nam niewielki toast. Znajdziemy domowego i poślemy go po butelkę jamyi.

- Jamya? Myślałam, że podaje się ją tylko podczas ceremonii!

- A czasami po ceremoniach. - Z jedną dłonią wciąż na ramieniu Reivan, Imenja skierowała ją w stronę Górnego Sanktuarium.

20

Od dłuższego czasu Imi wyczuwała, że coś się zmieniło. Statek nie kołysał się już tak mocno, a ona wybrała z ładowni prawie całą wodę, oprócz płytkiej kałuży. Stłumione krzyki piratów brzmiały inaczej. Wyczuwała w nich niecierpliwość.

Rozmyślanie i nasłuchiwanie pozwalało jej zapomnieć o bólu ramion i barków. A jednak bała się tego, co niosła ta zmiana. Zamiast równego upływu godzin, wywołanego znudzeniem i zmęczeniem, strach i niepokój sprawiały, że czas mijał nieznośnie wolno.

Nagle statek szarpnął tak gwałtownie, że Imi upuściła wiadro i upadła. Morska woda była ciepła, ale przyjemna. Dziewczyna zamknęła oczy i poddała się zmęczeniu.

Musiała zasnąć. Kiedy znów się obudziła, z ładowni zniknęły stosy skrzyń i wielkie gliniane dzbany. W górze słyszała szybkie kroki i wykrzykiwane rozkazy. Z czasem dźwięki ucichły, a plama nieba, którą widziała z dołu, zmieniła się z niebieskiej w pomarańczową, a potem czarną. Tak spokojnie nie było tu od tygodni. Czuła, że znowu odpływa w sen...

...i ocknęła się nagle, gdy światło zalało ładownię. Wstała z trudem, chwyciła wiadro i schyliła się, by je napełnić. Pojawiła się para nóg, schodząca po drabinie. W ustach jej zaschło, kiedy zobaczyła, że to człowiek, który dowodzi piratami. Ładownia była pusta, została tylko ona. Czego chciał?

Kiedy dotarł na sam dół, odsunął się od drabiny. Popatrzył na nią, a potem w górę - schodziła stamtąd kolejna para nóg. Były okryte tkaniną czarną jak tusz morskiego ruraka i należały do ziemiochodzącego, którego jeszcze nigdy nie widziała. Kiedy obcy zszedł z drabiny na nierówną podłogę, z trudem łapał równowagę, wyraźnie nieprzyzwyczajony do nawet łagodnego kołysania statku.

Spojrzał na nią i szeroko otworzył oczy ze zdziwienia. Potem uśmiechnął się do pirata. Zaczęli rozmawiać, idąc w jej stronę.

Zatrzymali się o kilka kroków od niej. Odwróciła wzrok, zaniepokojona tym, jak obcy się jej przygląda. Jego spojrzenie przesuwało się od jej głowy do stóp i z powrotem. Rozmowa stała się bardziej ożywiona. I nagle obaj podali sobie ręce, ściskając dłońmi przeguby. Po czym odwrócili się i odeszli.

Kiedy zniknęli na pokładzie, Imi wypuściła wiadro. Westchnęła i osunęła się do kałuży.

Po chwili znów usłyszała kroki na drabinie i tym razem zeszło dwóch piratów. Podeszli do niej. Podniosła się na nogi, a serce biło jej szybko, kiedy nad nią stanęli. Jeden

trzymał kłąb szorstkiej tkaniny.

Drugi chwycił ją za ramię i szarpnął do przodu. Kiedy pierwszy rozwinął tkaninę, zrozumiała, że to worek i że chcą ją tam wsadzić.

Próbowała się wyrwać, ale mężczyzna miał wielkie i silne dłonie, a ona była za słaba. Zakręciło jej się w głowie i straciła równowagę. Worek opadł jej na głowę, silne ręce ją przytrzymały, a inne ściągnęły go do kostek. Potem ktoś podniósł ją do góry i poczuła, że zawiązują worek pod jej stopami.

Nieśli ją we dwóch. Nie miała już sił, żeby walczyć.

Gdzie mnie zabierają? A czy to ważne? W jakieś inne miejsce niż tutaj. Może lepsze. W każdym razie nie może być o wiele gorsze.

Krew napłynęła jej do głowy, kiedy odwrócili ją nogami w górę, pewnie po to żeby wynieść na pokład. Przez materiał worka dotarło do niej chłodniejsze powietrze. Słyszała, że kroki po drewnie zmieniają się w kroki po jakiejś twardszej powierzchni.

Potem dotarł do niej gwar wielu, bardzo wielu głosów, coraz mocniejszych, aż w końcu otaczały ją ze wszystkich stron.

Następnie pojawił się stęchły odór. Zrzucili ją na twardą powierzchnię i zamknęły się drzwi, tłumiąc głosy. Ktoś blisko powiedział coś oschle, ktoś inny wymamrotał odpowiedź, a potem kroki się oddaliły.

Głos warknął jakieś słowo. Powierzchnia, na której leżała, szarpnęła nagle, a Imi wyczuła ruch. Cokolwiek to było, kołysało się łagodnie, bardzo łagodnie w porównaniu z huśtaniem statku. Imi odpłynęła w stan otępienia, za bardzo wyczerpana, żeby zwracać uwagę na dziwne dźwięki dookoła. Te liczne głosy mogły jedynie oznaczać, że znalazła się wśród bardzo wielu ziemiochodzących. Powinna być przerażona, ale nie miała już siły na strach.

Głosy cichły z wolna. Przez dłuższy czas w pobliżu słyszała tylko rytmiczne kroki. Ocknęła się na odgłos otwieranych i zamykanych wrót. Poczuła, jak ręce podnoszą ją, a potem opuszczają z powrotem na ziemię.

Zapadła cisza. Niejasno zdawała sobie sprawę, że coś się dzieje przy jej stopach. Materiał wokół niej się zacisnął, coś ją uniosło, a potem pisnęła ze zdziwienia, kiedy wysunęła się z worka.

Wpadła do chłodnej, przyjemnej wody, dzięki której wróciła do przytomności. Wypłynęła na powierzchnię i zbadała wzrokiem otoczenie.

Znajdowała się w okrągłej sadzawce pośrodku kulistej sali nakrytej kopułą. Na środku basenu stała dziwna, nieduża rzeźba kobiety z rybim ogonem zamiast nóg. Jak ziemiochodzącym, włosy wyrastały jej z głowy.

Kobieta - ryba... Czy ich zdaniem tak wyglądają Elai?

Prychnęła z niesmakiem.

Człowiek, którego dowódca piratów przyprowadził do ładowni, stał teraz uśmiechnięty w pobliżu. Uniósł ręce i wskazał gestem pomieszczenie. Nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

Obserwował ją przez chwilę, a potem wycofał się przez łukowo sklepione przejście. Sięgnął w bok, chwycił wrota z metalowych prętów i zatrzasnął je. Wreszcie odszedł, cały czas uśmiechnięty.

Imi odczekała, aż jego kroki całkiem ucichną, po czym podciągnęła się na brzeg sadzawki i wyszła z wody. Nie było to łatwe - poziom wody znajdował się o długość ramienia poniżej podłogi, a ona była już bardzo zmęczona. Wysiłek wyczerpał ją i przez długi czas leżała zdyszana na posadzce, czekając, aż miną zawroty głowy.

W końcu wstała chwiejnie, powlokła się do metalowych wrót, chwyciła je i pchnęła. Nie poruszyły się. Zbadała rygiel... Na miejscu przytrzymywał go rodzaj metalowego zamka. Za wrotami panowała ciemność.

Oczywiście, pomyślała. Osunęła się na kolana i odwróciła, by spojrzeć na sadzawkę i tę bezsensowną rzeźbę. To jest teraz moje więzienie. Jestem dekoracją, jak ta statua. Ten patrzący człowiek będzie tu pewnie ciągle przychodził i gapił się na mnie.

Poczołgała się do krawędzi sadzawki. Nie było w niej płytkiego miejsca, gdzie mogłaby się położyć. Będzie musiała budzić się co parę godzin i zwilżać skórę albo ryzykować, że wyschnie i...

Sięgnęła ręką i nabrała trochę wody w zwiniętą dłoń. Uniosła ją do ust i napiła się trochę.

Słodka, pomyślała. Ciekawe, ile potrwa, zanim zacznę chorować.

Pokręciła głową.

Jestem za bardzo zmęczona, żeby się nad tym zastanawiać. I położywszy się na chłodnej kamiennej posadzce, zasnęła głębokim snem.

Kiedy pracująca Emerahl unosiła głowę, drobny deszcz przesłaniał jej widok. Paskudny dzień, pomyślała. Ale kapitan jest zadowolony - mieliśmy niezły połów.

Za prawą burtą wyrastała ściana toreńskiego klifu. Byli o wiele dalej od brzegu, kiedy wczoraj mijali latarnię. Spoglądając na odległą białą wieżę, Emerahl spodziewała się uczucia żalu. Tak długo żyła w tej zapomnianej ruinie... Ale czuła tylko niechęć.

Tyle lat w odosobnieniu, mając za sąsiadów jedynie prymitywnych przemytników... Sama nie wiem, jak udało mi się nie umrzeć z nudów. Dobrze znaleźć się znowu wśród

porządnych, ciężko pracujących ludzi...

Już miała wrócić do czyszczenia ryb, kiedy zauważyła jakieś światła i znowu przyjrzała się klifom. Gdy minęli wystającą w morze skałę, pojawiło się więcej świateł. To był ich cel - Yaril.

Tam właśnie - tak jej przynajmniej mówiono - żył młody człowiek, którego ledwie sześć miesięcy temu Mewa ocalił przed utonięciem. Do tej pory słyszała już wiele historii o tajemniczym morskim chłopcu. Każdy, kto żył na wybrzeżu, znał kogoś, kto mógł opowiedzieć o spotkaniu z Mewą. Te same historie powtarzano w każdym miasteczku. Być może nikt naprawdę nie spotkał ich bohaterów, a opowiadający chwalili się tylko znajomością, aby ich opowieści były ciekawsze. Z drugiej strony miasteczka były maleńkie i całkiem możliwe, że wszyscy tu znali wszystkich, choćby przelotnie.

Zabawnie też było wyobrażać ich sobie połączonych tymi historiami.

Yaril był już dobrze widoczny. Dla rybaków stanowił po prostu wygodne miejsce, by sprzedać połów... Znowu zajęła się patroszeniem. Kapitan zgodził się zabrać ją tutaj, jeśli okaże się przydatna. Nie bała się ciężkiej pracy. Dzięki temu miała czym zająć ręce, kiedy rozmyślała nad tym, czego się dowiedziała.

Gdy łódź zbliżyła się do portu, rybacy pozostawili Emerahl przy pracy, a sami zajęli się nawigacją po płytkiej zatoce. Szybko wypatroszyła ostatnie ryby, po czym wstała i zebrała swój bagaż. Jej ubrania pachniały rybami, a skóra była lepka od potu i słonej wody. Jak tylko zejdzie na ląd, wynajmie pokój, wykąpie się i wypierze rzeczy.

Łódź przybiła do krótkiego pomostu. Kiedy tylko znaleźli się dostatecznie blisko, Emerahl zeskoczyła. Obejrzała się jeszcze i z wdzięcznością skinęła kapitanowi głową, po czym ruszyła do Yarilu.

Inaczej niż większość miasteczek na toreńskim wybrzeżu, Yaril nie leżał na szczycie klifu. Za skalnym występem wąska rzeka podmyła pionowe urwisko i teraz było tam strome, nierówne zbocze. Domki z kamieni, pochodzących z tego właśnie urwiska, stały na nim aż do samych brzegów spadającej w dół rzeki.

Miasteczko nie miało ulic, jedynie schody prowadzące w dół i w górę oraz wąskie ścieżki w poprzek zbocza. Emerahl przystanęła i uśmiechnęła się do schodzącego mężczyzny, który przyglądał jej się z nieskrywaną ciekawością.

- Dzień dobry. Czy wędrowiec znajdzie tu jakiś nocleg? Kiwnął głową.

- Wdowa Laylin wynajmuje pokoje. Numer trzeci, trzeci poziom, czyli następny w górę. Po prawej stronie.

- Dziękuję.

Wspięła się kawałek schodami, po czym skręciła w jeden z wąskich chodników. Zatrzymała się przy domu z wyrzeźbionym na drzwiach wielkim numerem trzy i zapukała. Otworzyła jej potężna kobieta w średnim wieku, która zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów.

- Słyszałam, że masz pokój do wynajęcia - powiedziała Emerahl. - To aktualne?

Oczy kobiety błysnęły.

- Tak, wejdź, pokażę ci. Jak się nazywasz?

- Limma. Limma Curer.

- Curer... Widzę, że nie tylko z nazwiska, ale i z zawodu jesteś lekarką.

- To prawda.

Kobieta zaprowadziła ją do długiego, wąskiego pokoju z widokiem na zatokę. Był skromnie urządzony, ale czysty. Emerahl stargowała cenę do rozsądnej wysokości i zaraz poprosiła o wodę do mycia.

Kobieta posłała córkę po wodę, a sama spojrzała badawczo na gościa.

- No więc... Co cię sprowadza do Yarilu? Emerahl uśmiechnęła się.

- Szukam młodego człowieka imieniem Gherid.

- Gherid? Mamy tu jednego Gherida. Łowił razem z ojcem, aż wszyscy na łodzi oprócz niego potonęli. Teraz pracuje dla kamieniarza. To ten?

- Chyba ten.

- A czego chcesz od niego?

- Słyszałam, że opowiada ciekawą historię. Kobieta parsknęła śmiechem i pokręciła głową.

- Kiedyś tak. Ale miał dość tego, że ludzie wyszukują w niej luki, i teraz nie chce powiedzieć ani słowa.

- Nie?

- Ani jednego słówka. Ani za pieniądze, ani za przysługi. - Och...

Emerahl rozejrzała się po pokoju, jakby się zastanawiała, co tutaj robi.

- Przybyłaś z daleka - próbowała łagodzić kobieta. - Zobaczymy. Może uda ci się coś z niego wyciągnąć. Zaprowadzę cię do niego, kiedy skończysz kąpiel.

Wyszła, a po chwili zjawiła się dziewczyna z dzbanem wody i dużą miską. Emerahl umyła się starannie i przebrała w zapasowe ubranie. Potem wyprała to używane i wysuszyła je, ściągając magię, by ogrzewać i przedmuchiwać powietrze.

Kiedy ubranie było suche, Emerahl zawiesiła je na krześle, przywiązała do pasa swój zestaw sakiewek, okryła się taulem i wyszła.

Sąsiedni pokój był tak samo wąski jak jej, ale jeszcze dłuższy. Podzielono go parawanami na części, a w ostatniej odkryła kuchnię. Tam znalazła wdowę.

- Gotowa? - spytała kobieta. Emerahl kiwnęła głową.

- No to chodźmy. Będzie pewnie u kamieniarza. Wyszły na zimne powietrze. Budynki, wszystkie wzniesione z takich samych czarnych kamieni, zdawały się kulić na zboczu, jakby w obawie, że mogą się zsunąć do morza. Nadawało to miasteczku złowróżbny, niepokojący wygląd, a jednak wszyscy ludzie, których spotkały po drodze, uśmiechali się i pozdrawiali je uprzejmie.

Schody były coraz bardziej strome, w miarę jak zbliżały się do szczytu klifu. Trzy razy wdowa Laylin musiała się zatrzymać, by złapać oddech.

- Nie zgadłabyś, że tu mieszkam, co? - rzuciła po trzecim odpoczynku. - Ale ty radzisz sobie całkiem dobrze.

- Wędrówki dodają sił - uśmiechnęła się Emerahl.

- Na pewno. No, wreszcie jesteśmy. Mieszkają właściwie na szczycie, bo łatwiej przenosić ich towary na dół, niż wciągać je z powrotem na górę.

Zamiast drogi było tam podwórze pełne rozrzuconych kamieni. Emerahl przeszła za kobietą do miejsca, gdzie dwóch siwowłosych mężczyzn obrabiało blok skały.

- Megrinie - odezwała się wdowa.

Jeden z nich obejrzał się. Wydawał się zdziwiony jej widokiem.

- Witaj, wdowo Laylin - powiedział. - Nieczęsto cię tutaj widujemy. Chcesz coś u nas zamówić?

- Nie, ale mój gość chce pogawędzić z Gheridem o Mewie.

Mężczyzna spojrzał na Emerahl i wyprostował się. Uśmiechnęła się, wyczuwając, że mu się podoba. Drugi mężczyzna także odwrócił ku nim twarz, która wydawała się zaskakująco młoda, choć wykrzywiona grymasem niechęci. Emerahl przyjrzała mu się uważniej i musiała hamować śmiech. Jego włosy były siwe, ale od kamiennego pyłu; on sam miał ledwie tyle lat, żeby można go nazwać mężczyzną.

- To jest Limma - mówiła dalej wdowa. - Jest lekarką. Megrin obejrzał się na młodego człowieka, który zmarszczył czoło jeszcze mocniej.

- Dlaczego chcesz rozmawiać o Mewie właśnie ze mną? - zapytał.

Emerahl spokojnie patrzyła mu w oczy.

- Słyszałam, że go spotkałeś. - I co?

- Chciałabym poznać tę historię.

- No dalej, Gherid - zachęciła go wdowa. - Nie bądź niegrzeczny dla gościa.

Młody człowiek przyjrzał się kobiecie, a potem zerknął na kamieniarza. Starszy mężczyzna kiwnął głową. Gherid westchnął i z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Chodź ze mną... Limma, tak? - Tak.

Wróciła za nim do schodów, gdzie skręcili w górę. Idąc, roztaczał aurę intensywnych emocji - połączenie strachu i poczucia winy. Pochwyciła strzępy jego myśli.

...Nie mogę jej zabić! Ale muszę, jeśli...

Zaalarmowana, wahała się przez chwilę, po czym ściągnęła magię i utworzyła wokół siebie tarczę. Dlaczego myśli, że będzie musiał ją zabić? Czy obawia się, że spróbuje go jakoś skrzywdzić? Albo coś mu odebrać? Chyba nie podejrzewa, że zamierzam go zmusić do zdradzenia jakichś informacji, których nie chce zdradzać?

Jestem lekarką, myślała. Czarownicą. Jedno i drugie oznacza, że być może potrafię zmusić go do mówienia - albo poprzez odpowiednie leki, albo przez tortury. Tak czy tak, wyraźnie ma się o co obawiać.

Dotarli na szczyt klifu. Gherid bez słowa ruszył wzdłuż krawędzi. Emerahl obserwowała go uważnie. Wyczuwała, że stara się jakoś zabezpieczyć. Kiedy się zatrzymali, zdała sobie sprawę, że wyszli poza granicę miasteczka i stali teraz nad przepaścią.

Czy planuje mnie zepchnąć?

- No więc co chcesz wiedzieć? - zapytał. Spojrzała mu w oczy.

- To prawda, że spotkałeś Mewę?

- Tak - odparł. - Wszyscy to wiedzą.

Wyczuła, że mówi szczerze, i ogarnęło ją współczucie.

- Nikt ci nie wierzy, co?

- A ty wierzysz? Kiwnęła głową.

- Ale nie dlatego nie chcesz już opowiadać tej historii, zgadza się?

Patrzył na nią, a lęk i poczucie winy rosły. Żadne przekonywania nie zdołają go uspokoić. Postanowiła uderzyć na ślepo.

- Złożyłeś obietnicę - stwierdziła. - Złamałeś ją? Zaczerwienił się. Zaczęła się domyślać, jak to wyglądało.

Ocalony przez mityczną istotę, musiał tłumaczyć, jak to się stało. Opowiadał taką część historii, o jakiej wiedział, że może ją bezpiecznie wyjawić... Aż pewnego dnia wymknął mu się jakiś szczegół, który powinien zostać tajemnicą.

- Dlaczego chcesz wiedzieć? Zmarszczyła brwi, jakby zmartwiona.

- Nie chcę wiedzieć. Muszę wiedzieć. Sekrety Mewy muszą być bezpieczne.

Szeroko otworzył oczy i zbladł.

- Myślałem, że ty... Nie zrozumieli, co im mówiłem. Na pewno nie zrozumieli.

- A co mówiłeś?

- Ja... Powiedziałem im o Stogu. Dosypali mi coś do picia. - Spojrzał na nią błagalnie. - Nie chciałem tego. Nie zdradziłem im, gdzie to jest. Nie sądzisz chyba, że potrafią go znaleźć sami?

Westchnęła.

- Nie wiem. Nie wiem, gdzie jest Stóg. Każdy z nas dostaje do strzeżenia inną tajemnicę, a ta była twoja. Ostrzegłeś go?

Popatrzył zdumiony.

- Jak?

Zamrugała, jakby zaskoczona.

- Nie masz żadnego sposobu, żeby się z nim skontaktować?

- Nie... Ale myślę, że gdybym wrócił... Tylko że to bardzo daleko, a ja nie mam łodzi.

- Ja też nie, ale mogę kupić. - Potrząsnęła głową i odwróciła się w stronę morza, udając, że się zastanawia. - Lepiej powiedz mi wszystko, Gherid. Jestem daleko od domu i moja metoda na skontaktowanie się z nim tutaj nie działa. Musimy przesłać Mewie ostrzeżenie. Być może jedynym sposobem, by to zrobić, jest ten, że popłynę do Stogu i zostawię wiadomość od ciebie.

Fala wdzięczności, jaka się z niego wylała, wzbudziła w niej wyrzuty sumienia. Manipulowała przecież tym biednym chłopakiem.

Ale przecież nie mam złych zamiarów, tłumaczyła sobie. Chcę znaleźć Mewę, więc możemy wzajemnie sobie pomóc.

Podszedł do głazu i usiadł ciężko.

- To długa historia. Lepiej usiądź. Żeglowałaś kiedyś łodzią?

- Wiele razy - uśmiechnęła się Emerahl. - Bardzo wiele.

21

Devlem wsunął do ust ostatni plaster owocu, a potem zlizał z palców słodki sok. Jeden z trzech stojących w pobliżu służących podsunął mu złotą tacę. Devlem wziął z niej złożoną wilgotną ściereczkę, wytarł ręce i rzucił ją z powrotem na tacę.

Odgłos biegnących stóp odbił się echem na dziedzińcu. Służący zbliżył się do stołu Devlema i skłonił się nisko.

- Przybył transport.

Spóźniony tylko dwa dni, pomyślał Devlem. Jeśli pogrożę trochę farbiarzom, to może uda mi się dotrzeć na rynek przed Arlemem, ale tylko jeśli towar nie jest uszkodzony.

Wstał i wyszedł z dziedzińca. Łukowo sklepiony korytarz doprowadził go przed dom. Podążył brukowaną ścieżką do mniej okazałych budynków, gdzie składował towary.

Na zewnątrz czekały tarny. Ludzie wnosili już do środka wielkie bele materiału, pilnowani przez nadzorców.

Nie zwracając uwagi na służących, Devlem wszedł do budynku i zbadał ostatni transport. Wodoszczelne opakowanie na jednej z bel było rozerwane.

- Otwórzcie - rozkazał.

Służący pospiesznie zaczęli rozcinać opakowanie.

- Ostrożnie! - wrzasnął Devlem. - Zniszczycie materiał! Zwolnili trochę i zaczęli bardziej uważać. Pracując, rzucali w jego stronę nerwowe spojrzenia. Dobrze, pomyślał. Ta chłosta, którą nakazałem, w końcu nauczyła ich szacunku. Robili się coraz bardziej podobni do genriańskich kobiet - jęczeli tylko i narzekali.

Opakowanie odsłoniło czystą, nienaruszoną tkaninę. Podszedł bliżej, aby obejrzeć resztę beli.

- Mistrzu kupcze!

Czyjeś kroki zabrzmiały głośno w hali składu. Zirytowany przerwą, uniósł głowę. Intruzem okazała się jedna z kobiet przystrzygających trawniki. Była brzydka jak na Avvenkę, więc wysłał ją do prac w ogrodzie, żeby nie musieć jej oglądać.

- Panie - zawołała, dysząc ciężko. - W domku z sadzawką jest potwór!

Westchnął.

- Wiem. Ja go tam umieściłem. Przygryzła wargi.

- Och... Wygląda, jakby był martwy.

- Martwy?

Wyprostował się niespokojnie. Kiwnęła głową.

Przeklinając w swoim ojczystym genriańskim języku, wyminął ją, wyszedł ze składu i ruszył w stronę ogrodów. Domek z sadzawką stał na środku dużego trawnika. Strzygące trawę zbiły się w gromadkę przy wejściu.

- Wracajcie do pracy! - rozkazał.

Obejrzały się na niego, a potem rozbiegły. Dotarł do kraty domku i wyjął klucz. Wewnątrz widział leżące na podłodze młode morskie stworzenie.

Wczoraj wieczorem nie miał zbyt wiele czasu, by przyjrzeć się swemu nowemu nabytkowi. Pirat twierdził, że to dziewczynka, ale jedynym na to dowodem był brak męskich organów płciowych. Devlem rozkazał służbie, by zdjęli brudne szmaty, które zwisały jej z ramion. Przyjrzał się jej i uznał, że pirat miał rację; zastanawiał się, czy z czasem rozwiną się jej piersi, tak jak u ludzi.

Może jak już dojrzeje, uda mu się kupić samca. Gdyby mieli potomstwo, mógłby zarobić fortunę na młodych.

Szczęknął zamek; otworzył kratę i podszedł do stworzenia. Dlaczego wyszło z wody? Przykucnął i zobaczył, że wciąż jeszcze oddycha.

Im bardziej się jej przyglądał, tym bardziej był zatroskany.

Oddychała z wysiłkiem. Skórę miała spierzchniętą i spękaną. Jeśli byłaby człowiekiem, uznałby, że jest niebezpiecznie wychudzona. I brzydko pachniała. Wszystkie zwierzęta brzydko pachniały, więc założył, że ten smród jest naturalny, ale teraz nie był tego pewien.

Ujął ją pod brodę i odwrócił głowę, aby przyjrzeć się twarzy. Kiedy jej dotknął, uchyliła powieki i zaraz je zamknęła. Jęknęła cicho.

Zapłaciłem za nią dużo pieniędzy, pomyślał. Wstał i spojrzał na nią z góry. Jeśli jest chora, to muszę znaleźć kogoś, kto ją wyleczy. Kto może wiedzieć, co jej dolega? Mógłbym tu sprowadzić uzdrawiacza zwierząt, ale wątpię, czy kiedyś widział kogoś z morskiego ludu. Czy ktokolwiek widział. Chyba że...

Uśmiechnął się, gdy zdał sobie sprawę, że są ludzie w Glymmie, którzy wiedzą o morskim narodzie. Odwrócił się, szybko zamknął za sobą bramę i ruszył w stronę domu, krzykiem wzywając posłańca.

Mirar uniósł kamień. Nic. Odłożył go na miejsce i podniósł następny. Wybiegło jakieś stworzenie. Próbował je złapać, ale wślizgnęło się w szczelinę pomiędzy większymi i cięższymi głazami.

Niech to licho. Jak Emerahl łapała te shrimmi? Gdybym tylko...

- Wilarze! Tkaczu snów!

Aż podskoczył, zaskoczony, i uniósł głowę. W górze krążył Tyve, a Mirar wychwycił od chłopca potężną falę niepokoju. Wstał, osłonił oczy i patrzył, jak Siyee ląduje.

- O co chodzi?

- Sizzi jest chora. Tak samo Veece i Ziti. Inni też czują się coraz gorzej. Możesz przyjść do wioski? Możesz nam pomóc?

Mirar zmarszczył brwi.

- Czy przysłał cię po mnie Mówca? - Tak.

To nie była do końca prawda, jeżeli jakąś wskazówką miałoby być wyczuwalne zakłopotanie Tyve'a. Spod zmrużonych powiek spojrzał na młodego Siyee.

- Naprawdę?

Tyve popatrzył na niego z zawstydzeniem.

- Nie tak całkiem. Jest zbyt chory, aby mówić. Zaproponowałem innym, że skoro jesteś uzdrowicielem, to poproszę cię o pomoc. Zgodzili się.

To, jak wyczuł Mirar, rzeczywiście było prawdą. Kiwnął głową.

- Przyjdę. Jakie są objawy?

- Sam zobaczysz - odparł niecierpliwie. - Powinniśmy ruszyć natychmiast, żeby dotrzeć, zanim... To daleka droga.

- A zatem zbyt daleka, by wrócić po odpowiednie leki - zauważył Mirar. - Muszę wiedzieć, jaka to choroba, żebym mógł spakować torbę. Opowiedz mi o niej.

Tyve opisał mu to, co widział. Słuchając go, Mirar czuł, jak lęk zaciska mu żołądek. Opis przypominał chorobę zwaną sercożerem, której epidemia wybuchała czasem wśród ziemiochodzących. Najpewniej któryś z Siyee zaraził się nią podczas wojny i przyniósł z powrotem do klanu. Mirar nie pomyślał, że takie schorzenia mogą być nieuniknioną konsekwencją spotkań Siyee z obcymi. W milczeniu przeklął Białych.

Nie wiesz, czy Biali zdawali sobie sprawę, że coś takiego nastąpi, przypomniał mu Leiard.

Ale nie ma większej radości, jak mieć kogoś, na kogo zrzuca się winę, odparł Mirar.

- Znam tę chorobę - powiedział młodemu Siyee. - Pomogę twojemu klanowi ją przezwyciężyć, ale nie mogę obiecać, że wszyscy przeżyją.

Tyve pobladł. Mirar położył mu dłoń na ramieniu.

- Zrobię, co będę mógł. A teraz daj mi chwilę, żebym spakował swoje rzeczy. Potem zaprowadzisz mnie do wioski.

Z udręczoną miną Siyee usiadł na kamieniu. Mirar ruszył brzegiem, zastanawiając się

nad swoimi zapasami leków. Kiedy razem z Emerahl schodzili z pola bitwy miał ze sobą torbę tkacza snów, ale już prawie pustą. Teraz była pełna. Najpierw Emerahl, a potem on sam wiele godzin spędzili w lesie, szukając i przygotowując medykamenty. Wykorzystali swoją wiedzę na temat tutejszych roślin. Nie wszystkie leki były tak silne i nie wszystkie działały dokładnie tak samo, jak te, które miały zastąpić. Niektóre były bardziej skuteczne, inne mniej.

Za wodospadem przeszedł przez korytarz wiodący do jaskini. Spojrzał na przedmioty leżące i stojące wzdłuż ścian. Lina będzie niezbędna, ale przenoszenie posłania zbyt niewygodne. Będzie raczej spał w ubraniu na ziemi, co oznacza, że przydadzą się cieplejsze rzeczy, skoro robiło się coraz chłodniej.

I jedzenie, przypomniał mu Leiard.

Oczywiście. Uśmiechnął się krzywo i ruszył przez grotę, zabierając to, co będzie mu potrzebne. Kiedy skończył, rozejrzał się raz jeszcze.

Czy wkrótce tu powrócę, czy kryzys wśród Siyee odciągnie mnie stąd na zawsze? Wzruszył ramionami. Nie mam nic przeciwko żadnemu z tych rozwiązań. Jeśli Emerahl ma rację, to dobrze mi zrobi, kiedy będę wśród ludzi.

Odwrócił się i ruszył na spotkanie z Tyveem, by rozpocząć kolejną niebezpieczną wyprawę przez góry Si.

Słońce stało już nisko na niebie, gdy Auraya w oddali zobaczyła Przestrzeń. Nie leciała tak szybko, jak planowała, ponieważ odkryła, że gdy tylko przekracza pewną prędkość, Figiel robi się nerwowy. Dygotał cały i piszczał przerażony. Ale dopóki leciała trochę wolniej, zadowolony siedział w torbie, którą założyła sobie na ramiona.

Ze względu na to opóźnienie po przekroczeniu granic Si nie zatrzymała się, aby porozmawiać z jakimkolwiek Siyee. Oni także nie próbowali jej zatrzymywać. Pewnie widzieli, że porusza się za szybko, by ją dogonić. Teraz zwolniła, zbliżając się do długiego pasa odkrytego zbocza, który był głównym miejscem zgromadzeń Siyee, i ludzie nieba wylecieli jej na spotkanie.

Wyczuła, że Figiel zmienia pozycję na jej plecach.

- Leci! - oświadczył. - Leci! Leci!

Nie miał odpowiednich słów, by nazwać tych dziwnych skrzydlatych ludzi, szybujących wokół niej i za nią.

- Siyee - wyjaśniła. - To są Siyee. Zamilkł na chwilę.

- Sjee - powtórzył cicho.

Niektórych ze swojej eskorty rozpoznała, innych nie. Świszcząc w ich mowie, powitała wszystkich.

W ich myślach wyczuwała ulgę i zadowolenie. Wiedzieli jednak, po co tu przybyła, i ten niepokój sprawił, że witali ją mniej entuzjastycznie niż poprzednio.

Obniżała lot, kierując się do dużego równego obszaru w środkowej części Przestrzeni, znanego jako Płask. Kilkoro Siyee stało na obrzeżu i słyszała odgłosy powitalnych bębnów. Jej uwagę zwróciła także dwójka ubranych na biało ludzi. Jak większość ziemiochodzących byli prawie dwukrotnie wyżsi od Siyee, a ich białe kapłańskie szaty sprawiały, że tym bardziej rzucali się w oczy.

Zauważyła też szereg Siyee stojących obok sterczącej skały, znanej jako Skała Mówców. Kiedy podleciała bliżej, rozpoznała ich. To byli Mówcy, przywódcy klanów Siyee, choć tutaj zjawiła się tylko połowa. Trudno się dziwić. Nie wszyscy chcieli opuszczać swoje klany, kiedy po Si krążyli najeźdźcy.

Inni mieszkali zbyt daleko od Przestrzeni, by przybywać tutaj na każde nieplanowane spotkanie. Jednak mieszkali tu stale przedstawiciele każdego klanu i na pewno byli wśród tych, którzy teraz czekali na obrzeżu Plasku.

Mówca Sirri, Główny Mówca wszystkich klanów, wyszła na przód, gdy tylko Auraya opadła na ziemię. Uśmiechnęła się, podała jej drewniany kubek i niewielkie ciasteczko. Kiedy Auraya je wzięła, Sirri szeroko rozłożyła ramiona. Słoneczne światło sączyło się przez membranę jej skrzydeł, ukazując delikatną koronkę żył i arterii między kośćmi.

- Witaj z powrotem w Si, Aurayo z Białych. Auraya także się uśmiechnęła.

- Dziękuję, Mówco Sirri, i dziękuję wszystkim ludziom Si za to ciepłe powitanie.

Zjadła słodkie ciastko i wypiła trochę wody, po czym oddała kubek. Sirri spojrzała na ramię Aurai i szeroko otworzyła oczy.

- Sjee - szepnął Figiel prosto w ucho.

Auraya stłumiła śmiech i podrapała go po łepku.

- Mówco Sirri - powiedziała - to jest Figiel. Jest veezem. Somreyanie oswoili je już dawno temu i trzymają jako zwierzęta domowe.

- Veez - powtórzyła Sirri. Podeszła i przyjrzała się Figlowi. - Tak, pamiętam, że widziałam takie zwierzęta w obozie.

- Potrafi mówić, choć w ograniczonym zakresie. - Auraya zerknęła na Figla. - To jest Sirri - powiedziała do niego.

- Siji - powtórzył. - Sjee Siji. Sirri zaśmiała się cicho.

- Niezwykłe zwierzątko. Muszę dopilnować, żeby nikt z Siyee nie uznał, że nadaje się na kolację. - Wyprostowała się. - Mówcy prosili, abym zwołała zebranie w Altanie Mówców, gdy tylko przybędziesz. Ale możemy się wstrzymać, jeśli jesteś zmęczona.

Auraya pokręciła głową.

- Pentadrianie coraz głębiej wchodzą na terytorium Si. Chcę jak najszybciej rozwiązać ten problem, jak zapewne wy wszyscy. Spotkam się z Mówcami natychmiast.

Sirri z wdzięcznością skinęła głową, a potem zawołała pozostałych Mówców. Dołączyli do Sirri, a Auraya spojrzała w kierunku dwójki kapłanów. Wykonali znak kręgu, a ona w odpowiedzi schyliła głowę.

Odszukała ich umysły i zobaczyła, że nie mogli się doczekać rozmowy, choć żaden nie miał pilnych spraw do omówienia. Uważali Siyee za ludzi serdecznych, ale o dziwnych obyczajach.

Potrzebują ode mnie zapewnienia, że sobie radzą, zrozumiała nagle.

Odwróciła się i podążyła z Sirri w głąb lasu, a za nią pozostali Mówcy i przedstawiciele klanów. Po drodze mijali wielu ciekawskich Siyee oraz wiele altan - obciągniętych membraną drewnianych ram, zbudowanych wokół pni otaczających Przestrzeń gigantycznych drzew. Sirri nie spieszyła się, mimo niecierpliwości innych Mówców. Wiedziała, że widok Wybranki Bogów doda jej ludowi odwagi.

Gdy wkroczyli do niezamieszkałej części lasu wokół Altany Mówców, Sirri przyspieszyła kroku. Krętą ścieżką dotarli do celu i wszyscy weszli do środka. Stołki z rzeźbionych pni ustawiono w krąg. Mówcy zajęli swoje miejsca. Auraya położyła plecak obok siebie na podłodze. Figiel wyjrzał na chwilę, uznał, że wszystko wygląda nieciekawie, zwinął się w kłębek i zasnął.

- Jak wszyscy wiemy - zaczęła Sirri - czternaście dni temu, w pobliżu południowego wybrzeża Si zauważono pentadriański statek. Kilkoro pentadrian zeszło na ląd i rozdzieliło się na grupy wędrujące w głąb lądu. Zdaje się, że wykorzystują ptaki, by kierowały ich do wiosek Siyee. - Spojrzała na Aurayę. - Posłaliśmy po pomoc do Białych i przybyła Auraya. Aurayo, czy zanim zaczniemy zastanawiać się, jak poradzić sobie z pentadrianami, chciałabyś zadać jakieś pytanie?

- Jak często przychodzą meldunki o ruchach pentadrian?

- Co kilka godzin. Mój syn Sreil zorganizował grupę obserwatorów, którzy ich śledzą i regularnie składają raporty.

- Czy ci obserwatorzy zauważyli wśród pentadrian któregoś z ich głównych czarowników?

- Nie.

To nie znaczy, że ich tam nie ma... Auraya złożyła dłonie i stukała palcami o siebie.

- Czy pentadrianie kogokolwiek skrzywdzili?

- Jeszcze nie.

- Z kimś rozmawiali?

- Nie. Poleciliśmy wszystkim Siyee, żeby trzymali się od nich z daleka.

- Czy próbowali założyć jakąś stałą osadę?

Mówcy wyglądali na zaskoczonych. Wyczytała z ich myśli, że żaden nie rozważał takiej możliwości.

- Obserwatorzy donoszą, że wciąż są w drodze - odparł Mówca Dryss.

Auraya przemyślała to, czego się właśnie dowiedziała.

- Na razie nie mam więcej pytań. Czy ktoś chce mnie o coś zapytać?

- Tak - odezwał się jeden z przedstawicieli. - Co zrobisz? Splotła ze sobą palce obu dłoni.

- Będę wam doradzać i pomagać. Moje zadanie tutaj nie polega na podejmowaniu za was decyzji. Będę was chronić, jeśli zaatakują, i przepędzę z Si, jeśli zdołam, o ile tak właśnie postanowicie. Będę też dla was tłumaczyć, jeżeli spróbują nawiązać kontakt. Całkiem możliwe, że chcą zawrzeć pokój.

Siyee wymienili spojrzenia, wielu zmarszczyło czoła.

- Nigdy! - syknął jeden z przedstawicieli.

- Nie odrzucajmy takiej możliwości - zwrócił się do niego któryś ze starszych Mówców. - Pentadrianie nie są ludem, który może wymrzeć. Lepiej żyć z nimi w pokoju.

- O ile tylko nie będziemy zmuszeni zbyt wiele za to zapłacić.

- Oczywiście.

- Jest też inna możliwość - mówiła dalej Auraya. - I ona mnie niepokoi. Może liczą, że zdołają nawrócić Siyee na swoją wiarę.

- To czeka ich rozczarowanie - odparła stanowczo Sirri. - Nie ma ani jednego Siyee, który nie rozpacza po stracie kogoś z rodziny czy klanu. Żaden z nas nie zdradzi, aby przyłączyć się do nieprzyjaciela.

- Też tak uważam - zgodziła się Auraya. - Ale jeśli przybywają z takimi zamiarami, to lepiej, żeby wszyscy byli uprzedzeni o tej możliwości i przygotowani, aby oprzeć się słodkim słowom perswazji.

- Nie będą mieli szansy, aby je wygłosić - oświadczył młody przedstawiciel. - Wrócą do domu albo ich pozabijamy.

- Odeślemy ich do domu niezależnie od ich planów - zgodziła się Sirri. - Nawet jeśli mają pokojowe zamiary, zbyt wcześnie jeszcze, żebyśmy witali w Si pentadrian.

Inni Mówcy zgodzili się z nią.

- Jeśli takie jest wasze postanowienie - rzekła Auraya - pentadrianie powinni usłyszeć to od was, a nie ode mnie. Muszą wiedzieć, że to wasza decyzja, a nie że robicie tylko to, co każą wam Biali.

Po jej słowach zapadła cisza. Wyczuwała ich lęk i wahame.

- A jeśli nas zaatakują? - zapytała Mówca niepewnym głosem.

- Będę was chronić. Wycofamy się wtedy, a kiedy będziecie bezpieczni, powrócę, by ich przepędzić.

- Czy wszyscy musimy wyruszyć? - zagadnął Mówca Dryss. - Ostatnio nie jestem już tak szybki w powietrzu i boję się, że mogę być przeszkodą, jeśli trzeba będzie szybko się wycofać.

- Nie ma potrzeby, aby lecieli wszyscy - odparła Auraya. - Wybierzcie troje spośród siebie.

Sirri odchrząknęła.

- Wolę poprosić ochotników.

Rozejrzała się po altanie. Auraya zauważyła, że wielu odwraca wzrok. Młody przedstawiciel jednak patrzył śmiało. Auraya zmartwiła się trochę, widząc, że prostuje się, by przemówić. Jest nieco zbyt zawzięty, pomyślała.

- Ja pójdę - zgłosił się.

- Dziękuję ci, Rizzi, ale to zadanie dla Mówców - rzekła Sirri. - Jak poważnie potraktują pentadrianie nasze słowa, jeśli nie przedstawią ich przywódcy klanów? - Rozłożyła ręce. - Ja pójdę. Jeśli nie ma innych chętnych, będę zmuszona wyznaczyć lub losować imiona...

- Ja pójdę, jeśli nie jestem za stary.

Ochotnikiem był mężczyzna w średnim wieku, Mówca Iriz z klanu Zielonego Jeziora. Sirri uśmiechnęła się lekko.

- Masz jeszcze przed sobą wiele lat, Iriz.

- I ja - podniosła się kobieta Siyee.

Auraya poznała Mówcę z klanu Słonecznej Grani, którego członków na kilka miesięcy przed bitwą zaatakowały pentadriańskie tresowane ptaki.

- Dziękuję, Mówco Tyzi - rzekła Sirri. - To już troje.

Do Aurai dotarła fala ulgi u pozostałych Siyee. Powstrzymała się od uśmiechu. Sirri stanowczym gestem klepnęła się w kolana.

- Wyruszymy jutro z pierwszym brzaskiem. Czy są jakieś inne sprawy do omówienia z Aurayą? - Rozejrzała się, ale nikt się nie odzywał. - A więc to zgromadzenie uważam za

zakończone. Mówcy Iriz i Tyzi, czy możecie zostać? Powinniśmy omówić przygotowania do podróży.

Kiedy wszyscy wyszli z altany, Auraya zerknęła na Figla. Ciągle spał. Uśmiechnęła się, spojrzała na trójkę pozostałych Siyee i natychmiast poczuła ukłucie lęku. Jeśli stanie wobec jednego z potężnych pentadriańskich czarowników, nie będzie łatwo chronić tych Siyee. Musi dobrze przyjrzeć się intruzom, zanim oni ją zobaczą.

Na razie nie wolno jej okazywać żadnych wątpliwości czy lęku.

22

Morze przelewało się pod łodzią, jakby uważało ją za irytującego szkodnika, którego musi z siebie strząsnąć. Kiedy fala zagroziła przewróceniem, Emerahl ściągała do siebie magię i wykorzystała ją, by znowu przycisnąć kadłub do wody. Zaklęła, gdy poryw wiatru zalał jej twarz kroplami deszczu.

Uświadomiła sobie, że przeklina morze w dawno zapomnianym języku, z czasów, kiedy żeglarze i rybacy oddawali cześć jego bogom. Łatwo było sobie wyobrazić, że ten wielki obszar wody kierowany jest potężnym umysłem - takim, który chce się pozbyć intruza. Zwłaszcza kiedy sobie przypomniała, jak szybko rozpętał się sztorm.

Parsknęła niechętnie. Dawni bogowie nie żyją, pomyślała. To tylko fatalna pogoda. Powinnam posłuchać rady szkutnika, kupić większą łódź i odczekać kilka tygodni, aż minie pora burz.

Dawno temu dobrze znała ten kawałek wybrzeża i potrafiła dostrzec znaki zapowiadające złą pogodę. Jednak w ciągu tysiąca lat wiele może się zmienić. Nie tylko pogoda, ale i prądy były inne. W niektórych miejscach nie mogła rozpoznać nawet kształtu linii brzegowej. Płynąc wzdłuż brzegu Torenu, napotykała dziwną mieszaninę obcych i znajomych widoków. Na szczęście wzgórza wyznaczające granicę między Torenem i Genrią wciąż wznosiły się tam, gdzie powinny.

W tym miejscu skręciła i skierowała się prosto w morze, zgodnie z instrukcjami Gherida.

Fala przelała się nad dziobem i przemoczyła ją; magicznie wylała wodę za burtę. Deszcz padał już tak intensywnie, że ledwie widziała drugi koniec łodzi. Nie miała nic do roboty prócz przetrwania - w tych warunkach nie mogła postawić żagla, nie mogła się zorientować, gdzie jest, a co dopiero odnaleźć swój cel albo zawrócić do lądu.

Zaklęła znowu, gdy kolejna fala niemal zalała łódź. Głos wichury przypominał nieludzkie wycie. Drgnęła mimo woli, czując, jak ogarnia ją zabobonny lęk. Może jednak nie powinna przeklinać boga morza?

A czemu nie? Nic mi nie może zrobić, myślała. Jest martwy. Jak wszyscy starzy bogowie, z wyjątkiem Kręgu. Może to któryś z tej piątki nauczył się wpływania na morze? Może bawił się nim właśnie teraz?

Nie była to pocieszająca myśl. Jeśli bogowie byli przyczyną tego sztormu, to o co im chodziło? Czy wiedzieli o niej? Nie chcieli dopuścić, by dotarła do celu?

Z całej siły trzymała się steru. Choć deszcz i chmury grubą kotarą przesłaniały słońce, przebijało się jakoś szare, słabe światło. Nagle zgasło i wpłynęła w cień. Rozejrzała się, z trudem panując nad narastającym lękiem. Kiedy zobaczyła przyczynę tego cienia, serce jej zamarło.

Wyrastało nad nią coś wysokiego i ciemnego.

Lęk ulotnił się nagle, kiedy zrozumiała, co to takiego: Stóg!

Przypadek sprawił, że sztorm zapędził łódź właśnie w to miejsce, do którego zmierzała. Teraz jednak prąd ją odsuwał. Rozejrzała się i zastanowiła nad umocowanymi do burt wiosłami.

Nie, na nic się nie przydadzą. Miałam szczęście, że morze nie cisnęło łodzią o Stóg. Nawet jeśli za pomocą wioseł podpłynę bliżej, nie zdołam zacumować. Fale rozbiją łódź na kawałki. Sytuacja wymaga magii i koncentracji.

Ściągnęła do siebie bardzo dużo magii i posłała ją wokół burt. Kiedy już pochwyci łódź, musi działać szybko, bo następna fala może ją zalać.

Podnieść...

Poczuła ciężar w żołądku, kiedy łódź wzbiła się w powietrze, niosąc ją ze sobą. Patrzyła przed siebie, w miejsce, gdzie jej zdaniem wyrastał Stóg, ukryty teraz w ulewie.

Naprzód...

Nie był to gładki lot. Przemieszczanie łodzi wymagało absolutnego skupienia uwagi. Każdy podmuch wiatru, każde przesunięcie myśli powodowały, że opadała albo się przechylała. Nawet ulga, kiedy w końcu Stóg wynurzył się zza strumieni deszczu, natychmiast spowodowała kołysanie.

Bliżej...

Zatrzymała się, kiedy widziała już przed sobą skalną powierzchnię.

Wyżej...

Huk rozbijających się o skały fal przycichł nieco, gdy uniosła łódź. W szczelinach i zagłębieniach pojawiły się kępki twardej morskiej trawy, a potem zobaczyła cały jej dywan. Dotarła do szczytu Stogu.

Naprzód...

Przesunęła łódź ponad morze traw, a potem, kilka kroków od brzegu przepaści, opuściła ją na ziemię.

Nie było czasu na ulgę. Wicher groził, że pchnie łódź z powrotem. Emerahl wyskoczyła, zabrała swoje rzeczy, odwróciła łódkę, wbiła kołki w ziemię i przywiązała do nich kadłub.

Kiedy była już pewna, że łódź jest zabezpieczona, wyprostowała się i rozejrzała. Mogło się okazać, że wylądowała na jakimś przybrzeżnym cyplu, a nie na opisanym przez chłopaka Stogu. Podeszła do krawędzi. Przez gęstą ulewę nie widziała w dole morza.

Zaznaczyła swoją pozycję, wyrywając trzy garści trawy i odsłaniając jasną, piaszczystą glebę pod spodem. Potem ruszyła brzegiem. Po pięćdziesięciu krokach pojawiła się wyrwana trawa. By mieć pewność, że nie natrafiła na naturalnie powstałą kopię swojego znacznika, ruszyła prostopadle do krawędzi. Zaraz pojawiła się łódź, a Emerahl kiwnęła głową.

Będę pewna, że to Stóg, kiedy znajdę grotę.

Znowu ruszyła wzdłuż klifu, szukając początku schodów, prowadzących w dół, do groty, ale nie znalazła żadnego znaku. Po piątym okrążeniu zrezygnowała i wróciła do łodzi.

Usiadła i ściągnęła magię, by osłonić się od deszczu. Ubranie miała przemoczone i ciężkie, więc przemieściła jeszcze odrobinę magii, by ogrzać się i wysuszyć. Kiedy woda mgiełką uniosła się z jej sukni i włosów, zadrżała.

Lepiej, żeby to nie był jeden z tych trzydniowych sztormów, myślała. Jeśli potrwa dłużej niż jeszcze kilka godzin, znowu spróbuję znaleźć te schody.

A jeśli nie znajdzie? Będzie musiała tu zostać i poczekać do końca sztormu. Nawet gdyby magicznie utrzymała łódź na powierzchni i popychała ją naprzód, wciąż nie wiedziała, w którą stronę płynąć, by wrócić na ląd.

Westchnęła z rezygnacją, sięgnęła do torby i wyjęła kilka suszonych owoców, by mieć co jeść podczas oczekiwania.

Ścianki altany jarzyły się w porannym słońcu. Auraya rozejrzała się po swoim małym domku i westchnęła z satysfakcją. Przyjemnie było wrócić do Si.

Dlaczego czuję się tutaj jak w domu? spytała samą siebie. A nawet lepiej niż w domu przez te ostatnie miesiące. I w nocy nie miałam żadnych koszmarów, uświadomiła sobie. Odnosiła wrażenie, że wiele przykrych spraw pozostawiła daleko za sobą. Koszmary. Szpital.

Nie pojmowałam, jak bardzo dręczy mnie kwestia szpitala.

Przypomniała sobie, że podczas swej poprzedniej wizyty w Si zawsze budziła się w dobrym nastroju. Ale może to z powodu sennych spotkań z Leiardem? zastanowiła się nagle.

Leiard... Czy tylko sobie wyobrażała, czy naprawdę tamto ukłucie bólu, które zawsze towarzyszyło wspomnieniom o nim, teraz staje się słabsze? Wydawał się elementem jakiegoś innego życia... Może wkrótce nic już nie będzie odczuwać.

Mam nadzieję, że nie, odezwał się znajomy głos w jej umyśle. Tb *naprawdę byłoby straszne, gdybyś nic nie czuła. Ani radości, ani smutku.*

: *Chodziło mi o to, że nie będę nic czuła do Leiarda,* odpowiedziała Chai. *Wiesz przecież.*

: *Zawsze będzie w tobie budził jakieś uczucia. Ale czas złagodzi ból. Nie ma nic lepszego na dawne cierpienie, niż zanurzyć się w nowych uczuciach.*

: *Tak,* przyznała. *Na przykład w planowaniu, jak usunąć tych pentadrian z Si.*

: *Nie o to mi chodziło.*

Uśmiechnęła się drwiąco.

: *Tak właśnie myślałam. Ale, jak to mówię: najpierw obowiązki, potem przyjemność.*

: *Trzymam cię za słowo.*

Jego obecność ustała nagle. Auraya potrząsnęła głową. Czasami nie rozumiała Chai, ale w końcu on był bogiem, a ona nie.

Wstała i podeszła do zasłony w otworze wejścia do altany.

- Ałaja leci?

Obejrzała się na Figla, który uznał, że jeden ze zwisających pod stropem koszyków jest całkiem wygodnym legowiskiem. Nad krawędzią wystawał tylko jego nosek.

- Tak. Auraya poleci sama. Na niebezpieczne spotkanie. Figiel zostaje tutaj. Bezpieczny.

- Figi zostań - wymruczał.

Z westchnieniem ulgi, Auraya odchyliła zasłonę i zrobiła krok w stronę Altany Mówców. I natychmiast spomiędzy drzew wybiegła i otoczyła ją grupka dzieci Siyee. Zaśmiała się zdziwiona, kiedy obsypały ją kwiatami. Kilkoro odważyło się dotknąć jej dłoni. Nagle jedno z nich świsnęło ostrzegawczo i odbiegły. Z plątaniny ich myśli Auraya odczytała dość, by zrozumieć, że rozważnie uciekają, ponieważ zbliża się dorosły. Obejrzała się i zobaczyła nadchodzącą Mówcę Sirri. Przywódczyni Siyee uśmiechała się szeroko.

- Dzięki swoim poprzednim odwiedzinom stałaś się postacią niemal legendarną. Nasi śpiewacy ułożyli pieśń *Biała dama,* w której sama pokonujesz pentadrian.

Auraya zachichotała.

- To trochę niesprawiedliwe w stosunku do innych Białych. Sirri wzruszyła ramionami.

- Owszem. Ale z pewnością wyglądało to tak, jakbyś to ty zadała kończące uderzenie.

- To było bardziej... skomplikowane - wyjaśniła Auraya. - Inni atakowali w mniej widoczny sposób. Tak się złożyło, że mnie przypadło wykorzystanie błędu nieprzyjaciela.

- Kiedy coś odwróciło uwagę czarownicy?

- Tak. - Auraya dostrzegła uśmieszek Sirri i przyjrzała się dokładniej. To, co

zobaczyła, zaskoczyło ją i rozbawiło. - To Tryss ją zajął? Zaatakował ją?

Sirri przytaknęła.

- Tak przynajmniej mówi, a nie mam powodów, by mu nie wierzyć.

- Niesamowita odwaga - szepnęła Auraya, wspominając nieśmiałego młodego wynalazcę uprzęży myśliwskiej.

- Niewielu o tym wie. Nie chce być traktowany jak bohater, kiedy tak wielu zginęło. Czuje się chyba winny, gdyż skonstruował coś, co pozwoliło Siyee wziąć udział w wojnie, która tyle nas kosztowała. Próbuję mu tłumaczyć, że to nie jego wina, ale...

Spojrzała na Aurayę i zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy Białej także ciąży brzemię winy. Auraya spojrzała jej w oczy i Mówca odwróciła głowę.

- Przyszłam ci powiedzieć, że ochotnicy czekają już w miejscu zgromadzeń - dokończyła.

Auraya zmarszczyła czoło.

- Spóźniłam się?

- Nie. To oni przybyli za wcześnie. Podejrzewam, że chcą mieć to już za sobą.

- A więc umożliwmy im to.

Sirri poprowadziła Aurayę na skraj lasu i wzbiła się w powietrze. Auraya ruszyła za nią i razem poszybowały na Płask, gdzie czekało już dwoje Mówców, Iriz i Tyzi. W pobliżu stało też kilku łowców w uprzężach. Sirri uznała, że powinni im towarzyszyć na wypadek, gdyby coś rozdzieliło ich z Aurayą i gdyby zaatakowały czarne ptaki.

Na twarzach Iriz i Tyzi widać było lęk i determinację. Przywitali się z Aurayą.

- Z którą grupą pentadrian spotkamy się najpierw? - zapytał Iriz.

- A którą powinniśmy wybrać, twoim zdaniem? - spytała w odpowiedzi Auraya.

- Najbliższą - stwierdziła Tyzi, - Im szybciej im powiemy, żeby sobie poszli, tym lepiej.

- A więc grupa wędrująca na północny wschód.

- Grupa północna jest bliżej siedziby klanu - zauważył Iriz. - Jeśli pentadrianie postanowią zaatakować, możemy nie zdążyć ostrzec ich na czas.

- Grupa północna nie będzie wiedziała, co robią pozostałe - stwierdziła Tyzi. Spojrzała niepewnie na Aurayę. - A może tak?

- Umieją się porozumiewać między sobą, tak jak kapłani i kapłanki cyrklian.

Tyzi zmarszczyła czoło.

- W takim razie powinniśmy lecieć na spotkanie z grupą północną.

- Zanim tam dotrzemy, pentadrianie idący na wschód także znajdą się blisko osady

klanu - przypomniał Iriz.

- Zwiadowcy śledzą nieprzyjaciela - oświadczyła Sirri. - Wszyscy Siyee wiedzą, że powinniśmy ich unikać. Przygotowali się do opuszczenia swych domów w razie potrzeby. Żaden klan nie będzie siedział spokojnie i czekał na atak. Iriz i Tyzi pokiwali głowami.

- W takim razie do najbliższego klanu - zdecydował Iriz.

- Powinniśmy tam dotrzeć dzisiaj przed wieczorem - dodała Tyzi.

Auraya spojrzała na Sirri.

- I wrócić jutro, jeśli wszystko pójdzie dobrze. Mówca uśmiechnęła się ponuro.

- Nie zwlekajmy dłużej.

Przeszła na dolną krawędź Płasku, gdzie niewielki uskok rozcinał skalne zbocze. Skoczyła w powietrze. Pozostali Mówcy i łowcy wznieśli się za nią; Auraya przywołała magię i pchnęła się w górę, by do nich dołączyć.

Kiedy zrównała się z Sirri, wyczuła obok siebie obecność kogoś jeszcze.

: *Wróciłeś.*

: *Tak,* odparł Chaia.

: *Czy wiesz, czego chcą pentadrianie?*

{Tak.

: *Masz zamiar mi powiedzieć?*

: *Nie.*

: *Dlaczego nie?*

: *Do ciebie należy odkrycie tego i rozwiązanie problemu.*

: *Więc nie powiesz mi nawet, gdzie teraz są?*

: *Nie ma potrzeby. Znajdziecie ich bez trudu.*

: *Po co w ogóle z tobą rozmawiać, jeśli nie chcesz mi zdradzić niczego użytecznego?*

: *A muszę? Moje towarzystwo ci nie wystarcza?*

Westchnęła.

: *Oczywiście, że nie musisz. Po prostu chciałabym wiedzieć, jak groźni są ci pentadrianie. Wolałabym, aby nikt z Siyee nie ucierpiał ani nie zginął.*

: *W takim razie powinnaś zadbać o wszelkie środki ostrożności.* Z głosu Chai uniknęło rozbawienie. *Nie bądź zbyt pewna siebie tylko dlatego, że się od czasu do czasu pojawiam. Nie mogę być wszędzie, ani też cały czas przy tobie. Gdybym mógł albo gdyby świat pełen był potężnie Obdarzonych śmiertelników, chętnych do wykonywania mej woli, nie musielibyśmy robić cię tą, którą jesteś.* Przerwał na chwilę. *Czy podjęłaś wszystkie możliwe środki ostrożności?*

;Tak, zapewniła. *Przynajmniej mam taką nadzieję.*

Kiedy ją opuścił, przez moment czuła lęk. Raz jeszcze zaczęła rozważać rezultaty spotkania z pentadrianami.

Oddana Sługa Renva mocno chwyciła dłoń Sługi Vengela, który wciągnął ją na grań. Podtrzymał ją, kiedy próbowała się wyprostować. Teren był plątaniną szczelin i ostrych, sterczących kamieni, bez żadnej płaskiej powierzchni, by na niej stanąć.

Kiedy odzyskała równowagę, rozejrzała się. Grań była dostatecznie wysoka, by gwarantować dobry widok terenu przed nimi. Jęknęła, widząc nagie skały i ocienione rozpadliny, ciągnące się aż do gór.

To koszmar, pomyślała. Nic dziwnego, że tylko skrzydlate istoty mogą tutaj mieszkać. Wydaje się, jakby sama kraina starała się nas odepchnąć.

Chciałaby spełnić to życzenie, ale miała rozkazy i musiała je wykonywać. Siyee, jak jej mówiono, są prymitywnym narodem. Prostym ludziom o prostych obyczajach łatwo jest zaimponować. To, czy zdoła ich przekonać do oddawania czci Pięciorgu, uzależnione jest od tego, jak bardzo zaimponowali im cyrklianie ze swoimi fałszywymi bogami.

Ale najpierw musimy do nich dotrzeć.

Byłoby o wiele łatwiej, gdyby to oni przyszli do niej. Od czasu do czasu dostrzegała ich w oddali. Często czuła, że obserwują ją i jej towarzyszy, a jednak nigdy nie zbliżyli się na tyle, by być w zasięgu głosu.

Prości ludzie są często lękliwi, tłumaczyła sobie. Jeszcze kilka miesięcy temu byliśmy ich wrogami. Pewnie uważają nas za najeźdźców.

Zrezygnowała z obserwacji krajobrazu i ruszyła wzdłuż grani.

- Oddana Sługo Renvo! - zawołał Vengel.

Odwróciła się i zobaczyła, że wypatruje czegoś w oddali. Obejrzał się na nią i wyciągnął rękę. Wytężyła wzrok i przeszukała niebo, ale nic nie zobaczyła.

- O co chodzi? - zapytała.

- Siyee - odparł Vengel. - Lecą nisko. Między drzewami a nami.

Spojrzała niżej, ale i tak minęła długa chwila, zanim ich dostrzegła. Lecące sylwetki, zbyt duże na ptaki, sunęły między szczytami drzew - za daleko, by zaobserwować jakieś szczegóły. Było ich więcej niż dziesięć i kierowały się w jej stronę.

- Widzę ich.

Rozważyła własną pozycję. Niezależnie od tego, czy Siyee chcieli rozmawiać, czy walczyć, ona powinna być ze swoimi ludźmi. A skoro nie zdążą się wspiąć na grań, oma musi wrócić do wąskiego wąwozu.

Podeszła do Vengela i wychyliła się poza krawędź skały.

- Wracaj na dół - zawołała do Sługi, wspinającego się po linie.

Mężczyzna zdziwił się wyraźnie, ale posłusznie zaczął się zsuwać. Renva zwróciła się do Vengela.

- Zostań tu i spróbuj ściągnąć na siebie ich uwagę. Ale bądź gotów na wypadek, gdyby zaatakowali.

Vengel kiwnął głową. Twarz miał poważną, ale nie powiedział ani słowa, kiedy zjechała w dół. Miał dostateczne Talenty, by osłonić się przed strzałami.

Na dnie wąwozu Renva zebrała wszystkich przy sobie.

- Grupa Siyee leci w naszą stronę - poinformowała. - Być może przybywają, by się z nami spotkać, być może w ogóle o nas nie wiedzą. Na wszelki wypadek powinniśmy być gotowi na atak.

Nieutalentowani tragarze i Słudzy o słabszych Talentach przesunęli się do środka grupy. Wszyscy czekali w milczeniu. Vengel krzyknął i wznieśli wzrok, obserwując niebo.

Skrzydlate kształty mignęły za czubkami drzew.

Renva dostrzegła błyski oczu, przyglądających się jej podejrzliwie z góry. Zatoczyli krąg nad ich głowami, z pewnością siebie, która budziła niemały niepokój. Po chwili zauważyła większą postać - białą i bezskrzydłą - i poczuła, że zasycha jej w gardle.

Biała czarownica... Nekaun uprzedzał, że może się zjawić.

Dotknęła gwiazdy na piersi.

: *Nekaunie!*

Cisza, która zapadła, trwała krótko, ale wydawała się wiecznością.

: *Renva... Widzę, że spotkaliście Siyee.*

: *Właśnie spotykamy,* poprawiła go. *Jest z nimi Biała czarownica.*

: *Można się było spodziewać. Ale nie zaatakuje was, dopóki nie stosujecie przemocy. Działaj.*

- Ludu nieba! Siyee! Nie chcemy nikogo skrzywdzić. Zejdźcie na dół, byśmy mogli z wami porozmawiać.

Las odpowiedział kanonadą gwizdów skrzydlatych ludzi. Dziwne słowa mieszały się z przenikliwymi wołaniami. Rozmawiają, domyśliła się Renva. Nie liczyła na to, że ją zrozumieją, ale miała nadzieję, że wyczują pokojowe intencje z tonu jej głosu. Biała czarownica pewnie rozumiała. Mówiono, że potrafi czytać w myślach.

- Jestem Oddana Sługa Renva, a to moi towarzysze. Przybywamy z daleka w nadziei, że zostaniemy waszymi przyjaciółmi - powiedziała głośno. - My...

Liście zaszeleściły i trójka Siyee spłynęła z góry. Wylądowali na gałęziach wysoko nad ziemią i spojrzeli na Renvę i jej grupę. Z tyłu rozległ się obcy głos.

- Jeśli macie pokojowe zamiary, dlaczego nie nauczyliście się tutejszej mowy, zanim przybyliście?

Renva odwróciła się gwałtownie. Biała czarownica stała na niższej gałęzi, niedaleko od nich.

- Nie miał nas kto nauczyć - odparła. - Inaczej byśmy ją znali.

Biała czarownica spojrzała w górę i wymówiła sekwencję obcych słów. Jedno z Siyee odpowiedziało. Kobieta uśmiechnęła się lekko i spojrzała Renvie w oczy.

- Jestem tutaj tylko jako obrońca i tłumacz - oświadczyła. - Mówca Sirri, przywódczyni wszystkich Siyee, chce wiedzieć, czemu bez zaproszenia wkroczyliście do Si.

Renva przyjrzała się Siyee, która mówiła. Ich przywódcą jest kobieta... To ciekawe.

- Przybyliśmy, aby zawrzeć pokój z Siyee. Biała czarownica przetłumaczyła.

A przynajmniej mam nadzieję, że tłumaczy, pomyślała Renva. Skąd mam wiedzieć, czy dla własnej korzyści nie przekręca moich słów?

: *Uważaj, jak formułujesz pytania,* poradził Nekaun.

Przywódczyni Siyee przemówiła.

- Mówca Sirri mówi: Jeśli chcecie pokoju, zostawcie nas. Odejdźcie i nigdy nie wracajcie - powiedziała Biała czarownica.

- Czy nie dacie nam szansy zasypania przepaści między naszymi ludami? - spytała Renva.

Odpowiedział inny Siyee.

- Przepaść jest zbyt szeroka. Jak możecie liczyć, że wybaczymy tym, którzy napadli na ziemie naszych sojuszników, którzy wymordowali tak wielu naszych ojców i synów, matek i córek?

- Czy na zawsze musimy zostać wrogami?

- Na przyjaźń trzeba zasłużyć - oświadczyła przywódczyni Siyee. - Trudno zdobyć zaufanie, gdy wchodzi się do naszego domu bez zaproszenia.

- Więc jak możemy zyskać wasze zaufanie? Jak możemy choćby nauczyć się języka, skoro nie pozwalacie... Może zamiast tego wy odwiedzicie Avven?

Siyee porozumieli się wzrokiem.

- Może kiedyś... Jeśli będziemy pewni, że nic nam nie grozi.

- Przysięgam na Pięcioro Bogów, że tak będzie - zapewniła z zapałem Renva.

Siyee spojrzeli po sobie niespokojnie. Przemówił starszy mężczyzna. Biała

czarownica zdziwiła się wyraźnie i zawahała, nim przetłumaczyła.

- Mówca Iriz powiedział: Jeśli spróbujecie przekonać Siyee, by czcili waszych bogów, nie uda się wam. Huan nas stworzyła i nigdy się od niej nie odwrócimy.

: *Wierzą, że ich bogowie ich stworzyli?* mruknął zdziwiony Nekaun. *:Tak się wydaje,* przyznała. :*Zrób to, co mówią,* polecił. *Wracaj. :Tak, świątobliwy.* Renva skłoniła głowę.

- Przyjaźń była powodem naszego przybycia. Aby pokazać, Że jesteśmy godni zaufania, odejdziemy, tak jak sobie życzycie. Mam nadzieję, że w przyszłości pojawi się jeszcze szansa zawarcia pokoju między nami.

Biała czarownica przełożyła, a Siyee zagwizdali z aprobatą. Zeskoczyli ze swoich gałęzi i wzlecieli nad drzewa. Biała czarownica zatrzymała się jeszcze na chwilę, przyglądając się Renvie, jakby próbowała ją ocenić.

- Zwiadowcy będą was obserwować - uprzedziła. - Dowiemy się, jeśli nie odejdziecie.

Uniosła się w górę, niemal natychmiast nabierając szybkości, aż liście drzewa zadrżały od jej przelotu. Renva z podziwem pokręciła głową. To niesamowite, że ktoś tak opanował magię, by odrzucić przyciąganie ziemi.

I zniechęcające, wiedzieć, że musimy długo wędrować, zanim znowu wrócimy na wybrzeże.

: *Nie spiesz się,* odezwał się Nekaun w jej umyśle. *Sytuacja może się jeszcze zmienić.*

Mam nadzieję, że nie, pomyślała. I trochę się zawstydziła - powinna godzić się na wszystko i znosić wszystko w służbie bogów.

: *Ale nie musisz się z tego cieszyć,* uspokoił ją Nekaun z pewnym rozbawieniem.

Parsknęła śmiechem. Towarzysze wędrówki spojrzeli na nią zdziwieni, a ona opanowała się natychmiast.

- Do zmroku będziemy wracać po własnych śladach - zdecydowała. - Potem znajdziemy miejsce, gdzie zatrzymamy się na noc. - Spojrzała na grań. - Właściwie możesz już schodzić - zawołała do Vengela, który wychylał się zza krawędzi. - Wracamy do domu.

23

Ból i jakiś ruch wokół obudziły Imi. Skóra ją piekła, stawy bolały, żołądek był zaciśnięty. Ktoś ją podnosił... Jakiś głos przyciągnął jej uwagę - męski głos, spokojny i łagodny. Przypominał głos ojca.

Drgnęła i obudziła się całkowicie. Czy to możliwe? Czyżby wreszcie przybył jej na ratunek? Otworzyła oczy i spojrzała na obcą twarz - mężczyzna miał jasną skórę, a futro porastało mu dolną część twarzy i czaszkę.

Był ziemiochodzącym, ale nie tym, który ją tu zamknął. Przyglądał się jej, a dwie linie sierści nad oczami zbliżyły się do siebie, kiedy zmarszczył czoło. Pod sobą usłyszała pluskanie i zrozumiała, że ziemiochodzący stoi w sadzawce. Zaczął ją opuszczać. Wpadła w panikę i szarpnęła się słabo - sadzawka była zbyt głęboka, a ona nie miała już siły, żeby się znów wydostać. Utonie...

Ale w chwilę po tym, jak poczuła wodę na skórze, plecy dotknęły twardej powierzchni dna. Ziemiochodzący puścił ją, ale przykucnął obok. Chlapnął na nią. Zwilżona skóra z początku zapiekła, ale woda zaraz zaczęła ją chłodzić. W powietrzu unosił się dobry zapach - zapach morza. Dochodził z wody... Uniosła dłoń do ust i skosztowała.

Morska... Starają się, żebym wyzdrowiała.

Ta myśl powinna była przynieść jej ulgę, ale obudziła tylko strach, zwiększony jeszcze nagłą świadomością, że jest naga.

Gdzie jej koszula? Czy dadzą jej nowe ubranie? Co z nią zrobią, kiedy już wróci do zdrowia? Co każą jej robić? Może byłoby lepiej, gdyby wcale nie wyzdrowiała. Może byłoby lepiej, gdyby umarła...

Nie. Muszę wyzdrowieć, tłumaczyła sobie. Muszę być silna i gotowa, kiedy przybędzie ojciec... albo kiedy pojawi się szansa na samodzielną ucieczkę.

Ziemiochodzący przestał ją ochlapywać. Wstał, podszedł do brzegu sadzawki, wziął dużą tacę i wrócił, pluskając. Zaczął znowu przemawiać, głosem cichym i przyjaznym. Wziął coś z tacy i podał jej.

To była surowa ryba. Imi skrzywiła się. Natychmiast odłożył rybę na tacę.

Następnie podsunął jej kawałek ryby gotowanej. Poczuła, że burczy jej w brzuchu. Wyciągnęła rękę, by ją wziąć, ale zawahała się.

A jeśli jest zatruta, pomyślała, przyglądając się mężczyźnie podejrzliwie. Uśmiechnął się i wymruczał jeszcze kilka niezrozumiałych słów. Próbował ją uspokoić.

Zresztą to nieważne, uznała. Jeśli nie będę jeść, i tak umrę.

Wzięła kawałek i włożyła do ust. Ryba smakowała wspaniale. Imi przełknęła i cudowne uczucie objęło całe jej ciało.

Ziemiochodzący karmił ją dalej, kęs po kęsie. Potem odłożył tacę. Nadal była głodna, ale żołądek wydawał się zbyt... zapracowany... by mogła zjeść więcej. Ziemiochodzący zbliżył się i strach ją ogarnął, kiedy uklęknął w wodzie obok niej. Powiedział coś z naciskiem, a potem spojrzał w tył na zamkniętą metalową bramę tego pomieszczenia. Popatrzył jej w oczy i znów zaczął mówić, tym razem cichym, pełnym emocji głosem. Rozpoznała gniew, ale wiedziała, że to nie na nią. Szerokim gestem wskazał salę. Dotknął jej, potem siebie, i poruszył palcami, jakby to były dwie pary idących nóg.

Znaczenie jego gestów dotarło do niej nagle, niczym potężna fala: ten człowiek zamierzał ją uratować.

Łzy stanęły jej w oczach. Ogarnęła ją wdzięczność tak głęboka, że zarzuciła mu ręce na szyję i zaczęła szlochać. Nareszcie! Co prawda nie jest jej ojcem, ale ją uratuje. Czuła, jak klepie ją po plecach, dokładnie tak, jak to robił ojciec, kiedy była nieszczęśliwa albo wystraszona. Ta myśl wycisnęła nowe łzy.

Nagle poczuła, że zesztywniał i odpycha ją lekko. Otworzyła oczy. Kiedy wzrok jej się wyostrzył, zauważyła za metalową bramą jakąś postać.

Krew w niej zastygła - to był ziemiochodzący, który ją tu zamknął. Stał ze zmarszczonym gniewnie czołem.

Czy usłyszał, jak ten miły ziemiochodzący mówi o ratowaniu jej? Spojrzała na jego twarz... Poklepał ją dobrotliwie po ramieniu i wskazał tacę, zachęcając, by więcej jadła. A potem odwrócił się do jej ciemiężyciela. Zamienili kilka słów. Miły ziemiochodzący wyszedł z sadzawki i ruszył do bramy.

Znowu zaczęli rozmawiać. Słyszała w ich głosach powstrzymywany gniew. Leżąc w wodzie, czuła, że jej nadzieje gasną; mężczyźni mówili coraz głośniej, wyraźnie przechodząc do kłótni.

Grom zahuczał złowieszczo w oddali, kiedy Auraya, Mówca Sirri i inni Siyee wylądowali w Przestrzeni. Powitał ich niespokojny tłum, a także inni Mówcy i przedstawiciele klanów, którzy zostali na miejscu.

- Pentadrianie odchodzą - oznajmiła Sirri. Po czym musiała podnieść głos, by być słyszana wśród radosnych gwizdów i braw. - Twierdzą, że przybyli do Si, by zawrzeć z nami pokój. Ale Auraya wyczytała z ich myśli prawdziwe intencje. Chcieli nas przekonać, żebyśmy czcili ich bogów. Odesłaliśmy ich.

- A czy możemy być pewni, że nie wrócą i nas nie zaatakują? - zapytał któryś z Mówców.

- Nie możemy - przyznała Sirri. - Wysłaliśmy za nimi zwiadowców. Zachowujemy gotowość do obrony, taką jak wcześniej, tylko że teraz mamy do pomocy Białą.

Auraya starała się nie okazywać wątpliwości. Teraz, kiedy pentadrianie odchodzili, czy Juran nie każe jej wracać do Jarime? Gdy otoczyli ich Mówcy, nachyliła się do ucha Sirri.

- Będą chcieli wysłuchać pełnej historii - szepnęła. - Ale ty, Iriz i Tyzi jesteście zmęczeni. Może zaproponuj, że spotkasz się z nimi wieczorem i opowiecie wszystko przy kolacji?

Sirri uśmiechnęła się lekko.

- Dobry pomysł - wymruczała dyskretnie. - To był długi lot - zwróciła się do tłumu. - W tej chwili moi towarzysze chcieliby odpocząć i się odświeżyć. Spotkajmy się wieczorem w Altanie Mówców.

Przywódcy klanów pokiwali głowami. Auraya wyczuła falę ulgi Iriza.

- Wtedy będziemy rozmawiać - dokończyła Sirri.

Siyee się rozeszli. Auraya ruszyła do swej altany, a Sirri jej towarzyszyła.

- Mam wrażenie, że mogłabym przespać cały tydzień - wyznała Mówca, kiedy były już same. - Nie jestem przyzwyczajona do dalekich lotów. Obowiązki zatrzymują mnie tutaj. - Westchnęła. - Mimo to wątpię, czy zdołam zasnąć.

- Też bym nie mogła, gdyby mój syn dowodził zwiadowcami, którzy obserwują pentadrian. Ale Sreil to rozsądny chłopak. Na pewno nie będzie niepotrzebnie ryzykował.

Sirri spojrzała na Białą z niepokojem.

- Myślisz, że pentadrianie naprawdę odejdą? Auraya pokręciła głową.

- Trudno mieć pewność. Pochwyciłam myślową rozmowę między dowodzącą grupą a jej zwierzchnikiem. Polecił jej zawrócić, ale uprzedził, że rozkazy mogą się zmienić. Nie wydaje mi się to prawdopodobne. Nie sądzę, by zaatakowali Si, ryzykując kolejną wojnę. Ale nie odrzucałabym całkowicie takiej możliwości. Sirri westchnęła.

- Nie podoba mi się, że przez długie dni nic byśmy nie wiedzieli o ataku.

Auraya kiwnęła głową.

- Mnie też się to nie podoba.

- Im szybciej będziemy mieli swoich kapłanów, tym lepiej.

- Owszem.

Stanęły przed wejściem do altany.

- Przynajmniej spróbuj odpocząć - poradziła Auraya przywódczyni Siyee. - Nawet

jeślibyś musiała wymknąć się do jakiejś kryjówki, żeby mieć trochę spokoju.

Sirri zaśmiała się.

- Może trzeba będzie. - Rozejrzała się. Wokół kręciło się kilkoro Siyee. - Tak. To niezły pomysł. Zobaczymy się po kolacji.

Sirri odeszła w głąb lasu. Auraya z uśmiechem odchyliła zasłonę i wsunęła się do altany. Podchodząc do siedzeń na środku pomieszczenia, skupiła umysł na swym pierścieniu.

•*Jura...*

Coś spadło jej na ramię. Podskoczyła, a potem westchnęła z ulgą, kiedy nieprzyjemnie blisko ucha rozległ się piskliwy głosik.

- Ałaja! Ałaja!

- Tak, Figiel - odpowiedziała, odwijając go sobie z szyi. - Wróciłam. Jestem cała i zdrowa. - Ściskał jej rękę i stroszył wąsiki. - I tak, bardzo chcę się z tobą bawić, ale w tej chwili muszę porozmawiać z Juranem.

Kiedy usiadła, wypuścił ją z objęć, po czym zwinął się w kłębek na jej kolanach. Odetchnęła głęboko i znów poszukała umysłu Jurana.

: *Auraya? Tak myślałem, że to ty.*

: *Tak. Właśnie wróciłam do Przestrzeni.*

Juran telepatycznie śledził spotkanie z pentadrianami.

: *Przez całą drogę powrotną myślałam o tym, czego się dowiedzieliśmy. Masz czas, żeby o tym porozmawiać?*

: *Tak. No więc co wymyśliłaś?*

: *Ta kobieta, z którą rozmawialiśmy, twierdzi, że jej przełożony - Nekaun - jest przywódcą wszystkich pentadrian. To znaczy, że wybrali już następcę Kuara.*

: *Wszystko na to wskazuje,* zgodził się Juran. *Albo potężni czarownicy rodzą się wśród pentadrian w zastraszającym tempie, albo wybrali jakiegoś mniej potężnego, żeby podtrzymać wiarę swych podwładnych.*

: *Bardziej prawdopodobne jest to drugie. Ci pentadrianie zostali wysłani do Siyee, by ich przekonać do porzucenia Kręgu i wyznawania ich pięciorga bogów. Czy do innych krajów nie przybyły podobne grupy, mające ten sam cel?*

: *To możliwe. Musimy uważać.*

: *Uznałabym, że nie mają wielkich szans, gdybym była naprawdę pewna, że pentadriańscy bogowie nie istnieją. Czy bogowie odkryli coś nowego?*

: *Niczego nam nie przekazali. A co z Chaią? Nadal z tobą „gawędzi"?*

: *Tak. Ale też nic na ten temat nie mówił.*

: *Pytałaś go?*

: *Oczywiście. Potrafi jednak znakomicie ignorować pytania, na które nie chce odpowiadać.*

: *Powiedziałby ci, gdyby mógł.*

: *Tak sądzisz? Czasami bywa irytującym towarzyszem.*

: *Masz szczęście, że tak często zaszczyca cię swoją obecnością. Wysoko cię ceni, Aurayo. Ciesz się. To nie musi trwać wiecznie.*

Skrzywiła się. Czyżby była niewdzięczna? Nie mogła wyjawić powodów, dla których wizyty Chai uważa za takie... takie... Nie przyszło jej na myśl żadne słowo, które opisałoby to połączenie irytacji i zaciekawienia, które odczuwała.

Łatwo Juranowi tłumaczyć, że powinna się cieszyć z wizyt Chai. Pewnie nigdy żaden bóg nie mruczał mu uwodzicielsko do ucha, pomyślała. I nagle zmarszczyła czoło. A może? Potrząsnęła głową. Wracaj do tematu, nakazała sobie.

: *Wolałabym tutaj zostać, póki nie będę pewna, że pentadrianie odeszli z Si.*

: *Tak. Powinnaś.*

Odetchnęła z ulgą. Po tym, jak ostatnio nie chciał się zgodzić na jej wyprawę do Si, obawiała się, że każe jej natychmiast wracać do Jarime.

: *Wrócę, jak tylko odpłyną.*

Kiedy zerwała połączenie z umysłem Jurana, odruchowo podrapała Figla po grzbiecie. Powinna teraz sprawdzić, co słychać u Danjina. Jednakże coś się zmieniło w jej otoczeniu... I w chwili, kiedy zrozumiała, co to takiego, w jej myślach odezwał się głos.

: *Danjin jest zajęty,* poinformował Chaia. *Jak sama wczoraj powiedziałaś, najpierw obowiązek, potem przyjemność. Zrobiłaś już dzisiaj dosyć. A może zamierzasz pracować bez przerwy przez całą wieczność?*

Uśmiechnęła się.

: *Nie, chyba że tego chcesz.*

: *Nigdy nie było to moim zamiarem. Nasi Wybrańcy powinni od czasu do czasu mieć trochę radości. A jeszcze lepiej, jeśli cieszy nas nawzajem nasze towarzystwo.*

Poczuła ulotne muśnięcie magii na ramieniu. Wzbudziło dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa. Trudno było nie myśleć, jaki potencjał kryły takie wrażenia, gdyby tylko były silniejsze albo przewędrowały z okolic szyi w inne miejsca...

: *Wystarczy, że poprosisz, a pokażę ci...*

Przypomniała sobie słowa Jurana: „Masz szczęście, że tak często zaszczyca cię swoją obecnością... Ciesz się. To nie musi trwać wiecznie”.

Ale przecież nie chodziło mu o to...

: *Nie, ale w jednym ma rację: nikogo innego tak nie wyróżniam.*

Niewidzialny palec dotknął jej wargi, a potem wykreślił linię wzdłuż szyi i piersi do brzucha... i zniknął. Poczuła, że oddycha szybciej.

Bóg, myślała. Dlaczego nie? Czy opieram się, bo nie chcę przyciągnąć kolejnego nieodpowiedniego kochanka?

: *Nie nieodpowiedniego,* poprawił ją Chaia. *Może niezwykłego, ale to przecież nic, czego należałoby się wstydzić.*

Nie tak, jak z Leiardem, myślała. Ale jednak to... skomplikowane.

: *Nie tak skomplikowane, jak się obawiasz. Ja nie ucieknę od ciebie tak jak on, Aurayo.*

Poczuła jego dotyk na ramionach i zamknęła oczy.

: *Odeślij go w przeszłość, by stał się miłym wspomnieniem, do którego możesz wracać,* szepnął Chaia.

Jego niewidoczne palce przesunęły się po jej piersiach.

: *Chodź za mną do miejsca pomiędzy snem a jawą...*

Poczuła jego wargi na swoich. Z początku był to tylko lekki dotyk magii, ale stawał się wyraźniejszy, kiedy zapadała się w senny trans.

: *...i rozpocznij ze mną nową teraźniejszość.*

: *Tak,* szepnęła, wyciągając ręce do jaśniejącej postaci przed sobą. *Pokaż mi, jak mogłoby być.*

Zalała ją fala rozkoszy bardziej intensywnej niż wszystko, czego dotąd doświadczyła.

24

Reivan ziewnęła i przysunęła sobie krzesło do biurka. Pracowała do późna, pomagając Imenji w przygotowaniu traktatu handlowego. W rezultacie dziś rano przyszła spóźniona. Dokuczliwy ból głowy przypominał jej o minionym dniu, a nieustające jęki wiatru za oknem - od kilku dni niosącego chmury pyłu - zaczynały ją denerwować.

Awans na pełną Sługę zakończył okres nauki, ale nowe obowiązki szybko zajęły cały czas, poświęcany wcześniej na lekcje. Imenja powierzyła jej więcej zadań. Należały do nich wstępne rozmowy z ludźmi proszącymi o spotkanie z Drugim Głosem i podejmowanie decyzji, czy ich sprawa albo ich pozycja były dostatecznie ważne, by takie spotkanie się odbyło.

Dostała pokój niedaleko frontu Sanktuarium, gdzie miała przyjmować petentów. Prowadziło do niego dwoje drzwi - publiczne i prywatne. Te prywatne pozwalały jej wchodzić i wychodzić, unikając zaczepek ludzi czekających przed tymi publicznymi.

Przydzielono jej też asystenta, Sługę Kikarna. Był brzydkim mężczyzną, tak chudym i wysuszonym, że wyglądał na wiecznie nasrożonego. Odkryła jednak, że był bystry i inteligentny.

Kiedy usiadła, położył jej na blacie wyjątkowo długą listę, a ona stłumiła jęk.

Na korytarzu czeka dziś prawdziwy tłum, pomyślała niechętnie.

- Co dzisiaj rano przywiał wiatr? Kikarn parsknął.

- Wszystko, od złotego piasku po śmieci - odparł. - Kupiec Ario chce przekupić... ehm, to znaczy ofiarować Drugiemu Głosowi dużą darowiznę.

- Jak dużą?

- Wystarczy, żeby wybudować nową świątynię.

- Imponujące. A czego chce w zamian?

- Niczego, oczywiście. Uśmiechnęła się.

- Co jeszcze?

- Kobieta, która była domową w Kave, twierdzi, że żona Wielkiego Wodza zaczęła czcić martwego boga. Mówi, że ma dowody.

- Musi być tego pewna, inaczej nie prosiłaby o spotkanie z Drugim Głosem Imenją.

- Chyba że nie zdaje sobie sprawy z umiejętności czytania myśli przez Głosy.

- Zobaczymy. - Przesunęła wzrokiem wzdłuż listy i zatrzymała się przy znajomym nazwisku.

- Myśliciel Kuerres?

- Chce się zobaczyć z tobą.

- Nie z Imenją? - Nie.

- A w jakiej sprawie?

- Nie chce powiedzieć, ale twierdzi, że to pilne. Czyjeś życie może od tego zależeć.

Rzeczywiście, musi chodzić o życie, skoro Myśliciel zdecydował się ze mną rozmawiać, pomyślała.

- A inni?

- Nie tak ważni jak pierwsza dwójka.

- Pierwsza dwójka zajmie sporo czasu. Wprowadź Kuerresa. Nigdy nie przesadzał i nie kłamał. Najpewniej chcą się dowiedzieć, co zrobiłam z książkami i instrumentami.

Kikarn skłonił się. Kiedy szedł do drzwi, zastanawiała się, co wie o Kuerresie. Należał do tych spokojniejszych Myślicieli. Nigdy nie traktował jej niegrzecznie, ale też nigdy nie poświęcał jej uwagi. Zmarszczyła czoło, szukając w pamięci potencjalnie użytecznych faktów. Miał rodzinę. Trzymał menażerię egzotycznych zwierząt...

Nic więcej nie potrafiła sobie przypomnieć. Rozpoznała mężczyznę w średnim wieku, który wszedł do pokoju, ale jego zachowanie było całkiem inne, niż pamiętała. Rozglądał się niespokojnie, twarz miał bladą i nerwowo splatał dłonie.

- Myślicielu Kuerresie - powitała go. - Miło cię znowu widzieć. Usiądź, proszę.

- Sługo Reivan - odpowiedział, spoglądając na gwiazdę na jej piersi. Obejrzał się na Kikarna, podszedł i zajął miejsce na krześle.

- Co cię sprowadza do Sanktuarium?

- Ja... muszę donieść o przestępstwie.

Zastanowiła się. Myślała, że jest nerwowy, ponieważ musiał przyjść do Sanktuarium i rozmawiać z ważnymi osobami. Teraz zaczęła podejrzewać, że wplątał się w jakieś kłopoty.

- Mów dalej - zachęciła go. Nabrał tchu.

- Wczoraj zjawił się u nas... u Myślicieli... pewien kupiec. Bardzo bogaty kupiec, który szukał informacji i był skłonny dużo za nie zapłacić. - Kuerres przerwał na moment, by spojrzeć jej w oczy, i dokończył: - Chciał się dowiedzieć czegoś o Elai.

- O morskim ludzie? Niektórzy z Myślicieli nie wierzą nawet w jego istnienie.

- Tak. Powiedzieliśmy mu wszystko, co wiemy, ale nie był zadowolony. Zapytał, czy ktoś z nas zna się na hodowli dzikich zwierząt, więc zaproponowałem mu swoje usługi.

Reivan uśmiechnęła się.

- Pozwól, że zgadnę: kupił jakieś duże, morskie stworzenie i sądził, że może ono być

źródłem legendy?

Kuerres pokręcił głową.

- Raczej odwrotnie. Zaproponowałem mu pomoc. Byłem ciekaw. Zaprowadził mnie do swojego domu. To, co tam znalazłem, było... - zadrżał cały - .. .straszne. Przerażone i chore dziecko, ale dziecko, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Dziewczynka. Gruba czarna skóra. Całkowicie bezwłosa. Duże dłonie i stopy z błoną między palcami.

- Stopy? Nie rybi ogon?

- Rybiego ogona nie miała. Ani skrzeli. Ale to stanowczo... stworzenie wodne. Nie mam wątpliwości, że to dziecko należy do Elai.

Reivan poczuła dreszcz podniecenia, ale opanowała się odruchowo. Myśliciele nie pozwalali, by emocje wpływały na rozum. Zbyt łatwo jest przekonać samego siebie do czegoś, jeśli tylko bardzo nam na tym zależy.

- Czy kupiec powiedział, gdzie ją znalazł?

- Nie. Skarżył się, że kosztowała majątek, i mówił o niej, jakby była zwierzęciem. - Z odrazą potrząsnął głową. - Ona nie jest zwierzęciem. Jest człowiekiem. Kupując ją i przetrzymując, łamie nasze prawa.

- Zniewolenie niewinnego... Kim jest ten kupiec? Zmarszczył niechętnie nos.

- Devlem Wheelmaker. To Genrianin. Przed wojną zmienił nazwisko.

- Słyszałam o nim. Jeszcze dzisiaj przekażę te wieści Drugiemu Głosowi i jestem pewna, że będzie miała...

- Musisz coś zrobić natychmiast! - przerwał jej. - On na pewno podejrzewa, że na niego doniosę! Może się jej pozbyć... zabić ją... zanim tam dotrzecie!

Patrzył na nią wzburzony, wyraźnie bardzo przejęty bezpieczeństwem tej morskiej dziewczynki. Reivan złożyła dłonie i zastanowiła się.

Jeśli kupiec wierzy, że dziewczynka jest zwierzęciem, będzie uważał, że żadnego przestępstwa nie popełnił. Niemniej jednak nie zechce ryzykować, że inni dojdą do tych samych wniosków co Kuerres. Karą za zniewolenie niewinnego była niewola dla przestępcy.

Albo ją zabije, albo przeniesie w inne miejsce, zależnie od tego, ile go kosztowała. Tak czy tak, im szybciej zaczniemy działać, tym większa jest szansa, że znajdziemy tę dziewczynkę, zanim zrobi jej krzywdę.

Ale opuszczanie Sanktuarium w celu ratowania dziecka nie należało do jej obowiązków. Nie miała też uprawnień, by przeszukać posiadłość tego człowieka. Potrzebowała pomocy Imenji. Czy sprawa jest dostatecznie ważna, by niepokoić Drugi Głos?

A może jestem tylko ciekawa, czy to dziecko jest Elai?

Ale czy jest, czy nie, uwięzili ją jak zwierzę. Imenja na pewno zechce coś z tym zrobić.

Odetchnęła głęboko, położyła dłoń na wisiorze i zamknęła oczy.

: *Imenjo?*

Zaczekała chwilę, a potem zawołała jeszcze raz. Nie miała specjalnych Talentów magicznych, więc często potrzebowała kilku prób, nim wisior zaczął działać. Wreszcie napłynęła odpowiedź.

: *Czy to ty, Reivan?*

: *Tak.*

: *Dzień dobry. Czemu mnie budzisz tak wcześnie?*

: *Powiadomiono mnie o przestępstwie.*

: *Mów.*

Przekazała Imenji opowieść Kuerresa o dziewczynce.

: *To okropne. Musisz ją uwolnić. Jeśli jej tam nie znajdziesz, przyprowadź kupca do mnie. Wyczytam z jego myśli, gdzie ją ukrył.*

: *Tak zrobię.*

Otworzywszy oczy, Reivan zobaczyła wpatrzonego w nią Kuerresa. Starała się ukryć rozbawienie jego ciekawością.

- Załatwimy to od razu - powiedziała.

Kikarn zaprotestował cichym westchnieniem. Odgadła, że myśli o interesantach, którzy wciąż czekali na rozmowę.

- Sługo Kikarnie, przekaż domowej z Dekkaru, by czekała na mój powrót, ale innych zawiadom, że mam pilną i nieoczekiwaną sprawę i że przyjmę ich jutro. Zapewnij Ario, że on będzie pierwszy.

Uśmiechnął się i skłonił głowę. Reivan wstała, a Kuerres poderwał się natychmiast.

- Czy chcesz mi towarzyszyć? - zwróciła się do niego. Zawahał się.

- Powinienem wracać do domu...

- A więc wracaj. Kiedy będzie po wszystkim, prześlę ci wiadomość. Zwykłym posłańcem, nie takim z Sanktuarium.

- Dziękuję ci, Reivan - odpowiedział z ulgą. - Sługo Reivan.

Uśmiechnęła się.

- To ja dziękuję, że dostarczyłeś tę informację do Sanktuarium, Myślicielu Kuerresie. Jesteś dobrym człowiekiem i mam nadzieję, że twoje czyny ci nie zaszkodzą.

- Są tacy, którzy mnie poprą - zapewnił ją. Ruszył do drzwi, ale zatrzymał się jeszcze i

obejrzał. - Są również tacy, którzy popierają ciebie.

Zaskoczona Reivan odprowadzała go wzrokiem. Żałowała, że nie potrafiła się zmusić, by zapytać, kim są jej stronnicy... Ale wiedziała, że nie powiedziałby nic więcej.

Tyve stale informował o tym, jak wygląda teren przed nimi; więc Mirar poruszał się szybciej niż wtedy, kiedy wraz z Emerahl wkroczyli do Si. Chłopak krążył w górze, ostrzegał przed zamkniętymi rozpadlinami i kierował go ku wąwozom, które pozwalały na łatwiejszy marsz. Co wieczór odlatywał, by odwiedzić swoją wioskę, a co rano wracał jeszcze bardziej zmartwiony. Chorowało coraz więcej jego krewniaków. Umarło niemowlę, potem jego matka, osłabiona trudnym porodem. Veece gasł szybko.

Z każdym jego powrotem Mirar nabierał pewności, że Siyee padli ofiarą zarazy. Szedł od brzasku do zmroku, przystając tylko, by coś zjeść i się napić. Wiedział, że sytuacja w wiosce pogarsza się z każdą godziną.

Wiele razy przeżył już zarazę. Urazy, rany i lżejsze choroby nie były trudne dla czarownika posiadającego wiedzę o uzdrawianiu i dodatkowo pewne zdolności magiczne. Ale gdy zaraza rozprzestrzenia się szybko, w krótkim czasie brakuje uzdrowicieli, którzy mogliby leczyć wszystkich zainfekowanych - o ile nie potrafią sami zwalczyć choroby.

A tutaj w Si ty jesteś jedynym, zauważył Leiard.

Mirar westchnął.

Gdybym tylko zdołał powstrzymać Siyee przed opuszczaniem wioski i roznoszeniem choroby...

Wysłał do nich tę wiadomość, ale wieści, jakie przyniósł Tyve, były niepokojące. Już teraz niektóre rodziny uciekły do innych klanów. Wysłano posłańców do Przestrzeni.

Ogarnia ich panika, stwierdził Leiard. *Zwalczanie strachu przed chorobą będzie tak samo trudne jak pokonanie samej choroby.*

Mirar nie odpowiedział. Skaliste zbocze, którym schodził w dół, zmieniło się w ogromne, nierówne stopnie i poruszanie się po nim wymagało całkowitego skupienia. Przeskakiwał z półki na półkę, a każde lądowanie wywoływało wstrząs całego ciała.

Stopnie stawały się powoli coraz niższe, a drzewa wokół coraz większe. W krótkim czasie szedł już po miękkim, zasypanym liśćmi gruncie, pomiędzy pniami gigantycznych drzew. Powietrze było wilgotne. W pobliżu pluskał strumień, rozgałęział się i łączył, tu i tam rozlewając się w małe jeziorka.

Okolica wyglądała przyjemnie i nadawała się na biwak - jeśli nie liczyć lekkiego odoru zwierzęcych odchodów. To pewnie uczęszczany trakt leśnych zwierząt...

Przypomniał sobie o celu swej wędrówki i przyspieszył.

Usłyszał ostrzegawczy świst Siyee i znieruchomiał.

Uniósł głowę i zobaczył wśród konarów liczne platformy. Twarze wysuwały się znad krawędzi i spoglądały na niego z lękiem, nadzieją i zaciekawieniem.

Dotarł do wioski.

Z prawej strony wyleciał mu na spotkanie Siyee - Tyve.

- Niektórzy opuścili ci liny, żebyś mógł wejść - oznajmił. - Inni są zbyt podejrzliwi. Zmienią zdanie, jeśli wyleczysz kilkoro z nas.

Mirar kiwnął głową.

- Ilu w tej chwili choruje?

- Nie wiem. Dziesięcioro, kiedy ostatnio liczyłem.

- W takim razie zaprowadź mnie do tych najbardziej chorych. Potem poleć do wszystkich i sprawdź, ilu choruje, a ilu zdradza pierwsze objawy.

- Dobrze. Chodź za mną.

Tyve przeszedł kilkaset kroków między drzewami, do liny wiszącej z platformy. Mirar uwiązał ją do uchwytu swej torby.

- Kto mieszka na górze?

Tyve przełknął ślinę i uniósł wzrok.

- Mówca Veece, jego żona i jej siostra.

Starzec... Mirar stłumił westchnienie. Nawet wśród ziemiochodzących sercożer najczęściej zabiera ludzi starych albo bardzo młodych.

Chwycił linę i zaczął się wspinać.

To była długa droga. W połowie spojrzał w dół i pomyślał, co by się stało, gdyby teraz spadł.

Na pewno byłby ranny. Prawdopodobnie ciężko. Być może tak, że zwykły śmiertelnik by tego nie przeżył.

Ale przecież by nie umarł. Jego ciało by się zregenerowało, choć powoli.

Jak wtedy, kiedy wyciągnęli mnie spod gruzów zburzonego Domu Tkaczy Snów w Jarime. Byłem jedynie workiem połamanych kości, nie całkiem martwym, ale też nie całkiem żywym. Umysłem skupionym na utrzymywaniu się przy życiu tylko w takim stopniu, by się regenerować. Części mnie rozpadały się, gdy inne się leczyły...

Zadrżał.

Myśl o czymś innym, zasugerował Leiard.

Mirar odetchnął głęboko i skoncentrował się na wspinaczce. Kiedy wreszcie dotarł na samą górę, podciągnął się na platformę i zdyszany położył na plecach. Kiedy uspokoił

oddech, przetoczył się i zobaczył przyglądające mu się czujnie dwie kobiety Siyee.

Chorują, zauważył Leiard.

Nie mylił się. Twarze miały blade i lśniące od potu, wargi trochę zsiniałe. Mimo swej nazwy, choroba atakowała przede wszystkim płuca. Ogarniała je powoli i ofiara oddychała z coraz większym trudem, co osłabiało krew. W pewnych okolicach zaraza znana była jako biała śmierć.

Wstał. Na platformie zbudowano altanę, a ze swego miejsca widział też altany na większości pozostałych platform - i wielu wpatrzonych w niego Siyee. Zwrócił się do obu kobiet.

- Jestem Wilar, tkacz snów. Jeśli chcecie, spróbuję pomóc Mówcy Veece'owi.

Porozumiały się wzrokiem i kiwnęły głowami.

- Dziękujemy, że przyszedłeś. On leży wewnątrz - wychrypiała jedna z nich i rozkaszlała się gwałtownie.

- Wciągnę moją torbę z lekami, a potem zobaczę, co mogę dla niego zrobić.

Zaczął zwijać linę. Miał wrażenie, że minęły godziny, nim wreszcie torba dotarła na platformę. Odwiązał ją szybko i wszedł do altany.

Na kocu pośrodku leżał Mówca. Wprawdzie Mirar nigdy wcześniej go nie spotkał, ale nie sądził, by mężczyzna go poznał, nawet gdyby kiedyś ze sobą rozstawiali. Blada skóra obciągała kości chorego. Wargi miał ciemnosine, oddychał płytko i z wysiłkiem.

Jest bliski śmierci, mruknął Leiard.

Tak, zgodził się Mirar. *Ale jeśli go nie ocalę, czy reszta klanu będzie mi ufać?*

Może. Może nie. Lepiej bierz się do pracy.

Mirar otworzył torbę i zaczął przeglądać jej zawartość. Głuchy stuk na zewnątrz odwrócił jego uwagę od leków; obejrzał się i w otworze wejścia zobaczył Tyve'a.

- Dwudziestu zachorowało, dwunastu źle się czuje, reszta twierdzi, że nic im nie dolega - zameldował chłopak.

Mirar kiwnął głową.

Szkoda, że Emerahl nie została, pomyślał. Przydałaby mi się jej pomoc.

- Nie oddalaj się - poprosił Tyve'a. - Możesz mi być potrzebny, żeby... - Zmarszczył czoło i zwrócił się do żony Veece'a. - Skąd bierzecie wodę?

Kobieta wskazała niewielki otwór w podłodze. Obok stało wiadro i leżał zwój liny.

- Wciągamy tutaj ze strumienia w dole. Przypomniał sobie kręte koryto strumienia i wyczuwalny fetor.

- A gdzie usuwacie odchody? Znowu pokazała w dół. - Woda je zmywa.

- Nie dość szybko - stwierdził. Wzruszyła ramionami.

- Kiedyś to wystarczało, ale powyżej osunęło się zbocze i część wody płynie teraz obok.

- Powinniście oczyścić koryto albo przenieść wioskę - stwierdził. - Tyve, przynieś mi trochę wody, ale nabierz jej daleko powyżej wioski. I nie używaj żadnego z naczyń, które zanurzaliście w strumieniu.

Chłopiec kiwnął głową i odleciał. Mirar wyczuł irytację kobiety i spojrzał jej w oczy.

- Lepiej się zabezpieczyć - powiedział.

Spuściła wzrok i przytaknęła. Mirar podszedł do leżącego Veece'a i przystąpił do pracy.

25

Tłum otaczający dwóch kapłanów składał się głównie z dzieci. Z umysłów nielicznych dorosłych Auraya wyczytała, że ta para dostarczała zajęcia dla całej młodzieży Przestrzeni, ale dorośli także słuchali uważnie, świadomi tego, że to, czego nauczają ziemiochodzący, wpłynie na przyszłość ich ludu.

Za kapłanami siedziała czwórka Siyee, wszyscy zasłuchani. Zapamiętywali nie tylko opowieści i lekcje, ale także sposób, w jaki były przekazywane. Najstarszą z nich była kobieta trzydziestopięcioletnia, najmłodszym piętnastoletni chłopak. Wszyscy mieli nadzieję i ambicje, by stać się kapłanami i kapłankami.

Auraya poczuła przypływ dumy. Jeśli będą się dobrze uczyć i przejdą próby, ich marzenia się spełnią. Będą pierwszymi kapłanami Siyee.

Ten, który teraz przemawiał - kapłan Magen - dokończył opowieść i wykonał znak kręgu. Zerknął na Aurayę, po czym oświadczył słuchaczom, że zajęcia dobiegły końca. Wyczuła rozczarowanie dzieci, ale kiedy wstały i zaczęły omawiać z opiekunami, co mają teraz robić, uczucie to szybko się rozwiało.

Podeszła, aby przywitać się z kapłanami. Obaj wykonali formalny, oburęczny znak kręgu - coś, co kandydaci na kapłanów obserwowali z ciekawością.

- Macie dziś liczną publiczność - zauważyła.

Danien kiwnął głową.

- Tak. O ile wiem, jest kilkoro nowych dzieci z innego klanu. Ich rodzice przybyli tu w odwiedziny.

- Wejdź do środka - zachęcił Magen. - Jadłaś już coś? Jakaś kobieta właśnie przysłała nam parę pieczonych girri, w podziękowaniu za wyleczenie złamanej kostki.

- Nie, nie jadłam - odparła. - A wystarczy dla wszystkich? Magen uśmiechnął się.

- Aż nadto. Siyee są bardzo hojni.

Kapłan skinął uczniom głową, a potem zaprowadził wszystkich do dużej altany, którą przygotowano dla ziemiochodzących. Usiedli na drewnianych stołkach pośrodku pomieszczenia, a wtedy podano jedzenie.

- Bardzo szybko nauczyliście się mowy Siyee - zauważyła Auraya.

- Kiedy zna się już kilka innych języków, łatwiej jest opanować nowe. Mowa Siyee nie jest taka trudna, gdy już się zauważy podobieństwa do języków ziemiochodzących - odparł Danien.

- Pomagał nam tutejszy młody człowiek, Tryss - poinformował Magen.

- Ach, Tryss. - Auraya pokiwała głową. - Mądry chłopak.

- Twoje rady o tabu, zwyczajach i manierach także nam pomogły - dodał Danien. - Myślę tu o...

- Aurayo z Białych?

Odwróciła się i zobaczyła przy wejściu bardzo zatroskaną Mówcę Sirri. Obok niej stał młody Siyee. To on przyniósł złe wieści, wyczytała w jego myślach Auraya. Choroba...

- Mówco Sirri - rzekł Magen, wstając. - Witaj. Czy przyłączycie się do nas?

Sirri zawahała się, po czym weszła do środka.

- Tak. Dziękuję. To jest Reet z klanu Północnej Rzeki. Młody Siyee kiwał uprzejmie głową każdej przedstawianej osobie.

- Wejdźcie i usiądźcie - poprosił Magen i wskazał im miejsca.

Sirri nie uśmiechnęła się, siadając.

- Reet przybył do Przestrzeni w poszukiwaniu pomocy - oświadczyła. - Jego klan cierpi na chorobę, o której nigdy nie słyszeliśmy. Nasi uzdrowiciele także nie znają takiej dolegliwości, dlatego przyszliśmy zapytać, czy coś o niej wiecie.

- Reet, czy możesz ją opisać? - poprosiła Auraya. Skupiła się na jego umyśle, gdy opowiadał o chorobie, która nawiedziła jego rodzinę i krewnych. Poczuła dreszcz, kiedy rozpoznała objawy.

- Wiem, co to jest - przerwała. Chłopiec patrzył na nią z nadzieją. Zwróciła się do Magena. - To sercożer.

- Biała śmierć - rzekł kapłan z poważną miną. - Od czasu do czasu pojawia się wśród ziemiochodzących.

Sirri spojrzała niespokojnie na Aurayę.

- Macie na nią lekarstwo?

- I tak, i nie - odparła. - Są metody leczenia, które łagodzą objawy, ale nie zabijają samej choroby. Tego musi dokonać ciało chorego. Magiczne uzdrawianie może zwiększyć wytrzymałość pacjenta, ale nie potrafi usunąć choroby, gdyż grozi to uszkodzeniem ciała.

- Największe niebezpieczeństwo stanowi dla niemowląt i dzieci, a także osób starszych i słabych - dodał Magen. - Zdrowi dorośli przez kilka dni leżą w gorączce, a potem wolno wracają do zdrowia.

- Wcale nie - przerwał Reet. - Przedwczoraj umarła moja kuzynka. Miała dwadzieścia dwa lata!

W altanie zapadła cisza, wszyscy wymienili zalęknione spojrzenia. Danien zwrócił się

do Aurai.

- Czy sercożer mógł stać się silniejszy?

- Być może. Jeśli tak, to musimy być wyjątkowo ostrożni i dopilnować, aby się nie rozprzestrzenił - odparła. - Czy ktoś oprócz ciebie opuścił siedzibę klanu? Czy odwiedzali was jacyś obcy, odkąd zaczęły się zachorowania? Reet popatrzył na nią zdziwiony.

- Oprócz mnie? Kiedy już się zaczęło, odeszły dwie rodziny. Jedna do klanu Północnego Lasu, druga zjawiła się tutaj. Kiedy opuszczałem wioskę, nie mieliśmy żadnych gości.

To te nowe dzieci, przypomniała sobie Auraya. Po chwili usłyszała westchnienie Magena i wiedziała, że on też o tym pomyślał.

Popatrzyła na Sirri.

- Musisz znaleźć tę rodzinę i odizolować ją od pozostałych. Odszukać wszystkich, z którymi się spotykała od przybycia, i ich także izolować.

Sirri skrzywiła się.

- To się im pewnie nie spodoba. A co z klanami Północnej Rzeki i Północnego Lasu?

- Wyślij kogoś do klanu Północnego Lasu, niech sprawdzi, czy ktoś tam zachorował. A co do klanu Północnej Rzeki... - Auraya zastanowiła się.

Lepiej by było wyleczyć ich na miejscu, ale czy może opuścić Przestrzeń? A jeśli pentadrianie zaatakują? Każdy meldunek o ataku dotrze najpierw do Przestrzeni. Spojrzała na Daniena i Magena. Mogli się z nią kontaktować poprzez pierścienie.

- Polecę do nich - powiedziała. - Danien i Magen będą moim połączeniem z wami. Cokolwiek chcielibyście mi przekazać, powiedzcie im. Oni się ze mną skontaktują.

Sirri kiwnęła głową.

- Tak uczynię. Kiedy chcesz lecieć?

- Jak tylko będę mogła. Może przyda ci się moja pomoc, aby wyjaśnić tym rodzinom, dlaczego muszą się izolować. Chciałabym też zabrać lekarstwa. Masz takie, które mogą pomóc?

Sirri wstała.

- Powiedz, czego ci trzeba, a zaraz kogoś poślę. A teraz chodź ze mną. Im szybciej odizolujemy te rodziny, tym lepiej. Co z Reetem?

Auraya odwróciła się i przyjrzała chłopcu.

- Ty też możesz przenosić chorobę - powiedziała do niego łagodnie.

- Rozprzestrzenia się przez dotyk - wyjaśnił Magen. - I przez oddech. Z kim rozmawiałeś, odkąd tu przybyłeś, Reet?

- Tylko z Mówcą Sirri. Nie dotykałem jej.

- Czy także muszę się odizolować? - spytała Sirri. - Kto będzie kierował klanem w czasie mojej nieobecności?

Auraya zastanowiła się.

- Jeśli będziesz bardzo uważać, aby nikogo nie dotykać... Magen może otoczyć cię magiczną osłoną, tak by twój oddech do nikogo nie dotarł. Za parę dni, jeśli nie pojawią się objawy, możesz uznać, że się nie zaraziłaś. To samo dotyczy wszystkich tu obecnych - zwróciła się do uczniów. - Jeśli Reet jest chory, mógł was zarazić. Trzymajcie się z dala od pozostałych, chyba że kapłan będzie was osłaniał.

- Czy mogę wrócić do klanu? - zapytał Reet.

- Dlaczegóż by nie - odparła Auraya. - Pod warunkiem, że tam zostaniesz.

- Ale najpierw odpocznij i coś zjedz - dodał Magen.

- O tak. - Auraya wstała. - A ja lepiej wezmę się do pracy. Skinęła kapłanom na pożegnanie, a potem wyszła z altany za Sirri.

Choć Imi przebywała w tym pomieszczeniu od kilku godzin, nic nie wiedziała o swoim nowym otoczeniu. Miała nadzieję, że oczy przyzwyczają się do ciemności, ale nic z tego. To, w jaki sposób dźwięki odbijały się od ścian, sugerowało pomieszczenie duże jak ładownia statku piratów. Podłoga była z zimnego kamienia, ale nie miała jeszcze dość sił, aby sprawdzić, czy ściany również.

Mogła tylko zakładać, że minęły godziny. Nie dało się mierzyć upływu czasu. Jej rodacy w domu zawsze potrafili powiedzieć, która jest godzina - patrzyli na lampę czasową. Zbiornik oleju był wyskalowany co godzinę. Aby wyliczyć czas, mogli też używać miar pływów - gdziekolwiek znajdowała się pływowa sadzawka, tam wyryto w kamiennym brzegu skalę czasu.

Burczało jej w brzuchu. Znowu przypomniała sobie tacę, *Z* której nakarmił ją ten miły ziemiochodzący. Zostawił jej jedzenie, a ona w ciągu kilku godzin dojadła je wolno. Słona woda koiła skórę i Imi zaczynała czuć się lepiej.

Teraz miała tylko duży kocioł morskiej wody, z którego mogła się ochlapać. Stał obok niej, w ciemności.

Dlaczego? pomyślała. Co ja tu robię?

Przypomniała sobie kłótnię pomiędzy tym miłym ziemiochodzącym a tym niedobrym. Niedobry musiał zobaczyć albo usłyszeć, jak ten miły planuje ją ratować. Przeniósł ją, aby zachować dla siebie.

Ale dlaczego chce mnie zachować? Chce, żebym dla niego pracowała? Jak ci piraci i

poszukiwacze morskich dzwonków?

Na wspomnienie morskich dzwonków poczuła ukłucie bólu. Mam nadzieję, że nigdy już ich nie zobaczę. Nienawidzę ich. Nie powinnam była opuszczać miasta. Jak mogłam być taka głupia? Przewróciła się na plecy i zamrugała, strącając łzy spod powiek. Powinnam pomyśleć o zagrożeniach na zewnątrz. Na tym polega mój problem: najpierw działam, a potem myślę.

Teraz mam mnóstwo czasu na myślenie. Zmarszczyła brwi. Może wpadnę na to, jak się stąd wydostać. Jaka jest szansa, że znajdzie mnie tu mój ojciec lub jakiś przystojny wojownik? Nie wiedzą, gdzie jestem. Nie wie też tego ten miły ziemiochodzący. Nie powinnam czekać, aż ktoś inny mnie uratuje, tylko sama działać.

Westchnęła. Ale co mogę zrobić? Nie wiem nawet, gdzie jestem. Wiem tylko, że w jakimś pomieszczeniu.

Może odkryje coś więcej, jeśli je zbada. Może jeśli zacznie robić hałas, ktoś zejdzie i sprawdzi, co się dzieje...

Wciąż była ogromnie znużona. Z wysiłkiem uniosła się na nogi i zatoczyła do przodu. W ciemności trudno było zachować równowagę i kilka razy prawie się przewróciła. Aż wreszcie wyciągnięta ręka trafiła na twardą powierzchnię.

Kamień. Pomacała dookoła i znalazła w tym kamieniu jakieś kanaliki. Domyśliła się, że to wypełnione zaprawą szczeliny między cegłami. Obeszła pomieszczenie dookoła, obmacując ścianę i starając się wyczuć jakąkolwiek różnicę. Minęła dwa rogi, nim wreszcie trafiła na drzwi.

Były drewniane, a po wewnętrznej stronie miały metalowe zawiasy. Nabrała tchu i krzyknęła, a głos odbił się ogłuszającym echem. Jednocześnie zaczęła walić w drzwi pięściami.

Po kilku krzykach musiała przerwać. Kręciło się jej w głowie i bolały ją ramiona. Osunęła się, oparta o drzwi.

Z zewnątrz usłyszała zbliżające się kroki.

Rozgorzała w niej nadzieja i wróciły siły. Krzyknęła z nowym entuzjazmem. Głosy rozległy się tuż za drzwiami, które zadrżały, gdy szczęknął zamek. Cofnęła się, a drzwi stanęły otworem. Zobaczyła dwóch mężczyzn.

Serce w niej zamarło. Jednym z nich był jej dozorca, a drugim ktoś obcy. Nowo przybyły patrzył na nią chciwym, zimnym wzrokiem, a ona poczuła, jak umiera w niej wszelka nadzieja. Nogi się pod nią ugięły. Drgnęła, gdy kolana zetknęły się z kamienną podłogą.

Mężczyźni nie zwracali na nią uwagi i rozmawiali ściszonymi głosami. Jej dozorca wskazał coś na podłodze za drzwiami. Chciwy mężczyzna schylił się i podniósł to.

To był worek. Kiedy obcy ruszył do Imi, cofnęła się, jednak nie miała dokąd uciekać. Walczyła, ale uderzył ją i wymówił jakieś słowa, których nie zrozumiała. Doskonale jednak pojęła ich ostrzegawczy ton. Kiedy znalazła się w worku, podniósł ją i gdzieś zabrał. Czuła, że idą w górę, a potem przez tkaninę zauważyła światło słońca. Znowu włożono ją w jakieś ciemne miejsce, a podłoga zaczęła się kołysać.

W głowie się jej kręciło, gdy nasłuchiwała dziwnych odgłosów dookoła. Było ich coraz więcej i były coraz głośniejsze. Ludzka mowa zagłuszała wszystko. Poczuła fale grozy - otaczali ją ziemiochodzący. Aż nazbyt łatwo było sobie wyobrazić, że wszyscy są jak piraci i dozorca: chciwi i okrutni.

Ale ten miły ziemiochodzący był inny, przypomniała sobie. Musi być więcej takich jak on. Może w tym tłumie? A gdyby krzyknęła o pomoc? Gdyby udało jej się wydostać z worka i z pojazdu?

Zaczęła się poruszać i poczuła, że jej noga czegoś dotyka. To coś odsunęło się gwałtownie, a potem uderzyło ją w łydkę. Syknęła z bólu. Głos mruknął coś gniewnie.

Jeśli krzyknie, on uderzy ją znowu, ale może warto spróbować? Zebrała wszystkie siły do krzyku, ale zrezygnowała, gdyż podłoga przestała się poruszać.

Z bliska przemówił kolejny głos. On i ten chciwy mężczyzna rozmawiali uprzejmie. Jakieś ręce pochwyciły ją i uniosły, rozpoznała zapach morza i równocześnie usłyszała dobrze znane skrzypienie i chlupotanie statku.

Nieśli ją w górę, potem w dół i położyli na twardej podłodze. Leżała nieruchomo, rozpoznając znajome kołysanie. Zbierało się jej na mdłości. Nad nią krzyczeli ludzie. Na statkach ludzie zawsze krzyczą... Słyszała zbliżające się kroki. Tkanina poruszyła się, a potem odsunęła. Strąciła ją z siebie i odetchnęła świeżym powietrzem.

Uniosła głowę i znieruchomiała zaskoczona.

Zamiast chciwego mężczyzny stały nad nią dwie kobiety. Obie miały wielowarstwowe czarne szaty i srebrne wisiory na piersiach. Uśmiechały się do niej.

- Witaj, Imi - powiedziała ta starsza. - Jesteś bezpieczna.

Imi patrzyła na nią zdumiona. Wymówiła moje imię? Skąd je zna? I jak to możliwe, że posługuje się językiem Elai?

Kobieta pochyliła się i wyciągnęła rękę.

- Nikt nie będzie cię więcej krzywdził. Chodź z nami, a my ci pomożemy.

Imi poczuła, że łzy stają jej w oczach - nareszcie zjawili się wybawcy. Nie wyglądali

tak jak ci, których sobie wyobrażała. Żadna z nich nie była jej ojcem ani wielkim wojownikiem, ani nawet tym miłym ziemiochodzącym. Dwie zwykłe kobiety.

Ale wystarczą w zupełności.

26

Niebo miało wszystkie kolory. Nad samym horyzontem było bladożółte, trochę wyżej zyskiwało ciepły rumieniec, nad nim niespodziewanie pojawiała się zieleń przechodząca w błękit, a potem intensywny ciemnoniebieski, który rozciągał się nad głową i zmieniał w czarny, usiany gwiazdami nocny firmament.

Piękny zachód słońca powinien zapowiadać dobrą pogodę, myślała Emerahl. Lepiej, żeby tak było, bo czeka mnie kolejny ciężki rejs.

Szalejący od kilku dni sztorm należał do tych, które mogą bez trudu rozbijać statki. Kiedy trochę się uspokoił, poszukała jeszcze raz i znalazła schody - wąskie i porośnięte trawą. Schodząc w dół, zastanawiała się, czy znajdzie kogoś w grocie, o której mówił Gherid. Może jakąś ofiarę sztormu. Może samego Mewę.

Jaskinia była pusta. Sztorm rozszalał się znowu, ale nie zjawił się ani nikt szukający schronienia, ani Mewa. Pogoda uwięziła ją tam, ale to jej nie przeszkadzało. Nie miała tu luksusów, nawet według standardów biedaków, ale było sucho. Wyobraziła sobie Mewę w tym miejscu. Wyobraziła sobie, że czuje jego zapach - mieszaninę potu, słonej wody i ryb - w prostych meblach, zbudowanych z wyrzucanego przez morze drewna i żaglowego płótna.

I samego Mewę. Nieśmiertelnego. Tajemniczego. Innego Dzikiego.

Być może wiedział, że do jego sanktuarium wdarł się intruz, i trzymał się z dala. Kusiło ją, by zaczekać trochę dłużej i zobaczyć, czy się pojawi. W grocie był zapas suszonej żywności, no i mogła przecież łowić ryby.

Ale nie chciała naruszać zapasów. Gherid mówił jej, że to miejsce było schronieniem dla tych, których ocalił Mewa. Ona sama nie była przecież uratowanym rozbitkiem i czuła, że nie ma prawa do korzystania ze zgromadzonej żywności.

Nie, pora wędrować dalej, myślała. Szansa, że Mewa zjawi się tutaj podczas mojej obecności, i tak jest minimalna. Zrobię to, co planowałam: zostawię wiadomość i ruszę w dalszą drogę.

Zastanowiła się, co zawrzeć w liście. Nie była dobra w zagadkach, ale też nie chciała pisać niczego konkretnego - nawet w starożytnym, martwym języku. Zdecydowała się więc na symbolikę, z nadzieją że Mewa ją zrozumie. Zebrała kłąb włóknistego ziela, zwanego „włosami staruchy”, i skręciła je w cienki sznurek. Nawlekła na niego księżycową muszlę ze znakiem w kształcie sierpa księżyca. Zawiązała sznurek w pętlę i zawiesiła na ścianie w głębi groty.

Sznurek miał mu powiedzieć „Jestem Wiedźmą”, a muszla wskazywała fazę księżyca - czas, kiedy tu wróci. Przez chwilę zdawało jej się, że to odrobinę nazbyt oczywiste. W innym momencie martwiła się, czy on zrozumie wiadomość. Albo nawet czy ją znajdzie.

Niebo stało się teraz w większości czarne, z ciepłym jasnym pasem na horyzoncie. Skrzyżowała ręce na piersi i oparła się o skałę przy wejściu.

Wiele rzeczy przyszło jej do głowy w czasie pobytu tutaj. Przede wszystkim umysł Gherida i umysły innych, którzy spotkali Mewę, nie były osłonięte. Każdy, kto potrafił czytać w myślach, mógł się dowiedzieć, że Mewa nadal żyje. A to znaczyło, że bogowie też o tym wiedzą. Dlaczego więc go nie zabili?

Może dlatego że trudno go znaleźć, myślała. Muszą działać poprzez chętnego człowieka. Jeśli zdoła unikać ich ludzkich sług, to może unikać samych bogów.

A może uznali, że nie jest dla nich zagrożeniem. Mogą nawet cenić jego pracę, ponieważ ratuje żywoty cyrklian, a przecież nigdy nie zachęcał śmiertelnych, by go czcili.

Zmarszczyła czoło. A czym się różni ode mnie pod tym względem?

Uzdrawiam ludzi. Nie stanowię żadnego zagrożenia dla bogów. Nigdy nie oczekiwałam czci. Więc może lękam się ich bez powodu? Może pozwoliliby mi żyć, choćby nawet wiedzieli, gdzie jestem?

Ale jeśli to prawda, to czemu kapłani zaczęli mnie ścigać, jak tylko odkryli, że w starej latarni morskiej mieszka podejrzanie długowieczna czarownica? Dlaczego bogowie dali kapłanowi Dar czytania w myślach, żeby łatwiej mógł mnie znaleźć?

Może nie chcieli mnie zabijać, tylko przesłuchać?

Mała szansa... Prychnęła z niechęcią. Bogowie nienawidzą nieśmiertelnych. Zawsze nienawidzili.

A to doprowadziło ją do kolejnej interesującej kwestii - do pytania, które już tak wiele razy zadawała sobie w przeszłości: dlaczego bogowie nas nienawidzą? Przecież nie mają się czego obawiać z naszej strony. Nie możemy im zrobić żadnej krzywdy. Możemy działać przeciwko nim, ale te czyny rzadko kiedy mają jakiś istotny skutek. Czy to możliwe, że mają powód, by się nas bać?

Pokręciła głową. Łatwo było w tej nienawiści bogów do nieśmiertelnych wyczytać więcej, niż w niej rzeczywiście było. Zabijają nas, bo chcą całkowicie panować nad śmiertelnikami. Chcą, żeby ich wyznawcy po leki chodzili do ich kapłanów i kapłanek, nie do mnie albo do tkaczy snów.

Blask pojawił się w innej części horyzontu. Odsunęła wszelkie myśli o bogach i patrzyła na wschodzący półksiężyc. Kiedy wzniósł się już ponad morzem, rozejrzała się -

dawał dość światła, by mogła żeglować. Sięgnęła po sakwę, raz jeszcze zerknęła na grotę i zaczęła się wspinać schodami na szczyt Stogu.

Były wąskie, a tam gdzie nie docierał blask księżyca, ciemność zacierała wszystkie szczegóły, zmuszając ją do stworzenia niewielkiego światełka. Trawiasta płaszczyzna na szczycie wydawała się o wiele mniejsza niż wtedy, kiedy przesłaniała ją ulewa. Emerahl przekonała się z ulgą, że łódź wciąż jest tam, gdzie ją zostawiła - liny utrzymały ją w miejscu przez cały sztorm. Odwiązała je, wyciągnęła kołki i powlokła łódź na sam brzeg urwiska. Wsiadła, kilka razy odetchnęła głęboko i oczyściła umysł.

Pobierając magię ze świata, uniosła łódź w powietrze, przesunęła poza krawędź klifu, a potem wolno opuściła na wodę. Kiedy poczuła na kadłubie pieszczotę fali, uwolniła go. I natychmiast prąd zaczął ją odsuwać od Stogu. Patrzyła, jak maleje w oddali, myślała o pozostawionej wiadomości i zastanawiała się, czy Mewa jej uwierzy.

A jeśli tak, czy odpowie?

Moderator Meeran z somreyańskiej Rady Starszych nabrał tchu i wolno wypuścił powietrze. Spotkania Rady ostatnio bardziej go męczyły. Nie podobała mu się ta zapowiedź nadchodzącej starości i zawsze się zmuszał, by po zakończeniu zostać jeszcze i pogawędzić z innymi, którzy zwlekali z wyjściem.

Wspaniały, stary budynek Rady stał frontem do portu w Arbeem, a przez wysokie okna otwierał się przepiękny widok na zatokę i miasto. Maleńkie światełka przesuwały się po wodzie, a każda ich grupka wskazywała pozycję statku. Przy jednym z okien rozmawiały cicho dwie postacie.

Meeran zamrugał zdziwiony. Ramiona jednej z nich okrywała kolista, biała szata. Druga nosiła skromniejsze ubranie: skórzaną kamizelkę na prostej tunice. Nieczęsto się zdarzały takie spotkania tkaczy snów i cyrklian z somreyańskiej Rady Starszych. Zwykle też wymagały jego szybkiej interwencji. Tym razem wszakże wydawało się, że gawędzą przyjaźnie.

Jednak pozory mogą mylić, a sytuacja zmienić się szybko. Meeran uznał, że ostrożność nakazuje zbadać sprawę. Nikt go nie zaczepiał, kiedy szedł przez salę; podejrzewał, że inni także zauważyli parę przy oknie - co potwierdziło się, kiedy Starszy Timbler pochwycił jego wzrok i uśmiechnął się ze współczuciem.

Gdy się zbliżył, Arleej odwróciła się i spojrzała na niego z lekkim uśmieszkiem.

- Właśnie omawialiśmy sprawę naszych nowych sąsiadów, Moderatorze - powiedziała.

Wyjrzał przez okno i zobaczył ściągający ich uwagę obiekt. Przy nabrzeżu stał duży

statek o czarnym kadłubie i czarnych żaglach. Niewielkie figurki schodziły na ląd, wszystkie solidnie obładowane.

- Są głupcami, jeśli sądzą, że tak szybko po wojnie zdołają nawrócić Somreyan - mruknął wysoki kapłan Haleed.

Meeran spojrzał na niego z powątpiewaniem.

- A zatem wierzysz, że z tego powodu przybyli?

- A z jakiego innego? - zapytał ponuro Haleed.

- Oczywiście, że z tego. - Arleej popatrzyła na niego z drwiną. - Są przekonani, że ich bogowie są jedynymi prawdziwymi. Wiemy przecież, jak bardzo uparci mogą być wyznawcy.

Haleed uniósł głowę.

- Poniosą klęskę - oświadczył. - Nasi bogowie są prawdziwi. Ich nie. Muszą być albo stanowczy, albo sprytni w przekonywaniu innych, by się do nich przyłączyli. Ale próbując, spowodują wiele kłopotów.

Arleej z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Nie zgadzasz się? - spytał kapłan.

- Zgadzam się, że wywołają tu konflikt - wyjaśniła. - Nie wiem tylko, skąd ta twoja pewność, że ich bogowie nie są prawdziwi.

- Ponieważ ci z Kręgu zapewnili nas, że są jedyni. Uniosła brwi.

- To znaczy jedyni, którzy przetrwali Wojnę Bogów. Może bogowie pentadrian pojawili się później.

- Krąg by zauważył.

- Może jednak nie.

Meeran uniósł dłonie, uspokajając rozmówców, choć nie zmierzali chyba do gniewnej wymiany zdań.

- Moglibyśmy o tym dyskutować przez całą noc. Bardziej mnie interesuje, co oboje myślicie o możliwych konsekwencjach decyzji Rady, pozwalającej im na osiedlenie.

Haleed popatrzył na statek i zmarszczył brwi.

- Kłopoty, jak już mówiłem. Najpierw pozwalamy im wkroczyć do naszego kraju, a potem co? Damy im miejsca w Radzie?

Arleej uśmiechnęła się.

- Jeśli zbiorą dość wyznawców, by stać się oficjalną religią, nie możemy im tego miejsca odmówić. Takie jest nasze prawo i tradycja.

- Może już pora zmienić to prawo - mruknął niechętnie Haleed. - Albo zwiększyć wymaganą liczbę wyznawców.

Cień przemknął po twarzy Arleej.

Boi się, że nienawiść do pentadrian skłoni Somreyan do zgody na taką zmianę, uświadomił sobie Meeran. Tkacze snów są nieliczni wobec możliwej liczby pentadrian, którzy mogą tu przybyć. Takie prawo odbierze jej miejsce w Radzie, ale nie zapobiegnie wzrostowi wpływów tamtych...

- Ludzie nigdy się na to nie zgodzą, niezależnie od tego, jak bardzo obawiają się naszych gości - zapewnił oboje.

- No to jesteśmy na nich skazani - burknął Haleed.

- Niekoniecznie - odparła spokojnie Arleej. - Wystarczy choćby jeden akt agresji z ich strony i będziemy mogli ich wyrzucić. A to my decydujemy, co jest aktem agresji.

Haleed popatrzył na nią z niechętnym respektem. Uśmiechnęła się do niego. Kręcąc głową, Meeran spoglądał to na jedno, to na drugie. Ich umysły były wyostrzone przez lata wzajemnych sporów. Myśl o tym, czego mogliby dokonać zjednoczeni, była bardziej niż trochę niepokojąca.

- Zapewniają, że przybyli w pokojowych zamiarach - przypomniał obojgu. - Jakkolwiek budzi to wątpliwości, powinniśmy przynajmniej dać im szansę udowodnienia tego twierdzenia.

Choć twarze obojga starszych wyraźnie mówiły, że się z nim nie zgadzają, oboje przytaknęli.

Auraya zauważyła już śnieg na szczytach północnych gór. Niewielkie łaty odbijały światło księżyca, przez co góry wyglądały jak cętkowane. Już niedługo te łaty śniegu się powiększą i połączą, aż zbocza pokryje jednolita biel.

Zmarszczyła czoło, zastanawiając się, jaki skutek może mieć wczesna i ostra zima dla Siyee osłabionych przez sercożera.

Nie będzie tak źle, jeśli zdołam powstrzymać rozprzestrzenianie się zarazy, tłumaczyła sobie.

Ale to raczej nie będzie łatwe. O ile kapłani uzdrowiciele wiedzieli coś o zarazach, zwykli ludzie traktowali takie choroby z zabobonnym lękiem. Dzisiaj się przekonała, że Siyee nie są inni.

Rodzina, która przybyła z klanu Północnej Rzeki, odmówiła dobrowolnego opuszczenia Przestrzeni, mimo że zaproponowano jej altanę w pobliżu i gwarancję, że musi trzymać się w odosobnieniu tylko dopóki się okaże, że nie chorują. Kiedy Sirri rozkazała im odejść, posłuchali jej, ale niechętnie.

Siyee mieszkający w pobliżu Przestrzeni różnie reagowali na nową sytuację.

Niektórzy ze strachem - Auraya przypuszczała, że Sirri będzie miała pełne ręce roboty, przekonując tych ludzi, by nie odchodzili. Inni uważali, że źle potraktowano rodzinę z klanu Północnej Rzeki, i nie wahali się głośno wyrażać swego oburzenia.

Na szczęście u nikogo z przybyszów nie wystąpiły objawy choroby. Za to posłaniec wydawał się bardziej wyczerpany powrotnym lotem, niż powinien. Spojrzała z ukosa na Reeta i zmarszczyła czoło.

Musiał wyjść z altany kapłanów wkrótce po mnie, przypomniała sobie. Wyczuwam, że jest głodny. Nie jadł pewnie za wiele i wcale nie odpoczywał. Mam nadzieję, że nic poza zmęczeniem mu nie dolega...

Odleciał kilka godzin przed nią, ale bez trudu go dogoniła. Teraz nie mogła się zdecydować, czy lecieć szybko naprzód, czy z nim zostać. A jeśli choroba dopadnie go wkrótce? Jeśli straci przytomność i runie na ziemię?

A jeżeli jest tylko zmęczony, a ona przybędzie za późno, by ocalić kogoś z jego klanu?

Być może istniał sposób, by to sprawdzić. Był ktoś, kogo mogła spytać. Może nie odpowiedzieć na wezwanie, może nie odpowiedzieć na pytania, ale warto spróbować.

: *Chaio.*

Odczekała kilka uderzeń serca i zawołała znowu. Kiedy jednak umysł nie wykrył znajomej obecności, westchnęła i znów rozważyła swój problem. Może powinna się zastanowić nad tym, co wie o sytuacji... A wiedziała tyle, że Reet jest niebezpiecznie zmęczony. Na tym musiała oprzeć decyzję.

Zostanę z nim, na wszelki wypadek. Przynajmniej dopóki nie dowiem się czegoś więcej. Chaia może się jeszcze pojawić.

Poczuła dreszcz na karku na samą myśl o znalezieniu się ponownie w obecności boga. Tak wiele się zmieniło w ciągu ostatnich kilku dni...

Nie tęsknię już za Leiardem, pomyślała z uśmiechem. Pod tym względem Chaia miał rację.

Nigdy jeszcze nie przeżywała takiej rozkoszy. Jej spotkania z Chaią były jak senne łącza, ale o wiele bardziej wyrafinowane.

Tamte opierały się na wspomnieniu fizycznych doznań, za to czas spędzony z bogiem był odkrywaniem nieznanej dotąd ekstazy. Jego dotknięcie było wyłącznie magiczne, ale to się zmieniało, kiedy łączyli swe umysły i wolę. Magia mogła się stać wrażeniem. Potrafił reagować na jej najmniejsze pragnienia, a równocześnie pobudzać ją tak, jak wydawało się dotąd niemożliwe.

Obawiała się, że w porównaniu z tymi przeżyciami świat rzeczywisty wyda się wyblakły. Tymczasem miała wrażenie, że wszystkie jej zmysły są bardziej wyczulone, każdy przedmiot fascynuje, każde żywe stworzenie staje się piękne i ekscytujące.

Na szczęście ten efekt mijał. Nie chciała, by zajmowało ją piękno jakiegoś owada, gdy próbowała omawiać ważne sprawy z Siyee. Kiedy patrzyła na nich ze swymi rozbudzonymi zmysłami, czuła tylko coraz silniejsze pragnienie, by ich chronić.

Ale też była bardziej świadoma różnicy między nimi a sobą. Świadoma swojego wzrostu i braku skrzydeł. Świadoma ich śmiertelności. A to budziło smutek. Czy zbliżyła się do boga tylko po to, by oddalić się od śmiertelników? To niepokojąca myśl...

Ale miło jest znowu czekać na przyjście nocy, myślała. Poza tym w tej chwili nie warto się martwić.

Uśmiechając się do siebie, zapomniała o niepokojach i pogrążyła w marzeniach o następnym spotkaniu z Chaią.

27

- Jestem Genrianinem! - krzyczał Devlem Wheelmaker. - Nie możecie mi tego zrobić!

- Może i jesteś Genrianinem - odparła spokojnie Rei - van - ale dopóki mieszkasz w Avvenie, musisz przestrzegać naszych praw. Przebywasz tu już dość długo, aby wiedzieć, że zakazujemy niewolenia kogokolwiek prócz przestępców.

- Ona nie jest człowiekiem - upierał się. - To zwierzę, morski stwór. Wystarczy na nią spojrzeć, by to zrozumieć.

Patrzyła na niego spokojnie.

- Wystarczy z nią porozmawiać, aby wiedzieć, że jest człowiekiem. A na podstawie tego, co o tobie opowiada... - Ze smutkiem pokręciła głową. - To raczej ciebie opisałabym jako nieludzkiego.

Z krtani wyrwał mu się krzyk wściekłości. Rzucił się do przodu. Reivan cofnęła się odruchowo, lecz nie dosięgnął jej. Natrafił na niewidzialną barierę.

Magia... Reivan spojrzała na Sługę Kikarna. Jego niechętna twarz złagodniała, gdy spojrzał jej w oczy. Uniósł w górę kącik ust. Reivan otrząsnęła się z zaskoczenia i z wdzięcznością skinęła mu głową.

- Nie możecie zrobić ze mnie niewolnika! - wrzeszczał Devlem. - Moja rodzina ma powiązania ze szlachetnymi rodami w Genrii!

- Przyślijcie Sługę Grenarę - rozkazała.

Dozorca niewolników w Sanktuarium był człowiekiem niewielkiej postury, ale każdy krok i gest sugerował, że jest przyzwyczajony do posłuszeństwa. Zwracając się w stronę Reivan, nakreślił na piersiach znak gwiazdy, a potem spojrzał na Devlema i zmrużył oczy, oceniając kupca.

- Pójdziesz ze mną, Devlemie Wheelmakerze. Devlem przeszył go wrogim spojrzeniem..

- Jeśli sądzisz, że pójdę za tobą jak bezmyślny arem, to jesteś... jesteś...

Sługa wzruszył ramionami.

- To zależy od ciebie. Niektórzy przyjmują to z godnością, innych trzeba wiązać i wywlekać.

Na słowo „wywlekać” gniew w spojrzeniu Devlema wyraźnie przygasł. Odstąpił na krok od dozorcy, po czym wyprostował się i wyszedł z pokoju. Grenara podążył za nim.

Kiedy zamknęły się drzwi, Reivan odetchnęła głośno.

- Dziękuję, Sługo Kikarnie - powiedziała. Spojrzał na nią z żartobliwym zdziwieniem.

- A za co, Sługo Reivan?

Uśmiechnęła się. Chyba zyskałam sobie sprzymierzeńca, pomyślała.

- Dzisiaj mieliśmy pracy aż nadto. Zobaczymy się jutro rano.

Kikarn skłonił głowę i wykonał znak gwiazdy. Zostawiła go, aby zrobił porządek w pokoju, i wyszła drugimi drzwiami.

Korytarze w Dolnym Sanktuarium były prawie puste - większość Sług opuszczała je wieczorem. Wprawdzie Reivan tęskniła za odpoczynkiem, ale nie skierowała się do swojej kwatery.

Po przejściu kilku korytarzy i schodów dotarła do Górnego Sanktuarium. Pochodnie oświetlały drogę na główny dziedziniec. Wychodząc na nocne powietrze, Reivan zatrzymała się, by popatrzeć. Pośrodku dziedzińca, tam gdzie fontanna dawała ochłodę w ciągu dnia, teraz stał duży namiot. Lampy wewnątrz rzucały na ściany cienie kobiety i dziecka. Głosy układały się w dziwne, piskliwe i niezrozumiałe słowa. Reivan podeszła do klapy namiotu.

- Czy mogę wejść? - zawołała.

- Tak - odparła Imenja. - Właśnie rozmawiałyśmy o domu Imi. Wydaje się, że jest fascynującym miejscem.

Reivan odsunęła klapę i weszła do środka. Dziewczynka Elai opierała łokcie o brzeg fontanny, wypełnionej teraz morską wodą, dostarczoną tu przez niewolników. W świetle lamp jej skóra wydawała się jeszcze ciemniejsza. Kiedy Reivan przypomniała sobie rysunki morskiego ludu z książek Myślicieli, była zaskoczona ich brakiem dokładności. Dziewczynka nie miała ani rybiego ogona, ani długich włosów. Była bezwłosa, wyposażona w parę normalnych nóg.

Prawie normalnych, poprawiła się w myślach Reivan. Stopy i dłonie Imi były nieproporcjonalnie duże, a między palcami miała grubą błonę. Inne odkształcenia ciała sugerowały dalsze różnice. Pierś miała szeroką jak na dziecko. Reivan nie byłaby zdziwiona, gdyby się okazało, że Elai mają płuca o wiele większe od zwykłych ludzi.

Artyści, którzy rysowali tak wymyślne ilustracje, rozczarowaliby się widokiem Imi. Ogólnie rzecz biorąc, te zniekształcenia i brak włosów nie czyniły jej rasy atrakcyjną. Nawet piękna tunika, którą teraz nosiła, nie mogła tego ukryć. Dziewczynka uśmiechnęła się, odsłaniając lekko szpiczaste białe zęby. Rei - van z trudem opanowała drżenie.

- Reivan - powiedziała wolno Imi.

- Imi - odparła. - Jak się czujesz?

Imenja przetłumaczyła. Dziewczynka spojrzała na łuszczącą się skórę, a gdy

odpowiedziała, na jej twarzy pojawił się smutek.

- Czuje się silniejsza - powiedziała Imenja. - Wiele przeszła. Złapali ją rybacy, potem piraci. Jedni i drudzy zmuszali ją do pracy. W końcu została sprzedana kupcowi. Czy ta sprawa jest załatwiona?

- Tak. Twierdził, że ona jest zwierzęciem, więc nie złamał prawa. Przekazałam go dozorcy niewolników.

- To dobrze. Głupota nie jest wytłumaczeniem okrucieństwa. Żaden z jej porywaczy nie próbował z nią rozmawiać. Karmili ją tylko surowymi rybami i zostawiali, by wyschła. Elai...

Imi coś powiedziała. Imenja uśmiechnęła się i porozmawiała z dziewczynką, po czym zwróciła się do Reivan:

- Elai każdego dnia muszą spędzić kilka godzin w słonej wodzie. Jedzą urozmaiconą żywność, tak jak my. Nie tylko produkty morza. - Przerwała. - Nigdy się nie domyślisz, kim ona jest.

Reivan zachichotała.

- Nie, to raczej mało prawdopodobne. Imenja odwróciła się i popatrzyła na Imi.

- Jest córką króla Elai.

Zaskoczona Reivan także spojrzała na dziewczynkę. Imi uśmiechnęła się niepewnie.

- Jak doszło do tego, że schwytali ją ludzie?

- Wymknęła się opiekunom, żeby poszukać prezentu dla ojca.

- Czy on wie, że trafiła do niewoli?

- Może. A może nie. Pewne jest, że nie będzie jedynym Elai, świętującym jej powrót.

- Chyba że jej schwytanie zostało przygotowane przez jego wrogów.

Imenja zmarszczyła brwi.

- Tak, to możliwe.

- Będziesz musiała uważać, kiedy ją odprowadzisz.

- Ja? - Drugi Głos uniosła brwi. - Dlaczego sądzisz, że to ja odprowadzę ją do domu?

- Ponieważ jest córką króla. I sprzedano ją komuś, kto żył w naszym kraju. Jeśli wróci i opowie swoją historię, to będą nas winić za współudział w tym, co się stało. Chyba że dokonamy wielkiej demonstracji przeprosin. - Reivan uśmiechnęła się. - A ponieważ Elai nigdy nie byli zaangażowani w wojnę, nie ma też żadnej zadawnionej wrogości, która nie pozwoliłaby nawrócić ich na wiarę w Pięcioro.

Imenja patrzyła na Reivan nieco zaskoczona, ale z uznaniem.

- Masz rację. - Uśmiechnęła się do Imi. - Sama powinnam zabrać ją do domu. A ty

będziesz musiała iść ze mną. Oczywiście, trzeba przekonać Nekauna, ale szansa zyskania sprzymierzeńca powinna wystarczyć jako argument. A jeśli nam się uda, nikt nie zaprotestuje, kiedy uczynię cię swoją Towarzyszką.

Imi wpatrywała się w Imenję. Odezwała się, a jej dziwne słowa wyraźnie tworzyły pytanie. Odpowiedź wywołała u dziewczynki radosny uśmiech.

- Jest zmęczona - powiedziała Imenja. - Powinnyśmy pozwolić jej odpocząć.

Pożegnała się z księżniczką, po czym wstała i wyprowadziła Reivan z namiotu.

- Z Nekaunem porozmawiam od razu. A ty możesz iść do łóżka. Jeśli się zgodzi, rano spadnie na ciebie organizowanie morskiej wyprawy.

- Znowu praca! - jęknęła Reivan, udając załamaną tą perspektywą.

Drugi Głos roześmiała się i przegoniła ją żartobliwym gestem. Reivan ze śmiechem skierowała się do swojej kwatery.

Zobaczę krainę Elai, myślała podniecona. Myśliciele będą mi zazdrościć!

Mirar wziął głęboki oddech i zeskoczył z platformy. Przez ułamek uderzenia serca spadał, a potem poczuł, że lina na jego piersi i plecach zaciąga się i przejmuje ciężar ciała. Grubsza lina, o którą zaczepiona była uprząż, napięła się i zakołysała w górę i w dół. Kiedy znieruchomiała, zaczął się przeciągać wzdłuż niej. Wiszące między platformami liny były pomysłem Tyve'a. Chłopca niecierpliwiło, że Mirar potrzebuje tyle czasu, aby zejść z jednej platformy i wspiąć się na drugą, zaczął więc szukać sposobu, by szybko transportować ziemiochodzącego między drzewami. Najpierw pomyślał, że kilku Siyee może przenosić Mirara w sieci, ale zrozumiał, że to nierealne, kiedy odkrył, ile tkacz waży.

Chłopiec był jednak zdeterminowany. Mruczał coś w rodzaju „Tryss by coś wymyślił” i „Jak rozwiązałby to Tryss?”. Tryss - Siyee, który wynalazł uprząż myśliwską - był chyba dla Tyve'a bohaterem i natchnieniem.

Liny wisiały teraz między większością drzew. Splatanie ich dawało jakieś zajęcie uwięzionym na swoich platformach Siyee. Tyve był jedynym, któremu Mirar pozwalał się przemieszczać, ze ścisłymi instrukcjami, aby nie dotykać innych ani nie zbliżać się na tyle, by ryzykować odetchnięcie zakażonym powietrzem z ich płuc.

Nie robiło to dużej różnicy, bo większość Siyee już chorowała.

Jak dotąd nikt nie umarł. Najbardziej zagrożony był Mówca Veece, ale Mirar zastosował leczniczą magię i sprowadził go z powrotem sprzed bramy śmierci. Jednak ciało starca wciąż nie chciało samodzielnie walczyć z chorobą, a to stawiało Mirara przed dylematem. Dla pacjenta lepiej było, gdy ciało samo stawiało opór. Mirar mógł użyć magii, aby złagodzić objawy i dodać choremu sił, ale niechętnie z niej korzystał, aby usunąć samą

chorobę. Gdyby to zrobił, pacjent narażał się na ponowne zarażenie. W wiosce, gdzie tak łatwo rozprzestrzeniała się zaraza, było to bardzo prawdopodobne. Jeżeli ciało pacjenta nie mogło nauczyć się walki z chorobą, właściwie jedynym wyjściem było magiczne wyleczenie, a potem izolacja. Mirar był skłonny to zrobić, jeśli będzie musiał, ale tylko w ostateczności.

Zbliżał się już do drugiego końca liny i widział oświetloną lampami pojedynczą altanę na niewielkiej platformie. Poprzednia platforma była większa i umieszczona wyżej niż ta. Kiedy dotarł do celu, zawisł tuż nad drewnianą podłogą. Uniósł ramiona i wyślizgnął się z pętli.

Z altany wybiegła dziewczynka. Popatrzyła na niego, po czym chwyciła go za rękę i wciągnęła do środka.

Na macie leżała kobieta z zamkniętymi oczami. Tyve siedział obok i trzymał ją za rękę. Misa z wodą, na powierzchni której przesuwały się plamy olejku, parowała. W powietrzu unosił się słodki, ostry zapach esencji brei.

- Jak się czuje? - zapytał Mirar.

- Oddycha dwa razy szybciej - odparł Tyve. - I jakby trochę bulgocze. Palce ma zimne, a wargi zaczynają sinieć. Dałem jej trochę mallinu.

Szybko się uczy, zauważył Leiard.

Mirar nie potrafił ukryć uśmiechu, ale szybko spoważniał, gdy chłopak na niego spojrzał.

- Wiem, że kazałeś mi nikogo nie dotykać, ale wzięła mnie za rękę. Nie chciałem, aby do tego doszło. Potem było już za późno.

Mirar kiwnął głową.

- Współczucie to siła uzdrowiciela, a nie słabość. - Spojrzał znacząco na trzymające go za rękę dziecko. - Pamiętaj tylko, żeby umyć ręce.

Uwolnił się z uchwytu dziewczynki i przyklęknął przy kobiecie. Położył dłoń na jej czole i przeszedł w trans uzdrowiciela, przesyłając swój umysł w jej ciało.

Organizm walczył, o czym przekonał się z ulgą. Potrzebowała tylko trochę pomocy. Ściągnął magię i użył jej, aby złagodzić stan zapalny płuc i zachęcić serce do szybszego bicia, by więcej krwi trafiało do kończyn.

Chociaż ciało starało się pokonać chorobę, nie miał pojęcia, czy zwyciężyłoby bez jego pomocy. U ziemiochodzących sercożer nie miał tak niszczycielskiego działania. Może to silniejsza odmiana? Jeśli tak, i jeśli rozprzestrzeni się poza Si, ziemiochodzących czeka straszliwa zaraza. Jednak Siyee mogą być bardziej podatni na sercożera. Przechodził już przez tereny ziemiochodzących, ale Siyee pewnie spotkali się z nim po raz pierwszy. Czy to znaczy,

że rasa ludzi może się przyzwyczaić do choroby?

To interesujący pomysł, ale nie taki, jaki dobrze wróżył Siyee.

Usunął swój umysł z ciała kobiety. Oddychała już swobodniej, a jej twarz nie była taka blada. Tyve pogładził ją po ręce.

- Ma ciepłe palce - zauważył, spoglądając z zachwytem na Mirara. - Jak to zrobiłeś? To jest... To... - pokręcił głową. - Oddałbym wszystko, żeby tak potrafić.

Mirar uśmiechnął się krzywo.

- Wszystko?

Tyve spojrzał na kobietę i kiwnął głową.

- Tak - zapewnił.

Znowu się zaczyna, pomyślał Mirar, wspominając podobne chwile w minionych wiekach. Młodych mężczyzn i kobiety ogarniał podziw dla ratowania życia... Lecz później, gdy opowiadał im, jak ciężki jest los tkacza snów, euforia gasła i większość zmieniała zdanie.

A jeśli Tyve nie zmieni, będziesz go uczył? spytał Leiard.

Nie mam tu już wiele do roboty, odparł Mirar. *Dałoby mi to jakieś zajęcie, póki próbuję się trzymać z dala od Białych.*

A co z Jayimem?

Mirar skrzywił się na wspomnienie chłopca, którego szkolenie zaczął jeszcze Leiard w Jarime.

Arleej chyba znalazła kogoś, kto dokończy tę pracę. Ja już z pewnością nie zdołam.

Nie, ale jeśli będziesz zmuszony przerwać szkolenie tego chłopaka, nie możesz liczyć na to, że Arleej znów cię zastąpi, zauważył Leiard.

Pewnie by jej się to nie spodobało, ale mógłbym wysłać Tyve'a do Somreyu. Może mnie przeklinać za następnego studenta, ale zrozumie zalety posiadania tkacza snów z rasy Siyee.

Białym się to nie spodoba, ostrzegł Leiard. *Jeśli bogowie usłyszą, że tkacz snów szkoli Siyee, będę chcieli zbadać sprawę. Odkryją, że Tyve pobiera nauki u kogoś, kogo umysłu nie widzą, i nabiorą podejrzeń co do twojej tożsamości.*

Mirar zastanowił się. Gdyby Tyve postanowił zostać tkaczem snów, musiałby zrozumieć i pogodzić się z tym, że to tajemnica i że być może będzie zmuszony dokończyć naukę w Somreyu.

A tam nie musiałby się już ukrywać. To by ci się spodobało, prawda? Podobałoby ci się, gdyby Biali odkryli, że kiedy oni uczyli pierwszych kapłanów i kapłanki wśród Siyee, ty uczyłeś pierwszego tkacza snów.

Rzeczywiście dałoby mi to pewną satysfakcję, przyznał Mirar.

- Wilarze? Spojrzał na Tyve'a.

- Co musiałbym zrobić? - spytał chłopiec. Mirar uśmiechnął się.

- Powiem ci, ale nie teraz. Teraz mamy pracę.

Tyve kiwnął głową. Spojrzał na dziewczynkę, która siedziała z boku ze skrzyżowanymi nogami.

- Ona ma już pierwsze objawy. Co robimy? Mirar skinął na dziecko.

- Podejdź tutaj, malutka. Jak ci na imię?

28

Blask świtu rozjaśnił horyzont na wschodzie, ale powietrze nadal było chłodne. Auraya obejrzała się na Reeta, ale nie znalazła go obok siebie. Wystraszona, zaczęła się rozglądać... Leciał trochę niżej. Z ulgą przekonała się, że to nie z powodu zmęczenia czy sercożera, ale dlatego że zniża się do lądowania. Dotarli do celu.

Ruszyła za nim przez otwór w liściastym baldachimie lasu, omijając konary gigantycznych drzew.

Reet świsnął przenikliwie. Odpowiedziało mu kilka słabych gwizdów. Auraya dostrzegła altany zbudowane na platformach wśród gałęzi, a Reet zanurkował ku jednej z nich.

Wybrał altanę przywódcy klanu. Gdy Auraya wylądowała zaraz za młodym Siyee, uśmiechnęła się do starej kobiety, która powłócząc nogami, wyszła im na spotkanie. Była żoną Mówcy, jak wyczytała z jej umysłu. Ale uśmiech zniknął, kiedy Auraya dostrzegła u niej objawy choroby.

- Sprowadziłem pomoc - oświadczył zmęczony Reet. Obejrzał się na Białą. - Auraya z Białych przybyła, by nam pomagać. To jest żona Mówcy Veece'a, Tryli.

Starsza kobieta uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Witaj, Aurayo z Białych. Veece powitałby cię zgodnie z tradycją, ale jest chory. Na mnie więc spada obowiązek wyrażenia wdzięczności za twoje przybycie.

Auraya skinęła głową.

- Ilu was choruje?

- Większość, ale nie straciliśmy nikogo, odkąd przybył uzdrowiciel.

Reet wyprostował się z uśmiechem.

- Tyve go przekonał?

Auraya zamrugała zdziwiona. Zaglądając w myśli kobiety, wyczytała, że jakiś człowiek zjawił się w wiosce, by leczyć chorych.

- Ziemiochodzący? - spytała niespokojnie.

Czyżby pozostał tu któryś z pentadrian? A może to pentadrianie zarazili Siyee sercożerem?

- Wilar - odparła Tryli. - Dotarł do nas przedwczoraj i pracował bez przerwy przez dwie noce i dzień. Zjawiłaś się w samą porę. Obawiałam się, co się z nim stanie, jeśli nie przerwie, by odpocząć, ale też o to, co się stanie z nami, jeśli przerwie. A Tyve...

Ostry gwizd zagłuszył jej słowa. Odwrócili się wszyscy i spojrzeli na pikującego ku nim młodego Siyee.

- Tyve! - zawołał Reet, a ulga dodała energii jego głosowi.

Nowo przybyły wylądował, a Auraya uśmiechnęła się. Nawet gdyby nie widziała myśli Reeta, odgadłaby, że Tyve jest jego bratem. Byli tacy podobni...

- Reet! - ucieszył się Tyve. - Dotarłeś! Stój! - Gestem powstrzymał brata przed uściskiem. - Musimy być ostrożni. Odwiedzałem wielu chorych. Mogłem złapać tę chorobę. Nie chciałbym ci jej przekazać.

Reet patrzył na Tyve'a ze zgrozą.

- Masz...?

Tyve wzruszył ramionami.

- Nie wydaje mi się, ale Wilar uważa, że nie powinniśmy się dotykać ani oddychać na siebie, tak na wszelki wypadek. - Przesunął spojrzenie na Aurayę. - Witaj, Aurayo z Białych. Czy także przybyłaś, aby nam pomóc?

- Tak jest. Tryli mówiła mi właśnie o uzdrowicielu, który was leczy. Możesz mnie do niego zaprowadzić?

Tyve uśmiechnął się szeroko.

- Oczywiście. Chodź za mną.

Kiedy skoczył z platformy, ruszyła za nim. Między drzewami przeciągnięto liny, więc musieli manewrować ponad nimi albo dołem. Kiedy zajrzała w umysł chłopca, przekonała się, że to on wpadł na pomysł przesuwanej uprzęży, która pozwalała uzdrowicielowi szybko docierać do chorych.

Prąd wznoszący uniósł Tyve'a wyżej. Chłopak zanurkował obok konaru i poszybował do dużej platformy z trzema altanami. Wylądował, zaczekał na nią i poprowadził do wejścia jednej z nich.

Wnętrze było słabo oświetlone - samotna lampa stanowiła jedyne źródło światła. Dwójka dzieci Siyee leżała na niskich posłaniach, a na kolejnym za nimi kobieta. Z przodu, plecami do Aurai, stał tkacz snów.

Oczywiście, pomyślała. To musiał być tkacz. Kto inny miałby ochotę wędrować do takiej dziczy, żeby leczyć ludzi?

Było w nim coś dziwnego i dopiero po chwili zrozumiała, co to takiego.

Nie mogę czytać mu w myślach! Niczego nie wyczuwam! Nie potrafię...

Mężczyzna odwrócił się do niej, a ona zamarła zdumiona.

Leiard!

Włosy miał czarne i był gładko ogolony. Nabrał też ciała, ale to był on, na pewno. Lęk ścisnął jej żołądek, lecz równocześnie serce mocniej zabiło z radości. Jakaś część jej umysłu uznała tę wzajemnie sprzeczną reakcję za zabawną.

Cieszę się, że go widzę, czy nie?

Jednak nie musiała zaglądać mu w myśli, by zauważyć, że jest zmieszany jej przybyciem. Patrzył na nią zimno. Jego wargi powoli wygięły się w pozbawiony radości uśmiech.

- To jest Wilar, tkacz snów - przedstawił go Tyve, zadowolony z powagi tej prezentacji. - Tkaczu snów Wilarze, to jest...

- Auraya z Białych - dokończył cicho Leiard. - Poznaliśmy się już.

Tyve promieniował zdziwieniem i ciekawością.

- Znacie się?

- Tak - potwierdziła. - Choć wtedy używał zupełnie innego imienia.

I włosów nie miał ciemnych, dodała w myślach. Nie wygląda w nich dobrze.

- Imienia, które zostawiłem za sobą - odparł. - Wraz z błędami, które popełniałem. Wolałbym, żebyś już go nie używała. Teraz jestem Wilarem.

- Niech będzie Wilar... - zgodziła się.

Błędy? Chodzi mu o nasz romans czy ten niemiły sposób zerwania poprzez ucieczkę w ramiona ladacznicy? Poczuła, że wzbiera w niej gniew, ale opanowała się. To bez znaczenia. Wolę, żeby Siyee nie wiedzieli o naszej przeszłości, więc jeśli chce być nazywany Wilarem, nie mam nic przeciwko temu. Zresztą szkoda czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Chorzy Siyee czekają. Oni są ważniejsi.

Skrzyżowała ręce na piersi.

- A więc tkaczu snów Wilarze, w jakim stanie jest ten klan i gdzie moja pomoc przyniesie najwięcej korzyści?

Silny południowo - zachodni podmuch popychał Emerahl wzdłuż brzegów Genrii w czasie, który uznałaby za dobry, tyle że nie spieszyło jej się specjalnie i nie zmierzała do żadnego konkretnego celu. Niezmienny wiatr gnał ją wciąż w tym samym kierunku, a ona nadal wolała nie zatrzymywać się na więcej niż dzień czy dwa w jakimkolwiek nadmorskim miasteczku. Dlatego poddawała się jego woli. Jedynym, co budziło jej troskę, było to, że porusza się zbyt szybko, a Mewa, który może znalazł wiadomość i podąża za nią, nie zdoła jej dogonić.

Słońce przypiekało już z góry, kiedy zza cypla wynurzyło się Aime. Podobnie jak Jarime, miasto wyrosło wokół ujścia rzeki, jednak ujścia o wiele rozleglejszego niż tamto.

Odnogi rzeki były za szerokie dla mostów, a przynajmniej od ostatniej wizyty Emerahl nikomu nie udało się ich zbudować. Kiedy odsłaniały się kolejne, zobaczyła, że promów jest tak wiele jak kiedyś.

Na każdej wyspie wznosiła się grupa budynków. Mogła tylko przypuszczać, że sytuacja wygląda podobnie jak niegdyś i każda taka grupka jest niezależna od pozostałych i może być nazywana samodzielnym miastem. Każda miała własne nabrzeża, plac targowy, prawa i własny ród panujący.

Kiedy w polu widzenia pojawiła się kolejna grupa budynków, Emerahl rozpoznała ją natychmiast i uśmiechnęła się. Wyspa Królów nie zmieniła się, choć powstało kilka nowych pałacyków w dzielnicy ogrodów. Wymalowane w starożytne wzory kolorowe proporce powiedziały jej, że król Genrii wciąż ma tu swoją rezydencję - ale władzę sprawował chyba inny ród.

Wszystko wygląda tak samo, myślała. Zapewne język się rozwinął, tak jak w Torenie. W kantorach zaproponują mi pewnie potworny kurs wymiany pieniędzy... to się nigdy nie zmienia. A co... ?

Wyprostowała się gwałtownie, gdy zobaczyła coś całkiem nieznanego: u ujścia rzeki zacumowany był wielki statek z czarnymi żaglami. Na burcie miał wymalowaną dużą białą gwiazdę.

Pentadrianie! Co oni tu robią?

Skierowała swoją łódź do obcej jednostki. Może Genrianie ich pojmali? Ale z bliska zobaczyła na pokładzie dwóch ludzi w czarnych szatach rozmawiających z czwórką bogato odzianych miejscowych. Uwiązana do kadłuba, kołysała się na falach genriańska łódź, a robotnicy opuszczali do niej z pokładu skrzynie.

Odbywa się jakiś handel, myślała Emerahl. Minął niecały rok od wojny, a już wszyscy są tak przyjaźni, że nie przeszkadza im jedna czy druga transakcja.

Zmieniła kurs i skierowała się do najbliższego nabrzeża.

Może nie aż tak przyjaźni, pomyślała, korygując poprzednią ocenę. Statek stoi daleko od lądu. Król mógł im nie pozwolić na cumowanie przy nabrzeżu. Ale jego pozycja nie jest pewnie dość mocna, by całkiem zakazać handlu z pentadrianami. Ciekawe, który ród się na to zdecydował. I czy handlują dlatego, że towary są tego warte, czy po prostu żeby zirytować króla?

Zwróciła się ku lewej granicy miasta i wybrała jeden z niewielkich basenów portowych, gdzie drewniane pomosty przeznaczono dla mniejszych jednostek, takich jak jej łódź. Przy kejach stało kilka rybackich kutrów, jednak wszędzie panował spokój, gdyż ich

załogi już rankiem wyruszyły pewnie na targ. Kiedy zbliżyła się do drewnianej konstrukcji, sympatyczny zaokrąglony mężczyzna wynurzył się z budynku i przeszedł na samą krawędź nabrzeża.

- Dzień dobry! - zawołała. - Czy jesteś mistrzem cumowania?

Uśmiechnął się szeroko.

- Ano jestem. Nazywam się Toore Steerer. Odpowiedziała uśmiechem.

- Witaj, Toore Steererze. Ile bierzesz za cumowanie? Przygryzł dolną wargę.

- Jak długo chcesz tu zostać?

- Kilka dni. Zanim popłynę dalej, mam nadzieję zarobić trochę pieniędzy na uzdrawianiu.

Toore uniósł brwi.

- Uzdrawianie? Powiem wszystkim, że tutaj jesteś. Jak się nazywasz?

- To bardzo miło z twojej strony. Mam na imię Limma. Limma Curer.

Przygryzł wargę mocniej.

- Dwa miedziaki dziennie. Tylko nikomu nie mów, bo będą pytać, czemu tak tanio sprzedaję miejsce przy nabrzeżu.

Przyłożyła palec do warg.

- Ani słowo o tym nie wymknie się z tych ust. Toore wyszczerzył zęby.

- Pozwolisz sobie pomóc?

- Tak, dziękuję.

Wcisnęła do torby resztę zapasów, chwyciła go za rękę i wyszła na pomost. Zarzuciła torbę na ramię i ruszyła na brzeg. Mistrz cumowania szedł obok niej.

- Ile bierzesz za swoje usługi? - zapytał. - Myślisz, że mogłabyś jakoś pomóc mojej nodze?

Spojrzała na niego z uwagą.

- A co się z nią stało?

- Dawno temu utknęła między burtą statku i nabrzeżem. Ale dobrze się sprawowała, dopiero parę lat temu zaczęła boleć.

- Mogę ci sprzedać coś na ból - stwierdziła. - Mogę też spróbować trochę uzdrowić tę nogę, ale nie będę wiedziała, czy się uda, dopóki jej nie obejrzę.

Dotarli do końca pomostu i zatrzymali się. Kiedy spoglądała na szerokie wody ujścia, zobaczyła, że pentadriański statek wciąga żagle. Mężczyzna podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i zmarszczył czoło.

- Najwyższy czas, żeby odpłynęli - burknął. - Nikt nie był zadowolony, że tu stoją jak

jakaś czarna chmura nad miastem. Mam nadzieję, że nigdy już nie wrócą.

- Wrócą - oświadczyła. Odwrócił się do niej, unosząc brew.

- Skąd ta pewność?

- Znaleźli nabywcę na to, co mają na sprzedaż. Kiedy przepływałam obok, widziałam, jak przenosili towar.

Zmarszczył czoło.

- Wbrew rozkazom króla? A widziałaś, kto to taki? Pokręciła głową.

- Nie byłam w Genrii od lat. Nie poznałabym nikogo z rodów rządzących, choćbym się o niego potknęła.

- A jakie barwy miała ich łódź?

- Niebieskie i czarne pasy w środku kadłuba.

- Aha. Ród Deore. Oczywiście. - Uśmiechnął się. - Potężna familia. Jedyni dostatecznie silni, by rzucić wyzwanie królowi.

Deore było nazwiskiem, którego nigdy wcześniej nie słyszała. Prawdopodobnie jakaś nowa gałąź, mniej skłonna do przestrzegania tradycji i dostatecznie ambitna, by wywoływać konflikty.

- Mam nadzieję, że nie odwiedziłam Aime w złym czasie.

- Nie, to całkiem zwyczajny czas. - Roześmiał się. - Rządzące rody zawsze próbują jątrzyć. Zresztą i tak planujesz zostać tylko kilka dni.

- Owszem - zgodziła się. - Chcesz, żebym obejrzała teraz twoją nogę?

- Jeśli można. A jeśli cena będzie przyzwoita, może zapomnimy o opłacie cumowniczej.

Parsknęła.

- To zależy od wymaganego leczenia. Usiądźmy gdzieś, to się przekonamy.

Tyve wylądował akurat w chwili, gdy Wilar właśnie wychodził. Nie zwracając uwagi na młodego człowieka, tkacz snów rozejrzał się po innych altanach.

Teraz stale to robi, zauważył w myślach Tyve. Szuka Aurai.

Przez cały ranek przenosił wiadomości między tkaczem i Białą. Oboje ziemiochodzący nie rozmawiali ze sobą od jej przybycia.

Wydaje się, że się nie lubią, a Wilar wygląda, jakby irytowała go jej obecność. Zastanawiam się... Powinienem go o to zapytać? Mam wrażenie, że nie jest to coś, o czym chciałby rozmawiać. I nie sądzę, żeby tak osobiste pytania należało zadawać Białej, chociaż wydaje się przyjazna.

Zrobił krok w stronę Wilara, ale nagle zakręciło mu się w głowie i na moment stracił

równowagę. Odetchnął głęboko, ale to nie pomogło. Coś tkwiło mu w płucach i naraz musiał zakaszleć.

- Tyve... Usiądź.

Mocne ręce przytrzymały go, kiedy wokół wirował świat. Tyve osunął się na kolana. Odruch kaszlu mijał powoli, ale dolegliwość zastąpił strach. Spojrzał na Wilara.

- Złapałem to, prawda?

Wilar przytaknął, zaciskając wargi w posępną linię.

- Na to wygląda. Ale nie martw się. Nie pozwolę ci umrzeć.

- Nie martwię się.

W rzeczywistości jednak był tak przerażony, jak się spodziewał. Pomagało trochę, że lepiej rozumiał, jak działa choroba, i wiedział, że prawdopodobnie przeżyje. Przede wszystkim jednak czuł rozczarowanie.

- Nie mogę ci więcej pomagać? Tylko bym roznosił zarazę. ..

- Nie możesz, ale nie dlatego. W tej chwili nie ma ani jednej rodziny, w której ktoś by nie zachorował, więc niewielkie są szanse, że komukolwiek uda się uniknąć zarażenia. Musimy tylko spowalniać rozwój, żeby mieć czas na leczenie.

- Czyli mogę ci pomagać?

- Nie. Będziesz szybko tracił siły. A jeśli zemdlejesz w locie? Możesz spaść i się zabić.

Tyve zadrżał.

- Dobrze, że jest tu Auraya - stwierdził. - Bez niej nie miałbyś żadnych pomocników.

Wargi tkacza snów wygięły się w niechętnym uśmieszku.

- Nie jestem pewien, czy będzie dobrym pomocnikiem. Biali nie lubią wykonywać poleceń, chyba że od swoich bogów.

W jego głosie obok drwiny zabrzmiała gorycz. Tyve poczuł, że się rumieni.

- Chodziło mi o to, że Auraya może...

- Wiem, o co ci chodziło - uspokoił go Wilar. Rozejrzał się i westchnął. - Twoja wioska potrzebuje każdej pomocy, jaka się trafi. Ujemne strony jej obecności to tylko moja sprawa. Szkoda, jeśli w ogóle istnieje, już się dokonała. A teraz... - Przyjrzał się chłopcu. - Teraz potrzebny mi nowy posłaniec. Masz dość siły, żeby polecieć do waszej altany?

Tyve zastanowił się przez chwilę.

- Leży trochę niżej. Mogę tam dotrzeć, właściwie tylko szybując. - Wstał, zrobił kilka kroków i odwrócił się. Nie czuł żadnych zawrotów głowy. - Tak, dolecę.

- Dobrze. Zatem wracaj i odpoczywaj. Przyślij do mnie Reeta, kiedy już się obudzi... i

jeśli dobrze się czuje.

Tyve stanął na brzegu platformy. Obejrzał się i zobaczył, że Wilar przygląda mu się z uwagą.

- Może kiedy przyjdziesz mnie leczyć, opowiesz przy okazji, jak mogę zostać uzdrowicielem.

Oczy Wilara błysnęły - ale się nie uśmiechnął.

- Może. Ale nie spodziewaj się, że Auraya będzie z tego zadowolona.

- Dlaczego nie?

- Później ci wytłumaczę. A teraz leć już, bo będę musiał sam cię zepchnąć.

Tyve uśmiechnął się szeroko. Odwrócił się, rozłożył ramiona i poczuł podmuch na skrzydłach, kiedy poszybował w dół.

29

Imi spojrzała jeszcze na tacę i z żalem uznała, że nie zje już ani kęsa. Zerknęła na stojącą obok służącą i lekceważąco machnęła ręką na jedzenie - był to gest, który podpatrzyła u Imenji. Kobieta wzięła tacę, skłoniła się i odeszła.

Dziewczynka westchnęła z zadowoleniem i zanurzyła się w wodzie. Czuła się teraz o wiele lepiej. Nie chodziło tylko o jedzenie i słoną wodę - ci ludzie w czarnych szatach byli dla niej mili. Miała lepszy nastrój i nie była cały czas wystraszona.

Klapa namiotu odsunęła się, a złote światło zachodzącego słońca otoczyło znajomą kobiecą sylwetkę. Imi usiadła i uśmiechnęła się, gdy Imenja podeszła do krawędzi sadzawki.

- Witaj, księżniczko. Jak się dziś czujesz?

- O wiele lepiej.

- Czy masz dość sił, aby chodzić?

Imi spojrzała na nią zdziwiona. Chodzić? Napięła mięśnie nóg. Chybabym mogła, ale niezbyt daleko.

- Mogę spróbować - powiedziała.

- Chciałabym cię gdzieś zabrać. Niedaleko - uspokoiła ją Imenja. - Pierwszy Głos Nekaun, przywódca mojego ludu, chciałby się z tobą spotkać. Zgadzasz się?

Imi kiwnęła głową. Była przecież córką króla - to rozsądne, że władca tej ziemi chce się z nią spotkać. Ale jej gorliwość osłabła, gdy wyobraziła sobie, jak spotyka się z tak ważnym człowiekiem. Nagle pożałowała, że nie jest starsza i bardziej dorosła. Co mu powie? Czego nie powinna mówić? Nikt jej nigdy nie uczył, jak się zachowywać wobec przywódców innych krajów.

Ojciec chyba nie sądził, że kiedyś będzie mi to potrzebne.

Wolno wsunęła stopy pod siebie i wstała. Nogi miała słabe, ale nie bardziej niż wtedy, kiedy przebywała na statku piratów. Przekroczyła brzeg sadzawki i stanęła na suchym bruku, a potem spojrzała wyczekująco na Imenję. Kobieta uśmiechnęła się i podała jej rękę. Imi ujęła ją i razem wyszły z namiotu.

Dziedziniec wyglądał tak samo jak wtedy, kiedy zjawiła się tu po raz pierwszy, tyle że teraz była już prawie noc. Imenja poprowadziła ją do galerii z boku i dalej przez otwarte drzwi. Wewnątrz było chłodno. Kałuże światła z lamp znaczyły podłogę w długim korytarzu. Kobiety dotarły do schodów i choć wspinaczka trwała krótko, zanim weszły na szczyt, Imi oddychała już ciężko. Imenja zatrzymała się przy wnęce i opowiedziała jej o specjalnych

metodach używanych przy wykonywaniu ustawionej tam rzeźby. Zanim ruszyły dalej, oddech Imi wrócił do normalnego rytmu.

Skręciły w następny korytarz, a potem zatrzymały się przed dużym łukowym wejściem. Imenja wskazała je.

- Tam czeka Pierwszy Głos - szepnęła. - Wejdziemy?

Imi kiwnęła głową. Przeszły przez próg do dużej komnaty z półokrągłym sklepieniem. Imi odetchnęła szybko w zdumieniu.

Ściany i dach były pomalowane w jaskrawe kolory. Kopuła była niebieska, z chmurami, ptakami i nawet trochę dziwnie wyglądającym Siyee. Na ścianach widziała różne pejzaże, a na podłodze w połowie ogród, a w połowie wodę. Wszędzie były wizerunki ziemiochodzących: w ogrodach, domach, pływających łodziami albo niesionych przez niewolników. Zwierzęta, zarówno te znajome, jak i nieznane czy fantastyczne, zapełniały ogrody, lasy, morza i rzeki. Imi podeszła bliżej i zauważyła, że obrazy są w rzeczywistości wykonane z niezliczonych maleńkich kawałków błyszczącej substancji.

Usłyszała jakiś dźwięk, uniosła głowę i aż podskoczyła, gdy zobaczyła, że w samym środku komnaty stoi mężczyzna. Miał na sobie takie same czarne szaty jak Imenja i podziwiał obrazy. Kiedy jednak Imi go zauważyła, uniósł głowę i uśmiechnął się.

- Witaj, księżniczko Imi - powiedział miłym, ciepłym głosem. - Jestem Nekaun, Pierwszy Głos Bogów.

Nie wiedząc, jak odpowiedzieć, spróbowała naśladować jego styl.

- Witaj, Nekaunie, Pierwszy Głosie Bogów. Jestem Imi, księżniczka Elai.

- Jak się czujesz?

- Lepiej - zapewniła.

Kiwnął głową, a jego oczy zamigotały niczym gwiazdy.

- Miło mi to słyszeć - oznajmił. - Zamierzałem odwiedzić cię dziś wieczorem, ale pomyślałem, że jeśli tylko masz dość sił, będzie przyjemniej, jeśli pokażę ci to miejsce. Jest tu coś, co może wyda ci się interesujące.

Skinął na nią, a ona ruszyła w jego stronę, skupiona na godnym zachowaniu i cały czas skrępowana swoimi dużymi stopami i dłońmi.

- Jedynie dzięki Imenji i Reivan odzyskałam siły - powiedziała, stając u jego boku. - Dziękuję też tobie za to, że pozwoliłeś mi tu zostać.

Spojrzał jej w oczy i kiwnął głową z poważną miną.

- Muszę przeprosić za to złe traktowanie, jakie cię spotkało, zanim znalazła cię Imenja.

Imi zmarszczyła czoło.

- To nie była twoja wina.

- Och, ponoszę częściową odpowiedzialność za to, co spotyka gości na mojej ziemi. Jeśli nie skutkuje prawo, które ma zniechęcać do złych uczynków, to i my ponosimy porażkę.

Jej ojciec pewnie też tak by się czuł, gdyby jakiś gość bez żadnego powodu został zraniony przez jego poddanych. A zwłaszcza ważny gość. Uznała, że lubi tego człowieka. Był miły i traktował ją z szacunkiem, jakby była dorosła.

- W takim razie dziękuję za przeprosiny - powiedziała, zastanawiając się, jak bardzo dorośle to brzmi. - Co chciałeś mi pokazać? - spytała.

Wskazał na podłogę.

- Nie poczuj się urażona, gdyż to tylko fantazja artysty, który nigdy nie widział waszego ludu.

Spojrzała w dół. Stali na obrazie morza ukazanego z góry, w dzień tak spokojny, że wody były idealnie przejrzyste. Ryby mrowiły się w błękitnej przestrzeni, niektóre płynęły na boku, ukazując wspaniałe barwy. Koralowce i wodorosty rosły - nie całkiem realistycznie - przy samym brzegu. U ich stóp siedziała ziemiochodząca kobieta z rybim ogonem zamiast nóg. Miała jasnożółte włosy, które wirowały wokół jej ciała, aby ukryć piersi i krocze.

Czy ich zdaniem tak właśnie wyglądamy? Zachichotała nagle, ale natychmiast zasłoniła usta.

Nekaun parsknął śmiechem.

- Tak. To bardzo głupie. Niewielu ziemiochodzących kiedykolwiek widziało Elai. Wiedzą tylko, że żyjecie w morzu, więc wyobrażają sobie was jako pół ryby, pół ludzi. - Pokręcił głową. - Dlatego ten, który cię kupił, traktował cię gorzej niż człowieka.

Kiwnęła głową, choć nie całkiem rozumiała, czemu na podstawie rysunku ktoś miałby pomyśleć, że ktoś inny nie jest człowiekiem. Przecież jeśli mieli palce, nosili ubrania i potrafili mówić, to byli ludźmi. Ona nigdy nie wzięłaby ziemiochodzącego czy Siyee za zwierzę.

Nekaun odstąpił na bok.

- Chodź tędy. Jest jeszcze coś, co chciałbym ci pokazać. Imi szła obok niego, kiedy zmierzał w stronę drzwi w jednej ze ścian. Imenja sunęła o kilka kroków za nimi.

- Mieszkańcy innych krajów także wierzą w dziwne rzeczy o moim ludzie - powiedział. - Wiedzą, że mamy czasem niewolników, więc uznają, że wtrącamy w niewolę kogo tylko chcemy. Tymczasem niewolnikami są wyłącznie przestępcy. Zniewolenie niewinnej osoby to bardzo poważne przestępstwo. Karą jest niewola. Człowiek, który cię

kupił, nie był z naszego kraju, ale znał prawo.

- I to właśnie go spotkało? Trafił w niewolę?

- Tak.

To by się ojcu spodobało, uznała Imi.

- Mamy też inne zwyczaje, których nie rozumieją cudzoziemcy. Niektóre z rytuałów wymagają, aby uszanować prywatność uczestników. Dlatego utrzymujemy je w tajemnicy, a cudzoziemcy uważają, że muszą być one obrzydliwe lub niemoralne. - Spojrzał na nią ze smutkiem. - Pamiętaj o tym, jeśli od innych ziemiochodzących usłyszysz takie plotki.

Imi kiwnęła głową. Jeśli inni ziemiochodzący mówiliby jej, że poddani Nekauna są źli, będzie ich przekonywać, że się mylą.

Przeszli do mniej bogatego pomieszczenia. Obrazy na ścianach przedstawiały grupy ludzi, każda złożona z mężczyzny, kobiety i dziecka. Każda ubrana w trochę inną odzież, każda miała nieco inny odcień skóry i włosów. W jednej z przedstawionych rodzin wszyscy mieli wielkie skrzydła z piórami.

I nagle zrozumiała, dlaczego Siyee w tamtym pokoju wydawał się jej dziwaczny. Podniosła dłoń do ust.

- Tak - powiedział Nekaun, choć tym razem nie wydała z siebie głosu. - Dopiero niedawno się dowiedzieliśmy, jak nieprawidłowy jest ten wizerunek. Zastanawiam się, czy powinniśmy go poprawić, czy nie. - Spojrzał w dół. - Lecz nie to chciałem ci tutaj pokazać. Spójrz pod nogi. Na podłodze namalowano mapę całej Ithanii.

Zrobiła, o co poprosił, i aż wstrzymała oddech z zachwytu. Wielkie kształty wykreślono pośrodku błękitnej podłogi. Wypełniały je rysunki gór, jezior, dziwnych miast pod otwartym niebem i suchych dróg między nimi. Nekaun wskazał duży obszar w kształcie ostrza włóczni.

- To jest Ithania Południowa. - Przeszedł do miejsca, gdzie grot dotykał o wiele większego kształtu, i czubkiem sandała wskazał na miasto. - Tu właśnie jesteśmy: Glymma.

- A gdzie jest Borra?

- Nie wiem dokładnie. Miałem nadzieję, że ty mi powiesz. Pokręciła głową.

- Nigdy jeszcze nie widziałam świata z góry. To wszystko... Pierwszy raz oglądam coś podobnego.

Zmarszczył brwi.

- Więc być może nie będziemy w stanie odprowadzić cię do domu tak szybko, jak myśleliśmy.

- Dlaczego nie spytacie piratów, gdzie mnie znaleźli? Parsknął śmiechem.

- Gdybyśmy tylko mogli... Ale w porcie Glymmy nie znaleźliśmy po nich nawet śladu. Albo odpłynęli, kiedy tylko cię sprzedali, albo wieści o twoim ocaleniu i kłopotach, jakie sprowadziłaś na swojego nabywcę, ostrzegły ich i teraz trzymają się z daleka. Potrzebujemy ciebie, Imi, abyś nam powiedziała, gdzie jest twój dom.

Przyjrzała się mapie z bliska, szukając czegokolwiek znajomego. Jej uwagę zwróciły wizerunki Siyee, wyrysowane na obszarze gór. Podeszła do linii brzegu. Z Borra w ciągu kilku dni można było dopłynąć do Si.

- To jest gdzieś na oceanie, na południe od Si - powiedziała.

- Południe jest w tym kierunku - odparł i wyciągnął rękę.

Spoglądając na ogromny błękitny obszar, poczuła lęk i rozczarowanie. Nie zaznaczono tam żadnych wysp. Jak miała im powiedzieć, gdzie jest Borra, kiedy nie ma jej na mapie?

Ale oczywiście, że nie ma jej na mapie, uświadomiła sobie. Gdyby była, nie musieliby mnie pytać, gdzie jej szukać.

- Czy twoi ludzie spotkali Siyee? - spytała Imenja. Imi spojrzała na nią i kiwnęła głową.

- Handlujemy z nimi.

- Czyli oni by wiedzieli, gdzie jest twój dom?

- Możliwe. Jeśli nie, mogłabym czekać u nich na następną wizytę kupców z Elai. Ja... Nie wiem, jak często tam docierają.

Imi spuściła wzrok na mapę i ogarnęła ją tęsknota. Dotarła tak daleko, a teraz mogła wracać do domu i nie była pewna, jak tam trafić.

- A zatem tak uczynimy - zdecydowała Imenja. Dziewczynka poczuła przypływ nadziei.

- Uczynimy?

- Tak. Znajdziemy twój dom, Imi - zapewnił ją Nekaun. - Tak szybko, jak to możliwe. Imenja uważa, że w ciągu kilku dni będziesz miała dość sił, by wyruszyć.

Spojrzała na niego radośnie.

- Tak szybko?

- Tak. - Pierwszy Głos uśmiechnął się. - Imenja zabierze cię jednym z naszych statków. Zrobi wszystko, co możliwe, by doprowadzić do spotkania z twoim ojcem i jego poddanymi.

W oczach Imi pojawiły się łzy. Zamrugała nerwowo i uśmiechnęła się do nich z głęboką wdzięcznością.

- Dziękuję wam - szepnęła. - Bardzo wam dziękuję.

Mężczyzna oddychał z wysiłkiem. Auraya przysiadła na piętach i westchnęła ciężko. Spodziewała się silniejszej, ale nie aż tak zakaźnej wersji sercożera. Teraz albo w przeszłości zapadł na niego każdy członek tego klanu. Część pokonała najgorszy etap choroby, ale tylko dzięki pomocy Leiarda.

Wilara, poprawiła się w myślach.

Teraz, kiedy minęło poczucie zaskoczenia, że znalazła go w Si, zaczęła się zastanawiać nad jego obecnością. Nie mógł wiedzieć o zarazie, zanim wkroczył do Si. Siyee chorowali nie dłużej niż tydzień czy dwa, a potrzebowałby miesięcy, aby dotrzeć do tej wioski spoza granic krainy. Zatem musiał być tu wcześniej.

Dlaczego? Mogę zrozumieć, że trzyma się z daleka od Jarime i Jurana, ale nie musiał zmieniać imienia ani wyglądu ani zamieszkiwać w jednym z najbardziej odludnych miejsc Ithanii Północnej. Może bał się, że nasz romans stał się tematem plotek i ludzie będą próbowali go skrzywdzić? A może obawia się, że to ja spróbuję go ukarać za niewierność?

Chciała mu zadać tak wiele pytań, ale to znaczyło, że musiałaby wrócić do bolesnych tematów. Powinna dość łatwo uzyskać odpowiedzi. Powinna odczytać je z jego umysłu - lecz nie potrafiła. Jego myśli były osłonięte. Nigdy jeszcze nie spotkała kogoś, kto by to potrafił. Czy zawsze wiedział, jak to robić, czy nauczył się dopiero niedawno? Czy mógłby nauczyć tego innych tkaczy snów? Wtedy Biali straciliby nad nimi przewagę.

Wspomniała szpital i poczuła wyrzuty sumienia. Świadomość tego, że stara się odebrać tkaczom wpływy, jeszcze bardziej utrudniała rozmowy z Leiardem. Był to kolejny powód, dla którego go unikała, wysyłając wiadomości poprzez Tyve'a i Reeta.

Wzywała Leiarda częściej, niż miała na to ochotę. Leki, których używał do usuwania wydzieliny z płuc, były często skuteczniejsze niż cokolwiek, co ona ze sobą przyniosła. Kilka godzin wcześniej majaczący w gorączce pacjent upierał się, żeby leczył go jedynie „człowiek snów”. A teraz znów musiała po niego posłać.

Leżący przed nią chory, ojciec w średnim wieku, szybko ulegał chorobie. Próby zwalczania jej podejmowane przez jego ciało były żałosne. Spodziewała się, że wkrótce umrze. Rozsądek nakazywał więc upewnić Siyee, że uzdrowiciel zgadza się z jej oceną. Gdyby chory umarł pod jej opieką, wszyscy mogliby zdecydować, że chcą być leczeni wyłącznie przez tkacza snów.

Usłyszała stuk za sobą, odwróciła się i wyjrzała z altany. Na platformie stał Reet i kaszlał cicho. Spoglądał na Leiarda, który wisiał na uprzęży przyczepionej do grubej liny, rozciągniętej między tą platformą a inną, gdzieś po prawej. Tkacz snów przeciągał się wolno.

Kiedy dotarł do platformy, zobaczyła, że dłonie ma zaczerwienione i otarte. Torba wisiała na sznurze przewiązanym w pasie.

Reet pomógł mu się wdrapać na platformę, a potem zsunąć uprząż. Nie tracąc czasu, Leiard wszedł do altany. Przez moment patrzył Aurai w oczy, ale nie zmienił posępnego wyrazu twarzy. Przykucnął, położył dłonie na czole mężczyzny i przymknął powieki.

Nieproszone, napłynęły wspomnienia tych kilku sytuacji, kiedy patrzyła, jak śpi. Opanowała ją zapomniana tęsknota i musiała zacisnąć zęby.

To tylko echo pożądania, które czułam. Już go nie kocham.

Zmusiła się, by myśleć o nocach rozkoszy, które dawał jej Chaia. Pokręciła głową. To odwracało uwagę, a przecież musiała się skoncentrować na chorym.

Spojrzała i poczuła dreszcz zdziwienia i nadziei. Leżący mężczyzna nadal miał bladą skórę, ale wargi i końce palców nie były już sine. Nierówny oddech stał się odrobinę spokojniejszy i głębszy.

Jak to możliwe? myślała. Dałam mu tyle energii, ile może dostarczyć magia, ale ciało nie chciało walczyć z chorobą. Pustoszyła je. Leiard przecież nie może stwarzać nowego ciała tam, gdzie dawne zostało zniszczone. I nie może zmusić go do walki z chorobą. Nie może zabić samej choroby...

A jeśli może? Tkacze snów uzdrowicielskimi zdolnościami przewyższali cyrklian. Dawno temu Leiard nauczał ją tylko o lekach, a nie o metodach stosowanych przez tkaczy. Od tego czasu nie pojawiła się żadna okazja, by mogła się przyglądać, jak tkacze leczą tak ciężko chorego człowieka.

Ogarnęło ją podniecenie. Jeśli wiedzą, jak odtwarzać uszkodzone ciało, jak zmuszać organizm do walki z chorobą, jak zabijać samą chorobę, to kapłani mogą się od nich tego nauczyć. Cyrkliańscy uzdrowiciele mogliby wtedy ocalić wiele żyć.

Może nie powinnam unikać Leiarda, myślała. Może powinnam go namówić do współpracy... znowu. Skrzywiła się na tę myśl. Szkoda, że nie umiem czytać w jego myślach, bo już teraz wiedziałabym, co zrobił. I spokojnie mogłabym nadal go unikać.

Leiard odetchnął głęboko i wolno wypuścił powietrze. Cofnął dłoń z czoła mężczyzny i wstał. Z cienia, gdzie czekała, wynurzyła się żona chorego, która sama ledwie zdążyła nabrać sił po chorobie. W ręku trzymała okrągły, płaski bochenek chleba.

- Zjedz, Wilarze - odezwała się. - Reet mówi, że ani razu nie widział, byś coś jadł czy odpoczywał.

Leiard spojrzał na nią, a potem na Aurayę. Kobieta podążyła za jego wzrokiem.

- Ty także, pani - dodała. Auraya uśmiechnęła się.

- Dziękuję. - Przyjrzała się uważnie Leiardowi. Zauważyła ciemne cienie pod oczami. - Wygląda, jakby naprawdę tego potrzebował.

Tkacz zawahał się, a potem zwrócił się do Reeta.

- Sprawdź co z Veece'em - polecił. Chłopak kiwnął głową i odleciał.

Kiedy tkacz snów usiadł, kobieta zaczęła łamać i podawać im chleb. Był już trochę zeschnięty, pewnie od wielu dni niczego nie gotowała. Prawdopodobnie u licznych Siyee kończyły się zapasy żywności.

Musimy to jakoś rozwiązać, pomyślała Auraya.

- Co mogę dla niego zrobić? - spytała kobieta, patrząc na męża.

- Nadal podawaj esencję - poradził Leiard.

- Przeżyje?

- Dałem mu drugą szansę. Jeśli mu się nie poprawi, być może trzeba będzie go izolować, dopóki nie wyzdrowieje reszta klanu.

- Dlaczego? - zdziwiła się Auraya. Odwrócił się do niej.

- Żeby ponownie nie zaraził się chorobą. Popatrzyła mu w oczy.

- A zatem zabijasz chorobę w jego ciele?

- Tylko wtedy, kiedy to konieczne - przyznał z wyraźną niechęcią.

- Nie znam żadnego innego uzdrowiciela, który to potrafi. Jesteś bardziej uzdolniony, niż myślałam.

Odwrócił głowę.

- Wiele jest rzeczy, których o mnie nie wiesz.

Słysząc ponury ton, kobieta uniosła brwi, potem wstała nagle i wyszła z pokoju. Auraya przyglądała się Leiardowi; ten obojętny wyraz twarzy zaczynał ją irytować.

- Na przykład? - spytała. - A może powinnam zapytać: czego jeszcze?

Zwrócił się w jej stronę. Oczy miał zimne, ale twarz stopniowo łagodniała.

- Przykro mi - wymruczał. - Wiedziałem, że będziesz mnie szukać. Powinienem być bardziej... przewidujący, odgadnąć, jak i gdzie możesz mnie znaleźć. To był jedyny sposób, bym miał pewność, że się nie zbliżysz. Nie ufałem... sobie. Nie wierzyłem, że będę miał dość silnej woli, by odejść.

Spojrzała na niego zdziwiona.

Próbował ją przeprosić. A jeszcze bardziej zaskoczyło ją to, że przyjmuje te przeprosiny. Owszem, cały czas bolało to, że uciekł od niej prosto do łóżka ladacznicy, ale teraz musiała przyznać, że przez cały czas domyślała się, dlaczego tak postąpił. Przecież ona także nie potrafiła przerwać romansu, chociaż wiedziała, ile złego może wyrządzić.

Czy mu wybaczam? A jeśli tak, co z tego dla nas wynika? Odwróciła wzrok. Nic. Nie możemy zacząć od nowa. Nie możemy być razem. Zresztą dlaczego miałabym tego chcieć? Jest przecież Chaia.

Leiard przyglądał się jej z uwagą. W atmosferze pojawiło się napięcie.

Poruszenie w sąsiednim pokoju przypomniało jej o obecności kobiety Siyee. Czy ona nas słyszy? Auraya skoncentrowała się i wyczuła zaciekawienie i domysły. Kobieta nie zrozumiała tych kilku słów, jakie do niej dotarły...

- Ja... rozumiem - powiedziała. - To wszystko jest już przeszłością. A więc... Le...

- Wilar - przerwał jej.

- A więc, Wilarze, dlaczego masz zablokowany umysł? Nagle jego twarz stała się czujna i ku swej irytacji poczuła do niego lekki pociąg. To jego tajemniczość... to ona tak mnie intryguje, pomyślała. Inni są łatwi do odczytania. Mogę o nich wiedzieć wszystko, jeśli zechcę, ale w obecności Leiarda zawsze miałam uczucie, że pozostaje jeszcze wiele do odkrycia. Nawet kiedy mogłam czytać w jego myślach. Teraz, gdy nie potrafię, jestem jeszcze bardziej zaciekawiona.

- Nauczyłem się tej sztuczki od starego przyjaciela. Dopiero niedawno uznałem, że powinienem z niej skorzystać.

Stary przyjaciel? Uśmiechnęła się, zgadując, o kim mówi.

- Czy Mirar wciąż czai się w głębi twego umysłu? Wykrzywił wargi w uśmiechu.

- Nie.

- Aha. To dobrze. Chciałeś się go pozbyć.

Skinął głową. Przyjrzał się jej uważnie. Ale wtedy ich uwagę zwrócił głuchy stuk przed altaną. Na zewnątrz stał Reet.

- Veece znowu zasłabł. Leiard zmarszczył brwi i wstał..

- Dziękuję za jedzenie! - zawołał do kobiety.

Potem wyszedł bez słowa pożegnania, włożył podaną przez Reeta uprząż i ześlizgnął się po linie.

30

Pokój, który przydzielono Reivan, kiedy już została pełną Sługą, był dwa razy większy od jej poprzedniego - co oznaczało, że nadal był niezbyt duży. Było późno i miała się już położyć, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Westchnęła. Ten dzień był pełen takich niespodziewanych wizyt...

Podeszła do drzwi i otworzyła z mocnym postanowieniem, by temu, kto czeka na zewnątrz, powiedzieć, żeby przyszedł rano.

Na korytarzu stał Nekaun. Spojrzała na niego zdumiona.

- Mam do ciebie kilka pytań, Reivan. Mogę wejść? Opanowała się i przytrzymała drzwi.

- Oczywiście, świątobliwy.

Kiedy wszedł, poczuła nieoczekiwany dreszcz podniecenia. Co by powiedzieli inni Słudzy, gdyby wiedzieli, że ma takiego dostojnego gościa? I dech jej zaparło, gdy sobie uświadomiła, że podejrzewaliby pewnie miłosną schadzkę. Zamykając drzwi, obejrzała się przez ramię. W blasku niewielkiej lampy, której używała, by oświetlać sobie drogę przez Sanktuarium, Nekaun wydawał się jeszcze przystojniejszy. Serce zabiło jej szybciej.

A jeśli przyszedł nie tylko zadać kilka pytań? Czy miałaby mu to za złe?

Potrząsnęła głową. Nie bądź śmieszna, strofowała się. I przestań o tym myśleć! On potrafi czytać w twoim umyśle, wariatko!

Zakłopotana, pospiesznie zapaliła drugą lampę, wypełniając niewielki pokoik uspokajającą jasnością.

- Proszę, usiądź, Pierwszy Głosie - zaprosiła go. - Napijesz się wody?

- Nie - odparł i spoczął na jedynym krześle. - Dziękuję. Sama nalała sobie kubek wody i przysiadła na brzegu łóżka.

Uśmiechnął się do niej z sympatią, a ona spuściła wzrok, nagle zakłopotana.

- Chciałem cię spytać o Siyee - rzekł. - Wierzą, jak się zdaje, że zostali stworzeni przez któregoś z cyrkliańskich bogów. Sądzisz, że da się ich skłonić do porzucenia tych wierzeń?

Reivan zmarszczyła brwi.

- Możliwe. Nawrócenie ich będzie pewnie o wiele trudniejsze, ale jeśli poświęcimy dość wysiłku i czasu, może zrozumieją, że błądzili w wierze.

- Wysiłek i czas... Długotrwały wysiłek czy wysiłek w odpowiedniej chwili?

Spojrzała na niego.

- Przypuszczam, że w końcu cała Ithania będzie oddawać cześć Pięciorgu. Wtedy łatwiej będzie skłonić Siyee do rezygnacji z pogańskich wierzeń.

Nekaun zastanowił się.

- Może więc warto zaczekać, o ile przez ten czas nie okażą się dla nas zagrożeniem.

- Co jeszcze mógłbyś zrobić? - spytała.

Milczał przez chwilę. Potem zerwał się i zaczął krążyć po niewielkiej przestrzeni między krzesłem a drzwiami. Dwa kroki tam. Dwa kroki z powrotem...

- Wielu Siyee zginęło podczas wojny. W tej chwili są osłabieni.

- Chcesz ich zaatakować? - spytała zaskoczona.

Była to sugestia nietypowo drastyczna i wojownicza. Jego plany były przecież subtelne, niewymagające przelewu krwi.

- Wolałbym nie - przyznał. - Także z tego powodu, że mogłoby to doprowadzić do wojny.

- Mogłoby? - Pokręciła głową. - To by doprowadziło do wojny.

Zatrzymał się i przyjrzał jej spod zmrużonych powiek. Po chwili rozluźnił się wyraźnie i uśmiechnął.

- Ach, Reivan, Imenja nie pomyliła się w wyborze. Twoja szczerość mogłaby mi pomóc. Kusi mnie, żeby wyznaczyć cię na swoją Towarzyszkę.

Poczuła rumieniec na twarzy i odwróciła głowę. Serce biło jej jak szalone.

Ja! Nieutalentowana dziewczyna Towarzyszką Pierwszego Głosu!

Ale to nie tylko ambicja przyspieszała jej tętno. Oddychając powoli, z trudem odzyskała spokój.

- Jestem... zaszczycona. To wielki honor. Zaśmiał się.

- Imenja postanowiła cię zatrzymać i zabiera ze sobą do Elai. Muszę poszukać kogoś innego, kto szczerze i bezpośrednio wyrazi swoją opinię, kiedy będę jej potrzebował.

Podszedł do niej i wyciągnął rękę. Ujęła ją, a on podciągnął ją w górę, ale nie cofnął się, żeby zrobić jej miejsce. Stojąc tak blisko, czuła na twarzy ciepło jego oddechu.

Uśmiechnął się.

- Dziękuję, że podzieliłaś się ze mną swoimi przemyśleniami.

Głos zamarł jej w gardle. Kiwnęła głową, unikając jego wzroku. Serce znów biło szybko, ale tym razem nie potrafiła go uspokoić. On tymczasem uniósł dłoń i delikatnie dotknął jej policzka.

- Nie będę ci dłużej przeszkadzał - powiedział. - Dobranoc, Reivan.

Puścił jej dłoń i podszedł do drzwi. Otworzył je, obejrzał się jeszcze i uśmiechnął do niej, po czym wyszedł.

Drzwi zamknęły się powoli, a ona wypuściła powietrze - nawet nie zauważyła, że wstrzymuje oddech.

Doszła do wniosku, że nie ma absolutnie żadnej szansy, żeby nie wiedział, jak na nią działa. Zaśmiała się z goryczą, wspominając jego słowa: „Dziękuję, że podzieliłaś się ze mną swoimi przemyśleniami". To miał być żart?

Odetchnęła głęboko i usiadła.

Czy jest możliwe, że jakoś zwalczę to zadurzenie, kiedy stąd odpłyniemy? Z pewnością kilka miesięcy na morzu powinno wystarczyć, żebym uspokoiła zmysły. I lepiej, żeby wystarczyło. W przeciwnym razie moje życie w Sanktuarium stanie się bardzo, ale to bardzo krępujące.

Musiałem zwariować, myślał Mirar, przesuwając się po linie. *Powinienem był się domyślić, że Auraya wyruszy tutaj natychmiast, kiedy tylko dotrą do niej wieści o sercożerze. Powinienem był odejść, zanim tu dotarła.*

A odszedłbyś? zapytał Leiard.

Mirar zmarszczył czoło.

To by oznaczało porzucenie Siyee. Ci, którzy nie potrafią zwalczyć choroby, umarliby bez mojej pomocy.

Tak. I właśnie dlatego zostałeś, kiedy ona przybyła.

I tak nie uciekłbym daleko. Znalazłaby mnie. Gdybym odszedł przed jej przybyciem, usłyszałaby opowieści o tkaczu snów i zaczęłaby mnie szukać.

Byłaby zbyt zajęta leczeniem Siyee, zauważył Leiard. *I będzie, jeśli odejdziesz teraz. Więc czemu zostajesz?*

Mirar westchnął.

Szkoda już się dokonała, już w momencie spotkania musiała zauważyć, że mój umysł jest osłonięty. Powinna była coś podejrzewać.

Nie podejrzewała. Była zaskoczona, ale nie podejrzliwa. Twoje tłumaczenie jej wystarczyło. Nie rozumie znaczenia takiej osłony.

Albo bogowie jej nie powiedzieli, albo dobrze maskuje swoje podejrzenia.

Dlaczego miałaby je ukrywać?

Ponieważ mnie potrzebuje. Wie tylko tyle, że potrafię chronić swoje myśli.

I leczyć magicznie tak, jak nie potrafi żaden śmiertelnik. Dlaczego to ujawniłeś?

Ponieważ jedynym wyborem było pozwolić komuś umrzeć. I znowu, wydawała się zdumiona uzdrawianiem, nie zaniepokojona. Znaczenia tego faktu chyba także nie zrozumiała.

Ale bogowie zrozumieli.

Tak. Jednak wiedzą tylko tyle, że jestem tkaczem snów dostatecznie potężnym, by uzdrawiać za pomocą magii. Nie wiedzą, czy nauczyłem się również powstrzymywać proces starzenia. Jeśli zacznę się zachowywać, jakbym miał coś do ukrycia, domyślą się, że wiem więcej, niż powinienem. Dlatego nie mogę uciekać.

Znów zaczął się przeciągać wzdłuż liny.

Nie zaryzykują, wiedząc, że mogłeś stać się nieśmiertelny, ostrzegł Leiard. *Czekają na właściwy moment. Teraz jesteś dla nich użyteczny, ale kiedy tylko Siyee będą bezpieczni, bogowie spróbują cię zabić.*

Ale kto to zrobi? Auraya? Trochę za wiele by od niej wymagali, żądając, by najmłodsza Biała zabiła swojego byłego kochanka.

Podejmujesz ogromne ryzyko. Gdyby znała twoją prawdziwą, tożsamość, nie wahałaby się przed zabójstwem.

A ja nie jestem taki głupi, żeby jej powiedzieć. Ani taki głupi, żeby tkwić tutaj dłużej niż trzeba. Kiedy Siyee będą zdrowi, odejdę.

Reet jak zwykle czekał na Mirara na kolejnej platformie. Kiedy tkacz snów przeciągał się po linie, chłopak stał czujnie na krawędzi, a na końcu pomógł mu wejść.

Nagle odwrócił się i wydał z siebie chrapliwy odgłos. Mirar chwycił go za ramiona i poczuł, że Reet przy każdym kaszlnięciu wpada w drgawki.

- Idź do środka i odpocznij - powiedział. Chłopak skrzywił się.

- Jeśli się położę, mogę już nie wstać.

- Tak będzie, jeśli nie odpoczniesz.

- A kto będzie sprawdzał, co się dzieje w altanach? Kto przeniesie wiadomości do Aurai?

- Są inni Siyee, już na tyle zdrowi, żeby przejąć te zadania. A teraz zobaczymy, jak się czuje twój brat.

- Lepiej - odezwał się głos z wnętrza altany.

Obejrzał się i zobaczył przygarbioną w otworze wejścia matkę chłopców. Mirar podszedł do niej, kręcąc głową.

- Ty też powinnaś leżeć - powiedział.

- Ale mówiłeś, że wracam do zdrowia - przypomniała mu.

- Nie tak prędko.

- Ktoś musi karmić chłopców.

Wziął ją pod rękę i poprowadził do wnętrza, gdzie pomógł ułożyć się na posłaniu. Zostawił przy niej Reeta i przeszedł do sąsiedniego pokoju. Z boku wisiały dwa hamaki. Jeden był pusty. Na drugim spał chłopiec; oddech miał powolny, ale czysty, skórę bladą, ale nie zsiniałą.

Wydaje się, że twój przyszły uczeń przezwyciężył chorobę, stwierdził Leiard.

Tak, zgodził się Mirar.

Obejrzał się i zawołał Reeta. Chłopak wszedł pospiesznie i niespokojnie spojrzał na brata.

- Pokonał ją - oznajmił Mirar. - Za parę dni odzyska siły na tyle, by móc chodzić. - Wskazał pusty hamak. - Twoja kolej, Reet. Odpoczywaj.

Młody Siyee zawahał się, a potem powoli wspiął na posłanie. Mirar podszedł do Tyve'a i udał, że bada śpiącego, jednocześnie obserwując jego brata. Reet westchnął, zakaszlał trochę, potem jego oddech się uspokoił i zmęczony chłopak zapadł w sen.

- Reet się zaraził?

Mirar aż podskoczył, kiedy nagle rozległ się ten głos. Spojrzał na Tyve'a. Chłopiec przyglądał mu się z uwagą.

- Nie martw się o niego - mruknął. - Dopilnuję, żeby wyzdrowiał.

Tyve kiwnął głową. Opuścił powieki i lekki uśmiech przemknął mu po twarzy.

- Wiem.

- Ty też najgorsze masz już za sobą.

- Jestem bardzo zmęczony. Kiedy będę znów latał?

- Za kilka dni będziesz mógł zacząć ćwiczyć ramiona. Ciche kroki zwróciły uwagę Mirara. Do pokoju, niosąc dzban z wodą, weszła matka chłopców. Tkacz snów westchnął i groźnie skrzyżował ręce na piersi.

- Czego trzeba, żeby utrzymać cię w łóżku?

- Ile czasu minęło, odkąd Reet coś jadł? - odparowała. Poczuł wyrzuty sumienia - nie wiedział. Przyjrzała się jego twarzy i kiwnęła głową.

- Tak myślałam. Biała dama przyniosła jedzenie i świeżą wodę. Słyszałam, że nie jest tak dobrym uzdrowicielem jak ty, ale potrafi latać. A to bywa użyteczne.

Mirar wziął od niej dzban.

- Skąd wiesz, co mówią ludzie? - zapytał z obawą, że mieszkańcy wioski potajemnie się odwiedzają.

- Reet przenosił też plotki, nie tylko wiadomości od ciebie.

Parsknął śmiechem i wrócił do Tyve'a. Chłopiec wziął od niego dzbanek i wypił z niego całą wodę. Zdawało się, że dodaje mu sił.

- Jak to możliwe, że znałeś Aurayę już wcześniej? - zapytał.

- To coś, co wolałbym zachować dla siebie - odparł Mirar. Tyve uniósł brwi, a potem ściągnął je w jedną linię.

- Nie lubisz jej.

Mirar odruchowo pokręcił głową.

- To nieprawda.

Odebrał mu pusty dzbanek i podał matce chłopca. Wyszła, by przenieść więcej.

- Może jej nienawidzisz? - Nie.

Wścibski jest, nie? zauważył Leiard.

- No to co o niej myślisz? Mirar wzruszył ramionami.

- Zdolna kobieta. Potężna. Inteligentna. Pełna współczucia. Tyve przewrócił oczami.

- Nie o to mi chodziło. Jeśli jej nie nienawidzisz, to co do niej czujesz?

- Ani sympatii, ani wrogości. Chyba szacunek.

- No więc ją lubisz?

- Jeśli „szanować" znaczy „lubić", to pewnie tak.

Tyve mruknął coś z rozczarowaniem i odwrócił wzrok. Zmrużył oczy.

- Czy jeśli zostanę twoim uczniem, będę podróżował po świecie?

Mirar roześmiał się głośno.

- A kto powiedział, że zostaniesz moim uczniem?

- Jeszcze nikt. Ale gdybym został, to czy spotykałbym ważnych ludzi, takich jak Auraya?

- Mam nadzieję, że nie. Chłopak zmarszczył brwi.

- Dlaczego byś nie chciał?

- Ważnych ludzi często prześladują kłopoty, a niekiedy sami są ich źródłem. Trzymaj się od nich z daleka.

Mówisz jak ja, zauważył Leiard.

Tyve'owi błysnęły oczy.

- I tobie się to zdarzyło? Czy Auraya była dla ciebie źródłem kłopotów?

Mirar podszedł do drzwi.

- To nie twoja sprawa. Mam nadzieję, Tyve, że kiedy odzyskasz siły, wróci również szacunek dla starszych i gości. W przeciwnym razie obawiam się, że wyrośnie z ciebie bez-

wstydny plotkarz.

Odwrócił się i usłyszał, jak skrzypi posłanie Tyve'a. Chłopak usiadł, wyraźnie zaniepokojony.

- Ale...

Mirar obejrzał się, przyłożył palec do ust i znacząco popatrzył na śpiącego Reeta. Tyve przygryzł wargę i z westchnieniem opadł na hamak.

W sąsiednim pokoju czekała matka chłopców.

- Miałaś rację - powiedział. - Tyve czuje się lepiej. Niełatwo będzie utrzymać go w łóżku. Spróbuj nie pozwalać mu na latanie, dopóki całkiem nie odzyska sił.

Kiwnęła głową.

- A Reet?

- Uważaj na niego.

- Będę.

Wyminęła go, dźwigając napełniony dzbanek.

Mirar wyszedł z altany i stanął przy uprzęży. Zastanowił się, kto jest już dostatecznie zdrowy, by zastąpić Reeta w roli posłańca. Nagle usłyszał uderzenie stóp o drewno; obejrzał się i kilka kroków za sobą zobaczył Aurayę.

- Lei... Wilarze - powitała go. - Mówca Veece znów słabnie. Potrzebuje twojej pomocy.

Mirar poczuł jednocześnie niepokój i satysfakcję. Zmartwił się przekazaną wiadomością, a przy tym nie był pewien, czemu właściwie powinien się cieszyć z tego, że go odszukała. Może po prostu zdawała sobie sprawę, że jest lepszym uzdrowicielem.

Nie, stwierdził Leiard. *To nie to. Jesteś próżny, ale nie aż tak próżny. To dlatego że przestała cię unikać. Lubisz ją.*

- Lepiej do niego pójdę - mruknął.

Narzucił na siebie uprząż; w myślach planował juz drogę do altany Mówcy. To była przynajmniej trzylinowa podróż. Zauważył, że Auraya wciąż mu się przygląda.

- Tam się spotkamy - powiedział.

Kiwnęła głową, przeszła na skraj platformy i skoczyła. Choć nie musiała, szybowała w powietrzu, naśladując pełen gracji lot Siyee. W jednej chwili dotarła do altany Mówcy. Zrobiła to tak swobodnie, tak naturalnie, że znów poczuł echo dawnego, zapomnianego zachwytu.

Nie twojego, przypomniał mu Leiard. *Mojego.*

Ja także ją podziwiałem, odparł. *Jednak nie aż tak, by stać się zadurzonym durniem.*

Zeskoczył z platformy i zaczął się przeciągać do następnej. Ta druga leżała wyżej i wkrótce już oddychał ciężko z wysiłku. Dłonie piekły go w miejscach, gdzie otarł skórę na szorstkich powrozach.

To i tak lepiej, niż przez cały dzień wspinać się po linach w górę i w dół, zauważył Leiard.

Na następnej platformie Mirar wysunął się z uprzęży i przeszedł do kolejnej liny. Tam włożył drugą uprząż i zjechał na mniejszą platformę. Z tej droga do domu Mówcy była dużo trudniejsza. Auraya obserwowała go, przez co tylko lepiej sobie uświadamiał, jak niezdarnie i niezgrabnie się porusza. Włożył trzecią uprząż i zaczął się przeciągać.

I nagle uprząż przesunęła się jakby z własnej woli. Uniósł głowę i zobaczył, że Auraya stoi na platformie przed nim, wyciągając rękę.

Przesuwa cię za pomocą magii. Dlaczego sam na to nie wpadłeś? zapytał Leiard.

Bałem się, że jeśli będę się za szybko przesuwał, uszkodzę liny, odparł Mirar. *Wiesz przecież.*

Szybko czy wolno, zużywają się tak samo. I wiem, że zdajesz sobie z tego sprawę.

Mirar zmarszczył brwi.

Wygrałeś. Nie pomyślałem o tym. Jestem idiotą. Zadowolony?

Kiedy był już blisko celu, zauważył, że Auraya się uśmiecha. Poczuł, że żołądek zaciska mu się w supeł.

Jest cudowna, mruknął Leiard.

Nie zaczynaj znowu, ostrzegł Mirar.

Jego stopy dotknęły platformy, a Auraya pomogła mu się wyplątać z uprzęży. Jej uśmiech zniknął, zastąpiony zmarszczką niepokoju na czole.

- Jego ciało po prostu nie potrafi walczyć - powiedziała. - To może być właśnie ta ostateczność, o której mówiłeś.

- Zgadzam się - przytaknął.

- Ja... - Zawahała się i potrząsnęła głową. Spojrzał na nią badawczo.

- Co takiego?

Znowu potrząsnęła głową i westchnęła.

- Muszę zapytać. Kiedy pomyślę, jak wielu chorych można by uratować, nie mogę pozwolić, żeby na przeszkodzie stanęły. .. inne sprawy. - Wyprostowała ramiona. - Czy nauczysz mnie, jak można zabijać w ciele chorobę?

Patrzył na nią. Nie odwracała wzroku.

Nie ma pojęcia, jakie znaczenie ma takie uzdrawianie, pomyślał.

Nie. Pewnie jej się wydaje, że prosi o zdradzenie któregoś z największych sekretów tkaczy snów, domyślił się Leiard. *Zrozumie, jeśli odmówisz.*

Tak, zgodził się Mirar. *Ale czy mogę? Kiedy pomyślę o przyszłości. .. Cyrklianie już tu zostaną, czy mi się to podoba, czy nie. Na całym świecie jestem tylko jeden ja i nie mogę dotrzeć wszędzie, gdzie jestem potrzebny. Ma rację, że mogłaby wielu ocalić. Nie zdradziłbym też o mnie nic, czego by już nie wiedziała.*

Ale przecież bogowie na to nie pozwolą!

Czemu nie? Ona już jest nieśmiertelna. Zastanowił się. *Muszą mieć jakiś inny sposób, by chronić ją przed starością. Gdyby potrafiła oprzeć się czasowi tak jak my, Dzicy, to powinna już umieć magicznie leczyć.*

Czyli jeśli osiąga nieśmiertelność innym sposobem niż ty, nie możesz zakładać, że będzie zdolna uzdrawiać za pomocą magii, podsumował Leiard. *Może właśnie dlatego bogowie dotąd nie zesłali jej tego Daru. A to dziwne. Przecież zdolność leczenia ludzi byłaby wielkim atutem Białych. Być może jest jakiś powód, że sobie tego nie życzą, a jeśli ją nauczysz, możesz ich rozgniewać i...*

Auraya marszczyła brwi. Uświadomił sobie, że wpatruje się w nią od dłuższego czasu, i odwrócił wzrok.

- Ja... rozważę to - powiedział.

- Dziękuję ci. - Skłoniła głowę.

A potem odwróciła się i poprowadziła go do łoża Mówcy Veece'a.

31

Aime było dla wędrownego uzdrowiciela miejscem, w którym można dużo zarobić. Emerahl nie spodziewała się tego, jako że nie brakowało tu kapłanów, świątynia wznosiła się niedaleko rynku, a zauważyła również kilku tkaczy snów. Wydawało się jednak, że poza nielicznymi wyjątkami jedna i druga grupa składała się z samych mężczyzn. Jej klientkami były zaś kobiety w każdym wieku, zbyt wstydliwe lub nieśmiałe, by u uzdrowiciela - mężczyzny szukać leku na bardziej osobiste dolegliwości, albo te, które po prostu wolały leczyć się u kobiet.

Wynajęła pokój u mistrza cumowniczego, który chętnie jej pomagał, odkąd uwolniła zablokowany przez bliznę przepływ krwi w jego nodze. Po kilku dniach miała już sakiewkę ciężką od monet. Księżyc jednak zmalał i zniknął, a potem pojawił się znowu jako cienki rogalik, musiała więc odpłynąć, jeśli chciała na czas wrócić do Stogu.

Zeszłej nocy krótki sztorm zmusił ją do szukania schronienia w zatoce - dostatecznie dużej, by utrzymywać na brzegu sporą wioskę rybacką, gdzie wynajęła dla siebie pokój. I właśnie wracała do łodzi, kiedy poczuła, że ktoś ciągnie ją za rękaw.

Odwróciła się, oczekując widoku klienta. Ale stojący przy jej łokciu chudy, brudny chłopak w połatanym ubraniu z pewnością nie był tym, kogo się spodziewała.

- Mogę ci w czymś pomóc? - spytała, kryjąc niechęć.

Było to najwyraźniej dziecko ulicy i ani ono, ani ten, kto je być może przysłał, raczej nie będą w stanie jej zapłacić.

- Chodź zobacz - powiedział chłopiec, cały czas ciągnąc ją za rękaw.

Uśmiechnęła się.

- Co mam zobaczyć?

- Chodź zobacz - powtórzył. Wyczuwała w nim zdecydowanie i pośpiech.

- Ktoś jest ranny? - spytała.

- Chodź zobacz. - Wciąż nie puszczał jej rękawa. Wyprostowała się. Może jest upośledzony, a ktoś inny wysłał go na poszukiwanie uzdrowiciela. Woreczki leków u jej pasa były wyraźną reklamą jej fachu i nawet zidiociałe dziecko by ją rozpoznało.

- No dobrze. - Kiwnęła głową. - Pokaż mi. Wziął ją za rękę i poprowadził naprzód.

Dobrze się złożyło, że już odpływała. Ktokolwiek wysłał po nią to dziecko, pewnie nie miał pieniędzy - ale może będzie mógł zapłacić jej w inny sposób. Niezliczoną ilość razy w przeszłości przekonywała się, że kiedy tylko rozniosła się wieść o leczeniu ubogich za darmo,

potrafiły ją jakoś wytropić całe tłumy chorych biedaków. Wkrótce potem klienci, którzy byli w stanie płacić, także żądali darmowych usług. Nieważne, czy miasteczko było duże czy małe, sytuacja komplikowała się w ciągu paru godzin.

Chłopiec wprowadził ją w uliczkę tak wąską, że miejscami musiała iść bokiem. W drzwiach dostrzegała wychudłe twarze i oczy czujnie śledzące jej przejście. Na wszelki wypadek otoczyła się lekką magiczną barierą.

Wyszli na inną ulicę. Chłopiec skręcił, zeszli po jakichś schodach. Potem dotarli do szerszej ulicy, a w końcu na porośnięte trawą wydmy, które otaczały brzeg zatoki. Wciąż ściskając jej dłoń, chłopiec ruszył ścieżką w kierunku skalnego cypla.

Im dalej szli, tym głośniej rozlegał się huk fal. Chłopiec zszedł ze ścieżki i wreszcie puścił jej rękę. Podążał w stronę skał, przeskakując z kamienia na kamień.

Może ktoś się poranił, spadając z tych głazów? zastanawiała się. Albo może utopił? Mam nadzieję, że nie.

Czasami ci o ograniczonych umysłach nie rozumieli, że inni są już martwi. Brali ich za zwyczajnie chorych.

Chłopiec obejrzał się na nią i skinął ręką. Jego głos był ledwie słyszalny wśród huku przyboju.

- Chodź zobacz.

Przyspieszyła kroku. Zaczekał, aż się zbliży, zanim ruszył dalej. Głazy wyrastały coraz wyższe, coraz ostrzejsze. Przeskakiwanie po nich wymagało całkowitego skupienia. Łoskot fal narastał. Kiedy była mniej więcej w połowie drogi do końca cypla, chłopiec zatrzymał się nagle i pozwolił się dogonić.

O kilka stóp przed nim z ziemi wystrzelił strumień wody.

Wzniósł się na dwukrotny wzrost człowieka, utrzymywał przez sekundę, po czym opadł z pluskiem, a woda spłynęła do otworu w skałach. Emerahl zastygła ze zdumienia; serce biło jej mocno.

Chłopiec uśmiechał się szeroko. Podszedł do najwyższego ze stosów kamieni i wspiął się na szczyt. Usiadł i skinął na nią.

Po to mnie tu przyprowadził? zastanowiła się.

- Wejdź tu! - zawołał.

Odetchnęła głęboko, stłumiła uczucie gniewu i zaczęła się wspinać. Kiedy dotarła na miejsce, chłopiec uśmiechnął się do niej i poklepał kamień obok siebie.

- Usiądź, Emerahl.

Znieruchomiała, zaszokowana tym, że usłyszała swoje imię, oraz świadomością, że

odezwał się w języku od dawna martwym. I kiedy dotarło do niej, kim jest, potrafiła tylko patrzeć na niego ze zdumieniem. Uśmiechnął się znowu. Jego aż nazbyt przenikliwe spojrzenie nie należało do prostaczka, ale do kogoś o wiele starszego, niż sugerowałby wygląd.

- Czy jesteś...?

Umyślnie pozostawiła pytanie niedokończone. Nie warto podpowiadać mu imienia, którym mógłby się przedstawić, gdyby nie był tym, kogo szuka.

- Mewą? - dokończył. - Tak. Chcesz, żebym to udowodnił?

Złożył razem dłonie i gwizdnął.

Po chwili coś przeleciało jej koło ucha - morski ptak zawisł na moment nad jego dłońmi, mocno uderzając skrzydłami. Zobaczyła, że wypuszcza z pazurków jakiś przedmiot i odlatuje. Chłopiec rozłożył ręce - miał w nich księżycową muszlę na sznurku splecionym z „włosów staruchy". Podniósł pasemko wodorostu i puścił je na wiatr.

Usiadła.

- Myśleliśmy, że nie żyjesz - powiedział. Emerahl roześmiała się głośno.

- A ja myślałam, że ty nie żyjesz. Ale czekaj... powiedziałeś „my". Czyżby z dawnych wieków przetrwali również inni nieśmiertelni?

- Tak. - Odwrócił wzrok. - Nie powiem ci którzy. Ten sekret nie do mnie należy.

- Oczywiście - przytaknęła.

- Więc dlaczego się przede mną ujawniłaś? Nabrała tchu i wolno wypuściła powietrze.

- Większą część minionego stulecia żyłam jak pustelniczka. Nadal bym tak żyła, gdyby nie postanowił mnie odwiedzić jakiś kapłan. Uciekłam i od tego czasu nie przerwałam wędrówki.

- Cyrklianie cię ścigali - stwierdził Mewa. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Tak. Ale skąd wiesz?

- Plotki żeglarzy rozbiegają się szybciej niż zaraza - zacytował.

- Ach. No więc wiesz, że im uciekłam.

- Tak. Zgubili cię w Porinie, mniej więcej w czasie, kiedy zaczęła się inwazja pentadrian. Dokąd wtedy poszłaś?

- Ja... ach... ruszyłam za armią Torenu. Uniósł brwi.

- Dlaczego?

- Dołączyłam do zamtuzu. Wtedy była to najlepsza kryjówka. - Nie zauważyła na jego twarzy niechęci ani dezaprobaty. - Zamtuz jechał za toreńską armią, wiec pomyślałam, że to dobry sposób, by niepostrzeżenie uciec z miasta.

Oczy mu błysnęły.

- Widziałaś bitwę?

Wydawał się podniecony, jak zwykły chłopiec zaciekawiony opowieścią o prawdziwej wojnie.

- Większą część. Odeszłam stamtąd na samym końcu, kiedy spotkałam... starego przyjaciela. Spędziłam trochę czasu w Si, a potem postanowiłam, że spróbuję cię odnaleźć.

- Starego przyjaciela, tak? - Zmrużył powieki. - Jeśli przez ostatnie stulecie byłaś pustelniczką, musi być naprawdę stary.

- Może. - Zaśmiała się. - I może nie do mnie należy ujawnienie tego sekretu.

Parsknął.

- Interesujące. Ale byłoby też ironiczne, gdyby twój przyjaciel okazał się tym samym co mój.

- Tak, ale to nie jest możliwe.

- Nie? Zatem więcej niż tylko kilkorgu udało się uciec bogom.

Emerahl przytaknęła.

- Różnymi sposobami.

- Tak. Dla mnie to proste. Od dawna trudno było mnie znaleźć. Postarałem się, żeby stało się to jeszcze trudniejsze.

Przyjrzała mu się.

- A jednak odszukałeś mnie.

- To prawda.

- Dlaczego?

- A dlaczego ty mnie poszukiwałaś?

- Żeby się dowiedzieć, czy przeżyli inni nieśmiertelni, a jeśli tak, to w jaki sposób. Zaproponować pomoc, gdybyś jej potrzebował. Zobaczyć, czy w zamian i ja mogę prosić o wsparcie.

- Jeśli przeżyłaś tak długo, wątpię, czy potrzebujesz mojej pomocy - zauważył Mewa.

Pokręciła głową.

- Nie mogę żyć jak pustelniczka przez resztę wieczności.

- A więc szukasz towarzystwa?

- Tak. A także przysług potężnych przyjaciół. Wyszczerzył zęby.

- W tym nie jesteś odosobniona. Chciałbym zaliczać ciebie do moich potężnych przyjaciół.

Była bardziej zadowolona, niż uważała za możliwe. Być może jednak czuła się

samotna, po tylu latach życia bez nikogo.

- Jednakże... - Mewa spoważniał nagle. - Nie wiem, czy zgodzą się na to moi przyjaciele. Jeśli nie, posłucham ich rady. Bardzo ją cenię. Musisz zyskać ich aprobatę. W przeciwnym razie... - uśmiechnął się przepraszająco - .. .nie będziemy już mogli ze sobą rozmawiać.

- A jak mogę uzyskać ich aprobatę? Chłopiec spoważniał.

- Musisz się udać do Czerwonych Jaskiń Sennonu. Jeśli minie cały dzień, a ty nikogo nie spotkasz, to aprobata nie została udzielona.

- A jeśli zostanie?

- Wtedy poznasz moich przyjaciół.

Kiwnęła głową. Sennon leżał po przeciwnej stronie kontynentu. Podróż tam zajmie jej długie miesiące.

- Nieczęsto spotykasz się ze swoimi przyjaciółmi? - spytała kpiąco.

- Nie osobiście.

- Jeśli się zgodzą, jak będę mogła znowu się z tobą skontaktować?

- Powiedzą ci jak. Roześmiała się.

- Wszystko to jest cudownie tajemnicze... Zrobię, jak mówisz - obiecała i westchnęła. - Ale nie muszę od razu odchodzić? Możemy chwilę porozmawiać?

Pokiwał głową, wpatrzony gdzieś poza Emerahl.

- Oczywiście. Za krótką...

Huk zagłuszył jego słowa, kiedy woda znowu wystrzeliła z ziemi. Gdy opadła, zachichotał.

- Miejscowi mówią przybyszom, że nazywa się to Spluwaczką Lore'a. Ale na te fontanny mają też bardziej wulgarne określenie.

- Wyobrażam sobie - parsknęła Emerahl.

- Uznają za oczywiste, że to źródło zawsze tu będzie. W końcu jednak woda wydrąży skałę i w grocie pod spodem nie będzie dostatecznego ciśnienia, żeby wypchnąć strumień. Kiedyś w Genrii była taka fontanna, przy której ta wydawałaby się niewielka.

- Aha, pamiętam. - Emerahl zmarszczyła brwi. - Co się z nią stało?

- Jakiś czarownik uznał, że jeśli powiększy otwór, woda będzie tryskać jeszcze wyżej. - Pokręcił głową. - Czasami największe Dary trafiają do największych głupców.

Emerahl wspomniała Mirara i szaleństwa, z których był znany. Pokiwała głową.

- Tak, niestety trafiają.

Auraya ułożyła się na hamaku i leżała nieruchomo, dopóki nie przestał się kołysać.

Był już wczesny wieczór, ale wciąż docierały do niej głosy budzącej się do życia wioski. Ci, którzy odzyskali już siły, wracali do zwykłych zajęć. Wyprane i schnące ubrania trzepotały na wietrze. Sączyły się aromaty gotowanego jedzenia. Do uszu docierał śmiech dzieci.

Zamknęła oczy i odpłynęła w sen.

: *Aurayo...*

Natychmiast uniosła powieki, zapominając o senności.

: *Chaio! Zniknąłeś na tyle dni!*

: *Byłem zajęty. Ty również.*

: *Tak. Myślę, że najgorsze już za nami. Odizolowaliśmy tych, których ciała nie potrafią walczyć z chorobą. Kiedy już wszyscy wyzdrowieją, będą mogli wrócić do klanu. Chociaż nadal mogą się zarazić, jeśli wioskę odwiedzi nosiciel choroby.*

: *Nie możesz tu zostać na wypadek, gdyby tak się stało,* uprzedził Chaia.

: *Wiem. Ale Leiard może.*

: *Był tutaj, kiedy przybyłaś?*

: *Tak.* Zawahała się. *Nie potrafię odczytać jego myśli. Dlaczego?*

: *Blokuje cię. To rzadki dar.*

: *Jego umiejętność uzdrawiania jest naprawdę niezwykła.*

: *Tak. Jest kimś więcej, niż wydawało się z początku. Taka moc uzdrawiania także nieczęsto się trafia.*

: *Szkoda, że nie został kapłanem.* Auraya zamknęła oczy. *Potężnym kapłanem i uzdrowicielem. Mógłby pomóc wielu ludziom. Poprosiłam, żeby nauczył mnie tego Daru uzdrawiania. Zgodzisz się?*

Chaia nie odpowiedział od razu. Po chwili odezwał się cichym głosem:

: *Muszę to przemyśleć. Jakie teraz budzi w tobie uczucia?*

Zmarszczyła czoło.

: *Inne. Nie gniewam się już. Przeprosił. A to zmieniło więcej, niżbym się spodziewała.*

: *W jaki sposób?*

: *Nie wiem. Chyba bardziej go za to lubię. Myślę... myślę, że chciałabym, byśmy zostali przyjaciółmi. A przynajmniej utrzymywali kontakt.*

: *Wciąż jest dla ciebie atrakcyjny.*

: *Nie!*

: *Tak. Nie ukryjesz tego przede mną.* Auraya skrzywiła się.

: *Więc pewnie masz rację. Czy ty... Czy tobie to przeszkadza?*

: *Oczywiście, że tak, ale przecież jesteś człowiekiem. Dopóki masz oczy, będziesz*

podziwiać innych mężczyzn. To nie znaczy, że będziesz ich uwodzić.

: *Nie, stanowczo nie będę uwodzić Leiarda. Nie powtórzę już tego błędu.*

: *Dobrze. Nie chciałbym, żebyś cierpiała. A teraz śpij, Aurayo,* szepnął Chaia. *Śpij i śnij o mnie.*

32

Kiedy opadło płótno namiotu, Imi ścisnęło w żołądku. Odetchnęła głęboko.

Wracam do domu!

Ale gdy podniecenie opadło, ze zdziwieniem uzmysłowiła sobie, że odczuwa też żal. Pentadrianie byli dla niej tacy dobrzy. .. Gdyby tak wyglądał cały czas spędzony z dala od ojca, nie chciałaby wracać natychmiast. Odkryła tu tyle nowych rzeczy: niezwykłe potrawy, piękne przedmioty, jakich jeszcze nigdy nie widziała, wspaniałych muzyków i aktorów. W porównaniu z tym wszystkim pałac Elai będzie się wydawał zwyczajny i nudny... Jednak tęskniła za ojcem, za Teiti, za strażnikami i dziećmi, z którymi się bawiła.

Imenja zostawiła służących, którzy starannie składali namiot, i przeszła przez dziedziniec do Imi.

- Jesteś gotowa?

- Tak. - Dziewczynka kiwnęła głową.

- Masz swoje rzeczy?

Imi zerknęła pod nogi i wskazała niedużą skrzynkę u swoich Stóp. Wewnątrz były prezenty, które dostała od Imenji i Nekauna.

- Schowałam wszystko tutaj.

Schyliła się, by ją podnieść, ale Imenja powstrzymała ją gestem.

- Nie. Jesteś księżniczką. Nie powinnaś nosić swojego bagażu.

Spojrzała na Reivan, która z uśmiechem podniosła skrzynkę. Imi zastanawiała się czasem, czy mają jakiś tajny kod gestów, który pozwala im się porozumiewać bez słów.

Imenja skierowała się do pobliskich drzwi.

- Ruszajmy więc - rzekła.

Przeszły przez kolejne korytarze i schody. Większość prowadziła w dół, co Imi przyjęła z ulgą - wprawdzie była już o wiele silniejsza, ale nadal szybko się męczyła. Minęły rozległy dziedziniec i weszły do sali pełnej odzianych na czarno mężczyzn i kobiet. Pod łukami po drugiej stronie widziała w dali domy ziemiochodzących. Słyszała głosy - wiele, bardzo wiele głosów. Na zewnątrz musiał być spory tłum.

Przestała nasłuchiwać, kiedy na spotkanie wyszedł jej znajomy mężczyzna w czarnej szacie.

- Księżniczko Imi - powitał ją. - To był prawdziwy zaszczyt móc cię gościć w naszym Sanktuarium.

Przełknęła ślinę i zastanowiła się szybko.

- Nekaunie, Pierwszy Głosie Bogów, dziękuję za waszą gościnność i za to, że mnie uratowaliście.

Uśmiechnął się i oczy mu błysnęły. Nie odwracając głowy, skinął ręką. Podeszli dwaj ludzie, dźwigający ciężką skrzynię. Postawili ją obok Imi i wycofali się.

- To prezent dla twojego ojca - wyjaśnił Nekaun. - Przyjmiesz go w jego imieniu?

- Przyjmę - zapewniła, przyglądając się skrzyni. Była ciekawa, co też kryje się wewnątrz. - Dopilnuję, żeby go otrzymał.

Nekaun machnął ręką. Imi mrugnęła zaskoczona, kiedy wieko samo się otworzyło.

Nie, nie samo, poprawiła się w myślach. Za pomocą magii. On umie używać magii, jak Imenja.

Ale zapomniała o wszystkim, kiedy zobaczyła, co jest w skrzyni. Złote puchary i dzbany, piękne kolorowe tkaniny, słoje suszonych owoców, które zaczęła uwielbiać, oraz ozdobne szklane flakony wypełnione perfumami, sądząc po unoszącym się z wnętrza zapachu.

- Dziękuję - szepnęła. Wyprostowała się i spojrzała na Nekauna. - Przyjmuję ten dar i dziękuję w imieniu Aisa, króla Elai.

Skłonił się uroczyście.

- Oby twoja podróż do domu trwała krótko, morza były spokojne, a pogoda sprzyjała. Oby bogowie strzegli cię i ochraniali. - Uniósł dłonie do piersi i wykreślił znak, który Imenja nazywała „gwiazdą". Pozostali pentadrianie zrobili to samo. - Żegnaj, księżniczko Imi. Mam nadzieję, że znowu cię spotkam.

- A ja ciebie - odparła.

Skinął na dwójkę ludzi, którzy chwycili skrzynię.

- Odprowadzę cię do lektyki - powiedział.

Idąc między Nekaunem a Imenją, ruszyła w stronę łukowych przejść. Kiedy wyszli z budynku, wstrzymała oddech.

Szerokie schody prowadziły w dół, do masy ludzi. Tłoczyli się oni pomiędzy domami jak nieskończone morze twarzy. Kiedy pojawili się Nekaun, Imi i Imenja, ludzie zaczęli krzyczeć i machać rękami, a ich głosy łączyły się w ryk, który wydawał się jej podniecający i przerażający. Nigdy jeszcze nie widziała tylu ludzi w jednym miejscu.

Zawahała się przez chwilę, ale ruszyła w dół. U stóp schodów ziemiochodzący z obnażonymi piersiami stali obok lśniącej platformy, pokrytej miękkimi poduszkami. Imenja uśmiechnęła się do Imi i pomogła jej na nią wejść. Kiedy ułożyła się na poduszkach, Imi

poszła za jej przykładem. Nekaun został przy schodach.

Ziemiochodzący mężczyźni o obnażonych torsach chwycili za sterczące po bokach drągi. Inny mężczyzna rzucił rozkaz i platforma się uniosła. Imi chwyciła się jej boków. Co prawda ziemiochodzący szli równo i spokojnie, ale czuła się trochę niepewnie tak wysoko nad gruntem.

Dwie kolumny odzianych w czarne szaty mężczyzn i kobiet zeszły ze schodów i przeszły obok platformy, po obu stronach. Tłum się rozstąpił, by tragarze mogli ponieść Imi z Imenją wzdłuż ulicy. Imi obejrzała się na Nekauna, który wzniósł rękę na pożegnanie.

Kiedy chciała odpowiedzieć mu tym samym, wokół wystrzeliły roje kolorowych obiektów. Drgnęła wystraszona, ale zaraz się roześmiała, kiedy na platformę spadł deszcz kwietnych płatków.

- Zawsze tak robią? - spytała, gdy wokół spływały kolejne.

- To zależy od okazji - odparła Imenja. - Ludzie zwykle się tak zbierają, kiedy wiedzą, że jest szansa zobaczenia któregoś z Głosów, zwłaszcza Nekauna. Ale my nie dostajemy kwiatów. To na twoją cześć.

- Czemu? - zdumiała się Imi.

- Jesteś księżniczką. Tradycja nakazuje takie ceremonie wobec osób z królewskich rodów. W dawnych czasach monarcha i jego krewni w zamian odrzucali monety, ale ten zwyczaj zniknął wraz ze śmiercią ostatniego króla Avvenu, prawie sto lat temu.

- Nie macie króla? Imenja pokręciła głową.

- Od tego czasu już nie. Król nie miał następców, a ludzie wybrali zamiast tego rządy Głosów. Rządzimy także w Murrze, na północy, poprzez Oddanego Sługę, którego wybierają miejscowi Słudzy. W leżącym na południu Dekkarze ludzie uznają Najwyższego Wodza, choć jego następca wskazywany jest przez bogów i niekoniecznie musi być jego potomkiem w prostej linii.

- Jak bogowie przekazują ludziom, kogo wybierają?

- Kandydaci muszą przejść próby swoich umiejętności, wykształcenia i zdolności przywódczych. Ten, komu się to uda, zostaje Najwyższym Wodzem.

- A więc bogowie pilnują, żeby przeszedł ten, który im się podoba?

- Właśnie. - Imenja kiwnęła głową.

- Zastanawiam się, czemu wcześniej o to nie zapytałam - przyznała Imi. - Wydaje się, że księżniczka powinna wiedzieć takie rzeczy. Chyba nie jestem dobrą księżniczką.

- Jesteś wspaniałą księżniczką - zapewniła ją z uśmiechem Imenja. - Nie uczono cię stawiania takich pytań, bo twój ojciec nie spodziewał się, że będzie ci to potrzebne.

Imi skrzywiła się na wspomnienie ojca.

- Strasznie będzie się na mnie gniewał. Imenja uśmiechnęła się szerzej.

- Dlaczego?

- Bo złamałam reguły i wpadłam w kłopoty.

- Nie sądzę, żeby się tym przejmował. Kiedy cię zobaczy, będzie szczęśliwy, że wróciłaś.

Imi westchnęła.

- Ja też będę szczęśliwa. I nie będę się skarżyć, jeśli każe mi siedzieć w moim pokoju albo przez rok uczęszczać na dodatkowe lekcje. Nigdy już nie będę taka nieposłuszna.

Platforma skręciła. Imi zobaczyła, że posuwają się teraz inną ulicą. W oddali dostrzegała już morze i malutkie sylwetki statków. Znów zasypał ją deszcz płatków i nastrój jej się poprawił.

Chciałabym, żeby tato to oglądał, pomyślała. Mógłby zmienić zdanie o ziemiochodzących. Nie wszyscy są źli.

I uśmiechnęła się.

Kiedy pozna Imenję, sam się przekona.

Mówca Veece wyszedł z altany w chwili, kiedy Auraya wylądowała na platformie.

- Dziękuję ci, Aurayo z Białych - powiedział, kiedy wręczyła mu bukłaki wody oraz kosze z suszonymi owocami, zimnym mięsem i chlebem.

Uśmiechnęła się.

- Nie możemy pozwolić, żebyście umarli z głodu i cała nasza praca poszła na marne. - Jasne promienie światła słonecznego padały na platformę i trudno było zajrzeć do ciemnego wnętrza altany. - Jak się czują wszyscy?

- Dobrze. Wilar twierdzi, że jesteśmy wyleczeni. Do domu będziemy mogli wrócić, gdy reszta klanu odzyska zdrowie. Musimy pozostać w wiosce i unikać przybyszów, dopóki zaraza nie zniknie z Si.

- Ma rację. - Skrzywiła się. - Trudno tak cierpliwie czekać, ale jest pewne, że jeśli któreś z was znowu się zarazi, to umrze. Musicie bardzo uważać, zwłaszcza na gości z zewnątrz.

Westchnął i kiwnął głową.

- Będziemy. Nie chcemy zmarnować waszych wysiłków, jak wcześniej powiedziałaś. - Przeszedł na brzeg platformy i spojrzał na pozostałe altany. - Uratowaliście nas, ty i Wilar. Jesteśmy wam winni wdzięczność...

- Nic mi nie jesteście winni. - Pokręciła głową. - Ja... :*Aurayo*...

: *Kapłan Magen?*

: *Tak, to ja. Jak sobie radzi klan Północnej Rzeki?*

: *Wracają do zdrowia.*

: *Mam złe wieści. Siyee przyprowadzili do mnie troje chorych dzieci. Wszystkie z sercożerem. Wydaje się, że odwiedzili chorych przyjaciół, tych, których odizolowaliśmy poza Przestrzenią. I od nich się zarazili. Obawiam się, że przenieśli chorobę na innych.*

Auraya westchnęła.

: *W takim razie lepiej wrócę.*

: *Może zechcesz jeszcze zboczyć z drogi,* dodał. *Właśnie przybył posłaniec z klanu Północnego Lasu. Przyniósł wiadomość, że ludzie tam także chorują. Nie potrafiłem orzec, czy to ta sama choroba.*

: *Tego się właśnie obawiałam. Dobrze. W drodze powrotnej odwiedzę ten klan. Czy ty i Danien poradzicie sobie z zarazą w Przestrzeni?*

: *Postaramy się.*

: *Dziękuję ci, Magenie.*

Z ponurym uśmiechem zwróciła się znowu do Mówcy Veece'a.

- Muszę wracać - oświadczyła. - Choroba pojawiła się znowu w Przestrzeni, a ludzie z klanu Północnego Lasu także zaczęli chorować.

Starzec pobladł.

- Co zrobisz?

- Porozmawiam z Leiardem... to znaczy Wilarem. Wrócę jeszcze.

Przeszła na krawędź platformy i skoczyła. Rozglądając się za tkaczem, wysłała myślowe wezwanie.

Juran!

: *Auraya? Co się dzieje u Siyee?*

: *Klan Północnej Rzeki jest praktycznie wyleczony, ale właśnie odebrałam wieści o dwóch nowych ogniskach. Mam nadzieję, że jednym z nich zajmie się Leiard.*

: *To szczęśliwy zbieg okoliczności, że oboje jesteście na miejscu, choć wciąż nie rozumiem, dlaczego właściwie przybył do Si. Czy pomyślałaś, że mógł tam wyruszyć, licząc na to, że spotka się z tobą w sekrecie?*

Poczuła rumieniec na twarzy. Właśnie dlatego starała się jak najdłużej nie wspominać Juranowi o obecności Leiarda, żeby uniknąć odpowiedzi na takie pytania.

: *Nie powitał mnie radośnie i nie próbował odnowić... niczego.*

: *To dobrze. Teraz muszę iść.*

Leiard właśnie wynurzył się z altany. Opadła, wylądowała obok, a on aż podskoczył zaskoczony.

- Właśnie dotarły do mnie złe wieści - oznajmiła.

- Jakie?

- Klan Północnego Lasu choruje. Nie wiadomo, czy to sercożer, czy nie.

Sposępniał.

- I chcesz, żebym się nimi zajął?

- Tak. Zaraza pojawiła się też w Przestrzeni, mimo wysiłków Sirri i kapłanów.

Zmarszczył czoło. - I chciałabyś, żebym cię nauczył magicznego uzdrawiania?

Zawahała się. Dopóki nie uzyska zgody Chai, nie planowała prosić go znowu. Ale jeśli Leiard byłby chętny, a ona zdąży zapytać Chaię jeszcze raz...

- Tak.

- A rozważałaś możliwość, że bogowie nie dali ci tej umiejętności, ponieważ nie powinnaś jej posiadać? - zapytał Leiard.

Zamrugała zdziwiona. Czyżby nauczył się nie tylko ukrywać własne myśli, ale też odczytywać cudze?

- To możliwe. Musiałabym się ich poradzić. Kiwnął głową.

- Jeśli się zgodzą, nauczę cię.

Serce zabiło jej mocniej z radości. Uśmiechnęła się szeroko.

- Daj mi chwilę - powiedziała. *:Chaio?*

Czekała na odpowiedź. Leiard cofnął się o krok. Wyraz niepokoju przemknął mu po twarzy, szybko zastąpiony przez rezygnację. Zawołała po raz drugi i wyczuła, że potężna reakcja zakołysała magią tego świata.

: *.Aurayo...*

To nie był Chaia, ale Huan.

: *Huan...* pomyślała zdumiona. *Dziękuję, że przybyłaś na moje wezwanie.*

: *Chcesz opanować Dar uzdrawiania tego tkacza snów,* stwierdziła bogini.

: *Tak.*

: *Chciałabym by to było możliwe, ale nie możemy na to pozwolić. Magia tego rodzaju narusza w świecie równowagę między życiem a śmiercią. Gdyby ludzie zrozumieli, co można dzięki niej osiągnąć, i gdyby wiedzieli, że Biali potrafią jej używać, ich żądania wobec was stałyby się nierealne.*

Rozczarowanie ścisnęło serce Aurai.

: *Ale Siyee...*

: *Nie wszyscy umrą. To tragiczna cena, jaką płacą za utrzymanie równowagi życia i śmierci. Możesz tylko działać jak najszybciej, by nie dopuścić do rozprzestrzenienia zarazy.*

: *A Leiard? Czy on narusza równowagę życia i śmierci?*

: *Tak, ale jest tylko samotnym tkaczem snów. W przeciwieństwie do ciebie nie sprawuje władzy. Szkoda jest minimalna.*

: *Może uczyć innych...*

: *Nie uda mu się. Niewielu jest zdolnych do opanowania tego Daru. Ty może byś zdołała, ale konsekwencje byłyby o wiele poważniejsze.*

Westchnęła.

: *A więc muszę odrzucić jego propozycję.*

: *Niestety tak.*

Poczucie obecności bogini rozwiało się i Auraya spojrzała na Leiarda.

- Odmówili - odgadł.

- Tak. - Skrzywiła się. - Miałeś rację. Nie powinnam mieć tego Daru. - Ze smutkiem pokręciła głową. - Wrócę do Przestrzeni. Tylko ktoś mający odpowiednie poważanie zdoła tam zahamować rozprzestrzenianie zarazy. Klan Północnego Lasu mieszka najbliżej stąd. Spróbuj się nim zająć. - Zauważyła, że ma niepewną minę. - O co chodzi?

Odwrócił wzrok.

- Planowałem opuścić Si.

Uśmiechnęła się współczująco.

- Sercożer pomieszał i moje plany. - Zmarszczyła czoło, widząc jego znużone spojrzenie. - Nadal chcesz stąd odejść? Och... chciałeś odejść z mojego powodu...

Wzruszył ramionami.

- Otrzymałem rozkaz, by się do ciebie nie zbliżać.

- Nie bądź śmieszny. - Oparła ręce na biodrach. - Przecież Juran na pewno by nie chciał, żebyś porzucił Siyee z powodu... A mnie i tak nie będzie w wiosce klanu Północnego Lasu. Przecież chyba nie mówił, że masz opuszczać każdy kraj, w którym akurat się znajdę.

Leiard spuścił głowę. Po chwili jednak spojrzał na nią. Wzrok miał zimny.

- Nie tak dokładnie. Nie zajmował się szczegółami. - Zastanowił się. - Jeśli wyruszę do klanu Północnego Lasu... jeśli zostanę w Si... obiecasz, że nie stanie mi się krzywda?

Wytrzeszczyła oczy. Czyżby aż tak obawiał się kary?

- Na pewno nikt cię nie skrzywdzi.

- Obiecaj - powtórzył. - Przysięgnij na bogów. Milczała przez kilka uderzeń tętna, nazbyt wzburzona jego nieufnością, by odpowiedzieć. Ale jeśli tego trzeba, żeby został w Si i

pomagał Siyee...

- Przysięgam w imię Chai, Huan, Lore, Yranny i Saru, że dopóki tkacz snów Leiard pozostaje w Si i pomaga Siyee walczyć z sercożerem, nie spotka go żadna krzywda.

Teraz to on patrzył na nią, wytrzeszczając oczy. Z jego twarzy z wolna ustępowało napięcie. Uśmiechnął się.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłaś - rzekł. - Dla mnie. Westchnęła z irytacją.

- A ja nie mogę uwierzyć, że o to prosiłeś. Pójdziesz do klanu Północnego Lasu?

- Tak. Oczywiście. Zaraz się spakuję. I lepiej uprzedzę Tyve'a.

Sięgnął po zawieszony na szyi gwizdek i dmuchnął mocno. Auraya skryła uśmiech. Tyve wydawał się całkiem zadowolony, że jest wzywany w ten sposób, ale zastanawiała się, jak długo to potrwa.

- Wilarze!

Obejrzała się. Młody Siyee spłynął z góry i wylądował na platformie.

- Pakuj się - polecił mu z uśmiechem Leiard. - Mamy następny klan do leczenia. - Tyve szeroko otworzył oczy, gdy zrozumiał znaczenie tych słów. - Auraya musi wrócić do Przestrzeni i tam walczyć z zarazą.

Tkacz spojrzał jej w oczy i wygiął wargi w lekkim uśmiechu. Przypomniała sobie chłód jego wzroku, kiedy dotarła do wioski.

Cieszę się, że to się zmieniło, pomyślała. Lepiej, żebyśmy rozstali się w przyjaźni.

- Powiem Mówcy Veece'owi o naszych planach - zaproponowała. - Uważajcie na siebie.

Leiard kiwnął głową.

- Będziemy. Powodzenia.

- Dzięki.

Podeszła na skraj platformy i wzbiła się w powietrze.

33

Załoga wciągnęła żagle i już wkrótce obłok pyłu przesłonił wieże i mury Glymmy. Niska, blada linia, będąca wybrzeżem Avvenu, przesuwała się po lewej burcie; po prawej horyzont był płaski i równy. Reivan opierała się o reling i zastanawiała, co leży poza nim.

Niskie góry południowego Sennonu, myślała. Potem pustynia, potem góry, a potem bogate krainy cyrklian.

Nie całą Ithanię Północną za górami pokrywała żyzna gleba. Pośrodku znajdowały się suche pustkowia, a góry Si były praktycznie nie do przebycia. Ale i tak cyrklianie posiadali o wiele więcej terenów uprawnych niż pentadrianie. Murr leżał wciśnięty między skarpę a morze, Avven nękały susze, a bogactwa Dekkaru pochodziły z wykarczowanej dżungli, jednak gleba tam w ciągu kilku lat zmieniała się w bezużyteczny pył.

Jak wygląda ojczyzna Imi?

Reivan uzyskała pewne informacje od Imenji. Borra jest kręgiem wysp, tłumaczyła. Ale Elai nieczęsto się na nie wyprawiają z obawy przed atakami piratów. Żyją w mieście, do którego prowadzi podwodny tunel.

Więc jak się tam dostaniemy? zastanawiała się Reivan.

- Jest także inne wejście, nad wodą.

Reivan aż podskoczyła. Odwróciła się i zobaczyła stojącą tuż za nią Imenję.

- Rozumiem - powiedziała. - To dobra wiadomość.

- Och, prawdopodobnie z niego nie skorzystamy. Elai nie ufają ziemiochodzącym, więc wątpię, czy w ogóle wpuszczą nas do miasta.

- A jak spotkamy się z królem?

- Może na którejś z wysp. - Imenja wzruszyła ramionami. - Zobaczymy, kiedy dopłyniemy.

- Czy Imi jakoś się tu urządziła? Drugi Głos uśmiechnęła się.

- Tak. Jest w pawilonie i przebiera się w coś wygodniejszego. Chyba niedługo do nas dołączy. Wydaje się, że nawet Elai cierpią na chorobę morską. A jak ty się czujesz?

Reivan skrzywiła się. Starała się nie zwracać uwagi na to przykre i dokuczliwe uczucie w żołądku.

- Mogło być gorzej.

- Przejdzie ci za parę dni. - Imenja popatrzyła w stronę morza. - Mam dla ciebie zadanie.

Reivan zdziwiona spojrzała na swoją przełożoną. Czego Imenja może od niej chcieć? Przecież przez długie miesiące będą uwięzione na statku...

- Jakie?

- Chcę, żebyś nauczyła się języka Imi. Byłoby dla nas lepiej, gdybym nie była jedyną, która może się porozumiewać z Elai.

Reivan uśmiechnęła się z ulgą.

- Z tym sobie poradzę, chociaż to, jak dobrze mi pójdzie, zależy od tego, ile będę miała czasu. Imi jest skłonna mnie uczyć?

- Tak. - Imenja kiwnęła głową. - Mówiłyśmy o tym. To da wam obu jakieś zajęcie w trakcie rejsu.

- A ja kupiłam te wszystkie książki, bo myślałam, że będę miała mnóstwo czasu na lekturę... - Reivan westchnęła.

- Na czytanie też znajdziesz czas. Musisz jeszcze pilnować mnie, żebym nie oszalała z nudów.

- Stanowczo nie możemy na to pozwolić. - Reivan spojrzała z ukosa na Imenję. - Tkwić na statku z oszalałym Głosem... To nie brzmi zachęcająco.

Imenja zachichotała. Znowu popatrzyła w morze, a potem Zabębniła palcami o reling.

- Imi jeszcze nie odkryła, że potrafię czytać jej w myślach. Jest zdziwiona, że znam jej imię i potrafię mówić w jej języku, ale jak dotąd nie domyśliła się dlaczego.

- Zamierzasz jej powiedzieć?

- Jeszcze nie. Podejrzewam, że z umiejętnością czytania w myślach wydam się Elai znacznie mniej godna zaufania niż zwykli ziemiochodzący.

- Możliwe. Chociaż Imi może to w przyszłości odgadnąć. Pomyśli, że nie chciałaś jej tego wyjawić, by ją oszukać.

- To fakt. - Imenja zmarszczyła czoło. - Choć wiele by trzeba, żeby utracić jej zaufanie. Muszę podać jakieś wiarygodne wytłumaczenie.

Statek zakołysał się nagle na fali, a Reivan poczuła, że jej wnętrzności przemieściły się w niepokojący i przykry sposób.

- Myślę, że zaraz będę wymiotować - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Imenja położyła jej dłoń na ramieniu.

- Spróbuj wpatrywać się w horyzont. To pomaga.

- A co mam robić w nocy, kiedy go nie widać?

- Próbować zasnąć.

- Próbować? - Reivan zaśmiała się, ale natychmiast złapała reling, gdy statek

ześlizgnął się w dół po drugiej stronie fali.

- I jeszcze jedno - dodała Imenja. - Nie wychylaj się za bardzo. Możesz zgubić swój wisior. Albo sama wypaść.

Reivan spojrzała na wiszącą na szyi srebrną gwiazdę.

- Zrobiłabyś mi nowy, prawda?

- To niemożliwe. We wnętrzu każdego wisiora umieszczony jest kawałek koralu, starannie hodowany według sekretnych metod znanych tylko Głosom i kilkorgu wybranym Sługom. Naturalnym odruchem koralu jest, by w pewną konkretną noc każdego roku przesłać telepatyczny sygnał do innych korali, co powoduje masowe uwolnienie zarodków. My hodujemy pewną szczególną odmianę, która pozwala na kierowanie naszych własnych sygnałów albo myśli w dowolnym okresie roku. Dzięki temu możemy się porozumiewać poprzez wisiory. - Imenja roześmiała się. - Nie mam przy sobie zapasowych kawałków koralu, więc lepiej pilnuj swojej gwiazdy.

Reivan podniosła wisior i odwróciła go. Tylna powierzchnia była gładka, z jednym tylko zagłębieniem pośrodku, wypełnionym czarną i twardą substancją. Często się zastanawiała, co to takiego, ale jej dawne myślicielskie nawyki analizy przegrały z lękiem przed majstrowaniem przy czymś świętym i związanym z bogami.

- Koral - powiedziała. - Zastanawiam się, co o tym pomyślą Elai.

- Nie dowiedzą się - oświadczyła stanowczo Imenja. - To sekret, pamiętaj o tym.

- Oczywiście. - Reivan opuściła wisior na pierś. Głos znowu zastukała palcami o reling.

- No więc jakie książki ze sobą zabrałaś? Mam nadzieję, że nie tylko te księgi Myślicieli?

Reivan przewróciła oczami i odsunęła się od burty.

- Chodźmy, pokażę ci.

Mirar zaśmiał się w duchu.

Jesteś z siebie dumny, co? spytał Leiard.

Ta obietnica, którą wydobyłem z Aurai, rozwiązuje wszystkie nasze problemy, odparł Mirar. *Nie muszę stąd odchodzić, mogę zostać i nadal pomagać Siyee. Nie złamie słowa danego w imieniu bogów.*

Nie złamie? A myślałem, że to ja jestem łatwowierny.

Bo jesteś. Ty byś jej nie poprosił o taką obietnicę.

Ponieważ wiem, że ją złamie, jeśli bogowie dadzą jej taki rozkaz.

Obietnicę złożoną w ich imieniu?

Kto się dowie? Nie było świadków.

Auraya będzie wiedziała. Stracą jej szacunek.

Ale ty nadal będziesz martwy.

Nie, jeśli nie dam im powodu, żeby mnie zabijać. Dopóki Siyee chorują, jestem bezpieczny. Kiedy już minie zaraza, postaram się znowu zniknąć. I mam dużą szansę, że mi się uda, jeśli tylko Auraya będzie wtedy gdzie indziej.

Przy każdym kroku wokół stóp Mirara przelewało się błoto. Było coraz głębsze, a powietrze cuchnęło zgnilizną. Pod nosem przeklinał Tyve'a. Niewątpliwie chłopak wysłał go tym wąwozem, ponieważ biegł w kierunku wioski klanu Północnego Lasu i gwarantował łatwiejszą drogę niż otaczające go zbocza. Niestety, Tyve nie mógł zajrzeć przez gęstą roślinność na bagnisty grunt pod spodem.

Przy kolejnym kroku Mirar poślizgnął się i chwycił pień drzewa, by nie zjechać w błoto. I wylądował w kałuży mazi.

Znów zaklął i wstał z wysiłkiem. Przed sobą widział nieskończony las cienkich pni sterczących pomiędzy kępami trawy. Ziemia między nimi lśniła.

Musisz zawrócić, stwierdził Leiard.

Mirar westchnął. Kępy trawy unosiły się na powierzchni bagna, przez co grunt wydawał się solidniejszy, niż był w rzeczywistości. Spojrzał na siebie - błoto oblepiało spodnie i ściekało z kamizelki tkacza snów.

Gdyby Auraya mogła mnie teraz zobaczyć... pomyślał.

... nieźle by się z nas uśmiała, dokończył Leiard.

Owszem. Zauważył, że się uśmiecha. Pokręcił głową, zawrócił i pomaszerował drogą, którą przyszedł.

Lubisz ją, stwierdził Leiard.

Nigdy nie mówiłem, że nie.

Nie, ale tym razem zdajesz sobie z tego sprawę. Sam doszedłeś do tego wniosku, bez mojego wpływu. Wiesz, że to twoje własne odczucia, nie moje.

Mirar pomyślał chwilę i kiwnął głową.

Rozumiem, o co ci chodzi.

Teren był coraz bardziej stromy. Mirar przypomniał sobie śliskie zejście do wąwozu, uświadomił, jak trudno będzie się wydostać, i jęknął.

Auraya pewnie już dotarła do celu, pomyślał niechętnie.

Powróciło wspomnienie Białej - skaczącej z platformy i pędzącej w górę pod kątem, którego Siyee nie potrafiliby naśladować. Obserwował ją, póki nie zniknęła za koronami

drzew; zastanawiał się teraz, dlaczego ta jej umiejętność wciąż go zdumiewa.

Bo ją podziwiasz, stwierdził Leiard. *Dlatego.*

Mirar wzruszył ramionami.

Tak.

Nie tylko z powodu tej swobody, z jaką używała swego niezwykłego Daru, ale przez sposób, w jaki robiła to, co musiała. Była kompetentna, ale nie zarozumiała. Efektywna, ale nie pozbawiona współczucia.

Nie jest nieatrakcyjna, dodał. *Ale naturalnie bogowie nie wybraliby kogoś brzydkiego na swojego przedstawiciela.*

Chociaż jej uroda nie jest tak oczywista. Niektórzy powiedzieliby, że ma zbyt ostre rysy.

Ci, którzy wolą zaokrąglone kobiety o obfitych kształtach, zgodził się Leiard.

Ale nie jest też kanciasta. Ma krągłości.

Czyli zauważyłeś jej krągłości, podchwycił Leiard.

Tak. Mirar wzruszył ramionami. *Jestem mężczyzną. Zauważam krągłości. Jesteś zazdrosny?*

To przecież niemożliwe. Jestem tobą.

Poczuł dreszcz. Uniósł wzrok i zmusił się, by spojrzeć na strome zbocze, pokryte krzakami i kamieniami. Wszystko było wilgotne i śliskie. Wyszukał chwyty i oparcia dla stóp, po czym zaczął się wspinać.

Jeśli jesteś mną, to nie kochasz Aurai, pomyślał Mirar.

Ależ tak...

Pokręcił głową.

Czyli ja też?

Tak.

Wejście przypominało chodzenie na rękach i kolanach po częściowo zburzonym murze. Mirar potrząsnął głową, zniechęcony zarówno koniecznością wspinaczki, jak i tą bezsensowną rozmową z Leiardem.

Więc dlaczego tego nie czuję?

Nie pozwalasz sobie. Tłumisz swoje uczucia.

Doprawdy? Znakomity argument. Mógłbym resztę życia spędzić na szukaniu uczuć, których nie mam, a ty cały czas byś używał tego samego wyjaśnienia, za każdym razem, kiedy ich nie znajdę. Zajrzyj trochę głębiej. Postaraj się bardziej.

Ale przecież w ogóle ich nie szukałeś, zauważył Leiard. *Jako tkacz snów potrafisz*

zbadać własną podświadomość, ale nie zrobiłeś tego. Boisz się konsekwencji. A jakie to ma znaczenie, czy mam rację? I tak nie możesz za nią podążyć.

Jeśli masz rację, sprawi mi to cierpienie. Po co mam ryzykować?

Ponieważ dopóki tego nie zrobisz, nigdy się mnie nie pozbędziesz.

Mirar znieruchomiał. Był już blisko grzbietu.

Powinienem się skupić na podejściu, pomyślał.

Zamiast tego zamknął oczy i spowolnił oddech. Wprowadził umysł w senny trans, przechodząc do niego powoli i z oporami. Zmusił się, by pomyśleć o Aurai, i zaraz nadpłynął strumień wspomnień... Auraya uzdrawia. Auraya leci. Auraya rozmawia, dyskutuje, śmieje się. Zobaczył przeszłość, daleką i całkiem bliską. Pamiętał ich rozmowy o pokoju między tkaczami snów i cyrklianami, i poczuł dla niej szacunek. Wspomniał radosne chwile, kiedy bawili się z Figlem naszło go uczucie sympatii. Gdy wyobraził ją sobie potężną i utalentowaną, poczuł podziw i dumę. Patrzył na nią w locie i... przypomniał sobie podejrzenia, jakie budziła w nim ta umiejętność. Odepchnął je, by móc się skoncentrować na celu swych działań. Jeśli ma to zrobić jak należy, musi przeżywać tylko te chwile, kiedy byli sobie bliscy, wracać na nowo do intymności, rozkoszy, poznawania się, głębszych uczuć, wrażeń należenia do siebie, i do tego, że nie chciał być nigdzie indziej... Do połączenia. Ufności.

Miłości.

Zdał sobie sprawę, że stoi na szczycie, zdyszany z wysiłku i z przerażającej, cudownej świadomości prawdy.

Teraz rozumiem. Emerahl miała rację, choć w kwestii jednej rzeczy się myliła. Aby stać się Leiardem, nie musiał tworzyć w sobie nowych cech charakteru. Nie, raczej zablokował te, które uznał za najłatwiej rozpoznawalne dla innych. A czyniąc tak, uwolnił inne, które od lat spychał na bok.

Leiard jest mną. Ja jestem Leiardem. Jest tym, kim się stałem, kiedy stłumiłem elementy mojego charakteru, powstrzymujące uczucia, które uznawałem za niebezpieczne. Jak miłość.

Uczucia, którym nauczył się nie ufać. Miłość przynosiła mu - nieśmiertelnemu w świecie śmiertelników - jedynie nieskończony ból. Stając się Leiardem, dał sobie wolność, by znowu kochać.

Jestem Leiardem. Leiard jest mną.

Przycisnął dłonie do twarzy.

Kocham Aurayę.

Zaśmiał się z goryczą, dostrzegając ironię tej sytuacji. Przed wiekami wzniósł wokół swego serca mur, by nie pokochać już nigdy śmiertelnej kobiety, która musi umrzeć. A teraz pokochał nieśmiertelną. Niezwykłą, piękną, inteligentną czarownicę o zadziwiających Darach, która kiedyś także go kochała.

- Ale jest najwyższą kapłanką tych przeklętych bogów! - krzyknął.

Dźwięk własnego głosu wyrwał go z transu i przeniósł do pełnej świadomości otoczenia. Nabrał powietrza i wypuścił je powoli.

To naprawdę było bolesne, odezwał się do Leiarda.

Odpowiedź nie nadeszła. Może Leiard chciał sobie z niego zażartować... Odczekał jeszcze chwilę.

Nic. Może zniknął.

Mirar pokręcił głową.

Nie. Nie zniknął, ale nie jest już oddzielony ode mnie ani ja od niego.

Rozejrzał się i ruszył przed siebie. Nie miał nic innego do roboty, oprócz dalszego marszu. Samotnie. Poczuł ukłucie żalu. Przeczuwał, że nie usłyszy już Leiarda.

Chyba będę za nim tęsknił. Nie mogę mieć Aurai, a teraz nie mam też Leiarda do rozmowy.

Ta myśl powinna była go rozbawić, ale zamiast tego pozostawiła uczucie pustki i zasmucenia.

Juran krążył po pokoju na najwyższym piętrze Białej Wieży. Za każdym razem, kiedy mijał okno, spoglądał na miasto. Już dawno zrezygnował z prób zachowania w pamięci tego, jak wyglądało Jarime na samym początku albo w różnych okresach tych stu lat. Nie starzał się fizycznie, ale jego wspomnienia blakły tak samo jak u zwykłych śmiertelników.

To było teraz źródłem jego dylematu.

: *Nie pamiętam,* tłumaczył. *To już tak dawno... Całkiem jakbym próbował sobie przypomnieć pokojówkę moich rodziców. A przecież widziałem ją tysiąc razy częściej niż Mirara, kiedy jeszcze żył. Czemu chcecie, żebym sobie przypomniał, jak wyglądał?*

: *To podejrzenie,* odparła Huan. *Albo Mirar żyje, albo mamy na świecie drugiego tkacza snów z umiejętnościami normalnie dostępnymi tylko nieśmiertelnym.*

Juran poczuł, że zamiera mu serce.

: *Nie jestem pewien, co byłoby gorsze. Czyli ty go nie rozpoznałaś?*

: *Nie mogę go zobaczyć inaczej, niż przez oczy kogoś innego. Nie mogę go rozpoznać, jeśli nie rozpoznaje patrzący. Ty jesteś jedyną żyjącą osobą, która może go zidentyfikować.*

: *Ale przecież odgadłabyś, że to Mirar, patrząc w jego myśli...*

: *Nie mogę zobaczyć jego myśli.*

Juran znieruchomiał. Dreszcz przebiegł mu po plecach.

: *Czy może ten tkacz snów to Leiard?*

: *Tak.*

: *Leiard nie może być Mirarem. Zaglądałem w jego umysł.*

: *Umysł, który teraz jest całkiem zasłonięty. Jeśli potrafi tego dokonać, to może wcześniej potrafił ukryć część umysłu. Potrafi też uzdrawiać w sposób, jaki znają nieśmiertelni. Tak uzdrawiał Mirar,* dodała. *Poza tym jest jeszcze jeden podejrzany fakt.*

: *Co takiego?*

: *Ma dostęp do wspomnień Mirara i sam przyznawał, że słyszał w myślach jego głos.*

: *Ale nie może być Mirarem! Poznałbym go!*

: *Zastanawiam się, czy rzeczywiście. Sto lat to długi czas. Nie obserwowaliśmy efektu utraty wspomnień u stworzonych przez nas nieśmiertelnych, aż do teraz. Czy zostały jakieś portrety Mirara?*

: *Większość zniszczono, ale może zachowały się jakieś w archiwach. Ale... znaleźliśmy jego ciało.*

: *Znaleźliście ciało, które było mocno połamane. Nie musiało należeć do niego.*

: *A jeśli Leiard nie jest Mirarem?*

: *Może być nowym Dzikim.*

: *A to czyni go niebezpiecznym?*

Tak.

: *Czy coś może grozić Aurai?*

: *Chaia jej pilnuje.*

Juran podszedł do okna i znowu spojrzał na miasto. Jeżeli Leiard okaże się nowym Dzikim i będą zmuszeni go zabić, Auraya się załamie. Na pewno rozpaczałaby bardziej, gdyby wciąż go kochała, ale i tak trudno jej będzie zrozumieć argumentację bogów, że wszyscy Dzicy są niebezpieczni.

: *Nie odnaleźliśmy wszystkich Dzikich. Ci, którzy się wymknęli, nie sprawiali nam żadnych kłopotów,* przypomniał.

: *Jeszcze nie. Pamiętaj, że moc deprawuje. Nieśmiertelni nie uznają naszej władzy. Uważają, że ich dusze nie będą musiały pokonać śmierci ciała, a więc nie czują potrzeby, by być nam posłuszni. Są potężni i mogą wyrządzić wiele szkód. Lepiej pozbyć się ich teraz, niż czekać, aż wykorzystają swój potencjał.*

: *A co byśmy zrobili, gdyby cyrklianin stał się nieśmiertelny... bez waszej pomocy?*

: *Gdyby był lojalny, może pozwolilibyśmy mu żyć.*

Juran przycisnął czoło do chłodnej szyby.

: *Czyli musimy zlikwidować Leiarda. Nie mamy wyboru.*

: *Jeśli istotnie jest nowym Dzikim.*

Jak mamy to sprawdzić?

: *.Będziemy go pilnie obserwować. Nie uprzedzaj jeszcze Aurai ani innych Białych o możliwości, że to Dziki. Leiard zaproponował, że nauczy ją magicznego uzdrawiania. To będzie wymagało połączenia umysłów, co być może pozwoli nam zajrzeć poza tarczę, którą się osłania. Zanim uderzymy, musimy mieć pewność, że to Mirar.*

: *Kiedy to nastąpi?*

Jeszcze nie zdecydowaliśmy. Istnieje ryzyko. Poszukamy najpierw innych sposobów odkrycia jego prawdziwej tożsamości. Kiedy postanowimy, damy ci znać. Dobranoc, Juranie.

Juran odsunął się od okna i podszedł do szafki, w której trzymał alkohol dla gości. Nalał sobie toreńskiego tipli. Choć nie mógł się nim upić, wychylił kielich i nalał następny. Kwaskowary posmak piekł w język i odświeżał.

: *Dla dobra Aurai mam nadzieję, Huan, że się mylicie.*

Bogini nie odpowiedziała.

CZĘŚĆ TRZECIA

34

Z góry błękitne jeziora Si przypominały migoczące klejnoty nawleczone na srebrzystą nić rzeki. To, do którego zmierzała Auraya, miało kształt półksiężyca. Kiedy przyjrzała mu się dokładniej, zauważyła na wodzie małe łódki. Z początku była zdziwiona odkryciem, że Siyee radzą sobie z żeglowaniem i rybołówstwem nie gorzej od ziemiochodzących. Byli ludem nieba - ale to przecież nie znaczy, że nie mogli pływać łodziami albo zarzucać sieci.

Bardziej dziwił ją widok płaskich, rolniczych terenów nad brzegiem. Klan Błękitnego Jeziora mieszkał w głębi Si, nie musiał więc odzyskiwać ziemi uprawnej od toreńskich osadników. Wydawało się, że na tym obszarze już dawno wykarczowano drzewa pod zasiew. Widziała ciemnozielone liście ozimych upraw, które Siyee co wiosnę zakopywali, by użyźnić glebę.

Przez ostatnie dwa miesiące obserwowała, jak kraina i jej mieszkańcy przygotowują się do zimy. Magazynowali żywność, naprawiali altany i szyli cieplejszą odzież.

Tutejsze altany nie opierały się na pniach drzew. Skierowała się ku największej, uznając, że będzie to pewnie miejsce spotkań, a przynajmniej dom tutejszego Mówcy.

Musieli ją zauważyć, gdyż rozległy się gwizdy, a Siyee zaczęli schodzić z pól i wysypywać się z altan. Gdy ją ujrzeli, skierowali się w stronę podwyższonej drewnianej platformy. Zmieniła więc kurs, by tam wylądować.

Kiedy na niej stanęła, powietrze zadrżało od powitalnych krzyków i świstów. Z ulgą zauważyła, że większość obecnych wygląda zdrowo. Mówca wynurzył się z dużej altany, która - jak wyczytała w jego myślach - była składem zbiorów klanu.

- Witaj w wiosce klanu Błękitnego Jeziora, Aurayo z Białych. Jestem Mówca Dylli. - Od jednej z kobiet wziął kubek wody, od drugiej tradycyjne ciastko i przekazał je Aurai.

Zjadła i popiła wodą.

- Cieszę się, że jesteście zdrowi. Mówca spoważniał.

- Rozpaczamy po stracie dziewięciorga naszych ludzi, mężczyzn, kobiet i dzieci. Ale stracilibyśmy ich więcej, gdybyśmy nie posłuchali twojej rady, jak zapobiegać przenoszeniu choroby na innych... i gdyby nie przybył tkacz snów.

- Wilar - domyśliła się Auraya. - Słyszałam, że zmierza do was, dlatego sama nie przyleciałam wcześniej. Jesteście w dobrych rękach. Chciałabym się z nim spotkać.

- Zaprowadzę cię do niego.

Zeszła z platformy i poszła za nim. Zaśmiał się, widząc, że z ciekawością przygląda

się konstrukcji.

- Większość klanów mieszka na drzewach albo na nierównym terenie, takim jak Przestrzeń. U nas okolica jest płaska. Dla najstarszych z nas odrywanie się od ziemi było męczące, więc zbudowaliśmy dla nich podwyższenie.

Auraya ze zrozumieniem kiwnęła głową. Siyee mogli startować, skacząc z rozpędu w górę, ale wymagało to znacznej energii. O wiele łatwiej, zwłaszcza starszym, było skoczyć z gałęzi albo urwiska. Platforma pełniła tę samą funkcję.

Tłum Siyee podążał za nimi. Dzieci śmiały się i dokazywały. Na granicy pól uprawnych wzniesiono trzy nowe altany. Dorośli zatrzymali się w pewnej odległości od nich i kazali dzieciom zostać. Auraya i Mówca przeszli kawałek dalej.

- Ja nie chorowałem, więc muszę się trzymać z daleka - powiedział. - Przekaż tkaczowi snów Wilarowi wyrazy szacunku.

- Przekażę. A jeśli mogę jakkolwiek pomóc, zrobię to. Z wdzięcznością skłonił głowę.

Odwróciła się i powolnym krokiem pokonała resztę drogi do altan. Słuchała myśli... Dolegliwości, ból i lęk chorych były szokiem po dobrym nastroju zdrowych członków klanu. Po chwili znalazła to, czego szukała: umysł świadomy obecności człowieka, którego nie potrafiła wykryć.

Zatrzymała się przed altaną.

- Mogę wejść?

Przez chwilę trwała cisza, a potem znajomy głos odpowiedział:

- Oczywiście, Aurayo.

Poczuła, jak dźwięk tego głosu poprawia jej humor. Odsunęła kotarę i wkroczyła do słabo oświetlonego pomieszczenia.

Pomiędzy grubym środkowym słupem a zewnętrznymi wspornikami wisiały cztery hamaki, po dwa z każdej strony. Leiard stał przy jednym z nich i łyżeczką karmił leżącą kobietę. Popatrzył na Aurayę.

- Rozejrzyj się - zachęcił.

Przeszła między hamakami, sprawdzając stan zdrowia każdego z pacjentów. Znajdowali się w najgorszym etapie choroby, ale zwalczali ją, choć z trudem.

- Ci, którzy już wracają do zdrowia, są w tej altanie po lewej stronie, a ci, których ciała nie potrafią się opierać, w tej drugiej - powiedział szeptem Leiard.

Słysząc jego kroki, uniosła głowę. Wrzucił misę i łyżkę do dużego kamiennego naczynia z wodą i wpatrywał się w nie przez chwilę. Woda zaczęła parować, potem zabulgotała. Zostawił ją wrzącą, podszedł do wyjścia i obejrzał się.

- Chcesz zobaczyć? - zapytał.

Kiwnęła głową. Wyszli razem. Zauważyła dzieci Siyee, przyglądające się z daleka, jak przechodzą do sąsiedniej altany. Auraya szybko ogarnęła wzrokiem wnętrze: w przeciwieństwie do poprzedniej, ta altana była zastawiona meblami. Zdrowo wyglądający Siyee siedział ze skrzyżowanymi nogami na środku pomieszczenia i pracował nad uprzężą ze strzałkami. Inny pochylał się nad krosnem, a jego dłonie poruszały się szybko. Dwie kobiety przygotowywały konfitury, chłopiec i dziewczynka grali w coś w głębi. Wszyscy unieśli głowy, kiedy weszli Auraya z Leiardem.

Gdy Leiard ją przedstawiał, Auraya powoli zaczynała rozumieć, czemu ci ludzie tu przebywają - spodziewała się chorych Siyee, a widziała najwyraźniej całkiem zdrowych. Leiard zabił chorobę w ich ciałach, ale nie mogli spotykać się z innymi, gdyż groziło to ponownym zarażeniem. Mogli jednak nadal zajmować się pracami domowymi, a nawet przygotowywać jedzenie.

- Jak długo muszą tu zostać? - spytała, kiedy wyszli.

- Powiedziałem im, że mogą opuścić altanę, kiedy już nikt z mieszkańców nie będzie chory. Wiedzą, że nawet wtedy nie mają gwarancji bezpieczeństwa, ale nie mogą na zawsze tak tkwić w odosobnieniu.

Auraya skinęła głową.

- Czy zdają sobie sprawę, jakie mieli szczęście? Wszyscy inni, którzy znaleźli się w takiej sytuacji, umarli, czy to w Przestrzeni, czy w innych wioskach.

Leiard skrzywił się i spojrzał jej w oczy.

- Ilu do tej pory?

- Mniej więcej co piąty.

Potrząsnął głową. Odszedł kawałek od altany i usiadł na pniu. Auraya siadła obok i obserwowała jego profil. Twarz nie wydawała się tak ogorzała jak kiedyś, choć wokół oczu wciąż widziała zmarszczki od uśmiechów. Farba schodziła częściowo z włosów, odsłaniając ich jasny kolor.

- Przyszłam zapytać, czy twoja oferta jest aktualna - powiedziała. - Sercożer jest wszędzie i zbiera zbyt obfite żniwo. Przyleciałam tutaj z klanu Świątynnej Góry. Tamtejsi Siyee byli najmniej chętni do współpracy spośród wszystkich klanów, a ich system jaskiń jest zbyt ciasny dla tak wielu mieszkańców. Żyją w bliskim kontakcie... a to nie pomaga w zapobieganiu zarażeniom.

Uśmiechnął się niechętnie.

- Nie pomaga. - Odwrócił wzrok, ale po chwili znowu spojrzał na nią spod

zmrużonych powiek. - A więc bogowie już tego nie zakazują?

- Nie. Ale z Daru leczenia mogę korzystać tylko za ich zgodą. Tylko w godzinie naprawdę wielkiej potrzeby, takiej jak teraz.

Pokiwał głową.

- Kompromis...

Patrzyła na niego, ale nie mogła znaleźć właściwych słów. Przez ostatnie miesiące w desperacji bezskutecznie próbowała eksperymentów na konających Siyee. Przekonała się jednak, że nie potrafi zabić choroby, gdyż nie może jej wyczuć jako czegoś rozłącznego z zaatakowanym ciałem.

- Możesz wrócić wieczorem? - zapytał Leiard. - Tyve poszedł zbierać leki, a ktoś musi zadbać o chorych, kiedy my będziemy pracować.

- Oczywiście. Jak długo to potrwa? Wzruszył ramionami.

- To zależy, czy potrafisz sobie przyswoić wiedzę i jak szybko zdołasz ją zastosować. Może godzinę. Może kilka nocy.

Auraya przytaknęła.

- Jest jeszcze jeden klan, który chciałam sprawdzić, ale wrócę wieczorem.

- A więc wtedy zaczniemy. Pamiętaj jednak, że tylko nieliczni potrafią zrozumieć używane pojęcia. To nie kwestia siły magicznej, ale zdolności umysłowych. Nie wiemy, czy masz te zdolności.

- Mogę jedynie próbować - odparła ironicznie. - Nie było jeszcze Daru, którego nie zdołałabym opanować.

- Doprawdy? - Uniósł brwi. - Tak.

- Zastanawiam się, co zrobisz, jeśli ci się nie uda.

- Spróbuję z godnością przyjąć ten zawód. Uśmiechnął się kpiąco.

- Ciekawie będzie to obserwować. Spojrzała mu w oczy.

- To może zależeć od tego, czy będziesz się ze mnie naśmiewał, czy nie.

- Uważasz, że tak bym się zachował?

- Nie wiem. Zaśmiał się.

- Spróbuję okazywać współczucie. - Wstał i zerknął na altany. - Jeśli masz czas, przedstawię cię trzeciej grupie. Są w końcowym etapie choroby. Jest wśród nich kobieta, która więcej wie o leczniczych roślinach w tej okolicy niż ktokolwiek, kogo dotąd spotkałem. Myślę, że ją polubisz.

- Tak?

- Może.

- Przekonajmy się.

Auraya wstała z uśmiechem i pomaszerowała za nim.

Opierając się o reling, Reivan spoglądała na odległe góry Si. Kapitan już od kilku dni płynął w zasięgu wzroku od lądu, co może dodawało jej odwagi, ale też irytowało. Było coś niepokojącego w wypływaniu tak daleko w morze, że żaden ląd nie był widoczny. Ale też widok suchej i nieruchomej powierzchni wydawał się tym bardziej kuszący, że nie mogli postawić na niej stopy w obawie, iż rozgniewają mieszkańców.

Przypomniała sobie, jakie przyjęcie spotkało Sługi, którzy powędrowali do Si. Ale trudno się dziwić, że lud nieba odrzucił pentadriańskie zapewnienia o pokoju i przyjaźni.

Też bym się nie cieszyła z wizyty ludzi, którzy napadli moich sprzymierzeńców i zabijali moich rodaków, cokolwiek by mówili o swoich intencjach, myślała. Jeśli Biała czarownica rzeczywiście potrafi czytać w myślach, na pewno odkryła, że pokój nie jest jedynym celem Sług.

Reivan skłonna była zgodzić się z Nekaunem, że w tej chwili próba nawrócenia Siyee nie jest warta wysiłku. Jeśli wierzą, że stworzyło ich jedno z cyrkliańskich bóstw, nie przyjmą dobrze sugestii, że ich rzekomy stwórca nie jest prawdziwy i że raczej powinni oddawać cześć Pięciorgu.

Zastanawiam się, skąd wzięli takie poglądy. I jak w ogóle pojawili się na świecie?

Plaskanie bosych stóp oderwało Reivan od tych myśli. Obejrzała się i zobaczyła Imi, z kropelkami wody migoczącymi na czarnej skórze. Człapała ku niej. Przez ostatnie kilka miesięcy przybrała nieco na wadze. Szła pewnym krokiem, już nie słaba i zataczająca się na rozkołysanym pokładzie.

- Witaj, Reivan - powiedziała z powagą.

- Witaj, księżniczko Imi - odparła Reivan. Dziewczynka zatrzymała się i uśmiechnęła.

- Tak mnie nazwałaś, ponieważ byłam zbyt poważna. Prawda?

- Taki jest twój tytuł. Powinnam się przyzwyczajać do zwracania się do ciebie w ten sposób, zwłaszcza że znajdujemy się już blisko twojego domu.

- Naprawdę? - zaciekawiła się Imi. - Jesteśmy pewnie bliżej niż poprzednio.

Reivan wskazała linię gór.

- To jest Si. Lada dzień spotkamy Siyee. A kiedy to nastąpi, możemy podpłynąć do brzegu i zapytać o... o...

- Wskazówki - dokończyła Imi.

Przez ostatnie miesiące Reivan opanowała język Elai w dostatecznym stopniu, by prowadzić rozmowy, ale jej słownik nadal był ograniczony.

- Tak. Chociaż obawiam się, że Siyee nie zechcą ci pomóc, ponieważ przybywasz tu z nami.

- Dlaczego mieliby się tak zachować? Reivan westchnęła.

- Z powodu wojny.

- A tak. - Imi zmarszczyła czoło. - Siyee są sprzymierzeńcami Białych czarowników. Muszą uważać pentadrian za swoich wrogów.

- Czwarty Głos Genza dotarła do Si jeszcze przed wojną, aby jak najwięcej dowiedzieć się o Siyee. Ale zanim ustaliła, czy będą dobrymi sojusznikami, Biali przysłali tam jedną ze swoich czarownic. Tę mającą rzadki Talent, który pozwala jej latać. Genza potem nie mogła ich przekonać.

Imi uniosła głowę. Oczy jej błyszczały.

- To ta sama czarownica, która przybyła do Elai. Zaproponowała, że pomoże nam pozbyć się piratów, jeśli w zamian my pomożemy jej ludowi... Gdybyśmy się zgodzili, też bylibyśmy waszymi wrogami! Cieszę się, że ojciec ją odesłał.

Reivan poczuła dreszcz podniecenia.

- Odesłał?

- Tak. On nie lubi ziemiochodzących. Nie ufał jej.

- A nam zaufa? Jak sądzisz? Imi wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Będzie szczęśliwy, że przyprowadziliście mnie do domu. - Nagle zmrużyła oczy. - Czy chcecie go poprosić, żeby został waszym sprzymierzeńcem?

Reivan spoważniała, słysząc chytry ton głosu dziewczynki.

- Możliwe. Nie z każdym zawieramy sojusze.

Usta Imi rozciągnęły się w pełnym determinacji uśmiechu. Reivan odwróciła wzrok w nadziei, że jej twarz nie zdradza rozbawienia.

- Czy spróbujecie znowu zaprzyjaźnić się z Siyee? - zapytała Imi.

Reivan pokręciła głową.

- Jeśli nawet, nie nastąpi to szybko. Mają zbyt silne przyzwyczajenia.

- Dobrze by było, gdyby się wam udało. Siyee i Elai zawsze się przyjaźnili. Więcej mamy ze sobą wspólnego, niż ktokolwiek z nas z ziemiochodzącymi. - Przerwała, wyraźnie się zastanawiając. - I my, i oni zostaliśmy stworzeni przez Huan.

- Elai wierzą, że stworzyła ich cyrkliańska bogini? - spytała Reivan, przyglądając się dziewczynce z uwagą.

Imi wzruszyła ramionami.

- Tak mówią kapłani.

- To ciekawe. - Reivan miała nadzieję, że wygląda na bardziej zamyśloną, niż zaniepokojoną. Serce biło jej teraz nieco szybciej. Czy Nekaun o tym wiedział? Gdyby tak, chybaby nie pomyślał, że warto posyłać Imenję, by spróbowała przekonać Elai do przymierza.

Gdyby Imi o tym pomyślała, on albo Imenja musieliby wiedzieć. Zatem jeśli nie wiedzą, to Imi o tym nie myślała, przynajmniej nie w ich obecności. A więc pomimo okropności, które spotkały dziewczynkę, nie wzywała ona swojej bogini, kiedy przebywała w Sanktuarium. Może religia nie jest dla Elai taka ważna...

- Modlisz się do tej bogini? - spytała. Imi zmarszczyła nosek.

- Nie, chyba że kapłani mi każą. Modliłam się, kiedy byłam mała i bardzo czegoś chciałam, ale kapłani tłumaczą, że Huan ma za dużo pracy, by organizować małym dziewczynkom prezenty. Postanowiłam modlić się tylko wtedy, kiedy będę chciała czegoś ważnego.

- Modliłaś się, gdy byłaś więźniem?

- Parę razy... - odparła smutnie Imi. - Myślę, że wyszłam z wprawy. Ojciec nieczęsto się modli. A czasami w gniewie mówi różne rzeczy, na przykład, że gdyby Huan na nas zależało, toby nie pozwoliła, żeby piraci zajmowali nasze wyspy. Uważa, że już wiele lat temu nas porzuciła.

Reivan współczująco pokiwała głową. Już otwierała usta, by powiedzieć, że też tak sądzi, ale zawahała się. Jak mogła krytykować brak działań boga - nawet nieistniejącego - skoro jej bogowie dopuścili, by ich lud poniósł klęskę w wojnie?

- Bogowie są tajemniczy - stwierdziła zamiast tego. - Nie zawsze rozumiemy powody, dla których coś robią... albo czegoś nie robią. Przypominają rodziców. Często działania rodziców wydają się dziecku okrutne i niesprawiedliwe. Ale później rozumie ono, że to dla jego dobra.

Imi wolno pokiwała głową. Twarz miała skupioną.

- Aha! Mamy towarzystwo!

Głos należał do Imenji. Reivan obejrzała się i zobaczyła zbliżającą się kobietę. Drugi Głos wskazała na niebo.

- Przybyli, żeby się nam przyjrzeć - stwierdziła.

Imi spojrzała we wskazanym kierunku i syknęła zdziwiona. Reivan także zauważyła pięć wielkich ptaków, szybujących w stronę statku.

Nie, nie ptaków. Siyee.

- Lepiej się schowaj, Imi - poleciła Imenja, stając przy nich. - Nadal nie wiemy, jak na

nas zareagują. Albo na ciebie, skoro przebywasz w naszym towarzystwie. Nie zmniejszajmy twoich szans na uzyskanie ich pomocy.

Dziewczynka niechętnie pozwoliła kobiecie odprowadzić się do dużego pawilonu na środku pokładu. Potem Imenja znów stanęła obok Reivan. Siyee podlecieli już tak blisko, że można było dostrzec owale ich twarzy.

- Imi właśnie mi powiedziała, że Elai, tak jak Siyee, wierzą, iż zostali stworzeni przez cyrkliańską boginię Huan - powiedziała Reivan.

- Wiem - odparła Imenja.

- Wiesz?

- Oczywiście.

- W takim razie dziwię się, że Nekaun pozwolił nam na tę wyprawę.

Imenja zaśmiała się cicho.

- Nekaun nie wie.

Reivan patrzyła na nią zdumiona. Nekaun raczej nie pochwali Imenji za to, że ukryła przed nim coś tak ważnego.

- Dlaczego nie?

- Sama mówiłaś: Imi jest księżniczką i powinna być odwieziona do domu z całym ceremoniałem, przez kogoś nie mniej ważnego niż Głos.

- Tego nie powiedziałam.

- Niedokładnie tymi słowami, ale taki był sens.

- Ale nie z tego powodu ukryłaś to przed nim, prawda? Imenja uśmiechnęła się.

- Kto tu umie czytać w myślach? - Spoważniała nieco. - Nie dam się tak łatwo zniechęcić do szukania przymierza z Elai. Może nie ma ich zbyt wielu i oddają cześć fałszywym bogom, ale dopóki się z nimi nie spotkamy, nie poznamy ich potencjału. Przypomnij sobie Siyee i to, jak byli skuteczni w bitwie. Walczący po naszej stronie morscy wojownicy mogą nam przynieść takie same, albo nawet większe korzyści. Kogo obchodzi, w jakiego boga wierzą?

- Nasi bogowie z pewnością...

Reivan przerwała, gdy nad ich głowami rozległ się szum skrzydeł. Siyee dotarli do statku i zatoczyli krąg; ich niechętne twarze wyrażały podejrzliwość. Urządzenia, które mieli przypięte do piersi, wyglądały na delikatne, ale Reivan wiedziała, że mogą być śmiercionośną bronią.

- Odważni są, podlatując tak blisko - szepnęła Imenja. Reivan zauważyła, że niektórzy marynarze ściskają łuki.

- Nie atakujcie, nie odpowiadajcie strzałami - zawołała Drugi Głos. - Chyba że wydam rozkaz.

Siyee trzy razy okrążyli statek, a potem wszyscy prócz jednego skręcili w stronę lądu. Ostatni ruszył wprost na Imenję i Reivan. Jakiś obiekt wystrzelił z jego uprzęży... Reivan cofnęła się o krok, ale Imenja nie drgnęła. Pocisk stuknął o pokład i zagłębił się w drewnie u stóp kobiety. Siyee mocno zamachał skrzydłami, by nie zaczepić o olinowanie, a potem skierował się ku górom.

Imenja czubkiem sandała trąciła strzałkę.

- Co o tym myślisz?

- Ostrzeżenie - stwierdziła Reivan lekko drżącym głosem. - I przypomnienie. Nie jesteśmy w Si miłymi gośćmi.

- Zgadzam się. Problem polega na tym, że jeśli Imi ma się dowiedzieć, gdzie leży jej dom, musimy dostarczyć ją na brzeg. Jak nam się to uda?

- Może powinnyśmy jej zapytać... Imenja uśmiechnęła się do Reivan.

- Oczywiście. Omówimy to z nią dziś wieczorem.

35

Mirar usiadł, opierając łokcie na kolanach a brodę na dłoniach. Myślał o Aurai.

Nie widział jej od dwóch miesięcy. Wprawdzie miał nadzieję, że spotkają się znowu, prowadząc walkę z sercożerem, jednak wiedział dobrze, że takie spotkanie nie przyniesie nic prócz niebezpieczeństw. Niełatwo było żyć z tym beznadziejnym zadurzeniem, które nadeszło w chwili, gdy zaakceptował Leiarda jako część siebie. Prawdę mówiąc, był to niemały kłopot. Cały czas powtarzał sobie, że powinien się wyleczyć z tego uczucia, im szybciej, tym lepiej. A jednak kiedy go zawołała, kiedy weszła do altany, jego serce wykonało serię akrobatycznych manewrów i zrozumiał, że trzeba czegoś więcej niż dwumiesięcznej rozłąki, by znowu odzyskał nad nim kontrolę.

Na pewno się nie spodziewał, że będzie chciała poznać jego metody magicznego leczenia. Odkąd opuścił klan Północnej Rzeki, wiele razy przeklinał bogów za to, że nie pozwolili jej się uczyć. Kiedy zaraza atakowała kolejne wioski, umarło wielu Siyee, których można było ocalić.

Dlaczego teraz? pytał sam siebie. Dlaczego zmienili zdanie?

Odpowiedź była jasna: choroba, przekształciła się w epidemię. Może Siyee słyszeli o jego umiejętnościach i zaczęli się zastanawiać, czemu Wybrańcy Bogów nie potrafią tego samego.

Jeśli tak jest, to dlaczego bogowie sami jej nie nauczą?

Przez cały dzień zastanawiał się nad tą kwestią. Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to że nie mogą. Byli istotami magicznymi. Być może, nawet za pośrednictwem ludzi, fizycznych ciał nie mogą leczyć istoty same tych ciał pozbawione.

Nauczanie tej techniki niosło w sobie pewne ryzyko. Była podobna do metody, jakiej używali wszyscy Dzicy, by bronić się przed starzeniem. Auraya może to zrozumieć. Bogowie zrozumieją na pewno.

Jakoś nie jestem w stanie uwierzyć, że skrzywdziłaby mnie, gdyby podejrzewała, że jestem nieśmiertelny. Podejrzenie to jeszcze nie pewność, a ona nie należy do tych, którzy podejmują działanie jedynie na podstawie podejrzeń. Obiecała, że nie spotka mnie żadna krzywda. Poza tym uzna, że jest mi coś winna za to, że dałem jej umiejętność ratowania życia. Nawet gdyby tym czymś była tylko szansa opuszczenia Ithanii Północnej.

Kiedy poprzez senne łącze opowiedział Emerahl o spotkaniu z Aurayą, namawiała go, by porzucił Siyee i uciekał. Sugerowała, żeby popłynął do Ithanii Południowej, gdzie tkacze

snów są nie tylko tolerowani, lecz wręcz szanowani. Kiedy oświadczył, że zaproponował Aurai naukę swojej metody leczenia, Emerahl nazwała go idiotą, ale nie potrafiła podać żadnego argumentu przeciw - to znaczy żadnego, o którym sam wcześniej nie pomyślał.

Usłyszał uderzenie stóp o ziemię. Uniósł głowę, ale widział tylko ciemność. I nagle Auraya wyłoniła się z niej jak promień księżyca, który przybrał ludzką postać. Dreszcz przebiegł Mirarowi po karku. Skraj jej kapłańskiej cyrkli uniósł się na wietrze, a rozpuszczone włosy opadły na twarz, więc odgarnęła je za ucho.

Patrz na bok, nakazał sobie. Jeśli zauważy, jak się na nią gapisz, może podejrzewać, że ciągle jesteś zadurzony...

Odetchnął głęboko i wstał.

- Witaj, Aurayo z Białych.

Uniosła lekko brew, rozbawiona tym oficjalnym powitaniem.

- Witaj, tkaczu snów Wilarze.

Wskazał jej jeden z dwóch koców, które ułożył na ziemi niedaleko altan. Usiadła i patrzyła, jak wchodzi do środkowej. Wewnątrz Tyve siedział obok noszy z nieprzytomnym Siyee. Chłopiec wstał, schylił się, by chwycić jeden koniec noszy, i pomógł Mirarowi wynieść chorego na zewnątrz.

Położyli go między Aurayą a drugim kocem. Tyve wrócił do altany, a Mirar usiadł.

Auraya pochyliła się i położyła dłoń na ciele chorego. Wpatrzona w przestrzeń, starała się określić jego stan. Ponuro zaciśnięte usta zdradziły Mirarowi, że dostrzegła dokonane przez chorobę spustoszenia. Spojrzała na niego pytająco.

- Co teraz?

- Mógłbym tłumaczyć ci słowami i kierować cię ku samodzielnemu odkryciu Daru, ale to zajęłoby miesiące albo lata, a żadne z nas nie ma nadmiaru czasu. Musimy ustanowić łącze.

Uniosła brwi.

- Połączenie umysłów?

- Niezupełnie. Weźmiemy się za ręce, ale w przeciwieństwie do normalnego łącza, nie ma potrzeby otwierania umysłu. To coś podobnego do sennego połączenia, ale nie trzeba przechodzić w trans, czy też półuśpienie. Fizyczny kontakt usuwa tę konieczność. Prześlę ci instrukcje, a ty możesz odpowiadać w ten sam sposób. Czy się zgadzasz?

Lekko uniosła kącik ust, zastanawiając się nad propozycją. Po chwili kiwnęła głową i wyciągnęła do niego dłonie. Nie był zaskoczony. Wcześniej zgadzała się na senne połączenia, mimo że są nielegalne; na pewno uznała, że to, czego chce się nauczyć, warte jest pewnego

nagięcia prawa.

Ujął ją za ręce, zamknął oczy, a potem poszukał i odnalazł wrażenie jej obecności przy sobie. Wyczuwał oczekiwanie i niepewność.

: *Auraya...*

: *Leiard? Czy powinnam raczej nazywać cię Wilarem?*

Jak wolisz, odpowiedział.

: *Nie myślę o tobie jako o Wilarze, więc będę mówiła Leiard. Ale... wydajesz się inny.*

: *Zmieniłem się?*

: *Tak i nie. Tak jakbyś był bardziej sobą. Wiem, to brzmi dziwnie. Ale przedtem byłeś taki... taki niepewny. Teraz już nie.*

Ta ocena dziwnie go ucieszyła.

: *To prawda. Nie jestem tą osobą, którą byłem.*

: *Prawdopodobnie to ja byłam źródłem tej niepewności,* dodała ze smutkiem. *Może nie powinniśmy o tym rozmawiać.*

: *Może. Może nie,* odpowiedział. *Może to wyrządzić tyleż złego, co i dobrego.*

: *To prawda.*

Zamilkła na chwilę, a zanim zdążył pomyśleć, w jaki sposób zmienić temat, odezwała się znowu:

: *Wybaczyłam ci,* oświadczyła. *Byłam zła, ale już nie jestem. Nie, odkąd pracowaliśmy razem nad Północną Rzeką. Chciałabym, żebyśmy zostali przyjaciółmi.*

: *Ja też bym tego chciał,* zapewnił, być może nazbyt uczuciowo.

: *Nie obawiaj się, że sprowadzę kłopoty na ciebie albo twój lud. Bogowie wiedzą teraz, gdzie leży moje serce.*

Zdziwił się. Czyżby znalazła nowego kochanka? Starał się stłumić uczucie zazdrości. Nie, tłumaczył sobie. Pogódź się z tym.

Przyjrzał się swoim emocjom, a potem uciszył je.

Lepiej, że jest szczęśliwa. A w każdym razie lepiej, że nie cierpi przeze mnie.

: *Mam nadzieję, że jest ciebie godny,* powiedział.

Fala zakłopotania zdradziła mu, że odgadł właściwie.

Jednakże wyczuwał tylko zakłopotanie. A powinna ujawnić także szczęście czy radość... Nic z tego.

To nie potrwa długo, pomyślał z mimowolną satysfakcją. Ale tym razem opanował się - pora, by skierować jej uwagę ku innym sprawom.

: *Magii można używać przy uzdrawianiu na wiele sposobów,* zaczął tłumaczyć. *Tkacze*

snów dzielą je na trzy poziomy trudności. Pierwszy jest najprostszy: wykorzystanie magii, by podtrzymywać, ogrzewać albo przesuwać. Drugi odwołuje się do tych samych Darów, ale w trudniejszych sytuacjach, obejmuje też magiczne zwiększenie sił organizmu. Trzeci jest tak trudny, że wymaga wielkiej koncentracji i niezawodnej wiedzy o wszystkich procesach cielesnych. Pozwala tkaczowi snów wpływać na tkanki wewnątrz ciała z taką precyzją, że ciało i kości ustawiają się tak jak trzeba i goją natychmiastowo.

Mirar przerwał. Nie wyczuł u Aurai niezrozumienia, więc mówił dalej.

: *To, czego spróbuję cię nauczyć, to krok poza trzeci poziom. Nie wymaga ściągania do siebie wielkich ilości magii, ani też wiedzy czy doświadczenia w dziedzinie systemów organizmu. Wymaga umysłu zdolnego wyczuwać i rozumieć ciało od najdrobniejszych szczegółów po większą całość. Kiedy je zrozumiesz, możesz na nie wpływać.*

Przesunął jej dłoń i ułożył na piersi chorego mężczyzny.

: *Patrz.*

By jej pokazać, musiał opuścić osłonę, która nie pozwalała zaglądać w jego myśli. Starał się, by opadała tylko wtedy, kiedy koncentrował się na uzdrawianiu - otwierał ją i zamykał jak żaluzję i przekazywał Aurai to, co robi, przesyłając do niej obrazy i myśli.

Świadomość objęła całe ciało chorego. Uszkodzenia wewnątrz i ich skutek dla całości były oczywiste. Wyczuł coś niewłaściwego - maleńkie, ale niebezpieczne życie, którego nie powinno być w tym miejscu.

Przekazał jej to wszystko.

: *Teraz ty.*

Ona nie przesyłała tego, co odkrywała. Milczała przez długi czas, a potem wyczuł dreszcz podniecenia.

: *Widzę ją! Widzę tę chorobę! Teraz mi pokaż, jak ją zabić!*

Skupił się znowu, demonstrując, jak zogniskować magię, by zabijała chorobę, ale nie szkodziła choremu. Potem obserwował jej działania poprzez skutki, jakie niosły dla Siyee. Był zaskoczony, ale zadowolony, że zrozumiała wszystko, co jej tłumaczył.

Jednak jej atak nie był uporządkowany, więc zaczął pokazywać, jak systematycznie badać całe ciało, by nie pozostał w nim żaden ślad choroby. Po chwili pracowali już razem, każde reagując i dopełniając działania tego drugiego. To było jak taniec. Było porywające.

Ona to robi naturalnie, uświadomił sobie nagle. Jakby to był jej wrodzony Dar. Musi być Obdarzona w dostatecznym stopniu, by stać się nieśmiertelna bez pomocy bogów.

Myśl o tym, czym mogliby być, wzbudziła w nim dreszcz. Nieśmiertelni kochankowie... Ale to się już nie zdarzy. To by ją uczyniło nieprzyjaciółką tych bogów,

których kocha. A ja jestem znienawidzonym Mirarem... Nawet gdyby potrafiła mi wybaczyć oszustwo...

Auraya była pochłonięta uzdrawianiem. Pozwolił jej leczyć samodzielnie, a sam tylko się przyglądał. Ponieważ te metody leczenia były dla niej nowe, nie mogła ich używać, by powstrzymać starzenie; do tego niezbędna jest pełna świadomość, jak się to robi. Może bogowie, poprzez ten pierścień, utrzymują ją w tym samym wieku bez udziału jej świadomości.

Zastanawiam się, ile potrwa, zanim skojarzy fakty, pomyślał. Może dlatego bogowie nie uczą Białych uzdrawiania?

: *Choroba zniknęła,* oznajmiła.

Starannie zbadał Siyee.

: *Tak,* przyznał.

: *To było... łatwiejsze, niż się spodziewałam. Ta twoja metoda badania ciała jest... zadziwiająca. I logiczna. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego sama nigdy tego nie robiłam. Ale... ten człowiek nadal jest umierający.*

: *Tak. Jeszcze nie skończyliśmy.*

Znowu skierował jej uwagę na ciało Siyee. Pobierając energię z rezerw tłuszczu, używał jej, by przyspieszyć odrastanie tkanki płuc. Auraya wykonywała to, co jej pokazywał. Po odrestaurowaniu płuc, krew się poprawiła, a po niej wzmocniło się serce. Przyspieszona cyrkulacja ogrzała palce dłoni i stóp.

Wyczuwał u Aurai zdumienie i zachwyt.

W końcu zajął się dłonią mężczyzny - miał dawno temu złamany i źle nastawiony palec. Mirar ostrożnie go wyprostował, przesuwając włókna kości w nowe położenia. Zdumienie, które widział u Aurai, zmieniło się w wyraźną ekscytację.

: *W ten sposób można wyleczyć wszystko,* stwierdziła. *Można przywrócić wzrok człowiekowi ślepemu przez całe życie, można uzdrowić kalekę. Można wskrzesić martwego!*

: *Tak, ale to ostatnie musi być natychmiastowe. Pamięć rozpada się po kilku minutach od śmierci i nie da się jej przywrócić.*

: *Czy w ten sam sposób mogę leczyć samą siebie?*

: *Oczywiście,* potwierdził. Ale musiał wybić ją z tego toku myślenia. *Nauczyłaś się zadziwiająco szybko i skutecznie.*

: *Myślałeś, że potrwa to dłużej?*

: *Tak. Jak zawsze przewyższasz oczekiwania. Gdyby wszyscy moi studenci tak szybko się uczyli...*

: *Jeśli to wszystko, co muszę wiedzieć, to powinnam od razu wracać do klanu Świątynnej Góry. Wielu jest tam takich, którzy mogą dzisiaj umrzeć, jeśli nie zacznę ich leczyć w ten sposób.*

: *A więc nie będę cię dłużej zatrzymywał.*

Dłonie się rozłączyły i zniknęło wrażenie jej obecności. Otworzył oczy i zobaczył, że przygląda mu się z szerokim uśmiechem. Poczuł, że serce zamiera w nim na moment, i pospiesznie zajął się Siyee.

- Dziękuję ci, Leiardzie. Każde życie, które ocalę tym Darem, będzie życiem ocalonym przez ciebie.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Nie próbuj opowiadać tego bogom. Lepiej nie być blisko nich, kiedy są zazdrośni.

Otworzyła usta, by odpowiedzieć, ale nagle popatrzyła na Siyee.

- On jest przytomny.

Mirar także zauważył, że pacjent obserwuje ich z ciekawością.

- Dobry wieczór - powitał go. - Auraya i ja wyleczyliśmy cię, ale będziesz musiał zamieszkać w pierwszej altanie, dopóki reszta wioski nie będzie zdrowa. Przez dzień czy dwa będziesz bardzo śpiący. Śpij zatem i nabieraj sił.

Mężczyzna skinął głową i znowu zamknął oczy.

Auraya wstała.

- Pomogę ci zanieść naszego przyjaciela do altany, a potem muszę ruszać.

Razem chwycili nosze i zanieśli je do wyleczonych Siyee. Potem Auraya wyszła na zewnątrz. Stojąc w otworze wejścia, Mirar patrzył, jak odchodzi o kilka kroków. Uśmiechnęła się jeszcze do niego, po czym uniosła się w powietrze i zniknęła wśród nocy.

Westchnął. W jednej chwili dostrzegła potencjał tego Daru. Pewnie niedługo wróci ze swymi pytaniami.

Statek Imenji był większy niż statki piratów. Miał też inny kształt. Reivan wytłumaczyła Imi, że zbudowano go z wąskim kadłubem, żeby szybciej żeglował. Przeznaczeniem większości statków był transport towarów, miały więc szerokie kadłuby, by pomieścić ładunek. Ten statek niósł tylko trzy pasażerki, załogę i zapasy.

Cały zbudowany był z czarnego drewna, pochodzącego z najdalej na południe wysuniętej części południowego kontynentu. Na burcie wymalowano białą farbą kształt gwiazdy, którą Reivan i Imenja nosiły na piersi. Żagle także były czarne z białą gwiazdą. Imi wyobrażała sobie, jak wspaniała musi się wydawać piratom i kupcom ta wielka, szybka jednostka. Niemal chciała, by spotkali w drodze tych, którzy ją schwytali. Może Imenja

ukarałaby ich magicznie.

Tam, gdzie na statku piratów był w pokładzie duży otwór, dający dostęp do zrabowanych bogactw w ładowni, statek Imenji miał płytkie zagłębienie, tworzące obniżone miejsce wypoczynku, przykryte rodzajem namiotu. Imenja, Imi i Reivan tam właśnie spały i kryły się przed deszczem. Przez resztę czasu siedziały na pokładzie i starały się nie wchodzić w drogę załodze. Imi kilka razy zeszła pod pokład. Stało tam wiadro do wybierania wody, ale statek był tak porządnie zbudowany, że prawie nie przeciekał. Te długie dni spędzone u piratów wydawały się teraz dalekim wspomnieniem albo jedną z bajek, które jej opowiadano... Chociaż niekiedy wracała tam w sennych koszmarach.

Pod pokładem mieściły się magazyny. Zawierały jeszcze połowę tego, co załadowano, gdy kilka miesięcy wcześniej wyruszały na tę wyprawę. Jedzenie, jakie tu jadła, było o wiele lepsze od tego, co dostawała od piratów, ale nie tak dobre jak to, które podawano w Sanktuarium. Dziś wieczorem mięso było za słone, a do niego miały tylko suszone owoce i orzechy. Odkryła, że marzy o suszonej morskiej trawie owiniętej na świeżym mięsie pełzaka, i uśmiechnęła się rozbawiona tymi myślami o jedzeniu, które kiedyś uważała za nieciekawe.

Ktoś z załogi zbierał talerze i sztućce. Imi zauważyła, że Imenja rozwija wielką mapę. Widziała ją już wiele razy, ale zawsze ją intrygowała. Pokazywała, w jaki sposób świat wyobraża sobie Siyee... Niemniej jednak takie mapy były użyteczne dla ziemiochodzących.

Kapitan rozłożył własną, pokrytą liniami, które dla Imi nie miały żadnego sensu, i przytrzymał ją na rogach przedmiotami, które wpadły mu w rękę. Lampy pod namiotem huśtały się w rytmie kołysania statku, rzucając wszędzie migotliwe cienie. Kapitan wskazał jakiś punkt na swojej mapie, potem na mapie Imenji i coś powiedział.

Reivan spojrzała na Imi i przetłumaczyła.

- Mówi, że jesteśmy tutaj, tak daleko od brzegu, że nie widać go już z głównego masztu.

- Czy można dotrzeć stąd do brzegu wiosłową łodzią? - zapytała Imi, a Reivan tłumaczyła cichym głosem.

- Tak, ale zajmie to wiele godzin. Więcej, jeśli prądy są przeciwne.

- Jakie jest ryzyko, że będziemy zauważeni?

- Za dnia zawsze wysokie.

- A nocą? - spytała Reivan.

- Księżyc jest prawie w pełni - przypomniał kapitan. - I bliżej brzegu nie zauważymy żadnych raf.

- Nie musicie mnie wysadzać na brzeg - oświadczyła Imi, gdy tylko Reivan skończyła

mówić. - Część drogi mogę przepłynąć.

Spojrzeli na nią spod zmarszczonych brwi.

- Masz dość sił? - spytała Reivan. Kapitan wtrącił coś ostrzegawczo.

- Mówi, że na pewno są tu morskie drapieżniki. Grzbietograby, które nazywacie chyba flarkinami.

Imi poczuła lęk, ale wyprostowała ramiona.

- Flarkiny to jedyni naprawdę groźni drapieżcy, ale one wolą mniejsze ofiary. Atakują tylko ludzi poranionych albo gdy w okolicy nie ma innego pożywienia. A jeśli Siyee was zobaczą, spróbują was zabić. To wy jesteście bardziej narażeni ode mnie.

Kiedy Reivan przetłumaczyła słowa Imi, kapitan uśmiechnął się, patrząc na dziewczynkę z podziwem.

- Musimy mieć nadzieję, że na brzegu uda się znaleźć Siyee - stwierdziła Reivan.

- Wystarczy popłynąć wzdłuż lądu, by na nich trafić. Trudniejszy będzie powrót. Jak zdołam was odszukać, jeśli ani statek, ani łódź nie będą widoczne z brzegu?

Imenja i Reivan porozumiały się wzrokiem.

- Musimy się umówić na czas i miejsce - rzekła Reivan. - Rankiem podpłyniemy z Imi w stronę brzegu, wieczorem ją odbierzemy.

- Jak was znajdę po ciemku? - Imi zadrżała na samą myśl o pływaniu w nocy. - Wolę raczej przypłynąć za dnia.

- W takim razie... - uśmiechnęła się Imenja - odwieziemy cię rankiem, a odbierzemy po południu. Jeśli w ciągu dnia nie spotkasz Siyee, następnego popłyniemy dalej na zachód i spróbujemy znowu.

- To powinno się udać - zgodziła się Imi.

Reivan przetłumaczyła to wszystko kapitanowi, który kiwnął głową. Odwrócił się i rzucił jakieś polecenie stojącemu obok marynarzowi. Mężczyzna zniknął i po chwili wrócił, niosąc butelkę i kilka małych kieliszków. Imi starała się ukryć niechętny grymas. Napój podawany na koniec oficjalnych posiłków był dla niej zbyt mocny i cierpki, ale zawsze wypijała łyk, by nikogo nie urazić. Za to sprowadzał na nią przyjemną senność, lepszą niż przewracanie się i kręcenie w zbiorniku, który dla niej przygotowali w ładowni. Była cały czas mokra, ale niełatwo się odprężyć w wodzie, która bezustannie kołysze się wraz ze statkiem.

Dziś wieczorem na pewno będzie myśleć o czekającej ją przygodzie i chyba nie zaśnie, mimo napoju. Czy na brzegu spotka jakichś Siyee? Czyjej pomogą?

I co zrobimy, jeśli nie wiedzą, gdzie jest Borra?

Kiedy Juran otworzył jej drzwi, Dyara natychmiast dostrzegła, że jest zdenerwowany. Wydawał się spokojny, ale zdradzały go zmarszczki na twarzy, które pojawiały się tylko wtedy, kiedy dręczyła go głęboka troska. Odsunął się bez słowa i wpuścił ją do środka. Siedzieli tam już Rian i Mairae, oboje wyraźnie zdziwieni.

Usiadła i czekała, a Juran powoli krążył po pokoju, zapewne porządkując myśli. Znała go lepiej niż pozostali Biali, ale to w końcu nic dziwnego - pracowali razem od siedemdziesięciu sześciu lat. Każdy przejaw jego zdenerwowania niepokoił ją bardziej i musiała naprawdę się kontrolować, by nie zażądać, żeby nie przeciągał już sprawy i powiedział, o co chodzi.

- Przez ostatnie miesiące Huan i ja obserwowaliśmy... pewnego osobnika - zaczął. - Czekaliśmy na jakiś znak, który wykaże, że nasze podejrzenia co do niego są słuszne lub nie. Dzisiaj przekonaliśmy się, że tak.

- Kim jest ten osobnik? - spytała Dyara.

Juran zatrzymał się i spojrzał na nią. Odetchnął głęboko.

- Człowiek, którego obserwowaliśmy, to Mirar.

Dyara patrzyła z niedowierzaniem. Na kilka uderzeń serca zapadła cisza.

- On nie żyje - przypomniał Rian. Juran wolno pokręcił głową.

- Żyje. Nie wiem, jak to możliwe, ale jednak.

- Jesteś tego pewien? - odezwała się znowu Dyara.

- Teraz już tak.

- Ale przecież znalazłeś jego ciało.

- Znaleźliśmy jakieś zmiażdżone ciało. Miało zbliżony wzrost i kolor włosów, ale nikt nie byłby w stanie rozpoznać twarzy. Nie widziano, by odchodził z ruin, a wielu patrzyło.

- Jednak nie dało się wykazać, że ciało należy do Mirara - dokończyła Dyara.

- Nie.

Mairae pochyliła się na krześle.

- A jak odkryliście, że Mirar żyje? Juran westchnął i usiadł.

- Powinienem wyjaśnić, jak w ogóle do tego doszło. Kilka miesięcy temu Auraya odkryła Mirara w Si. Oczywiście nie wiedziała, że to on. Leczył Siyee i...

- Czy wie, z kim ma do czynienia? - zaniepokoiła się Dyara. - Czy jest bezpieczna?

- Nie wie, ale raczej nic jej nie grozi. - Juran uśmiechnął się. - Chaia się nią opiekuje.

- Uważa, że Mirar to zwykły tkacz snów - domyślił się Rian.

- Tak.

Dyara kiwnęła głową. Oczywiście, uznała. A potem pewna myśl wpadła jej do głowy i

spojrzała czujnie na Jurana. On jednak patrzył na Riana.

- Poprosiła go, żeby nauczył ją swoich metod leczenia - ciągnął. - Huan z początku zakazała tego, ale ostatnio zdecydowała, że warto zaryzykować, by potwierdzić nasze podejrzenia. Z umysłu Aurai nie mógłby odczytać wielu niebezpiecznych informacji, ale my moglibyśmy się dużo dowiedzieć z jego.

- Czekaj... - przerwała mu Dyara. - Ani Auraya, ani Huan nie potrafią czytać w jego umyśle?

- Nie. - Juran skrzywił się. - Jest osłonięty.

- Nic dziwnego, że go podejrzewaliście - przyznała Mairae.

- A mimo to zachęcałeś ją, żeby się od niego uczyła? - zdziwiła się Dyara.

Juran spojrzał jej w oczy i kiwnął głową.

- Musieliśmy się przekonać, czy nasze podejrzenia są słuszne. Dzisiaj Mirar zgodził się ją uczyć. Huan i ja połączyliśmy się z Aurayą na czas lekcji... chociaż ona o tym nie wiedziała.

Mairae głęboko westchnęła.

- Dlaczego jej nie powiedziałeś, co robicie?

- Żeby nauczyć się Daru uzdrawiania, musiała nawiązać myślowe połączenie z Mirarem. Gdyby podejrzewała, z kim ma do czynienia, albo gdyby wiedziała, że Huan i ja się przyglądamy, Mirar mógłby to odkryć.

- Jeśli tego mógłby się od niej dowiedzieć, to czego jeszcze? - zapytał spokojnie Rian.

- Niczego - zapewnił Juran. - Byliśmy gotowi przerwać połączenie, ale nie było to konieczne. Dobrze osłaniała swój umysł. Jednak to, co z Huan zobaczyliśmy u niego... - Pokręcił głową. - Auraya skupiła się na nauce, a Huan i ja dostrzegliśmy przelotne myśli Mirara. W pewnym momencie, kiedy Auraya była zajęta czymś innym, zastanawiał się nawet, co by zrobiła, gdyby odkryła, że w rzeczywistości jest Mirarem.

Pytania krążyły w myślach Dyary. Jak Mirar zdołał przeżyć? Czy Juran będzie musiał znowu go zabić? A może bogowie zlitują się nad nim i każą to zrobić mnie i Rianowi? Albo Aurai, skoro już jest w Si?

Wtedy przypomniała sobie, co przyszło jej do głowy wcześniej.

- Dlaczego Mirar zgodził się nauczyć jedno z nas czegoś takiego? Dlaczego pomaga, czy nawet ufa Aurai?

Juran spojrzał na nią. Zmarszczki na jego twarzy wyraźnie się pogłębiły.

- Zna ją dobrze i my znamy jego. To... to Leiard. Zapadło zdumione milczenie. Dyara z gorzką satysfakcją kiwnęła głową: odgadła prawidłowo.

- Leiard! - wykrzyknęła w końcu Mairae. - Ale jak to możliwe? Wszyscy go spotykaliśmy. Wszyscy czytaliśmy jego myśli. Jak mogliśmy nie odkryć jego prawdziwej tożsamości?

Juran rozłożył ręce.

- Nie wiem. Jeśli potrafi ukryć swe myśli przed bogami, kto wie, jakie jeszcze posiada Dary? Może uzyskał możliwość ukrywania swej prawdziwej tożsamości pod fałszywą?

- Przecież ty wiesz, jak on wyglądał - wtrącił Rian. - Czemu go nie rozpoznałeś?

- Nie wyglądał jak wtedy, kiedy go znałem. - Juran westchnął. - Minęło sto lat i moje wspomnienia się zamgliły. - Podszedł do stołu i podniósł arkusz pergaminu. - Po śmierci Mirara prawie wszystkie jego posągi i portrety zostały zniszczone. Rozesłałem kapłanów po całej Północnej Ithanii, żeby znaleźli, co tylko możliwe. To jest szkic rzeźby, znaleziony kilka lat temu w ruinach dawnego Domu Tkaczy Snów.

Podał pergamin Dyarze, która nerwowo wciągnęła powietrze. Twarz była gładka, pełniejsza niż Leiarda, bez brody - ale rozpoznawalna. Przekazała szkic Rianowi. Zmarszczył brwi, kiedy również poznał to oblicze.

Oparła się wygodniej i przypomniała sobie okres, kiedy Leiard przybył do miasta - i wcześniejszy. Znał Aurayę jako dziecko. Odszukał ją, kiedy została Białą. Ona mianowała go doradcą. Kiedy uświadomiła sobie implikacje tak wielkich wpływów Mirara wśród cyrklian, jęknęła.

- Jak daleko w przeszłość to sięga? - zapytała. - Czy wiedział, że zostanie Białą? To był przypadek czy od razu planował, by uczynić ją swoim nieświadomym narzędziem?

- Na pewno nie - odparł spokojnie Juran.

- Musimy rozważyć taką możliwość.

- Wątpię, żeby to zorganizował - stwierdził Rian. - Ale kiedy usłyszał, kim się stała, nie potrafił się oprzeć i wykorzystał szansę, by się wmieszać w nasze sprawy. Przybył tu za nią, zdobył jej zaufanie...

- I jej łoże! - syknęła gniewnie Dyara. - Rzeczywiście jest tym draniem, którego kiedyś znałeś. Wykorzystał swój wpływ na nią, by doprowadzić do akceptacji swojej sekty przez cyrklian. - Poczuła gorzki smak tryumfu. - Ale posunął się za daleko. Pójście z nią do łóżka było błędem. Kiedy romans został odkryty, uciekł do Si, wiedząc, że ona tam wróci. A teraz znowu ją uwodzi, używając swych magicznych umiejętności jako przynęty.

Spojrzała na Jurana. Potrząsnął przecząco głową, ale nie wiedziała, czy nie zgadzał się z jej wizją planów Mirara, czy raczej jest przerażony grozą sytuacji.

Znów zaczął krążyć po pokoju.

- To co mówisz, Dyaro, może być prawdą, ale może też być zupełnie inaczej. Podczas spotkania z Mirarem, kiedy kazałem mu odejść z powodu romansu z Aurayą, przeszukałem jego umysł i nie zobaczyłem niczego, co by sugerowało, że jest Mirarem, ani też żadnych wielkich planów działań przeciwko nam. Zobaczyłem człowieka zakochanego w Aurai miłością beznadziejną i lękliwą, ale rzeczywistą. Tego nie mógł udawać.

- A ona także go kocha - mruknęła Mairae. - A przynajmniej kochała.

- To, co kochała, było kłamstwem - przypomniał Rian.

- A więc dobrze się składa, że to uczucie jest już przeszłością - rzekła Dyara. - Bo będzie musiała go zabić.

Znowu zapadła cisza. Mairae szeroko otworzyła oczy z przerażenia. Obejrzała się na Jurana.

- To niemożliwe...

- Jest teraz w Si - stwierdził ze znużeniem Juran. - Trzeba by miesięcy, by któreś z nas tam dotarło.

- Nie możesz jej o to prosić - upierała się Mairae. - Nawet jeśli się dowie, że to nie ten człowiek, którego kochała, zmuszanie jej do zabójstwa jest zbyt wielkim okrucieństwem.

- Kiedy się dowie, kim jest i jak ją wykorzystał, zrozumie, że nie można zostawiać go przy życiu - oznajmił gniewnie Rian.

Dyara skrzywiła się. Była raczej skłonna przyznać rację Mairae.

- Czego chcą od nas bogowie? - spytała. Juran uśmiechnął się z przymusem.

- Naradzają się.

- Jeśli tego zażądają, dokonam tego czynu zamiast niej. Zgadzam się z Mairae, że od Aurai nie można tego wymagać. Są inne sposoby. Możemy na przykład wykorzystać ją, by wywabiła go z Si.

- Zaproponuję im coś takiego. - Juran kiwnął głową. - Dziękuję wam wszystkim.

Cała czwórka zamilkła, rozważając nową sytuację i jej możliwe konsekwencje. Po chwili otrząsnęła się Dyara.

- Możemy tylko czekać na decyzję bogów. Wróćmy do naszych pokojów i spotkajmy się jutro.

Wstała, a za nią Mairae i Rian. W milczeniu wyszli na korytarz. Dyara obejrzała się jeszcze w progu - Juran uśmiechał się ponuro. Ogarnęła ją litość. Nie będzie spał tej nocy. Dawne upiory powróciły, by znów go prześladować.

Nigdy sobie nie wybaczył zabójstwa Mirara, myślała. Teraz wie, że przez sto lat dręczył się czymś, czego nie uczynił.

36

Wiele stuleci minęło od ostatniego razu, kiedy Emerahl żeglowała przez Zatokę Smutku. Nie kusił jej Sennon ze swoimi pustyniami i szarymi miasteczkami. W swoim długim życiu nigdy nie opuściła północnego kontynentu - odwiedziła jedynie wyspiarski Somrey, który teraz i tak był uważany za część Ithanii Północnej.

Gdyby płynęła środkiem zatoki, a powietrze było mniej zamglone, mogłaby widzieć równocześnie Ithanię Północną i Południową. Jednak konieczność uzupełniania zapasów kazała jej się trzymać bliżej sennońskiego wybrzeża. Mogłaby próbować kupić żywność w Avvenie, ale nie była pewna, jakiego przyjęcia może się spodziewać na południu, a nieznajomość języka utrudniałaby handel. Za to Sennon niewiele się różnił od tego, który pamiętała. Nawet język pozostał prawie niezmieniony przez te kilkaset lat od ostatniej wizyty.

Ze wszystkich stron horyzont przesłaniały obłoki kurzu niesionego wiatrem, który popychał jej łódź na wschód. Przed nią leżał Przesmyk Grya, wąski pas lądu oddzielający Zatokę Smutku od Zatoki Ognia. W miejscu, gdzie Przesmyk łączył się z Sennonem, leżało miasto Diamyane.

Tam jej morska podróż dobiegnie końca.

Przygryzła wargę i poklepała rumpel. Przez ostatnie miesiące niewielka łódź zaniosła ją bardzo daleko. Przeżyła więcej niż kilka sztormów, a także nietypowe, dodające szybkości magiczne pchnięcia.

Będzie jej tego brakowało. Jedynym sposobem, by przetransportować łódź przez Przesmyk, było zapłacenie komuś, by ją poholował. Raczej nie miała na to pieniędzy. Jeśli ją sprzeda, będzie mogła dołączyć do kupieckiej karawany podróżującej na wschód albo - jeśli wystarczy funduszy - wykupić miejsce na statku.

Stłumiła żal i przypomniała sobie, że przecież już przed miesiącami podjęła taką decyzję. Nie warto teraz zmieniać zdania. Mogłaby opłynąć południowy kontynent, ale to by wydłużyło rejs o całe miesiące. Mogła również popłynąć ponad Ithanią Północną, ale znalazłaby się w pobliżu Jarime, a wolała omijać kraj, w którym rządzą Biali.

Mirar powiadamiał ją w sennych połączeniach, że Siyee pilnują swojego wybrzeża i że kilka miesięcy temu wylądowali tam pentadrianie, których odesłano z powrotem. Uprzedził też, że Auraya jest w Si. Jedna Biała w pobliżu jest lepsza od czworga Białych, uznała Emerahl. Wzięła dość zapasów, by uniknąć lądowań w Si. Na szczęście nie odwiedziła jej żadna latająca czarownica w bieli, a wiatr sprzyjał jej prawie przez całą drogę. Aż do teraz

nie miała powodów, by żałować swego wyboru.

W obłokach pyłu zaczęły się pojawiać nienaturalnie regularne kształty, które wkrótce okazały się budynkami. Emerahl skierowała łódź w ich stronę. Nie spieszyła się, odsuwając chwilę rozstania z łodzią. Po jakimś czasie - aż nazbyt szybko - dryfowała już przy pomoście i podawała cumę chłopcom na nabrzeżu, którzy z wprawą zawiązali ją na pachołkach. Wyszła na suchy ląd, rzuciła im jakieś monety i spytała, gdzie są przewoźnicy łodzi.

Ustawili swój barak przy nabrzeżu. Kiedy weszła, wyczuła, że ich nastrój zmienia się w radosną zachłanność. Po kilku kubkach gorącego i gorzkiego miejscowego trunku przekonała ich, że kobieta potrafi się targować nie gorzej od mężczyzny.

Ale choć zmysły jej podpowiadały, że wymusiła na nich rozsądną cenę, wciąż jednak była dla niej za wysoka.

Potem poszukała nabywcy dla swojej łodzi i odkryła, że nie ma popytu na tak małe jednostki. Głównym zadaniem kupców był transport towarów, a jej łódka się do tego nie nadawała. Znalazł się jednak mężczyzna, skłonny zapłacić marną cenę - umówiła się z nim na późniejszą porę, żeby mógł obejrzeć nabytek.

Mijały godziny. Odszukała rynek, by wymienić trochę pieniędzy na lokalną walutę, canar. Kupiła jedzenie i nieco kahru, miejscowego trunku, po czym bez przekonania spróbowała sprzedawać swoje usługi jako uzdrowicielka. Kilku uzdrowicieli, którzy pracowali już na miejscu, obserwowało ją niechętnie. Wiedziała, że jeśli spróbuje zostać tu dłużej, nie obejdzie się bez kłopotów. W Sennonie wszyscy mogli żyć jak chcieli i wyznawać kogo łub co chcieli, jeśli tylko nie łamali podstawowych praw. W drodze na rynek zauważyła Dom Tkaczy Snów i wielu tkaczy. W Torenie ludzie zaczepiali ją, prosząc o pomoc; tutaj ją omijali, wyraźnie zadowoleni z dostępnych uzdrowicieli.

Muszę więc zwrócić ich uwagę lepszym albo trudniej dostępnym towarem, uznała.

- Leki na bezpłodność! - zawołała. - Usuwanie blizn! Afrodyzjaki!

Mężczyzna i kobieta obejrzeli się na nią. Kobieta niosła na rękach dziecko, mężczyzna trzymał za rękę małego chłopca. Porozumieli się wzrokiem i podeszli. Emerahl zastanawiała się, którą z trzech usług są zainteresowani. Nie wyglądało na to, by musieli się leczyć z bezpłodności. Mogli szukać afrodyzjaków, ale równie prawdopodobne było usuwanie blizn.

- Czy jesteś Emmeą, uzdrowicielką, która chce sprzedać łódź? - zapytał mężczyzna, używając imienia, które podała przewoźnikom. W Sennonie zrezygnowała z „Limmy". Użycie innego imienia, kiedy znalazła się na drugim końcu kontynentu, czyniło ją trudniejszą do wytropienia.

Zamrugała zdziwiona i przytaknęła.

- Tak, to ja. Chcecie ją kupić?

- Nie - odparł mężczyzna. - Pozwól, że się przedstawię. Jestem Tarsheni Drayli, a to moja żona Shalina. Chcieliśmy wykupić przejazd dla siebie i naszych dzieci.

Ogarnęło ją rozczarowanie.

- Nie mogę wam pomóc. Nie płynę na zachód.

- Nie chcemy płynąć na zachód - odparł z uśmiechem mężczyzna. - Wędrujemy na wschód.

- Nadal nie mogę wam pomóc - stwierdziła przepraszająco. - Nie stać mnie na przewóz łodzi.

- Ale nie trzeba płacić za przewóz - zapewnił ją. - Jest taki nieduży tunel przez Przesmyk. Otworzono go kilka lat temu. Tylko małe łodzie mogą nim pływać, a opłata jest o wiele niższa niż za przewóz.

- Naprawdę? - Nikt jej nie mówił o tym tunelu, ale przecież trudno się dziwić, że przewoźnicy łodzi o nim nie wspominają. - Ile kosztuje?

- Dwanaście canarów od łodzi.

Emerahl kiwnęła głową. Nie wyczuwała u niego nieuczciwości. Jednak dwanaście canarów to nadal za drogo. Mogłaby sobie na to pozwolić, ale nie miałaby już pieniędzy na zakup żywności. W duchu przeklinała siebie, że nie sprawdziła cen rejsu statkiem - nie miała pojęcia, ile zażądać od tych ludzi.

- Moja oferta jest taka - rzekł mężczyzna, jakby domyślając się jej wątpliwości. - My zapłacimy za tunel, a w zamian ty zabierzesz nas na wschód, do Karienne.

- To rozsądne - uśmiechnęła się Emerahl. - Miejsce na statku kosztuje na pewno więcej niż dwanaście canarów.

Kiwnął głową, a ona nie odebrała od niego żadnych emocji związanych z oszustwem - tylko nadzieję. Zastanowiła się nad jego propozycją. Mężczyzna czekał cierpliwie.

- Musicie wziąć ze sobą własne pożywienie i wodę - uprzedziła. - Nie mam pieniędzy, żeby płacić za wasze potrzeby.

- Weźmiemy, oczywiście - zgodził się Tarsheni.

- I chociaż nie wierzę, żebyście planowali ukraść moją łódź, muszę was ostrzec przed takimi pomysłami w przyszłości. Nie należy lekceważyć moich Darów.

Tarsheni uśmiechnął się lekko.

- Nie masz się czego obawiać z naszej strony. Emerahl kiwnęła głową.

- Wy z mojej także. Mam zatem jeszcze jedno pytanie. Jakie macie powody, by wyruszyć na tę wyprawę?

Para wymieniła spojrzenia i Emerahl wyczuła obawę. Skrzyżowała ręce na piersi i patrzyła na nich wyczekująco. Mężczyzna przygarbił ramiona.

- Możesz to uznać za głupotę - powiedział. - Słyszeliśmy o pewnym człowieku w Karienne, który wie o rzeczach mądrych i cudownych. Wyruszyliśmy tam, by posłuchać, co mówi.

Emerahl nie wyczuła kłamstwa, ale odgadła, że coś przed nią ukrywają.

- Co jest tak niezwykłego w tym człowieku?

- On... - zaczął Tarsheni.

- Czy jesteś cyrklianką? - spytała jego żona.

Emerahl przyjrzała się kobiecie - Shalinie - z czujnym zdziwieniem.

- Nie - przyznała w nadziei, że nie zerwała właśnie negocjacji.

- Nie jesteś też pentadrianką - stwierdziła Shalina. Jej bystre oczy błysnęły. - Czy jesteś poganką albo niewierzącą?

Emerahl nie odwróciła wzroku.

- Czy ten człowiek, którego chcecie zobaczyć, wyznaje któregoś z martwych bogów?

Shalina pokręciła głową.

- On twierdzi, że bogowie zostali stworzeni przez istotę wyższą - wyjaśnił Tarsheni. - Może się myli. O tym właśnie chcemy się przekonać.

- Rozumiem - mruknęła Emerahl. - Bardzo ciekawa idea - dodała, szczerze zaintrygowana.

Jeśli taki pogląd zyska popularność, może być pierwszą nową religią, jaka powstanie od tysiącleci - o ile nie liczyć jej własnych, pozbawionych skrupułów i niepożądanych Wyznawców Wiedźmy.

- A więc... - zwróciła się do rodziny - ...kiedy chcecie wyruszyć?

Oboje uśmiechnęli się szeroko.

- Musimy tylko zapłacić za noclegi i zabrać bagaże - odparł Tarsheni. - No i kupić trochę żywności. Ile powinniśmy zabrać?

Emerahl uśmiechnęła się. Byli młodzi i niedoświadczeni, prawdopodobnie przyzwyczajeni do wygodnego życia. Podróż będzie dla nich trudna. Lepiej dopilnować, by byli dobrze przygotowani.

- Weźcie tyle, żeby wystarczyło na kilka dni. Nigdy nie wiadomo, kiedy dotrzemy do następnej wioski. Nie zabierajcie niczego, co łatwo się psuje, i upewnijcie się, że wszystko jest dobrze opakowane. Na morzu może się zdarzyć upał, a jeśli trafi się sztorm, woda wszystko przemoczy. Macie coś nieprzemakalnego? Nie? Lepiej pójdę z wami na kwaterę,

przejrzę wasze rzeczy i powiem, jak je zapakować. Potrzebne wam będzie też coś przeciwko chorobie morskiej.

Razem opuścili rynek. Emerahl od dawna nie była w tak dobrym nastroju. Nie musiała sprzedawać łodzi i może nawet coś zarobi, przewożąc tę rodzinę do Karienne.

Zanim Auraya wróciła do klanu Świątynnej Góry, kolejnych sześciu Siyee zachorowało na sercożera, a następna dwójka zameldowała, że członkowie ich rodzin słabną. Auraya zdążyła już wiele razy skorzystać z nowego Daru uzdrawiania, ale Siyee spod Świątynnej Góry byli mniej chętni - i mieli mniej możliwości - by izolować się od siebie nawzajem. Pojawiały się już oznaki ponownych zarażeń.

A jednocześnie docierały wieści o chorych Siyee w klanach, które dotąd uniknęły zarazy. Aż nazbyt dobrze zdawała sobie sprawę, że jej wysiłki będą bardziej skuteczne wśród Siyee mniej stłoczonych i bardziej skłonnych do współpracy, ale postanowiła zostawić klan Świątynnej Góry w stanie lepszym niż był teraz.

- Ta zaraza postanowiła chyba poddać próbie każdego z nas - rzekł z rezygnacją Mówca Ryliss, dolewając oliwy do grzejnika.

- Tak, jeśli będzie się swobodnie rozprzestrzeniać - zgodziła się Auraya.

- Jak możemy ją powstrzymać?

- Odeślij każdego, kto wyzdrowiał. Zmarszczył czoło.

- Mówiłaś, że nie można się zarazić od kogoś, kto całkiem wyzdrowiał. A zatem odsyłałbym tych, którzy nikomu już nie zagrażają.

- Ale zajmują miejsce, przez co nie możemy właściwie izolować chorych. A jeśli odeślesz tych, którzy nie chorowali, ryzykujesz, że któryś mógł się zarazić, tyle że jeszcze nie ma objawów.

- Ale odsyłanie ludzi daleko od domu... Czy to konieczne?

- Wasza wioska jest przeludniona - powiedziała mu, nie po raz pierwszy.

- Przecież chyba nie bardziej niż inne.

- Większa część wiosek zmniejszyła się w ostatnim roku, ponieważ ich mieszkańcy zginęli na wojnie. Wielu Siyee dołączyło ostatnio do twojego klanu, prawda?

Ryliss przytaknął.

- Tak. Przybywają tu, by uczyć się i służyć bogom. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Dlaczego nie szukają nauki u kapłanów w Przestrzeni? Wzruszył ramionami.

- Przylatywali tutaj, jeszcze zanim nadeszli kapłani. No i... nie chciałbym nikogo urazić, ale niektórzy uważają, że to od innych Siyee powinni się uczyć, jak na sposób Siyee oddawać cześć bogom.

Uśmiechnęła się.

- Rozumiem. Czyby pomogło, gdyby kapłani zjawili się tutaj? Czy Strażnicy zechcą nauczać wraz z ziemiochodzącymi?

- Zapytam ich.

- Dziękuję. - Auraya kończyła badać jednego pacjenta i przeszła do następnego. - Ci nowo przybyli są młodzi i silni. Ich ciała walczą z chorobą. - Wyprostowała się i spojrzała mu w oczy. - A więc odeślesz stąd część mieszkańców?

Z wahaniem zmarszczył czoło, ale nie usłyszała jego odpowiedzi. Inny głos wypełnił jej umysł.

: *Aurayo. Przyjdź do świątyni.*

I równie nagle, jak się pojawiła, Huan zniknęła. Ryliss nadal mówił. Nadal wymyślał jakieś uzasadnienia...

- Przepraszam, Mówco - przerwała mu. - Muszę cię teraz opuścić. Zostałam wezwana przez Huan.

Szeroko otworzył oczy.

- Lepiej nie każ jej czekać.

- Racja.

Wyszła na korytarz. System jaskiń był dosyć płytki i po kilku chwilach wynurzyła się na otwartą przestrzeń. Zerknęła w górę, by się upewnić, że żaden Siyee nie zderzy się z nią w powietrzu, skacząc z otworu w ścianie klifu powyżej. Skoncentrowała się na odczuciu świata wokół siebie i pomknęła w górę, skręcając ku najbliższym szczytom.

Wiatr owiewał jej twarz, chłodny i przyjemny. Zbliżając się do celu, rozróżniała już kształt świątyni. Choć była tu kilka razy, zawsze zdumiewała ją ta niewielka, wyrzeźbiona w górskim szczycie konstrukcja. Jak ją zbudowano, pozostawało tajemnicą. Ryliss mówił, że jest dziełem rasy starszej niż Siyee. A w każdym razie budowniczowie musieli być albo zdolnymi wspinaczami, albo umieli latać. Dlaczego ją tutaj zbudowali, było tajemnicą jeszcze większą.

Pięć kolumn podpierało kopułę sklepienia. Auraya wylądowała pośrodku kręgu podłogi. Odetchnęła głęboko i rozejrzała się; serce biło jej mocno w oczekiwaniu. Wprawdzie przyzwyczaiła się do towarzystwa Chai, jednak perspektywa znalezienia się w obecności innych bogów jednocześnie podniecała ją i onieśmielała.

: *Huan, jestem tu!* zawołała.

Skupiła się na wyczuwaniu otaczającej ją magii... i odkryła zbliżającą się szybko obecność. Magia świata kłębiła się za nią i Auraya z trudem powstrzymała instynktowny

odruch, by się odsunąć. Obecność zatrzymała się o kilka kroków przed nią; powietrze zajaśniało, a światło utworzyło postać kobiety z surową miną. Auraya przyklęknęła.

: *Powstań, Aurayo,* powiedziała Huan. *Mamy dla ciebie zadanie.*

- Co mam zrobić? - Auraya stanęła przed boginią. :*Odkryliśmy wielki błąd, popełniony sto lat temu. Musisz go naprawić, ale ostrzegam, nie będzie to łatwe ani przyjemne. Dowiedzieliśmy się, że wróg którego uważaliśmy za martwego, jednak żyje. I nie tylko żyje, ale też manipuluje przy sprawach tego świata.*

Auraya znieruchomiała na moment, kiedy uświadomiła sobie, kim jest ten wróg.

- Kuar! Ale jak zdołał przeżyć? I jak mam go pokonać? :*To nie Kuar. Gdyby Kuar przeżył, nie posyłalibyśmy cię przeciw niemu. Był potężniejszy od ciebie. Chodzi mi o wroga słabszego, choć starszego. Juran walczył z nim jako ostatni. Ma na imię Mirar.* Auraya patrzyła na Huan w zdumieniu.

- Mirar? Jak to możliwe?

A potem zrozumiała, czego chcą od niej bogowie, i serce jej zamarło.

Och, Leiardzie... Czy kiedykolwiek mi wybaczysz?

: *Nie wybaczy,* odpowiedziała Huan. *Leiard jest Mirarem.*

- Leiard?! - wykrzyknęła Auraya. Przez chwilę nie mogła zebrać myśli. A potem zaśmiała się z niedowierzaniem. - To niemożliwe. Widziałam jego umysł. No, w każdym razie zaglądałam, zanim...

: *Mirar jest Leiardem. Oszukał nas. Oszukał Białych, a co najgorsze, okłamywał i wykorzystywał ciebie. Nie jesteśmy pewni, w jaki sposób zdołał się ukryć za osobowością Leiarda, ale nie mamy wątpliwości, kim jest naprawdę. Kiedy łączyłaś się z nim, by się nauczyć jego Daru uzdrawiania, zobaczyłam to.*

- Byłaś tam...? *:Tak.*

Auraya potrząsnęła głową zdziwiona. W czasie połączenia odbierała przelotne myśli Leiarda. Żadna z nich nie zdradzała niczego prócz wiedzy o leczeniu.

: *Kiedy byłaś zajęta, na chwilę opuścił zasłonę, sądząc, że jest bezpieczny.*

Auraya przywołała wspomnienia o Leiardzie. Najpierw przypomniała sobie, jaki był, kiedy mieszkał w lesie niedaleko jej wioski; uczył ją o lekach i o świecie. Czy pojawiła się wtedy jakakolwiek oznaka, że jest Mirarem? Nic takiego nie pamiętała.

Potem zastanowiła się nad człowiekiem, który był jej doradcą w Jarime. Tak nieswojo czuł się w Świątyni... Uznała, że tak pewnie reagują wszyscy tkacze snów. Czy ten lęk przed wszystkim, co cyrkliańskie, był sugestią prawdziwej tożsamości? Pokonał go jednak i został jej doradcą. Jednak to nie był jego pomysł, lecz jej. Tkacze snów skorzystali na jego pracy,

ale to przecież nic niezwykłego ani nic złego. Każdy tkacz snów starałby się do tego doprowadzić.

Chyba że jakoś wykorzystywał swe stanowisko, by uzyskać korzyści, o których nie wiedziała.

: *Nie dostrzegasz głębi jego oszustwa, Aurayo. Leiard nie istnieje. Nigdy nie istniał. Człowiek, którego znałaś, został wymyślony, by tobą manipulować.*

Auraya zmarszczyła brwi. Szukała czegoś podejrzanego w zachowaniu Leiarda, ale powinna się raczej zastanowić nad zachowaniem Mirara... Jeśli planował oszukać ją, tworząc postać Leiarda, to mu się udało. Zyskał jej przyjaźń i zaufanie, potem miłość. Pomyślała o sennych połączeniach, deklaracjach uczuć, obietnicach... Nic z tego nie było rzeczywiste. Otrząsnęła się. Z własnej woli... robiła różne rzeczy z człowiekiem, którego naprawdę nie znała, który nie mógł mieć dobrych zamiarów wobec niej, bogów i cyrklian.

Ale w takim razie jakie miał zamiary? Czy Juran zniweczył jego plany, kiedy odkrył nasz związek i kazał mu się wynosić? Czy Mirar przybył do Si w nadziei, że mnie spotka i zdoła odnowić romans?

Gniew w niej narastał, kiedy dostrzegała kolejne możliwości.

Tak wiele chciałam dla Leiarda zaryzykować! Ale przecież widziałam, że się zmienił, uświadomiła sobie. Kiedy nawiązaliśmy połączenie, żeby mógł mnie uczyć, wyczułam tę zmianę. Co takiego wtedy powiedział? „Nie jestem tą osobą, którą byłem".

: *Teraz widzisz, jaka jest prawda,* odezwała się znowu Huan. *Sprawi ci ból. Chcielibyśmy, żeby tak się nie stało, by nigdy nie popełniono tego błędu. Ale pohamuj swój gniew - będzie ci potrzebny, by uczynić to, co konieczne. Inni Biali są zbyt daleko, żeby działać. Ty jesteś blisko i masz przewagę zaskoczenia. Nie spodziewa się, że właśnie ty wykonasz egzekucję.*

- Egzekucję? - Chłód przeniknął Aurayę aż do kości.

: *Tak. Wahasz się przed zabijaniem - to dobrze. W przeciwnym razie byś nas rozczarowała. Ale on musi umrzeć, tym razem naprawdę. Ja cię poprowadzę.*

- Kiedy?

: *Teraz..*

- Ale Siyee...?

: *Nie zajmie ci to dużo czasu, Aurayo.*

- Och...

Czuła się dziwnie zdezorientowana.

Nie będę miała czasu, żeby się oswoić z sytuacją, prawda? Później muszę się

zorientować, co to wszystko znaczy.

: *Tak. Nie możesz pozwolić, by cokolwiek odwróciło twoje uwagę,* ostrzegła Huan. *On jest silny. Walka będzie ciężka. Będzie chciał tobą manipulować. Spróbuje wszystkiego, by cię powstrzymać.*

Oczywiście, że spróbuje, pomyślała Auraya. Nie sądzę, by chciał umierać.

: *Poprowadzę cię. Ruszaj, Aurayo. Znajdź go.*

37

Oddechy wioślarzy zmieniały się w parę, ale Imi było ciepło. Z początku zastanawiała się, czemu Imenja nie ogrzewa magicznie powietrza otaczającego załogę, zauważyła jednak kropelki potu na czołach ludzi i zrozumiała, że są rozgrzani z wysiłku. Gdyby znaleźli się w obszarze ciepłego powietrza, byłoby im za gorąco.

Po jednej stronie horyzontu widziała chmury. Przesłaniały blask świtu. Morze, szalupa, a nawet opalone twarze wioślarzy miały niezdrową, szarą barwę. Zdawało się, że coś wyssało ze świata cały kolor.

Brzeg były zębatą linią, widoczną na tle nocnego nieba, oddzieloną od wody paskiem bladego piasku.

Imenja spojrzała na dziewczynkę. Wzrok miała poważny i nie uśmiechnęła się, kładąc jej dłoń na ramieniu.

- Do tego miejsca możemy się posunąć, nie ryzykując wykrycia - oświadczyła. - Czy to dostatecznie blisko brzegu?

- Chyba tak. - Imi kiwnęła głową.

- Nie narażaj się niepotrzebnie.

- Nie będę.

- Wrócimy tutaj po południu. Powodzenia. Imi uśmiechnęła się spokojnie.

- Wtedy się spotkamy.

Przeszła na burtę. Za bardzo kołysała się na falach, by dało się skoczyć bezpiecznie, uznała więc, że najlepiej będzie usiąść, opuścić nogi do wody i ześlizgnąć się, kiedy szalupa się przechyli.

Udało się całkiem dobrze, choć nie było to eleganckie, odpowiednie dla księżniczki zejście. Woda okazała się cudownie chłodna. Imi odetchnęła głęboko, zanurkowała pod powierzchnię i popłynęła do brzegu.

Z szalupy odległość wydawała się niewielka, ale dziewczynka szybko pojęła, że dopłynięcie do brzegu potrwa dłużej, niż sądziła.

Woda była ciemna, a blask przedświtu wciąż zbyt słaby, by ujawnić cokolwiek pod powierzchnią.

Imi rzadko - i nigdy sama - bywała na tak otwartych przestrzeniach. Łatwo mogła sobie wyobrazić, że coś wynurza się z mroku. Coś wielkiego i powolnego... Albo może coś mniejszego i szybkiego, jak flarkin, widziany na chwilę przed atakiem.

Ze zdenerwowania drżała tak, jak wtedy, kiedy czuła, że zbiera jej się na kichnięcie - ale nie kichała.

I nagle woda pojaśniała, a Imi wypłynęła na powierzchnię. Spodziewała się, że wzeszło słońce, ale nic się nie zmieniło. Przed nią rozciągała się plaża, w tej chwili tworząca łuk wokół płytkiej zatoki. Imi spojrzała w dół i zrozumiała, że widzi pod sobą jasne piaszczyste dno. Popłynęła dalej.

Po chwili woda wokół zaczęła ją popychać i wciągać na przemian. Przetaczała się nad nią, zwijała się i pieniła. Imi słyszała kiedyś o przyboju, ale nigdy nie próbowała w nim pływać. Jakiś wodny tancerz kiedyś jej o tym opowiadał. Mówił, że jeśli się wie, jak to robić, można jechać na fali. Wpłynęła więc na szczyt najbliższej i spróbowała się z nią zabrać. Wiedziała, że się udało, kiedy poczuła, że siła fali porywa ją i pcha naprzód.

Jazda po falach była ekscytująca, ale szybko dobiegła końca. Imi poczuła piasek pod stopami i wstała. Obejrzała się i zastanowiła, czy nie wrócić, żeby przewieźć się na następnej fali.

Nie, muszę zacząć szukać Siyee, powiedziała sobie. Nie wiem, ile to zajmie czasu.

Wyszła z wody na piasek i ruszyła dalej, do granicy traw. Słońce ukazało się wreszcie w szczelinie między chmurami a horyzontem. Wspięła się na najbliższą wydmę i zobaczyła przed sobą kolejne, rozciągające się tak daleko, jak mogła sięgnąć wzrokiem.

Kupcy Elai, którzy opowiadali historie o latającym ludzie, mówili, że Siyee mieszkają w dziwnych domach, które przypominają na wpół zagrzebane w ziemi bąble. Wątpiła, czy ci kupcy wędrowali daleko od brzegu, miała więc nadzieję, że siedziby Siyee są widoczne z plaży. Ruszyła zatem za łukiem zatoki aż do skalistego cypla, a potem brzegiem następnej, większej zatoki. Po jakimś czasie poczuła pragnienie i napiła się z manierki, którą dostała od Imenji. Choć chmury przesłaniały słońce, a nad brzegiem unosił się wodny pył wzbijany falami przyboju, skóra Imi stała się w końcu nieprzyjemnie sucha. Dziewczynka wróciła do wody i popłynęła wzdłuż brzegu.

Mogę tak iść godzinami, zanim kogoś spotkam, myślała. Może lepiej będzie płynąć i wychodzić na brzeg pośrodku każdej zatoki, żeby się rozejrzeć za Siyee. W ten sposób nie będę wysychać, a za każdym razem mogę pojechać do brzegu na fali.

Przez kolejne godziny płynęła w zasięgu wzroku od brzegu. Ostrogi między sąsiednimi zatokami stawały się stopniowo coraz bardziej skaliste. Omijała je szerokim łukiem, widząc, jak fale rozbijają się o głazy. Wiedziała, że gdyby się zbliżyła, mogłyby i ją rzucić na ostre skały.

Poza tym kolejne zatoki prawie się nie różniły. Chmury wciąż zazdrośnie strzegły

słońca, ale czuła, że dzień zbliża się ku końcowi. Badając wzrokiem następne pasmo trawiastych wydm, westchnęła i pokręciła głową.

Wkrótce będę musiała zawrócić, uznała. Inaczej będzie za ciemno, gdy wrócę do miejsca, gdzie rozstałam się z Imenja.

Zmarszczyła czoło i nagle ogarnęła ją panika. W jaki sposób zdoła rozpoznać tamtą zatokę?

Wiatr szumiał i świszczał wokół niej. Uniosła głowę... i aż podskoczyła, widząc krążące w górze sylwetki.

Siyee!

Wyglądali dokładnie tak, jak opisywali ich kupcy. Choć niewielcy, jednak widziała, że obaj są dorosłymi mężczyznami. Jeden miał siwe włosy, drugi był młodszy. Z radością zamachała rękami w nadziei, że zinterpretują to jako przyjazny gest powitalny.

Zatoczyli krąg tuż nad nią i wylądowali na ławicy piasku. Wyprostowali się obaj i obserwowali ją czujnie, ale z zaciekawieniem.

- Witaj, morska panienko - odezwał się starszy, wolno dobierając słowa w języku Elai. - Jestem Tyrli, Mówca klanu Piasku. Moim towarzyszem jest mój wnuk Riz.

- Witaj, ludu nieba - odparła. - Wybaczcie, proszę, że wtargnęłam bez zaproszenia na wasze tereny. Jestem Yli, córka łowcy Sei.

Imenja ostrzegła ją, by się nie przyznawała, że jest księżniczką. Siyee nie pozwoliliby jej samotnie płynąć do domu. A gdyby nie mogła wrócić na statek, musiałaby czekać na przybycie następnej grupy kupców Elai. Być może i tak będzie zmuszona, jeśli Siyee nie potrafią wskazać, gdzie jest Borra, ale wolałaby przedstawić ojcu Imenję i Reivan.

- Nie mamy żadnych pretensji, morska panienko - uśmiechnął się mężczyzna. - Ale czy mogę spytać, w jaki sposób znalazłaś się tutaj samotnie?

Skłoniła głowę.

- Zgubiłam się - przyznała. - Wyłącznie z własnej winy. Wymknęłam się, kiedy starsi nie uważali, i złapali mnie piraci, ale uciekłam. Teraz okazało się, że nie znam drogi do domu. Nigdy nie oddalałam się tak bardzo, więc miałam nadzieję, że znajdę Siyee, którzy mnie tam skierują.

To była prawda - przynajmniej w ogólnych zarysach. Zauważyła współczucie na ich twarzach.

- Miałaś szczęście - stwierdził Tyrli. - Szczęście, że piraci cię nie zabili, i szczęście, że udało ci się uciec.

- Biali powinni coś z tym zrobić - stwierdził gniewnie młody człowiek.

- Miałaś też szczęście, że nas spotkałaś - ciągnął Tyrli. - Jesteśmy o kilka godzin lotu od naszej wioski. Patrolujemy wybrzeże, szukając pentadriańskich najeźdźców. Musiałabyś płynąć wiele dni, nimbyś dotarła do siedziby naszego klanu.

- Czy wiecie, gdzie leży Borra?

- Mogę ci z grubsza wskazać kierunek. Odetchnęła z ulgą.

- A więc rzeczywiście mam szczęście. Zaśmiał się.

- Na pewno jesteś głodna i zmęczona - rzekł. - Niedaleko stąd rozbiliśmy biwak. Chodź i zjedz z nami. Spędzisz noc bezpiecznie, a rano wyruszysz do domu.

- Bardzo bym chciała, ale muszę wracać...

Urwała, uświadamiając sobie, że nie może im przecież powiedzieć o statku Imenji. Nie przychodziło jej do głowy żadne uzasadnienie tego, że musi popłynąć z powrotem wzdłuż brzegu.

Siyee uśmiechnął się z sympatią.

- Nie możesz się doczekać, by wrócić do domu. To rozumiem. Ale będziesz jeszcze musiała płynąć przez wiele dni, a wkrótce zapadnie ciemność. Zostań dzisiaj z nami.

Może uda się jej wymknąć, kiedy już jej powiedzą, gdzie szukać domu... Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Tak zrobię. Dziękuję wam.

Skinął, by szła wraz z nim po piasku. Imi spojrzała jeszcze na morze i poczuła narastającą panikę.

Imenja będzie się martwić, jeśli nie wrócę do szalupy, myślała. Ale co mogę poradzić? Jeśli zacznę nalegać, żeby Tyrli już teraz pokazał mi drogę, zacznie coś podejrzewać.

Przygryzła wargę.

Ale jeśli nie stawię się na spotkanie z Imenją, może zejść na brzeg, żeby mnie szukać.

Tyrli poklepał ją po ramieniu.

- Nie martw się - powiedział. - Pomożemy ci wrócić do domu.

Zbliżając się do siedziby klanu Błękitnego Jeziora, Auraya zwolniła trochę. Jej gniew osłabł. Wszędzie widziała Siyee - we wsi, na polach i oczywiście w altanach, gdzie leczono chorych. Łatwo było sobie wyobrazić, jak byliby wystraszeni i zagubieni, gdyby zobaczyli atak Białej na tkacza snów, który im pomagał.

: *Huan,* odezwała się. Bogini towarzyszyła jej, choć milczała.

: *Jestem,* odpowiedziała. *Aha, widzę powód twojej troski. Lepiej będzie nie niepokoić Siyee. Znajdź jakiś sposób, by wywabić Mirara z wioski.*

Ulga Aurai nie trwała długo. Przecież Mirar nie opuści chorych Siyee, chyba że poda

mu jakiś ważny powód. Jeśli stanie przed nim, może wyczuć, że coś się nie zgadza. Lepiej poprosić kogoś innego, żeby przekazał mu wiadomość? Ale co ma powiedzieć?

Tylko tyle, że chcę się z nim spotkać na osobności, pomyślała. I słabo jej się zrobiło na myśl o tym, że potraktuje to jak zaproszenie do odnowienia romansu.

Owszem, wydaje się to nieuczciwe, uznała, ale takie też było oszukiwanie mnie i udawanie kogoś innego.

Na tę myśl znowu ogarnął ją gniew.

Skupiła się na umysłach pod sobą i odszukała Mówcę Dylli w jego altanie. Opadła na ziemię obok wejścia.

- Mówco Dylli! - zawołała.

- Auraya z Białych? - zapytał. Usłyszała, że podchodzi do otworu.

- Tak - odpowiedziała. Kotara odsunęła się na bok i Auraya się uśmiechnęła. - Czy możesz przekazać Wilarowi wiadomość ode mnie?

Przytaknął.

- Oczywiście. Ale nie mogę obiecać, kiedy do niego dotrze. Odszedł stąd kilka dni temu, żeby zbierać składniki swoich leków. Tyve został na miejscu. Może on ci pomoże?

- Nie.

Mirar odszedł... Zdała sobie sprawę z potężnej fali emocji i pojęła, że to ulga. Nie chcę go zabijać, uświadomiła sobie. Nawet jeśli na to zasługuje. Po prostu nie podoba mi się zabijanie. A może nie będę musiała? Wymknie się z Si i wtedy to Juran będzie musiał go wytropić.

Ale gdy tylko to pomyślała, zrozumiała, że nie uniknie tego zadania tak łatwo.

- Czy wiesz, w którą stronę zmierzał? - spytała. Dylli pokręcił głową.

- Nie mógł odejść daleko - uznała Auraya. - Będę musiała polatać trochę po okolicy, zanim go znajdę.

Mówca uśmiechnął się przyjaźnie.

- Powodzenia, Aurayo z Białych.

- Dziękuję.

Wzleciała prosto w niebo i spojrzała z góry na wioskę oraz otaczające ją pola, jeziora i lasy. Kiedy na polowaniu Siyee szukali zwierząt, zataczali coraz szersze kręgi. Spróbuje tej samej metody, równocześnie rozglądając się za myślami tych Wszystkich, którzy mogli zauważyć albo widzą teraz Mirara.

Poszukiwania dadzą jej czas do namysłu. Zastanowiła się, co mówiła Huan: bogini wykryła Mirara poprzez jego połączenie z Aurayą.

Dziwne, że mnie o tym nie uprzedziła, pomyślała. I zaskakujące, że Chaia nic o tym nie wspominał. Może nie chce psuć naszego związku informacją, że życzy sobie, bym zabiła dawnego kochanka.

Zastanowiła się, czemu zabójstwo Mirara budzi jej opór. Bo nie do końca pogodziłam się z faktem, że to nie Leiard, tłumaczyła sobie. To wszystko jest zbyt niewiarygodne. Tylko że nie mam czasu, żeby usiąść i się spokojnie zastanowić. Muszę wierzyć, że prawdą jest to, co mówi Huan. Może byłoby łatwiej, gdybym wiedziała, czemu Mirar to zrobił... Zastanawiam się, czy udałoby się go skłonić do wyjawienia planów...

: *Byłabyś nierozsądna, wierząc w cokolwiek, co ci powie,* ostrzegła Huan. *Prawdziwy złoczyńca nie przechwala się swymi czynami i planami, chyba że chce kogoś oszukać. Pogódź się z tym, że pewne pytania nie doczekają się odpowiedzi.*

Auraya westchnęła ciężko.

Dlaczego ja? pytała samą siebie. Dlaczego mnie sobie wybrał? Innych Białych nie zdołałby tak łatwo oszukać. Jestem głupia.

: *Nie, Aurayo. Nie wybieramy głupców, by nas reprezentowali. Jeśli my nie zdołaliśmy przejrzeć jego manewru, trudno oczekiwać tego od ciebie. Dlatego właśnie musi umrzeć. Jego zdolności i jego nienawiść do nas czynią go niebezpiecznym dla śmiertelników.*

Auraya skrzywiła się. Wśród jego zdolności był też ten niezwykły Dar uzdrawiania - Dar, którego ją nauczył, którym ocalił setki Siyee. Dlaczego to zrobił? Czy tkwiła w tym ukryta pułapka, która mogłaby zaszkodzić jej albo jej pacjentom? Samo nauczanie doprowadziło do jego zdemaskowania. Czy wiedział, na co się naraża?

Jej uwagę zwrócił jakiś ruch poniżej koron drzew... Zwolniła i poczuła zimny dreszcz na karku - dostrzegła szatę tkacza snów. Mirar szedł wzdłuż koryta wąskiego strumyka, płynącego dnem wąwozu. Niósł swoją torbę i zwój liny.

Serce zaczęło jej bić jak oszalałe.

: *Nie obawiaj się,* rzekła Huan. *Uczyniliśmy cię dostatecznie silną, byś mogła pokonać Dzikich.*

: *W to nie wątpię.*

: *A jednak odczuwasz lęk. On może cię skrzywdzić tylko słowami. Pamiętaj o jego podstępach. Ucisz na zawsze jego kłamstwa.*

Auraya nabrała tchu. Przywołała cały swój gniew i determinację.

To nie jest Leiard. To Mirar.

A potem kolejna myśl wpadła jej do głowy: tkacze snów nie zasługują na to, by taki człowiek niszczył im przyszłość i reputację.

Przebiła baldachim liści i wylądowała kilka kroków przed nim. Szeroko otworzył oczy.

- Auraya... - powiedział.

I się uśmiechnął. Był to taki swobodny, znajomy uśmiech... Gdzieś z głębi wydobył się cały gniew i pojawiło się oburzenie, które powinna odczuwać. Utwierdziły ją w decyzji.

- Mirarze... - odpowiedziała chłodno.

Kiedy w jego oczach błysnęło zrozumienie, poczuła, jak rozwiewają się resztki nadziei, że Huan się myliła. Jego uśmiech zniknął. Patrzyli na siebie przez chwilę.

- A więc wiesz - stwierdził.

- Tak. Nie zaprzeczasz?

- A co by mi z tego przyszło?

- Nic. Huan odkryła, kim jesteś, podczas tej lekcji uzdrawiania.

- Och... - Skrzywił się.

Nagle ogarnęło ją poczucie pustki. Miała nadzieję, że bogowie się mylą, że Leiard poda jakieś rozsądne wytłumaczenie i udowodni, że nie jest Mirarem. Ale on praktycznie się przyznał. Nie był Leiardem. Ten, którego kochała, istniał tylko jako iluzja... Był kłamstwem.

Ku jej zaskoczeniu, ta myśl wywołała ulgę. Nie znała tego człowieka. Był jedynie kłamcą z legend, człowiekiem, którego świat zdołał się kiedyś pozbyć i powinien pozbyć się znowu.

Mogę go zabić, powiedziała sobie. Ale zamiast ściągać magię do zadania ciosu, zadała dręczące ją pytanie.

- Dlaczego to zrobiłeś? Uniósł głowę.

- Nie uwierzyłabyś, gdybym ci powiedział. Wyzwanie w jego oczach było ostrzeżeniem.

- Nie, ponieważ w żaden sposób nie mogę wiedzieć, czy to, co mówisz, jest prawdą.

Huan ma rację. Moje pytanie musi pozostać bez odpowiedzi. ..

W tym momencie chciała już tylko skończyć to spotkanie.

: *Słusznie,* pochwaliła ją bogini. *Dalsza rozmowa da mu tylko okazję do kolejnych kłamstw. Atakuj natychmiast.*

Auraya spuściła wzrok, gromadząc w sobie magię. Jednocześnie zastanawiała się, jak uderzyć. Na pewno wzniesie tarczę, ale może nie dość mocną, by wytrzymać atak wielkiej energii. Jeśli nie zdąży wzmocnić swojej osłony, starcie może się zakończyć w jednej chwili.

Usłyszała, że podchodzi do niej...

- Jest sposób, byś była pewna... - zaczął.

Nie patrząc, wypuściła strumień magii. Jęknął zaskoczony i zatoczył się do tyłu. Tarcza wytrzymała.

- Czekaj! - zawołał, odzyskując równowagę. - Aurayo! Zaatakowała ponownie. Choć wiedziała, kim jest naprawdę, jednak była zaskoczona jego siłą. Wiedziała, że Leiard jest potężny... ale nie aż tak.

- Co z twoją obietnicą? - zawołał. - Mówiłaś, że nie spotka mnie krzywda! Przysięgałaś na bogów!

Przerwała na chwilę, po czym znowu uderzyła.

- Przysięgałam, że krzywda nie spotka Leiarda! Ty nie jesteś Leiardem!

Nie próbował podejmować walki. Musi wiedzieć, że nie ma żadnej szansy... Muszę tylko zwiększać moc moich ataków, aż go pokonam.

Kiedy sięgnęła po kolejne rezerwy magii, dostrzegła wyraz determinacji na jego twarzy i przygotowała się na kontratak.

- Ale ja jestem Leiardem - oświadczył spokojnie. - Czas już, żebyś poznała prawdę.

I tam, gdzie nie było nic, nagle pojawił się umysł. Zobaczyła rzekę wspomnień i obrazów, wyczula zamiary i emocje.

: *Nie!* syknęła Huan. *Nie patrz!*

Ale było za późno. Odpowiedzi na wszystkie pytania Aurai czekały, by je odczytała. Myślowy głos Mirara mówił do niej, a ona nie umiała powstrzymać się od słuchania.

: *Tak zginąłem...*

Zobaczyła walczącego Jurana, poczuła niedowierzanie i rozczarowanie Mirara, kiedy zawiodła go moc. Wspomniał wszystko, co robił, i nie rozumiał, by cokolwiek z tego usprawiedliwiało egzekucję. Jego jedyną zbrodnią było irytowanie bogów. Nikt nie zginął. Nikt nie doznał krzywdy. Zachęcał tylko ludzi, by stawiali pytania. Dawał im wybór. A w zamian...

Zobaczyła eksplozję pyłu i kamieni, poczuła echo cierpień zgniatanego pod gruzami człowieka. Zrozumiała, że Mirar sięgnął po tyle magii, by podtrzymywała fragment jego jaźni, że zdołał się wymknąć bogom i Juranowi, tłumiąc swoją osobowość i tworząc inną, która przesłoniła tamtą.

: *Tym się stałem.*

Nie tym człowiekiem, którego znała jako Leiarda. Nie od początku. Ciało miał połamane i poranione, utracił pamięć, wędrował po świecie jako żałosny kaleka. Dopiero po wielu latach ciało odzyskało siły. I dopiero kiedy wrócił do Jarime i stał się doradcą Białych, jego prawdziwa tożsamość zaczęła się budzić.

: *Oto dlaczego sobie przypomniałem.*

Jego kamuflaż rozpadł się z jej powodu. Instynkty, stworzone kiedy powstawał Leiard, kazały mu trzymać się z dała od Jarime, ale silniejsze było pragnienie, by znaleźć się blisko niej. Poczuła ukłucie bólu w sercu. A więc nie została oszukana. Leiard naprawdę ją kochał. Ale Leiard nie był prawdziwy.

: *Był. A tak stałem się tym, kim jestem.*

Zobaczyła to, co przedtem widziała jedynie przelotnie. Wspomnienia łącza Mirara były w rzeczywistości jego prawdziwą i powracającą jaźnią, ale Leiard przez całe stulecie stawał się prawdziwą osobą. Po bitwie wyruszył do Si z przyjaciółką. Auraya poczuła zazdrość, widząc tę piękną młodą kobietę.

Kim ona jest?

Ta przyjaciółka pomogła mu zrozumieć, że Leiard nie może być nikim, kim Mirar nie mógłby się stać. Moment zrozumienia, że jeśli Leiard kochał Aurayę, to on także ją kocha, był tym, kiedy znowu stał się jednością. Bolała go świadomość, że nie może z nią być, ale też myśl, że mógłby jej zaszkodzić; postanowił więc opuścić Ithanię Północną, kiedy tylko Siyee wyzdrowieją. Wolał usunąć się jej z drogi.

: *Jestem Leiardem,* oświadczył. *I jestem też Mirarem. Żaden z nas nie jest taki, jak przedtem. Ale to, czym jesteśmy...*

: *Nie!*

Auraya drgnęła, gdy słowa Mirara zagłuszył myślowy krzyk Huan. Jaśniejąca postać pojawiła się nagle tuż przy niej.

: *Kimkolwiek się stałeś przez ostatnie stulecie, nie jesteś mniej winny swoich wcześniejszych zbrodni.*

: *Jakich zbrodni?* zapytał wyzywająco. *Że byłem irytujący? Dawałem ludziom inną możliwość, niż ślepe oddawanie wam czci? Mówiłem prawdę o waszej przeszłości? Ty i twoi towarzysze popełnialiście o wiele gorsze zbrodnie.*

Auraya zmarszczyła brwi, widząc w umyśle Mirara przerażające wspomnienia. Spojrzał na nią i postarał się zepchnąć je w głąb.

: *Pokazałbym ci,* powiedział, *ale byłoby to dla ciebie bardzo bolesne.*

Jednak z tego, co zdążyła zauważyć, zrozumiała, że jego zdaniem bogowie byli zdolni do okrucieństwa i niesprawiedliwości. Wierzył też, że nie zrobił nic, czym zasługiwałby na śmierć.

Wiedziała również, że nic złego nie zrobił ani jej, ani innym Białym, czy to ze złośliwości, czy we wrogich zamiarach. Kręcił się w pobliżu, zmagał się z powrotem własnej tożsamości, wplątał się w kłopoty.

: *Aurayo.*

Zwróciła się do bogini, wciąż oszołomiona tym, czego się dowiedziała.

: *Czyż nie jest zbrodnią odmawianie duszy nieśmiertelności? Mirar twierdzi, że dawał ludziom wybór, ale nie może im obiecać istnienia po śmierci. Namawianie śmiertelnika, by się od nas odwrócił, to okradanie go z wieczności. Wiesz o tym.*

Mirar pokręcił głową.

: *Niektórzy wolą to, niż wieczność w łańcuchach u waszego boku. Może i nie potrafię zachować ich dusz, ale też nie chcę tego wykorzystywać jako nagrody ani kary. Może rzeczywiście powinienem pokazać Aurai niektóre z waszych wyczynów...*

: *Mówisz o tym, co robiłam w dalekiej przeszłości. Era Wielu skończyła się dawno temu,* oświadczyła Huan, dumnie podnosząc głowę. *Wybryki tamtych czasów zostały zapomniane. Nawet ty musisz przyznać, że my, Krąg, stworzyliśmy w ostatnim stuleciu świat pokoju i dobrobytu.*

Mirar zastanawiał się przez moment.

Stworzyliście, przyznał. *Ale jeśli wasza przeszłość może być zapomniana, to czemu nie moja?*

Auraya poczuła, że usta rozciągają się jej w uśmiechu. To był celny argument.

Lśniąca postać Huan rozjarzyła się gwałtownie.

: *Ponieważ nadal pracujesz przeciwko nam, nieśmiertelny! Patrz tylko, Aurayo, jak nasze własne słowa obraca przeciw nam!* Odwróciła się i ruszyła w stronę Białej. *Omamił cię pokrętnymi prawdami i ukrytymi kłamstwami! Przekaż mi swoją wolę.*

Aurai zamarło serce. Przekazać wolę... Czy Huan zamierzała ją opanować? Cofnęła się o krok, a bogini zbliżała się coraz bardziej. Ale zamiast się z nią zderzyć, lśniąca figura przeniknęła ciało. Aurayę otoczyło światło.

: *Przekaż mi wolę,* rozkazała Huan.

Mirar wpatrywał się w nią. Po jego twarzy przebiegały kolejne emocje: najpierw groza, potem strach, w końcu rezygnacja.

Muszę robić, co mi każe, powiedziała do siebie. Muszę.

Tak łatwo byłoby zrzucić odpowiedzialność za śmierć Mirara na boginię. To nieważne, że zabicie go jest... jest...

Niesłuszne. Niesprawiedliwe. Popełniał czyny, których nie pochwalała, ale żaden nie zasługiwał na karę śmierci. Cyrklianie nie zabijali ludzi bez ważnej przyczyny - przynajmniej nie tych przestrzegających prawa. Istniały przecież mniejsze kary za drobniejsze przestępstwa. Więzienie. Wygnanie.

: *Bądź mi posłuszna, Aurayo.*

Zasłoniła twarz dłońmi i jęknęła.

: *Nie mogę. To byłoby wbrew prawom, które nam daliście, których nakazaliście nam przestrzegać i które kazaliście doskonalić. Zabójstwo bez przyczyny to morderstwo. Nie mogę zabić Mirara. Nie mogę pozwolić, by został zamordowany.*

Czekała na odpowiedź Huan, ale ta nie nadeszła.

- Aurayo?

Odsunęła dłonie od twarzy i spojrzała na stojącego przed sobą mężczyznę. Leiard czy Mirar sprowadził na nią więcej kłopotów niż ktokolwiek inny na świecie. Chciała, żeby zniknął.

- Odejdź - usłyszała własny głos. - Opuść Ithanię Północną, zanim zmienię zdanie... I nigdy nie wracaj.

Aurayo! zahuczał głos Huan. *Nie sprzeciwiaj mi się!*

Mirar odchodził szybko, rozchlapując butami wodę, a ona poczuła, że uginają się pod nią kolana. Osunęła się na ziemię. Czuła słabość i smutek, a jednocześnie jakąś gorzką i niepokojącą satysfakcję.

Jeśli właśnie podjęłam słuszną i sprawiedliwą decyzję, to czemu tak źle się z tym czuję?

Pokręciła głową.

Ponieważ sprzeciwiłam się jednej z bogiń i przez chwilę byłam z tego dumna.

A Huan nie mogła tego nie zauważyć.

38

Rodzina Drayli miała tyle bagażu, że Emerahl zaczęła podejrzewać, iż zabrali ze sobą wszystko, co posiadali - z wyjątkiem samego domu. Byli załamani, kiedy się dowiedzieli, że muszą sprzedać albo wyrzucić co najmniej połowę.

- Moja łódź jest mała - przypomniała im. - Jeśli zapakujemy to wszystko, nie tylko braknie dla was miejsca, ale też łódka zanurzy się tak głęboko, że najmniejsza fala ją zaleje. Wtedy stracicie wszystko. Umiecie pływać? Nie pomyślałam, żeby o to zapytać... aż do teraz.

Shalina pobladła, co zdradziło Emerahl, że pytanie wywarło zamierzony efekt.

- To tylko rzeczy - odezwał się cicho Tarsheni. - Przedmioty. Nie możemy pozwolić, by zwykłe przedmioty stanęły nam na drodze poszukiwań prawdziwego bóstwa.

Sortowanie majątku trwało irytująco długo. Potem Emerahl musiała im towarzyszyć na targu i pilnować sprzedaży części uznanej za zbędną. Ich przyjazna naiwność i wielkoduszność wynagradzały jej oczekiwanie, że będzie im pomagać we wszystkich sprawach. Kiedy popołudnie zmieniało się w wieczór, Tarsheni uparł się, że zapłaci za jej posiłek i pokój w zajeździe. Nie chcieli poszukiwać tunelu po ciemku w obawie, że dzieci będą się bały.

Teraz, gdy patrzyła, jak ostrożnie wsiadają do łodzi, zaczęła się martwić, jak sobie poradzą w morskiej podróży.

Wyczuwała determinację i podniecenie obojga dorosłych, a także zaciekawienie ich syna. Niemowlę było na szczęście nieświadome przygód, po jakie wyruszają jego rodzice. Oglądali się na inne jednostki, kiedy Emerahl sprawnie wyprowadziła łódź z portu.

Pochyliła się i podała Shalinie niedużą butelkę.

- Co to takiego? - zdziwiła się kobieta.

- Na chorobę morską - wyjaśniła Emerahl. - Pełna łyżeczka dla dorosłego i jedna trzecia dla chłopca. Dziecku podaj kroplę zmieszaną z wodą i daj znać, gdyby zaczęło się czerwienić.

- Wcale nie czuję się chory - oświadczył Tarsheni. - Lekarstwo nie jest mi chyba potrzebne.

- Będzie ci potrzebne, kiedy znajdziemy się na falach. Lek potrzebuje trochę czasu, żeby zadziałać, i nie jest tak skuteczny, kiedy już człowiek zacznie chorować. Dlatego lepiej wziąć od razu.

Posłuchali jej. Kiedy minęła ostatnie pomosty, skierowała łódź równolegle do

Przesmyku. Chłopiec zadał rodzicom serię pytań o sprawy związane z morzem. Emerahl tłumiła uśmiech, słysząc niektóre odpowiedzi.

- W jaki sposób się poruszamy? - zapytał nagle Tarsheni. - Żagiel jest zwinięty, a nie wiosłujesz.

- Magia - wyjaśniła Emerahl. Uniósł brwi.

- Użyteczny Dar dla żeglarza.

- O tak. - Roześmiała się. - Człowiek zwykle ćwiczy te z nich, które przydają się w jego fachu. Ty masz jakieś?

Wzruszył ramionami.

- Kilka. Jestem skrybą, jak wszyscy moi przodkowie. Przekazujemy z ojca na syna Dary pozwalające przygotować pergamin i tusz, narzędzia do ostrzenia, oraz takie, które pomagają się bronić.

- Bronić?

- Czasami te listy, które dostarczamy, nie są dobrze przyjmowane, choć przecież to nie my je dyktujemy.

Emerahl parsknęła śmiechem.

- Rzeczywiście. Wyobrażam sobie, że takie rzeczy czasem się zdarzają.

- Mam nadzieję, że spiszę słowa Mędrca z Karienne.

- Wydaje się, że już teraz sporo o nim wiesz - zauważyła. Jego spokojny entuzjazm zrobił wrażenie na wielu gościach zajazdu. Emerahl oczekiwała niemal, że rankiem zobaczy rząd łódek, podążających za nią do tunelu.

- Tylko to, co opowiedzieli mi inni, którzy go słuchali - przyznał. - Czasami to, co mówią, jest ze sobą sprzeczne. Jeśli zapisze się jego słowa, nikt nie zmieni ich znaczenia.

- W teorii. Inni mogą później przerobić twoją pracę. Z westchnieniem pokiwał głową.

- To możliwe. Gdyby istniał Dar, którego mógłbym użyć, by temu zapobiec, poświęciłbym życie, by go opanować.

- Mówiłeś wczoraj, że ten jeden bóg stworzył świat, bogów, wszystkie istoty i każdego człowieka. Jeśli stworzył ludzi, a oni zdolni są do okrucieństwa i morderstw, to albo tak to zaplanował, albo popełnił błąd.

Tarsheni wzruszył ramionami.

- To kwestia, o którą zamierzam spytać Mędrca.

- Bo jeśli to nie pomyłka, to chyba mi się nie podoba ten... Jak myślisz, czy to już tunel?

Emerahl poczuła, że łódź przechyla się lekko, kiedy oboje spojrzeli we wskazanym

kierunku. Zobaczyła rozpadlinę w stromym zboczu Przesmyku przed sobą. Kiedy się zbliżyli, dostrzegła też prowadzącą w głąb ścieżkę.

- Na to wygląda - zgodził się Tarsheni.

- Tak. Nie, nie pokazuj jej jeszcze - upomniała go Emerahl, kiedy sięgnął po sakiewkę. - Najpierw się przekonajmy, co tam znajdziemy.

Spojrzał nerwowo na tunel.

- Myślisz, że to pułapka?

- Wolę zachować ostrożność.

Szczelina rozszerzała się, a kiedy do niej wpłynęli, zobaczyli rzędy lamp na obu ścianach i półokrąg świateł przed sobą. Ściany podparte były ceglanym murem, który wyglądał, jakby był niedawno naprawiany. Mniej więcej w środku, według oceny Emerahl, drogę zagradzała duża metalowa krata. Ścieżka zmieniła się w wąską półkę, biegnącą wzdłuż ściany tunelu.

Widziała z przodu jakieś postacie i wyczuła ich zaciekawienie, kiedy zauważyły wpływającą łódź. Dreszcz przebiegł jej po skórze, kiedy to zaciekawienie zmieniło się w niecierpliwość i chciwość.

- Jak się dowiedziałeś o tym tunelu, Tarsheni?

- Jakiś człowiek nam powiedział. Mówił, że może nas zabrać na drugą stronę, jeśli zapłacimy za rejs przez tunel.

- Dlaczego się nie zgodziłeś?

- Nie spodobał się nam.

- Hm... Wydaje mi się, że powinien tu być większy ruch, jeśli utrzymywanie go i obsadzenie ma przynosić zyski.

- Może jest jeszcze za wcześnie. - Hm...

Zastanowiła się, kto jeszcze może korzystać z tunelu. Byłby użyteczny dla rybaków, gdyby nie to, że był za niski i nadawał się tylko dla niedużych łodzi. Jedynie tacy wędrowcy jak ona, samotni albo z kilkoma pasażerami, szukaliby tej drogi.

- Co jeszcze mówił o tunelu? Tarsheni wzruszył ramionami.

- Że kiedyś było wiele tuneli przez Przesmyk, większość wykuli przemytnicy, ale ludzie zaczęli się obawiać, że się zawalą i wtedy morze zmyje Przesmyk. Zasypali je.

Emerahl pomyślała o ceglanych ścianach przy wejściu. Może ten tunel był kiedyś zablokowany i dopiero niedawno otworzono go ponownie?

- Nie wspominał, czy ktoś protestował przeciwko otwarciu tego tunelu?

- Nie. - Tarsheni zastanowił się. - Ale chyba się nie zawali, prawda?

Spojrzała na łuk sklepienia.

- Wygląda całkiem solidnie.

Kiedy zbliżyli się do bramy, zauważyła na półce czterech mężczyzn. Ich miny wyrażały tę samą chciwość, jaka wylewała się z ich umysłów. Emerahl przyciągnęła nieco magii i stworzyła ochronną zasłonę wokół łodzi.

Zatrzymali się przed bramą. Kolejno spojrzała mężczyznom prosto w oczy.

- Witajcie, odźwierni. Moi pasażerowie i ja chcemy wykupić przejazd.

Potężny, bezzębny mężczyzna zatknął kciuki za pas i uśmiechnął się szeroko.

- Witoj, panienko. To fojo łódka? - Tak.

- Nie tak czynszto momy tu kobity - żeglarzy. Pozostali zbliżyli się, spoglądając z góry na pasażerów i ich majątek. Jeden próbował już zejść z półki na pokład, ale uderzył kolanem o zasłonę. Zaklął z bólu i zatoczył się do tyłu.

- Nikomu nie pozwalam wejść na pokład bez zaproszenia - oświadczyła, zwracając się do bezzębnego.

Zmrużył oczy.

- To lepij nasz zaprosz, bo sze nie popłyniesz.

- Nie musicie wchodzić do łodzi - odparła stanowczo.

- To sze fracajcie. A Dary to ten Ameri tysz mo. Wskazał jednego z ludzi - chudego młodego człowieka o ponurej twarzy. Z demonstracyjną grzecznością skinęła mu głową, po czym zwróciła się znowu do bezzębnego.

- A może obniżycie cenę do dziesięciu canarów, a ja za to pozostawię bramę nietkniętą?

Uświadomiła sobie, że ma nadzieję na odmowę. Ci ludzie pewnie przy każdej okazji napadali na podróżnych. Nie mogła całkowicie zlikwidować tego procederu, nie odkładając swej podróży, ale miło byłoby popsuć im ten ich sprytny plan - przynajmniej na jakiś czas.

Mężczyzna ponownie zmrużył oczy.

- Ameri - powiedział, nie odrywając wzroku od Emerahl. - Frób, żeby fpółpraczowali...

Chudy mężczyzna wyciągnął rękę, wykonując dramatyczny i śmieszny gest. Magia rozprysnęła się na osłonie. Był silniejszy niż przeciętny człowiek, a jego atak poraniłby, a nawet zabił większość wędrowców. Przyjrzała mu się niechętnie. Sytuacja przestała ją bawić.

Kiedy skończył atak, uderzyła w niego i jego kolegów z siłą, która cisnęła ich na skałę i przytrzymała. Odwróciła się w stronę bramy i posłała w nią falę żaru. Po chwili krata zaczęła topnieć i się odkształcać. Krople płynnego metalu spadały do wody, a tunel wypełnił

się gorącą parą. Osłona chroniła łódź, ale mężczyźni zaczęli wrzeszczeć. Wypuściła ich więc i pozwoliła uciec ku wyjściu z tunelu.

W końcu brama zapadła się pod wodę. Emerahl pchnęła łódź naprzód, uważając, by nie zaczepić o rozżarzone ściany. Dopiero na drugim końcu odetchnęła i obejrzała się na swoich pasażerów.

Wpatrywali się w nią z podziwem.

Wzruszyła ramionami.

- Mówiłam, że nie należy lekceważyć moich Darów. I niespecjalnie lubię złodziei.

Auraya przechodziła od hamaka do hamaka, od nowa badając Siyee. Dwójka skutecznie zwalczała sercożera, kolejna dwójka stawiała opór. Nie chciała stosować na nich Daru uzdrawiania Mirara, dopóki nie będzie pewna, że sami sobie nie poradzą.

Nazywam to teraz „Darem uzdrawiania Mirara", pomyślała. Nie Leiarda. Przypuszczam, że Mirar używał go od setek, może tysięcy lat. Do niego należy przede wszystkim.

Tyve przyglądał się jej, a jego myśli wypełniała ciekawość i niepokój. Auraya nie mogła usiedzieć na miejscu. Wciąż przechodziła od altany do altany, szukając jakiegoś zajęcia, by nie rozmyślać bez przerwy o tym, co uczyniła.

Nie wykonałam rozkazu Huan. Nie byłam posłuszna bogom, którym przysięgałam służyć.

Alternatywą było zabicie człowieka, który nie zasługiwał na śmierć. Ale to nie powinno mieć znaczenia. Powinna uwierzyć, że bogowie mają powody, by życzyć sobie jego śmierci. Juran uwierzył wiele lat temu.

Ale zamiast ją uspokoić, ta myśl przyniosła poczucie zagubienia.

Nie mogę uwierzyć, że Juran próbował zabić Mirara, nie mając pewności, że to słuszne.

Wiedziała, że jego obowiązkiem było wypełniać rozkazy bogów, ale przekonała się, że czyniąc to, stracił w jej oczach. Ciekawe, czy wie, co się stało...

Jedna z Siyee zbudziła się i poprosiła o wodę. Tyve nie drgnął nawet, gdy podbiegła, niosąc naczynie. Kiedy przysunęła je chorej do ust, ogarnęło ją straszne uczucie trwogi. Zamarła.

Znajoma obecność zbliżała się szybko. Auraya odetchnęła z ulgą, kiedy rozpoznała Chaię.

: *Aurayo,* powiedział.

: *Chaia!*

: *Chyba nie muszę ci mówić, że wpadłaś w kłopoty,* rzekł swobodnym tonem, choć wyczuwała głęboką troskę.

: *Nie,* przyznała.

Ktoś dotknął jej dłoni. Drgnęła, uniosła wzrok i zobaczyła, że obok stoi Tyve. Odebrał jej naczynie z wodą i gestem kazał się odsunąć. Auraya przeszła do wyjścia z altany.

: *Dlaczego to zrobiłam?* spytała. *A raczej: dlaczego tego nie zrobiłam?*

: *Bo masz sumienie. Chcesz wiedzieć, że twoje działania są słuszne. Dla ciebie sprawiedliwość i słuszność znaczą więcej niż posłuszeństwo. To ta cecha twojej natury, która mi się podoba. Niestety, inni nie podzielają moich poglądów.*

: *Wszyscy inni czy tylko Huan?*

: *Różnimy się w opiniach, ale decyzje podejmujemy wspólnie, Aurayo. Nie do ciebie należy wiedza o naszych indywidualnych przekonaniach.*

Wyszła na zewnątrz. Słońce świeciło zbyt jasno, więc skierowała się do cienia.

: *Ty i inni bogowie musieliście wiedzieć, że jest to częścią mojej natury. Dlaczego wybraliście mnie na Białą?*

: *Ponieważ Biali nie mogą być tacy sami. Każde z was ma swoje silne i słabe strony. Kiedy działacie wspólnie, słabości są niwelowane, silne punkty wzmacniane. Twoja słabość - współczucie - jest też twoją siłą. Przywódca, który potrafi zabijać bez wahania, raczej nie okaże empatii i współczucia, koniecznych przy negocjowaniu wzajemnie korzystnych sojuszy i pomaganiu innym w rozwiązywaniu kwestii spornych.*

: *Więc czemu właśnie mnie Huan wybrała do tego zadania?*

: *Obawiam się, że byłaś niewłaściwą Białą w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. To nie ty powinnaś dokonać egzekucji Mirara - nie tylko dlatego, że kochałaś kiedyś jego cząstkę.*

Auraya poczuła, że budzi się w niej iskierka nadziei.

: *Czy więc mi wybaczono?*

: *Niezupełnie,* odparł Chaia. *Niektórzy z nas uważają, że Biali muszą być posłuszni, niezależnie od tego, co leży w ich naturze. Jeśli Biali mają różne charaktery, to czasami muszą się ze sobą nie zgadzać. I kiedy zdarzy się konflikt, u nas powinni szukać rozwiązania. Mają być nam posłuszni, gdyż inaczej ich jedność legnie w gruzach.*

Ścisnęło ją w żołądku.

: *Huan nadal chce, żebym zamordowała Mirara.*

: *Nie zamordowała, ale wykonała egzekucję.*

Kiedy zgasła nadzieja, ze zdziwieniem poczuła, że budzi się gniew.

: *A jeśli znowu odmówię?* spytała odruchowo.

: *Zostaniesz ukarana. Nie mam pojęcia jak. Wiele czasu zajęło mi przekonanie pozostałych, by dali ci drugą szansę. Nalegałem też, byś dostała jeden dzień, by przemyśleć zadanie oraz konsekwencje odmowy i nieposłuszeństwa. Rozważ więc: czasami stajemy wobec problemu, którego wszystkie rozwiązania są przykre, gdzie należy wybrać najmniej szkodliwe. Zastanów się, jakie rozwiązanie będzie najmniej szkodliwe dla ludzi, których przysięgałaś chronić.*

: *Mirar nie miał zamiaru działać przeciwko nam.*

: *Nie? Teraz może rzeczywiście, ale to nie znaczy, że nie spróbuje w przyszłości. Jest potężny i sprytny - wiesz o tym. Nienawidzi nas - o tym wiesz także. Czy zaryzykujesz, że kiedy pojawi się sposobność, by nam zaszkodzić, nie wykorzysta jej?*

Auraya pokręciła głową.

: *Pomyśl, co może się zdarzyć, jeśli postanowi wrócić do swej roli przywódcy tkaczy snów,* przekonywał Chaia. *Może na nich wpływać i poprzez sny kierować nimi, nawet z innego kraju.*

Westchnęła ciężko. Nawet wygnanie nie było rozsądnym wyjściem.

: *Rozważ także możliwość, że możesz nadal kochać Leiarda.*

: *Nie kocham go,* zapewniła.

: *Wiem, co masz w sercu, Aurayo. Wiem, że wciąż jest tam pociąg i afekt, niezakończone i chaotyczne. Postara się utrzymać w tobie to przywiązanie do siebie, nie tylko dlatego że wciąż coś do ciebie czuje, ale też dlatego że nie skrzywdzisz go, dopóki nie jesteś pewna swoich uczuć. Dopóki te więzy nie znikną, nie będziesz mogła pokochać nikogo innego.*

Auraya objęła się ramionami. Była załamana. Chora. Rozdarta.

: *Nie mogę cię pocieszyć, Aurayo, choćbym chciał,* rzekł z żalem Chaia. *Nie mogę okazać uczuć ani bronić cię przed koszmarami, bo inni pomyślą, że wynagradzam cię za nieposłuszeństwo. Zgodzili się, żebym z tobą porozmawiał, ponieważ znasz mnie najlepiej. I proszę cię jako twój przyjaciel i kochanek: zrób to, czego żąda Huan.*

Odpłynął. Przez długi czas siedziała i myślała o tym, co powiedział. A potem wstała i wróciła do altany. Musiała się zastanowić, ale jeszcze bardziej musiała pomóc Siyee.

39

Mirar przyciągnął magię i rozgrzał powietrze wokół siebie. Przez te miesiące, kiedy walczył z zarazą w Si, nie zwracał uwagi na to, że mija lato i nadchodzi jesień. Teraz czuł już zbliżającą się zimę - zwłaszcza w te ostatnie godziny przed świtem. Oparł się o drzewo i przymknął oczy.

Wprawdzie wędrował przez cały dzień i większą część nocy, ale zatrzymał się teraz nie po to, by odpocząć czy się zdrzemnąć. Oczyścił umysł i wprowadził się w senny trans.

: *Emerahl?*

Odkąd się rozstali, co kilka dni nawiązywali senne połączenia. Ostatnio zrobiła się tajemnicza, nie chciała mówić o miejscu pobytu i celu podróży. Oznaczało to - miał nadzieję - że odniosła pewne sukcesy w poszukiwaniu innych nieśmiertelnych, ale jeszcze nie mogła mu o tym powiedzieć.

: *Mirar?* odpowiedziała.

: *Co słychać u mojej wędrownej przyjaciółki?*

: *To samo co poprzednio. Długa żegluga, potem żegluga i jeszcze trochę żeglugi na dodatek.*

: *Czyżbyśmy się nudzili?*

: *Nie. Mam interesujących pasażerów, którzy płacą za rejs. A u ciebie?*

: *Życie stało się właśnie o wiele ciekawsze,* powiedział. *Bogowie wiedzą, kim jestem.*

: *Co? Skąd?*

: *Nauczyłem Aurayę uzdrawiania. Bogowie musieli mnie obserwować.*

: *Idiota.*

: *Owszem. Rozczarowałaś się mną?*

Milczała przez chwilę.

: *Nie, nie jestem zaskoczona. Powinieneś był odejść, kiedy tylko się pojawiła, ale zrobiłeś to. Wiem, że zostałeś z powodu Siyee i pewnie uczyłeś ją także dla ich dobra.*

: *To prawda.*

: *I podejrzewam, że to nie jedyny powód, że odrzuciłeś wszelką troskę o własne bezpieczeństwo. A jak Auraya przyjęła te wieści?*

: *Próbowała mnie zabić.*

: *Och...* Milczała przez chwilę. *Czyli była skłonna złamać swoją obietnicę.*

Jak stwierdziła, obietnicę składała Leiardowi.

: *No tak... Ale najwyraźniej nie udało jej się. Dlaczego nie?*

: *Ponieważ otworzyłem przed nią umysł i pokazałem jej prawdę.*

: *I to ją przekonało? Ciekawe. Sądzisz, że zabicie ciebie to był jej własny pomysł czy bogów?*

: *Bogów. Huan pojawiła się osobiście i nakazała jej to zrobić.*

: *Auraya nie posłuchała?*

: *Właśnie.*

: *To jeszcze ciekawsze. Czyli nauczyła się?*

: *Nauczyła się czego?*

: *Uzdrawiania?*

: *Tak.*

: *Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza.*

: *Ze jest dostatecznie Obdarzona, by stać się nieśmiertelna. Ale ona już jest nieśmiertelna, Emerahl.*

: *Tak, ale istotne jest to, że może taka być nawet bez boskiej interwencji. Jest Dziką. Co to dla niej oznacza, zależy od powodów, dla których nas prześladuję. Jeśli to czysta nienawiść do wszystkich Dzikich, to ją zabiją.*

Mirar zmartwiał. Czyżby skazał Aurayę na śmierć, jedynie ucząc ją, jak może uzdrawiać chorych?

: *Jest coś jeszcze, o czym muszę ci powiedzieć. Bogowie mogli zobaczyć więcej, niż planowałem.*

: *Czyli ujawniłeś jakieś tajemnice?*

: *Tak. Kiedy tłumaczyłem, w jaki sposób Leiard i ja staliśmy się jednym, pomyślałem o tobie, choć tylko jako o kimś, kto mi pomagał. Starałem się to ukryć...*

: *Myślisz, że bogowie się domyślą, kim była ta pomocnica?*

: *Tak. Przepraszam. Może ci grozić niebezpieczeństwo.*

Przez długi czas nie odpowiadała.

: *Nie tak wielkie, jak to, które grozi tobie,* stwierdziła w końcu. *Zdają sobie sprawę, że nadal żyję, ale nie wiedzą, gdzie jestem. Natomiast wiedzą, gdzie jesteś ty.*

: *Tylko tyle, że jestem w Si.*

: *A dokąd zmierzasz?*

: *Auraya kazała mi opuścić Ithanię Północną. Kieruję się na wybrzeże.*

: *Auraya może nie chcieć cię zabijać, ale na twoim miejscu nie liczyłabym, że inni Biali okażą te same skrupuły. Huan wciągnie Siyee do poszukiwań i kiedy tylko cię znajdą,*

przyśle Białych. Nie sądzisz chyba, że uda ci się ukryć przed Siyee?

: *Jeśli będę wędrował nocą, może dam radę. Ale będzie mi trudno bez światła.*

: *Szkoda, że już nie jesteś blisko brzegu. Mógłbyś zbudować łódź i odpłynąć. Zasięg lotu Siyee jest ograniczony. A kiedy byś już zgubił pogoń, mógłbyś znowu zawrócić do brzegu. I dopóki ktoś by cię nie zobaczył, bogowie nie wiedzieliby, gdzie jesteś. Ale obawiam się, że zanim dotrzesz do morza, Biali będą już na ciebie czekać.* Zastanowiła się. *W końcu i tak będziesz musiał porzucić ląd, jeśli masz opuścić Ithanię Północną. Kluczowy jest odpowiedni wybór chwili. Muszę się zastanowić. Za kilka dni dotrę do mojego celu. Może znajdę dla ciebie bezpieczne schronienie.*

: *Twój cel, tak? Znowu zaczynasz być tajemnicza.*

: *Właśnie ujawniłeś bogom moje istnienie. I mam ci powiedzieć, gdzie mogą mnie znaleźć?*

: *Nie. Spodziewałem się raczej, że telepatycznie ugotujesz mi mózg.*

: *Gdybym nie sądziła, że i tak lada dzień zginiesz, pewnie bym to zrobiła.*

: *To pocieszające.*

: *Naprawdę? Nie powinno być. A teraz obudź się i uciekaj z Si.*

: *Tak, o mądra i świątobliwa,* odpowiedział kpiąco.

Z umyślną gwałtownością zerwała połączenie, wyrywając go z sennego transu. Kiedy się podnosił, w pamięci rozbłysło wspomnienie Aurai otoczonej wiatrem. Tak jak podejrzewał, nie zgodziła się, by oddać swoją wolę pod władzę Huan. Czy bogowie zechcą ją ukarać? A może ją zabiją, skoro teraz już wiadomo, że jest Dziką?

Może już nie żyje, pomyślał. Przeze mnie.

Musiał się tego dowiedzieć.

Istniał tylko jeden sposób. Podczas swej wędrówki niezliczoną ilość razy zastanawiał się nad nim i go odrzucał. Jeśli połączy się z nią we śnie, a ona nadal żyje, czy zechce z nim rozmawiać? Czy on sam ściągnie tym na siebie jeszcze większe niebezpieczeństwo? Albo na nią?

Dopóki jej nie zdradzę, gdzie jestem, pozostanę stosunkowo bezpieczny.

Zamknął oczy i posłał swe myśli na poszukiwanie kobiety, która próbowała go zabić.

: *Aurayo...*

Czekał na odpowiedź dłużej niż w przypadku Emerahl. Milczenie zwiększyło jego lęk, że nie żyje. A potem usłyszał wypowiedziane zaskoczonym tonem swoje imię.

: *Mirar?*

: *Tak.*

: *Dlaczego próbujesz sennego połączenia ze mną?*

: *Martwię się o ciebie.*

Martwisz się o mnie? Przecież próbowałam cię zabić!

Może i trochę się różnię od Leiarda, jakiego znałaś, ale nadal mi na tobie zależy.

: *To dziwne.*

: *Myślisz, że to dziwne? Powiem ci, co jest dziwne. Ze budzę się po stu latach i odkrywam, że nie jestem tą samą osobą co przedtem. Dowiaduję się, że zrobiłem wiele głupich rzeczy: zjawiłem się w Jarime, pracowałem dla Białych, zakochałem się w jednej z najpotężniejszych sług bogów. A najdziwniejsze jest to, że wcale tego nie żałuję. Żałuję tylko, że nie mogę już być z tobą. Boję się, co mogą ci zrobić za to, że pozwoliłaś mi odejść. Czy już cię ukarali?*

Milczała przez długą chwilę.

: *Jeszcze nie.*

: *A zamierzają?*

: *Nie wiem.*

: *Nie czekaj, żeby się przekonać. Odejdź ze mną. Odpłyniemy z Ithanii i poszukamy dalekich kontynentów.*

Wyczuł u niej rozbawienie.

Mam porzucić wszystko, co mam, ludzi pod moją opieką i bogów... dla ciebie? Zostawić Siyee w chwili, kiedy szaleje zaraza?

: *Nie? No trudno. Warto było zapytać.*

: *Jeśli zdecyduję się okazać bogom nieposłuszeństwo, przyjmę karę, którą uznają za właściwą.*

: *Nawet śmierć?*

Zamilkła znowu, ale nie na długo.

: *Nie. Nie zabiją mnie za to. To by sugerowało, że wybierając mnie, popełnili błąd. Gdyby cyrklianie się dowiedzieli, że byłam nieposłuszna bogom, zaczęliby wątpić w oddanie innych Białych. Nie, kara będzie subtelna. Obawiam się... obawiam się, że odbiorę mi umiejętność latania.*

Latanie... I nagle przeszył go rozbłysk zrozumienia. Jej Dar lotu! Żaden z pozostałych Białych go nie ma! Jeśli Emerahl ma rację i Auraya jest Dziką, latanie może być jej wrodzonym Darem.

: *Gdybym natomiast odeszła z tobą,* mówiła dalej, *bogowie by się rozgniewali. Nawet gdyby nie posłali za mnę kogoś z Białych, nadal byliby w stanie mnie ukarać. Pomyśl o tym*

pierścieniu, który noszę. Skoro za jego pomocą potrafili uczynić mnie nieśmiertelne, to może przez niego mogę mnie też zabić. Nie wiem nawet, co by się stało, gdybym go zdjęła. Straciłabym pewnie nieśmiertelność. Zestarzałabym się i umarła. Wybacz, jeśli zostanę tutaj. Przyjęcie kary, jaką mi wybiorę, uważam za lepsze rozwiązanie.

: *Ale jesteś...*

Z trudem się powstrzymał. Tak bardzo chciał jej powiedzieć, że sama może sobie zagwarantować nieśmiertelność, wystarczy nieco inaczej zastosować tę jego metodę leczenia. Chciał ją ostrzec, że jest Dziką, że bogowie tylko za to mogą ją zabić.

A równocześnie wiedział, że Auraya ma rację. Bogowie nie zaryzykują tego, by jej śmierć wstrząsnęła wiarą cyrklian w boską nieomylność. Musieli wiedzieć, że jest dość potężna, by być potencjalną Dziką. Ale jakie to ma znaczenie, skoro jest Białą?

I znowu poczuł dreszcz podniecenia, gdy nagle dostrzegł pewną prawidłowość. Bogowie wiedzieli, że z czasem narodzi się więcej Dzikich. Ale potężni czarownicy zwykle jednak zostawali kapłanami. Czy w ten sposób bogowie gwarantowali sobie, że Dzicy nigdy nie wykorzystają swego potencjału? Czy wybrali Aurayę po to, by ją kontrolować? Czy inni Biali też są potencjalnymi Dzikimi?

: *Czym jestem?* zapytała.

Myśli kłębiły mu się w głowie. Inni Biali nie objawili żadnych wyjątkowych mocy. Tylko Auraya... A teraz pokazała, że jest zdolna do buntu. Co gorsza, zbuntowała się, by chronić innego Dzikiego. Bogowie muszą być rozdarci: czy zaryzykować konsekwencje pozbycia się jej, czy konsekwencje pozostawienia jej przy życiu? A ona nie zdaje sobie z tego sprawy.

I być może tylko to ją ocaliło.

Miał dwie możliwości. Albo pozostawi ją w niewiedzy, licząc na to, że bogowie nie zrobią jej krzywdy, dopóki nie ma pojęcia o swej naturze... Albo spróbuje ją przekonać, żeby uciekała razem z nim. Ale do niego nie miała zaufania, natomiast silne więzy łączyły ją z bogami i pozostałą czwórką Białych. Nie uwierzy, kiedy powie jej o swoich podejrzeniach - przynajmniej nie od razu. A nawet gdyby zdecydowała się odejść wraz z nim, musi porzucić życie, które kochała, na rzecz życia pełnego niebezpieczeństw.

: *Mirarze?* odezwała się. *Co mówiłeś?*

: *Że jesteś odważniejsza ode mnie,* odparł. *Dziękuję, że mnie oszczędziłaś. Mam nadzieję, że pewnego dnia zdołam ci się odwdzięczyć.*

: *Jeszcze mi nie dziękuj,* powiedziała.

: *Nie? Ktoś inny z Białych przybywa, żeby mnie dopaść?*

Nie odpowiedziała. Dopiero po chwili oświadczyła:

: *Mogę tylko obiecać, że jeśli zostaniesz schwytany, twoja śmierć będzie szybka. I na zawsze.*

Zerwała połączenie. Otworzył oczy i zobaczył, że mgła wokół pobielała już od słabego blasku przedświtu. Zadrżał z zimna.

Ostatnie jej słowa były ostrzeżeniem. Nie mogła mu pomóc. Nadciągali inni Biali. Musi się stąd wynosić, i to szybko. Mgła ukryje go przed oczami Siyee, gdyby próbowali go odnaleźć.

Wstał, przeciągnął się i ruszył między drzewa.

Promienie słońca odbijały się od fal i Reivan piekły oczy. Noc była długa i nieprzyjemna, ale dzień nie zapowiadał się lepiej, jeśli rosnący już teraz upał miał być jakąś wskazówką.

Marudzę, pomyślała. To brak snu i tkwienie przez tyle godzin w małej łódce. Każdy by zaczął marudzić.

Ale kiedy tylko pomyślała o Imi, zapominała o niewygodzie i zmęczeniu. Księżniczka nie wróciła wczorajszego popołudnia, więc pozostały w szalupie przez całą noc. Imenja siedziała na dziobie, czujna i milcząca.

Zwróciła się do Reivan.

- Co radzisz? - spytała. - Czy powinniśmy przybić do brzegu i jej szukać, czy wrócić na statek?

Reivan zastanowiła się przez chwilę.

- Obiecaliśmy zabrać ją do domu. Zgodziliśmy się także trzymać z dala od Si. To nie znaczy, że nie można by powiosłować bliżej brzegu, żeby się za nią rozejrzeć. Dopóki nie postawimy stopy na stałym lądzie, nie mogą nas oskarżyć o najazd.

Imenja zaśmiała się.

- Nie. Wątpię, czy Siyee będą tak na to patrzeć. Raczej... - Zmarszczyła brwi i uniosła oczy. - Aha.

Reivan podążyła wzrokiem za spojrzeniem Głosu. Dalej na wschodzie, w stronę morskiego horyzontu sunęły po niebie trzy maleńkie punkciki.

- Zauważyli statek.

Reivan obejrzała się. Statek był niewidoczny. - Jak?

- Są wyżej niż my.

- Oczywiście...

Reivan potrząsnęła głową. Jestem zmęczona, pomyślała. Powinnam od razu

zrozumieć, że Siyee mają lepszy widok.

- Nieważne. Oni... - Imenja zmrużyła oczy, a po chwili uśmiechnęła się. - Chcą odwrócić naszą uwagę, żebyśmy nie zauważyli dziewczynki Elai, płynącej w stronę domu.

- Imi. - Tak.

- Czy nas porzuciła? Przekonali ją, że jesteśmy wrogami i powinna odpłynąć sama?

Imenja pokręciła głową.

- Ci Siyee nie wiedzieli, że jest z nami.

- Może im powiedziała, że zmierza na wschód, żeby mogła popłynąć w tę stronę, nie ściągając ich do nas?

- Poczekamy i przekonamy się. Jeśli nie zjawi się w ciągu najbliższych godzin, będziemy wiedziały, że wyruszyła samotnie.

Czekały w milczeniu. Dalecy Siyee wrócili na brzeg, nie zauważywszy niedużej szalupy.

- Słyszę ją - odezwała się nagle Imenja.

Reivan odetchnęła z ulgą i przeszukała wzrokiem wodę dookoła. Każdy plusk zwracał uwagę.

Aż nieoczekiwanie nad burtą łodzi pojawiła się głowa. Dziewczynka oddychała ciężko, ale uśmiechnęła się szeroko.

- Przepraszam - wysapała. - Nie mogłam... się wyrwać... Uparli się... żebym została... zjadła... odpoczęła.

- Rozumiem.

Imenja uśmiechnęła się do niej. Wstała i podała Imi rękę. Dziewczynka przyjęła ją i aż krzyknęła ze zdumienia, kiedy została wyciągnięta z wody do szalupy.

- Silna jesteś! - stwierdziła z uznaniem.

- Kiedy powinnam - zgodziła się Imenja. Poleciła wioślarzom, by wracali na statek. - Powiedzieli ci, gdzie leży Borra? - spytała dziewczynkę.

- Tak. - Imi westchnęła. - Nie bardzo lubią pentadrian. Ostrzegali, żebym trzymała się od was z daleka.

Imenja skrzywiła się niechętnie.

- To nieprzyjemna konsekwencja walki przeciwko nim w głupiej wojnie - oświadczyła z powagą.

Reivan spojrzała na nią zaskoczona, że Głos wyraża takie opinie w obecności innych. Ale zaraz sobie przypomniała, że rozmawiają w języku Elai i wioślarze nie mogą ich zrozumieć.

- Chciałam im powiedzieć, że mylą się co do was - zapewniła Imi. - Ale jakoś nie powiedziałam.

Imenja poklepała ją po ręku.

- Z czasem przekonają się sami.

- Mam nadzieję.

Imi ziewnęła, szeroko otwierając usta.

- Jesteś zmęczona - stwierdziła Imenja. - Połóż się i prześpij. Obudzę cię, kiedy dotrzemy do statku.

Imi przytaknęła i ułożyła się na ławce. Reivan zamoczyła koc w morzu i okryła nim dziewczynkę, by chronić jej skórę przed słońcem. Uniosła wzrok i zobaczyła, że Imenja z aprobatą kiwa głową. Popatrzyły na siebie z ulgą i zamilkły.

Gdy Mairae wkroczyła do pokoju Jurana, przyszło jej do głowy, że rozgrywająca się tam scena była znajoma. Juran krążył po pokoju, Dyara siedziała na krawędzi krzesła, z wyprostowanymi plecami i niespokojnie zmarszczonym czołem. Kiedy Rian wszedł za Mairae i podszedł do swego miejsca, Juran zatrzymał się, przyjrzał obojgu i westchnął.

- Wezwałem was tutaj, by przedstawić sytuację w Si - rzekł. - Bogowie postanowili, że Auraya jest najbliżej, więc to ona ma wykonać egzekucję na Mirarze.

Mairae westchnęła zaskoczona, czym zwróciła uwagę Jurana.

- Była najbliżej - powtórzył. - Żadne z nas nie zdołałoby tam dotrzeć dostatecznie szybko.

Biedna Auraya, pomyślała Mairae. Czy to nie dość, że jej były kochanek okazał się nieprzyjacielem bogów?

- Chcesz nam teraz powiedzieć, że cierpi z tego powodu i powinniśmy przekazać jej wyrazy współczucia? - spytała.

Juran drgnął.

- Nie.

Mairae zamrugała zdziwiona.

- Nie cierpi? W takim razie jest silniejsza, niż myślałam. Przypuszczam, że rozgniewała się tak bardzo...

- Nie zabiła Mirara - przerwał jej Juran. - Pozwoliła mu odejść.

- Och...

Mairae zerknęła na Dyarę - kobieta z dezaprobatą zacisnęła wargi. Rian wpatrywał się w Jurana z wyrazem zdumienia i gniewu.

- Dlaczego? - zapytał. Juran pokręcił głową.

- Mirar otworzył przed nią umysł. Przekonał ją... o wielu kwestiach: że stłumił własną osobowość i wymyślił Leiarda, by ukryć się przed bogami, że nie miał żadnych złych zamiarów i planuje opuścić Ithanię, że nie zasługuje na śmierć. - Westchnął. - Trudno powiedzieć, czy cokolwiek z tego jest prawdą. Możliwe, że potrafi wypełnić swój umysł kłamstwami i zademonstrować je tak, by wydawało się, że pokazuje prawdę. Ale potrafi czy nie, to sprawa bez znaczenia. Bogowie rozkazali Aurai go zabić. Nie zrobiła tego.

Zapadła cisza. Mairae ogarnęło współczucie dla Aurai, ale jednocześnie była rozczarowana. Nie dziwiło ją to, że egzekucja Mirara była dla Aurai trudna, że mogła sprawić jej ból. Ale nie spodziewała się, że Auraya odmówi jej przeprowadzenia.

- Czekaj... - wtrąciła. - Nie potrafiła się do tego zmusić czy odmówiła?

- A jaka to różnica? - mruknął Rian.

- Istnieje różnica między wahaniem a odmową. Doświadczony wojownik może wahać się w bitwie, kiedy napotka coś nieoczekiwanego... Na przykład dowie się, że wróg jest jego przyjacielem. Cokolwiek pokazał jej Mirar, wzbudziło wahanie. Gdyby miała czas, mogłaby je przełamać. Powinna dostać drugą szansę.

- Dostała - oświadczył Juran. - Do dzisiejszego popołudnia ma czas, by zastanowić się nad swoimi uczynkami, a potem powinna wypełnić zadanie. Mirar nie mógł odejść daleko. Wysłano Siyee, by go odnaleźli.

- A jeśli znowu odmówi? - spytał Rian. Juran skrzywił się.

- Wtedy będzie ukarana. Mairae pokręciła głową.

- Nadal uważam, że nie można tego od niej wymagać. Wciąż jest nowa w tej roli. Ktoś z nas powinien ją zastąpić.

- Musi udowodnić swoją lojalność wobec bogów - stwierdził Rian.

- Masz rację - zgodziła się Dyara. - Gdyby ludzie się dowiedzieli, że odmówiła wykonania rozkazu...

- A kto im powie? - zdziwiła się Mairae. - Wszystko to zdarzyło się daleko stąd... - Spojrzała na Jurana. - Mam nadzieję, że bez świadków. Nikt o tym nie wie oprócz nas i bogów.

Dyara miała surową minę.

- Jeśli bogowie chcą tego od niej, jest to konieczne. Bogowie spoglądają w nasze serca i dusze. Wiedzą, kiedy nasza lojalność wymaga sprawdzenia.

Mairae przyglądała się jej z ukosa. Starsza kobieta potrafiła być stanowcza i władcza, ale na ogół nie aż tak bezduszna. Mówiła całkiem jak Rian.

- Czy łatwo przyszłoby ci zabicie swojego doradcy, gdyby bogowie to nakazali?

Dyara szeroko otworzyła oczy, zaskoczona i zła.

- Timare jest kapłanem, a nie... brudnym Dzikim!

- Skąd wiesz? Nie wykryłaś Mirara za umysłem Leiarda.

- Znam Timare od czterdziestu lat. Jak dobrze ty znasz swoich kochanków?

- Nie znam. - Mairae wzruszyła ramionami. - Nie potrzebuję.

- Wydaje mi się, że jest na świecie więcej ludzi, których to ty niechętnie byś zabiła.

- Wykorzystuję ich do seksu, Dyaro. Nie kocham żadnego z nich.

- Mairae! - przerwał im Juran. - To prowadzi nas donikąd.

Uśmiechnęła się przepraszająco. Wiedziała, że nie zyska sympatii dla Aurai, jeśli będzie się kłócić z Dyarą. Juran zresztą zawsze chętniej brał stronę Dyary niż jej.

- Co teraz zrobimy? - spytał Rian. Juran przyjrzał się im kolejno.

- Musimy być gotowi, gdyby Auraya znowu odmówiła albo potrzebowała pomocy w odszukaniu i zabiciu Mirara. Ty i Dyara wyruszycie na południe. Wiemy, że Mirar zamierza opuścić Ithanię Północną, więc zapewne będzie się kierował ku morzu.

Rian wyprostował się na krześle.

- Nie zawaham się. Służba bogom to prawdziwa rozkosz. Mairae stłumiła westchnienie.

Mam nadzieję, Aurayo, że znajdziesz w sobie siły, by tego dokonać, pomyślała. Jeśli Rianowi przypadnie zabicie kogoś tak sławnego jak wielki Mirar, stanie się całkiem nie do wytrzymania.

40

Światło poranka ukazało złowróżbne chmury, przesłaniające szczyty wokół wioski nad Błękitnym Jeziorem. Powietrze było lodowate, a roślinność biała od szronu. Auraya ściągnęła magię i podmuchem gorącego powietrza osuszyła leżącą kłodę drewna. Kiedy usiadła, uświadomiła sobie, że ledwie kilka dni temu siedziała w tym samym miejscu z Mirarem. Wydawało się, że było to o wiele dawniej.

Myślę, że czas jakby wolniej płynie przez te wszystkie godziny, kiedy leżę i myślę, zamiast spać...

Ostatniej nocy spała tylko godzinę, zanim Mirar się z nią połączył. Potem rozbudziła się całkowicie. Coś ją dręczyło... I kiedy blask świtu zaczął się przesączać przez membranę altany, w końcu zrozumiała, co to takiego.

Spojrzenie w umysł Mirara ukazało jej kogoś znajomego, ale obcego. Jakby spotkała po latach kogoś, kogo pamiętała z dzieciństwa, a kto wyrósł na dorosłego człowieka, którego już nie zna. Szukała śladów Leiarda i odkryła go tam, ale tylko jako część osoby, której całej nie znała - i nie kochała.

Mylisz się, Chaio, pomyślała. Widzisz pozostałości uczucia, które żywiłam dla Leiarda. Nie miałeś szansy się przekonać, że Mirar nie pociąga mnie w ten sam sposób. A raczej ten, kim Mirar się stał.

A jeśli Chaia tego nie spostrzegł, mógł też nie zobaczyć, że Mirar jest już inny niż sto lat temu. Zmieniło go to, co musiał zrobić, aby przetrwać - stał się nowym człowiekiem. A w takim razie powinien być osądzony według własnych zasług i przewin.

Huan powiedziała, że należy zapomnieć o przeszłości. Ale przecież Mirara dotyczy to nawet bardziej niż bogów. Bogowie się nie zmienili - on tak. Niesprawiedliwie jest karać go za dawne występki innej osoby.

Ale też Mirar nie był kimś zupełnie nowym, dlatego rozumiała, że jakaś jego część nadal pozostała winna. Jednakże, kiedy się zastanowiła, co wie o jego zbrodniach, w żaden sposób nie mogła zrozumieć, dlaczego zasłużył na śmierć. Działał przeciwko bogom, próbując powstrzymać ustanowienie stanu kapłańskiego, a w tym celu budził zwątpienie co do losu dusz w rękach bogów, a także rozpowszechniał opowieści o strasznych aktach okrucieństwa, jakich bogowie się dopuszczali. Jednym ze sposobów, w jaki komunikował się z ludźmi, były sny.

Kiedy zajrzała mu w myśli, znalazła potwierdzenie tych czynów. Rozumiała jednak,

że dokonywał ich z obawy, że śmiertelnicy trafią pod władzę istot, które uważał za zdolne do czynienia zła. Senne połączenia nie były wtedy zakazane, więc nie złamał żadnego prawa. Cyrklianie głosili kłamstwa o tkaczach snów, więc wykorzystał sny - jak czynił to zawsze - by przekonać ludzi o dobrych intencjach swego ludu.

Nikogo nie zachęcał do mordowania kapłanów czy kapłanek. Wiedziała za to, że niektórzy cyrklianie głosili nienawiść do tkaczy snów, co spowodowało śmierć tysięcy.

Niepokój budziło jego przekonanie, że bogowie w przeszłości dokonywali strasznych czynów. Nie ujawnił jednak, co dokładnie robili. Jego obawa, że tworząc stan kapłański, bogowie skrzywdzą śmiertelnych, okazała się bezpodstawna. Uczynili wiele dobrego. Może te złe postępki, o które ich oskarża, to po prostu inne sposoby, którymi zachęcali ludzi do oddawania im czci - co Mirar uważał za niewłaściwe.

Westchnęła. Zniechęcanie ludzi do bogów jest złe, gdyż pozbawia ich po śmierci duszy nieśmiertelnej. Ale Mirar nie zmuszał nikogo, by odwrócił się od bogów. Przedstawiał im alternatywę. Nie jest to zbrodnia, którą należy karać śmiercią. Gdyby tak było, tysiące ludzi umierałoby każdego dnia - gdyż ludzie na wiele drobnych sposobów stale sprzeciwiają się bożej woli.

O ileż łatwiej jest wierzyć, że taki sprzeciw nie jest zbrodnią, kiedy człowiek sam jest mu winien, pomyślała.

Kapłani istnieli, by prowadzić wiernych ku życiu praworządnemu i pobożnemu. Biali byli najwyższymi kapłanami i kapłankami.

Ale to czyni mój występek o wiele cięższym. Mirar nigdy nie przysięgał, że będzie służył bogom. Jeśli więc ja nie zasługuję na śmierć, to on tym bardziej. Może dlatego się obawia, że bogowie mogą mnie zabić. I może słusznie.

Zadrżała.

Jeszcze nie jestem martwa, powiedziała sobie. Dali mi drugą szansę. Mogę go odszukać i...

Niepokój skręcił jej żołądek, a zimny dreszcz przebiegł po plecach. A do tego narastała frustracja.

Dlaczego nie mogę tego zrobić? Dlaczego odczuwam tak silny opór, nawet wobec samej myśli o zabiciu Mirara?

Delikatnie przygryzła wargę. Co by myślała o sobie i bogach, gdyby to zrobiła? Za każdym razem, kiedy rozważała tę kwestię, ogarniały ją mroczne przeczucia.

Czułabym się tak, jakbym kogoś zamordowała. Nieważne, co by mówili bogowie. I moje uczucia do nich też by się zmieniły. Bałabym się, co jeszcze mi rozkażą. Nie

uważałabym ich już za łaskawych i sprawiedliwych. Nie wierzyłabym, że jestem godna rządzenia ludźmi, skoro dałam się skłonić do morderstwa.

Zmarszczyła brwi.

A jak by to wpłynęło na cyrklian, gdyby się dowiedzieli? Nie jestem tak naiwna, by wierzyć, że ktokolwiek otwarcie kwestionowałby wolę bogów albo kłócił się z ich wyrokiem. Jednak coś by się zmieniło. Niektórzy by zrozumieli, że niesprawiedliwością było zabijanie Mirara bez publicznego procesu i jasno wykazanej winy. To by wstrząsnęło ich wiarą w boską sprawiedliwość. Ci, którzy wierzą, że bogowie zawsze mają rację, przekonaliby się, że nieusprawiedliwione egzekucje są dopuszczalne. Mogliby zatem uznać, że przeprowadzą kilka samodzielnie.

Jednak gdyby ludzie się dowiedzieli, że jedna z Białych okazała nieposłuszeństwo, ich wiara w bogów i Białych także zostałaby zachwiana. Zastanawialiby się, czy wybierając ją, bogowie popełnili błąd; może zaczęliby wątpić w Białych. Doszliby do wniosku, że jeśli nieposłuszeństwo może od czasu do czasu ujść Białej, to i dla zwykłych cyrklian jest dopuszczalne.

Tylko że nie ma potrzeby, by ludzie się dowiedzieli o moim nieposłuszeństwie, stwierdziła. Tylko Biali i bogowie będą o nim wiedzieć. Ale... Zastanawiałam się, co będzie, jeśli wykonam zadanie. A jeśli nie?

Oczywiście, pojawi się poczucie winy.

Ale też ulga. Będzie szanować samą siebie, gdyż broniła tego, co uważa za słuszne, nawet jeśli poczuje do siebie niechęć, bo nie potrafiła dochować posłuszeństwa bogom. Lepiej rozczarować się sobą niż nimi.

Nie chcę zresztą, by urządzili Mirarowi proces. Chciałabym tylko, by pozwolili mu opuścić Ithanię Północną. Jeśli wróci... cóż, wtedy sobie z nim poradzę. A gdyby mieli ochotę mnie ukarać, niech tak będzie.

Ta myśl trochę poprawiła jej nastrój. Ale czy to właśnie jej ostateczna decyzja? Czy jest gotowa przyjąć każdą karę?

I jaką karę jej wyznaczą? Nie wierzyła, że ją zabiją, jak się obawiał Mirar. Nie odbiorą jej także stanowiska Białej. To byłoby dla wiernych szokiem równie wielkim, jak jej egzekucja. Nie; za każdym razem, kiedy zastanawiała się, co mogą jej zrobić najgorszego, dochodziła do tego samego wniosku: odbiorą jej umiejętność latania.

Sama myśl o tym łamała jej serce.

Jeśli do tego dojdzie, pomyślała, to lepiej, żebyś docenił moją ofiarę, Mirarze. Wynieś się z Ithanii i nie wracaj, bo jeśli wrócisz, naprawdę cię zabiję.

Zamknęła oczy i westchnęła.

To chyba znaczy, że podjęłam decyzję, uznała. Co teraz? Powinnam wezwać Chaię i...

Rozmyślania przerwało jej dwóch Siyee, którzy wylądowali o kilka kroków od niej. Podeszli szybko. Obaj promieniowali podnieceniem i łękiem.

- Aurayo z Białych - powiedział ten wyższy i wykonał znak kręgu.

- O co chodzi? Co się stało?

- Kilka dni temu niedaleko brzegu widziano statek pentadrian - powiedział. - W zasięgu wzroku z wioski klanu Piasku.

- Wylądowali?

- Nie. Jakiś statek widziano też na wschodzie, parę dni wcześniej.

- Inny statek czy ten sam?

- Nie wiemy. Wstała.

- Polecę na południe i zbadam sprawę.

- Dziękujemy - rzekł wyższy Siyee.

Kiedy oddalili się w stronę centrum wioski, sama pospieszyła do altany. Tyve kiwnął głową z uśmiechem, gdy mu powiedziała, że musi odejść. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek odkryje, co się działo pomiędzy nią i Wilarem.

Odwróciła się szybko i wyszła na zewnątrz.

Kiedy wzbiła się w powietrze, zalała ją fala smutku.

To może być mój ostatni lot, pomyślała. Lepiej cieszyć się nim, póki mogę.

A potem roześmiała się głośno.

Jeśli Mirar ma rację i bogowie postanowią mnie zabić, to odebranie mi Daru, kiedy jestem w powietrzu, z pewnością załatwi sprawę.

Imi wyszła na pokład, kiedy dostrzeżono pierwszą wyspę, a potem stała przy relingu mimo deszczu. Jak dotąd, statek mijał skaliste skrawki lądu, ledwie dość duże, by zasługiwać na miano wysepek. Teraz przed dziobem pojawiły się większe kształty, dobrze jej znane z obrazów w pałacu.

- Kamienista Wyspa - powiedziała sobie, kiedy mijali wyspę całkiem pozbawioną roślinności. Dalej leżała inna, niska i zaokrąglona, porośnięta drzewami. - Dziewicza Wyspa.

Usłyszała za sobą kroki - to nadchodziły Imenja i Reivan. Stanęły obok niej przy relingu.

- Czy to twój dom, Imi? - spytała Imenja.

- Tak. - Dziewczynka kiwnęła głową. Statek przepłynął obok Kamienistej i znalazł się wśród pierścienia wysp. - To jest Borra.

- Czy pozostały jakieś ruiny po dawnych osadach na tych wyspach? - zainteresowała się Reivan.

Imi wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Już od bardzo dawna nie możemy żyć poza miastem. Niektórzy próbowali, ale pozabijali ich piraci. - Uśmiechnęła się. - Jednak piraci też nie mogą się tam osiedlić, bo palimy ich domy.

- Czy wasz lud budował jakieś fortyfikacje wokół osad?

- Fortyfikacje?

- Mury. Może coś na plaży, co mogłoby utrudnić lądowanie.

- Nie wiem. - Imi uśmiechnęła się. - To brzmi jak coś, o czym powinnaś porozmawiać z moim ojcem. Może gdybyśmy potrafili się bronić, znaleźlibyśmy sposób, żeby się pozbyć piratów.

Ku jej zdumieniu Reivan pokręciła głową.

- Dopóki odbywa się handel między Ithanią Północną i Południową, na tych wodach będą krążyć rabusie. Wiatr tutaj sprzyja statkom przepływającym obok wysp, a na brzegach Si nie ma większych portów, gdzie mogłaby stacjonować flotylla okrętów, zdolnych poradzić sobie z piratami.

- Szkoda, że nie możemy wynegocjować z Siyee porozumienia o zwalczaniu piratów - rzekła Imenja.

Imi zmarszczyła czoło.

- Dlaczego moi rodacy tego nie zrobili? Reivan wzruszyła ramionami.

- Słyszałam, że Siyee byli pokojowym ludem, dopóki nie sprzymierzyli się z Białymi.

- Mieli własne problemy z ziemiochodzącymi - powiedziała Imi, przypominając sobie, co mówiła jej Teiti. - Czy te problemy teraz zniknęły?

- Nie wiem - przyznała Reivan. Zerknęła na Imenję, ale kobieta milczała.

Imi postanowiła zapytać o to ojca. Spoglądając na szczyt, na którym - jak wiedziała - mieścił się punkt obserwacyjny, poczuła tęsknotę. Dopiero kiedy ojciec weźmie ją w ramiona, poczuje, że wróciła do domu.

- Czy wyjdą nam na spotkanie, Imi? - spytała Imenja.

- Nie wiem. Boją się ziemiochodzących. Może się zjawią, kiedy mnie zobaczą.

- Jesteśmy jeszcze za daleko. - Imenja Zabębniła palcami o reling. - Powinniśmy wysadzić cię na brzeg.

- Nie. - Dziewczynka pokręciła głową. - Wiem, jakbym się czuła, gdybym zobaczyła ziemiochodzących na naszych wyspach. Ludzie rozgniewaliby się i wystraszyli. Gdybym zo-

baczyła z nimi Elai, uznałabym, że to więzień.

- W takim razie dostarczymy cię szalupą bliżej brzegu i zaczekamy.

Imi znów pokręciła głową.

- Nie. Myślę, że będę musiała popłynąć do miasta. - Spojrzała na Imenję i uśmiechnęła się przepraszająco. - Wybaczcie, ale moi rodacy są podejrzliwi wobec ziemiochodzących. Porozmawiam z nimi i powiem, co dla mnie zrobiliście.

- Uwierzą ci? - powątpiewała Reivan.

- Przekonam ich. - Imi zmarszczyła czoło. - Chociaż może to zająć trochę czasu.

- Zaczekamy - obiecała jej Imenja. - Ty najlepiej znasz swój lud. Jeśli twierdzisz, że musisz tam płynąć, to na pewno masz rację.

Imi uśmiechnęła się, podeszła i objęła kobietę. Imenja zaśmiała się i poklepała ją po plecach.

- Uważaj na siebie, księżniczko. Smutno by mi było, gdybym miała cię więcej nie zobaczyć.

- Mnie też. - Imi odsunęła się i odwróciła do Reivan. - Za tobą też bym tęskniła, Reivan. Postaram się namówić ojca, żeby się z wami spotkał. Jestem pewna, że polubi was tak samo jak ja.

Reivan uśmiechnęła się ze swą zwykłą nieśmiałością.

- Ruszaj - zachęciła dziewczynkę Imenja. - Im szybciej tam dotrzesz, tym szybciej się z nim spotkamy.

Imi uśmiechnęła się szeroko. Schyliła się pod relingiem i spojrzała na wodę poniżej. Pośrodku pierścienia wysp było głęboko, ale odkąd trafiła na statek, nauczyła się, że przed zejściem w wodę zawsze warto sprawdzić, czy jakieś duże morskie stworzenia nie badają kadłuba.

Puściła reling i upadła naprzód. Lot był krótki, ale radosny, a pluśnięcie w wodę przyniosło rozkosz. Wypłynęła na powierzchnię, pomachała Imenji i Reivan, a potem nabrała tchu i popłynęła do miasta.

Nie była całkiem pewna, gdzie szukać wejścia, postanowiła więc płynąć wzdłuż skalnej ściany wokół obszaru, gdzie powinno się znajdować. Już wkrótce zauważyła sunący poniżej cień i serce zabiło jej radośnie, kiedy zrozumiała, że to inny Elai. Podążyła za nim, utrzymując bezpieczny dystans - wiedziała, że jeśli zostanie rozpoznana, ściągnie powszechną uwagę.

Niewyraźna postać zniknęła, więc Imi wystraszyła się trochę, ale zaraz pojawiła się para Elai. Płynąc za nimi, zobaczyła czerń w skale przed sobą. Światłoryby zniknęły, być

może dla bezpieczeństwa, by ziemiochodzący nie znaleźli wejścia. Rozumiała, że to możliwe - sama przecież widziała ziemiochodzących nurków. Ale nawet oni by nie potrafili wstrzymać oddechu na czas dostatecznie długi, by dotrzeć do samego miasta.

Płynąc w ciemności, z ulgą dostrzegła przed sobą światło, które wskazało jej drogę do rezerwuarów powietrza. Wkrótce zbliżała się już do końca tunelu. Nie wynurzała się po oddech z nikim innym, a więc nikt jej nie poznał. Po chwili jaśniejsze, rozleglejsze lśnienie dało jej sygnał, by ruszyć w górę.

Wypłynęła na powierzchnię we Wrotach.

Przez kilka minut unosiła się na wodzie, patrząc na groty, na światła i na ludzi. To było niemal zbyt piękne... Bała się popłynąć naprzód, na wypadek gdyby...

Kolejny nowo przybyły wynurzył się z pluskiem, więc się odsunęła.

Czego się boję, strofowała samą siebie. Czy wciąż się obawiam, że Teiti albo ojciec mnie ukarzą? Nawet gdybym wiedziała, że tak, czy chciałabym teraz odpłynąć?

Pokręciła głową i ruszyła do brzegu.

Kiedy wyszła na suchy grunt, zaczęła zwracać na siebie uwagę. Zwykli Elai rzucali na nią okiem, a potem odwracali się i wpatrywali w zdumieniu. Gwardziści zamrugali zdziwieni. Jeden z nich - kapitan - wyszedł jej na spotkanie.

- Księżniczka? Księżniczka Imi?

- Tak - odparła z uśmiechem.

- Gdzie byłaś... - Urwał nagle i wyprostował się. - Czy pozwolisz odprowadzić się do pałacu?

Rozbawiona tym nagle oficjalnym tonem, kiwnęła głową.

- Bardzo proszę.

Natychmiast rzucił kilka rozkazów. Trzej strażnicy zajęli pozycje obok kapitana, przed nią i za nią. Inni pobiegli głównym strumieniem w stronę pałacu.

Powiedzą ojcu. Będzie wiedział, że wróciłam.

Poczuła mrowienie w żołądku, ale zmusiła nogi do marszu. Przechodnie zatrzymywali się i patrzeli na nią, a potem zaczynali iść obok niej, po obu stronach. Zdziwione spojrzenia zmieniały się w uśmiechy. Głosy rozbrzmiewały radośnie.

Łzy stanęły jej w oczach i zamrugała gwałtownie, by je strząsnąć.

Droga do pałacu zdawała się nie mieć końca. Przyspieszyła kroku, a potem znowu zwolniła, kiedy zobaczyła bramy. Były szeroko otwarte.

Czekał tam jakiś człowiek.

Ojciec.

Gwardziści odstąpili, kiedy ruszyła znowu. Prawie tego nie zauważyła. Widziała tylko, że ojciec idzie ku niej, i przestała panować nad łzami, gdy zobaczyła, że i jemu błyszczą oczy.

I wreszcie objęła go mocno, i poczuła znajomy, silny uścisk jego ramion. Zaczęła przepraszać i nagle usłyszała, że on także prosi ją o wybaczenie.

- Za co przepraszasz, tato? - zapytała. - Przecież to ja wymknęłam się Teiti i uciekłam z miasta.

Odsunął się i popatrzył na nią.

- Powinienem był częściej wypuszczać cię na morze. Nie byłabyś taka ciekawa i miałabyś ze sobą strażników.

Z uśmiechem otarła oczy.

- Im też bym uciekła. Przyglądał się jej badawczo.

- Gdzie byłaś? Ten łobuz, syn kupca, mówił, że złapali cię piraci.

- To prawda. - Wystraszyła się nagle. - Nie byłeś chyba dla niego zbyt surowy? To ja go namówiłam.

Zmarszczył czoło.

- Teiti poradziła mi go zamknąć. Imi westchnęła.

- Biedny Rissi... Musiała być bardzo zła. Ojciec się skrzywił.

- Była, ale ja byłem jeszcze bardziej zły na nią. Musisz mi wszystko opowiedzieć. - Skierował ją w stronę pałacu. - Czy twój powrót ma coś wspólnego z tym statkiem na zewnątrz?

- Ma, tato. Ludzie z tego statku uratowali mnie i przywieźli do domu. Zawdzięczam im życie.

Jego wzrok wyrażał wyraźne niezadowolenie.

- Nie wszyscy ziemiochodzący są źli - powiedziała. Na jego twarzy pojawił się grymas gniewu.

- Tak ci się wydaje? Czego chcą w zamian?

- Niczego.

- Niczego? - Pokręcił głową. - Zawsze czegoś chcą. Ale ode mnie niczego nie dostaną!

- Tato - upomniała go. - Ocalili mi życie. Zatrzymał się na chwilę, po czym westchnął.

- Powinienem jednak dać im coś w dowód wdzięczności. Wzruszyła ramionami.

- Przynajmniej podziękowania.

Znowu stanął i przyjrzał jej się z dziwną miną.

- Co się z tobą działo, że zrobiłaś się taka mądra i dzielna?

Skrzywiła się.

- Mnóstwo się działo, tato. Wejdźmy do środka, to ci wszystko opowiem.

Pokiwał głową, objął ją i wprowadził do pałacu.

41

Nie warto było znowu wszystkiego analizować. Przemyślał sobie przecież wszystko, co zrobił, i jakie mogą być tego konsekwencje. Spędził długie godziny na bezowocnych rozważaniach, jak mógłby zachować się inaczej.

Ale choć wędrówka po Si wymagała skupienia, nie do końce zajmowała jego umysł. Ta część, która nie musiała uważać na bezustanne wspinaczki i marsze, cały czas krążyła wokół jednego tematu. Choć próbował zająć się innymi sprawami, wkrótce znowu zaczynał rozmyślać o Aurai, o sobie, o Białych i o bogach.

I Emerahl. Dlaczego musiałem ją sobie przypomnieć, akurat kiedy otworzyłem umysł przed Aurayą?

Pomyślał o niej tylko przelotnie, jako pomocnicy i przyjaciółce. Nie wspominał o jej zamiarach odszukania innych nieśmiertelnych. Jeśli bogowie ją rozpoznali - a całkiem możliwe, że nie - z pewnością zawiadomią Białych o jej istnieniu Na szczęście nie wiedzą, gdzie przebywa. Dopóki Emerahl nie zrobi czegoś, czym ściągnie ich uwagę, albo nie wpadnie na któregoś z Białych, jest bezpieczna. Bogowie mogą jej szukać, zaglądając w umysły śmiertelnych i wypatrując kogoś widocznego dla ludzi i niewidzialnego dla nich. To jednak wymagało czasu, a mieli teraz pilniejsze sprawy - Aurayę.

Miał nadzieję, że się nie myliła i bogowie rzeczywiście jej nie zabiją, by nie podważać powszechnego zaufania do Białych. Liczył, że otwierając się przed nią, nie skazał jej na śmierć. Tylko tak mógł się uratować, ale nie zrobił tego z czystego egoizmu. Chciał, żeby poznała prawdę. Chciał, żeby wreszcie zobaczyła w nim tego, kim jest - i to, że ją kocha.

Głupiec, pomyślał o sobie. Należy do Wybrańców Bogów. Nie może cię pokochać.

Ale mogła, szepnęła inna część jego umysłu.

Poczuł lęk. Czyżby powracał Leiard? Poszukał w swoim umyśle innej jaźni, ale widział tylko jedną.

Jestem też Leiardem, przypomniał sam sobie. Lepiej pogodzić się z tym, że mam jego słabości. Muszę pilnować, by już nie narażać innych. Jeśli nie mogę zdobyć Aurai, lepiej oddalić się od niej jak najszybciej.

Powietrze w wąskim, stromym wąwozie było wilgotne i nieruchome. Mirar ziewnął i pomyślał, czyby nie przystanąć i nie zdrzemnąć się chwilę. Prawie nie odpoczywał, odkąd opuścił klan Błękitnego Jeziora, a znużenie, przed którym bronił się od tak dawna, nagle stało się nie do zniesienia.

Potknął się. Odruchowo spojrzał pod nogi i zmarszczył brwi, widząc przecinające ścieżkę cienkie pnącza. Rozejrzał się dookoła i serce mu zamarło; strach odpędził zasnuwającą umysł senność.

Drzewa i krzewy wokół oplatała sennorośl. Pogrążony w natrętnych rozmyślaniach o Aurai i bogach, nie zauważył, dokąd prowadzi go wąwóz. Smród gnijącego mięsa powodował mdłości - gdzieś pod dywanem roślin leżało ścierwo jednego czy dwóch zwierząt, ofiar Daru sennorośli.

Teraz, kiedy uświadomił sobie podstępną sugestię, obecną na samej granicy świadomości, łatwo przyszło mu ją zablokować. Ruszył dalej, starannie przestępując nad pnączami na ścieżce. To była rozległa, dojrzała roślina. A wąski wąwóz stanowił naturalne ogrodzenie i zapewne doprowadził do niej wiele ofiar.

Po chwili zresztą zwęził się bardziej, ale Mirar wyszedł poza zasięg odnóży sennorośli. Odetchnął z ulgą i pomaszerował naprzód, wspinając się albo przeciskając obok licznych skalistych występów.

Lepiej, żeby ta droga nie kończyła się ślepą ścianą...

Gdyby tylko Tyve mógł mu towarzyszyć... Był pewien, że chłopak zgodziłby się z radością. Ale umysł Tyve'a był otwarty dla bogów i mimowolnie zdradziłby im miejsce pobytu Mirara.

Skalne ściany urywały się po obu stronach o kilka kroków przed nim. Mirar zobaczył, że urywa się również grunt - dalej widział kołyszące się na wietrze korony drzew. Po chwili stanął na szczycie urwiska. Nie był to ślepy zaułek, ale zejście na dół wymagało czasu i koncentracji.

Daleko przed nim wyrastały góry i to zejście, które go czekało, było zwykłą przechadzką w porównaniu z tym, z czym będzie musiał się zmierzyć na tych skalistych zboczach. Emerahl sugerowała, żeby kierował się ku sennońskiej pustyni, a droga przez góry była najkrótsza. Łatwiejszy, choć dłuższy szlak prowadził od Błękitnego Jeziora wzdłuż rzeki na wybrzeże, ale tam pewnie spodziewali się go bogowie. Tam szukaliby go Siyee, tam czekaliby Biali. Na pewno nie pomyślą, że aby dotrzeć do Ithanii Południowej, przekroczy góry, a potem pustynię. W każdym razie miał nadzieję, że nie pomyślą.

Westchnął i usiadł. Zaczął jeść, spoglądając na teren przed sobą. Choć korony drzew prawie zupełnie skrywały grunt, udało mu się wytyczyć bezpieczną ścieżkę, omijającą bardziej widoczne przeszkody.

Jakiś cień przemknął mu nad głową. Wielki cień.

Unosząc wzrok, zdążył zobaczyć, jak Siyee szybuje ponad krawędzią urwiska, potem

zakręca i znika z pola widzenia.

W tej części Si mieszkało niewielu przedstawicieli ludu nieba. Wciąż wędrował przez tereny klanu Błękitnego Jeziora, ale mając tak wiele uprawnej ziemi, klan nie musiał daleko szukać pożywienia.

Może wypatrują czegoś, czego nie ma w pobliżu wioski, pomyślał, na przykład jakichś rzadkich roślin. Albo może patrolują swoje tereny.

A może to mnie szukają...

Wstał i wycofał się do wąwozu. Czy go szukają, czy nie, każdy Siyee, który go zauważy, może to zdradzić bogom, jeśli go obserwują. Zastanowił się, czy nie powinien raczej zawrócić, zamiast schodzić z urwiska.

Sięgało jednak bardzo daleko w obu kierunkach, stanowiąc naturalną barierę między nim a górami. Musi je pokonać albo bardzo mocno nadłożyć drogi.

Skrzydlaty kształt przeleciał znowu. Mirar wyczuł dumę, satysfakcję i cierpliwość. Serce mu zamarło.

On wie, że tu jestem...

W tej sytuacji równie dobrze może patrzeć, jak schodzę. Potem, pod osłoną drzew, o wiele łatwiej będzie zgubić pościg.

Zbliżając się do wioski klanu Piasku, Auraya nie zauważyła na horyzoncie żadnych czarnych statków. Wszędzie widziała Siyee: między altanami, przy brzegu i na niebie. Kiedy znalazła się dostatecznie blisko, przyjrzała się ich umysłom i odszukała Mówcę Tyrli.

Zanim jeszcze dotknęła stopami piasku, zgromadził się spory tłumek Siyee. Jedna z kobiet przyniosła ze sobą dwa naczynia, a Tyrli wręczył je Aurai. W jednym była woda, w drugim cierpkie jagody.

Przyjęła ten rytualny poczęstunek.

- Odebrałam twoją wiadomość, Mówco - powiedziała. - Gdzie widzieliście ten statek?

Wskazał na południe, z lekkim odchyleniem ku wschodowi.

- Był widoczny tylko z powietrza - powiedział. - Na żaglach miał znak gwiazdy. Moi ludzie polecieli tam i zobaczyli na pokładzie pentadriańską czarownicę.

- Ktoś go potem widział? - - Nie.

Dostrzegła w jego myślach obraz bezwłosego, ciemnoskórego dziecka - dziewczynki Elai. Martwił się, że mogła spotkać pentadrian, choć szansa na to była niewielka. Opanowała ciekawość, gdyż musiała się zająć ważniejszymi sprawami.

- Czy ktoś śledził ten statek? - spytała. Przytaknął.

- Z daleka i dopóki to było bezpieczne. Pożeglowali na południowy wschód, daleko w

morze. Do Borry.

- Lądowali? - Nie.

- Czy coś grozi Elai?

- Wątpię. - Pokręcił głową. - Elai nie stanowią dla nich zagrożenia, a jest ich zbyt niewielu, by zainteresowali pentadrian jako sprzymierzeńcy. Pewnie, mogą próbować ich nawracać, ale Elai byli stworzeni przez Huan. Nie wierzę, by się od niej odwrócili.

Ale to nie znaczy, że nie będą się starać, pomyślała, wspominając, co Juran mówił o pentadrianach, próbujących się osiedlać w innych krajach. Westchnęła.

- Powinnam o tym porozmawiać z Juranem. Mówca uśmiechnął się.

- Wejdź do mojej altany, Aurayo z Białych. Moja córka dopilnuje, by nikt ci nie przeszkadzał.

Auraya wahała się przez chwilę, nim przytaknęła.

- Oczywiście.

Nie miała pojęcia, dlaczego zaczęła się obawiać kontaktu z innymi Białymi.

Nie mogę ich wiecznie unikać, powiedziała sobie.

Zanim dotarła do altany Tyrli, przygotowała się na to, co zapewne będzie nieprzyjemną dyskusją. Córka Mówcy przyniosła wodę i talerz bardziej pożywnego od jagód jedzenia, po czym zostawiła Aurayę samą.

Ściany altany lśniły od światła słońca, które przepuszczała membrana. Auraya odetchnęła głęboko, przymknęła oczy i skierowała umysł na zewnątrz.

: *Juran?*

Chwila milczenia, a potem:

: *Auraya? Gdzie jesteś?*

: *Na wybrzeżu Si. Klan Piasku doniósł o pojawieniu się pentadriańskiego statku kilka dni temu.*

: *Czy pentadrianie lądowali?*

: *Nie. Odpłynęli na południowy wschód, w stronę Borry.*

: *Ale czego mogą chcieć pentadrianie od Elai?*

: *Nie wiem. Nie mają żadnych powodów, by atakować, a Elai raczej nie powitają radośnie oferty przyjaźni. Wiemy przecież, jacy są nieufni wobec ziemiochodzących.*

: *Tak.*

: *Powinnam to sprawdzić?*

Juran milczał przez czas kilku oddechów.

: *Nie. Jak radzą sobie Siyee z sercożerem?*

: *Och, zaraza dotarła wszędzie, prócz najbardziej oddalonych klanów. Sytuacja nie może się raczej pogorszyć.*

Znów przerwał.

: *Jakie masz zamiary wobec Mirara?* zapytał wreszcie.

Poczuła ucisk w piersi.

: *Nie mogę go zabić, skoro nie wierzę, że zasłużył na śmierć.*

: *Nawet jeśli bogowie osobiście ci to nakażą?*

Zawahała się.

: *Nie. Wtedy wszystko, co reprezentują... i co my reprezentujemy... straciłoby wartość.*

Przez długi czas trwała cisza.

: *Dyara i Rian odpływają dzisiaj do Si. Jeśli zabiją Mirara, uznasz, że wszystko, co sobą reprezentujemy, stało się bezwartościowe?*

Poczuła mdłości.

: *Może. Nie wiem.*

: *Ponad sto lat temu wykonałem wyrok na Mirarze, mając tak samo mało dowodów jego winy, jak ty dzisiaj. Czy wiedząc o tym, straciłaś dla mnie szacunek?*

Nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Zaprzeczanie byłoby nieuczciwe, a jednak nadal bardzo go szanowała.

: *Nasza sytuacja nie jest identyczna,* odparła w końcu. *Mirar nie otworzył przed tobą umysłu. Kiedy stanąłeś do walki, bogowie dopiero zaczynali ustanawiać prawa, których dziś przestrzegamy. Te prawa i zasady, które kazali mi złamać.*

: *Poprosili mnie, żebym im zaufał. Czy ty im ufasz?*

: *Może nie tak mocno jak przedtem,* wyznała. Mc *na to nie poradzę. Kiedy chcieli, żebym zachowała się niesprawiedliwie, straciłam wiarę, że nigdy więcej mnie o to nie poproszą.* Ogarnęło ją gorzkie rozbawienie. *Gdybym zabiła Mirara, przez całą wieczność nienawidziłabym siebie i kwestionowała mądrość bogów.*

: *Obawiam się, że w tej chwili i tak kwestionujesz ich mądrość.*

Uświadomił jej to... Miał rację, oczywiście. Nie było odwrotu - straciła część swego szacunku dla bogów i nie mogła udawać, że było inaczej.

Jestem Białą, myślała. Biali nie wątpią w bogów, którym służą. Jeśli nie potrafię odzyskać szacunku dla nich, to...

Zadrżała.

To nie powinnam być Białą.

: *Aurayo...*

Zaschło jej w ustach. Zmusiła się, by odpowiedzieć.

: *Co powinnam robić? Mam wracać do Jarime?*

: *Nie. Zostań w Si. Nie ma sensu, żebyś wracała, skoro lud nieba nadal cię potrzebuje.*

Przerwał kontakt. Auraya otworzyła oczy i poczuła łzę pod powieką. Jedyne, o czym w życiu marzyła, to zostać kapłanką i używać swych Darów, by pomagać ludziom. By służyć tym wspaniałym istotom, które są bogami.

Bogami, których kocham, pomyślała. Ale już nie tak całym sercem, jak dawniej. To zostało skażone. Zniszczone. Może ta miłość powinna być bardziej dojrzała. Może powinnam być jak Rian, skłonna uczynić w ich imieniu każdą rzecz, słuszną czy nie. Czy nie jestem samolubna? Jakie znaczenie ma moja wiara, że to, co robię, jest sprawiedliwe?

Ale to, że Białym zależy, by ich czyny były słuszne, musi przecież mieć znaczenie. Gdyby tak nie było, świat stałby się przerażający. I jest ważne, czy bogowie są dobrzy i sprawiedliwi. W przeciwnym razie, o jakie jeszcze nadużycia władzy mogliby prosić Białych?

Jeśli Mirar ma rację i bogowie rzeczywiście w przeszłości wykorzystywali swą moc w złych celach, co im zabroni znowu to czynić? A jeśli stworzyli cyrklian i Białych właśnie po to, by robić później co zechcą, bez żadnych sprzeciwów?

Lęk ścisnął jej żołądek. To była przerażająca myśl. Jeśli bogowie mieli złe zamiary, gdzie znajdowali się ludzie?

Na ich łasce...

Najbezpieczniej byłoby postarać się o ich przychylność. Zabić Mirara i służyć im wiernie. Powinna być lojalna jak Rian, tyle że jej bezwarunkowe posłuszeństwo wynikałoby ze strachu, nie z miłości czy lojalności.

Poczuła, że robi jej się słabo. Żyłaby w stanie bezustannego lęku, zmuszana do działań, o których wiedziałaby, że są niesłuszne. .. To by prowadziło tylko do cierpień. Do całej wieczności cierpienia.

Może nie byłoby tak źle, pomyślała. Nie. Bogowie nie są źli. Chcą śmierci Mirara, gdyż obawiają się, że zacznie krzywdzić śmiertelników. Są zbyt od nas oddaleni, by zrozumieć, że nie stanowi już zagrożenia. Ja jestem bliżej. Zajrzałam do jego umysłu. Wiem lepiej.

Ale jak to możliwe? Bogowie powinni być mądrzejsi od ludzi. Jeśli uwierzy, że się mylą, musi też uwierzyć, że mogą popełniać błędy. A przecież Biała nie powinna wątpić w bogów.

Oparła głowę na dłoniach, uświadamiając sobie prostą prawdę: Nie jestem godna tej

funkcji.

Załoga biegała po pokładzie *Strzały,* jakby ich życie zależało od tego, czy wykonają swoje zadania najszybciej, jak to tylko możliwe. Rian spojrzał na *Gwiazdę* - żeglarze na pokładzie tamtego statku starali się równie mocno. Dyara stała na dziobie. Wprawdzie mieli żeglować razem, ale przez najbliższe tygodnie będą się porozumiewać tylko myślowo.

Jakieś kroki zastukały na deskach pokładu. Obejrzał się i zobaczył Jurana.

- Rianie - odezwał się przywódca Białych. - Masz wszystko, czego ci trzeba?

- Tak.

Juran umilkł, kiedy na pokład wbiegł młody kapłan, niosąc drewnianą skrzynkę. Zbliżył się do nich nerwowo, postawił ją na pokładzie i nakreślił na piersi znak kręgu.

- Oto kopie, które zamówiłeś, Rianie z Białych.

- Dziękuję ci - odparł Rian. - Możesz odejść.

- Po co kazałeś skrybom pracować przez całą noc?

- To Kodeks Praw Sennonu, historie dawnych władców, kilka zamówionych przeze mnie opracowań na temat licznych działających tam kultów. Potrzebuję czegoś do czytania na czas rejsu, a nie chciałbym narażać oryginałów.

Juran zachichotał.

- Nie przyszłoby mi do głowy, że podczas rejsu będziesz miał czas na lekturę, skoro twój umysł będzie zajęty popychaniem statku, by płynął szybciej.

Rian wzruszył ramionami.

- Nie, ale kiedy załatwimy sprawę Mirara, możemy wracać już spokojniej.

Na twarzy przywódcy Białych widoczne były cierpienie i żal. Rian widział już u niego taką minę - pojawiał się za każdym razem, kiedy ktoś wspomniał o Mirarze. Już dawno zrozumiał, że zabicie Mirara musiało być dla Jurana ciężkim przeżyciem, a już z pewnością zawód wzbudziło odkrycie, że tkacz snów nadal żyje i znowu manipuluje śmiertelnymi. Nieśmiertelnymi zresztą również. Im szybciej on i Dyara uwolnią świat od Mirara, tym lepiej - i dla świata, i dla Jurana. Jednakże mówienie o tym nie miało sensu, gdyż tylko powiększało jego cierpienia.

- Zaczynam podejrzewać, że całe lata, może stulecia zajmie nam objęcie Sennonu naszą ochroną - stwierdził Rian, wracając do tematu dalekiego kraju. - Ci ludzie potrafią wierzyć we wszystko. Słyszałeś o nowym kulcie Stwórcy?

Juran uniósł brwi.

- Nie.

- Opiera się na idei, że cały świat, a nawet bogowie, zostali stworzeni przez jakąś

istotę wyższą i dla jakiegoś wielkiego celu. Ta istota nazywana jest Stwórcą. Człowiek, który prowadzi tę sektę, nie pokazuje żadnych wiarygodnych dowodów, ale przekonuje ludzi o prawdziwości swoich tez, wykorzystując skrzywioną logikę. Kult jest jeszcze nieliczny, ale rozrasta się z niepokojącą szybkością.

- Tak się zwykle dzieje z nowymi religiami. Jednak entuzjazm wyznawców gaśnie, kiedy odkrywają, że nieistniejący bóg nie gwarantuje żadnych korzyści... Zwłaszcza gdy zbliża się śmierć.

- Owszem. - Rian prychnął z niesmakiem. - Tak niewielu z nich czci bogów z szacunku czy podziwu. Zawsze chcą czegoś w zamian.

Juran uśmiechnął się lekko.

- Gdyby tylko szacunek i podziw były wymagane, równie dobrze mógłbyś oddawać cześć temu Stwórcy, co prawdziwym bogom.

Rian pokręcił głową.

- Wymagam jednak dowodu ich istnienia. Juran spojrzał na niego surowo.

- A ich dobroci? Co byś zrobił, gdyby poprosili cię o coś, co uważasz za niesłuszne?

Oparty o reling Rian skrył uśmiech. Domyślał się, że chodzi o Aurayę.

- Żaden czyn nie jest niesłuszny, jeśli to oni go nakazują.

- Nawet gdy jest sprzeczny z prawami i zasadami, których kazali nam przestrzegać?

- Muszą mieć jakiś powód, by sobie przeczyć. Zawsze istnieją okoliczności, w których można nagiąć prawo.

- A jeśliby to nie były takie okoliczności?

- Wtedy doszedłbym do wniosku, że nie znam sytuacji w pełni. Jeśli bogowie nie podają przyczyn działania przeciw prawu, muszę uznać, że nie mogą. I muszę wierzyć, że ich decyzja jest właściwa.

Juran zmarszczył czoło i potarł podbródek.

- Czyli nie wymagałbyś, żeby wyjaśnili ci przyczyny? - Nie.

Wyraźnie zamyślony Juran miarowo uderzał palcami o swoje ramię. Ze wszystkich czterech Białych on jeden chętnie prowadził religijne debaty z Rianem. Dyarze brakowało cierpliwości na to, co nazywała „bezproduktywnymi spekulacjami". Gdy kilka razy Rian starał się wciągnąć do rozmowy Mairae, ona czuła się wyraźnie nieswojo. Nie próbował rozmawiać z Aurayą. Parokrotnie nadarzyła się wprawdzie sposobność, ale jej nie wykorzystał. Nie o to chodzi, że wydawała się niezainteresowana - wręcz przeciwnie.

Podejrzewał jednak, że jej poglądy byłyby dla niego trudne do zaakceptowania.

- Czy bogowie podjęli kiedyś decyzję, z którą się nie zgadzałeś, ale przyjąłeś ją tylko

dlatego, że wierzyłeś w ich mądrość? - zapytał powoli Juran.

Rianowi na moment zamarło serce. Czy powinien się przyznać?

Zanim jednak cokolwiek zdecydował, Juran podjął z uśmiechem:

- Zgaduję, że twoje wahanie jest potwierdzeniem... Rian przytaknął.

- Ale później zrozumiałem mądrość tej decyzji. Juran zmrużył oczy.

- Jednak nie chcesz mi powiedzieć, co to było?

Rian pokręcił już głową, ale zmienił zdanie. Wobec ostatnich wydarzeń Juranowi może się przydać ta wiedza.

- W przeszłości mówienie o tym byłoby małostkowe, ale teraz może być ważne.

- Tak?

- Nie zgadzałem się z Wyborem Aurai. Juran ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Ale mówisz, że potem zobaczyłeś mądrość tego Wyboru...

- Tak. Okazywała się użyteczna.

- Mówisz w czasie przeszłym. Rian wzruszył ramionami.

- Nie potrafię zajrzeć w przyszłość. Nie wiem, czy kiedyś znowu okaże się przydatna.

- To brzmi tak, jakbyś uważał ją za zbędną.

- Nie miałem takiego zamiaru. Juran odwrócił głowę i westchnął.

- Jest z nami dopiero od roku. Czy zabicie Mirara nie było zbyt wielkim wymaganiem?

Rian zmarszczył czoło.

- A jaki limit czasu nałożysz na posłuszeństwo wobec bogów? Przysięgała im służyć od dnia swego Wyboru. I nawet wcześniej: od chwili, gdy została kapłanką.

Juran przygryzł wargę.

- Złożenie tej przysięgi nie oznacza, że jej wypełnienie jest łatwe.

- Zabiła Kuara.

- Nie mogę się nie zastanawiać, czy Mirar i tak nie wróci znowu do życia. Nie rozumiemy jego mocy.

- Spalę jego ciało, a popioły rozsieję po świecie - oświadczył Rian. - Wątpię, czy po czymś takim znów ożyje.

Juran przyjrzał mu się z nieprzeniknioną twarzą.

- A co twoim zdaniem bogowie powinni w tej sytuacji zrobić z Aurayą?

Młodszy mężczyzna zastanowił się.

- Okazała nieposłuszeństwo. Może rzeczywiście wahała się, gdyż była zagubiona albo niezdecydowana, ale przecież dali jej drugą szansę i nadal nie wykonała ich rozkazu. Wracają

moje wątpliwości co do jej Wyboru, ale zgodzę się na wszystko, co postanowią.

Juran w zadumie pokiwał głową. I zwrócił uwagę na żeglarzy: nie biegali już nerwowo, ale udawali, że pracują, czekając na sygnał, by odbić od brzegu. Żeglarze na *Gwieździe* także się niecierpliwili.

- Życzę ci bezpiecznej podróży, Rianie. Nie obciążaj zbytnio statku.

- Dyara nie pozwoli, żebym zaryzykował choćby niewielki przeciek - uspokoił go.

- Nie - zgodził się Juran ze śmiechem.

Rian patrzył, jak przywódca Białych schodzi na brzeg, a potem daje sygnał kapitanom obu jednostek. W pamięci zabrzmiały mu słowa wcześniejszej rozmowy z Juranem i Dyarą:

- Razem będziecie dość silni, by odeprzeć atak jednego z przywódców pentadrian - stwierdził wtedy Juran.

- Ale nie dwóch - zauważyła Dyara.

- Gdyby coś takiego nastąpiło, wezwijcie Aurayę. Tylko ona zdoła szybko do was dotrzeć.

- A jeśli odmówi nam pomocy? - spytał Rian.

- Coś takiego nie przyjdzie jej nawet do głowy - oświadczyła ze wzburzeniem Dyara. - Może i traci rozum, kiedy chodzi o Mirara, ale na pewno nas nie porzuci.

- A gdyby Mirar przyłączył się do pentadrian? - zapytał Rian.

Dyara i Juran wymienili ponure spojrzenia.

- Uważam, że to mało prawdopodobne - stwierdził mężczyzna. - W jego umyśle nie było żadnego sygnału o możliwości takiego przymierza. Gdyby istniała taka szansa, Auraya zachowałaby się inaczej. Ale gdyby coś takiego nastąpiło, nie macie innego wyjścia niż ucieczka.

Oba statki odsunęły się od nabrzeża.

Bogowie nas uprzedzą, tłumaczył sobie Rian. I Auraya nie będzie miała innego wyjścia. Musi odzyskać rozum albo zdradzi nas wszystkich.

42

Łódź zadrżała lekko, kiedy dno otarło się o piasek. Padł rozkaz, wioślarze szybko wciągnęli wiosła, wskoczyli do wody i wyciągnęli szalupę na brzeg. Reivan wstała i przeszła za Imenją na dziób. Razem wyszły na plażę i ruszyły ku grupie ciemnoskórych, bezwłosych mężczyzn.

Nietrudno było dostrzec wśród nich przywódcę. Król Elai nie nosił ubrania, poza parą krótkich spodni z materiału podobnego barwą do jego skóry, jednak całe ciało miał obwieszone biżuterią. Ze złotych łańcuchów zwisały wysadzane klejnotami medaliony w kształcie morskich stworzeń. Połączone rzeźbione muszle, polerowane tak, że lśniły niczym tęcze, tworzyły coś w rodzaju kamizelki. Wszystkie te ozdoby musiały sporo ważyć, ale utrzymywał dumną postawę, z wyprostowanymi plecami i ramionami. W dłoni trzymał włócznię, która - mimo że przystrojona złotem i klejnotami - wyglądała, jakby bez trudu mogła wytrzymać nie tylko ceremonialne zastosowania.

Miał niechętną minę.

Reivan skryła uśmiech. Imi uprzedzała je przecież, że ojciec wrogo odnosi się do cudzoziemców.

Wokół króla stanął pierścień wojowników Elai; wszyscy mieli zbroje i groźne miny, wszyscy ściskali włócznie. Imenja podeszła do tego kręgu i zatrzymała się. Najbliżsi wojownicy odstąpili, przepuszczając ją i Reivan do środka.

- Bądź pozdrowiony, Aisie, królu Elai - powitała go.

- Witaj, Imenjo, Drugi Głosie pentadrian - odpowiedział.

- Przybyłam tu, jak żądałeś. Czy księżniczka Imi wróciła do ciebie?

- Tak. Wróciła.

- Miło to słyszeć. - Uśmiechnęła się Imenja. - Odprowadziłabym ją aż do twojego boku, ale rozumiem, że macie powody, by nie ufać nieproszonym gościom.

Król zmarszczył czoło jeszcze bardziej.

- Jestem wam wdzięczny, że przywieźliście ją do domu - oświadczył oficjalnie. - Prosiłem o spotkanie tutaj, bym mógł przekazać podziękowania za to, że uwolniliście ją z rąk tych, którzy chcieli zrobić jej krzywdę, i za odprowadzenie jej do nas. - Uniósł rękę. - Jako nagrodę przynoszę wam to.

Wojownicy za jego plecami rozstąpili się, przepuszczając kilku równie groźnie wyglądających mężczyzn. Ci nieśli pakunki. Zatrzymali się przed królem i rozwinęli je,

ukazując pięknie kute złote i srebrne naczynia, wypełnione po brzegi biżuterią, szlachetnymi kamieniami, rzeźbionymi muszlami oraz - jak na ironię - suszonymi morskimi dzwonkami. Na ten widok Reivan przeszył dreszcz podniecenia.

- Są przepięknie wykonane - przyznała Imenja. - Bardzo jesteś szczodry w tych wyrazach wdzięczności, ale nie jestem pewna, czy mogę przyjąć te dary. Nie przybyliśmy tutaj po nagrody. Dostatecznym podziękowaniem jest pewność, że Imi bezpiecznie wróciła do domu.

Król spojrzał zdziwiony.

- Więc dlaczego nie odpłynęliście, kiedy już do nas wróciła? Dlaczego zostaliście tu i nie pożeglowaliście z powrotem do domu?

- Chciałam mieć pewność, że Imi jest bezpieczna. Nie mogłam odpłynąć, nie wiedząc, czy znowu jest z rodziną. Teraz, kiedy widzę, że tak się stało, odejdę stąd zadowolona, że wykonałam to, co obiecałam. Wcześniej jednak... mam tu pewne rzeczy należące do twojej córki, których nie mogła ze sobą zabrać, kiedy płynęła do miasta.

Obejrzała się i skinęła na czekających marynarzy.

Wyjęli z łodzi skrzynię darów od Nekauna i ponieśli ją do króla. Reivan uśmiechnęła się, rozbawiona wyjaśnieniem, że wszystko to należy do Imi. Gdyby Imenja powiedziała królowi, że to dla niego, z łatwością mógłby odmówić przyjęcia darów. Teraz nie mógł.

Marynarze weszli w krąg wojowników i ustawili skrzynię przed królem. Jeden z nich odsunął rygiel i otworzył wieko, po czym wszyscy skłonili się Aisowi i wrócili do łodzi.

Król zmarszczył czoło, widząc zawartość kufra.

- To wszystko należy do mojej córki? Imenja uśmiechnęła się.

- To dary od przywódcy mego ludu, Nekauna, Pierwszego Głosu. W mojej krainie mamy zwyczaj, by obdarowywać naszych gości z królewskich rodów. W przypadku Imi dopełnienie tej tradycji było prawdziwą przyjemnością. I chociaż zbrodni porwania nie dokonali nasi obywatele, jednak spędziła trochę czasu jako więzień na naszej ziemi. Nekaun uznał, że należy jej to wynagrodzić.

Król Ais pokiwał głową, spoglądając w zadumie na zawartość skrzyni. Po chwili zwrócił się do Imenji.

- Na mojej ziemi dobre uczynki są nagradzane. Zabierz moje dary do waszego przywódcy i przekaż mu je wraz z podziękowaniami.

- Tak uczynię, a ze swojej strony także składam podziękowanie w jego imieniu. Umiejętności waszych rzemieślników zrobią na nim wrażenie równie wielkie jak na mnie.

Raz jeszcze skinęła na marynarzy, polecając im zapakować skarby Elai i przenieść je

do szalupy. Kiedy wyszli z kręgu wojowników, znowu spojrzała na króla.

- Imi mówiła mi, że wiele kłopotów sprawiają wam piraci. Zaproponowałabym pomoc, gdybym wiedziała, że ją przyjmiecie.

- Jak możecie nam pomóc?

- Może ucząc was tego, co wiemy o magii, o sztuce wojennej, czy po prostu budowy ufortyfikowanych wiosek. Albo sprzedając wam broń.

- A co by wam z tego przyszło?

- Piraci atakują statki, przewożące towary pomiędzy Ithanią Północną i naszymi krainami. Wskutek tego nasi kupcy ponoszą wielkie straty. Przysłanie tu flotylli statków patrolowych byłoby niepraktyczne i kosztowne, nawet gdyby istniał odpowiedni port, mogący im służyć jako baza. Gdyby wasi ludzie stali się dostatecznie silni, by się bronić, w końcu mogliby nam pomóc zwalczać to zagrożenie. Wiem, że nasi kupcy dobrze by zapłacili za taką pomoc.

Król przyglądał się jej sceptycznie.

- Ty tak mówisz. Ja myślę, że raczej nas okradną. Imenja pokiwała głową.

- Mądrze czynisz, rozważając taką możliwość. Groźba, że będą wzięci za piratów, zmusi większość kupców do uczciwości, ale w takim przedsięwzięciu musisz być jednocześnie ostrożny i sprytny.

- Albo w ogóle go nie rozpoczynać. - Dumnie wysunął podbródek. - Dziękuję, że oddaliście mi córkę, Imenjo z pentadrian. Musicie stąd odpłynąć przed południem.

- Tak uczynimy, oczywiście - zapewniła go Imenja. - Gdybyś w przyszłości chciał wrócić do negocjacji, szukaj statku z czarnymi żaglami. Na pokładzie będzie Sługa Bogów, ubrany tak jak ja. Przekaże mi wiadomość od ciebie.

Odwróciła się i ruszyła do łodzi. Reivan szła za nią, z trudem hamując odruch, by obejrzeć się i zobaczyć minę króla. Pewnie nadal marszczy czoło i wypina pierś, pomyślała.

: *Nie poszło źle, prawda?* spytała Imenja.

Reivan zerknęła na Drugi Głos.

: *Nie wiem. Co wyczytałaś z jego myśli?*

: *Głównie podejrzliwość. Nie ufa żadnym ziemiochodzącym.*

: *Nawet tym, którzy oddają mu córkę?*

: *Nam zwłaszcza. Nieufność to jego siła. Ale wiem, gdzie leży jego słabość.*

: *Co to takiego?*

Jego córka. Obwinia siebie o jej porwanie. Widziała więcej świata, niż on potrafi sobie wyobrazić, i wróciła lepiej poinformowana od niego. Teraz trwa w nim ciężka bitwa

pomiędzy wyrzutami sumienia, zwyczajem spełniania jej kaprysów i świadomością, że nigdy nie będzie zadowolona, tkwiąc w mieście jak w więzieniu.

: *Przegrana bitwa?*

: *Na to liczę,* uśmiechnęła się Imenja.

Charakter miasta Karienne nie zmienił się od ostatniej wizyty Emerahl. Budynki wszelkich kształtów i rozmiarów mieszały się ze sobą, tworząc rozległą metropolię na obu brzegach niewielkiej i brudnej rzeki. Przez ostatnie kilkaset lat miasto niemal dwukrotnie powiększyło swój obszar, jeśli miałaby osądzać po tym, co widzieli z łodzi.

- Gdzie chcecie zejść na ląd? - spytała Emerahl, oglądając się na pasażerów.

Shalina zerknęła na męża.

- Nie zacumujesz przy głównym nabrzeżu? - zapytał Tarsheni.

- Mogłabym, ale opłata cumownicza byłaby całkiem solidna. Te mniejsze pomosty są tańsze.

- Z tego, co pamiętam, nabrzeże znajduje się blisko Głównego Rynku, gdzie przemawia Mędrzec. Chcielibyśmy zejść na brzeg jak najbliżej. Jeśli zapłacimy za miejsce przy nabrzeżu, pójdziesz z nami, by go posłuchać?

Emerahl zastanawiała się przez chwilę. Jakaś jej część pragnęła jak najszybciej płynąć w górę rzeki, do Czerwonych Jaskiń. Jednak inna czuła zaciekawienie tym Mędrcem. Podróż tutaj trwała długie miesiące - jaką różnicę zrobi dodatkowe pół dnia?

- No dobrze - zgodziła się. - Pójdę z wami i zobaczę, o co tyle zamieszania.

Wkrótce dotarli do granicy głównego portu i znaleźli miejsce wśród zatłoczonych nabrzeży i pomostów. Pomogła rodzinie przenieść bagaż z łodzi do miasta. Ulice były wąskie, a wiele z nich zadaszono, by chronić przechodniów przed słońcem pustyni. Prowadziły we wszystkich kierunkach, według wzoru niezrozumiałego ani dla niej, ani dla Tarsheniego. Na przemian stały tu domy, składy, sklepy, świątynie i baraki. Domy te nie zostały zbudowane równolegle do innych, więc ulice miały zmienną szerokość.

Na szczęście mieszkańcy byli przyjaźni i chętnie wskazywali drogę. Emerahl i jej pasażerowie wyszli z wąskiej, zatłoczonej uliczki i znaleźli się na otwartej przestrzeni.

Główny Rynek nie był zbyt duży w porównaniu z rynkami innych miast, ale po ciasnocie uliczek wydawał się ogromny. W rogu zebrał się spory tłumek. Oczy Tarsheniego błysnęły z podniecenia. Znaleźli niedaleko kwaterę i wytargowali ledwie akceptowalną cenę - oboje z żoną niecierpliwili się, by wreszcie zobaczyć człowieka, o którym wieści skłoniły ich do tak dalekiej podróży.

Kiedy tylko zostawili w wynajętym pokoju swoje rzeczy, wrócili na Rynek i podeszli

do grupy słuchaczy. Dorośli nie mogli się już doczekać, ich starszy syn wydawał się tylko podniecony gwarem dookoła, a maluch mrugał sennie oczami.

Tłum na obrzeżu grupy nie był zbyt gęsty. Tarsheni zwolnił, ale po chwili przecisnął się dalej. Emerahl nie widziała obiektu zainteresowania zebranych, ale słyszała go całkiem wyraźnie.

- Wszyscy jesteśmy dziełami Stwórcy - grzmiał donośnie. - Wy, ja, ten kapłan, o tam, arem ciągnący wasz wóz i reyn, którego dosiadacie... To wszystko jego stworzenia. Ptak, który śpiewa, i owad, który kąsa, są jego dziełem. Nędzny żebrak, bogaty kupiec, królowie i cesarze tego świata, kapłani i wyznawcy wszystkich bogów, Obdarzeni i nieobdarzeni, wszyscy są jego stworzeniami. Sami bogowie są...

Głos zamilkł i Emerahl usłyszała inny, słabszy i niewyraźny.

- Nie! - odparł Mędrzec. - To nieprawda. Studiowałem teksty i szukałem mądrości we wszystkich religiach. Żaden bóg nigdy nie twierdził, że stworzył świat. A przecież świat musi mieć stworzyciela. Stwórca...

Emerahl niemal zrozumiała kolejne pytanie. Postanowiła przebić się bliżej mówcy, porzucając zasłuchaną rodzinę.

- Istnienie świata jest wystarczającym dowodem! Tylko istota wyższa... Tak, zgadza się! Stwórca stworzył też istoty, które uważamy za złe. Ale dlaczego uważamy je za złe? Bo zabijają? Karmuk zabija i zjada inne zwierzęta, a jednak trzymamy karmuki w domach. Reyn zjada rośliny, a to przecież także żyjące stworzenia. Boimy się leramerów i vornów, bo mogą nas zabić, ale nie czynią tego ze złości, lecz z głodu. Nie lubimy ich, ponieważ pożerają nasze stada. Ale to niewygoda, nie zło.

Nastąpiła przerwa, potem słychać było parsknięcie. Kiedy dwaj ludzie obok niej nagle przesunęli się trochę, zauważyła przystojnego młodzieńca stojącego na drewnianej skrzynce; wznosił ręce, szykując się do kontynuowania przemowy.

Znieruchomiała zaskoczona, że Mędrzec jest taki młody. Podeszła jeszcze bliżej.

- .. .też byłyby złe. Dlaczego walczymy między sobą? Tego nie wiem. Dlaczego świat nie jest doskonały? Dlaczego od samych narodzin nie pojmujemy, nie rozumiemy wszystkich jego części? Najwyraźniej Stwórca tego nie zaplanował.

Stwórca uczynił świat zmiennym. Może po to, byśmy mieli po co się starać.

Emerahl zatrzymała się, widząc, że jest coraz bliżej grupki kapłanów i kapłanek. Wśród nich znalazł się nawet wysoki kapłan. Wprawdzie kilkoro cyrklian marszczyło niechętnie czoła, jednak inni słuchali z zaciekawieniem.

- Na mnie spadła próba zrozumienia Stwórcy - mówił dalej Mędrzec. - Wszystkich

was zachęcam, by się do mnie przyłączyć. Nie proszę was, byście z czegokolwiek rezygnowali. Z żadnej rodziny, majątku, zawodu, władzy, ani nawet religii. Uwierzcie w Stwórcę, a wtedy wszyscy razem: mężczyzna i kobieta, bogacz i biedak, Obdarzony i nie... wspólnie możemy się starać o rozwiązanie niektórych tajemnic życia.

Długo jeszcze przemawiał w tym samym stylu. Słuchacze odchodzili, a inni zajmowali ich miejsca. Emerahl wycofała się przez tłum do Tarsheniego z rodziną. Zauważyła, że cyrklianie zniknęli. Dwójka pentadrian także już odchodziła.

Nie widzę żadnych tkaczy snów, pomyślała.

Tarsheniemu oczy błyszczały z podniecenia.

- Muszę przynieść moje pergaminy i tusz - szepnął. - I co o tym myślisz? - zwrócił się do Emerahl.

Wzruszyła ramionami.

- Interesujący pomysł.

- Już to mówiłaś.

- Mówiłam też, że jeśli nie potrafi tego udowodnić, większość nie zwróci na niego uwagi.

- Czy istnienie świata nie wystarczy jako dowód?

- Nie - odparła szczerze. - Nie wydaje mi się, by cyrklianom podobał się pomysł, że jakaś istota wyższa stworzyła ich bogów.

Tarsheni wyszczerzył zęby.

- A kogo obchodzi, co myślą cyrklianie? Emerahl roześmiała się głośno.

- Rzeczywiście. - Z uśmiechem im się przyjrzała. - Myślę, że czas już się rozstać.

- Podróż z tobą to była prawdziwa przyjemność - zapewniła Shalina.

- Dla mnie również - odpowiedziała Emerahl.

- Dziękuję za to, że nas przewiozłaś - rzekł z powagą Tarsheni. - I za uratowanie nas przed tymi złodziejami w tunelu pod Przesmykiem.

- Gdybyście mi nie powiedzieli o tunelu, musiałabym sprzedać swoją łódź - przypomniała mu Emerahl. - Więc to dzięki wam nie zostałam okradziona, tak samo jak wy dzięki mnie.

Zaśmiali się oboje.

- Dokąd teraz popłyniesz?

- W górę rzeki.

- Sprawy rodzinne?

- Tak można je określić. Podobnie jak wy, ja również chcę się spotkać z kimś, o kim

wiele słyszałam, ale kogo nie poznałam osobiście.

- Mam więc nadzieję, że będziesz równie zadowolona ze spotkania, jak my. Żegnaj, Emmeo. I niech sprzyjają ci wiatry.

- Żegnajcie - odparła Emerahl. - I zapamiętajcie moją radę. Jeśli zacznie prosić was o pieniądze, nie oddawajcie ani jednej monety więcej, niż możecie sobie pozwolić. Spotykałam już fałszywych mędrców i wiem, jacy bywają sprytni.

- Będziemy ostrożni.

Emerahl odwróciła się od nich z uśmiechem i ruszyła do doków, do swojej małej łodzi, by rozpocząć ostatni etap wyprawy do Czerwonych Jaskiń.

43

Przynajmniej raz Auraya żałowała, że nie może wylądować w Przestrzeni, nie ściągając tłumu witających ją Siyee. Ich szacunek wydawał się teraz niesłuszny. Niewłaściwy. Nie zasługiwała na niego.

Zaraz po lądowaniu podeszła do niej Mówca Sirri z tradycyjnym poczęstunkiem. Zanim jednak Auraya zdążyła go zjeść, coś przemknęło po ziemi i skoczyło jej na ręce, wytrącając kubek i ciastko.

- Figiel! - wykrzyknęła. - To niegrzecznie!

Veez aż się skręcał z podniecenia. Nie potrafiła przekonująco go skarcić. Tak dawno go nie widziała i tak przyjemnie było znowu stać się przedmiotem prostego i bezwarunkowego zachwytu...

- Ałaja wróci - powtarzał. - Ałaja zostanie.

- No dobrze, Figiel. Auraya zostanie. A teraz... błeee! Przestań natychmiast.

Zauważyła wysunięty różowy języczek, za późno jednak, by go uniknąć. Złapała veeza i odsunęła na odległość ramienia, aby nie pozwolić mu na lizanie swojej twarzy. A potem spojrzała ponad nim i zobaczyła, że Sirri podnosi dłoń do ust, by powstrzymać śmiech.

Sama także uśmiechnęła się smętnie i rozejrzała zaskoczona, gdyż śmiechy dobiegały ze wszystkich stron.

- Bardzo przepraszam, Mówco Sirri - powiedziała. - Ostatnio zaniedbałam jego szkolenie, a ma wielki talent w nabywaniu nowych złych przyzwyczajeń.

- Obawiam się, że tego nauczyły go nasze dzieci. - Sirri opuściła rękę, odsłaniając szeroki uśmiech. - Uwielbiają go.

Figiel zaczął się wyrywać - nagle zapragnął znowu stanąć na ziemi. Puściła go, ale jęknęła głośno, kiedy rzucił się na kawałek ciastka. Gromada Siyee znowu wybuchnęła śmiechem. Auraya poczuła sympatię dla nich - zamiast obrazić się z powodu przerwanej ceremonii, dostrzegli humor całej sytuacji.

- Zostaniesz? - spytała Sirri. - A może wieczorem przyjdziesz do mojej altany na porządną kolację?

- Tak, bardzo chętnie, dziękuję. - Auraya podniosła Figla i położyła go sobie na ramieniu. - Jak tu wygląda sytuacja?

- Porozmawiamy o tym w drodze do twojej altany.

Sirri ruszyła, a Auraya dotrzymywała jej kroku. Mówca zachowywała milczenie,

dopóki nie znalazły się poza zasięgiem słuchu innych Siyee.

- Posłańcy z klanu Piasku donieśli, że niedaleko brzegu znowu widziano pentadriański statek. I że już cię o tym zawiadomili.

- To prawda - potwierdziła Auraya. - Ale zanim tam dotarłam, po statku nie było już ani śladu.

- Mamy kilka nowych przypadków sercożera. Pochodzą głównie z klanu Świątynnej Góry. Mówią, że ty ich tutaj przysłałaś. Odizolowaliśmy ich i teraz zajmują się nimi kapłani.

Auraya jęknęła.

- Tłumaczyłam Mówcy, żeby odsyłał tylko tych, którzy chorowali i wyzdrowieli. Co z innymi wioskami?

- Nawet najbardziej odległe klany przysyłają prośby o pomoc. Obawiam się, że nie dotrzesz na czas do nich wszystkich. Nie wiem, co robić. A z klanu Błękitnego Jeziora dotarły wieści o zniknięciu tkacza snów Wilara.

Dreszcz przebiegł Aurai po plecach na dźwięk tego imienia. Z myśli Sirri wyczytała, że Mówca nie zna przyczyny odejścia Mirara, ale posłaniec z Błękitnego Jeziora rozważał możliwość kłótni między nim a Aurayą.

- Wiem, że odszedł - odparła, starannie dobierając słowa. - I wiem dlaczego, chociaż nie mogę o tym mówić. Żałuję, że musiał, ale nic nie mogę zrobić, by mu pomóc.

Mogę za to czegoś nie zrobić, pomyślała.

Sirri była zaintrygowana, ale nie zadała głośno żadnego z pytań, które krążyły jej w myślach.

Po chwili dotarły do altany Aurai i Figiel zeskoczył z ramienia swej pani, by umknąć do środka.

- To przykre - stwierdziła Sirri. - Jeśli ty nie możesz pomóc, to kto?

- Tylko on sam...

I nagle Auraya przypomniała sobie o tej przyjaciółce, którą widziała w myślach Mirara. Czy kobieta, która pomogła mu odzyskać tożsamość, potrafiłaby jeszcze raz go wesprzeć?

Sirri odsunęła się.

- Wiele musimy omówić dziś wieczorem. Co masz zamiar teraz robić?

- Spróbuję przekonać Figla, żeby tu został, a potem odwiedzę nowych chorych.

Sirri kiwnęła głową i oddaliła się. Auraya weszła do altany. Rozejrzawszy się, zauważyła misę z owocami i dzban świeżej wody na stole. W myślach podziękowała temu, kto pilnował, by wszystko było gotowe na jej powrót, a także opiekował się Figlem.

Veez wspiął się do wiszącego kosza, którego używał jako posłania. Po chwili jego nosek wysunął się ponad krawędź, zwierzak stanął na brzegu i skoczył jej na ramiona.

- Jesteś chyba cięższy niż poprzednio - stwierdziła. - Robisz się gruby.

Podrapała go pod brodą.

- Figi gruby - zgodził się.

Parsknęła śmiechem. Rozpoznała słowo Siyee, oznaczające „gruby", ale widziała, że wyraźnie go nie rozumie. Ludzie pewnie powtarzali je w jego obecności dostatecznie często, by zaczął kojarzyć je ze sobą.

- Zaczepiałeś ludzi, żeby dawali ci jedzenie? - zapytała. Nie odpowiedział. Oczy miał zamknięte, wyraźnie zachwycony drapaniem.

- A teraz Figiel zostanie tutaj. Auraya pójdzie i... *:Gdzie ona jest? Ach, tutaj...*

Znieruchomiała - głos należał do Chai. Serce zabiło jej mocno. Figiel zeskoczył jej z ramienia, odwrócił się i spojrzał, strasząc wąsiki. Wyczuwał jej zdenerwowanie, ale nie jego powód. Po chwili na środku pomieszczenia zaczął się formować blask i veez uciekł do sypialni.

Auraya przełknęła ślinę, kiedy blask utworzył postać mężczyzny. Z ulgą odkryła, że Chaia się uśmiecha.

: *Witaj, Aurayo.*

: *Witaj, Chaio,* odpowiedziała.

Tęskniłaś za mną?

Przyglądała mu się przez moment, niepewna, co odpowiedzieć. Jego uśmiech był żartobliwy, jak zwykle kiedy był we frywolnym nastroju. Z jakiegoś powodu niepokoiło ją to i odpychało. Kiedy podszedł, musiała się powstrzymywać, by nie odstąpić.

: *Trochę trudno jest za kimś tęsknić, kiedy człowiek nie jest pewien, czy mu się spodoba, co ten ktoś zrobi albo czego zażąda,* oświadczyła, może nieco zbyt zuchwale.

Uśmiechnął się szerzej, wyciągnął rękę i dotknął jej policzka.

: *Zapewne. Ale pomijając to wszystko, nie brakowało ci naszych wspólnych nocy? Nie tęskniłaś za moim dotknięciem?*

W miejscu, gdzie jego palce przeniknęły skórę, poczuła cudowne mrowienie. Zadrżała.

: *Tak,* przyznała. *Trochę.*

: *Tylko trochę?* Nadąsał się. *Czyżbym był nie dość troskliwy?*

Nie zdołała powstrzymać uśmiechu.

: *Byłeś więcej niż troskliwy,* zapewniła i cofnęła się poza zasięg jego ręki. *Ale to tylko*

fizyczna rozkosz, Chaio. Tęsknię za nią. Czasami pragnę twojego dotknięcia. Ale...

: *Ale?* Uniósł brwi. *Nie tęskniłaś za mną, prawda? Nie kochasz mnie?*

Odwróciła wzrok. Teraz, kiedy wprost postawił jej to pytanie, wiedziała, że ma rację...

: *Nie w taki sposób, jak ludzcy kochankowie. Nie w taki...*

: *Nie w taki, w jaki kochasz Mirara,* dokończył. Cały dobry humor ulotnił się z jego twarzy.

W myślach Aurai błysnął gniew.

: *Nie. Nic w rodzaju tego, co czuję dla Mirara. Czy to na litości ci zależy?*

Przyglądał się jej, znowu rozweselony.

: *Chyba sam o to prosiłem. I wiem, że nie kochasz mnie tak, jak kiedyś kochałaś Leiarda.* Zmrużył powieki. *Co do mnie czujesz?*

Zastanowiła się.

: *Coś pomiędzy miłością do boga i miłością do przyjaciela. Myślę... myślę, że nazbyt się od siebie różnimy.*

: *Zawsze traktowałem cię jak równą, kiedy byliśmy razem sami. Ty także.*

: *Tak, ale tu nie chodzi o to, że udajemy równych sobie.* Potrząsnęła głową. Jej uwagę zwrócił jakiś ruch u wejścia do sypialni - to Figiel postanowił wyjrzeć na zewnątrz. *Może to podobnie nierealne, jak wymaganie, by Figiel czuł do mnie romantyczną miłość. On jest veezem, ja człowiekiem. Bogowie i ludzie są pewnie bardziej do siebie podobni niż ludzie i veezy, ale jednak za mało. Zbyt duże są różnice w naszym odbiorze świata. Tak wiele jest rzeczy, których nie uzyskamy od siebie nawzajem, a możemy uzyskać od naszego rodzaju. Ja...* Spojrzała na Chaię. *Ale przecież wiesz to wszystko. Widzisz mój umysł.*

: *Widzę tylko to, co jest,* odparł. *Nie to, co dopiero masz postanowić.*

Serce zabiło jej szybciej.

: *Widzisz więc, co już postanowiłam w innych sprawach. Co macie zamiar z tym zrobić, ty i inni bogowie?*

Wzruszył ramionami. Spoważniał.

: *Jeszcze nie zdecydowaliśmy.*

Zmarszczyła brwi.

: *Dlaczego nie?*

Ułożył wargi w kpiący uśmiech.

: *Nie zawsze we wszystkim się zgadzamy, Aurayo.*

: *A więc jakie możliwości rozważacie?*

: *Och, długo by o tym mówić...*

I zniknął. Ogarnął ją gniew i zniechęcenie.

: *Chaio?* Zmysły podpowiadały jej, że wciąż tu jest. *Chaio! Wiem, że nie odszedłeś. Wyczuwam cię.*

: *Wiem, że to potrafisz.*

Odchodził, ale zanim jej zmysły przestały go odczuwać, nadbiegły słowa, jakby niesione wiatrem.

: *Spodziewałem się, że odmówisz, Aurayo. Ale wiedz, że uczyniłaś sobie wroga z jednego z bogów.*

Jego głos ucichł całkowicie. Rozglądała się dookoła i zastanawiała, czy chodziło mu o to, że odmówiła zabicia Mirara, czy o jej przyznanie, że nie kocha go jak człowieka. I który z bogów stał się jej wrogiem? Chaia czy ktoś z pozostałych?

Imi powoli obeszła swój pokój, dotykając wszystkiego. Przez ostatnie kilka dni robiła to już wielokrotnie. Nie była całkiem pewna, czy w ten sposób chce samą siebie przekonać, że naprawdę wróciła do domu, czy raczej sobie uświadomić, jak wiele się zmieniło.

Rzeźby przy ścianach nigdy nie interesowały jej tak, jak teraz. Jako dziecko lubiła je z powodu tego, co przedstawiały: słynnych Elai, boginię Huan, morskie stwory. Teraz dostrzegała w nich dzieła sztuki i zastanawiała się, ile za takie rzeźby zapłaciliby ziemiochodzący.

Co jeszcze mogą im sprzedawać Elai?

Choć dawniej nie lubiła nosić tak cenionej przez dorosłych ceremonialnej biżuterii, teraz codziennie wybierała coś ze skrzyni. Swoje ulubione zabawki trzymała na półce, ale nie bawiła się nimi. Zamiast tego zadawała Teiti nieskończone serie pytań o historię Elai, o ziemiochodzących, którzy w przeszłości ich napadali albo oszukiwali, o magię i boginię. Kiedy ciotka nie potrafiła już na nie odpowiadać, odsyłała ją, by szukała informacji albo żądała spotkania z ludźmi, którzy opowiedzą jej o tym, co chciała wiedzieć.

- Wszyscy ziemiochodzący mają Dary, choćby niewielkie. Czemu nie my? - zapytała pałacowego czarownika, brzydkiego starego mężczyznę, zachrypniętego i z luźną skórą, która zwisała mu z kości jak materiał.

- Najstarsze zapisy mówią, że Huan wybierała mężczyzn i kobiety z najsłabszymi darami, by stali się Elai - odpowiedział. - Byli mniej odporni na zmiany, które w nich wprowadzała.

- Odporni? Nie chcieli zostać Elai?

- Chcieli, ale ci dysponujący magią odkrywali, że odwracają te zmiany, choć tego nie chcą.

- A co z Elai, którzy teraz mają Dary? Sami się przeistaczają?

Wzruszył ramionami.

- Rzeczywiście, mamy skłonność do chorób i szybciej się starzejemy.

- To samo dzieje się z Siyee? Przytaknął.

- Ale oni jednak wyszli na tym lepiej. Mają paru czarowników z całkiem silnymi Darami. A przynajmniej mieli dziesięć lat temu, kiedy ostatni raz ich odwiedzałem.

- A dlaczego lepiej na tym wyszli?

- Nie wiem - przyznał. - Dlaczego nie zapytasz głównej kapłanki?

Skorzystała z jego rady. Kapłanka, kobieta w wieku Teiti, wyjaśniła jej, że wszystko wygląda tak, jak zamierzyła sobie Huan.

- Czyli nie chce, żebyśmy się zmieniali?

- Niekoniecznie. Możemy się zmieniać. Ale jeśli zaczniemy się zmieniać w sposób, który jej nie odpowiada, będzie interweniować. To się już zdarzało.

Imi przemyślała to sobie, po czym zadała inne pytanie, które ją dręczyło.

- Czcimy tylko Huan. Co z innymi bogami? Dlaczego im także nie oddajemy czci?

- Ponieważ Huan nas stworzyła.

- I nie pozwala nam czcić innych bogów oprócz niej? Kapłanka uniosła powieki, ale nie ze zdziwienia. Imi mężnie zniosła jej dezaprobatę.

- Jacy są inni bogowie? - zapytała księżniczka.

- Chaia zawsze był znany jako bóg królów. Lore był bogiem wojny, Yranna boginią kobiet, a Saru bogiem bogactwa.

- Mówisz tak, jakby już nimi nie byli.

- Po Wojnie Bogów odrzucili dawne tytuły. Ale nadal pozostają one wskazaniami co do ich natury. Chaia ma charakter przywódcy i okazuje wielką mądrość we wszystkich sprawach związanych z utrzymywaniem i wykorzystywaniem władzy.

Imi pokiwała głową.

- A co z bogami pentadrian? Kapłanka wzruszyła ramionami.

- Nic o nich nie wiem. Podobno tylko pięcioro przetrwało Wojnę Bogów, a w niektórych krainach ludzie czczą martwych bogów tak, jakby byli prawdziwi.

- Sługa Reivan opowiadała mi, że kiedyś słyszała, jak bóg przemawia w jej umyśle. To całkiem jakby był prawdziwy.

- Mogła to sobie wyobrazić. Nic nie wiem o tych pentadriańskich bogach, ale też nic wiedzieć nie muszę. Huan jest naszą boginią i stwórcą. Nie trzeba nam innych.

- Nie. Ale dobrze byłoby dowiedzieć się wszystkiego o bogach innych ludów.

- A dlaczego?

- Na wypadek, gdyby Huan uznała, że powinniśmy się zmienić - odparła Imi. - Albo na wypadek, gdybyśmy zaczęli się zmieniać, a Huan by tego nie powstrzymała.

- Wątpię, czy spodobałoby się jej, gdybyśmy zaczęli wyznawać innych bogów.

- Nie sądzę, bo którykolwiek Elai chciał tego. Ale inne rzeczy się zmieniają, choć często wbrew naszym chęciom. Powinniśmy być gotowi na wszystko.

Słysząc to, kapłanka uśmiechnęła się do niej.

- Pewnego dnia będziesz dobrą królową.

Imi czuła się bardzo dumna, wspominając tę rozmowę. Już prawie zakończyła trasę wokół pokoju. Kiedy stanęła przed kolejną półką, ktoś zapukał do drzwi. Znieruchomiała.

Teiti wynurzyła się ze swojego „pokoju" w jaskini Imi i otworzyła drzwi. Zmarszczyła czoło, kiedy zobaczyła stojącego w progu chłopca.

- Wejdź, Rissi.

Chłopiec wyminął Teiti i podszedł do Imi. Zatrzymał się kilka kroków przed nią i skłonił się.

- Księżniczko - powiedział. - Przybyłem, by zdać ci raport z moich działań.

Teiti z aprobatą pokiwała głową, słysząc to oficjalne powitanie, po czym wróciła do siebie. Imi uśmiechnęła się do Rissiego. Po całym dniu próśb ojciec zgodził się w końcu, że kilka miesięcy uwięzienia to dostateczna kara dla chłopca, który wyprowadził ją z miasta na morze, gdzie została pojmana. Rissi nie gniewał się za to, że to ona ściągnęła na niego kłopoty. Zamiast tego w nieskończoność przepraszał, że nie zdołał jej powstrzymać ani uratować. Codziennie przychodził do pałacu i pytał, co może zrobić, by wynagrodzić jej jakoś swój błąd.

Teiti zaproponowała, aby Imi wymyśliła chłopcu jakieś użyteczne zajęcie, gdyż wyraźnie męczył się z poczuciem winy, choć niezasłużonej. To podsunęło księżniczce pomysł, by posyłać Rissiego na poszukiwanie informacji. Ojciec korzystał z pokoju z rurami, by podsłuchiwać mieszkańców miasta i poznawać opinie o swoich rządach. Ona używała dzieci.

Rissi prosił inne dzieciaki, by zadały rodzicom pewne pytanie. On sam miał zbierać i przekazywać jej odpowiedzi.

Pytanie brzmiało: Czy Elai powinni się przyjaźnić z ludźmi, którzy uratowali księżniczkę Imi?

Teraz uśmiechnęła się do Rissiego.

- I co mówią?

- Wynik jest remisowy - odparł. - Niektórzy uznali, że odpowiedź brzmi „tak". Inni,

równie wielu, że „nie”. Kilkoro nie uzyskało odpowiedzi albo jej nie zrozumiało, albo też ich rodzice nie mogli się zdecydować.

- Czyli połowa stanowczych odpowiedzi to „tak”, a połowa „nie” - zastanawiała się głośno Imi. - Chociaż na razie nikt jeszcze nie próbuje ich przekonywać.

- Ale chyba nie chcesz skłonić swojego ojca, żeby przyjaźnił się z ziemiochodzącymi, prawda? - zapytał niespokojnie chłopiec.

- Nie podoba ci się ten pomysł? Pokręcił głową.

- Ziemiochodzący cię porwali i zmuszali do pracy jak niewolnicę. Są niebezpieczni.

- Nie wszyscy - oświadczyła. - Pentadrianie byli dla mnie dobrzy.

Pokręcił przecząco głową, ale milczał.

- Dlaczego nie chcesz mi uwierzyć? - spytała. Zmarszczył czoło.

- Nie o to chodzi, że ci nie wierzę, ale... - Ale?

Spoglądał na nią niechętnie.

- Wystarczy, że trafi się jeden zły pomiędzy dobrymi, a wszyscy jesteśmy martwi.

- Nie, jeśli ich tutaj nie wpuścimy. Kiedy handlujemy, powinniśmy to robić gdzie indziej. I żądać, żeby zjawiało się ich tylko kilku. Możemy nawet kazać im zostawiać gdzieś dla nas towary, a w zamian dostarczać nasze.

- A jeśli wrócą i nas zaatakują? Jeśli piraci się zjawią, żeby zabrać towar?

- Powinniśmy przygotować szybką trasę ucieczki. Pamiętaj, oni nie umieją pływać jak my. Trzeba wreszcie przestać uciekać i się ukrywać. Musimy być zdolni do obrony.

- Mamy swoich wojowników.

- Którzy potrafią walczyć tylko jeden na jednego. Musimy radzić sobie lepiej. Potrzebujemy łuczników i fortyfikacji. I magii.

Rissi zadrżał.

- Nie podoba mi się to. Od wielu pokoleń jesteśmy tutaj bezpieczni. Po co to zmieniać?

- Ponieważ się nie rozwijamy. Spójrz na Siyee, Rissi. Są ich tysiące. My się tłoczymy tutaj. Musimy znowu zamieszkać na wyspach. Potrzebna nam przestrzeń, gdyż mamy zamiar się rozwijać. - Westchnęła. - Ojciec zaczął wspominać, że za parę łat trzeba mi będzie znaleźć męża. Spytałam Teiti, kogo mógłby wybrać, i znalazło się tylko pięciu odpowiednich chłopców czy młodych mężczyzn bliskich mi wiekiem, wszyscy są kuzynami i wcale ich nie lubię.

- Za kilka lat możesz polubić - wtrąciła ciotka, wciąż za kotarą w swoim „pokoju”.

- Chociaż wspominał, że jest możliwe, bym poślubiła dowódcę i wojownika, jeśli

zrobi na nim wrażenie... I to dlatego żeby do naszej rodziny wpuścić nieco świeżej krwi - ciągnęła Imi, całkowicie ignorując wypowiedź Teiti.

Twarz Rissiego stała się maską grozy.

- Mąż? Tak szybko? Kiwnęła głową.

- Myślę, że próbował zmienić temat z ziemiochodzących na jakiś inny.

Chłopiec parsknął śmiechem.

- Wyobrażam sobie. Z tego, co słyszałem, odkąd wróciłaś, ani na chwilę nie przestajesz rozmawiać o pentadrianach i Elai.

Zmarszczyła czoło.

- Myślisz, że inni też słyszeli? Uważasz, że mogło to wpłynąć na ich odpowiedzi?

Przewrócił oczami.

- Czy ty w ogóle myślisz o czymś innym? Wyprostowała się z godnością.

- Nie, kiedy muszę cały czas myśleć o przyszłości królestwa.

- Wcale się już nie bawisz? Może zajrzysz jednak do Dziecięcego Stawu?

Zawahała się.

- Ojciec mi nie pozwala - przyznała. - Nie chce, żebym się kontaktowała z niemądrymi młodymi ludźmi. - dodała z poważną miną.

Rissi odwrócił wzrok. Twarz mu poczerwieniała.

- W takim razie powinienem odejść.

Imi zamarła. Brakowało jej towarzystwa innych dzieci. Ten był chłopcem, ale przynajmniej bliższym jej wiekiem.

- Nie musisz - uspokoiła go. - Nie o to... Pokręcił głową i podszedł do drzwi.

- Muszę iść - powtórzył. - Mam się zgłosić w Stawie Wojowników.

- Wróć jutro - poleciła. - Mam dla ciebie następne pytanie, które powinny zadać dzieci.

Kiwnął głową.

- Tak uczynię, księżniczko. Do zobaczenia.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Imi skrzyżowała ramiona i westchnęła. Dlaczego to zrobiłam? zastanowiła się. Teraz będę musiała wymyślić jakieś dobre pytanie.

44

Po kilku dniach wędrówki Mirar zrezygnował z ukrywania się przed Siyee. Byli nieustępliwi w poszukiwaniach, a niewielkie miał szanse, by go nie zauważyli, kiedy dotarł do ośnieżonych zboczy gór, gdzie nie było już gęstych lasów. W końcu przestał nawet zasypywać śniegiem własne ślady.

Nie zbliżali się jednak. Co wieczór znikali między drzewami w dole, a każdego ranka widział ich znowu, jak krążą leniwie po niebie i go obserwują. Nie wyczuwał u nich żadnego gniewu czy niepewności, więc wątpił, czy wiedzą, w jakim celu go tropią.

Jednak ich emocje docierały do niego bezustannie, odbierając spokój. Śniły mu się koszmary, w których był ścigany przez wielkie oczy na lśniących białych skrzydłach. Ale tak bliskie towarzystwo Siyee miało też pewną zaletę: zmiana ich emocji mogła go uprzedzić o zbliżaniu się Białych. Jednak nie spodziewał się tego jeszcze przez wiele tygodni. Poza Aurayą, Białym ciężko byłoby dosięgnąć go w tych górach.

Codziennie budził się z pierwszym brzaskiem, oczyszczał umysł i wprowadzał się w senny trans. Z początku usiłował przywoływać Aurayę, ale nigdy nie odpowiadała na jego wezwania. Może go ignorowała. Może to bogowie blokowali próby połączenia. A może już nie żyje... Czasami myśli o tym dręczyły go przez cały dzień. Jeśli bogowie ją zabiją, część winy spadnie też na niego.

Kiedy nie mógł już znieść milczenia Aurai, wzywał Emerahl. Dzisiaj odpowiedziała oschle - pewnie wciąż była na siebie zła, że dzień wcześniej przypadkiem zdradziła miejsce swego pobytu.

: *Wczorajszy dzień był taki sam jak poprzedni,* relacjonowała mu tego ranka. *Tyle że zrobiło się grząsko. Rzeka rozgałęzia się w nieskończoność i pół dnia straciłam, by się przekonać, że te odnogi, które wybrałam, to ślepe zaułki. Ale zeszłej nocy zbliżył się do mnie jeden z ludzi z bagien. Powiedział, że ma wiadomość od przyjaciela Mewy: „Podążaj za krwią ziemi”.*

: *Krew ziemi...* zastanowił się Mirar. *Płyn i gleba. Muł z Czerwonych Jaskiń?*

: *Tak. Właściwie to dość oczywiste. Zauważyłem, że zabarwienie wody obejmuje kolory od mętnej czerni do mętnej czerwieni. Gdy tylko słońce wzejdzie odpowiednio wysoko, ruszam dalej. A co u ciebie?*

: *Moi obserwatorzy wciąż mnie śledzą,* odpowiedział.

: *Myślisz, że udałoby ci się ich zgubić?*

: *Nie, jeśli po drugiej stronie nie znajdę następnego lasu. Ale wtedy z pewnością zaczną patrolować brzeg pustyni i znowu mnie znajdą. Dopiero kiedy już wejdę daleko w pustynię, nie zdołają mnie ścigać. Nie mogą nieść takich zapasów wody.*

: *Nie, ale ty też nie. Będziesz musiał zatrzymywać się przy studniach albo kupować wodę od karawan. Każdy spotkany śmiertelnik może zdradzić bogom, gdzie jesteś.*

Miała rację.

: *Do tej pory musieli się już domyślić, że kieruję się ku wybrzeżom Si.*

: *Tak. Musisz w końcu dotrzeć do brzegu, jeśli chcesz się przedostać na południowy kontynent.*

: *Do którego nie dotrę, jeśli na brzegu będzie na mnie czekał ktoś z Białych.*

: *Znalazłam sposób, żeby poprawić twoje szanse.*

Zapaliła się w nim iskierka nadziei.

: *Jaki?*

: *Twój lud. jeśli nadbrzeżne miasteczka zapełnią się nagle tkaczami snów, czy ktokolwiek zauważy przybycie jeszcze jednego?*

Nie był to zły plan, choć miał pewne wady.

: *A masz jakiś sprytny pomysł, żeby ściągnąć tylu tkaczy na wybrzeże?*

: *Poproś tkaczkę Arleej, żeby ich tu przysłała.*

: *Jeśli skontaktuję się z Arleej, wyczuje, że się zmieniłem. Może mnie uznać za obłąkanego Leiarda.*

: *Owszem. Musisz ją przekonać, jak jest naprawdę, tak samo jak przekonałeś Aurayę. Ale tym razem nie zdradzaj nic na mój temat.*

: *Oczywiście. Ale jeśli dam światu znać, że wróciłem, konsekwencje będą poważne. Gdyby cyrklianie się dowiedzieli, że rzekomo zły czarownik Mirar przetrwał słusznie wymierzoną karę, mogą się zwrócić przeciwko wszystkim tkaczom snów.*

: *Mięć powiedz tylko Arleej. Poproś ją, żeby podała tkaczom snów jakiś inny powód wyruszenia do nadbrzeżnych wiosek. Lepiej by ci, którzy przyjdą ci z pomocą, nie wiedzieli, komu pomagają. Wszystko by się wydało, gdyby Biali zajrzeli któremuś w umysł. A ty, gdybyś nie był ubrany jak tkacz snów, ale jak zwykły wędrowiec, w ogóle nie zwracałbyś uwagi.*

Miała rację. W ten sposób znacząco zwiększyłby swoje szanse. Nie chciał się ujawniać przed własnym ludem, póki nie będzie pewny, że mu w ten sposób nie zaszkodzi. Może zaufać Arleej, że jego powrót zachowa dla siebie - tak jak trzymała w tajemnicy jego romans z Auraya, chociaż go nie aprobowała.

: *Myślę, że to może się udać. Dziękuję ci, Emerahl,* powiedział.

: *Dla przyjaciela - wszystko.*

: *Wszystko?*

: *Prawie wszystko,* poprawiła się natychmiast.

: *Życzę miłego dnia wiosłowania po bagnie.*

: *Ha, ha. A teraz odejdź i poprzeszkadzaj w spaniu tkaczce snów.*

Jej obecność odpłynęła z zasięgu zmysłów. Odczekał chwilę, by się przeorientować, a potem wywołał kolejne imię.

: *Arleej?*

W Arbeem jest pewnie mniej więcej ta sama pora co w Si. Arleej mogła się już obudzić, ale to niekoniecznie musi stanowić przeszkodę. Wykazała raz, że jest dostatecznie wrażliwa, by wyczuwać przywołanie - przed miesiącami, kiedy jej szukał, gdy Juran kazał mu się wynosić.

: *Arleej?*

Po kilku wołaniach usłyszał słaby, zaspany głos.

: *Halo? Kto to?*

: *Jestem tym, kogo znasz jako Leiarda.*

Poczuł, że połączenie słabnie, kiedy szok niemal ją rozbudził.

: *Leiard! Ale... Ty nie jesteś Leiardem. Nie brzmisz jak on.*

: *Nie. Jestem nim, ale również nie jestem. Wiele muszę ci wyjaśnić. Czy pamiętasz moje wspomnienia łącza Mirara?*

: *Tak.*

: *To nie były wspomnienia łącza. To były rzeczywiste wspomnienia. Jestem Mirarem.*

Milczała przez chwilę.

: *Kiedy ostatnio łączyłeś się z innym tkaczem snów?*

: *To nie jest złudzenie, wynikające z utraty poczucia tożsamości, Arleej. Stworzyłem Leiarda i stłumiłem własne wspomnienia, aby przeżyć. Pokażę ci.*

Wydobył na wierzch dawne obrazy. Czuł jej współczucie, gniew i zdumienie, gdy dowiadywała się, jak zdołał przetrwać. Wytłumaczył, w jaki sposób odzyskał własną osobowość, ale równocześnie zachował Leiardową. Kiedy skończył, Arleej milczała przez chwilę.

: *Czyli jesteś Mirarem,* stwierdziła w końcu.

Wyczuł jej rozbawienie.

: *Wyobrażam sobie, że nie snułeś planów na przyszłość, kiedy miażdżyły cię kamienie i konałeś pod gruzami dawnego Domu w Jarime. Skąd mogłeś wiedzieć, że dziecko, które*

uczyłeś, zostanie Białą? To niezwykła osoba. Ten szpital, który założyła w Jarime, okazał się wielkim sukcesem.

: *Szpital?*

: *Auraya zgromadziła razem tkaczy snów i kapłanów, aby leczyli ubogich, a także zachęcali do współpracy i tolerancji.*

: *Nigdy o tym nie wspominała.*

: *A rozmawiałeś z nią ostatnio?*

: *Tak. Razem leczyliśmy Siyee, którzy mocno ucierpieli od wyjątkowo zjadliwej odmiany sercożera.*

: *Nic nie słyszałam. Mam tam posłać tkaczy?*

Ogarnęły go wyrzuty sumienia. Gdyby wcześniej skontaktował się z Arleej, tkacze mogliby pokonać trudną drogę i dotrzeć do Si na czas, by udzielić pomocy. Ale starał się ukrywać, a poza tym żaden inny tkacz nie był tak potężny, by magicznie uzdrawiać, więc ich możliwości byłyby ograniczone. Z drugiej strony, nawet Siyee, których ciała potrafiły zwalczać chorobę, potrzebowali opieki, nim wyzdrowieli całkowicie.

: *Jeśli znajdą się tkacze snów skłonni podjąć takie wyzwanie, przyślij ich. Ale zanim dotrą na miejsce, Auraya może już zapanować nad chorobą,* uprzedził Arleej.

: *Może? Samodzielnie? Więc jej umiejętności są większe, niż sądziłam.*

: *Nauczyłem ją wszystkiego, co wiem o uzdrawianiu za pomocą magii,* zapewnił.

: *To bardzo szlachetnie z twojej strony, skoro ona należy do Białych.*

: *Wiem, że dobrze wykorzysta tę wiedzę.*

: *Tak. Masz rację. Szpital w Jarime jest tego dowodem.*

: *Nie było żadnych protestów? Żadnych kłopotów?*

: *Oczywiście, że były. Ale krążyła pogłoska, że chciała w ten sposób wykazać, iż kapłani i kapłanki są lepszymi uzdrowicielami. Dzięki temu ludzi nie kusiłoby, żeby się do nas przyłączyć.*

: *To nie może być prawda. Ona wie, że jesteśmy o wiele lepsi.*

: *Ale przecież nie mogła planować czegoś przeciwnego.*

: *Nie,* zgodził się. *Nie może zachęcać ludzi, by wstępowali w nasze szeregi. Juran nigdy by się na to nie zgodził, chyba że cyrklianie mogliby w ten sposób coś zyskać.* Przeszył go chłód. *Wiedzę. Zyskają od nas wiedzę o uzdrawianiu...*

: *Tak, ale nie całą. Wątpię, czy spróbują poznać metody łączy snów albo umysłów.*

: *Nie spróbują?*

Zawahała się.

: *A jak myślisz?*

Milczał przez chwilę.

: *W przyszłości ich postawy mogą się zmienić,* powiedział. *Za kilkadziesiąt lat, kiedy rozwiną się kariery kapłanów uzdrowicieli o otwartych umysłach, ogólne podejście do łączy złagodnieje. To daje jej czas, by pracować nad zmianą opinii Białych. Ona myśli jak nieśmiertelna.*

: *Myślałam tylko, że to szansa na poprawę naszej pozycji wśród ludzi i...*

: *I?*

: *Czasami mi się wydaje, że ważniejsze jest, by przetrwała nasza wiedza, niż żebyśmy sami przetrwali. Nigdy nie odmawialiśmy innym pomocy, nawet jeśli miało nam to przynieść szkodę.*

To go zaniepokoiło. Fakt, że obecna przywódczyni tkaczy snów ma takie poglądy, powinien go przerazić, ale nim zdążył jakoś dodać jej otuchy, uświadomił sobie, że sam uczył Aurayę z podobnych powodów. Nie mógł swobodnie wędrować po świecie i cudownie uzdrawiać chorych, więc przekazał jej tę możliwość.

Może byłoby lepiej, gdyby wiedza tkaczy snów trafiła do świata, a sam kult zniknął. W tej epoce tkacze mogli żyć tylko w izolacji, wśród prześladowań. Bogowie, poprzez Białych, byli nazbyt potężni.

Styl życia tkaczy snów, odmowa prowadzenia wojen, tolerancja i szlachetność mogą zaniknąć... Ale co się pojawi na ich miejscu? Dopóki taką filozofię reprezentowali tkacze, ludzie będą ją odrzucać. Gdyby tkacze snów nie istnieli, jacyś cyrklianie mogliby sami głosić podobne poglądy, nie narażając się na zarzut, że myślą jak poganie.

: *Teraz, kiedy już wróciłeś, znowu staniemy się silniejsi,* stwierdziła Arleej, interpretując jego milczenie jako konsternację.

: *Nie, jeśli nie przeżyję najbliższych tygodni. Kiedy uczyłem Aurayę, niechcący ujawniłem bogom swoją tożsamość. Uciekam teraz w stronę Sennonu.*

: *Nie mogłeś wrócić tylko po to, żeby tak szybko znowu zginąć! Czy mogę ci jakoś pomóc?*

: *Może. Siyee mnie śledzą i wiadomości o mnie dostarczają bogom i Białym. Kiedy dotrę do wybrzeża, chcę wsiąść na łódź i odpłynąć na morze. Siyee nie mogą lecieć za mną zbyt daleko. To moja jedyna szansa ucieczki. Ale jestem pewien, że ktoś z Białych będzie tam na mnie czekał.*

: *Co mogę zrobić?*

: *Poślij tkaczy na wybrzeże. Jak najwięcej. Zapełnij nimi uliczki kilku wiosek. Jest*

szansa, że przez którąś z nich zdołam się prześlizgnąć niezauważony.

: *Trochę potrwa, zanim dotrą na miejsce.*

: *Wiem, musimy dobrze to wyliczyć. Cyrklianie mogą odkryć, o co nam chodzi, i wypędzić stąd naszych. Istnieje też ryzyko, że jeśli mi się uda, spróbują się mścić.*

: *Jesteśmy przyzwyczajeni do unikania zagrożeń. A kiedy tylko tkacze snów dowiedzą się o tobie, będę miała aż zbyt wielu chętnych.*

: *Nie*, *Arleej, nie mogą o mnie wiedzieć. Inaczej Biali wyczytają w ich myślach, jakie mamy zamiary.*

: *Masz rację,* zgodziła się. *Wymyślę jakiś inny powód, żeby tam byli.*

: *Dziękuję ci.*

Jeśli przeżyjesz, spotkamy się jeszcze?

: *Mam nadzieję.*

: *Może odwiedzę południowy kontynent. Tkacze snów żyją tam swobodniej niż nawet ci z nas, którzy mieszkają w Somreyu.*

: *Nikomu nie będę zdradzał, kim jestem,* zaznaczył. *Pentadrianie mogą tolerować w swoich granicach tkaczy, ale nie muszą tolerować mnie. Połączę się z tobą znowu, kiedy będę już wiedział, przez którą wioskę przejdę.*

: *Uważaj na siebie.*

: *Będę. Do zobaczenia.*

Mirar wyrwał się z sennego transu i otworzył oczy. Poza wejściem do wąwozu, gdzie biwakował, niebo było ciemne i zachmurzone, zwiastujące złą pogodę. Nie zauważył nawet śladu Siyee.

Wstał, przyjrzał się czarnym chmurom i zaklął.

Chyba zbliża się zamieć...

Co prawda on nie dojdzie dzisiaj daleko, ale zamieć przynajmniej zdmuchnie z nieba obserwatorów. Chociaż raz dzień minie bez tego irytującego poczucia umysłów obserwujących go Siyee.

Wynurzając się spod pokładu, Reivan zobaczyła, że Imenja stoi na rufie. Głos z pochyloną głową opierała się o reling. W ciągu ostatnich dwóch dni już kilka razy zastała ją w takiej pozycji. Podeszła i stanęła obok; nie zaskoczyło jej to, że Imenja wpatruje się w wodę.

- Zadziwiające, jak spokojny wydaje się statek, kiedy Imi nas opuściła - stwierdziła. - Mam wrażenie, że załoga za nią tęskni.

- Owszem - zgodziła się Reivan. - Chyba że to tylko twoje poczucie przygnębienia.

Imenja spojrzała na nią zdziwiona.

- Przygnębienia?

- Tak. Cały czas patrzysz w dal albo na wodę.

- Patrzę?

- Tak. Zgaduję, że jesteś rozczarowana, bo odpływamy bez zawarcia przymierza.

- Źle zgadujesz - zapewniła z uśmiechem Imenja. - Sprawa się jeszcze nie skończyła, Reivan. Król mógł nas wprawdzie odesłać, ale to nie było ostatnie spotkanie. - Znowu wyjrzała za burtę. - Płyną za nami.

Reivan poczuła dreszcz podniecenia. Zbadała wzrokiem fale, ale nie dostrzegła śladu Elai.

- Czy oni wiedzą, że ty wiesz, że tam są? Imenja zaśmiała się głośno.

- Skomplikowane pytanie... Podejrzewają, że ich widziałam, ale nie są pewni.

- To dlatego wciągnęliśmy tylko główny żagiel?

- Tak. Nie chcę, żebyśmy byli dla nich za szybcy.

- A dlaczego?

- Po prostu mam nadzieję że los ześle nam jakąś okazję. Choć prawdę mówiąc, przeprowadziłam pewne badania, które mogą nam się przydać, tak samo jak zwykłe szczęście. Zanim odpłynęliśmy, zajrzałam w umysły kilku Elai, którzy widzieli piratów. Dowiedziałam się, gdzie najczęściej napadane są statki.

- I tam właśnie zmierzamy?

- Już dotarliśmy. Statek piratów jest na południu, poza horyzontem. Wychwyciłam słabe myśli załogi.

- Masz nadzieję, że na nas napadną?

- Nie, nie sądzę, żeby piraci nas zaatakowali. To nie jest statek handlowy. Nawet gdybym kazała zmienić żagiel na zwyczajny, potrafią rozpoznać kształt kadłuba.

- Więc zamierzasz odszukać ich i uderzyć? Czy to rozsądne? A jeśli Biali usłyszą, że zatopiliśmy statek? Mogą nie wiedzieć albo nie przejąć się tym, że to piraci.

Imenja zmrużyła oczy.

- Nie usłyszą o tym, jeśli nikt nie ocaleje.

- Ale będą świadkowie, jeżeli Elai wciąż będą nas obserwować.

- Chcę tego. Chcę dać im możliwość udziału w walce. - Imenja zmarszczyła czoło. - Ale nie wiem, jak to osiągnąć. Gdybyś była wojownikiem Elai, co byś zrobiła, żeby zaszkodzić wrogiemu statkowi?

- Trudno powiedzieć. Jaką przewagę mają nad nieprzyjacielem? Potrafią bardzo długo wstrzymywać oddech, więc mogliby bez trudu go utopić.

- Jeśli dostaną się do piratów. Chcę wiedzieć, co mogliby zrobić, żeby uszkodzić sam statek.

Reivan wzruszyła ramionami.

- Elai łatwo mogą się dostać do poszycia kadłuba. Nikt ich nie powstrzyma od prób jego uszkodzenia. Zdołają się przebić?

- Nie gołymi rękami.

- Ani swoimi włóczniami. Potrzebna im broń zbudowana specjalnie do tego celu. Albo magia.

- Niestety, żadnej nie możemy im ofiarować.

- Nie? - Uśmiechnęła się Reivan. - Na pokładzie na pewno mamy narzędzia ciesielskie.

- Ale czy będą dostatecznie mocne w bitwie?

- Może. A może nie. To zależy od tego, jak długo potrwa bitwa i ile narzędzi zostanie użytych.

- Jak jeszcze mogą walczyć z piratami? Powolnym krokiem dotarły już na dziób statku.

- Może mogliby zwabiać ich na rafy? - zaproponowała Rei - van. - Ale wątpię, czy to by coś dało. Piraci na pewno dobrze znają te wody. Może uda mi się wymyślić coś lepszego, jeśli dostanę trochę czasu i...

Nagle Imenja uniosła dłoń, by ją uciszyć. Spod przymkniętych powiek wpatrywała się w horyzont.

- Nasi piraci znaleźli sobie ofiarę. Tak... Statek handlowy żeglujący na zachód. Lepiej wymyśl coś szybko.

- Zdawało mi się, że Biali mają o tym nie usłyszeć. A może planujesz zatopić również ten statek handlowy?

- Nie. Uznałam, że przyda się nam, jeśli kilku kupców będzie wdzięcznych pentadrianom za ratunek przed rabusiami.

Reivan zachichotała.

- Możemy w jednej walce zaimponować dwóm narodom. Ale czy dojdzie do tej walki? Kiedy piraci zobaczą, że się zbliżamy, uciekną.

- A my ruszymy w pogoń. Dopilnuję, żebyśmy ich doścignęli.

Reivan ogarnęło podniecenie.

Nie mogę pozwolić, myślała, żeby odrobina magii oraz chęć wymierzenia sprawiedliwości uniemożliwiła mi dostrzeżenie konsekwencji...

- Jest możliwe, że jeśli kupcy dostatecznie mocno nas nienawidzą, zeznają, że to my byliśmy napastnikami.

- Biali potrafią odczytywać myśli - przypomniała jej Imenja. - Szybko dowiedzą się prawdy. Spójrz. - Wskazała na południe, gdzie nad horyzont wysuwały się ledwie widoczne żagle. - To piraci. - Mrużąc oczy, spojrzała ku wschodowi. - Statek handlowy jest przed nami.

Głos poleciła sternikowi odpaść od wiatru. Wykonał rozkaz, żagle obwisły, statek zwolnił i zatrzymał się. Reivan spojrzała zdziwiona na Imenję.

- Kupcy nie zauważyli jeszcze ścigających - wyjaśniła Drugi Głos. - A my na razie nie chcemy odstraszać piratów. Elai potrzebują czasu na przygotowania.

- Potrzebują?

- Tak. Pokażemy im, jak się używa narzędzi.

- Pokażemy? - Tak.

- Jestem pewna, że już umieją. Wśród darów, które dostałaś od króla, jest kilka naprawdę imponujących rzeźb.

- Owszem. Ale to, że mają utalentowanych rzemieślników, nie znaczy jeszcze, że wojownicy potrafią używać młotka i dłuta.

Imenja wezwała kapitana i udzieliła instrukcji, jak ma się przygotować do pościgu i bitwy. Potem przeszła na rufę i zawołała Elai po imieniu. Po chwili o kilka kroków od burty wynurzyły się dwie głowy.

- Jak bardzo nienawidzicie piratów? - zapytała wyzywającym tonem.

Obaj wymienili spojrzenia, ale milczeli.

- Mamy przed sobą piracki statek, który zamierza zaatakować jednostkę handlową. Planuję mu przeszkodzić. Pomożecie mi?

- Jak? - spytał jeden z wojowników.

- Pokażę wam. - Imenja skinęła na stojącego obok marynarza. - Przynieś nam narzędzia ciesielskie. Dłuta i młotki. Cokolwiek, czym można wybić dziurę w kadłubie statku.

- Czy to rozsądne, Drugi Głosie? - zapytał. - A jeśli postanowią nas też zatopić?

- Nie postanowią - zapewniła go. Marynarz odbiegł. Reivan przyjrzała się Elai. Wyglądają raczej na podejrzliwych niż pełnych entuzjazmu, pomyślała. Niełatwo będzie ich przekonać.

Ku jej zaskoczeniu, marynarz wrócił po chwili, niosąc kilka dłut i młotków. Domyśliła się, że gdyby w jakimś odległym miejscu statek wymagał naprawy, cała załoga powinna w tym pomagać, więc zabierali narzędzia dla wszystkich.

Dwaj Elai podpłynęli bliżej. W pewnej odległości wynurzyły się kolejne cztery głowy.

- Zademonstruj, jak się ich używa - nakazała Imenja. Marynarz rozejrzał się, potem chwycił cebrzyk, umieścił go między kolanami i zaczął odłupywać kawałki drewna. Imenja zwróciła się do Elai.

- Dam wam te narzędzia. Użyjcie ich, żeby przebić dno statku piratów. Woda wpłynie do środka i statek zatonie.

- Przecież nigdy go nie dogonimy - zaprotestował jeden z Elai.

- Dogonicie, jeśli wejdziecie na pokład. Mój statek jest szybszy od nich.

Dwaj Elai zniknęli pod wodą i wynurzyli się przy tamtej czwórce. Upłynęło kilka minut, po czym cztery głowy zniknęły i pojawiły się znowu przy burcie.

- Popłyniemy z wami - oznajmił jeden z nich. Marynarze rzucili im liny. Reivan uśmiechnęła się do Imenji.

- Nie mogę uwierzyć, że udało ci się ich przekonać.

- Są młodzi i tak jak Imi zniechęceni do przebywania stale w zatłoczonym mieście.

- A gdzie pozostali? - spytała Reivan, patrząc w miejsce, gdzie przed chwilą byli jeszcze dwaj Elai.

- Popłyną za nami w bezpiecznej odległości, na wypadek, gdyby się okazało, że to podstęp.

Osobiście powitała wchodzących na pokład Elai. Wskazała im statek piratów i wyjaśniła, że dościgną go za godzinę czy dwie. Potem przedstawiła Reivan.

Wojownicy Elai z trudem utrzymywali równowagę na rozkołysanym pokładzie. Jeśli Imenja ich onieśmielała, dobrze to ukrywali. Marynarz podał im dłuta i młotki, a Elai wzięli je pewnie. Reivan spostrzegła, że miała rację: wiedzieli, jak się używa takich narzędzi.

Statek szarpnął nagle do przodu - Reivan nie zauważyła nawet, że rozwinięto żagle. Liny i maszty zaskrzypiały, kiedy wiatr wzmógł się gwałtownie. Marynarze spojrzeli po sobie zdziwieni, ale Elai przyjęli zmianę spokojnie. Nigdy jeszcze nie przebywali na pokładzie statku, domyśliła się. Ten nieprawdopodobny wiatr to tylko kolejny zadziwiający element.

Przed nimi piraci zbliżali się już do statku handlowego, który był zbyt ciężki i powolny, by umknąć przed pościgiem. Każdy ruch w dalekim starciu wydawał się mozolny i rozważny.

- Zauważyli nas? - zainteresowała się Reivan.

- Tak - odparła Imenja. - Wierzą, że zdążą obrabować kupców i odpłynąć, zanim dotrzemy na miejsce. Poza tym żaden pentadriański statek ich jeszcze nie zaatakował.

Im bardziej się zbliżali do obu jednostek, tym szybciej zdawali się płynąć. Nagle

piraci zmienili kurs, porzucając zdobycz.

- Zrozumieli, że posuwamy się z większą prędkością, niż początkowo sądzili - mruknęła Imenja. - Teraz zaczyna się pogoń.

Czas uciekał. Minęli jednostkę handlową tak blisko, że widzieli zdziwione i wystraszone twarze marynarzy. Imenja pomachała im ręką, po czym wróciła do obserwowania piratów.

Odległość między statkami zmniejszała się szybko. Kiedy byli już tak blisko, że widzieli ludzi na pokładzie, piraci zawrócili gwałtownie - a przynajmniej tak gwałtownie, jak było to możliwe dla ich statku.

- Postanowili walczyć - stwierdziła Imenja. Odwróciła się do Elai. - Macie teraz szansę uderzenia na wrogów. Uważajcie. Kiedy tylko zrozumieją, co robicie, wypuszczą strzały w wodę.

Wojownicy przytaknęli, a potem bez słowa podeszli do relingu i wyskoczyli do wody.

- Trzymaj się blisko mnie, Reivan - rzuciła cicho Imenja. Powietrze zabrzęczało od dźwięku nadlatujących strzał.

Imenja podbiegła do burty i rozłożyła ręce, a strzały odbiły się od niewidzialnej bariery.

- To nie jest uczciwa walka - uznała Reivan. - Przecież absolutnie nie mogą z tobą zwyciężyć.

Drugi Głos parsknęła śmiechem.

- Wolałabyś, żebym stała z boku i pozwalała swoim ludziom ginąć w imię uczciwej walki?

- Oczywiście, że nie.

- Bądź pewna, że to złodzieje i mordercy. Nie zabijamy niewinnych.

Statek piratów minął ich o kilka kroków. Rzucili parę lin z kotwiczkami, ale odbiły się od bariery Imenji i plusnęły w wodę. Reivan spojrzała w dół, ale niewiele widziała pod powierzchnią.

- Jak idzie Elai? - zapytała. Imenja parsknęła cicho.

- Dobrze się bawią. Nie wiem, czy robią jakieś postępy, bo sami nie mają pojęcia. Ale piraci się niepokoją. Słyszą stukanie.

Jakiś mężczyzna stanął przy relingu statku łupieżców. Był dobrze ubrany; złoto migotało na jego rękach i piersi.

- To dowódca - odgadła Reivan.

- Owszem. Ma Talenty.

Mężczyzna rozłożył ręce i powietrze zafalowało. Imenja zaśmiała się cicho.

- To rzeczywiście nieuczciwe - przyznała. Zerknęła na marynarzy, którzy trzymali już gotowe do walki łuki. - Strzelać!

Zanim jednak strzały dotarły do celu, statek jakby potknął się w wodzie. Kilku piratów wybiegło spod pokładu, a ich przerażone krzyki przejęły Reivan chłodem. Z lękiem patrzyła, jak walczą między sobą o miejsce w niedużej szalupie. Ich kapitan także porzucił magiczny atak na Imenję, by zabezpieczyć sobie możliwość ucieczki łódką.

Statek przechylił się. Woda wypłynęła na pokład, a potem zalała go całkowicie. Bąble powietrza uniosły się na powierzchnię, a statek zaczął się zanurzać. Reivan patrzyła przerażona, jak ludzie wymachują rękami - najwyraźniej nie umieli pływać. Szybko zniknęli pod wodą. A potem zdała sobie sprawę, że ci, którzy pływali pewnie, także znikali, ściągani w dół przez widmowych napastników.

Zadrżała i odwróciła wzrok. Rozpaczliwe prośby i okrzyki gniewu cichły, aż w końcu zapadła złowróżbna cisza i Reivan usłyszała westchnienie Imenji.

- Już po wszystkim. Nikt nie ocalał. A Elai sami załatwili większość.

- Nikt? - Reivan obejrzała się i zauważyła w morzu małą szalupę, pływającą do góry dnem. - A co się stało z kapitanem?

- Zajęli się nim nasi przyjaciele z morskiego ludu.

Dwie ciemne głowy wynurzyły się nagle w pobliżu. Wojownicy Elai błysnęli zębami w szerokich uśmiechach.

- Dzielnie się zachowaliście - pochwaliła ich Imenja. - Właściwie nie daliście nam szansy, żeby ich zaatakować. Zatopiliście piracki statek całkiem sami.

- Nie dogonilibyśmy ich bez waszej pomocy - zawołał w odpowiedzi jeden z wojowników.

- Nie, ale widzieli, jak się zbliżamy, więc uciekali - odparła. - Sami moglibyście łatwo podpłynąć się do nich pod wodą.

- Chcecie, żeby wam oddać dłuta? Pokręciła głową.

- Zatrzymajcie je sobie.

Pojawiła się kolejna ciemna głowa. Wojownik podniósł w górę złoty puchar.

- Patrzcie! Ten statek jest pełen takich rzeczy.

- Zrabowane kupcom - stwierdziła Imenja. - Teraz są wasze. Podobnie jak do was powinien należeć skarb na każdym pirackim statku, jaki zatopicie.

Wojownicy uśmiechnęli się jeszcze szerzej.

- Ale musicie bardzo pilnować, żeby atakować tylko statki piratów - ostrzegła Imenja.

- Jeśli zatopicie statek handlowy, to znajdą się ziemiochodzący, którzy zechcą ukarać wasz lud za tę zbrodnię. Potężni ziemiochodzący z potężną magią... Przy nich piraci wydadzą się wam tak groźni jak dzieci. Mój lud nic nie zdoła uczynić, by ich powstrzymać.

Uśmiechy zbladły. Imenja uniosła dłoń na pożegnanie.

- Gratuluję wam, wojownicy Elai. Dzięki wam morze jest od dzisiaj nieco bezpieczniejsze. Płyńcie teraz świętować zwycięstwo wraz z waszym ludem.

- Tak - zgodził się wojownik z pucharem.

- Żegnajcie - zawołał inny. - Życzymy wam bezpiecznej podróży do domu!

- Wielkie dzięki za waszą pomoc!

- Do zobaczenia!

Czwarty Elai pojawił się na powierzchni - miał na szyi złoty łańcuch. Rozejrzał się, zobaczył odpływających kolegów i zanurkował za nimi.

Imenja odwróciła się i poleciła kapitanowi wziąć kurs do domu.

- Ale nie za szybko - dodała cicho. - Kiedy wiadomość o tym dotrze do króla Elai, nie chcę być za daleko. Inaczej jego zaproszenie do powrotu mogłoby do mnie nie dotrzeć.

Kapitan kiwnął głową. Imenja spojrzała na Reivan i uśmiechnęła się chytrze.

- To znaczy - dodała cicho - jeśli nie zirytuje go to, że młodych i naiwnych wojowników zachęcam do topienia pirackich statków.

45

Od chwili, kiedy znalazła się na mokradłach, każdej nocy miejscowi przekazywali Emerahl jakąś wiadomość. Pierwsza - „podążaj za krwią ziemi" - wydawała się dość oczywista, ponieważ trudno było przeoczyć czerwony muł, barwiący niektóre odnogi rzeki. Kiedy już cała woda miała taki sam kolor, „kieruj się do płaskiej góry" utrzymała ją na tym samym kursie. Co prawda nie mogła się poruszać w linii prostej, gdyż musiała kluczyć między wysepkami - od tak małych jak przesiąknięte wodą kępki trawy, aż po spore wzgórki stałego gruntu. Równocześnie unikała wody zbyt płytkiej, gdzie jej łódź nie mogłaby przepłynąć. Dzisiejszego ranka starała się „walczyć z najszybszym prądem", który - ku jej uldze - okazał się aż nadto głęboki i łódka mogła płynąć bezpiecznie, nie szorując dnem o błoto.

Kiedy grunt był już wystarczająco stabilny, by utrzymać coś więcej niż kępki trawy, roślinność stała się bujna i gęsta. Drzewa rosły cienkie i wysokie, a pnącza wiązały je luźno razem. Gdy zaczynały być zbyt wysokie jak na tę bagnistą glebę, opierały się o inne albo przewracały zupełnie, wyrywając z błota rozległe systemy korzeni.

Od czasu do czasu pojawiały się wyniosłe skalne iglice. Niektóre były szerokie, inne wąskie, a wszystkie oplecione roślinnością. Raz minęła głaz, który przewrócił się na sąsiedni. Górną połowę szczeliny między nimi zasnuł swą siecią pająk wielkości dłoni.

Teren był piękny, ale absolutnie niegościnny.

I nie ma ani śladu jaskiń, myślała Emerahl. Tutaj po prostu brakuje skał. Mam wrażenie, że czeka mnie daleka droga.

Ale już w chwili, kiedy ta myśl wpadła jej do głowy, zrozumiała swoją pomyłkę. Za zakrętem rzeki zobaczyła przed sobą skalny mur, ledwie wystający nad drzewa. U jego podstawy woda wyżłobiła płytkie zagłębienia - nie tak duże, by nazwać je jaskiniami, choć umożliwiające powstanie grot.

Serce zabiło jej trochę szybciej. Rzeka płynęła wzdłuż tego niskiego klifu i Emerahl zwalczyła pokusę, by pchnąć łódź z większą prędkością - nadal przecież pod mętną czerwoną powierzchnią czaiły się jakieś pnie i płycizny.

Skalny mur wyginał się, wabiąc rzekę na krętą ścieżkę. Prawie godzinę podążała za jej zakrętami. Gdy minęła kolejny, westchnęła z satysfakcją.

Rzeka rozszerzała się przed nią, tworząc spore jeziorko przed siecią zagłębień i grot. Zmarszczki na powierzchni wskazywały ścieżkę, którą płynie prąd - prowadził wprost do

wejścia do dużej jaskini. Emerahl sunęła wraz z nim. Zanim wpłynęła do wnętrza, spojrzała jeszcze na niebo i uśmiechnęła się ponuro.

Jaskinie, pomyślała. Dlaczego my, nieśmiertelni, zwykle trafiamy do jaskiń?

Przyćmione światło bagiennego lasu przygasało szybko, więc Emerahl stworzyła i posłała przed sobą iskierkę. Strop opadał stale, aż znalazł się tak nisko, że maszt zaczepiałby o skałę, gdyby nie złożyła go poprzedniego dnia, by nie plątał się w zwisających pnączach. Słabe światełko odsłaniało po obu stronach wyloty, prowadzące do labiryntu na wpół zatopionych komór i korytarzy.

Podążała z prądem coraz dalej w głąb skalnej bariery. Nie było żadnych zakrętów; słyszała jedynie bezustanny szmer płynącej wody. Powietrze wydawało się aż ciężkie od wilgoci, a cisza dzwoniła w uszach.

Nagle sklepienie przed nią wzniosło się poza zasięg jej światełka, skończyły się ściany i filary po obu stronach. Zwolniła, ostrożnie zbliżając się do tej pustki. Wzmocniła swoją iskrę, aż blask odsłonił wielką grotę. Jedynie fale spod dziobu jej łodzi naruszały płaską powierzchnię wody. Sklepienie było gładką kopułą. Po drugiej stronie zauważyła wąską półkę tuż nad powierzchnią wody.

Na niej stał wielki, gliniany dzban.

Pewnie tutaj powinnam wysiąść, domyśliła się.

Podpłynęła łodzią do półki, chwyciła cumę i wyskoczyła. Dzban był pełen czystej wody. Emerahl rozejrzała się dookoła. W pobliżu zauważyła dwa wyloty jaskiń; nad większym w skale wyryto symbol - dwa małe kółka połączone linią.

Emerahl poczuła szarpnięcie cumy - łódź dryfowała z prądem. Uświadomiła sobie, że nie ma jej do czego przywiązać. Po namyśle owinęła liną dzban i odstąpiła, gotowa go chwycić, gdyby się przesunął. Lina naprężyła się, ale dzban stał nieruchomo. Emerahl trąciła go - wydawał się dostatecznie ciężki. Odwróciła się więc i podeszła do groty oznaczonej dziwnym symbolem. Przesunęła swoje światełko, które ukazało jej niewielką komorę.

Pomieszczenie było okrągłe, a ściany wymalowane w punkty ułożone w skomplikowane wzory. Pośrodku stał kolejny dzban pełen wody. Krople wilgoci kapały do niego ze stropu.

- Kim jesteś?

Pytanie zadano szeptem, w dawno zapomnianej mowie. Nie potrafiła odgadnąć, z której strony napłynęły słowa. Wydawało się, że mówią jednocześnie dwie osoby, ale to mogło być tylko echo.

Emerahl zastanowiła się, jakie podać imię.

- Jestem... - Uświadomiła sobie nagle, że pytający może nie znać jej prawdziwego. - Jestem Wiedźmą.

- Dlaczego tu przybyłaś?

- Żeby się z tobą spotkać.

- Napij się zatem i witaj.

Emerahl podejrzliwie zajrzała do dzbana. Woda była tak czysta, że widziała wewnątrz dno. Czego miała się obawiać? Przecież Mewa nie posłałby jej w pułapkę. Nie, zwyczajnie przesadza z ostrożnością, jak zwykle. Zaproszenie jest pewnie zwykłym rytuałem, oznaką dobrych manier.

Zanurzyła w wodzie dłoń, nabrała trochę i wypiła.

Natychmiast poczuła palenie w ustach. Syknęła i odskoczyła, jakby to mogło powstrzymać ból, który zaczął ogarniać całe ciało. Dotknęła twarzy i z przerażeniem odkryła, że puchnie.

- Co...? - próbowała zapytać, ale nabrzmiałe wargi nie potrafiły formować słów.

Mewa mówił, że jego przyjaciel zignoruje mnie, jeśli nie zechce się ze mną spotkać... Nie że spróbuje mnie zabić! Dlaczego...?

Zamknij się, nakazała sobie. Zostałaś otruta! Musisz się ratować!

Wycofała się z komory, zataczając się, wróciła do łodzi i upadła na dno. Odrętwienie ogarniało całe ciało. Nie miała siły, żeby odciąć cumę.

Zamknęła oczy i posłała jaźń do wnętrza.

Efekt trucizny rozprzestrzeniał się od ust, gardła i żołądka. Zatrzymała jego postępy, blokując ścieżki, jakimi się przesuwała. Ile zdołała, pchnęła z powrotem do gardła, po czym zmusiła się, by wypluć truciznę i płyny, z którymi się zmieszała.

Potem ruszyła za tą częścią, która zdążyła skazić jej krew. Uczucie pieczenia prowadziło umysł przez kolejne organy i kończyny. Przekonała się że trucizna jest już zbyt rozrzedzona, by wyrządzić poważniejsze szkody, więc przyspieszyła bicie serca i odfiltrowała ją w organach wydalniczych. Zebrała całość w niewielką kroplę, którą usunęła z ciała.

Odetchnęła trzy razy, otworzyła oczy i usiadła.

- Gratulacje, Wiedźmo Emerahl. Właśnie przeszłaś próbę - stwierdził kobiecy głos.

- Mogłaś chyba wymyślić coś bardziej... uprzejmego - odparła niechętnie Emerahl.

Śmiech odbił się echem w całej jaskini - męski i młody. Czyli jest ich dwoje, pomyślała.

W głosie nie było złośliwości, ale spora dawka ironii. Wciąż nie potrafiła ocenić, skąd dochodzi.

- Gdybyśmy mogli, tobyśmy wymyślili - zapewnił mężczyzna. - Wybacz nam, Emerahl. Musieliśmy się upewnić, że jesteś tą, za którą się podajesz.

Emerahl wstała i przestąpiła z łodzi na półkę.

- Wolałabym zagadkę. Mężczyzna znów się roześmiał.

- Naprawdę? Wydają mi się irytujące i pretensjonalne. Rozejrzała się dookoła.

- Nie wiem nawet, kim jesteście, choć mam kilka pomysłów. Jak powinnam was wypróbować?

- Przejdź przez drugą jaskinię - odpowiedziała kobieta. Emerahl stanęła przed otworem wejścia i zawahała się.

- Nie martw się. Nie mamy więcej prób dla ciebie. Mimo tego zapewnienia, wchodząc do komory, Emerahl utrzymywała silną osłonę. Jaskinia była pusta. Nieregularne stopnie prowadziły w górę.

Zaczęła się wolno wspinać.

Doprowadziły ją do wnętrza dużej pieczary. Podłoże było nierówne, tu i tam zauważyła w nim otwory. W wyższych miejscach ułożono poduszki w jaskrawych kolorach. Ścienne wnęki kryły zwykłe domowe przedmioty: trzcinowe kosze, gliniane naczynia, drewniane figurki. Stał tam nawet wazon z kwiatami.

- Witaj, Emerahl. Czy wolisz: Wiedźmo? - odezwała się kobieta zza jej pleców.

Odwróciła się. Mężczyzna i kobieta siedzieli w dwóch niszach w skalnej ścianie. Oboje byli jasnowłosi, przystojni, ubrani z prostotą i tak do siebie podobni, że musieli być spokrewnieni. Co tylko potwierdziło jej podejrzenia.

- Jesteście Bliźniętami - stwierdziła.

Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, natomiast uśmiech kobiety był spokojniejszy, niemal wstydliwy. U obojga pojawiły się zmarszczki na twarzach, co zwróciło uwagę Emerahl na blizny, biegnące wzdłuż twarzy, policzków i ramion.

Blizny? Jeśli są nieśmiertelni, nie powinni mieć żadnych blizn.

Po chwili zauważyła jednak, że blizny z lewego boku kobiety odpowiadają tym na prawym boku mężczyzny... I nagle zrozumiała. Ta dwójka była kiedyś połączona. Blizny pozostawili świadomie, być może jako przypomnienie dawnej jedności.

- Jesteśmy - potwierdziła kobieta. - Mam na imię Tamun. - A ja Surim.

- Słońce i Księżyc - przetłumaczyła Emerahl. - W starożytnym veliańskim.

- Tak. Nasi rodzice sądzili, że przyniesie nam to szczęście. - I przyniosło?

Oboje porozumieli się wzrokiem. Surim wzruszył ramionami.

- Wyrośliśmy na osoby wyjątkowo Obdarzone. Niektórzy uważają to za szczęście.

- W pewnym stopniu - zgodziła się Tamun. Spojrzała na Emerahl i spoważniała. - Czy wybaczyłaś nam nasz mały test? Pewne próby może przejść jedynie ktoś z nieśmiertelnych, a musieliśmy mieć pewność.

Emerahl rozłożyła ręce.

- Być może postąpiłabym tak samo, gdybym się obawiała oszustwa.

Tamun kiwnęła głową.

- Przez wieki słyszeliśmy tylko pogłoski o tobie. Mimo nieuprzejmego powitania, naprawdę chcieliśmy cię poznać.

- Ja was także - odparła Emerahl. - To dziwne, że tak długo już żyjemy, a jednak nigdy się nie spotkaliśmy.

Surim znów wzruszył ramionami.

- Nierozsądnie jest przechwalać się swoją nieśmiertelnością, zwłaszcza w obecnych czasach. Jeśli my, nieśmiertelni, mamy jakąś wspólną cechę, to właśnie trzymanie się na osobności.

- A jednak ja czułam, że powinnam szukać innych nieśmiertelnych.

- Paradoksalnie to właśnie rosnące zagrożenie w tych czasach skłania nas do szukania swego towarzystwa - stwierdziła Tamun.

- I wsparcia - dodał Surim.

- Więc wy także szukaliście innych Dzikich? - spytała Emerahl.

Tamun zmarszczyła nos.

- Dzicy... Tak nazwali nas bogowie. Przedtem nazywaliśmy siebie nieśmiertelnymi i tak powinno zostać.

- Tak - rzekł Surim, odpowiadając na pytanie Emerahl. - Szukaliśmy.

Wstał, podszedł do Emerahl i ujął ją za ręce.

- Zbyt długo byliśmy sami. Potrzebujemy towarzystwa.

- Przez ostatnie sto lat obserwowaliśmy świat przez oczy śmiertelników, ale nie daje to takiej satysfakcji, jak przebywanie wśród nich - zgodziła się Tamun.

Wstała i przeciągnęła się.

- Chodź, usiądź.

Surim zaprowadził Emerahl do stosu poduszek. Tamun zajęła miejsce obok, przysunęła sobie małe krosno i zaczęła tkać; jej palce poruszały się z pewnością i zręcznością kogoś, kto od dawna ćwiczył się w tej sztuce.

- Zawsze się zastanawiałam, co takiego robicie wy dwoje - rzekła Emerahl. - Z tego, co słyszałam, jesteście prorokami. Jak Wyrocznia.

Surim parsknął śmiechem.

- Nigdy nie twierdziliśmy, że umiemy przewidywać przyszłość - wyjaśniła Tamun. - Nie tak, jak Wyrocznia. Zresztą ona też nie potrafiła. Wykorzystywała umiejętność czytania w myślach, żeby odkryć, co dana osoba chciałaby usłyszeć, a potem dawała wieloznaczne odpowiedzi.

- Pisała absolutnie przerażające poezje i nazywała to proroctwami - dodał Surim i lekceważąco machnął ręką. - Wszystkie te bzdury o zaginionych dziedzicach i magicznych mieczach... Wszyscy wiemy, że miecze nie mogą być magiczne.

- Chyba że są zrobione z powitalnego drzewa ;albo czarnego koralu - wtrąciła Tamun.

- Ale wtedy są całkiem bezużyteczne jako fizyczna broń. - Surim spojrzał na Emerahl i uśmiechnął się. - Nie przejmuj się nami, moja droga. Kłócimy się tak od setek lat. Opowiedz nam coś o sobie... i o świecie. Mewa przekazuje nam informacje, ale słyszy tylko plotki i pogłoski. Ty zaś na własne oczy widziałaś niedawne wydarzenia.

Emerahl zaśmiała się cicho.

- Na pewno Mewa wam o tym mówił. Rzeczywiście, widziałam to i owo. I nie dlatego że chciałam.

I zaczęła opowieść o tym, jak to ponad rok temu kapłan wypędził ją z latarni.

Auraya krążyła po altanie.

Przez ostatnie tygodnie latała po całym Si, odwiedzając wioski, gdzie panował sercożer. Wszędzie nakazywała budowę trzech altan, tak jak to zrobił Mirar w wiosce klanu Błękitnego Jeziora. W każdej wiosce uczyła Siyee, jak przygotowywać leki i jak oceniać, czy dla przezwyciężenia choroby pacjent będzie wymagał magicznej pomocy. Teraz, kiedy odwiedzała wioskę, mogła zająć się tymi, którzy najbardziej tego potrzebowali, a potem lecieć dalej.

Jednak rano skontaktował się z nią Juran; przekazał wiadomość, że dzisiaj przy Ołtarzu bogowie wydadzą na nią wyrok. To ją zmusiło, by czekać w altanie; wiedziała, że chorzy Siyee potrzebują jej pomocy, a ona nie miała tu nic do roboty. Zauważyła, że wykręca ręce, jak miała w zwyczaju jej matka, kiedy się niepokoiła. Rozłożyła je na boki i westchnęła ciężko.

Och, dość tego czekania. Chciałabym, żeby bogowie ogłosili swoją decyzję i zakończyli sprawę.

Ściskało ją w żołądku, kiedy krążyła po pokoju. Pamiętała słowa Chai: „Uczyniłaś sobie wroga z jednego z bogów". Jednego z bogów. Nie dwojga. Z całego Kręgu Huan i Chai dała najwięcej powodów, by jej nie lubili. Czy nieposłuszeństwo wobec Huan mogło uczynić

ją wrogiem? Możliwe. Czy odrzucenie względów Chai mogło uczynić z niego wroga? Też możliwe.

Wiedziała, że bogowie nie zgadzali się ze sobą co do jej losów. Po której stronie stawało każde z nich? Chaia sugerował, że to Huan najbardziej rozgniewała jej odmowa. Ale co myśleli pozostali?

: *Aurayo?*

Lęk chwycił ją za gardło, kiedy rozpoznała myślowy głos Jurana.

: *Juranie? Już czas?*

: *Tak. Mairae i ja jesteśmy przed Ołtarzem.*

Kiwnęła głową, zapominając, że nie może jej widzieć. Podeszła do krzesła i usiadła. Figiel wylazł ze swojego kosza, zszedł po ścianie altany i zwinął się w kłębek na jej kolanach. Teraz, kiedy robiło się coraz zimniej, wykorzystywał każde ciepłe ciało, które dłużej niż kilka chwil pozostawało bez ruchu.

Skoncentrowała się na umyśle Jurana, zamknęła oczy i pozwoliła, by dotarło do niej to, co widzi. Był w Ołtarzu, między uniesionymi ścianami. Mairae siedziała na swoim miejscu. Auraya wyczuwała, że Dyara i Rian są połączeni z Juranem. Kiedy wszyscy byli gotowi, Juran rozpoczął krótki rytuał.

- Chaio, Huan, Lore, Yranno, Saru. Raz jeszcze dziękujemy wam za pokój, który przynieśliście Ithanii, i za Dary, które otrzymaliśmy. Dziękujemy wam za mądrość i wasze wskazówki.

- Dziękujemy wam - wymruczała Mairae.

Auraya usłyszała, jak Dyara i Rian wypowiadają w myślach te słowa i sama je powtórzyła.

- Daliście znak, że jesteście gotowi, by osądzić Aurayę za jej odmowę wykonania wyroku na Mirarze. Proszę, zjawcie się. Witajcie między swymi pokornymi sługami.

- Prowadźcie nas.

Przez oczy Jurana Auraya zobaczyła, że w czterech miejscach rozjarza się powietrze. Światło z wolna nabrało kształtu, formując postacie Huan, Lore'a, Yranny i Saru. Zastanowiła się przez moment, gdzie jest Chaia, ale Juran odwrócił głowę i przekonała się, że bóg stoi po jego prawej stronie.

: *Juranie, Dyaro, Rianie, Mairae i Aurayo,* rzekł Chaia. *Wybraliśmy was, byście nas reprezentowali i działali w naszym imieniu w świecie śmiertelnych. Aż do tej chwili byliśmy zadowoleni z waszej pracy.*

: *Dbaliśmy o to, by powierzać wam jedynie takie zadania, jakie potraficie wykonać,*

dodała Yranna. Spojrzała na przywódcę Białych. *Jeden raz, dawno temu, zmuszeni byliśmy prosić jedno z was, by działało wbrew własnemu sercu. Ostatnio nie mieliśmy wyboru i musieliśmy prosić o to samo.*

: *Jednak tym razem zadanie nie zostało wykonane,* zahuczał Lore.

: *Dwukrotnie je nakazywaliśmy i dwukrotnie nam odmówiono,* oświadczył Saru.

Huan spojrzała Juranowi w oczy i Auraya poczuła dreszcze, gdy uświadomiła sobie, że bogini nie patrzy na Jurana, ale na nią. Lęk skruszył jej stanowczość. Jak mogła się sprzeciwić woli bogów, których zawsze wielbiła?

A jak mogłabym oddawać cześć istotom, tak łatwo potrafiącym odrzucić prawa i zasady, które same ustaliły?

: *Zdajemy sobie sprawę, że dla Aurai taka odpowiedzialność jest czymś nowym,* podjęła Huan. *Ale brak doświadczenia nie powinien być przeszkodą w wykonywaniu obowiązków. Niektórzy z was uważają, że powierzone jej zadanie nie pasowało do jej charakteru. Jednak od każdego z was oczekujemy, że kiedy zajdzie potrzeba, wykona także nieprzyjemne obowiązki.*

: *Auraya uważa, że nasza decyzja była niesprawiedliwa,* rzekł Lore. *Ale osądziliśmy Mirara już sto lat temu i wyrok się nie zmienił.*

Auraya pohamowała odruch protestu. Przecież Mirar się zmienił, myślała. Nie jest już tym samym człowiekiem.

: *Czas, choćby nawet stulecie ukrywania się za inną tożsamością, nie przekreśla zbrodni, jakie popełniał w przeszłości,* dodała Huan.

Te zbrodnie były zbyt drobne, by usprawiedliwić karę śmierci, pomyślała. Ale milczała. Bogowie wiedzieli, co o tym myśli. Nie warto ich teraz przekonywać.

: *Auraya domaga się sprawiedliwości dla zaspokojenia własnego sumienia,* dodał Saru. *Nie można tego robić za każdym razem, kiedy prosimy was o zlikwidowanie przestępcy.*

: *W takich chwilach musicie nam zaufać,* powiedziała cicho Yranna. *Kiedy konieczne jest pilne działanie, a sprawiedliwość naszej decyzji trudna do zrozumienia.*

Wzrok Huan przesunął się w górę i Auraya odgadła, że bogini spogląda na Chaię.

: *Postanowiliśmy, że Auraya musi powrócić do Jarime,* rzekł Chaia. Czy tylko to sobie wyobrażała, czy w jego głosie rzeczywiście zabrzmiało znużenie i niechęć? *Nie wolno jej opuszczać Jarime przez dziesięć lat, chyba że Ithania Północna zostanie zaatakowana, a jej będzie towarzyszył ktoś z Białych.*

Chaia przerwał. Auraya czekała na dalszy ciąg.

: *Taki jest nasz wyrok,* dokończył bóg.

Zaskoczona, pozwoliła sobie na ulgę. To wszystko? Nie odebrali jej Daru lotu? Owszem, dziesięć lat to długo, jeśli musi tkwić w jednym miejscu...

: *Auraya musi jutro opuścić Si i wrócić do Jarime,* oznajmiła Huan.

Jutro? Auraya zamarła.

: *Co z sercożerem?* zapytała odruchowo. *Kto będzie leczył Siyee, jeśli ja odejdę?*

: *Będą musieli sami sobie radzić z zarazą,* odparła bogini. *Zabija tylko co piątą osobę. To smutne, ale przetrwają.*

Przerażona Auraya nie znalazła na to odpowiedzi.

: *Czy przyjmujesz wyrok?* spytała bogini.

Aurayę ogarnęła słabość. Tylu Siyee umrze... I tylko z jej powodu...

: *Aurayo!*

TL trudem skupiła swe myśli na bogini.

: *Jeśli muszę... Tak, wrócę do Jarime.*

Huan kiwnęła głową; oczy błyszczały jej zadowoleniem. A potem, nie wypowiedziawszy już żadnego słowa, bogowie zniknęli.

Etim stał sztywno wyprostowany przed królem. W jednej ręce trzymał swoją włócznię, w drugiej ściskał dłuto i młotek, które dostał od pentadrian.

- Czego chcą w zamian? - zapytał król.

- Niczego, panie.

Król Ais zmarszczył czoło. Odwrócił głowę i spojrzał na młodą dziewczynę u swego boku. Położyła mu dłoń na ramieniu.

To pewnie księżniczka Imi, uznał Etim. Wydawała się starsza, niż sobie wyobrażał. Nie chodziło tylko o to, że ubierała się jak dorosła, ale o dojrzałość jej spojrzenia, gdy uśmiechała się do ojca.

- Imenja potrafiłaby pewnie sama zatopić ten statek, ojcze. Poprosiła naszych wojowników, by to zrobili, żeby udowodnić nam, że możemy walczyć z piratami, nie narażając się na zbyt wielkie ryzyko.

Król spochmurniał jeszcze bardziej.

- Ta twoja kapłanka wplątała nas w wojnę. Kiedy piraci się dowiedzą, że zniszczyliśmy jeden z ich statków, zaatakują nas z wielką siłą.

Oni nie wiedzą, pomyślał Etim. Ale nie mógł się odzywać niepytany. Zawiedziony, przestąpił z nogi na nogę.

Król zauważył jego poruszenie. Spod zmrużonych powiek spojrzał na młodego wojownika.

- Nie zgadzasz się z tym? - zapytał ponuro, ostrzegawczym tonem.

Etim uznał, że lepiej będzie po prostu stwierdzić fakty, niż prezentować własne opinie.

- Nikt nie przeżył. Nikt nie opowie tej historii.

- Nikt oprócz pentadrian - dokończył król.

- Oni nic nie powiedzą - zapewniła Imi. - Ale ja chcę, żeby piraci o tym usłyszeli. Chcę, żeby się nas bali. Chcę, żebyśmy wybijali dziury w ich statkach, żeby ryby żywiły się ich ciałami, a miasto bogaciło ich łupem. - Uśmiechnęła się. - Chcę, żeby szanowali nas kupcy i bali się nas złodzieje. Z pomocą pentadrian możemy to osiągnąć.

Król wpatrywał się w córkę, ale Etim nie potrafił określić, czy raczej z podziwem, czy z lękiem. Po chwili władca odwrócił głowę, potarł podbródek i spojrzał na Etima.

- Co myślisz o tych pentadrianach, wojowniku? Etim zastanowił się, jak najlepiej odpowiedzieć.

- Wolałbym być ich przyjacielem niż ich wrogiem - odparł szczerze.

Lekki uśmiech przemknął po twarzy króla.

- Chciałabym, aby tak właśnie ludzie myśleli o nas - zachichotała Imi.

- A tymczasem musimy zaufać tym pentadriańskim ziemiochodzącym - stwierdził kwaśnym tonem jej ojciec.

Imi wzruszyła ramionami.

- Nawet oni nie zdołają nas powstrzymać przed wierceniem dziur w kadłubach ich statków.

Król spojrzał z zainteresowaniem. Etim mógł się mylić, oczywiście, ale zdawało mu się, że dostrzegł w oczach króla iskierkę zaciekawienia. Imi znowu dotknęła jego ramienia.

- Czy zastanowiłeś się nad moją sugestią? - zapytała spokojnie. - Spisałeś wszystkie warunki, które chciałbyś umieścić w traktacie?

- Nie zgodzą się na nie - odparł.

- Może nie - przyznała. - Ale nie dowiesz się, dopóki ich nie zapytasz.

Król przyjrzał się jej, po czym odetchnął głęboko.

- Sprowadź mi Pierwszego Wojownika - polecił Etimowi.

Zastanawiając się, czy właśnie był świadkiem jednej z przełomowych chwil historii Elai, młodzieniec szybkim krokiem wyszedł z komnaty.

46

- Figi Ałaja leci?

Auraya spojrzała na veeza, który uważnie badał jej plecak.

- Tak, Figiel. Auraya i Figiel lecą do... do Jarime.

Chciała powiedzieć „do domu”, ale to określenie nie wydawało się właściwe. W Jarime nie będzie się już czuła jak w domu.

Usiadła z westchnieniem i pogłaskała veeza. Sirri była przerażona, kiedy się dowiedziała, że Auraya odlatuje.

Bez mojej pomocy umrze wielu, bardzo wielu Siyee, pomyślała. Ale gdyby bogowie zamiast tego odebrali mi zdolność latania, i tak nie mogłabym dotrzeć do odległych wiosek.

Spodziewała się, że wobec pustoszącej Si choroby, wyznaczona przez bogów kara zacznie działać dopiero, kiedy zapanują nad zarazą. Wysyłając ją teraz do Jarime, bogowie za jej nieposłuszeństwo karali również Siyee. To było niesprawiedliwe. Nawet okrutne. Poczuła, że ogarnia ją mroczny nastrój. Być może Mirar nie mylił się co do nich.

To ironia losu, że przekonując Mirara, by nauczył ją swego Daru uzdrawiania, doprowadziła do sytuacji, w której jedyni ludzie zdolni pomóc ludowi nieba, muszą opuścić Si.

W pamięci znowu zabrzmiały słowa tkacza: „Odejdź ze mną. Odpłyniemy z Ithanii i poszukamy dalekich kontynentów”.

To, co proponował, było absurdalne. Oznaczało konieczność porzucenia Siyee.

Spojrzała na pierścień na palcu i uśmiechnęła się gorzko. Nawet gdyby musiała zrezygnować ze wszystkiego, co ten pierścień sobą reprezentował: stanowiska, władzy, latania, nieśmiertelności - i tak wolałaby tu zostać i pomagać Siyee.

Przyjrzała się rozmaitym przedmiotom na stole. Dary zaczęły przybywać, kiedy tylko rozeszła się wiadomość o jej odlocie. Nie mogła zabrać wszystkiego - jej plecak był nieduży, nawet bez veeza, zajmującego połowę dostępnego miejsca. Chciała jednak wypełnić swój pokój w Wieży przedmiotami zrobionymi przez Siyee, by za każdym razem, kiedy odwiedzą ją inni Biali, przypominały im o losie ludu nieba.

Ponieważ nie tylko zostawiała Siyee samych wobec sercożera, ale także wobec pentadrian. Gdyby znowu zechcieli tu wkroczyć, żaden z Białych nie przybędzie na czas, by udzielić pomocy.

Ale na co ja sama bym się przydała bez Daru lotu ani mocy zwiększonej przez

bogów?

Skrzywiła się. Zakładałam, że będę mogła zamieszkać na wybrzeżu. Gdybym miała statek, mogłabym w miarę szybko dotrzeć do miejsca lądowania pentadrian. Może sama moja obecność by ich wystraszyła.

To było niemal kuszące. Może gdyby Siyee przylatywali do niej zaraz po wykryciu pierwszych objawów, mogłaby nadal im pomagać. Założyłaby miejsce uzdrowień w wiosce klanu Piasku. Może nawet kilku Siyee potrafiłoby opanować Dar uzdrawiania Mirara...

Ale nadzieja zaraz zgasła. Nie była pewna, czy bez pierścienia bogów będzie w stanie używać tego Daru. Nie wiedziała nawet, czy samo zdjęcie pierścienia nie będzie miało strasznych skutków.

Może powinnam zapytać Chaię, odezwał się posępny, cichy głos gdzieś w głębi umysłu. Potrząsnęła głową i podeszła do stołu. To absurd, myślała. Przecież nie zdejmę tego pierścienia; nie odwrócę się od bogów. Muszę się pogodzić z ich wyrokiem. Muszę sobie z tym radzić jak najlepiej.

W Jarime może uczyć innych Daru Mirara. Na pewno wśród uzdrowicieli znajdą się kapłani i kapłanki zdolni go opanować. Może Siyee, którzy postanowili przyłączyć się do Świątyni, wrócą do domów już z tą umiejętnością. Będzie za późno, by uratować większość ich rodaków od sercożera, ale może dzięki temu będą bardziej skłonni jej wybaczyć, że ich opuściła.

Miała nadzieję, że wybaczą. Pękłoby jej serce, gdyby za dziesięć lat odkryła, że nie jest już w Si miłym gościem.

Ktoś krzyczał. Nie ktoś - wielu ludzi. Ich wrzaski były niemal śmiesznie melodramatyczne. Mirar starał się zaniepokoić, ale tylko się zmartwił, że nie odczuwa żadnych emocji.

: *Mirar?*

: *Emerahl? To ty robisz tyle hałasu? To irytujące.*

: *Jakiego hałasu?*

: *Tego hałasu.*

: *Ach, tego. Śni ci się.*

Zastanawiał się przez chwilę.

Jeśli tak, czy śnię o tobie?

: *Nie. Próbuję nawiązać z tobą senne połączenie. Opanuj się, tkaczu snów.*

Opanować się. Naturalnie...

Objął sen swoją wolą i krzyki trochę ucichły. Ale powinny były przecież całkiem

zamilknąć...

Wtedy sobie przypomniał.

: *To zamieć,* wyjaśnił Emerahl. *Świst wiatru jest tak głośny, że mój umysł rejestruje go nawet we śnie.*

: *To musi być cudowne...*

: *Pewno. Co u ciebie?*

: *Dotarłam do Czerwonych jaskiń. Mam nadzieję, że nie będziesz miał nic przeciw temu, ale opowiedziałam o tobie moim gospodarzom. Zrobiło na nich wrażenie, jak ci się udało na sto lat zmienić własną tożsamość.*

Mirar poczuł ukłucie lęku. To też im powiedziała? I co jeszcze?

: *Czy mi przeszkadza?* powtórzył. *Cóż, to zależy od tego, kim są ci gospodarze.*

: *Bliźnięta.*

Zaskoczenie wyrwało go niemal z sennego transu.

: *To prawda?*

: *Tak. Poznałeś ich kiedyś?*

: *Raz, bardzo dawno temu. Jakieś pięćdziesiąt lat przed Wyborem Jurana ostrzegali mnie, że w następnym stuleciu tkaczy snów czekają ciężkie czasy. Nie uwierzyłem im.*

: *Mówią, że widzą w świecie wzorce. Bezustannie przeglądają umysły śmiertelnych, obserwując rozprzestrzenianie się idei. Uważają, że ludzkie zachowanie całkiem łatwo da się przewidzieć. W większości przypadków.*

: *Wiesz, od bardzo dawna już przeglądają umysły śmiertelnych,* przypomniał jej. *Słyszałem pogłoski o ich istnieniu ledwie kilkaset lat po tym, jak sam stałem się nieśmiertelny.*

: *Są o wiele starsi. Obserwowali śmiertelnych przez wiele stuleci, zanim nauczyli się dostrzegać pewne wzorce w ich zachowaniach i zanim stali się sławni dzięki swym prognozom.*

: *A co widzą w najbliższej przyszłości?* zapytał.

: *Nie zgadzają się ze sobą. Surim sądzi, że nastąpią wielkie zmiany. Tamun nie uważa tego za prawdopodobne tak szybko po powstaniu cyrklian i pentadrian. To też jest ciekawe. Mówią, że obie religie powstały i zaczęły się rozwijać równocześnie. Surim uważa, że to nic więcej niż potężne wierzenia wzbierające, by wypełnić pustkę po tych licznych bogach, którzy zginęli w Wojnie. Tamun sądzi, że chodziło o coś więcej, że obie religie są powiązane.*

: *Wiedzą, czy bogowie pentadrian są prawdziwi?*

: *Są. Zbyt wielu pentadriańskich wyznawców pamięta spotkania z nimi, by mogli nie być prawdziwi. Nikt jednak nie wie, skąd się wzięli. Różnią się od bogów cyrklian między*

innymi tym, że rzadko pokazują się śmiertelnikom. I nie lubią się za bardzo wtrącać w sprawy swoich wyznawców.

: *Mówią im tylko, kiedy powinni napaść na Ithanię Północną?*

: *Bliźnięta wierzą, że była to decyzja wcześniejszego przywódcy, Kuara.*

: *Ciekawe. Podoba mi się pomysł bogów, którzy się nie wtrącają, ale jeśli w efekcie zwykli ludzie podejmują tego rodzaju decyzje...*

: *Tylko mi nie mów, że zmieniłeś zdanie i teraz uważasz, że lepiej nam z bogami niż bez.*

: *Nie. Nigdy. Ale ludzie też są zdolni do niewiarygodnie głupich i okrutnych czynów.*

: *Nawet twoi zwolennicy?* spytała.

: *Nie, oczywiście, że nie. Tkacze snów są zawsze niezawodnie rozsądni.*

: *Ha!*

: No, większość.

: *Kontaktowałeś się ze Starszą tkaczy snów Arleej?*

: *Tak,* potwierdził. *Przygotowuje to, co sugerowałaś.*

: *Jak przyjęła wieści o tobie?*

: *Była zaskoczona.*

: *Na pewno więcej, niż tylko zaskoczona. Bliźnięta powiedziały mi coś, co pewnie uznasz za ciekawe, a w przyszłości może się okazać użyteczne. Na świecie istnieje więcej obszarów pustki. Większość nikomu się nie przyda, ale jest kilka, w odległych punktach, które mogą być dla ciebie dobrymi kryjówkami.*

: *Czy wiedzą, skąd się wzięły?*

: *Nie. Tylko tyle, że musiało nastąpić magiczne wydarzenie tak wielkie, że wyssało całą magię z jednego miejsca. Nigdy o nich nie słyszeli przed Wojną Bogów.*

: *Z pewnością można ją uznać za wielkie magiczne wydarzenie,* zauważył Mirar.

: *Tak. Zawsze uważałam to za niezwykłe, że wojna między takimi istotami nie wpłynęła na świat fizyczny. Jedyne, co się zmieniło dla śmiertelnych, to to, że bogowie przestali się im ukazywać albo że stracili Dary, które bogowie im kiedyś przekazali.*

: *Zastanawiam się, czy takie pustki są dla bogów niebezpieczne. To przecież istoty z czystej magii.*

: *Sądzę, że musieliby wejść w takie miejsce.*

: *Właśnie. Ciekawe, czy dałoby się to zorganizować.*

Zdziwienie Emerahl nadpłynęło do niego jako łagodna fala rozbawienia.

: *Ucichło,* stwierdziła nagle.

Mirar nasłuchiwał przez moment. Dopiero po chwili dotarło do niego znaczenie tej ciszy: świst wiatru ustał. Albo jego podświadomość w końcu go zablokowała, albo skończyła się zamieć.

: *Lepiej się obudzę i będę uprzejma wobec moich gospodarzy,* odezwała się Emerahl. *Szczęśliwej drogi, Mirarze.*

: *Dzięki,* odparł, myśląc o zdradzieckiej pokrywie śniegu i stromych górach, które musiał pokonać.

Jej umysł odpłynął od jego zmysłów. Odetchnął głęboko i przeskoczył do pełnej świadomości. Z ulgą odkrył, że wiatr rzeczywiście ucichł. Otworzywszy oczy, zobaczył tylko czerń, więc ściągnął magię i stworzył iskrę światła.

Jego ulga zmieniła się w zniechęcenie. Cały wylot ogromnej groty, w której się ukrył, był teraz zablokowany śniegiem.

To dlatego nie słyszał już wiatru.

47

Dzień po zatopieniu przez Elai statku piratów Imenja nakazała rzucić kotwicę w pobliżu kilku maleńkich wysepek. Były zbudowane przede wszystkim ze skał, jednak tuż poniżej powierzchni wody pokrywały je liczne buszlaki. Wysepki leżały zbyt daleko od Borra, żeby stanowiły dla Elai źródło zaopatrzenia w żywność, były też zbyt niebezpieczne, by zbliżał się do nich ktoś niedysponujący magią. Imenja w towarzystwie kilku dzielnych marynarzy codziennie wyruszała, by nazbierać buszlaków. Przez dwa dni wszyscy raczyli się tym specjałem.

Wszyscy z wyjątkiem Reivan. Była na pokładzie jedyną osobą, która nie lubiła buszlaków. Niektórzy członkowie załogi jedli je nawet na surowo, a jej na samą myśl o tym wywracał się żołądek. Jednak kucharz na statku potraktował niechęć Reivan jak osobiste wyzwanie. Codziennie przygotowywał buszlaki w inny sposób, próbując znaleźć ten, który ją przekona. Pod czujnym okiem Imenji kosztowała ich pieczonych, smażonych, w zupach, a nawet roztartych na pastę, ale ich ostry zapach i rybi smak zawsze powodowały u niej odruch wymiotny.

Marzyła już, by statek popłynął dalej, ale te kulinarne rozkosze nie były jedynym powodem, dla którego Imenja kazała im czekać. Drugi Głos dała wojownikom Elai czas, by zdążyli wrócić do swego miasta, przekazać wieści królowi, i aby dotarł do nich posłaniec - jeśli król zdecyduje się go wysłać.

- Chyba zaczynam lubić życie na morzu - stwierdziła Imenja. - Może powinnam zrezygnować z władzy nad światem i zostać kupcem?

Reivan przyjrzała się jej z uwagą.

- Przypuszczam, że nie byłaby to dla ciebie wielka zmiana. Nadal mogłabyś rozkazywać, nadal byś negocjowała z ludźmi z wielu krain... Ja jednak wolę chyba proste wygody Sanktuarium.

- Jest tam o wiele więcej miejsca - zgodziła się Imenja.

- I nie ma... No nie, znowu...

Zauważyła zbliżającego się do pawilonu kucharza. Niósł drewnianą deskę przykrytą odwróconą misą. Imenja parsknęła śmiechem.

- On chce ci tylko sprawić przyjemność.

- Jesteś pewna, że nie próbuje mnie otruć?

Kucharz wkroczył do pawilonu, szybko wykreślił na piersi znak gwiazdy, a potem

zamaszystym gestem uniósł misę. Rei - van westchnęła.

Na desce leżało płytkie kamienne naczynie, napełnione buszlakami. Były wyjęte z muszli i parowały zachęcająco. Do nozdrzy Reivan docierał smakowity aromat ziół, ale nie zdołał wzbudzić jej apetytu.

Kucharz wręczył jej widelec.

- Spróbuj.

Reivan pokręciła głową.

- Tylko spróbuj - odezwała się Imenja tonem kogoś, kto nie chce słyszeć o odmowie.

Reivan westchnęła ciężko i nabiła na widelec oślizłego skorupiaka. Popatrzyła na niego z rezygnacją, po czym zmusiła się, by wsunąć go do ust.

Spodziewała się, że jej zmysły zaatakuje ten mdlący zjadliwy zapach, ale się nie pojawił. Zamiast tego usta wypełnił delikatny smak, połączony z przyjemnym dodatkiem ziół. Zaskoczona, przeżuwała ostrożnie, w obawie, że w ten sposób uwolni ten nieprzyjemny aromat. To nie nastąpiło, więc przełknęła z pewnym wahaniem. Kucharz uśmiechał się szeroko.

- Smakowało ci. Kiwnęła głową.

- Jest lepsze. O wiele lepsze.

- Naprawdę? - Imenja odebrała Reivan widelec i wybrała kęs z deski. Wsunęła sobie do ust, pogryzła i szeroko otworzyła oczy. - Rzeczywiście! Subtelne i delikatne. Przygotowałeś je na parze?

Kucharz przytaknął.

- Zapamiętaj, co dokładnie robiłeś. Zastanawiam się, czy nie można by transportować buszlaków do domu i...

Wyraz jej twarzy nagle się zmienił. Zmarszczyła brwi, gestem odprawiła kucharza, wstała i wyszła spod dachu pawilonu. Reivan szła za nią; Imenja stanęła przy relingu i spojrzała w wodę.

- Wydaje mi się, że niedługo lud morza złoży nam wizytę - mruknęła. - Tak jest. Tam.

Wskazała ręką. Wodę pokrywały czarne cienie i czerwone błyski tam, gdzie odbijało się zachodzące słońce. Wpatrując się w powierzchnię morza, Reivan zauważyła kołyszący się wraz z falami obiekt wielkości głowy. Po chwili zniknął. Na próżno szukała innych znaków obecności Elai.

- Rzućcie linę do wody - poleciła Imenja stojącemu w pobliżu marynarzowi.

Ten spiesznie wykonał rozkaz. Kiedy lina się rozwinęła, Reivan wyjrzała za reling.

Pojawiła się głowa i spojrzała na nich para mlecznych oczu. Zaraz jednak wewnętrzne

powieki Elai się rozsunęły. Chwycił linę i zaczął się wspinać.

Gdy dotarł do relingu, zatrzymał się i niespokojnie zmierzył wzrokiem ludzi na pokładzie. Był starszy niż wojownicy, którzy zatopili piracki statek. Kiedy Imenja wystąpiła, by go powitać, przyjrzał się jej z powagą, choć trochę nerwowo.

- Przybywam, by przekazać wiadomość - oznajmił. - Król Ais, władca Borra i król Elai, zwraca się do Drugiego Głosu, Imenji, sługi pentadriańskich bogów, by rozważyła jego propozycję.

Mówił wolno i uważnie; najwyraźniej nauczył się wiadomości na pamięć. Reivan z trudem powstrzymała się od tryumfalnego uśmiechu, kiedy zrozumiała, że to propozycja traktatu.

- Król sugeruje, by jego i wasz lud wymieniał w przyszłości towary, ale nie na wyspach Borra. Odpowiednie mogą być wyspy oddalone o kilka dni żeglugi od Borra, jeśli tylko nie zostaną zajęte przez piratów. W rewanżu za pomoc w budowie fortyfikacji król Ais udzieli pentadrianom wsparcia w zwalczaniu rabusiów, ale tylko wtedy, gdy zagrożenie dla jego wojowników nie będzie zbyt wielkie. Wszystkie kosztowności zdobyte na pirackich jednostkach staną się własnością króla. Szkolenie Elai w walce, magii i budowie fortyfikacji także będzie się odbywać poza Borra.

Imenja kiwnęła głową.

- Czy słusznie się domyślam, że podpisanie takiego traktatu również nastąpi na jednej z tych dalekich wysp?

Posłaniec przytaknął. Imenja odwróciła się, jakby się zastanawiała.

: *Co o tym myślisz, Reivan?*

: *Myślę, że to jedyna oferta, jaką nam złoży. Nie będzie żadnej dyskusji nad warunkami. Jeśli spróbujemy się targować, więcej nic od niego nie usłyszymy.*

: *A te warunki?*

: *Jedyny, który nie brzmi rozsądnie, to ten, że im przypada cała zdobycz. W krótkim czasie wpadną na to, że jeśli zaczekają, aż piraci zaatakują statek handlowy, zdobędą na nich większy łup.*

Imenja znowu zwróciła się do posłańca.

- W imieniu mojego ludu zgadzam się na te warunki. Jeśli podasz mi położenie tych wysp, o których mówiłeś, wyruszymy tam już jutro.

Posłaniec wydawał się zaskoczony, ale zadowolony. Podał jej kierunek, potem skłonił się z szacunkiem na pożegnanie i podszedł do burty. W przeciwieństwie do młodych wojowników, którzy skakali do wody, ten ostrożnie zjechał po linie i wsunął się w wodę prawie bez

plusku.

Imenja skinęła na Reivan, która stanęła u jej boku.

- Wciąż się obawiasz, że zajmą miejsce piratów i staną się największym zagrożeniem dla żeglugi na tych wodach? - spytała cicho. - Nie martw się. Dopilnuję, żeby dwa razy się zastanowili, nim tego spróbują.

Ciepły ciężar spoczywał między łopatkami Aurai. Po wielu godzinach lotu Figiel zaczął się nudzić, ale rozumiał - być może instynktownie - że nie może opuszczać schronienia w plecaku. Zrobił więc coś, czego mu szczerze zazdrościła: zasnął.

Nocny pejzaż w dole niechętnie ukazywał szczegóły. Różne odcienie mroku wyznaczały odmienne tereny: las był ciemniejszy niż pola, woda prawie całkiem czarna. Od czasu do czasu księżyc znajdował jakąś szczelinę w chmurach i Auraya mogła rozróżnić drogi i domy.

Teraz w dole pojawiła się aberracja, zakłócenie naturalnego wzorca na granicy lądu i morza. Kiedy księżyc ponownie zalał ziemię blaskiem, ukazał ostre kąty i labirynt przecinających się linii. Dwie budowle chwytały światło i zdawało się, że je odbijają - Kopuła jaśniała niczym drugi księżyc, na wpół zagrzebany w ziemi, a Biała Wieża sterczała w górę jak wysunięty oskarżycielsko palec.

Kierując się do Wieży, raz jeszcze się zastanowiła, na jakie przyjęcie może liczyć. Czy cała czwórka Białych ją powita? Będą zagniewani czy pełni współczucia? Czy powinna przepraszać albo się tłumaczyć? Zmniejszając wysokość, przygotowała się na spotkanie, które prawdopodobnie okaże się kłopotliwe, jeśli nie nieprzyjemne.

Kiedy dotknęła stopami dachu Wieży, świat wokół pociemniał - to chmury znowu przesłoniły księżyc, Nikt nie wyszedł jej na spotkanie. Odczekała chwilę, po czym zaśmiała się cicho.

Uznałam, że bogowie uprzedzą Jurana o moim przybyciu. Wygląda na to, że jednak nie.

Podeszła do drzwi, trochę rozbawiona własnym rozczarowaniem.

Może czekają wewnątrz... Albo w moim pokoju.

Weszła pod dach, cicho otwierając i zamykając za sobą drzwi. Schodząc po schodach, nie spotkała nikogo, nawet służących. Przed swoimi pokojami zatrzymała się, nasłuchując, ale ze środka nie dochodziły żadne dźwięki. Otworzyła i przekonała się, że jej kwatera jest ciemna i pusta.

Zrzuciła plecak i stworzyła iskierkę światła, zaspany Figiel wyczołgał się na zewnątrz, zamrugał, wskoczył na fotel i zwinął się w kłębek. Pogłaskała go i rozejrzała się.

Wszystko było takie, jak w dniu jej odlotu, ale nie czuła się tu jak w miejscu, które opuściła. Nie cieszyli się, wracając do znajomego otoczenia. Przechodząc z pokoju do pokoju, zastanawiała się, czy ten brak radości z powrotu do domu bierze się stąd, że przez najbliższe dziesięć lat miało to być raczej więzienie.

Usiadła na brzegu łóżka i przekręciła pierścień na palcu.

Podczas długiego lotu, kiedy nic nie zwracało jej uwagi, wiele myślała. Z początku uznała, że nie warto dręczyć się tym, co niesie przyszłość. Została ustalona i nic nie może zrobić, by ją zmienić. Coś jednak nie dawało jej spokoju i w końcu musiała przyznać, że ma wybór, nawet jeśli inne możliwości wydają się głupie albo śmieszne. Zaczęła się nad nimi zastanawiać i rozważać konsekwencje, choćby po to by samą siebie przekonać, że nie są to drogi, jakimi chciałaby podążyć.

Zanim jednak dotarła do Jarime, zdała sobie sprawę, że niektóre nie były takie głupie, jak wydawało jej się na początku. Że jeśli je wybierze, może być szczęśliwsza, a przynajmniej bardziej użyteczna dla świata.

A równocześnie przerażały ją. Uznała w końcu, że zanim cokolwiek zdecyduje, najpierw musi się wyspać. Chciała się też czegoś dowiedzieć.

Położyła się i powoli zapadała w sen. Kiedy uznała, że nadszedł właściwy moment, wymówiła imię.

: *Mirar!*

Po długiej chwili oczekiwania, odpowiedział jej znajomy głos.

: *Aurayo! To naprawdę ty?*

: *Ja. I chcę cię o coś zapytać.*

: *Tak?*

: *Czy będę mogła nauczyć innych twojego Daru uzdrawiania?*

: *Tylko w rzadkich okolicznościach.*

: *Jakich okolicznościach?*

Nie odpowiedział.

: *Mirarze!*

: *Czy bogowie postanowili już, jak cię ukarać?* zapytał.

: *Tak.*

: *I jaki wydali wyrok?'*

Zawahała się. Jeśli miał zamiar narobić kłopotów, to wiedza, że przez dziesięć lat nie wolno jej opuszczać Jarime, może go do tego zachęcić.

: *To nie twoja sprawa,* oświadczyła.

: *Nie? Uznaj to za wymianę informacji. Powiem ci, jakie okoliczności ograniczają możliwość nauki, w zamian za wiadomość o tym, jak bogowie cię ukarali.*

Zirytowała się trochę, ale zapanowała nad tym. Może przecież zdradzić mu tylko część prawdy.

: *Odesłali mnie z powrotem do Jarime.*

: *Aha. Czyli Siyee pozostali bez uzdrowiciela, co tłumaczy, dlaczego interesuje cię możliwość nauczania innych tego Daru. Ukarali cię, karząc Siyee. Zgaduję, że niewiele więcej mogli ci odebrać.*

: *Nie spodziewałeś się, że zabiorą mi umiejętność latania?*

: *Nie. Od dnia, kiedy nauczyłem cię uzdrawiania, podejrzewałem, że ta umiejętność jest wyłącznie twoja. Teraz jestem tego pewien.*

Dreszcz przebiegł jej po plecach.

: *O co ci chodzi?*

: *Byłaś potężną czarownicą, zanim jeszcze przyłączyłaś się do cyrklian. O wiele wcześniej dostrzegłem w tobie potencjał. Czy cię nie dziwi, że inni Biali nie otrzymali takiej umiejętności?*

: *Tak, ale oni nie mieli wyruszać do Si.*

: *Nie? Sama odkryłaś tę zdolność. Gdyby bogowie chcieli, byś ją posiadła, żeby łatwiej zaprzyjaźnić się z Siyee, czy nie przekazaliby ci jej ceremonialnie, z fanfarami, żeby ludzie ich za to podziwiali?*

: *Ale jeśli Juran jest silniej Obdarzony ode mnie, na pewno potrafiłby się tego nauczyć.*

: *A próbowałaś go uczyć?*

Zastanowiła się. Próby Jurana nie doprowadziły do niczego.

: *Ale to czyniłoby mnie bardziej Obdarzoną... silniejszą... od niego!*

: *Nie, jeśli bogowie cię hamują. Postawili cię na trzecim miejscu, ale kiedy okazało się, że masz większe możliwości, niż wskazywałaby na to twoja pozycja, musieli cię zablokować.*

: *Skąd to wszystko wiesz?* zapytała gniewnie.

: *Nie wiem. Zgaduję. Wiem jednak, że jesteś silniejsza, niż ci się wydaje. Silniejsza, niż to zaplanowali bogowie. Wyczułem to w dniu, w którym próbowałaś mnie zabić.*

Aurayę ogarnęło zniechęcenie.

: *Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Jakie okoliczności pozwolę mi nauczać innych twojego Daru uzdrawiania?*

Milczał przez chwilę, nim odpowiedział.

: *Tylko bardzo silnie Obdarzeni czarownicy potrafią go opanować. Być może inni Biali też byliby do tego zdolni. Być może nie.*

Serce jej zadrżało. A więc żaden kapłan ani Siyee nie wróci do Si, by zwalczać sercożera.

: *Jakie inne okoliczności mają znaczenie?*

: *Czy mówiłem, że są jakieś inne?*

: *Mówiłeś w liczbie mnogiej.*

: *Istotnie. No więc tak: jeśli nawet znajdziesz kogoś dostatecznie Obdarzonego, by zdołał opanować mój sposób uzdrawiania, bogowie mogą go zabić. Pamiętaj, Huan powiedziała, że ta metoda jest zakazana.*

: *Dlaczego?*

: *Tego nie mogę ci powiedzieć.*

: *Nie możesz czy nie chcesz?*

: *Nie powiem.*

: *Dlaczego nie?*

: *Tego też nie mogę ci powiedzieć.*

Czuła, jak narasta w niej gniew na własną bezradność. Odetchnęła głęboko.

: *Więc dlaczego mnie też nie zabiją?*

Jesteś Białą.

: *Czyli gdybym nie była, toby mnie zabili?*

: *Tak. A może i nie. To zależy, czy mówisz o sytuacji, zanim zostałaś Białą, czy potem. Jeśli przedtem, to tak.*

: *A gdybym stała się byłą Białą, wtedy nie?*

: *Nie jestem pewien. Zastanawiasz się, czy tego nie rzucić?*

Milczała, wiedząc, że jeśli zaprzeczy, on wyczuje kłamstwo.

: *Bo jeśli tak,* podjął, *bogowie mogę się rozgniewać do tego stopnia, że i tak cię zabiję. Co prawda nie będzie im łatwo zamordować kogoś tak potężnego... Możesz się im wymknąć. Ale wiem, jak to jest być ściganym i prześladowanym przez bogów. Nie chcesz takiego życia, Aurayo.*

: *Nie,* zgodziła się. *I nie mam zamiaru stać się nieprzyjaciółkę bogów. Dziękuję, że odpowiedziałeś na moje pytanie, Mirarze, chociaż nie w pełni.*

: *Odpowiedziałem tak samo w pełni, jak ty odpowiedziałaś na moje,* rzekł. *Powodzenia.*

Zerwał łącze, a ona westchnęła. Jest za sprytny, uznała. Ale sprytny czy nie, nie wie przecież wszystkiego.

Wiedział jednak o wielu rzeczach, o których ona nie miała pojęcia. O kilku zorientowała się z ich rozmowy, choć musiała brać pod uwagę możliwość, że nie mówił jej prawdy. Niewielka była szansa, że wyśpi się dziś w nocy.

A jednak, zanim Figiel wskoczył miękko na łóżko i zwinął się obok niej, zdążyła pokonać drogę od jawy do snu.

Wchodząc do sypialnej sadzawki, Imi ochlapała ciało. Westchnęła z rozkoszą, gdy chłodna woda zwilżyła skórę.

Jak ojciec to robi, myślała. Godzinami słuchał gadania tego kupca, a ta tkaczka tylko jęczała i narzekała.

Kiedy poprosiła ojca, żeby pozwolił jej usiąść przy sobie, gdy wysłuchuje próśb, skarg i raportów poddanych, zgodził się - jednak pod warunkiem, że będzie tam siedzieć tak długo jak on. Wkrótce się przekonała, że takie audiencje zajmują mu codziennie więcej godzin, niż przypuszczała, i że w większości przypadków są potwornie nudne.

Podejrzewała, że ojciec nalegał, by została z nim przez cały czas, właśnie po to, żeby straciła zainteresowanie i dała mu spokój. Testował jej cierpliwość. A może zwyczajnie chciał, by się uczyła, jak rządzić królestwem...

Ta myśl napełniła ją równocześnie lękiem i niecierpliwością. I smutkiem, ponieważ dzień, w którym obejmie władzę nad wyspami Borra, będzie dniem śmierci jej ojca.

Jednak wytrzymała przy nim i w końcu cierpliwość została nagrodzona. Zrozumiała bowiem, że wielu kupców i wojowników, a nawet niektórzy dworzanie mogą zyskać na traktacie z pentadrianami. Wskazywała to ojcu za każdym razem, gdy pytał, co myśli o danej osobie. Kiedy wreszcie postanowił wysłać posłańca do pentadrian, jej serce zaśpiewało pieśń zwycięstwa.

Teraz, kiedy miała czas się zastanowić, wątpliwości zaczęły podkopywać jej wcześniejszą pewność. Wyszła z sadzawki i zaczęła krążyć po pokoju.

A jeśli pentadrianie okażą się niegodni zaufania? Jeśli powrócą i jakoś wedrą się do miasta? Jeśli zginą ludzie, i to z jej winy?

Imenja na to nie pozwoli, powiedziała sobie. Jest dobrym człowiekiem. I ma potężne Dary. Nikt nie ośmieli się być wobec niej nieposłuszny.

Jednak kiedy tylko Imi nie martwiła się o przyszłość, jaką sprowadziła na swój lud, zaczynała się martwić, czy ta przyszłość się zrealizuje. Pentadrianie mogą się nie zgodzić na warunki narzucone przez ojca. Mogą uznać, że Elai nie mają nic wartego handlu albo że są za

słabi, by być użytecznym sojusznikiem.

Nawet jeśli to prawda, nawet jeśli z traktatu nic nie wyjdzie, wiele się dla nas zmieniło.

Pamiętała blask oczu wojowników, którzy zatopili piracki statek.

Ojcu niełatwo będzie powstrzymać ich od ponownych prób. Albo sprawdzania innych sposobów szkodzenia piratom. Może im zakazać, ale to im się nie spodoba.

Zmarszczyła czoło.

Czy to jedyny powód, dla którego wysłał gońca? Boi się, że ludzie będą oburzeni, albo wręcz zwrócą się przeciw niemu, jeśli odmówi im szansy zemsty? Czy uważa, że nie ma wyboru?

Czy to moja wina?

Nie, powiedziała sobie. Nawet jeśli sądzi, że powinna ustąpić wojownikom, nie musi w to włączać pentadrian. Nie są nam potrzebni do zwalczania piratów.

Jeśli jednak piraci okażą się zbyt potężnym przeciwnikiem, Elai przyda się sprzymierzeniec - taki jak pentadrianie. Ktoś, kto im pomoże.

Jeśli to... Jeśli tamto... Za dużo tych „jeśli".

Usłyszała pukanie do drzwi. Patrzyła, jak Teiti wychodzi ze swojego pokoju i otwiera. Odetchnęła z ulgą, kiedy wszedł Rissi.

- Witaj, księżniczko.

- Rissi - odparła.

Oto tak wyczekiwana możliwość oderwania się od rozmyślań o traktacie. Zastanowiła się, jak długo chłopak tu zostanie. Może mogliby zagrać w jakąś grę - cokolwiek, byle tylko zapomnieć o tych zmartwieniach.

Poprowadziła go do krzesła.

- Teiti, poślij po coś do picia. Może też coś do jedzenia? Ciotka popatrzyła na chłopca spod zmrużonych powiek, po czym skinęła głową i wyszła. Imi usiadła, a Rissi także ostrożnie zajął miejsce. Na ramionach miał ciemne, sine plamy.

- Co z tobą? - spytała. Skrzywił się.

- Ćwiczyłem.

- Co ćwiczyłeś?

- Walkę.

- Po co? - Zmarszczyła czoło. - Chyba wy, chłopcy, nie bawicie się znowu w wojnę? Co?

Wyszczerzył zęby.

- Nie. Ja i kilku innych chodzimy na regularne lekcje wojownictwa.

- Och... - Wzruszyła ramionami. - Nie jesteście na to trochę za młodzi, ty i twoi koledzy?

Spojrzał na nią niechętnie. - Nie.

Przygryzła wargę, pojmując, że go uraziła. Chłopcy zawsze są tacy. Zawsze chcą być starsi.

- Oczywiście, że nie - zapewniła przepraszającym tonem. - Czy to coś, co robią wszyscy synowie kupców?

Odwrócił głowę.

- Musimy umieć się obronić, kiedy opuścimy miasto. Przyjrzała mu się uważnie. Tu chodziło o coś więcej... Zerknął na nią z ukosa i wzruszył ramionami.

- A poza tym nie chcę być kupcem. Chcę zostać wojownikiem.

Zdziwienie zmieniło się w lęk. Jeśli zostanie nim teraz, może zginąć, kiedy wojownicy będą atakować piratów. I to także będzie jej wina.

- Pierwszy Wojownik obiecał mi, że jak będę dość duży, znajdzie się dla mnie miejsce wśród rekrutów - oświadczył Rissi. - Jeśli przejdę próby. Ojcu się to nie podoba, ale nie może mnie powstrzymać.

- Dlaczego? - wyjąkała Imi. Rozłożył ręce.

- Bo chce, żebym przejął po nim handel.

- Nie. Pytałam, dlaczego chcesz zostać wojownikiem. Przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu, po czym wolno rozciągnął wargi w uśmiechu.

- Ponieważ, księżniczko Imi, pewnego dnia mam zamiar cię poślubić.

Teiti uratowała ją z konieczności wymyślania odpowiedzi. Drzwi otworzyły się gwałtownie i ciotka wkroczyła do pokoju, balansując tacą z jedzeniem w jednej ręce i ściskając w drugiej dzbanek. Ustawiła je na stole obok Imi i Rissiego, po czym się wyprostowała.

- Król... przysyła ci wiadomość... księżniczko - oznajmiła. Podczas wizyt Rissiego, zawsze starannie akcentowała tytuły. - Wrócił posłaniec wysłany do pentadrian. Zgodzili się na wszystkie warunki.

Imi podskoczyła.

- Zgodzili się! To cudownie! Muszę natychmiast porozmawiać z ojcem!

Nie zważając na protesty Teiti, że właśnie przyniosła poczęstunek, oraz dumny uśmieszek Rissiego, skorzystała ze sposobności, by uciec.

Idąc pospiesznie przez korytarze pałacu, czuła lekką irytację.

Powinnam teraz się cieszyć, myślała, ale Rissi wszystko popsuł. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Nigdy jeszcze nie byłam taka zakłopotana! I skąd mu się wziął pomysł, że jeśli zostanie wojownikiem, będzie mógł się ze mną ożenić?

I wtedy sobie przypomniała: przecież sama mu o tym mówiła. Powiedziała, że ojciec pewnie wyda ją za kogoś z królewskiego rodu, chyba że jakiś dowódca czy wojownik zrobi na nim wrażenie i ojciec postanowi zasilić ród dawką świeżej krwi.

Niełatwo będzie zaimponować ojcu, pomyślała. Ale Rissi postanowił spróbować.

Co zresztą bardzo jej pochlebiało. Czy któryś z jej bliższych i dalszych kuzynów i krewnych by tak zrobił? Raczej nie.

Uśmiechnęła się. Ą potem zwolniła kroku i zaczęła się zastanawiać, gdzie może znaleźć króla.

48

- Aha, już jest. - Tamun spojrzała znad swego krosna w stronę wejścia do jaskini.

Emerahl obejrzała się także i zobaczyła Surima, wspinającego się po schodach. Na szyi niósł gigantycznego węża, grubego jak męskie udo i tak długiego, że dwukrotnie owijał mu ramiona. Pod ścianą jaskini, gdzie zwykle szykowali posiłki, schylił się i zrzucił go z siebie.

Spojrzał na Emerahl i uśmiechnął się szeroko.

- Kolacja. Wieczorem czeka nas wspaniała uczta. Emerahl przyglądała się wężowi ze zgrozą.

- Wspaniała, ale dość monotonna, jeśli to wszystko, co przyniosłeś - stwierdziła Tamun.

- Mam więcej - odparł z wyrzutem i sięgnął do plecionej sakwy, wcześniej przesłoniętej cielskiem węża. Wyjął kilka roślin, co Emerahl przyjęła z ulgą.

Popatrzyła na leżącego węża.

- Jadłaś już kiedyś takkera? - zapytał Surim. Z trudem oderwała wzrok od martwego gada. - Nie.

- Są znakomite. Mięso mają podobne do breemów, ale o wyraźniejszym smaku.

- Powinieneś złapać coś bardziej konwencjonalnego - upomniała go Tamun, nie przerywając pracy. Z uśmiechem zerknęła na Emerahl. - Nie musisz tego jeść. Trochę trwało, zanim się dostosowaliśmy do tej okolicy, ale w końcu przyzwyczailiśmy się do nietypowych elementów tutejszej diety. Ty jesteś naszym gościem. - Spojrzała groźnie na brata. - Nie można wymagać, żebyś jadła takie rzeczy. Drwiąco uniósł brew.

- Oczywiście. Powinna być traktowana z wyjątkową uprzejmością. Dostawać to, co najlepsze. Rzadkie smakołyki, jak na przykład pieczony takker.

- Spróbuję - zapewniła szybko Emerahl w nadziei, że uda jej się zażegnać kolejny ciągnący się bez końca spór. Nie o to chodzi, że takie przekomarzania w czymkolwiek szkodziły, mogły jednak trwać godzinami. I często trwały. - Jeśli nie będzie mi smakował, chętnie zjem jarzyny.

Surim uśmiechnął się szeroko.

- Dziękuję ci, Emerahl. Możesz także spróbować tego... Wyjął z sakwy pająka co najmniej dwa razy takiego jak dłoń.

- Żartujesz sobie ze mnie - wykrztusiła Emerahl.

- Żartuje - burknęła gniewnie Tamun. - Przestań, Surim. Skrzywił się żałośnie.

- Ale to takie zabawne... Już od tak dawna nie miałem z kim pożartować, a niełatwo jest nabrać kogoś tak starego, jak ty.

Emerahl spojrzała na Tamun.

- I znosisz to od jak dawna?

- Prawie dwa tysiąclecia - odparła spokojnie dziewczyna. - Można by sądzić, że po tak długim czasie zrozumie, że te jego żarty wcale nie są zabawne. To tak, jakby człowiek bez przerwy musiał wysłuchiwać tego samego dowcipu. Niektórzy nazywają to torturą.

- To, że długo żyję, nie oznacza jeszcze, że musiałem stracić poczucie humoru - oświadczył. - W przeciwieństwie do niektórych.

- Och, codziennie rozbawiasz mnie do łez - zapewniła oschle.

Emerahl potrząsnęła głową.

- Nigdy nie przestajecie, co?

- Nigdy - uśmiechnął się Surim. - Nawet kiedy już się rozdzieliliśmy.

Bliźnięta zamilkły na moment, by spojrzeć na siebie ze szczerym uczuciem. Emerahl przyglądała się z namysłem to jednemu, to drugiemu.

- Stulecie temu - oświadczyła nagle Tamun, patrząc Emerahl prosto w oczy. Spoważniała. - Aby wymknąć się bogom, którzy postanowili oczyścić świat z nieśmiertelnych.

Emerahl spojrzała wystraszona.

- Czy ty właśnie...?

- ...odczytałam twoje myśli? Nie. - Tamun wzruszyła ramionami i wróciła do tkania. - Ale dobrze znamy ten wyraz twarzy. Nie przejmuj się - dodała z uśmiechem. - Nie czujemy się urażeni twoją ciekawością. Możesz pytać.

- W jaki sposób rozdzielenie was uratowało?

- Bogom, jak może już wiesz, niełatwo jest wpływać na świat fizyczny - zaczął tłumaczyć Surim. Przeciągnął węża na stół i go patroszył. - Muszą działać za pośrednictwem śmiertelnych, najlepiej kogoś obdarzonego zdolnościami magicznymi.

, - Dlatego potrzebują kapłanów i kapłanek, by wykonywali za nich pracę - podjęła Tamun. - Kiedy Juran pokonał Mirara, zaczął ścigać pozostałych. Wyrocznię łatwo było znaleźć...

- Założę się, że tego nie przewidziała - mruknął Surim.

- ...a Farmera udało im się zaskoczyć. Za późno dowiedzieliśmy się o rozkazie bogów, żeby go uprzedzić. Jedynym nieśmiertelnym, którego zdążyliśmy ostrzec, był Mewa.

- Jest starszy od nas wszystkich... - Surim popatrzył Emerahl w oczy. Jego spojrzenie wyrażało szacunek. - Uratował go jego zwyczaj, by ciągle podróżować, ukrywać swoją tożsamość i udawać wychudzonego chłopca okrętowego.

- W dodatku ludzie morza pomagają sobie nawzajem - dodała Tamun.

- My za to byliśmy jednocześnie dobrze znani i wyjątkowo łatwo rozpoznawalni Oczywiście, próbowaliśmy się ukrywać. .. przez jakiś czas nawet skutecznie. Potem bogowie ogłosili, że tacy jak my są „obrzydliwością" i powinni być rozdzieleni albo zabici zaraz po narodzinach. Wszystkie zrośnięte bliźnięta zostały przewiezione do Jarime. Większość prób ich rozdzielenia skończyła się niepowodzeniem.

- Ale było też kilka udanych - podjęła Tamun z demonstracyjną radością. - Tak przynajmniej mówiliśmy ludziom. Fakt, że jesteśmy rozdzieleni, sugerował, że byliśmy badani przez cyrklian i zyskaliśmy ich akceptację, więc absolutnie nie możemy być tymi słynnymi Bliźniętami.

Emerahl skrzywiła się niechętnie.

- Przeklęci bogowie...

- Och, nie złość się na nich z naszego powodu - uśmiechnęła się Tamun. - Zawsze planowaliśmy to zrobić, tyle że nie mieliśmy odwagi. A gdyby nam się nie spodobało? Gdybyśmy nie mogli się z powrotem połączyć?

- Niczego nie żałujemy - zapewnił Surim. - Zresztą z tych rozdzieleń wyniknęło także coś dobrego. Kapłani uzdrowiciele są teraz sprawniejsi. Więcej dzieci przeżywa.

- Ale te, które zabili... - Jego siostra potrząsnęła głową. - Za to nienawidzę bogów.

- Między innymi - mruknął Surim. Emerahl westchnęła.

- Ja również, choć mnie osobiście tylko zmusili do życia w ukryciu. Bardziej ich nienawidzę za to, co zrobili Mirarowi. Gdybyśmy tylko mogli się od nich uwolnić...

- Przecież można ich zabić - zauważyła Tamun. Emerahl spojrzała na nią zdumiona. Tamun wzruszyła ramionami.

- Przed Wojną Bogów było ich wielu, a po niej zostało tylko pięcioro.

- Teraz już dziesięcioro - poprawił ją brat. Tamun nie zwróciła na niego uwagi.

- Pytanie zatem brzmi: czy zabicie boga to czyn, jakiego może dokonać tylko inny bóg?

- A jeśli tak, to w jaki sposób możemy przekonać, przekupić albo zaszantażować jakiegoś boga, żeby to dla nas zrobił? - Surim parsknął śmiechem. - Powiedz jej o zwoju.

- Ach, zwój... - uśmiechnęła się Tamun. - W ciągu ostatniego stulecia przeglądania umysłów, od czasu do czasu trafialiśmy na pogłoski o pewnym zwoju. Podobno zawiera on

historię Wojny Bogów, opowiedzianą przez boginię jej ostatniemu słudze, nim została zabita.

Emerahl poczuła szybsze bicie serca.

- Gdzie jest ten zwój?

- Nikt tego nie wie - odparł Surim.

- Ale pewni uczeni z Ithanii Południowej przez lata zbierali wskazówki i prowadzili poszukiwania. Ze wszystkich ludzi na świecie, oni mają największą szansę jego odkrycia.

- Chyba że ktoś inny znajdzie go pierwszy.

Oboje spojrzeli na nią, a ich twarze miały ten sam wyczekujący, znaczący wyraz. Emerahl parsknęła śmiechem.

- Jeśli chodzi o sugestie, jesteście oboje delikatni jak dunwayski młot bojowy. Chcecie, żebym go znalazła. - Przerwała, gdyż jej uwagę zwrócił smakowity zapach. - Czy to, co czuję, to takker?

- Możliwe... - mruknął Surim.

- Nieźle pachnie. - Usadowiła się wygodniej i zwróciła do Tamun. - No więc co jeszcze możecie mi powiedzieć o tym zwoju i uczonych z Ithanii Południowej?

Wyspa leżała dalej od lądu niż Borra. Kilka malutkich wysepek wskazywało drogę, a każda przypominała Reivan niewielką zatopioną górę. Kiedy statek wpłynął do osłoniętej laguny, którą król Elai wybrał na miejsce spotkania, nagle uświadomiła sobie, że znajdują się w kraterze, całkiem podobnym do tych, które widywała w Avvenie. Te wyspy naprawdę były zatopionymi górami. Jak szereg żołnierzy, wielkie górskie pasmo przecinające Ithanię Północną rozciągało się nie tylko od Dunwayu do Si, ale dalej w głąb oceanu.

Lagunę otaczała wąska plaża. Pośrodku czekała niewielka grupka ciemnych sylwetek.

- Jest wśród nich Imi - stwierdziła Imenja.

- To dobrze - uśmiechnęła się Reivan. - Miałam nadzieję, że spotkamy ją jeszcze przed powrotem do domu Choćby po to, by się upewnić, że jest zdrowa i bezpieczna.

- Wiemy, że jest zdrowa i bezpieczna.

- No tak, ale ja nie potrafię czytać w myślach.

- Nie wierzysz mi? Reivan parsknęła śmiechem.

- Oczywiście, że wierzę. Ale to nie to samo, co osobiście się przekonać. To jakby ktoś mówił mi, że coś jest smaczne, ale sama nie mogłabym spróbować.

Imenja zerknęła na nią z ukosa.

- Jak buszlaki?

Reivan uznała, że nie musi na to odpowiadać. Skinęła głową w stronę plaży.

- Czy jest tam król? - Tak.

- I co myśli o tym wszystkim?

- Jest podejrzliwy, ale dostrzega dobre strony. Jest też zadowolony z siebie, że przeforsował swoje warunki. I równocześnie dumny z Imi i trochę przestraszony.

- Przestraszony?

- Tak. Przygody ją zmieniły. Trudno mu się pogodzić z faktem, że jego córeczka wróciła całkiem dorosła. Jest człowiekiem, który nie lubi zmian. - Zamilkła na chwilę - Jest z nim jeszcze ktoś. Kapłanka. Zastanawia się, czy król zmodyfikuje traktat w sposób, jaki mu sugerowała.

- To znaczy jak?

Imenja uśmiechnęła się lekko.

- Obawia się, że Elai dadzą się skusić naszym bogom. Dlatego chce, żeby zakazał nauczania naszej religii. *

- I co zrobisz?

Imenja nie odpowiedziała. Podszedł kapitan z wiadomością, że szalupa już czeka. Drugi Głos kiwnęła głową i obejrzała się na Reivan.

- Masz wszystko?

W odpowiedzi Reivan uniosła nieprzemakalny worek, wypakowany pergaminem, atramentem i różnymi przyrządami do pisania.

- Chodźmy więc tworzyć historię.

Razem zeszły do łodzi. Gdy tylko zajęły miejsca, marynarze zaczęli wiosłować. Nikt się nie odzywał. Kiedy piasek zgrzytnął o dno, wioślarze wyskoczyli i wyciągnęli szalupę z wody. Imenja i Reivan wysiadły. Załoga czekała przy łodzi, a one ruszyły w stronę grupy Elai.

Tak jak przy poprzednim spotkaniu, król czekał otoczony kręgiem wojowników. Imi stała z jednej strony, a stara kobieta z drugiej. Kobieta miała złotą biżuterię i piękną szatę; Reivan mogłaby ją wziąć za królową, gdyby nie wiedziała, że matka Imi nie żyje. Nie, to musi być ta kapłanka... Jeszcze jeden mężczyzna stał o kilka kroków za władcą, a u jego stóp leżały dwa kamienne bloki.

- Witaj, królu Aisie, władco Borra - rzekła Imenja.

- Witaj, Imenjo, Drugi Głosie - odpowiedział. Imenja zwróciła się do Imi.

- Witaj, księżniczko Imi. Jak ci idzie po powrocie do domu i dawnego życia?

- Dobrze, Drugi Głosie - uśmiechnęła się Imi. Imenja z uśmiechem zerknęła na Reivan.

- Cieszę się. Czy teraz omówimy warunki traktatu? - spytała króla.

Skinął głową. Reivan słuchała uważnie, jak dyskutują o kwestiach wojny i handlu. Kiedy uzgadniali sformułowania kolejnych artykułów, notowała wszystko szarym rysikiem na małych kawałkach pergaminu. Każdy punkt był starannie rozważany i minęło sporo czasu, nim pojawiła się kwestia religii.

- Mój lud jest zadowolony, oddając cześć Huan - zapewnił król. - Rozumiemy jednak, że to, co nowe, może być kuszące i że nawet niewielkie różnice religijne mogą prowadzić do bardzo poważnych konfliktów. Dlatego muszę prosić, żebyście nie próbowali nawracać żadnych Elai, czy to nauczając wiary w nowych bogów, czy też spełniając prośby o taką naukę.

- Nasi ludzie będą zachowywać swe praktyki religijne dla siebie - zapewniła go Imenja.

Reivan z trudem się powstrzymała, by nie spojrzeć na nią ze zdumieniem. Dotknęła wisiora na szyi.

Jeśli się na to zgodzisz, Nekaun nie uzna tego traktatu za wartościowy.

: *Nie, ale z czasem sam się przekona, że im bardziej coś jest zakazane, tym bardziej pewni ludzie będą tego pragnąć.*

- Ja także chciałabym zastrzec w traktacie pewne sprawy - powiedziała Imenja głośno.

Król zdziwił się.

- Tak?

- Niektórzy w mojej ojczyźnie wyrażają niepokój, że twoi poddani mogą rabować kupców: albo czekając, aż piraci zaatakują ich statek, zanim sami zaatakują piratów, albo uderzając bezpośrednio na jednostki handlowe. Zapewniłam ich, że tak się nie stanie, ale chcą twojej obietnicy.

- Mają moje słowo, że wojownicy stosujący takie praktyki zostaną ukarani.

Imenja skłoniła głowę.

- Zmień „wojownicy" na „Elai" i podaj, jaka kara ich czeka, a moi rodacy będą zadowoleni. Muszę też zaznaczyć, że jeśli odkryjemy, iż twoi poddani zaczęli w ten sposób rabować nie - piratów, uznamy to za złamanie warunków traktatu.

- To rozsądne - zgodził się król. Imenja spojrzała mu w oczy.

- Dowiem się o tym - zapewniła. - W ten sam sposób, w jaki się dowiedziałam, że kupiec, który odkupił Imi od piratów, jest winien, że twoi wojownicy płyną za moim statkiem i że do twego miasta istnieje drugie wejście, skąd strażnicy wypatrują piratów. Czego nie potrafię zobaczyć za pomocą Talentów, jakimi obdarzyli mnie bogowie, o tym mówią mi oni sami. Dowiem się, jeśli twoi poddani zostaną rabusiami.

Zmarszczka na czole króla pogłębiła się, kiedy zrozumiał, co do niego mówi. Spojrzał na Imi, która nagle wydała się trochę przestraszona. Ale wyprostowała się.

- Mówiłam ci, że jest czarownicą - powiedziała ojcu.

- Ale tego nie wiedziałaś - mruknął. Pokręciła głową.

Król znowu zwrócił się do Imenji. Zmrużył oczy.

- Jaką mam pewność, że nie wrócisz tu na czele flotylli statków i nie zdobędziesz mojego miasta?

- Nie interesuje mnie zdobywanie twojego miasta - odparła z uśmiechem. - Nie tylko leży w zbyt wielkiej odległości od mojego domu, ale też co mi przyjdzie z podziemnego miasta wielkości avveńskiej wioski? Widzę natomiast wiele korzyści płynących z handlu i z tego, że morza będą bezpieczne dla kupców. Obie strony tego traktatu ryzykują. Wy wierząc, że nie interesuje nas podbijanie waszego ludu, my licząc, że tego, czego was nauczymy, nie wykorzystacie niewłaściwie. Uważam, że sprawa warta jest tego ryzyka.

Król pokiwał głową.

- Miałem wątpliwości. Przyznaję, że mam je nadal. Ale mój lud nie może wciąż trwać w niezmienionym stanie. Dlatego skłonni jesteśmy podjąć to ryzyko.

Odwrócił się do mężczyzny za sobą. Reivan zauważyła, że jedna z kamiennych płyt pokryta jest znakami pisma Elai.

- Przynieś je tu, a my będziemy patrzeć, jak nasze słowa rzeźbisz w obietnice. - Spojrzał na Imenję. - Spiszemy nasz traktat w obu językach.

- I na sposób obu naszych ludów - zgodziła się Imenja.

Zerknęła na Reivan. Ta kiwnęła głową na to niewypowiedziane polecenie, otworzyła ceratowy worek i wydobyła pergamin, atrament i deskę, która miała służyć jako pulpit. „

- To nigdy nie wytrzyma w wodzie - mruknął skryba Elai.

Reivan uśmiechnęła się, wyjęła kapsułę na wiadomości, futerał z naoliwionej skóry, wosk i zwój sznura.

- Wytrzyma - uspokoiła go.

Nie wydawał się przekonany. Reivan wzruszyła więc ramionami, ze skrzyżowanymi nogami usiadła na piasku i zaczęła pisać.

Pomiędzy Mirarem i pierwszymi drzewami lasu rozciągał się gładki i stromy dywan śniegu. Uznał, że najłatwiej będzie zejść zygzakiem. Gdyby poszedł prosto w dół, mógłby stracić równowagę.

Czy to tak bardzo źle? zapytał sam siebie. Zjazd byłby pewnie szybszy od marszu. Spojrzał na drzewa w dole... Choć mniejsze od tych w głębi lasu, były jednak równie twarde.

Gdyby zjeżdżał na oślep w chmurze śniegu, mógłby nie widzieć drogi przed sobą. Mógłby nie zauważyć drzewa na czas, by użyć magii i zahamować, zamiast uderzyć o pień.

Tak, powiedział sobie. To bardzo źle.

Obejrzał się na szczyt góry i westchnął. Kilka razy w życiu zdarzyło mu się zawędrować w tak wysokie i niegościnne tereny, jednak zawsze w towarzystwie innych. Widoki zapierały dech, ale szlak był miejscami zdradziecki. Wydostanie się z zasypanej jaskini wymagało tylko brutalnej siły magicznej, za to unikanie pokrytych śniegiem szczelin okazało się większym wyzwaniem.

Powoli ruszył przez otwarte zbocze. Śnieg był sypki, ale niezbyt głęboki. Przy każdym kroku spływał kaskadami w dół.

W połowie drogi przystanął, by się rozejrzeć.

I po chwili uświadomił sobie, że nadal się porusza. Całe zbocze się poruszało.

Serce zamarło mu na moment, po czym zaczęło bić jak szalone. Gładka powierzchnia falowała i marszczyła się. Instynkt ucieczki kazał odwrócić się i pognać w górę, ale jego dawna ścieżka była już całkiem zasypana, gdyż śnieg z góry nasunął się na śnieg z dołu.

Krępował mu nogi. Mirar usiłował zachować równowagę, ale bez skutku. Kiedy upadł na bok i zaczął się zsuwać, śnieg przelewał się nad nim jak fale przyboju.

Nie wpadaj w panikę, upominał się. Zjadę tylko na sam dół. Jedyne niebezpieczeństwo to brak powietrza i te drzewa...

Ściągnął magię i otoczył się barierą, dodając nieco miejsca przed twarzą, by móc oddychać. Czuł, jak stacza się po stoku. A potem zwolnił nagłe i znieruchomiał, przysypany śniegiem. Nacisk na barierę rósł.

Zasypuje mnie.

W pamięci błysnęły wspomnienia czasu, kiedy leżał pod głazami. Gdzieś w głębi zbudziła się groza. Walczył z nią, zmuszając się do powolnych oddechów. Nacisk był już dostatecznie silny, by go zmiażdżyć.. Gdyby na chwilę się zdekoncentrował, bariera by zniknęła i....

Czemu by jej nie pozwolić?

Odrętwienie zaczęło zastępować strach.

Czemu nie zrezygnować z takiego życia? Odkryć, co czeka poza nim? Słudzy bogów mogą cię dopaść i zabić już za kilka tygodni, kiedy dotrzesz na wybrzeże. Dlaczego masz im na to pozwalać? Zgiń tutaj i odbierz im satysfakcję. Wyobraź sobie, jak przez wieczność będą się zastanawiać, dokąd się wymknąłeś...

Zimno śniegu było niczym w porównaniu z jego rozpaczą.

Po co mam żyć? Mój lud jest coraz mniej liczny, nie mogę dać się im poznać, nie narażając ich życia. Kobieta, którą kocham, jest tak daleko poza moim zasięgiem, jak to tylko możliwe. Trwa Era Pięciorga i nie ma w niej dla mnie miejsca. Powinienem...

- Przestań być taki żałośnie melodramatyczny - powiedział głośno.

Zamknął oczy, wciągnął w siebie potężny strumień magii i przekierował go. Rozległ się głuchy huk. Biel ponad nim poleciała w górę, rozpadła się i posypała na boki. Kiedy opadła, usiadł i się rozejrzał.

Znalazł się wewnątrz wielkiego krateru. Wstał, wspiął się na jego ścianę i odwrócił, podziwiając swe dzieło. Dziura wyglądała całkiem imponująco.

Uśmiechnął się.

Jakiś cień przemknął obok jego cienia i Mirar przestał się uśmiechać. Uniósł głowę i zobaczył dwójkę odlatujących Siyee.

Westchnął, odwrócił się i poczłapał w stronę lasu.

49

Auraya zatrzymała się i spojrzała na Ołtarz. Podniesione ściany odcinały go od świata.

Odtwarzała w pamięci sceny minionego dnia.

Figiel zaanonsował jej powrót, kiedy zdołał się jakoś wymknąć z pokoju i odszukać veeza Mairae. Wkrótce potem Auraya została wezwana do kwatery Jurana. Czekała tam już Mairae z oboma zwierzakami.

- Czemu nas nie zawiadomiłaś o swoim powrocie? - zapytał ją Juran.

- Spodziewałam się, że bogowie was uprzedzą. Zdziwiłam się, że nie wyszliście mi na spotkanie. - Wzruszyła ramionami. - Było późno i nie chciałam nikogo budzić.

Pokiwał głową.

- Opowiedz mi teraz o wszystkim, co się działo od chwili, kiedy odkryłaś, że Mirar jako Leiard przebywa w Si.

No więc opowiedziała mu wszystko. Zajęło to kilka godzin. Od czasu do czasu przerywały jej pytania innych Białych - Dyara i Rian także słuchali, poprzez łącze z Juranem.

Kiedy wreszcie skończyła, Juran wrócił do boskiego wyroku i zapytał, czy skłonna jest go uznać.

- Jeśli o mnie chodzi, to tak - odpowiedziała. - Ale trudno mi się pogodzić z faktem, że kara za moje czyny spada na Siyee.

: *Powinnaś się zastanowić nad możliwymi konsekwencjami dla Siyee, zanim okazałaś nieposłuszeństwo bogom,* rzekła Dyara.

- Nigdy bym nie pomyślała, że bogowie będą tak... tak... że podejmą taką decyzję - odpowiedziała.

: *Nadal wątpisz w boską mądrość,* stwierdził Rian.

- Tak - przyznała. Wygłosił już kilka takich podniosłych uwag. - Gdyby skłonność do zgłaszania wątpliwości nie była wymagana dla zostania Białą, bogowie by mnie nie wybrali. I z pewnością zredukowałoby to liczbę kandydatów na ceremoniach Wyboru.

Auraya pamiętała, że Mairae uśmiechnęła się wtedy, ale gdy Juran na nią spojrzał, jej twarz wyrażała tylko surowość i dezaprobatę.

Wtedy to sobie uświadomiłam: oni wszyscy uważali, że powinni mnie traktować jak skarcone dziecko, że muszą ukrywać wszelką sympatię, jaką odczuwają dla mnie czy dla moich działań.

: *Niewielu jest godnych służby bogom,* powiedział wtedy Rian.

Skrzywiła się niechętnie.

Wiem, że byłam głupia, pomyślała. Nie żałuję tego, ponieważ do wyboru miałam tylko zostanie hipokrytką i morderczynią. Ale chciałabym, by ta moja głupota nie szkodziła Siyee. Zrobiłabym wszystko, by do tego nie dopuścić.

Juran próbował zażegnać ich kłótnię. Powiedział, że wszyscy powinni się starać współpracować i unikać niepotrzebnych konfliktów. Wszystko powinno być takie jak dawniej.

Mairae popatrzyła na niego smutnie.

- Wątpię, czy cokolwiek będzie jeszcze takie jak dawniej - mruknęła.

Auraya nie była pewna, co ma na myśli. Może siebie? Czyżby boskie decyzje wzbudziły wątpliwości u jeszcze jednej Białej?

A może Mairae chodziło o wszystkich Białych? Czy tylko o Aurayę?

Wyraźnie jednak nie mówiła o Siyee. Chyba w ogóle nikt się nie przejmował ludem nieba. Kiedy Juran w końcu odprowadził Aurayę do drzwi, zapytała, czy chciałby się nauczyć Daru uzdrawiania Mirara. Potrząsnął głową, jakby sama myśl o tym go przeraziła.

Lekki szum znowu zwrócił uwagę Aurai na Ołtarz - pięć ścian zaczynało się rozwierać. Serce zamarło jej na moment, po czym zabiło szybko.

Za chwilę podejmę ogromne ryzyko, myślała. Mogę stracić wszystko. Ale, jak powiedziała Mairae, nic już nie będzie takie samo. Już teraz wiele mi odebrano. Jeśli stracę resztę, będę musiała się z tym pogodzić.

Pod Kopułą zabrzmiały echem szybkie kroki. Obejrzała się - nadchodzili Juran i Mairae. Auraya podeszła do stołu w Ołtarzu i zajęła swoje miejsce.

- Czemu nas tu wezwałaś? - zapytał Juran.

- Chcę zadać bogom pytanie - odparła. - Takie, na które wy także chcielibyście może poznać odpowiedź.

Przyglądał się jej, wyraźnie zirytowany, że zwołała zebranie, nie rozmawiając z nim wcześniej.

- Jakie to pytanie?

- Usłyszysz je, jak tylko rozpoczniesz rytuał i pojawią się bogowie.

Wahał się przez chwilę, ale Mairae położyła mu dłoń na ramieniu.

- Zacznijmy. Wątpię, czy wyciągniesz to z niej w inny sposób.

Juran z westchnieniem usiadł na swoim miejscu. Mairae z gracją zajęła swoje; oczy jarzyły jej się ciekawością...

- Nie pozwalasz nam się nudzić, Aurayo - rzuciła niemal szeptem, ale z aprobatą.

Auraya uśmiechnęła się z przymusem i spojrzała wyczekująco na Jurana. Ten znowu westchnął i zamknął oczy.

- Chaio, Huan, Lore, Yranno, Saru - zaintonował. - Raz jeszcze dziękujemy wam za pokój, który przynieśliście Ithanii Północnej, i za Dary, które pozwalają nam go utrzymywać. Dziękujemy wam za mądrość i przewodnictwo.

- Dziękujemy wam - mruknęły Auraya i Mairae. Skupiła się na wahaniach magii wokół Ołtarza, ale nie wyczuła żadnego znaku obecności bogów.

- Auraya pragnie zadać wam pytanie. Jeśli zechcecie jej odpowiedzieć, pojawcie się przed nami.

- Prowadźcie nas - szepnęła.

Juran otworzył oczy i oparł się na krześle. Patrząc mu w oczy, widziała w nich niedowierzanie. Nie spodziewał się, by bogowie odpowiedzieli na wezwanie. Ona jednak wyczuła ich obecność na samej granicy zasięgu zmysłów. Przesuwali się ku niej.

Pięć jaśniejących postaci pojawiło się wokół Ołtarza. Chaia stanął obok Jurana i uśmiechnął się do niej, jednak spoważniał natychmiast, kiedy zobaczył, o czym myśli.

Jakie jest twoje pytanie, Aurayo?

To przemówiła Huan. Auraya poczuła dreszcz - to bogini, której rzuciła wyzwanie. A także ta, która wymagała ślepego posłuszeństwa.

Zmuszając się, by patrzeć jej w twarz, Auraya zebrała się na odwagę.

- Czy pozwolicie mi zrezygnować ze stanowiska Białej? Juran syknął nerwowo. Mairae nabrała tchu.

- Nie, Aurayo - powiedział Juran. - To nie jest konieczne.

- Byliśmy dla ciebie dzisiaj zbyt surowi - dodała Mairae. - Ale nie możesz traktować Riana poważnie.

Auraya nie odrywała wzroku od twarzy Huan. Bogini zmrużyła oczy.

: *Dokąd chcesz pójść?*

- Do Si.

Huan popatrzyła na innych bogów. *:Musimy to omówić. Czekajcie tutaj.* Pięć postaci zniknęło. Auraya odetchnęła głęboko.

- Aurayo - odezwał się surowo Juran. - Powiedziałaś, że przyjmujesz boski wyrok.

Spojrzała na niego.

- Przyjęłam. Ale nie mogę się pogodzić z porzuceniem Siyee.

Zmarszczył czoło.

- Czy warci są tego, by dla nich rezygnować z pozycji, z nieśmiertelności... zdolności

lotu? Jak zdołasz im pomóc bez tego?

- Zrobię, co będę mogła - odparła. - Ja...

Potrząsnęła głową. Na granicy zmysłów słyszała ciche brzęczenie. Kiedy się skupiła, ze zdziwieniem odkryła, że rozróżnia słowa.

: *...ostrzegałem, że coś takiego może się zdarzyć, ale ty się uparłaś, żeby poddawać ją kolejnym próbom.*

To mówił Chaia. Zrozumiała, że jest zły.

: *Nie częściej niż pozostałych,* odparła Huan.

: *Po wielu latach służby!*

: *Była ostatnią Białą. Nie miała luksusu długiego czasu na przyzwyczajanie się do roli. Teraz możemy znaleźć godniejszego następcę. Co sądzą inni?*

: *Zgoda,* rzekł Lore.

: *Tak,* powiedziała Yranna.

: *Dajcie jej, czego chce,* dodał Saru. *A potem możemy się jej pozbyć.*

Tylko jeśli zwróci się przeciw nam, zaprotestował stanowczo Chaia. *Moim zdaniem powinna zostać Białą.*

: *Jesteś przegłosowany, ale pozwolimy jej ruszyć do Si. Wstrząs po jej rezygnacji zaszkodzi nam dostatecznie, choć wiedza o tym, że zrezygnowała, by pomagać Siyee, zredukuje... Zaraz! Ona nas słyszy!* wykrzyknęła Huan.

: *Ostrzegałem was. Wiecie, że potrafi nas wyczuwać, kiedy jesteśmy blisko,* przypomniał Chaia z pewną złośliwą satysfakcją. *Czy to zmienia waszą opinię?*

: *Nie,* stwierdziła krótko Huan.

Bogowie zbliżyli się i zajęli swoje miejsca wokół stołu. Auraya zdała sobie sprawę, że wpatruje się tępo w Jurana, i odwróciła wzrok. Pięcioro bogów znów się pojawiło.

: *Zgadzamy się na twoją prośbę,* oznajmiła Huan.

: *Jednak pod pewnymi warunkami,* uzupełnił Chaia. *Nie możesz szukać dla siebie władzy nad żadną krainą ani ludem. Jeśli wystąpisz przeciwko nam lub Białym, lub naszym dziełom, jeśli sprzymierzysz się z naszymi wrogami, będziesz uznana za wroga.*

- To rozsądne. Przyjmuję wasze warunki. *:Zdejmij pierścień.*

Serce Aurai znowu na moment zamarło. Wyciągnęła rękę i powoli zsunęła z palca biały pierścień. Wstała i zwróciła się do Chai.

- Służba wam była dla mnie największą radością i zaszczytem, ale wyraźnie potrzebujecie na tym stanowisku kogoś godniejszego. Nie chcę się od was odwracać. Nadal macie mój szacunek i miłość. Nadal też chętnie będę wam służyć jako kapłanka, o ile

wyrazicie na to zgodę.

Chaia spojrzał na Huan.

: *O tym, jak zawsze, decydują jedynie Biali.*

Huan lekko zmrużyła oczy. Auraya zerknęła na Jurana, potem na pierścień. Odetchnęła głęboko i położyła go na stole. Nie czuła niczego - żadnej bolesnej straty ani żadnej zmiany. Cofnęła się o krok i znów spojrzała na przywódcę Białych.

Z ponurą miną przyglądał się pierścieniowi.

I powinien, pomyślała. Bez piątej osoby Biali są osłabieni. Ale bogowie ma pewno nie pozostawią ich tak na długo.

Wątpię, czy z moim następcą będą czekali następne dwadzieścia pięć lat.

Popatrzyła na Mairae. Ku jej zdumieniu, młoda kobieta z uśmiechem pokiwała głową; w jej oczach Auraya widziała przyjazny szacunek. Nie sądziła, by inni Biali czuli to samo. Dyara i Rian z pewnością oglądali to wszystko za pośrednictwem Jurana i Mairae.

Dyara będzie rozczarowana, uznała Auraya. Za to Rian oszaleje z radości.

: *Twoja decyzja jest nieodwracalna,* uprzedziła Huan. *Jednakże nie ma potrzeby, żebyś pozostawała w Jarime. Możesz wrócić do Si.*

Auraya wykonała formalny znak kręgu.

- Dziękuję wam. Bogowie zniknęli.

Auraya milczała, niepewna, co teraz powiedzieć czy zrobić. Juran ciągle wpatrywał się w pierścień. Wreszcie powoli wyciągnął rękę i podniósł go. Spojrzał jej w oczy.

- Poświęciłaś wszystko dla Siyee - stwierdził. - Tak.

Uśmiechnęła się. Przypomniała sobie o domysłach Mirara, że Dar lotu jest tylko jej.

- Ale może jednak nie wszystko - rzuciła Mairae. Auraya spojrzała na nią zdziwiona.

- Mogę teraz czytać ci w myślach - wyjaśniła Mairae.

- Oczywiście... - Auraya potrząsnęła głową. - Nie pomyślałam o tym.

- No więc jak? Spróbujesz polecieć?

Auraya skupiła umysł na własnej pozycji względem świata - wciąż ją wyczuwała. Ściągnęła magię i uniosła się w górę. Mairae zaśmiała się tryumfalnie.

- Tak! Nadal możesz pomagać Siyee!

Ulga zalała Aurayę jak fala. Nie umiała powstrzymać szerokiego uśmiechu.

- Mogę do nich dotrzeć. Ale muszę jeszcze sprawdzić, czy nadal potrafię ich leczyć.

- Domyślam się więc, że zechcesz odlecieć jak najszybciej - odezwał się Juran. Wydawał się zmęczony.

Auraya opadła na podłogę.

- Tak. Muszę tylko zabrać Figla i trochę rzeczy. Kiwnął głową i wstał.

- Uważaj na siebie, Aurayo. Nie muszę ci mówić, że powinnaś unikać pentadriańskich czarowników. Ja... muszę się naradzić z pozostałymi, nim zdecyduję, czy możesz pozostać kapłanką.

- Rozumiem.

- Zajrzyj od czasu do czasu, poplotkujemy sobie - wtrąciła Mairae.

Auraya znowu się uśmiechnęła.

- Musicie kiedyś odwiedzić Si. Może moglibyście popłynąć na wybrzeże... Myślę, że by się wam spodobało.

Mairae spojrzała na Jurana.

- Sądzę, że powinniśmy się postarać.

Przytaknął, po czym zszedł z Ołtarza na posadzkę Kopuły.

- Powinniśmy. I bardzo byłoby dla nas wygodnie, gdybyśmy mieli w Si kapłankę, która może szybko do nas dotrzeć.

Auraya zerknęła na niego z ukosa.

- Ja także chciałabym nadal z tobą pracować, Juranie z Białych.

Popatrzył na nią i uśmiechnął się - pierwszy raz od jej powrotu.

Łódź czekała w miejscu, gdzie ją zostawiła. Emerahl zwróciła się do Surima i Tamun.

- Dziękuję wam za gościnność - powiedziała.

Tamun z uśmiechem rozłożyła ramiona. Ku zdziwieniu Emerahl, ta zwykle chłodna kobieta objęła ją mocno.

- To ja powinnam ci dziękować, że do nas przybyłaś i miałam wreszcie z kim rozmawiać.

- Z kimś innym niż ja - dodał Surim.

- Wy też nie jesteście złym towarzystwem - odparła Emerahl.

Kiedy Tamun odstąpiła, Surim uścisnął Emerahl tak, że nie mogła złapać tchu.

- Uważaj na siebie, stara Wiedźmo.

- I wy uważajcie na siebie nawzajem.

- Och, w tym jesteśmy dobrzy. Zawsze na siebie uważaliśmy.

- Na dobre i na złe - dodała Tamun. Po czym odchrząknęła. - Już wystarczy, bracie.

Surim wypuścił Emerahl z objęć i odstąpił z uśmiechem.

- Ale już tak dawno nie trzymałem w ramionach innej kobiety. ..

Tamun warknęła gniewnie.

- Kilka tygodni, z tego, co pamiętam.

- Kilka tygodni to dużo czasu. - Zastanowił się. - Hm... Myślę, że chyba już pora na kolejną wyprawę w dół rzeki.

- Ta dziewczyna z bagien za bardzo zaprząta twój umysł - oświadczyła z dezaprobatą jego siostra.

- Jest już chyba za stara, żeby nazywać ją dziewczyną, ale z pewnością by jej to pochlebiło.

Tamun znowu warknęła cicho, ale powstrzymała się od komentarzy. Wręczyła Emerahl sakwę - tę samą, którą tkała podczas jej pobytu.

- Znajdziesz tu jedzenie, czystą wodę i miejscowe leki, o których mówiłyśmy.

- Dziękuję.

- Postaramy się kontaktować z tobą każdej nocy - obiecał Surim. - W snach.

- A ja dam znać, jeśli odkryję coś nowego. Oboje pokiwali głowami. Surim zmarszczył czoło.

- Wyruszylibyśmy sami, ale ten świat, który teraz istnieje, ty znasz o wiele lepiej od nas. Choć codziennie prześlizgujemy się po umysłach śmiertelników, nie jesteśmy pewni, czy to, czego się dowiadujemy, pozwoliłoby nam przetrwać. A gdybyśmy rzeczywiście wyruszyli, powinniśmy się rozdzielić.

Surim nie mówił, jak bardzo chcą tego uniknąć - nie musiał. Jego normalnie wesoły głos stał się pełen napięcia.

- Bardziej się przydamy, przeglądając myśli ludzi i przekazując ci to, czego się dowiemy.

Emerahl uśmiechnęła się i uniosła ręce.

- Przestań. Rozumiem wasze opory. Chcę to zrobić. Nawet jeśli nie odkryjemy, jak można zabić bogów, to przecież dowiemy się więcej o nich samych i ich ograniczeniach. Warto więc podjąć taką wyprawę.

- To twoja Misja - stwierdził Surim i zachichotał. - W każdym razie tak by ją określiła Wyrocznia.

Emerahl także się roześmiała.

- Raczej „Wyprawa po Zwój Bogów". Tamun przytaknęła.

- Napisałaby jakiś okropny wiersz i nazwała go proroctwem. Zielonooki duszek znalazłby zwój, ocalił świat i dusze wszystkich ludzi.

- Przestań. Proszę.

Wciąż chichocząc, Emerahl podeszła do łodzi. Odwiązała cumę z glinianego dzbana i weszła na pokład. Natychmiast zaczęła się oddalać od półki i Bliźniąt.

- Prąd poniesie cię na zewnątrz! - zawołał Surim.

- Powodzenia! - dodała Tamun.

Emerahl położyła sakwę i obejrzała się przez ramię. Prąd wyniósł ją już na środek groty. Brat i siostra machali do niej, więc podniosła dłoń w odpowiedzi.

Po chwili łódź dotarła do wylotu z jaskini po drugiej stronie, więc skierowała ją do głównego tunelu.

Zaśmiała się w duchu. Wyprawa po Zwój Bogów się rozpoczęła.

Nic nie mówili, kiedy opuścili wyspę. Nic nie mogli mówić, gdyż płynęli przez całą drogę, tylko kilka razy zatrzymując się na odpoczynek. Kiedy Imi zaczęła zostawać w tyle, wojownicy chwycili ją za ręce i pociągnęli, co byłoby niezłą zabawą, gdyby wszyscy nie byli tacy poważni.

Teraz, kiedy wynurzyła się obok ojca, odkryła, że samo brodzenie w wodzie wymaga ogromnego wysiłku. Całe ciało miała obolałe. Nogi bolały ją od pływania, ramiona od holowania. Z ulgą zobaczyła, że ojciec zatrzymał się na brzegu Wrót.

- Mój ludu! Obywatele Borra!

Uniosła głowę, zaskoczona grzmiącym głosem ojca, rozlegającym się tuż przy niej. Widząc przelewający się nad brzegiem tłum Elai, zrozumiała, jak wielu zebrało się tu, by czekać na ich powrót. I na wieści.

- Dzisiaj podjąłem poważne ryzyko, ale wiem, że wielu z was je popiera. Zawarłem traktat z pentadrianami. Będą z nami handlować, będą nas uczyć... a wszyscy wiecie, że wiele mają do przekazania... i przyjdą nam z pomocą w trudnych chwilach. Taki układ niesie moc niebezpieczeństw, a opiera się na wzajemnym zaufaniu i uczciwości obu stron. Daje jednak liczne korzyści. Wierzę, że dzięki pomocy pentadrian staniemy się silniejsi. Może dostatecznie, by nie ukrywać się już w tym mieście. Może dostatecznie, by nie tylko przestać się obawiać ziemiochodzących piratów, ale oczyścić morza z ich plagi.

Przyjrzał się zasłuchanym twarzom. Niektóre były niespokojne, ale większość wyrażała zadowolenie. Zerknął na Imi i wziął ją za rękę.

- Razem staniemy się silni i dumni. Razem znowu zajmiemy nasze wyspy!

Ktoś krzyknął, potem kolejne głosy dołączały do wiwatów. Imi poczuła, że opada z niej zmęczenie. Uśmiechnęła się do ojca, a on odpowiedział już nie lękliwym półuśmieszkiem, ale szerokim uśmiechem, pełnym determinacji.

Razem ruszyli przez tłum do pałacu.

Danjin usadowił się w fotelu obok żony. Silava uśmiechnęła się i odłożyła czytany właśnie list. Wstała, sięgnęła po dzban tintry, która grzała się na palenisku, i nalała mu do

pucharu. Potem wróciła na fotel i znowu wzięła do ręki list.

- Która to z naszych córek tym razem? - zapytał.

- Twoja najstarsza - odparła, udając dezaprobatę dla jego tonu. - Twoja wnuczka miała gorączkę, ale chyba już wyzdrowiała. Myślisz, że latem moglibyśmy znowu ich odwiedzić?

- To zależy od...

Przerwało mu pukanie; służący pospieszył do frontowych drzwi. Danjin zauważył jakiegoś człowieka w bieli, a potem drzwi znowu się zamknęły.

- Wiadomość dla Ta - Speara - oznajmił z szacunkiem służący i wręczył mu metalowy cylinder.

- Znowu do świątyni? - domyśliła się Silava. Przyjrzał się kapsule ze zdziwieniem.

- Zwykle po prostu mówią, że mam przyjść. To coś oficjalnego.

- Może zaproszenie na jakąś specjalną ceremonię?

- Możliwe.

Zbadał pieczęć - nie miała śladów złamania. O ile potrafił to stwierdzić, cylinder był autentyczny. Silava Zabębniła palcami o poręcz fotela.

- Masz zamiar to otworzyć?

- W końcu tak.

- Czemu nie teraz?

- Nie zrzędziłaś jeszcze dość długo.

Uchylił się, kiedy cisnęła w niego pustym kielichem. Ze śmiechem przełamał pieczęć i wysunął zwój. Silava wstała, żeby podnieść puchar i dolać sobie tintry. Danjin rozwinął pergamin.

Jego oczy przebiegały po słowach, ale umysł odmawiał ich zrozumienia. A przynajmniej Danjin chciałby, aby tak było. Kiedy dotarł do końca, odłożył list i zapatrzył się w ogień, próbując opanować niedowierzanie.

- Co tam piszą? - zapytała Silava.

- Auraya zrezygnowała.

Zobaczył, że żona gwałtownie podnosi głowę. Przez chwilę się nie odzywała.

- Piszą dlaczego? - spytała w końcu.

- Nie, ale napisali, że wróciła do Si. Była tutaj. W Jarime. Nic mi nie powiedziała.

- Oczywiście, że nie. Gdyby ludzie się dowiedzieli, co zamierza zrobić, w mieście by się zakotłowało.

- Chyba tak. Ja bym dochował tajemnicy, ale jeśli nie chciała, by inni Biali poznali jej plany...

Znów ktoś zapukał do drzwi; tym razem Danjin sam otworzył. Posłaniec w bieli z powagą wręczył mu następny cylinder z wiadomością, wykonał znak kręgu i wrócił do świątynnego plattenu.

Danjin złamał pieczęć i wydobył zwój, zanim jeszcze zdążył wrócić na miejsce. Kiedy zobaczył eleganckie pismo Aurai, odetchnął z ulgą. Nie zapomniała o nim...

Drogi Danjinie Spearze,

niewiele zostało mi czasu w Jarime, więc mój list musi być krótki. Dzisiaj podjęłam trudną decyzję, ale jej nie żałuję. Zrezygnowałam z miejsca wśród Białych, aby poświęcić się pomaganiu Siyee. Chciałabym osobiście przekazać Ci tę wiadomość, ale każda chwila zwłoki oznacza, że sercożer zabija kolejnych Siyee. Chcę Ci podziękować za wszystkie Twoje rady i pomoc, której mi udzielałeś przez ostatnie półtora roku. Byłeś nie tylko doradcą, ale i przyjacielem. Będę tęsknić za Twa mądrością i humorem. Zaproponuję Białym, żeby powierzyli Ci funkcję doradcy mojego następcy. Wiem, że świetnie sobie poradzisz. Życzę Ci dobrej przyszłości

Auraya Dyer

- Ładnie z jej strony - uznała Silava. - Wygląda na to, że się spieszyła.

Danjin uniósł głowę. Żona zaglądała mu przez ramię. Westchnął.

- Ten list mógł zawierać tajne informacje. Poklepała go po plecach.

- Mógł. Ryzykowałam. Co teraz zrobisz z pierścieniem? Spojrzał na swoją dłoń.

- Pewnie zażądają go z powrotem.

- Prawdopodobnie. Może zresztą już nie działa.

- Może. - Zsunął pierścień z palca i położył na dłoni. Ogarnął go smutek. - Była dobrą Białą. Za dobrą. Zrezygnowała ze wszystkiego, żeby pomagać Siyee.

- Wiem - odpowiedziała pocieszającym tonem Silava. - Daj, schowam go na razie w jakimś bezpiecznym miejscu.

Podał jej pierścień. Jej kroki oddaliły się, ucichły na moment, po czym wróciły. Wzięła z paleniska dzbanek i dopełniła jego puchar.

- Wypij. To cię rozgrzeje. I pomyśl o tym: miną miesiące, zanim znajdą kogoś na jej miejsce. Cały ten czas mamy dla siebie.

Spojrzał na nią.

- I będziemy mogli bez przeszkód odwiedzić latem nasze córki, jak przypuszczam.

Udała zaskoczoną.

- O tym nie pomyślałam... Ale masz rację.

Kiedy odeszła, zaśmiał się cicho. Przynajmniej jego żona była szczęśliwa. Czytając list po raz drugi, czuł gorzkie rozbawienie. Pamiętał, że Siyee oczarowali Aurayę już podczas pierwszego spotkania.

To pewnie znaczy, że ty też jesteś szczęśliwa, Aurayo, pomyślał. Mam nadzieję, że było to warte tej ofiary.

I pewnie powinienem cię na powrót powitać w świecie śmiertelnych.

EPILOG

Spoglądając za siebie ku brzegowi, Mirar zaśmiał się cicho. Arleej dotrzymała słowa - miasto było pełne tkaczy snów. On sam, w swoim zniszczonym i brudnym ubraniu, był zbyt zwyczajny i nieciekawy, by ściągnąć coś więcej niż tylko przelotne spojrzenie.

Niestety, oznaczało to również, że w okolicy nie brakuje uzdrowicieli, nie miał więc niczego na sprzedaż. W rezultacie musiał ukraść łódkę. Była niewielka - za mała na fale oceanu - ale ze swym ograniczonym doświadczeniem żeglarskim nie sądził, by dał sobie radę z czymś większym.

Przez całą noc bronił się przed wywrotką i pchał łódkę naprzód głównie za pomocą magii. Teraz, przed świtem, woda się uspokoiła, a on był zmęczony.

Ale nie mogę jeszcze zasnąć, mówił sobie. Muszę poprosić Emerahl, żeby mnie nauczyła, jak mam utrzymać tę łódkę na powierzchni. W przeciwnym razie nie będę mógł spać jeszcze przez parę dni, może tygodni.

Położył się i bez trudu zapadł w senny trans.

: *Emerahl!*

Odpowiedź nadeszła po trzecim wołaniu.

: *Mirar... Gdzie jesteś?*

: *W łodzi.*

: *Co? W jaki... Och! Ominąłeś ich!*

: *Tak. Zeszłej nocy.*

: *Brawo!*

: *Dziękuję. Arleej świetnie się spisała i wypełniła nadbrzeżne wioski tkaczami snów. Rozpuściła chyba pogłoskę, że zaczyna się tam zaraza. Miejscowi zarobią majątki, kasując tkaczy za noclegi i jedzenie. Mam jednak nadzieję, że będą też okradać cyrkliańskich kapłanów i kapłanki, których Biali ze sobą sprowadzili.*

: *Widziałeś kogoś z Białych?*

: *Nie, ale słyszałem, jak ktoś mówił, że są niedaleko. Siyee śledzili mnie aż do wioski.*

: *Kiedy to było?*

: *Wczoraj.*

: *Więc dlaczego zasnąłeś? Musisz jak najszybciej oddalić się od brzegu. Siyee mogą daleko zalecieć w ciągu dnia.*

: *Wiem. Ale ta łódka jest mała i całą uwagę poświęcam na to, żeby nie pozwolić jej się*

wywrócić. Potrzebna mi twoja pomoc.

. A jaką łódź zdobyłeś?

Przesłał jej myślowy obraz.

: *Wziąłeś szalupę? Ty idioto!*

: *Nie miałem wielkiego wyboru. Musiałem ją ukraść. W okolicy jest tylu tkaczy snów, że nikt nie wymieniłby łodzi na wątpliwe leki od jakiegoś włóczęgi.*

: *Raczej nie.*

: *Musisz mi pomóc. Naucz mnie żeglować.*

: *Przez senne łącza? Nie mogę tak leżeć po całych dniach. Mam Misję.*

Powiedziała to w taki sposób, że niemal usłyszał wielką literę.

: *Ale ja utonę!*

: *No dobrze. Z tobą i Bliźniętami, pół dnia będę spędzać, leżąc na plecach... Hm... chyba nie wyraziłam tego najlepiej. Aha! To mi przypomniało, że mam dla ciebie ważne wieści.*

: *Co takiego?*

: *Bliźnięta mówią mi, że pogłoska o tym ogarnęła całą Ithanię Północną niczym pożar stepu latem.* Przerwała dla większego dramatycznego efektu. *Twoja Auraya porzuciła Białych.*

Mirar poczuł, że cała jego istota rozpada się, a potem łączy na powrót. Jak to możliwe, że kilka słów miało tak wielkie znaczenie, by zarówno podniecało, jak przerażało?

: *Czy jeszcze żyje?*

: *Najwyraźniej. Wróciła do Si. Według Siyee, których umysły przejrzały Bliźnięta, jest tam już od kilku tygodni.*

: *To znaczy, że nadal umie latać.* Serce biło mu jak oszalałe. *To jej wrodzony Dar, Emerahl. Jest już blisko stania się nieśmiertelną. Wiem to!*

: *Nie masz pewności.*

: *Mam. Za łatwo się nauczyła uzdrawiania magią, żeby to nie była prawda. Wystarczy jeden mały kroczek, drobne szturchnięcie, a osiągnie nieśmiertelność.*

: *Bogowie raczej nie będą zachwyceni.*

: *Nie, ale jedyna alternatywa to pozwolić jej zestarzeć się i umrzeć. Muszę ją nauczyć.*

: *A jak planujesz ją skłonić, żeby do ciebie przyszła?*

Zmarszczył brwi. Auraya nigdy nie opuści Ithanii Północnej i nie wyruszy do krain pentadrian, nawet jeśli nie będzie już potrzebna Siyee.

: *To ja muszę do niej dotrzeć.*

: *Zginiesz. Nawet jeśli uda ci się uniknąć Siyee, Auraya nie potrafi ukrywać swoich myśli. I wydawało mi się, że kazała ci nigdy nie wracać. Nie brzmi to jak słowa kogoś, kto skłonny jest powitać cię znowu... A co dopiero zaufać ci i pozwolić się nauczyć czegoś, po czym bogowie zapewne ją też zechcą zabić.*

Poczuł, że ogarnia go zniechęcenie... Ale natychmiast znalazł rozwiązanie problemu.

: *Ktoś inny musi ją uczyć.*

: *Kto?*

: *Ty, Emerahl! Musisz wrócić do tej jaskini, do której mnie zabrałaś, a potem posłać po nią. Kiedy znajdzie się w pustce, nauczysz ją ukrywać myśli. Nie opuści Si, więc bogowie nie będą niczego podejrzewać. Tak, to się uda!*

Emerahl milczała przez długą chwilę.

: *Ale... co z moją Misją?*

Pomyślał o niej z czułością. Gdyby zamierzała odmówić, odpowiedziałaby bardziej stanowczo. Ale zastanawiała się przez chwilę. Zależało jej na tej Misji... Podobało mu się, że tak swobodnie wędruje po świecie.

Ale do kogo jeszcze mógłby się zwrócić?

: *Misja może poczekać, prawda? Nie prosiłbym, ale jesteś jej jedyną szansą.*

Tym razem Emerahl milczała bardzo długo.

: *Dobrze, zrobię to,* zgodziła się wreszcie. *Ale lepiej, żeby się szybko uczyła.*

Uśmiechnął się.

: *Potrafi to. Uwierz mi, Emerahl, naprawdę potrafi.*

: *I lepiej, żebyś mi to potem wynagrodził.*

: *Na pewno,* obiecał. *Na pewno.*

SŁOWNICZEK

POJAZDY

platten - wóz dwukołowy

tarn - wóz czterokołowy

ROŚLINY

dembar - drzewo o soku czułym na magię

drimma - owoc z Ithanii Południowej

dymodrew - kora o właściwościach stymulujących

felfea - drzewo z Si

florrim - środek usypiający

formtan - środek uspokajający

fronden - rośliny podobne do paproci

garpa - drzewo; jej nasiona działają pobudzająco

heybrin - lek, rzekomo chroniący przed chorobami przenoszonymi drogą płciową

hroomya - koral, źródło niebieskiego barwnika

kwee - jadalny owoc wodorostu

mallin - zioło przyspieszające cyrkulację krwi

mytten - drzewo, z którego drewno pali się bardzo wolno

rebi - owoc znany w Si

sennorośl - wykorzystuje telepatyczny nakaz, by chwytać ofiary

shendla - roślina z poszycia leśnego

słonodrzew - bardzo odporne drewno

velziel - lek na hemoroidy

wemmin - mięsisty kwiat

winnet - drzewo rosnące nad rzekami

yan - bulwa w poszyciu leśnym

ZWIERZĘTA

aggen - mityczny potwór zamieszkujący jaskinie

amma - uważana za łzy wielkoryby

arem - zwierzę gospodarskie, używane do ciągnięcia plattenów i tarnów

ark - ptak drapieżny
breem - małe zwierzę, na które polują Siyee
buszlak - mięczak żyjący na podwodnych skałach
drewryba - ryba bez smaku
fanrin - drapieżnik polujący na gowty
flarkin - morski drapieżnik
garr - wielkie zwierzę morskie
girri - nielotny ptak, udomowiony przez Siyee
gowt - zwierzę hodowane dla mięsa i mleka, żyje w górach
karmuk - niewielkie zwierzę domowe, żyje w Sennonie
kiri - duży ptak drapieżny
leramer - drapieżnik o zdolnościach telepatycznych
lyrim - zwierzę hodowlane, stadne
muhak - niewielki zwierzak domowy ner - zwierzę hodowane na mięso
ostrucha - żądlący owad z północno - wschodnich gór
reyn - zwierzę służące do jazdy wierzchem lub zaprzęgane do plattenu
shem - zwierzę hodowane dla mleka
światłobal - owad świecący w ciemności
światłoryba - ryba, która jarzy się w ciemnych wodach
tiwi - owady żyjące w ulach
veez - miły, telepatyczny zwierzak pokojowy, potrafiący mówić
orn - zwierzę podobnie do wilka
yern - podobny do jelenia, z ograniczoną telepatią
yeryer - jadowity stwór morski

ODZIEŻ
cyrkla - kolisty strój noszony przez kapłanów i kapłanki cyrkliańskie
octavestim - szata kapłanów Gareilema
taul - okrycie wierzchnie, zarzucane na ramiona i wiązane pod szyją

JEDZENIE
ognilla - przyprawa z Torenu
orzechowiec - pasta zrobiona z orzechów, Si
podpłomyk - ciężki chleb

NAPOJE

ahm - napój z Somreyu, zwykle podgrzany i przyprawiony

jamya - ceremonialny napój pentadrian

kahr - napój sennoński

teepi - napój Siyee

teho - napój sennoński

tintra - napój z Hani

tipli - napój toreński

CHOROBY

gnilec - ropienie ran

płucnik - choroba prowadząca do zgnilizny - co ciekawe - płuc

sercożer - choroba atakująca płuca

BUDYNKI

bezpieczne schronienie - miejsce, gdzie mogą przenocować tkacze snów

INNE

canar - sennońska moneta